STEPHEN KING

ŚPIĄCE KRÓLEWNY

OWEN KING

Prószyński i S-ka

STEPHEN KING
OWEN KING

ŚPIĄCE KRÓLEWNY

Przełożył
Tomasz Wilusz

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału:
SLEEPING BEAUTIES

Copyright © 2017 by Stephen King and Owen King
All rights reserved

„Born A Woman”. Tekst i muzyka: Martha Sharp.
Copyright © 1956 Painted Desert Music Corp. Copyright Renewed.
International Copyright Secured. All Rights Reserved.
Used by Permission. Reprinted by Permission of Hal Leonard LLC.

„I’ll Sleep When I’m Dead”. Tekst i muzyka: Warren Zevon.
Copyright © 1976 ZEVON MUSIC. Copyright Renewed.
All Rights Administered by SONGS OF UNIVERSAL, INC.
All Rights Reserved. Used by Permission.
Reprinted by Permission of Hal Leonard LLC.

„The Auld Triangle”, z The Quare Fellow.
Copyright © 1956 Estate of Brendan Behan, reprinted by kind permission
of the Estate of Brendan Behan and The Sayle Literary Agency.

Ilustracje na okładce: Ryszard Wojtyński

Redaktor serii: Monika Kalinowska

Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta: Grażyna Nawrocka

ISBN 978-83-8123-533-4

Warszawa 2017

Wydawca:
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

Pamięci Sandry Bland

POSTACIE

Miasto Dooling, stolica hrabstwa Dooling

- Truman „Trume” Mayweather, 26, producent metamfetaminy
- Tiffany Jones, 28, kuzynka Trumana
- Linny Mars, 40, dyspozytorka policji
- Lila Norcross, 45, komendant policji
- Jared Norcross, 16, uczeń szkoły średniej w Dooling, syn Lili i Clinta
- Anton Dubcek, 26, właściciel i jedyny pracownik firmy Anton Czyściciel Basenów sp. z o.o.
- Magda Dubcek, 56, matka Antona
- Frank Geary, 38, pracownik miejski odpowiedzialny za odławianie bezpańskich zwierząt
- Elaine Geary, 35, wolontariuszka w sklepie charytatywnym i żona Franka
- Nana Geary, 11, uczennica gimnazjum w Dooling
- Stara Essie, 60, bezdomna
- Terry Coombs, 45, policjant
- Rita Coombs, 42, żona Terry’ego
- Roger Elway, 28, policjant
- Jessica Elway, 28, żona Rogera
- Platinum Elway, 8 miesięcy, córka Rogera i Jessiki
- Reed Barrows, 31, policjant
- Leanne Barrows, 32, żona Reeda
- Gary Barrows, 2, syn Reeda i Leanne
- Vern Rangle, 48, policjant
- Elmore Pearl, 38, policjant
- Rupe Wittstock, 26, policjant
- Will Wittstock, 27, policjant

- Dan „Treater” Treat, 27, policjant
- Jack Albertson, 61, emerytowany policjant
- Mick Napolitano, 58, emerytowany policjant
- Nate McGee, 60, emerytowany policjant
- Carson „Country Strong” Struthers, 32, były uczestnik turniejów bokserskich z cyklu Golden Gloves
- JT Wittstock, 64, trener Dooling High School Warriors, szkolnej drużyny futbolu amerykańskiego
- Dr Garth Flickinger, 52, chirurg plastyczny
- Fritz Meshaum, 37, mechanik
- Barry Holden, 47, obrońca publiczny
- Oscar Silver, 83, sędzia
- Mary Pak, 16, uczennica szkoły średniej w Dooling
- Eric Blass, 17, uczeń szkoły średniej w Dooling
- Curt McLeod, 17, uczeń szkoły średniej w Dooling
- Kent Daley, 17, uczeń szkoły średniej w Dooling
- Willy Burke, 75, wolontariusz
- Dorothy Harper, 80, emerytka
- Margaret O’Donnell, 72, siostra Gail, emerytka
- Gail Collins, 68, siostra Margaret, sekretarka w gabinecie dentystycznym
- pani Ransom, 77, piekarka
- Molly Ransom, 10, wnuczka pani Ransom
- Johnny Lee Kronsky, 41, prywatny detektyw
- Jaime Howland, 44, profesor historii
- Eve Black, z wyglądu około trzydziestu lat, nieznajoma

Więzienie

- Janice Coates, 57, naczelnik Zakładu Karnego dla Kobiet w Dooling
- Lawrence „Lore” Hicks, 50, zastępca naczelnika Zakładu Karnego dla Kobiet w Dooling
- Rand Quigley, 30, strażnik w Zakładzie Karnym dla Kobiet w Dooling

- Vanessa Lampley, 42, strażniczka w Zakładzie Karnym dla Kobiet w Dooling, w latach 2010 i 2011 mistrzyni Ohio Valley w siłowaniu na rękę w kategorii wiekowej 35–45 lat
- Millie Olson, 29, strażniczka w Zakładzie Karnym dla Kobiet w Dooling
- Don Peters, 35, strażnik w Zakładzie Karnym dla Kobiet w Dooling
- Tig Murphy, 45, strażnik w Zakładzie Karnym dla Kobiet w Dooling
- Billy Wettermore, 23, strażnik w Zakładzie Karnym dla Kobiet w Dooling
- Scott Hughes, 19, strażnik w Zakładzie Karnym dla Kobiet w Dooling
- Blanche McIntyre, 65, sekretarka w Zakładzie Karnym dla Kobiet w Dooling
- dr Clinton Norcross, 48, psychiatra w Zakładzie Karnym dla Kobiet w Dooling, mąż Lili
- Jeanette Sorley, 36, Osadzona #4582511–1, Zakład Karny dla Kobiet w Dooling
- Ree Dempster, 24, Osadzona #4602597–2, Zakład Karny dla Kobiet w Dooling
- Kitty McDavid, 29, Osadzona #4603241–2, Zakład Karny dla Kobiet w Dooling
- Angel Fitzroy, 27, Osadzona #4601959–3, Zakład Karny dla Kobiet w Dooling
- Maura Dunbarton, 64, Osadzona #4028200–1, Zakład Karny dla Kobiet w Dooling
- Kayleigh Rawlings, 40, Osadzona #4521131–2, Zakład Karny dla Kobiet w Dooling
- Nell Seeger, 37, Osadzona #4609198–1, Zakład Karny dla Kobiet w Dooling
- Celia Frode, 30, Osadzona #4633978–2, Zakład Karny dla Kobiet w Dooling
- Claudia „Petarda” Stephenson, 38, Osadzona #4659873–1, Zakład Karny dla Kobiet w Dooling

Inni

- Lowell „Mały Low” Griner, 35, bandyta
- Maynard Griner, 35, bandyta
- Michaela Morgan z domu Coates, 26, reporterka krajowa News America
- Brat Krwi Jasny Liść (Scott David Winstead Jr.), 60, naczelny pastor Oświeconych
- Lis pospolity, w wieku 4–6 lat

Nieważne, czy jesteś mądra czy głupia,
Czyś biedna czy bogata.
Taka już dola kobiety na tym świecie,
Że facet nią pomiata,
I gdy kobietą się rodzisz,
Czeka cię życie pełne krzywd.
Będziesz deptana,
Okłamywana,
Zdradzana
I traktowana jak zupełne nic.

Sandy Posey, „Born a Woman”
Tekst: Martha Sharp

A ja mówię, że kwadrat światła nie może cię nie obchodzić!

Reese Marie Dempster, Osadzona #4602597–2
Zakład Karny dla Kobiet w Dooling

Dostała ostrzeżenie. Dostała wyjaśnienie. Mimo to upierała się przy swoim.

sen. Addison „Mitch” McConnell,
mówiąc o sen. Elizabeth Warren

Evie się śmieje, kiedy ćma ląduje na jej nagim przedramieniu. Delikatnie przesuwa palcem wskazującym po brązowych i szarych falach, które ubarwiają skrzydła owada.

– Cześć, śliczna – mówi. Ćma zrywa się, leci w górę, wyżej i wyżej, aż ginie w skrawku słońca wplątanym w lśniące zielone liście sześć metrów nad korzeniami, wśród których siedzi Evie.

Miedzianoczerwony sznur wypływa z czarnego otworu pośrodku pnia i wije się między płatami kory. Evie nie ufa wężowi. Kiedyś miała z nim kłopoty.

Jej ćma i dziesięć tysięcy innych zrywają się z wierzchołka drzewa szeleszczącą, ciemnobrązową chmurą. Rój przetacza się po niebie w kierunku rachitycznych młodych sosen na drugim końcu łąki. Evie wstaje i idzie za ćmami. Łodygi chrzęszczą pod jej stopami, sięgająca pasa trawa drapie nagą skórę. Kiedy podchodzi do smętnego, mocno przetrzebionego lasu, wychwytuje pierwsze chemiczne zapachy – amoniak, benzen, ropa naftowa, tak wiele innych, dziesięć tysięcy zadraśnięć na jednym kawałku ciała – i porzuca nadzieję, o której nawet nie wiedziała, że ją ma.

Pajęczyny wylewają się ze śladów jej stóp i migoczą w porannym świetle.

CZĘŚĆ PIERWSZA:
TRÓJKĄT STARY

W kobiecym więzieniu
siedemdziesiąt kobiet jest
i to tam razem z nimi
chciałbym być.
Wtedy ten trójkąt stary, psia mać, mógłby swoje dzyń-dzyń grać
jak Kanał Królewski długi i szeroki.

– Brendan Behan

ROZDZIAŁ 1

1

Ree spytała Jeanette, czy kiedykolwiek przyglądała się kwadratowi światła, które pada z okna. Jeanette powiedziała, że nie. Ree była na górnej pryczy, Jeanette na dolnej. Czekały na otwarcie celi przed śniadaniem. Kolejny dzień, kolejny poranek.

Wyglądało na to, że towarzyszka Jeanette z celi wnikliwie przeanalizowała zachowanie tego kwadratu. Ree wyjaśniła, że najpierw pojawia się na ścianie naprzeciwko okna, potem zjeżdża niżej i niżej, rozlewa się na blacie biurka i w końcu spływa na podłogę. Jeanette widziała, że w tej chwili był na środku podłogi, jasny jak nie wiadomo co.

– Ree – powiedziała Jeanette – nic mnie nie obchodzi jakiś kwadrat światła.

– A ja mówię, że kwadrat światła nie może cię nie obchodzić! – Ree wydała chrząknięcie, którym wyrażała rozbawienie.

– Niech ci będzie. Cokolwiek to, kurde, znaczy – powiedziała Jeanette, a jej towarzyszka tylko jeszcze trochę pochrząkała.

Ree była w porządku, ale jak małe dziecko bała się ciszy. Siedziała za wyłudzenie kredytu, fałszerstwo i posiadanie narkotyków z zamiarem sprzedaży. Na żadnym z tych pól nie poradziła sobie najlepiej i dlatego wylądowała tutaj.

Jeanette odsiadywała wyrok za nieumyślne spowodowanie śmierci; pewnej zimowej nocy dwa tysiące piątego roku dźgnęła swojego męża, Damiana, śrubokrętem w krocze, a że był wtedy na haju, to tylko siedział na krześle i czekał, aż się wykrwawi. Sama też, oczywiście, była naćpana.

– Patrzyłam na zegar – powiedziała Ree. – Zmierzyłam czas. Światło w dwadzieścia dwie minuty przesuwa się od okna w to miejsce na podłodze.

– Zgłoś to do Księgi Rekordów Guinnessa – skwitowała Jeanette.

– W nocy mi się śniło, że jadłam ciasto czekoladowe z Michelle Obamą i że była wkurzona: „Roztyjesz się od tego, Ree!". Ale sama też to ciasto wsuwała. – Ree zachrząkała. – Nie. Wcale nie. Zmyślam. Tak naprawdę śniła mi się taka moja nauczycielka. Raz po raz mówiła, że jestem w złej sali, ja tłumaczyłam, że w dobrej, ona odpowiadała, że niech będzie, potem trochę prowadziła lekcję i zaraz znów powtarzała, że jestem w złej sali, ja na to, że nie, że w dobrej, i tak w kółko. Właściwie to było męczące, nic poza tym. A tobie co się śniło, Jeanette?

– Hm… – Jeanette próbowała sobie przypomnieć, ale nie mogła. Po nowych lekach jakby mocniej spała. Wcześniej miewała koszmary o Damianie. Przeważnie wyglądał w nich tak jak tamtego ranka, kiedy już nie żył, a jego skóra przybrała odcień rozmytego niebieskiego atramentu.

Jeanette zapytała kiedyś doktora Norcrossa, czy według niego te sny biorą się z wyrzutów sumienia. Doktor zmrużył oczy i posłał jej to swoje spojrzenie z gatunku „mówisz serio?", które kiedyś doprowadzało ją do szału, ale które w końcu polubiła, po czym spytał, czy jej zdaniem króliczki mają obwisłe uszka. No dobra, jasne. Zrozumiała aluzję. Zresztą Jeanette nie tęskniła za tymi snami.

– Przykro mi, Ree. Nie mam nic do opowiadania. Nie pamiętam, co mi się śniło.

Buty stukały w cement na korytarzu pierwszego piętra Skrzydła B: ostatnia kontrola przed otwarciem drzwi.

Jeanette zamknęła oczy. Wymyśliła sobie sen. Widziała w nim zniszczone więzienie. Po starych ścianach cel pięły się bujne pnącza, poruszane wiosennym wietrzykiem. Połowa sufitu zniknęła, został tylko sterczący występ nadgryziony zębem czasu. Dwie małe jaszczurki smyrgnęły po stosie zardzewiałego złomu. Motyle kręciły piruety w powietrzu. Intensywne zapachy ziemi i liści przesycały

szczątki celi. Bobby stał u jej boku, przy dziurze w ścianie, i patrzył z podziwem. Jego mama była archeologiem. Odkryła to miejsce.

– Myślisz, że wzięliby do teleturnieju kogoś, kto jest notowany?

Wizja pierzchła. Jeanette jęknęła. Cóż, było miło, ale się skończyło. Na prochach żyło się zdecydowanie lepiej. Można było odnaleźć spokój, lekkość. Trzeba doktorowi oddać, co jego; chemia rzeczywiście poprawia życie. Otworzyła oczy.

Ree gapiła się na nią. Więzienie ma niewiele zalet, ale takiej dziewczynie jak Ree może bezpieczniej się żyje za kratami. Tam, w świecie zewnętrznym, pewnie weszłaby pod koła samochodu. Albo sprzedałaby dragi tajniakowi, który pod każdym względem wygląda jak tajniak. Co też zrobiła.

– Co się stało? – spytała Ree.

– Nic. Byłam w raju, to wszystko. A twój rozpuszczony jęzor wyrwał mnie z niego.

– Co?

– Nieważne. Słuchaj, myślę, że powinien być teleturniej, w którym uczestniczyliby tylko notowani. Można by go nazwać *Kłam dla nagród.*

– Nieźle! Na czym by polegał?

Jeanette usiadła prosto, ziewnęła, wzruszyła ramionami.

– Musiałabym pomyśleć. Wiesz, ustalić regulamin.

Ich dom był taki, jaki był zawsze i jaki zawsze będzie – na wieki wieków, amen. Cela długości dziesięciu kroków, cztery kroki od prycz do drzwi. Ściany gładkie, z cementu koloru owsianki. W wyznaczonym miejscu wisiały zawijające się zdjęcia i pocztówki, przymocowane (choć kogo to w sumie obchodziło) kawałkami zielonej masy klejącej. Pod jedną ścianą stało małe metalowe biurko, pod przeciwległą – niski metalowy regał. Na lewo od drzwi był stalowy sedes; kiedy jedna na nim przykucała, druga odwracała wzrok, żeby wytworzyć choć złudzenie prywatności. W drzwiach, na wysokości oczu, znajdowało się podwójnie szklone okienko, które dawało widok na krótki korytarz biegnący przez Skrzydło B. Każdy centymetr celi, każdy przedmiot – wszystko przesiąknięte było wszechobecnym w więzieniu zapachem potu, pleśni, lizolu.

Wbrew swej woli Jeanette wreszcie zwróciła uwagę na kwadrat słońca między pryczami. Był już prawie przy drzwiach – ale dalej nie zajdzie, prawda? Dopóki klawisz nie przekręci klucza w zamku albo nie otworzy celi z Kabiny, pozostanie tu uwięziony, tak jak one.

– I kto byłby prowadzącym? – dociekała Ree. – Teleturniej musi mieć prowadzącego. No i jakie byłyby te nagrody? Koniecznie jakieś fajne. Szczegóły! Musimy uzgodnić wszystkie szczegóły, Jeanette.

Ree leżała z głową podpartą na dłoni i patrzyła na Jeanette, nawijając na palec swoje ciasno skręcone, tlenione loki. U góry czoła miała bliznę przypominającą ślad od grilla – trzy głębokie równoległe linie. Chociaż Jeanette nie wiedziała, czego pamiątką jest blizna, mogła się domyślić, kto ją zostawił: mężczyzna. Może ojciec, może brat, może chłopak, może facet, którego Ree nie widziała nigdy przedtem i nigdy więcej nie zobaczy. Wśród więźniarek zakładu karnego w Dooling niewiele, mówiąc oględnie, było takich, które wiedziały, co to znaczy coś w życiu wygrać. Za to mnóstwo wiedziało, co to znaczy być ze złym mężczyzną.

Co mogłaś zrobić? Mogłaś użalać się nad sobą. Mogłaś nienawidzić siebie albo wszystkich. Mogłaś się odurzać środkami czystości. Mogłaś robić, co chcesz (w miarę swoich, trzeba przyznać, ograniczonych, możliwości), ale to nie zmieni twojej sytuacji. Następną szansę na zakręcenie wielkim błyszczącym kołem fortuny dostaniesz dopiero na kolejnej rozprawie o zwolnienie warunkowe. Kiedy przyjdzie kolej na nią, Jeanette chciała jak najlepiej się do tego przyłożyć. Musiała myśleć o synu.

Rozbrzmiał donośny szczęk; strażnik w Kabinie otworzył sześćdziesiąt dwa zamki. Była szósta trzydzieści – wszystkie osadzone miały wyjść na poranny apel.

– Nie wiem, Ree. Pomyśl o tym – powiedziała Jeanette. – Ja też pomyślę i potem porozmawiamy.

Zwiesiła nogi z pryczy i wstała.

Kilka kilometrów od więzienia, na tarasie domu Norcrossów, Anton czyściciel basenów wybierał z wody martwe owady. Basen był prezentem od doktora Clintona Norcrossa dla żony, Lili, z okazji dziesiątej rocznicy ślubu. Patrząc na Antona, Clint często się zastanawiał, czy to najszczęśliwszy pomysł. Tego ranka też.

Anton był bez koszuli – z dwóch uzasadnionych powodów. Po pierwsze, zapowiadał się upalny dzień. Po drugie, brzuch miał twardy jak skała. Bo z Antona czyściciela basenów był mięśniak, co się zowie; wyglądał jak model z okładki romansu. Gdyby chcieć mu strzelić w brzuch, na wszelki wypadek lepiej to zrobić z ukosa, żeby nie oberwać rykoszetem. Czym on się odżywia? Górami czystego białka? Jakie ćwiczenia uprawia? Sprząta stajnię Augiasza?

Anton podniósł wzrok, a oczy miał osłonięte lśniącymi wayfarerami, i uśmiechnął się. Pomachał wolną ręką do Clinta, który obserwował go z okna łazienki na piętrze.

– Jezu Chryste, człowieku – mruknął Clint i odmachnął Antonowi. – Zlituj się.

Odsunął się od okna. W lustrze na zamkniętych drzwiach łazienki ujrzał białego czterdziestoośmiolatka z licencjatem z Cornell, ukończonymi studiami medycznymi na Uniwersytecie Nowojorskim i niedużymi wałeczkami na brzuchu od grande mocha ze Starbucksa. Jego szpakowata broda nie przywodziła na myśl dziarskiego drwala, raczej zdziadziałego jednonogiego kapitana statku.

Był zdziwiony, że ma tyle lat, ile ma, i że ciało mu wiotczeje. To ci ironia. Nigdy nie miał za wiele cierpliwości do próżnych mężczyzn, zwłaszcza tych w średnim wieku, a doświadczenie zawodowe jeszcze bardziej uszczupliło jej skromne zasoby. Ściśle mówiąc, wydarzenie, które uważał za przełomowy punkt swej medycznej kariery, nastąpiło przed osiemnastu laty, w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, kiedy potencjalny pacjent nazwiskiem Paul Montpelier przybył do młodego wówczas lekarza po poradę w związku z „kryzysem ambicji seksualnej”.

Clint zapytał Montpeliera:

– Co pan ma na myśli, mówiąc o „ambicji seksualnej”? – Kto jest ambitny, ten pragnie awansować. Tyle tylko, że raczej nie można zostać wiceprezesem do spraw seksu. To był osobliwy eufemizm.

– Chodzi mi o to, że… – Montpelier zdawał się ważyć w myśli różne definicje tego pojęcia. Odchrząknął i zdecydował się na: – Ja nadal chcę to robić. Zabiegać o to.

– Nie jest to chyba jakoś specjalnie ambitne. Powiedziałbym raczej, że całkiem normalne – stwierdził Clint.

Świeżo po stażu na psychiatrii, jeszcze bez wałeczków na brzuchu, Clint pracował w swoim gabinecie dopiero drugi dzień, a Montpelier był jego drugim pacjentem. (Pierwsza była nastolatka, która obawiała się, że nie przyjmą jej na studia. Dość szybko wyszło na jaw, że uzyskała 1570 punktów na egzaminie SAT. Clint zauważył, że to doskonały wynik, wobec czego niepotrzebna jest terapia ani dalsze wizyty. „Wyleczona!", napisał z rozmachem u dołu kartki żółtego notesu, w którym robił notatki).

Paul Montpelier, usadowiony w obitym skajem fotelu naprzeciwko Clinta, tamtego dnia miał na sobie białą kamizelkę i spodnie z zaprasowanymi zaszewkami. Siedział zgarbiony, z kostką jednej nogi na kolanie drugiej, i mówiąc, trzymał dłonią swój elegancki but. Przyjechał krzykliwie czerwonym sportowym samochodem; Clint widział, jak zaparkował przed przysadzistym biurowcem. Wysokie stanowisko w branży węglowej umożliwiło mu kupno takiego wozu, ale jego pociągła, strapiona twarz przypominała Clintowi Braci Be, którzy w starych komiksach nękali Sknerusa McKwacza.

– Moja żona mówi, że… może nie dosłownie, ale rozumie pan, znaczenie jest oczywiste. Ten, no, podtekst. Że chce, żebym z tego zrezygnował. Z mojej ambicji seksualnej. – Poderwał podbródek.

Clint podążył za jego spojrzeniem. Pod sufitem obracał się wentylator. Gdyby Montpelier posłał tam swoją ambicję seksualną, rozpadłaby się w wirze łopatek.

– Cofnijmy się, Paul. Z jakiego powodu poruszyliście z żoną ten temat? Od czego się zaczęło?

– Miałem romans. To była iskra zapalna. I Rhoda… moja żona… wyrzuciła mnie z domu! Tłumaczyłem, że to nie ma z nią żadnego związku, że po prostu… miałem potrzebę, rozumie pan? Mężczyźni mają potrzeby, które kobiety nie zawsze rozumieją. – Montpelier zatoczył głową koło. Syknął z frustracją. – Nie chcę rozwodu! Mam

wewnętrzne przekonanie, że to ona musi się z tym pogodzić. Przyjąć do wiadomości, że jestem, jaki jestem.

Montpelier miał ciemnosine wory pod oczami i zadraśnięcie pod nosem; pewnie zaciął się przy goleniu marną maszynką, którą musiał kupić, bo zapomniał wziąć własną, kiedy żona wywaliła go na zbity pysk. Jego smutek i desperacja były rzeczywiste i Clint mógł sobie wyobrazić, jak fatalnie się czuł po tak nagłym wysiedleniu – zmuszony żyć na walizkach w hotelu i samotnie jeść wodniste omlety w barze. To był autentyczny ból. Nie depresja kliniczna, a jednak istotne uczucie, zasługujące na szacunek i troskę, mimo że facet sam sprowadził na siebie to nieszczęście.

Montpelier wychylił się nad swoim rosnącym brzuchem.

– Bądźmy szczerzy. Zbliżam się do pięćdziesiątki, doktorze Norcross. Najlepsze lata, jeśli chodzi o seks, mam za sobą. Poświęciłem je, ba, oddałem jej. Zmieniałem dzieciom pieluchy, woziłem na mecze i zawody, odkładałem pieniądze na studia dla nich. Odhaczyłem wszystkie punkty w kwestionariuszu małżeństwa. Dlaczego więc nie możemy dojść do jakiegoś porozumienia? Dlaczego to musi być takie straszne, tak bardzo nas różnić?

Clint nie odpowiedział. Czekał.

– W zeszłym tygodniu byłem u Mirandy. To kobieta, z którą sypiam. Zrobiliśmy to w kuchni. Zrobiliśmy w jej sypialni. I prawie udało się nam zrobić to trzeci raz pod prysznicem. Byłem szczęśliwy jak diabli! Ach, te endorfiny! Potem wróciłem do domu, zjedliśmy miłą rodzinną kolację, zagraliśmy w scrabble i też było świetnie! I co w tym złego? To sztucznie stworzony problem, tak myślę. Dlaczego nie mogę mieć trochę swobody? Czy wymagam zbyt wiele? Czy to takie oburzające?

Przez kilka sekund nikt nic nie mówił. Patrzyli na siebie. Właściwe słowa pływały i śmigały w głowie Clinta jak kijanki. Dość łatwo byłoby je pochwycić, a jednak wzbraniał się przed tym.

Za jego pacjentem, oparta o ścianę, stała oprawiona reprodukcja Hockneya. Prezent od Lili, mający „ocieplić gabinet". Planował powiesić obraz później, tego samego dnia. Obok leżały nie do końca rozpakowane pudła z książkami medycznymi.

Ktoś musi pomóc temu człowiekowi, myślał młody lekarz, i powinien zrobić to tutaj, w tym przytulnym, cichym gabinecie

z reprodukcją Hockneya na ścianie. Ale czy osobą, która mu pomoże, ma być właśnie dr Clinton R. Norcross?

Bądź co bądź harował jak wół, żeby zostać lekarzem. Na studiach nie mógł liczyć na niczyje wsparcie finansowe. Dorastał w trudnych warunkach, za wszystko płacił sam, czasem nie tylko pieniędzmi. Aby przetrwać, robił rzeczy, o których nigdy nie powiedział i nigdy nie powie żonie. I po to je robił? Żeby wyleczyć seksualnie ambitnego Paula Montpeliera?

Szeroką twarz Montpeliera zmarszczył czuły, przepraszający grymas.

– O, rany. Kurczę. Źle się do tego zabieram, co?

– Ależ nie, dobrze panu idzie – powiedział Clint i na następne pół godziny świadomie odłożył na bok wątpliwości. Pociągnęli temat; przyjrzeli się sprawie ze wszystkich stron; omówili różnicę między pragnieniem a potrzebą; porozmawiali o pani Montpelier i jej niewyszukanych (zdaniem Montpeliera) preferencjach; wrócili nawet, z zaskakującą otwartością, do pierwszego doświadczenia seksualnego Paula Montpeliera – masturbacji szczękami pluszowego krokodyla, należącego do jego młodszego brata.

Clint z zawodowego obowiązku zapytał Montpeliera, czy kiedykolwiek myślał o tym, żeby zrobić sobie coś złego. (Nie). Wyraził zaciekawienie, jak czułby się, gdyby role się odwróciły. (Utrzymywał, że kazałby żonie zrobić to, co uznałaby za stosowne). Gdzie widzi siebie za pięć lat? (Mężczyzna w białej kamizelce zaczął łkać).

Na zakończenie sesji Montpelier powiedział, że już nie może się doczekać następnej. Kiedy tylko wyszedł, Clint zadzwonił do swojego sekretariatu. Kazał odsyłać każdego, kto o niego zapyta, do psychiatry w sąsiednim Maylock. Sekretarka zapytała, jak długo ma to robić.

– Dopóki piekło nie utonie w zaspach – powiedział Clint. Patrzył z okna, jak Montpelier cofa swój krzykliwie czerwony sportowy samochód i wyjeżdża z parkingu. Nigdy więcej go nie zobaczył.

Następnie zadzwonił do Lili.

– Dzień dobry, doktorze Norcross. – Jej głos budził w nim uczucie, jakie ludzie mają na myśli – przynajmniej powinni – kiedy mówią, że

serce im śpiewa. Zapytała, jak mu mija drugi dzień w pracy.

– Właśnie wpadł do mnie najmniej samokrytyczny mężczyzna w Ameryce – odparł.

– Poważnie? Był u ciebie mój ojciec? Założę się, że nie wiedział, co sądzić o reprodukcji Hockneya.

Miał bystrą żonę, równie bystrą, jak ciepłą, i równie twardą, jak bystrą. Lila go kochała, ale zawsze potrafiła wybić go z rytmu. Sądził, że pewnie tego mu było trzeba. Jak większości mężczyzn.

– Ha, ha – rzucił. – Słuchaj, wspominałaś, że jest wolny etat w więzieniu. Skąd to wiesz?

Nastąpiła jedno–dwusekundowa pauza, w czasie której jego żona zastanawiała się, co się kryje pod tym pytaniem. Odpowiedziała własnym:

– Clint, czy jest coś, co musisz mi powiedzieć?

Do głowy mu nie przyszło, że mogła być zawiedziona jego decyzją o przejściu z prywatnego na państwowe. Nie, nie będzie zawiedziona, był tego pewien.

Dzięki Bogu za Lilę.

3

Żeby elektryczna golarka chwyciła siwy zarost pod nosem, Clint musiał wykrzywić twarz w grymas godny Quasimodo. Śnieżnobiały, sztywny włos sterczał z jego lewego nozdrza. Anton mógł sobie machać sztangami, ile chciał, ale białych kłaków w nosie – i uszach – nie uniknie żaden mężczyzna. Tego jednego natręta Clintowi udało się zgolić.

Nigdy nie miał takiej muskulatury jak Anton, nawet w ostatniej klasie liceum, kiedy, oficjalnie usamodzielniony przez sąd, mieszkał sam i należał do drużyny lekkoatletycznej. Był wtedy smuklejszy, chudszy, miał płaski, ale nieumięśniony brzuch, taki sam, jaki teraz miał Jared, jego syn. Z tego, co pamiętał, Paul Montpelier był pulchniejszy niż on sam w lustrzanym odbiciu tego ranka. Ale co prawda, to prawda, Clint bardziej przypominał jego niż przystojniaka

od basenów. Swoją drogą, gdzie dziś jest Paul Montpelier? Czy rozwiązał swój kryzys? Pewnie tak. Czas leczy wszystkie rany. Oczywiście, jak zauważył jakiś mądrala, rani też wszystkich leszczy.

Clint miał nie większe, niż norma przewiduje – czyli zdrowe, w pełni świadome i ograniczone do fantazjowania – ciągoty do pozamałżeńskiego pieprzenia. Jego sytuacja, inaczej niż w przypadku Paula Montpeliera, nie była kryzysem żadnego rodzaju. Na tym, w jego przekonaniu, polega normalne życie – czasem obejrzysz się na ulicy za ładną dziewczyną; czasem instynktownie rzucisz okiem na kobietę w mini wysiadającą z samochodu; czasem poczujesz prawie podświadomy przypływ pożądania do jednej z modelek zdobiących *The Price is Right.* To smutne, jak mniemał, choć może też trochę komiczne, że upływ czasu odciąga cię coraz dalej od wersji twojego ciała, którą lubiłeś najbardziej, a zostawia ci stare instynkty (nie ambicje, dzięki Bogu), jak zapach gotowania, który wisi w powietrzu jeszcze długo po zjedzeniu kolacji. I czy osądzał wszystkich mężczyzn swoją miarą? Nie. Należał do ich plemienia, to wszystko. Prawdziwą zagadką były kobiety.

Uśmiechnął się do swojego odbicia. Był gładko ogolony. Żył. Miał mniej więcej tyle lat, co Paul Montpelier w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku.

– Hej, Anton, idź się pierdol – rzucił w stronę gładkiej tafli. Fałszywa brawura, ale przynajmniej się postarał.

Z sypialni za drzwiami łazienki dobiegły szczęk zamka, szuranie wysuwanej szuflady, łupnięcie lądującego w niej pasa z bronią Lili, dźwięk zasuwanej szuflady i znów szczęk, tym razem zamykanego zamka. A potem westchnienie i ziewnięcie.

Na wypadek gdyby już zasnęła, ubrał się bez słowa i zamiast usiąść na łóżku, żeby włożyć buty, podniósł je z podłogi, zamierzając zejść z nimi na dół.

Lila odchrząknęła.

– Spokojnie, jeszcze nie śpię.

Nie był pewien, czy to szczera prawda: Lila zdobyła się zaledwie na to, żeby odpiąć górny guzik spodni od munduru, zanim gruchnęła na łóżko. Nawet nie przykryła się kocem.

– Musisz być wykończona. Już wychodzę. Na Mountain wszyscy cali?

Zeszłego wieczoru przysłała mu esemesa, że na Mountain Rest Road była kraksa – „Nie czekajcie z kolacją”. Było to może nie niespotykane, ale na pewno niezwykłe. Zjedli z Jaredem pieczone steki i obalili dwa anchor steamy na tarasie.

– Przyczepa się odpięła. Ze Świata Zwierzaków czy jak im tam. Wiesz, tego sklepu sieciowego. Przewaliła się na bok, zatarasowała całą drogę. Wysypały się koci żwirek i karma dla psów. Musieliśmy ściągnąć buldożer, żeby to uprzątnął.

– Paskudna sprawa. – Schylił się i pocałował ją w policzek. – Hm. Może zaczniemy razem biegać? – Ten pomysł przyszedł mu do głowy nagle i od razu go rozweselił. Ciało, tak czy inaczej, będzie nawalało i rosło wszerz, nic się na to nie poradzi, ale można z tym powalczyć.

Lila otworzyła prawe oko, bladozielone w mroku pokoju za zaciągniętymi zasłonami.

– Nie dziś rano.

– Jasne, że nie – odparł. Stał nad nią, przekonany, że odwzajemni pocałunek, ona jednak tylko życzyła miłego dnia i poprosiła, żeby kazał Jaredowi wynieść śmieci. Oko się zamknęło. Błysk zieleni… A potem nic.

4

Zapach w szopie był niemal nie do zniesienia.

Gęsia skórka pokryła jej nagie ciało i Evie musiała powstrzymać odruch wymiotny. Śmierdziało spalonymi chemikaliami, starym dymem z palonych liści i zepsutą żywnością.

Jedna z ciem zagnieździła się w jej włosach. Dotyk pulsującego ciała owada dodawał Evie otuchy. Rozejrzała się, oddychając najpłycej, jak mogła.

Szopa z prefabrykatów została przerobiona na wytwórnię narkotyków. Pośrodku stała kuchenka gazowa, połączona żółtawymi rurkami z dwiema białymi stalowymi butlami. Blat pod ścianą

zajmowały tace, butle wody, otwarte opakowanie woreczków strunowych, probówki, kawałki korka, niezliczone wypalone zapałki, szklana fajka z osmaloną główką i zlew z przymocowanym wężem, wyprowadzonym na zewnątrz pod siatką, którą Evie odciągnęła, wchodząc. Puste butelki i zgniecione puszki, walające się po podłodze. Rozchwierutane krzesło ogrodowe z oparciem ostemplowanym logo Dale'a Earnhardta Jr. W kącie zwinięta szara koszula w kratę.

Evie strzepnęła sztywną koszulę, żeby ją rozprostować i wytrząsnąć z niej choć część brudu, po czym naciągnęła ją na siebie. Opadła jej na tyłek i uda. Musiała należeć do jakiegoś obrzydliwca. Imponująca plama w kształcie Kalifornii na piersi wskazywała, że ów obrzydliwiec był niechlujny i lubił majonez.

Ukucnęła przy butlach propanu i wyrwała pożółkłe rurki. Przekręciła zawory o centymetr.

Wyszła z szopy, zaciągnęła za sobą siatkę i przystanęła, żeby odetchnąć świeższym powietrzem.

Jakieś sto metrów niżej, w dole zalesionego wału, stała przyczepa mieszkalna. Przed nią, na wysypanym żwirem placyku, parkowały dwa samochody osobowe i pikap. Trzy wypatroszone króliki, jeden jeszcze ociekający krwią, wisiały na sznurze do bielizny obok kilku par wyblakłych majtek i kurtki dżinsowej. Z komina przyczepy buchały kłęby dymu z palonego drewna.

Tam, skąd przyszła, za przerzedzonym lasem i łąką, nie było już widać Drzewa. Nie była jednak sama; dach szopy obsiadły ćmy, trzepoczące skrzydłami, wiercące się.

Ruszyła w dół wału. Gałęzie przewróconych drzew kłuły jej stopy, kamień rozciął piętę. Nie zwolniła kroku. Jej rany szybko się goiły. Przy sznurze do bielizny zatrzymała się i nadstawiła uszu. Usłyszała śmiech mężczyzny, odgłosy włączonego telewizora i dziesięciu tysięcy dżdżownic, spulchniających glebę na otaczającym ją spłachetku ziemi.

Krwawiący królik potoczył ku niej zamglone ślepia. Zapytała go, jak wygląda sytuacja.

– Trzech mężczyzn, jedna kobieta – odparł królik. Z jego rozharatanego czarnego pyszczka wyfrunęła mucha; chwilę krążyła

w powietrzu, po czym wpadła do zwisającego ucha. Evie słyszała, jak buszuje w środku. Nie miała jej tego za złe – mucha robiła to, do czego jest stworzona – ale żal jej było królika; nie zasłużył na tak parszywy los. Choć Evie kochała wszystkie zwierzęta, największą sympatią darzyła te małe, przekradające się po łąkach i przeskakujące nad przewróconymi martwymi drzewami, te z wiotkimi skrzydłami i te, które smyrgają w zaroślach.

Wsunęła dłoń za głowę umierającego stworzenia i delikatnie przysunęła pokryty zakrzepłą krwią pyszczek do swoich ust.

– Dziękuję – szepnęła.

A potem pozwoliła mu zamilknąć.

5

Życie w tym konkretnym zakątku Appalachów miało tę zaletę, że za dwie pensje urzędnicze Norcrossowie mogli sobie pozwolić na przyzwoity dom. Z trzema sypialniami, w nowoczesnym stylu, stał na osiedlu pełnym podobnych domów. Wszystkie były ładne, nieprzesadnie przestronne, z trawnikami w sam raz nadającymi się do tego, by porzucać do siebie piłkę, i z widokiem na wzgórza, które w porach roku, kiedy świat się zielenił, porastała bujna roślinność. Trochę przygnębiać mogło tylko to, że nawet przy obniżonych cenach prawie połowa tych całkiem atrakcyjnych domów stała pusta. Jedynym wyjątkiem był dom pokazowy na szczycie wzgórza, utrzymywany w nienagannym porządku, lśniący czystością i umeblowany. Lila twierdziła, że to tylko kwestia czasu, kiedy do jednego z pustostanów włamie się jakiś ćpun i spróbuje tam otworzyć interes. Clint powiedział jej, żeby się nie martwiła – ma chody u pani szeryf. Mało tego: tak jakby się ze sobą spotykają. („Kręcą ją starzy faceci?”, odparła Lila, trzepocząc rzęsami i wtulając się biodrem w jego biodro).

Na piętrze domu Norcrossów były główna sypialnia, pokój Jareda i trzecia sypialnia, która służyła dorosłym za gabinet. Na parterze mieściła się duża otwarta kuchnia, oddzielona od pokoju dziennego

blatem barowym. Po prawej stronie pokoju dziennego, za zamkniętymi przeszklonymi drzwiami, znajdowała się rzadko używana jadalnia.

Clint pił kawę przy blacie barowym i czytał „New York Timesa" na iPadzie. Trzęsienie ziemi w Korei Północnej spowodowało niezliczone ofiary w ludziach. Rząd północnokoreański utrzymuje, że straty są niewielkie dzięki „niezrównanej architekturze", ale nagrania z telefonów komórkowych pokazują zakurzone ciała i góry gruzu. Na Zatoce Adeńskiej płonie platforma wiertnicza, prawdopodobnie w wyniku sabotażu, do którego jednak nikt nie chce się przyznać. Wszystkie państwa regionu zmieniły się w dyplomatyczny odpowiednik paczki chłopców, którzy wybili szybę podczas gry w baseball i teraz zmykają do domu, nie oglądając się za siebie. Na pustyni w Nowym Meksyku trwa czterdziesty czwarty dzień konfrontacji między FBI a milicją pod dowództwem Brata Krwi Jasnego Liścia (z domu Scotta Davida Winsteada juniora). Ta wesoła gromadka odmawia płacenia podatków, uznania legalności konstytucji i złożenia swojego arsenału broni automatycznej. Kiedy ludzie dowiadywali się, że Clint jest psychiatrą, często namawiali go, żeby zdiagnozował choroby psychiczne u polityków, celebrytów i innych osób z pierwszych stron gazet. Zazwyczaj nie chciał tego robić, ale w tym przypadku uważał, że śmiało może postawić diagnozę na odległość: Brat Krwi Jasny Liść cierpiał na zaburzenie dysocjacyjne.

U dołu pierwszej strony widniało zdjęcie młodej kobiety o zapadniętych policzkach, stojącej przed chałupą w Appalachach, z małym dzieckiem na ręku: *Rak w Zagłębiu Węglowym*. To przypomniało Clintowi o wycieku chemikaliów do lokalnej rzeki przed pięcioma laty. Przez tydzień nie mieli bieżącej wody. Dzisiaj podobno wszystko było w porządku, ale w jego domu na wszelki wypadek dalej piło się wodę butelkowaną.

Słońce grzało mu twarz. Spojrzał w stronę dwóch dużych bliźniaczych wiązów w głębi podwórka, za krawędzią tarasu z basenem. Pomyślał, że są jak bracia, jak siostry, jak mąż i żona – był pewien, że pod ziemią ich korzenie splotły się ze sobą na śmierć i życie. W oddali sterczały ciemnozielone kłykcie gór. Chmury

topniały na patelni pogodnego, błękitnego nieba. Ptaki śpiewały na niebie. Szkoda tak pięknego krajobrazu dla ludzi, to też powiedział mu jakiś stary mądrala.

Clint chciał wierzyć, że on zasłużył na ten piękny krajobraz. Nigdy nie przypuszczał, że pewnego dnia zostanie właścicielem takiego widoku. Ciekaw był, jak bardzo musi zniedołężnieć i osłabnąć, zanim zrozumie, jak to jest, że jednym w życiu tak się powodzi, a na innych spadają same nieszczęścia.

– Cześć, tato. Dzień dobry. Co tam w świecie? Coś dobrego?

Clint odwrócił się od okna; Jared wchodził do kuchni niespiesznym krokiem, zasuwając plecak.

– Chwileczkę… – Przerzucił na wyświetlaczu kilka stron. Nie chciał, żeby syn w drodze do szkoły myślał o wyciekach ropy, milicji czy raku. O, jest coś w sam raz. – „Fizycy stawiają hipotezę, że wszechświat może trwać wiecznie" – przeczytał.

Jared przegrzebał szafkę z przekąskami, znalazł Nutribar i schował do kieszeni.

– I to niby dobrze? Możesz mi wyjaśnić dlaczego?

Clint myślał chwilę, zanim dotarło do niego, że syn tylko się z nim drażni.

– Przejrzałem cię. – Spojrzał na Jareda i podrapał się środkowym palcem w powiekę.

– Nie musisz tak się kamuflować, tato. Wszystko, co się dzieje między ojcem a synem, zostaje między ojcem a synem. – Jared nalał sobie kawy. Pił czarną, jak Clint w czasach, kiedy miał młody żołądek.

Ekspres stał blisko zlewu. Okno nad zlewem wychodziło na taras. Jared pociągnął łyk i spojrzał przez szybę.

– O, rany… Jesteś pewien, że możesz zostawić mamę samą z Antonem?

– Idź już, proszę – powiedział Clint. – Wynocha do szkoły. Niech cię tam czegoś nauczą.

Syn nagle mu dorósł. To było wzruszające, melancholijne, irytujące, niezrozumiałe, cudowne, niesamowite, niepokojące. Pierwszym słowem Jareda było „Pies!", a właściwie, jak wtedy to wymawiał, „pieś". „Pieś! Pieś!". Był sympatycznym, dociekliwym

dzieckiem, pełnym dobrych chęci, i wyrósł na sympatycznego młodego mężczyznę, który pozostał dociekliwy i pełen dobrych chęci. Clint szczycił się tym, że bezpieczny dom, jaki mu zapewnili, pozwalał Jaredowi w coraz większym stopniu stawać się sobą. Sam nigdy nie dostał takiej szansy.

Zastanawiał się, czy dać już synowi prezerwatywy, ale nie miał ochoty rozmawiać o tym z Lilą, nie chciał też, żeby chłopak uznał, że go do czegoś zachęca. Najchętniej w ogóle nie myślałby o tym. Jared twierdził, że z Mary tylko się przyjaźnią, i może nawet sam w to wierzył. Clint widział jednak, jak syn patrzy na tę dziewczynę; tak jak się patrzy na kogoś, z kim chce się bardzo, ale to bardzo blisko zaprzyjaźnić.

– Supersztama. – Jared wyciągnął dłonie. – Pamiętasz jeszcze, jak to idzie?

Pewnie, że pamiętał: najpierw żółwik, potem podnieść i spleść kciuki, przekręcić dłonie, przejechać jedną po drugiej i w górze przybić dwie piątki. Choć dawno tego nie robili, wyszło doskonale; obaj parsknęli śmiechem. Poranek od razu stał się przyjemniejszy.

Jared wyszedł, zanim Clint przypomniał sobie, że miał mu kazać wynieść śmieci.

Jeszcze jeden objaw starzenia się: zapominasz to, co chcesz pamiętać, a pamiętasz to, o czym chcesz zapomnieć. Może to też powiedział ten stary mądrala. Clint powinien to sobie wyhaftować na poduszce.

6

Po sześćdziesięciu dniach dobrego sprawowania Jeanette Sorley miała prawo spędzać w świetlicy trzy poranki tygodniowo, od ósmej do dziewiątej. W praktyce oznaczało to, że była tam od ósmej do ósmej pięćdziesiąt pięć, bo o dziewiątej zaczynała sześciogodzinną zmianę w stolarni, gdzie, wdychając opary lakieru przez cienką bawełnianą maseczkę, robiła nogi do krzeseł. Dostawała trzy dolary za godzinę. Pieniądze trafiały na konto, z którego miały jej zostać

wypłacone czekiem w dniu zwolnienia (więźniarki nazywały swoje konta pracownicze Darmowym Parkingiem, jak w grze monopol). Gotowe krzesła wystawiano w sklepie więziennym po drugiej stronie drogi numer siedemnaście. Niektóre kosztowały sześćdziesiąt dolarów, większość osiemdziesiąt – i całkiem dobrze się sprzedawały. Jeanette nie wiedziała, na co szły te pieniądze, i nie zastanawiała się nad tym. Interesowało ją tylko prawo pobytu w świetlicy. Były tam gry planszowe, duży telewizor i czasopisma. No i automaty: jeden z przekąskami, drugi z napojami, oba na ćwierćdolarówki, a więźniarki ćwierćdolarówek nie miały, ćwierćdolarówki uznawano za kontrabandę – paragraf 22! – ale przynajmniej człowiek mógł sobie popatrzeć. (Poza tym w wyznaczone dni tygodnia świetlica zamieniała się w salę widzeń i doświadczeni odwiedzający, jak Bobby, syn Jeanette, wiedzieli, że muszą przynieść dużo ćwierćdolarówek).

Tego ranka siedziała obok Angel Fitzroy i oglądała poranny serwis informacyjny na WTRF, Kanale 7, nadającym z Wheeling. Wiadomości stanowiły ten sam miszmasz, co zwykle: strzelanina na drodze, pożar transformatora, kobieta aresztowana za napaść na inną kobietę na zawodach Monster Truck Jam, awantura w parlamencie stanowym o nowe więzienie dla mężczyzn, zbudowane na terenie wyrobiska kopalnianego na szczycie górskim i podobno obarczone wadami konstrukcyjnymi. Co się tyczy wiadomości z kraju, trwało oblężenie siedziby milicji Brata Krwi Jasnego Liścia. Na drugim końcu świata tysiące ludzi przypuszczalnie zginęło podczas trzęsienia ziemi w Korei Północnej, a australijscy lekarze donosili o wybuchu epidemii śpiączki, na którą, według wstępnych ustaleń, zapadały tylko kobiety.

– To przez metę – stwierdziła Angel Fitzroy. Skubała zębami twixa, którego znalazła w wylocie automatu. Starała się, żeby wystarczył na jak najdłużej.

– Co? Śpiące kobiety, laska z Monster Truck Jam czy ten facet jak z reality show?

– Może wszystko. Ale myślałam o lasce z Jam. Raz byłam na podobnej imprezie i kurczę, prawie wszyscy oprócz dzieciarni byli albo na koce, albo upaleni. Chcesz trochę? – Angel wyciągnęła

resztkę twixa w stulonej dłoni (na wypadek gdyby oficer Lampley w tej chwili obserwowała je przez jedną z kamer w świetlicy). – Nie jest tak zeschnięty, jak niektóre z tych w środku.

– Nie, dziękuję – odparła Jeanette.

– Czasem jak coś zobaczę, to chce mi się umrzeć – stwierdziła Angel, jakby nigdy nic. – Albo wszystkich pozabijać. Obczaj to. – Wskazała na nowy plakat między automatami z przekąskami i z napojami. Przedstawiał piaszczystą wydmę ze śladami stóp prowadzącymi w dal. Pod zdjęciem było hasło: „Największym wyzwaniem jest dotrzeć do celu".

– Facet dotarł do celu, ale gdzie się podział? Gdzie to w ogóle jest? – dociekała Angel.

– W Iraku? – podsunęła Jeanette. – Pewnie siedzi w najbliższej oazie.

– E tam, umarł na udar słoneczny. Leży gdzieś, gdzie go nie widać, z wywalonymi gałami i skórą czarną jak cylinder magika. – Angel powiedziała to bez uśmiechu.

Angel była ćpunką ze wsi, i to głębokiej, z tych, gdzie ogryza się korę z drzew, a dzieci chrzci w bimbrowni. Wsadzili ją za napaść, ale Jeanette domyślała się, że Angel ma na koncie większość przestępstw z kodeksu. Jej koścista, pełna kantów twarz wyglądała na tak twardą, że można by nią kruszyć asfalt. Sporą część pobytu w Dooling Angel spędziła w Skrzydle C. W Skrzydle C wypuszczali z celi tylko na dwie godziny dziennie. Skrzydło C było dla niegrzecznych dziewczyn.

– Nawet jeśli umierasz na udar słoneczny w Iraku, raczej nie czerniejesz – powiedziała Jeanette. Być może błędem było nie zgadzać się (nawet w żartach) z Angel, która wykazywała, jak to lubił określać doktor Norcross, „skłonności do agresji", ale tego ranka miała ochotę poigrać z losem.

– Mówię tylko, że to bzdura – rzuciła Angel. – Największe wyzwanie to przetrwać w cholerę każdy dzień, jak pewnie dobrze wiesz.

– Jak myślisz, kto to powiesił? Doktor Norcross?

Angel prychnęła.

– Norcross jest za mądry na coś takiego. Nie, to naczelnik Coates. Jaaaanice. Niuńka ma fioła na punkcie motywacji. Widziałaś plakat

w jej gabinecie?

Jeanette widziała plakat – stary, ale niejary. Przedstawiał kotka uwieszonego na gałęzi. Trzymaj się, mały, a jakże. Większość kociaków w tym więzieniu już pospadała ze swoich gałęzi. Niektóre na głowę.

W telewizji pokazywali właśnie zdjęcie zbiegłego więźnia.

– O, rany – sapnęła Angel. – Żywy dowód, że czarne nie zawsze jest piękne, co?

Jeanette tego nie skomentowała. Prawda była taka, że wciąż podobali się jej faceci, którym źle z oczu patrzyło. Pracowała nad tym z doktorem Norcrossem. Na razie jednak nie potrafiła się pozbyć pociągu do mężczyzn, którzy wyglądali, jakby w każdej chwili mogli wpaść na pomysł, żeby wychłostać twoje nagie plecy trzepaczką do jajek, kiedy będziesz pod prysznicem.

– McDavid jest w jednym ze żłobków Norcrossa w Skrzydle A – powiedziała Angel.

– Skąd wiesz? – Jeanette lubiła bystrą i zadziorną Kitty McDavid jak mało kogo. Krążyły słuchy, że Kitty na wolności zadawała się z ostrymi zawodnikami, ale tak naprawdę wredna była co najwyżej dla siebie. W przeszłości zapamiętale się cięła; zostały jej blizny na piersiach, bokach tułowia, górnej części ud. I miała skłonności do depresji, choć leki od Norcrossa wyraźnie jej pomagały.

– Jeśli chcesz znać najnowsze wiadomości, musisz przychodzić tu wcześnie. Ona mi powiedziała. – Angel wskazała na Maurę Dunbarton, podstarzałą funkcyjną, która odsiadywała dożywocie. Maura właśnie rozkładała na stolikach czasopisma przywiezione na wózku. Robiła to z niezmierną starannością i precyzją. Sterczące białe włosy otaczały jej głowę niemal transparentną aureolą. Nogi miała wciśnięte w grube pończochy przeciwżylakowe koloru waty cukrowej.

– Maura! – zawołała Jeanette zniżonym głosem. Krzyczenie w świetlicy było ściśle *verboten*, zakaz nie obowiązywał tylko dzieci w dni odwiedzin i osadzonych podczas comiesięcznej imprezy. – Chodź no tu, koleżanko!

Maura powoli potoczyła wózek w ich stronę.

– Mam „Seventeen” – oznajmiła. – Któraś z was jest zainteresowana?

– Nie byłam tym zainteresowana, kiedy miałam siedemnaście lat – odparła Jeanette. – Co to za historia z Kitty?

– Pół nocy wrzeszczała. Dziwne, że nie słyszałaś. Wyciągnęli ją z celi, zrobili jej zastrzyk i przenieśli do A. Teraz śpi.

– Co wrzeszczała? – spytała Angel. – Coś konkretnego czy tylko tak sobie?

– Że nadchodzi Czarna Królowa – odparła Maura. – Że będzie tu dzisiaj.

– Aretha Franklin da nam koncert? To jedyna czarna królowa, jaką znam..

Maura nie słuchała. Patrzyła na niebieskooką blondynkę na okładce czasopisma.

– Na pewno żadna z was nie chce tego „Seventeen”? Są ładne sukienki wyjściowe.

– Nie nałożę takiej kiecki, dopóki nie dadzą mi diademu. – Angel wybuchnęła śmiechem.

– Czy doktor Norcross był u Kitty? – spytała Jeanette.

– Jeszcze go nie ma – odparła Maura. – Kiedyś miałam sukienkę wyjściową. W ładnym odcieniu niebieskiego, bufiastą. Mąż wypalił w niej dziurę żelazkiem. Niechcący. Chciał tylko pomóc. Tyle że nikt go nie nauczył prasować. Jak większości mężczyzn. Teraz to już na pewno się nie nauczy.

Nie odpowiedziały. Wszyscy wiedzieli, co Maura Dunbarton zrobiła swojemu mężowi i dwójce dzieci. Od tego czasu minęło trzydzieści lat, ale niektórych zbrodni nie sposób zapomnieć.

7

Trzy–cztery lata wcześniej – a może pięć–sześć; początek dwudziestego pierwszego wieku jakoś jej umknął, punkty orientacyjne utonęły we mgle – na parkingu za K-martem w Karolinie Północnej Tiffany Jones usłyszała od pewnego mężczyzny, że jest na

najlepszej drodze do tego, żeby źle skończyć. Choć te lata wyparowały z jej życiorysu, akurat tę chwilę zapamiętała. Mewy wrzeszczały i dziobały w śmieciach na tyłach rampy załadunkowej K-marta. Siąpiący deszcz spływał po szybie dżipa, w którym siedziała, należącego do faceta, który powiedział jej, że jest na najlepszej drodze do tego, żeby źle skończyć. Był ochroniarzem centrum handlowego. Chwilę wcześniej zrobiła mu laskę.

Nakrył ją na kradzieży dezodorantu. *Quid pro quo*, na które się umówili, było względnie proste i niezaskakujące: ona mu obciągnęła, on puścił ją wolno. Był z niego kawał chłopa. Musiała się nieźle nagimnastykować, żeby między jego brzuszyskiem, udami a kierownicą samochodu dostać się do kutasa. Tiffany jednak zrobiła w życiu wiele gorszych rzeczy i to w porównaniu z nimi byłby niewart zapamiętania drobiazg, gdyby nie jego słowa.

– To cię musi dołować, co? – Współczujący grymas rozlał się po jego spoconej twarzy, kiedy wiercił się na siedzeniu, usiłując podciągnąć jaskrawoczerwone plastikowe gacie do joggingu; pewnie tylko takie mógł dostać w swoim rozmiarze. – Człowiek wie, że jest na najlepszej drodze do tego, żeby źle skończyć, kiedy musi pójść na układ z kimś takim jak ja.

Do tamtej chwili Tiffany sądziła, że ludzie, którzy znęcają się nad innymi – tacy jak jej kuzyn Truman – nie dopuszczają do siebie myśli o tym, kim są. Inaczej jak w ogóle mogliby ze sobą żyć? Jak można w pełni świadomie krzywdzić albo poniżać drugiego człowieka? Cóż, można, jak się okazuje – i tacy faceci jak ten wieprz z ochrony centrum handlowego to robili. To był dla niej prawdziwy szok; oto nagle miała wytłumaczenie, dlaczego jej życie tak fatalnie się ułożyło. Tiffany nie była pewna, czy kiedykolwiek doszła po tym do siebie.

Trzy, może cztery ćmy miotały się wewnątrz kulistego abażuru nad blatem. Żarówka się przepaliła. Nieważne; światło poranka napełniało przyczepę. Ćmy hulały, trzepotały skrzydłami, ich małe cienie migotały w tańcu. Skąd się tam wzięły? A skoro już o tym mowa, skąd ona wzięła się tutaj? Po trudnej wczesnej młodości Tiffany na pewien czas zdołała się jako tako w życiu urządzić. W dwa tysiące szóstym roku była kelnerką w bistro. Dostawała przyzwoite

napiwki, miała dwupokojowe mieszkanie w Charlottesville i hodowała paprotki na balkonie. Nieźle jak na dziewczynę, która nie skończyła szkoły średniej. W weekendy lubiła wynajmować dużego gniadosza imieniem Moline, łagodnego usposobienia i łatwego w prowadzeniu, i jeździć na nim w Shenandoah. Teraz siedziała w przyczepie mieszkalnej we Wschodniej Pipidówie w Appalachach i nie była na najlepszej drodze do tego, żeby źle skończyć – ona już źle skończyła. Dobrze chociaż, że ten zły koniec upływał pod znieczuleniem. Nie bolał tak, jak należałoby oczekiwać, co może było w tym wszystkim najgorsze, bo znaczyło, że wycofała się tak daleko w głąb, do ostatniego rzędu samej siebie, tam, skąd nawet nie mogła…

Coś łupnęło i nagle znalazła się na podłodze. Uderzyła biodrem o kant blatu; pulsowało bólem.

Z papierosem zwisającym z ust Truman spojrzał na nią z góry.

– Ziemia do jebanej ćpunki. – Był w kowbojkach, bokserkach i niczym więcej. Skóra torsu opinała jego żebra ciasno jak folia spożywcza. – Ziemia do jebanej ćpunki – powtórzył i klasnął w dłonie przed jej twarzą, jakby była niegrzecznym psem. – Nie słyszysz? Ktoś puka.

Tru był takim palantem, że ta cząstka Tiffany, która jeszcze żyła – ta, którą niekiedy kusiło, żeby uczesać włosy albo zadzwonić do Elaine z Planned Parenthood, która przekonywała ją, żeby zgłosiła się na odwyk – czasem przyglądała mu się z naukowym zadziwieniem. Tru był wzorcem palanta. Tiffany zadawała sobie pytanie „Czy taki-a-taki jest gorszym palantem od Trumana?”. Niewielu mogło mu dorównać – może Donald Trump i kanibale, ale chyba nikt więcej. Truman miał na koncie mnóstwo brudnych sprawek. W dzieciństwie grzebał sobie palcem w tyłku, a potem pchał go mniejszym dzieciom do nosów. Później okradł rodzoną matkę, zastawił jej biżuterię i antyki w lombardzie. Wkręcił Tiffany w metę tego popołudnia, kiedy odwiedził ją w jej ładnym mieszkaniu w Charlottesville. Za dobry żart uważał przypalanie twojego nagiego ramienia papierosem, kiedy spałaś. Zgwałcił niejedną kobietę, ale nigdy go za to nie zamknęli. Niektórym palantom po prostu sprzyja szczęście. Jego twarz porastała zaniedbana rudozłota broda, oczy miały wielkie źrenice, ale patrząc na jego wysuniętą szczękę, Tiffany

wciąż poznawała w nim złośliwego, pozbawionego skrupułów gnoja, którym zawsze był.

– Jebana ćpunka, zgłoś się.

– Co? – wydobyła z siebie.

– Powiedziałem ci, żebyś drzwi otworzyła! Jezu! – Truman zamierzył się na nią i Tiffany osłoniła głowę rękami. Zamrugała, żeby powstrzymać łzy.

– Pierdol się – rzuciła bez przekonania. Miała nadzieję, że doktor Flickinger nie usłyszał. Był w łazience. Tiffany lubiła doktora. Była z nim niezła jazda. Zawsze nazywał ją „madame" i puszczał oko, żeby dać znać, że to nie tylko dla jaj.

– Jesteś bezzębną, głuchą, jebaną ćpunką – oznajmił Truman, przeoczając fakt, że i jemu przydałaby się wizyta u chirurga szczękowego.

Kumpel Trumana wyszedł z sypialni, usiadł przy rozkładanym stole i powiedział:

– Jebana ćpunka dzwoni dom. – Zachichotał z własnego dowcipu i poruszał łokciami jak w tańcu. Tiffany nie pamiętała, jak mu na imię, ale miała nadzieję, że jego matka jest przedumna z syna, który wytatuował sobie na jabłku Adama gadającą kupę z *South Park*.

Pukanie do drzwi. Tym razem Tiffany usłyszała: dwa mocne stuknięcia.

– Mniejsza z tym! Gdzież bym śmiał cię fatygować, Tiff. Siedź se na tym swoim durnym dupsku. – Truman otworzył drzwi szarpnięciem.

Na zewnątrz stała kobieta. Miała na sobie kraciastą koszulę Trumana. Spod poły wystawała noga oliwkowego koloru.

– O co chodzi? – spytał Truman. – Czego chcesz?

Odpowiedział mu słaby głos:

– Cześć, mężczyzno.

Kumpel Trumana zawołał od stołu:

– Akwizytorka Avonu czy co?

– Słuchaj, skarbie – zwrócił się do niej Truman – chcesz, to wejdź, ale koszulę będziesz mi musiała oddać.

To naprawdę rozbawiło jego kumpla.

– Rewelacja! Tru, masz dziś urodziny czy jak?

Tiffany usłyszała szum spuszczonej wody w łazience. Doktor Flickinger załatwił, co miał do załatwienia.

Kobieta za drzwiami wyrzuciła rękę do przodu i chwyciła Trumana za szyję. Zarzęził cicho; papieros wypadł mu z ust. Podniósł dłoń i wczepił palce w nadgarstek nieznajomej. Tiffany widziała, że skóra kobiety zbielała pod jego naciskiem, jej ręka jednak wciąż trzymała mocno.

Na policzkach Trumana rozlały się czerwone plamy. Z nadgarstka kobiety, który rozorał paznokciami, ciekła krew. Nie zwalniała jednak uchwytu. Rzężenie przeszło w świst. Wolna dłoń Trumana odnalazła rękojeść noża Bowie, który nosił za pasem, i wyszarpnęła go.

Kobieta weszła do środka; drugą ręką zablokowała przedramię Trumana, zanim ten ugodził ją nożem. Pchnęła go i przyparła do przeciwległej ściany przyczepy. Stało się to tak szybko, że Tiffany nawet nie zdążyła dostrzec twarzy nieznajomej; widziała tylko przesłaniające ją splątane włosy, sięgające ramion i tak ciemne, że zdawały się mieć zielony odcień.

– Hola, hola, hola – zawołał kumpel Trumana; wymacał pistolet, schowany za rolką papierowych ręczników, i zerwał się z krzesła.

Czerwone plamy na policzkach Trumana zmieniły się w sine chmury. Wydawał dźwięk przypominający skrzypienie tenisówek na twardym drewnie, jego grymas przypominał minę smutnego klauna. Oczy uciekły mu w głąb. Tiffany widziała pulsowanie jego serca pod napiętą skórą, na lewo od mostka. Siła tej kobiety była zdumiewająca.

– Hola – powtórzył kumpel Trumana.

W tej samej chwili nieznajoma uderzyła Trumana z byka. Jego nos złamał się z trzaskiem wybuchającej petardy.

Strumień krwi chlusnął na sufit, kilka kropel wylądowało na kulistym abażurze. Ćmy wpadły w amok, obijały się o lampę, grzechocząc jak kostki lodu w szklance.

Kiedy spojrzenie Tiffany zsunęło się z powrotem na dół, zobaczyła, że kobieta obróciła Trumana w stronę stołu. Kumpel Trumana stał z pistoletem w wyciągniętej ręce. Przyczepą wstrząsnął huk, jakby kamienna kula do kręgli spadła na tor. W czole Trumana pojawił się ślad o nieregularnych kształtach. Na jego oko, niczym poszarpana

chusteczka, opadł oderwany strzęp skóry z częścią brwi. Krew zalała obwisłe usta Trumana i ściekła po brodzie. Płat skóry z brwią spoczął na policzku. Tiffany pomyślała, że wygląda jak te podobne do mopa gąbki w myjni samochodowej, które czyszczą przednią szybę.

Druga kula wyrwała dziurę w ramieniu Trumana; krew trysnęła na twarz Tiffany. Nieznajoma pchnęła martwego Trumana na jego kumpla. Stół załamał się pod ciężarem trzech ciał. Tiffany nie słyszała swoich krzyków.

Nastąpił przeskok w czasie.

Tiffany zorientowała się, że jest w kącie szafy, z płaszczem przeciwdeszczowym podciągniętym pod brodę. Seria głuchych, rytmicznych łupnięć bujała przyczepą. Tiffany sięgnęła pamięcią w odległą przeszłość, do kuchni bistro w Charlottesville, w której szef ubijał tłuczkiem cielęcinę. Te łupnięcia brzmiały tak samo, tylko były dużo, dużo głośniejsze. Rozbrzmiał zgrzyt rozdzieranego metalu i plastiku, po czym zapadła cisza. Przyczepa przestała się kołysać.

Pukanie wstrząsnęło drzwiami szafy.

– Nic ci nie jest? – To ta kobieta.

– Idź sobie! – zawyła Tiffany.

– Ten w łazience wyszedł przez okno. Raczej nie musisz się nim martwić.

– Coś ty zrobiła? – załkała Tiffany. Była zbryzgana krwią Trumana; nie chciała umrzeć.

Kobieta przez chwilę nie odpowiadała. Nie musiała. Tiffany widziała, co zrobiła, a przynajmniej zobaczyła wystarczająco dużo. I wystarczająco dużo usłyszała.

– Teraz powinnaś odpocząć – powiedziała kobieta. – Tak, odpocznij sobie.

Po kilku sekundach Tiffany, przez bariery akustyczne wytworzone hukiem wystrzałów, usłyszała trzask zamykanych drzwi wyjściowych.

Skuliła się pod płaszczem przeciwdeszczowym, raz po raz powtarzając imię Trumana.

Nauczył ją palić narkotyki. „Bierz małe machy, lepiej się poczujesz”, powiedział. Co za kłamca. Ależ z niego był drań, ależ potwór. Dlaczego więc po nim płakała? To było silniejsze od niej. Chciałaby przestać, ale nie mogła.

8

Akwizytorka Avonu, która nie była akwizytorką Avonu, ruszyła z powrotem w stronę wytwórni metamfetaminy. Z każdym krokiem smród propanu przybierał na sile, aż całkowicie wypełnił powietrze. Zostawiała za sobą ślady stóp, białe, drobne i delikatne, kształty, które pojawiały się znikąd i wydawały się uwite z puszku trojeści. Rąbek pożyczonej koszuli trzepotał wokół jej smukłych ud.

Przed szopą podniosła kartkę zaczepioną o krzak. Wielkie niebieskie litery u góry informowały: „Codzienne promocje!”. Niżej były zdjęcia dużych i małych lodówek, pralek, zmywarek, kuchenek mikrofalowych, odkurzaczy, zgniatarek do śmieci, robotów kuchennych i tak dalej. Jedna fotografia przedstawiała zadbaną młodą kobietę w dżinsach, uśmiechniętą wymownie do córki, blondynki, jak mama. Ładna dziewuszka z kolei uśmiechała się do plastikowego bobasa, którego trzymała w ramionach. Były też wielkie telewizory pokazujące mężczyzn uganiających się za piłką, mężczyzn grających w baseball, mężczyzn w samochodach wyścigowych, a także grille, obok których stali mężczyźni z olbrzymimi widelcami i olbrzymimi szczypcami. Chociaż te słowa nigdzie nie padały wprost, przesłanie płynące z gazetki reklamowej było oczywiste: kobiety pracują i wiją gniazdo, mężczyźni pieką zdobycz.

Evie zwinęła gazetkę w rulon i zaczęła strzelać palcami lewej dłoni. Przy każdym pstryknięciu skakała iskra. Za trzecim razem papier zapłonął. Evie też umiała piec. Podniosła rulon, obejrzała płomień i wrzuciła go do szopy. Odeszła szybkim krokiem przez las w stronę drogi numer 43, zwanej przez miejscowych Ball’s Hill Road.

– Pracowity dzień – powiedziała do ciem, które znów krążyły wokół niej. – Pracowity, bardzo pracowity.

Nie obejrzała się, kiedy szopa wyleciała w powietrze. Nawet nie drgnęła, gdy kawałek blachy falistej śmignął jej nad głową.

ROZDZIAŁ 2

1

Biuro szeryfa hrabstwa Dooling drzemało w porannym słońcu. Wszystkie trzy cele były puste, okratowane drzwi stały otworem, świeżo umyte podłogi pachniały środkiem odkażającym. Nikogo nie było też w jedynym pokoju przesłuchań ani w gabinecie Lili Norcross. Dyspozytorka Linny Mars miała cały posterunek dla siebie. Za jej biurkiem wisiał plakat przedstawiający groźnie wyszczerzonego, napakowanego więźnia w pomarańczowych drelichach, machającego hantlami. „Oni nigdy nie robią sobie przerwy. Ty też nie powinieneś!", przestrzegał napis na plakacie.

Linny z reguły ignorowała tę dobrą radę. Nie ćwiczyła od czasu krótkiej przygody z gimnastyką taneczną w YWCA, nie znaczy to jednak, że nie dbała o swój wygląd. W tej chwili uważnie czytała artykuł w „Marie Claire" o prawidłowym sposobie malowania oczu kredką. Żeby powstała równa linia, należało zacząć od przyciśnięcia małego palca do kości policzkowej. To umożliwiało lepszą kontrolę ruchów i zabezpieczało przed niespodziewanymi tikami. Autor tekstu radził, żeby zaczynać malowanie na środku powieki, stamtąd poprowadzić kredkę do zewnętrznego kącika oka, a resztę dorysować od strony nosa. Cienka kreska na dzień; grubsza, bardziej wyrazista – na ten ważny wieczór z facetem, z którym masz nadzieję…

Zadzwonił telefon. Nie ten zwykły – ten z czerwonym paskiem na słuchawce. Linny odłożyła czasopismo (zapisując sobie w pamięci, żeby wpaść do Rite-Aid na stoisko L'Oréal) i odebrała. Była dyspozytorką już pięć lat, wiedziała więc, że o tak wczesnej porze na

pewno chodzi o kota, który utknął na drzewie, zaginionego psa, wypadek w kuchni albo – oby nie – małe dziecko, które czymś się zadławiło. Zabawy z bronią przeważnie zaczynały się po zachodzie słońca, zwykle w Squeaky Wheel i okolicach.

– Policja, w czym mogę pomóc?

– Akwizytorka Avonu zabiła Tru! – krzyknęła kobieta w słuchawce. – Zabiła Tru i jego kumpla! Nie wiem, jak się nazywał, ale wzięła, kurwa, i przebiła jego głową ścianę! Jeszcze raz na to spojrzę, to oślepnę!

– Proszę pani, wszystkie zgłoszenia są nagrywane – uprzedziła Linny – i nie życzymy sobie głupich dowcipów.

– Jaki dowcip? To nie dowcip! Jakaś suka, cholera wie, skąd się wzięła, wlazła tu i zabiła Tru! Tru i tego drugiego! Wszędzie pełno krwi!

Kiedy bełkotliwy głos wspomniał o akwizytorce Avonu, Linny była w dziewięćdziesięciu procentach pewna, że to idiotyczny żart; teraz miała osiemdziesiąt procent pewności, że nie. Kobieta zanosiła się tak rozpaczliwym płaczem, że ledwo można ją było zrozumieć; jej wieśniacki akcent był mocny jak bimber. Gdyby Linny sama nie pochodziła z Mink Crossing w hrabstwie Kanawha, mogłaby pomyśleć, że jej rozmówczyni mówi w obcym języku.

– Jak się pani nazywa?

– Tiffany Jones, ale mniejsza o mnie! Oni nie żyją! Nie wiem, dlaczego darowała mi życie, ale co będzie, jeśli wróci?

Linny nachyliła się i obejrzała dzisiejszy grafik – kto jest na miejscu, kto na patrolu. Biuro szeryfa miało tylko dziewięć radiowozów, z czego jeden czy dwa prawie zawsze stały w warsztacie. Hrabstwo Dooling było najmniejszym hrabstwem w stanie, chociaż nie najuboższym – ten wątpliwy zaszczyt przypadł hrabstwu McDowell, położonemu na zupełnym odludziu.

– Nie wyświetlił mi się pani numer.

– Nic dziwnego. Dzwonię z jednej z komórek Tru. Są na kartę i jakoś je przerabia. On… – Nastąpiła pauza, coś trzasnęło. Potem nagle głos Tiffany Jones się oddalił i stał się wyższy. – O, mój Boże, laboratorium wyleciało w powietrze! Po co to zrobiła? Jezu kochany, Jezu kochany…

Linny już miała zapytać, o czym ona mówi, kiedy usłyszała przeciągły grzmot. Nie był szczególnie głośny, szyby nie zadrżały, ale tak, to na pewno był grzmot. Jakby odrzutowiec z Langley w Wirginii przekroczył barierę dźwięku.

Z jaką prędkością rozchodzi się dźwięk?, zastanawiała się. Chyba uczyliśmy się na to wzoru w liceum? Tyle że tamte lekcje fizyki były dawno temu. Prawie w innym życiu.

– Tiffany? Tiffany Jones? Jest pani tam?

– Przyślijcie kogoś, zanim las się zapali! – wrzasnęła Tiffany tak głośno, że Linny musiała odsunąć słuchawkę od ucha. – Kierujcie się węchem, do cholery! Wypatrujcie dymu! Wszędzie go pełno! Na Ball's Hill, za Ferry i składem drzewnym!

– Ta kobieta, którą nazwała pani akwizytorką Avonu…

Tiffany śmiała się i płakała jednocześnie.

– Och, gliny na pewno ją poznają. Jest cała we krwi Trumana Mayweathera.

– Może pani podać swój ad…

– Przyczepa nie ma adresu! Tru nie odbiera poczty! Przestań wreszcie gadać i przyślij tu kogoś! – To rzekłszy, Tiffany się rozłączyła.

Linny przemierzyła puste biuro i wyszła na poranne słońce. Sporo ludzi stało na chodnikach przy Main Street; osłaniając oczy, patrzyli na wschód, gdzie, w odległości jakichś pięciu kilometrów, wznosił się w niebo czarny dym. Prosty słup, nie wijąca się wstęga, dzięki Bogu. I tak, to było w pobliżu Składu Drzewnego Adamsa, miejsca, które Linny dobrze znała, bo najpierw jeździła tam pikapem z tatą, a potem, też pikapem, z mężem. Dziwne rzeczy fascynowały mężczyzn. Jedną z nich najwyraźniej były składy drzewne, w klasyfikacji lokujące się tuż przed monster truckami, ale daleko za targami broni.

– Co my tu mamy? – zawołał Drew T. Barry z Zakładu Ubezpieczeń Drew T. Barry'ego, stojący przed swoim biurem po drugiej stronie ulicy.

Linny wręcz widziała kolumny kwot ze składek ubezpieczeniowych przewijające się pod kopułą Drew T. Barry'ego. Nie odpowiedziała mu, tylko weszła z powrotem do biura, żeby najpierw zadzwonić po

straż pożarną (gdzie pewnie już urywały się telefony), potem do Terry'ego Coombsa i Rogera Elwaya w radiowozie numer cztery, a na koniec do szefowej. Która ani chybi spała, skoro zeszłego wieczoru zgłosiła, że jest chora.

2

Lila Norcross jednak nie spała.

Przeczytała w jakimś piśmie, pewnie czekając na czyszczenie zębów albo badanie oczu, że przeciętny człowiek zasypia w piętnaście do trzydziestu minut. Z jednym zastrzeżeniem, które dla Lili nie było żadną nowiną: trzeba mieć spokojny umysł, a ona spokojnego umysłu nie miała. Choćby dlatego że wciąż była ubrana, rozpięła tylko spodnie i brązową koszulę od munduru. Zdjęła też pas z wyposażeniem. Gryzło ją sumienie. Zwykle nie okłamywała męża w drobnych sprawach, a w tych istotnych nie okłamywała go nigdy, aż do dzisiejszego ranka.

„Kraksa na Mountain Rest Road", napisała. „Nie próbuj dzwonić, musimy ten bajzel posprzątać". Dzisiaj rano, żeby uwiarygodnić tę historyjkę, dodała nawet szczegół, który teraz kłuł ją w serce jak cierń: Koci żwirek na całej jezdni! Potrzebny był buldożer! O takim przypadku napisałby lokalny tygodnik, prawda? Tyle że Clint nigdy go nie czytał, więc może nic złego się nie stanie. Ludzie jednak na pewno rozmawialiby o tak zabawnym zdarzeniu, a jeśli nikt o tym nie wspomni, on zacznie się zastanawiać…

„Chce, żeby go złapali", powiedziała do Clinta, kiedy oglądali na HBO serial dokumentalny – *Przeklęty,* taki miał tytuł – o bogatym i ekscentrycznym seryjnym mordercy nazwiskiem Robert Durst. To było na początku drugiego z sześciu odcinków. „Inaczej nie zgodziłby się na rozmowę z tymi filmowcami". I rzeczywiście, Robert Durst właśnie wrócił za kraty. Pytanie, czy ona, Lila, chciała, żeby ją złapano?

Jeśli nie, po co w ogóle wysłała tego esemesa? W tamtej chwili tłumaczyła to tym, że gdyby zadzwonił i usłyszał dźwięki w sali

gimnastycznej szkoły średniej w Coughlin – doping kibiców, skrzypienie tenisówek na twardym drewnie, wycie syreny – naturalnie zaraz zapytałby, gdzie jest i co tam robi. Ale przecież mogłaby zaczekać, aż się nagra na pocztę głosową, nie? I oddzwonić później?

Nie wpadłam na to, stwierdziła w duchu. Byłam zdenerwowana i wzburzona.

Prawda czy fałsz? Dzisiaj rano skłaniała się ku tej drugiej opcji. Że z rozmysłem tkała misterną sieć. Że chciała sprowokować Clinta, żeby zmusił ją do przyznania się, pociągnął za nitkę, która spruje całą pajęczynę.

Naszła ją smutna refleksja, że choć przepracowała tyle lat w organach ścigania, to jej mąż, psychiatra, był znacznie lepszym materiałem na przestępcę. Było nie było, Clint umiał zachować tajemnicę.

Lila czuła się, jakby odnalazła w swoim domu całe ukryte dotąd piętro. Zupełnym przypadkiem nacisnęła wytarty ślad na ścianie i ukazały się schody. W wejściu na ten sekretny korytarz był haczyk, a na haczyku wisiała marynarka Clinta. Szok był przykry, ból jeszcze gorszy, ale jedno i drugie to nic w porównaniu ze wstydem: Jak mogłaś tego wcześniej nie zauważyć? A kiedy już się o tym dowiedziałaś, kiedy twoje oczy otworzyły się na prawdę o twoim życiu, jak mogłaś wytrzymać choć sekundę bez wykrzyczenia jej? Gdy odkrywasz, że twój mąż, mężczyzna, z którym rozmawiałaś co dzień przez przeszło piętnaście lat, ojciec twojego dziecka, ma córkę, o której nigdy słowem nie wspomniał – czy można sobie wyobrazić coś, co bardziej zasługuje na krzyk, rozdzierający gardło skowyt wściekłości i bólu? A tymczasem ona życzyła mu miłego dnia i się położyła.

W końcu zmęczenie wzięło górę, złagodziło rozpacz. Zasypiała, i dobrze. Po pięciu–sześciu godzinach snu sprawa będzie się wydawała prostsza; ona będzie bardziej opanowana; będzie w stanie z nim porozmawiać. I może Clint pomoże jej zrozumieć. W końcu na tym polegał jego zawód, nie? Na dążeniu do zrozumienia bałaganu, jaki ludzie robią w swoim życiu. Cóż, miała dla niego bałagan, że ho, ho! Koci żwirek na całej jezdni. Kocie gówno w sekretnym korytarzu,

koci żwirek i kocie gówno na boisku do koszykówki, na którym dziewczyna imieniem Sheila zmyliła obrończynię ruchem ramienia, zrobiła zwód i wbiegła pod kosz.

Łza spłynęła po policzku; Lila wypuściła powietrze, bliska ucieczki w sen.

Coś połaskotało ją w twarz. Jakby kosmyk włosów, a może zbłąkana nitka z poszwy poduszki. Odgarnęła to i zapadła nieco głębiej w otchłań prawdziwego snu. Już prawie na dobre się w niej pogrążyła, kiedy telefon, z pasa z wyposażeniem, który rzuciła na cedrową skrzynię w nogach łóżka, odtrąbił pobudkę.

Otworzyła oczy i chwiejnie podniosła się do pozycji siedzącej. Ta nitka, włos czy co to było musnęła jej policzek. Znowu ją odtrąciła. Clint, jeśli to ty…

Wzięła telefon, spojrzała na wyświetlacz. Nie Clint. Jedno słowo: „baza". Zegar wskazywał 7:57. Lila wcisnęła kciukiem „odbierz".

– Pani szeryf? Lila? Nie śpisz?

– Nie, Linny, to wszystko jest snem.

– Chyba mamy duży problem. – Linny mówiła zwięźle, bez emocji, profesjonalnie. To było godne pochwały, do jej głosu jednak wkradł się lokalny akcent, co znaczyło, że jest przejęta i zaniepokojona. Lila otworzyła oczy szeroko, jakby to miało jej pomóc szybciej oprzytomnieć. – Mamy zgłoszenie o wielokrotnym zabójstwie niedaleko Składu Drzewnego Adamsa. Niewykluczone, że zgłaszającej coś się pomyliło, kłamie albo nawet ma zwidy, ale faktycznie pieruńsko tam huknęło. Nie słyszałaś?

– Nie. Powiedz, co dokładnie wiesz.

– Mogę odtworzyć zgłoszenie…

– Po prostu powiedz.

Linny przedstawiła sytuację: naćpana, histeryzująca kobieta twierdzi, że są dwa trupy; sprawca to akwizytorka Avonu; wybuch, widoczny dym.

– I wysłałaś…

– Czwórkę. Terry'ego i Rogera. Kiedy się ostatnio meldowali, byli może kilometr stamtąd.

– W porządku. Dobrze.

– Czy zamierzasz…

– Już jadę.

3

Była w połowie drogi do radiowozu zaparkowanego przed domem, kiedy zauważyła, że Anton Dubcek gapi się na nią. Bez koszuli, z połyskującą umięśnioną klatą, w spodniach trzymających się (ledwo) na wystających biodrach, czyściciel basenów wyglądał jak na castingu do majowej karty kalendarza Chippendales. Stał na krawężniku obok swojej furgonetki, z której właśnie wyciągał jakiś przyrząd do czyszczenia niecki. Na drzwiach wozu widniał napis „Anton Czyściciel Basenów", wykonany ozdobną kursywą.

– Na co tak patrzysz?

– Na piękno poranka. – Anton obdarzył ją promiennym uśmiechem, którym pewnie zdążył już zauroczyć wszystkie barmanki w okolicy.

Lila spojrzała w dół i zorientowała się, że nie schowała koszuli do spodni ani jej nie zapięła. Prosty biały biustonosz pokazywał znacznie mniej niż jej dwa staniki od bikini (i robił to znacznie mniej efektownie), ale wiedziała, że mężczyźni mają hopla na punkcie bielizny; zobaczyć dziewczynę w staniku to dla nich jak wygrać pięć dych w kupionej za pięć dolarów zdrapce. Kurczę, Madonna swego czasu zrobiła na tym karierę. Antona wtedy pewnie jeszcze nie było na świecie, uświadomiła sobie.

– Ten tekst na którąś działa? – Zapięła guziki i wsunęła koszulę do spodni. – Kiedykolwiek?

Uśmiech stał się szerszy.

– Zdziwiłaby się pani.

Och, ależ białe zęby. Nie, wcale by się nie zdziwiła.

– Tylne drzwi są otwarte, gdybyś chciał wziąć sobie colę. Wychodząc, zamknij je na zamek, dobrze?

– Zrozumiano. – Zasalutował niedbale.

– I żadnego piwa. Pora za wczesna, nawet jak na ciebie.

– Gdzieś zawsze jest piąta po połu…

– Daruj sobie teksty piosenek, Anton. Miałam ciężką noc i jeśli nie dam rady choć trochę się zdrzemnąć, czeka mnie ciężki dzień.

– Tak jest. Tyle że, pani komendant, mam złą wiadomość: jestem prawie pewien, że wiązy za domem chorują na grafiozę. Dać pani numer znajomego speca od drzew? Lepiej nie czekać, aż to się…

– Jak chcesz, dzięki. – Lili nie obchodziły drzewa, nie tego ranka, choć nie mogła nie zauważyć, że los wyjątkowo jej dziś nie sprzyja: jej kłamstwa, tajemnice Clinta, wyczerpanie, pożar, trupy, a teraz jeszcze chore drzewa – i to wszystko przed dziewiątą. Brakowało tylko, żeby Jared złamał sobie rękę czy coś; wtedy nie pozostałoby jej nic innego, jak iść do kościoła Świętego Łukasza i ubłagać ojca Lafferty'ego, żeby wysłuchał jej spowiedzi.

Wycofała na ulicę i skierowała się Tremaine Street na wschód; na znaku stopu tylko przyhamowała, zamiast się zatrzymać – dostałaby za to mandat, gdyby nie była szeryfem. Gdy zobaczyła dym nad drogą numer 17, włączyła koguta. Syrenę zachowa na trzy przecznice, które stanowiły centrum Dooling. Niech ludzie mają trochę emocji.

4

Frank Geary stał na światłach naprzeciwko szkoły średniej i bębnił palcami w kierownicę. Jechał do domu sędziego Silvera. Stary sędzia zadzwonił na komórkę; sądząc z tonu jego głosu, był bliski załamania. Samochód rozjechał jego kotkę, Kakao.

Znajoma bezdomna kobieta, opatulona tyloma warstwami łachów, że nie było widać jej stóp, przeszła przed pikapem Franka, popychając przed sobą sklepowy wózek. Mówiła do siebie z pogodną, rozbawioną miną. Może jedna z jej osobowości planowała właśnie przyjęcie niespodziankę dla którejś z pozostałych. Czasem myślał, że fajnie byłoby być wariatem – nie takim, za jakiego miała go Elaine, lecz wariatem prawdziwym, co to gada do siebie i chodzi ulicami z wózkiem na zakupy, wyładowanym workami śmieci i górną połową męskiego manekina.

Jakie zmartwienia mogą mieć obłąkani? Pewnie zwariowane, choć snując swoje wizje życia szaleńców, Frank wyobrażał sobie, że ich rozterki są prostsze. Czy wylać sobie płatki z mlekiem na łeb czy wlać je do skrzynki pocztowej? Może dla świra to stresująca decyzja. Źródła stresu Franka były inne: nadchodzące doroczne cięcia budżetu miejskiego, które mogły oznaczać dla niego utratę pracy, to, że musiał panować nad sobą w weekendy, kiedy widywał się z córką, a także świadomość, że Elaine wciąż liczyła na to, że nad sobą nie zapanuje. Własna żona źle ci życzy, to dopiero stresująca sytuacja, co? Czy wylać płatki z mlekiem na głowę czy wlać je do skrzynki pocztowej – z takim dylematem uporałby się bez trudu. Płatki na głowę, mleko do skrzynki. Proszę. Problem rozwiązany.

Zapaliło się zielone. Frank skręcił w lewo na Malloy.

5

Po drugiej stronie ulicy bezdomna kobieta – przez wolontariuszy ze schroniska zwana Starą Essie, a dawno, dawno temu nosząca nazwisko Essie Wilcox – wepchnęła podskakujący na nierównościach wózek na niski, trawiasty wał otaczający szkolny parking. Kiedy weszła na płaszczyznę asfaltu, ruszyła ku boiskom i zaroślom za nimi; w ciepłych miesiącach były jej domem.

– Szybciej, dzieci! – rzuciła przed siebie, jakby do grzechoczącej zawartości wózka, w rzeczywistości jednak zwracała się do swej niewidzialnej rodziny, złożonej z czterech identycznych małych dziewczynek, które dreptały za nią sznurkiem jak kaczątka. – Musimy wrócić do domu na kolację, bo inaczej same skończymy jako kolacja! W kotle czarownicy! – Essie zachichotała, ale dziewczynki zaczęły kwękać i płakać. – Och, wy moje głupiutkie! – uspokoiła je. – Żartowałam tylko.

Dotarła na skraj parkingu i wepchnęła wózek na boisko futbolowe. Dziewczynki się rozweseliły. Wiedziały, że mama nie pozwoli, by stała się im krzywda. Były grzecznymi dziewczynkami.

6

Evie stała między dwiema paletami świeżo wyciętych sosnowych desek po lewej stronie Składu Drzewnego Adamsa, kiedy obok przemknął radiowóz numer cztery. W tym miejscu była osłonięta przed oczami gapiów stojących przed głównym budynkiem, ale każdy, kto przejeżdżał drogą, mógł ją zobaczyć. Policjanci nie zwrócili jednak na nią uwagi, choć wciąż miała na sobie tylko kraciastą koszulę Trumana Mayweathera; na twarzy i rękach miała natomiast jego krew. Nie odrywali oczu od słupa dymu na skraju niezwykle suchego lasu.

Terry Coombs wychylił się do przodu i pokazał palcem.

– Widzisz ten duży głaz z graffiti: „Tiffany Jones jest głupia”?

– Uhm.

– Za nim będzie droga gruntowa. Skręć na nią.

– Jesteś pewien? – spytał Roger Elway. – Dym, na oko, jest co najmniej półtora kilometra dalej.

– Zaufaj mi. Bywałem tu w czasach, kiedy Tru Mayweather robił za pełnoetatowego wioskowego donżuana i półetatowego hodowcę marychy. Widać ostatnio awansował.

Radiowozem numer cztery zarzuciło na nieutwardzonej drodze, po czym opony chwyciły grunt. Roger jechał sześćdziesiątką, podwozie samochodu, mimo mocnego zawieszenia, od czasu do czasu uderzało w ziemię. Wysokie chwasty rosnące między koleinami ocierały się o spód auta. Już czuli swąd dymu.

Terry złapał za mikrofon.

– Czwórka do bazy. Baza, tu czwórka.

– Czwórka, tu baza – odparła Linny.

– Będziemy na miejscu za trzy minuty, jeśli Roger nie wpakuje nas do rowu. – Roger na chwilę oderwał dłoń od kierownicy, żeby pokazać partnerowi środkowy palec. – Co ze strażą pożarną?

– Wysłali wszystkie cztery wozy plus karetkę. W drodze są też ochotnicy. Powinni być tuż za wami. Uważajcie na akwizytorkę Avonu.

– Akwizytorka Avonu, zrozumiałem. Bez odbioru.

Kiedy Terry odwiesił mikrofon, radiowóz podskoczył i na krótką chwilę wzbił się w powietrze. Roger ostro zahamował. Na drodze z przodu walały się kawałki falistej blachy dachowej, rozerwane pojemniki propanu, plastikowe butle i strzępy papieru, z których część się tliła. Dostrzegł czarno-biały krążek, który wyglądał jak pokrętło od kuchenki.

Jedna ściana szopy stała oparta o uschnięte drzewo, które płonęło jak bambusowa pochodnia. Paliły się też dwie sosny w pobliżu zniszczonej tylnej części rudery. I krzaki wzdłuż drogi.

Roger otworzył bagażnik, chwycił gaśnicę i zaczął pryskać poszycie białą pianą. Terry wyjął koc gaśniczy i zaczął nim okładać płonące szczątki na drodze. Zanim przyjedzie straż pożarna, musieli dopilnować, żeby ogień się nie rozprzestrzenił.

Roger wrócił z gaśnicą.

– Zużyłem całą, a tym nic nie zwojujesz. Spadajmy, zanim ktoś nas stuknie od tyłu.

– Doskonały pomysł. Zobaczmy, co słychać *chez* Mayweather.

Pot perlił się na czole Rogera, lśnił w jego przerzedzonych, jasnych włosach obciętych po wojskowemu. Zmrużył oczy.

– Sze co?

Terry lubił swojego partnera, ale nie chciałby mieć Rogera w drużynie podczas środowego quizu w Squeaky Wheel.

– Mniejsza o to. Jedź.

Roger wskoczył za kierownicę. Terry wsunął się na fotel pasażera. Kilkadziesiąt metrów za nimi zza zakrętu wypadł rozkołysany wóz strażacki, ocierający się wysokimi bokami o gałęzie drzew wzdłuż drogi. Terry pomachał do strażaków, po czym odpiął strzelbę przymocowaną pod deską rozdzielczą. Ostrożności nigdy za wiele.

Wjechali na polanę; była tu przyczepa na podnośnikach, pomalowana na okropny, turkusowy odcień kamyków w akwarium. Do wejścia prowadziły stopnie z pustaków. Przed przyczepą stał przerdzewiały F-150 – na dwóch oponach, z których już dawno uszło powietrze. Na opuszczonej tylnej klapie siedziała zgarbiona kobieta, z twarzą schowaną za mysiobrązowymi włosami. Miała na sobie dżinsy i top bez pleców. Większą część jej odsłoniętej skóry zdobiły tatuaże. Terry odczytał słowo „miłość” na jej prawym przedramieniu.

Stopy miała bose i pokryte skorupą brudu. Była skrajnie wychudzona.

– Terry… – Roger wciągnął powietrze i odkaszlnął, prawie jakby zbierało mu się na wymioty. – Tam.

To, co Terry zobaczył, przypomniało mu jarmarczną grę z lat jego dzieciństwa. Polegała na tym, że facet wystawia głowę z tekturowej figury Popeye'a, a gracz za dziesięć centów mógł rzucić w niego trzema woreczkami z kolorową wodą. Tyle że to nie kolorowa woda utworzyła kałużę pod głową sterczącą ze ściany przyczepy.

Nagle ogarnęło go potworne zmęczenie. Miał wrażenie, jakby jego ciało stało się cięższe, jakby wnętrzności zastygły w beton. Zdarzało mu się to nieraz, przeważnie w miejscach poważnych wypadków samochodowych, i wiedział, że to uczucie minie, ale dopóki trwało, było koszmarne. Kiedy spoglądasz na dziecko, wciąż przypięte do fotelika, ale rozerwane jak worek z praniem, albo gdy patrzysz na głowę sterczącą ze ściany przyczepy, o policzkach obdartych ze skóry – przychodzi chwila, że zastanawiasz się, po cholerę ten świat w ogóle został stworzony. Dobro jest towarem deficytowym, reszta to w przeważającej części zgnilizna.

Kobieta na tylnej klapie F-150 podniosła głowę. Miała bladą twarz i podkrążone oczy. Wyciągnęła ręce do radiowozu, ale natychmiast opuściła je na uda, jakby były za ciężkie. Terry pamiętał, że już ją tu kiedyś widział; była jedną z panienek Tru Mayweathera w czasach, zanim się zajął produkcją mety. Może wciąż tu tkwiła, bo dostała awans na jego pseudonarzeczoną – jeśli można to nazwać awansem.

Wysiadł. Kobieta zsunęła się z tylnej klapy; upadłaby na kolana, gdyby Terry nie złapał jej wpół. Poczuł pod palcami zimną skórę i wystające żebra. Z bliska zobaczył, że niektóre z jej tatuaży tak naprawdę są sińcami. Przywarła do niego i zaczęła płakać.

– Już dobrze – powiedział. – Już dobrze, dziecko. Nic ci nie grozi. Cokolwiek się stało, już po wszystkim.

W innych okolicznościach uznałby jedyną ocalałą osobę za głównego podejrzanego, a gadanie o akwizytorce Avonu – za mydlenie oczu, ale wiedział, że żywy kościotrup w jego ramionach za nic nie zdołałby przebić ściany przyczepy głową tego faceta. Terry nie miał pojęcia, jak długo Tiffany umilała sobie życie produktami

Trumana, ale sądził, że w swoim obecnym stanie ledwo miałaby siłę wydmuchać nos.

Roger podszedł niespiesznym krokiem, z dziwnie wesołą miną.

– To pani wezwała policję?

– Tak…

Wyjął notes.

– Nazwisko?

– To Tiffany Jones – powiedział Terry. – Dobrze mówię, prawda, Tiff?

– Mhm. Kiedyś pana widziałam. Jak pojechałam odebrać Tru z aresztu. Pamiętam. Był pan miły.

– A ten tam to kto? – Roger wskazał notesem sterczącą głowę. Jego gest był niedbały, jakby chodziło o lokalną atrakcję turystyczną, a nie o zmasakrowaną istotę ludzką. Ta beztroska przerażała, ale Terry zazdrościł kumplowi. Gdyby sam umiał się oswajać z takimi obrazami, pewnie byłby szczęśliwszym człowiekiem, a może i lepszym policjantem.

– Nie wiem – odparła Tiffany. – Kumpel Trume'a. Mówił, że przyjechał w zeszłym tygodniu z Arkansas. A może dwa tygodnie temu.

Od strony drogi dobiegały okrzyki strażaków i szum wody – pewnie z cysterny; miejskiego wodociągu tu nie doprowadzono. Terry zauważył, że w powietrzu, na tle bielejącego dymu, na chwilę zawisła tęcza.

Delikatnie ujął Tiffany za patykowate nadgarstki i spojrzał w jej przekrwione oczy.

– Co wiesz o kobiecie, która to zrobiła? Powiedziałaś dyspozytorce, że to była kobieta.

– Kumpel Tru nazwał ją akwizytorką Avonu, ale ona wcale nie była z Avonu. – Odrobina emocji przebiła się przez szok. Tiffany wyprostowała się i rozejrzała z lękiem. – Poszła sobie, co? Oby.

– Jak wyglądała?

Tiffany pokręciła głową.

– Nie pamiętam. Ale ukradła Tru koszulę. Pod spodem chyba była goła.

Powieki jej opadły i zaraz powoli się podniosły. Terry znał te objawy. Najpierw trauma spowodowana niespodziewanym, gwałtownym wydarzeniem, potem histeryczny telefon na policję, teraz szok powypadkowy. Do tego trzeba dodać narkotyki, nie wiadomo jakie, które nie wiadomo jak długo brała. Windą w górę, windą w dół. Kto wie, może Truman Mayweather, Tiffany i koleżka Trumana Mayweathera z Arkansas urządzili tu sobie trzydniówkę.

– Tiff, poczekaj w radiowozie. Ja i mój partner się rozejrzymy. Usiądź tu, z tyłu. Odpocznij.

– Dobranoc, mała – rzucił Roger z szerokim uśmiechem. Terry przez chwilę czuł nieodpartą pokusę, żeby skopać mu ten wieśniacki tyłek.

Zamiast tego otworzył przed Tiffany tylne drzwi radiowozu; to przywołało kolejne wspomnienie: limuzyny, którą wynajął, żeby zabrać Mary Jean Stukey na studniówkę. Ona w różowej sukience bez ramiączek, z bufiastymi rękawami i bukiecikiem od niego, przypiętym przy nadgarstku – on w wypożyczonym smokingu. To były złote czasy, czasy sprzed trupa ładnej dziewczyny z wywróconymi białkami oczu i ziejącą w piersi dziurą od postrzału ze strzelby, sprzed mężczyzny, który powiesił się na swoim strychu. I sprzed uzależnionej od metamfetaminy prostytutki o zapadniętych oczach, która wyglądała, jakby zostało jej góra pół roku życia.

Za stary jestem na tę robotę, pomyślał. Czas przejść na emeryturę.

Terry miał czterdzieści pięć lat.

7

Choć Lila nigdy nikogo nie postrzeliła, pięć razy zdarzyło się jej wyciągnąć pistolet podczas akcji, a raz nawet wypaliła w powietrze (i aj-waj, ileż potem było roboty papierkowej!). Podobnie jak Terry, Roger i reszta jej małego zastępu rycerzy w niebieskich mundurach uprzątała krwawe skutki wielu niefortunnych wypadków na drogach hrabstwa (zazwyczaj czując wiszący jeszcze w powietrzu zapach alkoholu). Uchylała się przed latającymi przedmiotami, przerywała

rodzinne spory, które przeszły w rękoczyny, robiła sztuczne oddychanie, unieruchamiała złamane ręce i nogi. Razem ze swoimi ludźmi znalazła dwójkę dzieci, które zabłądziły w lesie, i przy paru okazjach została obrzygana. Wiele doświadczyła w ciągu czternastu lat służby, ale jeszcze nigdy nie widziała, żeby środkiem głównej drogi hrabstwa Dooling szła zakrwawiona kobieta w samej flanelowej koszuli. To było coś nowego.

Wjechała na Ball's Hill, prując sto dwadzieścia na godzinę, i wtedy ją zobaczyła – niecałe trzydzieści metrów przed maską radiowozu. Nieznajoma nie próbowała uskoczyć na bok, ale w tym ułamku sekundy Lila zdążyła zauważyć, że nie miała miny jelenia oślepionego światłami samochodu – nie, jej twarz wyrażała spokój, a nawet zainteresowanie. I jeszcze jedno: była piękna.

Lila nie wyhamowałaby w porę nawet po dobrze przespanej nocy – nie przy tej prędkości. Przekręciła więc kierownicę w prawo, omijając kobietę o centymetry, a właściwie nawet jej nie omijając; usłyszała głuche „łup" i nagle w bocznym lusterku zobaczyła własne odbicie zamiast drogi z tyłu.

Teraz musiała się siłować z radiowozem, przemienionym w rozpędzony pocisk, nad którym ledwo panowała. Staranowała skrzynkę pocztową, która wyleciała w górę; słupek zawirował jak buława podrzucona przez mażoretkę, zanim runął na ziemię. Spod tylnych kół wzbiły się kłęby kurzu i Lila czuła, że ciężki radiowóz ściąga do rowu. Wiedziała, że hamowanie nie uratowałoby jej, dodała więc gazu i samochód wystrzelił naprzód prawym poboczem. Żwir stukał w podwozie. Jechała w mocnym przechyle. Jeśli zsunie się do rowu, czeka ją dachowanie, a wtedy prawdopodobieństwo, że doczeka chwili, kiedy Jared skończy szkołę średnią, dramatycznie się zmniejszy.

Delikatnie odbiła kierownicą w lewo. Samochód wpadł w poślizg, w końcu jednak chwycił podłoże i z rykiem wrócił na jezdnię. Czując pod kołami asfalt, ostro zahamowała. Maska radiowozu gwałtownie opadła, a w ciało Lili wbił się pas bezpieczeństwa z taką siłą, że oczy wyszły jej z orbit.

Zatrzymała się na końcu długiego śladu palonej gumy. Serce waliło jej jak młotem. Mroczki latały przed oczami. Zmusiła się, żeby

oddychać. Kiedy nabrała pewności, że nie zemdleje, spojrzała w lusterko wsteczne.

Kobieta nie uciekła do lasu ani nie dała nogi w górę Ball's Hill, ku odchodzącej w bok drodze na Ball Creek Ferry. Stała nieruchomo i patrzyła przez ramię. Ten rzut oka w tył, w połączeniu z jej nagą pupą wystającą spod koszuli, był dziwnie kokieteryjny; wyglądała jak roznegliżowana modelka z kalendarza Alberto Vargasa.

Oddychając szybko, z metalicznym smakiem zużytej adrenaliny w ustach, Lila wjechała tyłem na nieutwardzony podjazd schludnego parterowego domku. Na ganku stała kobieta z małym dzieckiem w ramionach. Lila opuściła szybę.

– Proszę wrócić do środka – powiedziała. – Natychmiast.

Nie czekając, aż kobieta wykona polecenie, wrzuciła bieg i potoczyła się Ball's Hill z powrotem pod górę, w stronę nieznajomej. Ostrożnie ominęła zdemolowaną skrzynkę pocztową. Słyszała, jak wgięty przedni zderzak szoruje o jedno z kół.

Zaburczało radio. To był Terry Coombs.

– Jedynka, tu czwórka. Jesteś tam, Lila? Zgłoś się. Jesteśmy za składem drzewnym, mamy dwóch martwych producentów metamfetaminy.

Złapała za mikrofon.

– Nie teraz, Ter – powiedziała i rzuciła go na siedzenie.

Zatrzymała się przed nieznajomą i rozpięła kaburę. Wysiadając z radiowozu, wyciągnęła broń służbową po raz szósty w czasie swej służby w organach ścigania. Kiedy spojrzała na długie, opalone nogi i wydatne piersi, wróciła pamięcią na swój podjazd – to naprawdę było raptem kwadrans temu? „Na co tak patrzysz?"; „Na piękno poranka".

To kobieta stojąca teraz na środku Dooling Town Road była pięknem poranka. Lila w życiu nie widziała nikogo, kto bardziej zasługiwałby na to miano.

– Ręce do góry. Podnieś je, już!

Akwizytorka Avonu, vel Piękno Poranka, podniosła ręce.

– Wiesz, jak mało brakowało, żebyś zginęła?

Uśmiech rozświetlił twarz Evie.

– Nie tak znów mało – odparła. – Od początku do końca miałaś wszystko pod kontrolą, Lila.

8

Starzec mówił lekko drżącym głosem:

– Wolałem jej nie ruszać.

Brunatna, pręgowana kotka leżała w trawie. Sędzia Oscar Silver klęczał obok niej na ziemi, brudząc kolana swoich spodni koloru khaki. Kotka, wyciągnięta na boku, wyglądała prawie normalnie, pomijając przednią prawą łapę, która zwisała bezwładnie, wykrzywiona w groteskowe V. Z bliska widać było też zawijasy krwi w jej ślepiach, rozlewające się wokół źrenic. Oddychała płytko i mruczała, jakby wiedziona sprzecznym z intuicją instynktem rannych kotów.

Frank kucnął. Nasunął okulary przeciwsłoneczne na czubek głowy i zmrużył oczy od mocnego, porannego słońca.

– Przykro mi, panie sędzio.

Po Silverze znać było, że płakał. Frank patrzył na niego z żalem, choć zaskoczony nie był: ludzie kochali swoje zwierzaki – często z otwartością, na jaką nie mogli sobie pozwolić wobec bliźnich.

Jak nazwałby to psychiatra? Przeniesieniem? Cóż, miłość jest trudna. Frank wiedział jedno: w życiu trzeba szczególnie uważać na ludzi, którzy nie potrafią pokochać choćby psa lub kota. I na samego siebie, oczywiście. Trzeba panować nad sobą.

– Dziękuję, że tak szybko przyjechałeś – powiedział sędzia Silver.

– To moja praca – odparł Frank, choć nie była to prawda. Jako jedyny w hrabstwie etatowy pracownik odpowiedzialny za odławianie bezpańskich zwierząt przeważnie miał do czynienia z szopami praczami i bezdomnymi psami, a nie z umierającymi kotami. Oscara Silvera uważał jednak za swojego przyjaciela, a przynajmniej kogoś w tym rodzaju. Zanim szwankujące nerki zmusiły sędziego do abstynencji, Frank wychylił z nim niejedno piwo w Squeaky Wheel. I to właśnie Oscar Silver dał mu namiary na adwokata od rozwodów

i poradził, żeby się z nim umówił. Silver zasugerował też, by wybrał się do „poradni czy gdzieś", kiedy Frank przyznał, że czasem zwraca się do żony i córki podniesionym głosem (przezornie nie wspomniał o tym, że przebił pięścią ścianę kuchni).

Frank nie spotkał się ani z adwokatem, ani z terapeutą. Co się tyczy tego pierwszego, wciąż wierzył, że może się pojednać z Elaine. Co do drugiego uważał, że trzymałby nerwy na wodzy bez większego wysiłku, gdyby niektórzy ludzie (na przykład Elaine, ale i Nana, jego córka) zrozumieli, że wszystko, co robi, robi dla ich dobra.

– Mam ją od kociaka – mówił teraz sędzia Silver. – Znalazłem ją za garażem. To było zaraz po śmierci Olivii. Wiem, że to idiotycznie zabrzmi, ale pomyślałem, że to… znak. – Delikatnie powiódł palcem wskazującym po zagłębieniu między uszami kotki. Dalej mruczała, ale nie wyciągnęła szyi w stronę palca, nie zareagowała. Jej przekrwione ślepia patrzyły nieruchomo na zieloną trawę.

– Może tak było – stwierdził Frank.

– To mój wnuk nazwał ją Kakao. – Sędzia pokręcił głową i wykrzywił usta. – To był cholerny mercedes. Widziałem go. Właśnie wyszedłem po gazetę. Gnał chyba setką. Przecież tu ludzie mieszkają! Jaki można mieć powód, żeby tak się spieszyć?

– Żadnego. Jakiego koloru był ten mercedes? – Frank myślał o czymś, co Nana powiedziała mu przed kilkoma miesiącami. Rozwożąc gazety, zauważyła, że facet, który mieszka w jednym z dużych domów na szczycie Briar, ma jakąś fajną brykę. Zielonego mercedesa, chyba tak mówiła.

– Zielonego – odparł sędzia Silver. – Tak, był zielony.

Mruczenie kotki przeszło w bulgot. Jej bok coraz szybciej podnosił się i opadał. Naprawdę cierpiała.

Frank położył dłoń na ramieniu Silvera i ścisnął.

– Lepiej już to zrobię.

Sędzia odchrząknął, ale chyba nie wierzył, że zdoła wydobyć z siebie głos. Skinął tylko głową.

Frank rozpiął skórzany futerał, który zawierał strzykawkę i dwie fiolki.

– Po pierwszej się odpręży. – Wbił igłę w fiolkę, napełnił zbiorniczek. – Po drugiej zaśnie.

9

Długo przed przedstawionymi tu wydarzeniami hrabstwa McDowell, Bridger i Dooling wystąpiły z inicjatywą przerobienia nieczynnego zakładu poprawczego Ash Mountain na bardzo potrzebne więzienie dla kobiet. Władze stanu zapłaciły za ziemię i budynki, a nazwę nadano na cześć hrabstwa – Dooling – które wyłożyło gros pieniędzy na remont. Otwarcie nastąpiło w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym roku; personel stanowili miejscowi, którzy mieli kłopoty ze znalezieniem pracy. W owym czasie zakład w Dooling uchodził za „nowoczesny", nazywano go też „wzorcowym zakładem karnym dla kobiet". Bardziej przypominał szkołę średnią na przedmieściu niż więzienie – jeśli pominąć zwoje drutu kolczastego wieńczące siatkę otaczającą teren.

Blisko pół wieku później wciąż wyglądał jak szkoła średnia, tyle że podupadła w wyniku kurczącej się bazy podatkowej. Budynki zaczynały się sypać. Farba (podobno zawierająca ołów) odłaziła ze ścian. Rury przeciekały. Kotłownia była mocno przestarzała i w środku zimy tylko w administracji udawało się utrzymać temperaturę na poziomie powyżej dwudziestu stopni. Latem więźniarki żywcem smażyły się w celach. Oświetlenie było słabe, wiekowa instalacja elektryczna w każdej chwili mogła wysiąść, a niezbędny system monitoringu wewnętrznego padał co najmniej raz w miesiącu.

Był za to piękny spacerniak z bieżnią lekkoatletyczną, była sala gimnastyczna z boiskiem koszykarskim, poza tym boisko do shuffle-board, miniboisko do softballa i ogródek warzywny, sąsiadujący ze skrzydłem administracji. To właśnie tam, blisko bujnie rosnącego grochu i kukurydzy, naczelnik Janice Coates siedziała na niebieskiej plastikowej skrzynce po mleku, paliła pall malla bez filtra i patrzyła na nadjeżdżającego Clinta Norcrossa. Na ziemi leżała jej dziergana beżowa torebka.

Norcross pokazał legitymację (niepotrzebnie, bo wszyscy go znali, ale przepis to przepis) i brama główna rozsunęła się z łoskotem. Wjechał w martwą przestrzeń i zaczekał, aż brama się zamknie.

Kiedy oficer dyżurna – tego ranka była to Millie Olson – zobaczyła na tablicy zielone światełko wskazujące, że brama główna jest zamknięta, otworzyła tę wewnętrzną. Clint powoli ruszył swoim priusem wzdłuż ogrodzenia na parking dla pracowników, też zamknięty bramą. Tabliczka ostrzegała „Miej się na baczności! Pamiętaj, żeby zamknąć samochód!”.

Dwie minuty później stał obok naczelnik Coates, oparty ramieniem o stary mur, z twarzą zwróconą ku porannemu słońcu. To, co nastąpiło potem, przypominało rozmowę kapłana z wiernymi w kościele fundamentalistycznym.

– Dzień dobry, doktorze Norcross.

– Dzień dobry, naczelnik Coates.

– Gotów na następny dzień we wspaniałym świecie systemu penitencjarnego?

– Właściwe pytanie brzmi: czy wspaniały świat systemu penitencjarnego jest gotowy na mnie? Oto, jak jestem gotowy. A ty, Janice?

Lekko wzruszyła ramionami i wydmuchała dym.

– Jak zwykle.

Ruchem głowy wskazał papierosa.

– Myślałem, że rzuciłaś.

– Bo rzuciłam. Tak bardzo lubię rzucać palenie, że robię to raz w tygodniu. Czasem dwa razy.

– Cisza i spokój?

– Rano tak. W nocy mieliśmy mały kryzys.

– Nie mów mi, niech zgadnę. Angel Fitzroy.

– Nie. Kitty McDavid.

Clint uniósł brwi.

– Tego się nie spodziewałem. Opowiadaj.

– Według jej współlokatorki… to Claudia Stephenson, ta, którą reszta pań nazywa…

– Petardą – dopowiedział Clint. – Te implanty to jej chluba. Ona zaczęła?

Nie miał nic do Claudii, ale liczył, że wina leży po jej stronie. Lekarze też ludzie – jednych lubią bardziej, drugich mniej, a Kitty McDavid należała do jego ulubionych pacjentek. Kiedy ją przywieźli,

było z nią kiepsko – samookaleczanie, huśtawka nastrojów, silne stany lękowe. Od tego czasu poczynili duże postępy. Środki przeciwdepresyjne zrobiły swoje, a Clint chciał wierzyć, że i prowadzone przez niego sesje terapeutyczne trochę pomogły. Kitty, jak on sam, była produktem systemu opieki zastępczej w regionie Appalachów. Na jednym z pierwszych spotkań zapytała go z przekąsem, czy jako ważniak z przedmieścia w ogóle może sobie wyobrazić, jak to jest nie mieć domu ani rodziny.

Clint nie wahał się ani chwili:

– Nie wiem, jak to było z tobą, Kitty, ale ja czułem się jak zwierzę. Zawsze byłem albo drapieżnikiem, albo ofiarą.

Wbiła w niego szeroko otwarte oczy.

– Pan…?

– Tak, ja – odparł. Mając na myśli: ja też.

Ostatnimi czasy do zachowania Kitty nie było prawie żadnych zastrzeżeń, a co więcej – zgodziła się zeznawać w sprawie braci Grinerów, ważnych handlarzy narkotykami, których ostatniej zimy zapuszkował nie kto inny, jak komendant policji w Dooling, Lila Norcross. Jeśli Lowell i Maynard Grinerowie trafią za kraty, Kitty zyska cień szansy na zwolnienie warunkowe. Gdyby je dostała, zdaniem Clinta mogłaby sobie całkiem dobrze poradzić w życiu. Teraz już rozumiała, że choć sama musi znaleźć swoje miejsce na świecie, nie dokona tego bez stałego wsparcia ze strony lekarzy i swej społeczności. Uważał, że Kitty już jest dość silna, żeby o to wsparcie poprosić, żeby o nie walczyć – a z dnia na dzień stawała się coraz silniejsza.

Janice Coates nie podzielała jego optymizmu. W jej przekonaniu, kiedy ma się do czynienia z przestępcami, lepiej nie robić sobie zbyt wielkich nadziei. Może dlatego to ona była naczelnikiem – przewodnikiem stada – a on tylko więziennym psychiatrą.

– Stephenson twierdzi, że McDavid ją obudziła – powiedziała teraz Janice. – Najpierw mówiła przez sen, potem krzyczała i wreszcie zaczęła wrzeszczeć. Coś o tym, że nadchodzi Czarny Anioł. A może Czarna Królowa. Wszystko jest w raporcie. „Z pajęczynami we włosach i śmiercią w koniuszkach palców". Byłby z tego niezły serial,

co? W sam raz dla Sci-Fi Universal. – Parsknęła niewesołym śmiechem. – Na pewno miałbyś z nią pole do popisu, Clint.

– Raczej film – stwierdził. – Może oglądała coś podobnego w dzieciństwie.

Coates przewróciła oczami.

– Że zacytuję Ronniego Reagana, ty znowu swoje.

– Co? Nie wierzysz w traumy z dzieciństwa?

– Wierzę w ciche, spokojne więzienie i w nic poza tym. Przenieśli ją do Skrzydła A. Świrlandia wita.

– To politycznie niepoprawne, pani naczelnik. Preferowane jest określenie Wariatkowo. Czy musieli ją posadzić na krześle bezpieczeństwa? – Chociaż czasem było to konieczne, Clint nie znosił krzesła bezpieczeństwa; wyglądało jak fotel kubełkowy z samochodu sportowego przerobiony na narzędzie tortur.

– Nie, podali jej żółtą pigułkę i to ją uciszyło. Nie wiem którą i mało mnie to obchodzi, ale na pewno jest o tym w raporcie, jeśli chce ci się go czytać.

Leki dostępne w Dooling dzieliły się na trzy kategorie: czerwone, które mógł wydawać tylko personel medyczny; żółte, wydzielane przez strażników; i zielone, które osadzone mogły trzymać w celach, o ile nie przebywały w Skrzydle C i nie dostały nagany za złe zachowanie.

– W porządku – powiedział Clint.

– W tej chwili ta twoja McDavid odsypia nockę…

– Nie jest moja…

– I na tym kończymy poranne wiadomości. – Janice ziewnęła, zgasiła papierosa na cegle i wrzuciła niedopałek pod skrzynkę, jakby liczyła, że jeśli nie będzie go widać, to zniknie.

– Nie daję ci zasnąć, Janice?

– To nie twoja wina. Na kolację jadłam meksykańskie żarcie. Całą noc mnie goniło. Prawdą jest, co mówią: to, co wychodzi, jest podejrzanie podobne do tego, co weszło.

– Za dużo informacji, pani naczelnik.

– Jesteś lekarzem, wytrzymasz. Zajrzysz do McDavid?

– Na pewno.

– Chcesz poznać moją teorię? Powiem ci: była molestowana we wczesnym dzieciństwie przez kobietę, która mówiła o sobie Czarna Królowa. Co o tym sądzisz?

– Możliwe – powiedział Clint, nie dając się złapać na haczyk.

– Możliwe? – Coates pokręciła głową. – Clint, po co analizować ich dzieciństwo, skoro nigdy nie przestały być dziećmi? W gruncie rzeczy dlatego większość z nich tu jest: przez dziecinne zachowanie pierwszego stopnia.

Słuchając jej, Clint pomyślał o Jeanette Sorley – latami maltretowana przez męża, w końcu nie wytrzymała i dźgnęła go śrubokrętem, po czym patrzyła, jak się wykrwawia na śmierć. Gdyby tak nie postąpiła, Damian Sorley prędzej czy później zabiłby ją. Clint nie miał co do tego wątpliwości. Jego zdaniem nie było to dziecinne zachowanie, tylko instynkt samozachowawczy. Gdyby jednak powiedział to naczelnik Coates, nie chciałaby go słuchać: pod tym względem należała do starej szkoły. Lepiej po prostu zakończyć ten poranny rytuał.

– A zatem, pani naczelnik, zaczynamy kolejny dzień życia w więzieniu kobiecym nad Kanałem Królewskim.

Dźwignęła torebkę z ziemi, wstała i otrzepała siedzenie spodni od munduru.

– Kanału nie ma, ale niedaleko jest Ball’s Ferry, więc jasne, niechaj ten dzień się zacznie.

Pierwszego dnia epidemii śpiączki weszli razem do budynku, przypinając identyfikatory do swoich koszul.

10

Magda Dubcek, matka pucującego baseny przystojniaka zwanego Antonem Czyścicielem Basenów (założył spółkę, więc czeki wypisujcie na Anton Czyściciel Basenów sp. z o.o.), weszła chwiejnym krokiem do salonu bliźniaka, który dzieliła z synem. W jednej dłoni trzymała swoją laskę, w drugiej poranne małe co

nieco na wzmocnienie. Z pierdnięciem i westchnieniem zwaliła się w głęboki fotel, po czym włączyła telewizor.

Normalnie o tej porze oglądałaby drugą godzinę *Dzień Dobry, Wheeling*, ale tego ranka wybrała News America. Była pewna wiadomość z ostatniej chwili, która ją interesowała – to dobrze – i znała jedną z omawiających temat korespondentek, a to jeszcze lepiej. Michaela Coates dziś nosiła nazwisko Michaela Morgan, ale dla Magdy zawsze była i zawsze będzie małą Mickey, którą przed laty tyle razy się opiekowała pod nieobecność matki. W tamtych czasach Jan Coates była szeregową strażniczką w kobiecym więzieniu na południowym krańcu miasta, owdowiałą samotną mamą, ledwo wiążącą koniec z końcem. Teraz była naczelniczką, szefem całego interesu, a jej córka Mickey została znaną w całym kraju korespondentką waszyngtońską, słynącą z trudnych pytań i krótkich spódniczek. Obie panie Coates naprawdę wyszły na ludzi. Magda była z nich dumna, ale czasem było jej smutno, że Mickey nie dzwoni ani nie pisze, a Janice nigdy nie wpada na pogaduchy – cóż, miały mnóstwo pracy. Magda nie łudziła się, że jest w stanie zrozumieć presję, pod jaką na co dzień funkcjonują.

Spikerem tego ranka był George Alderson. W okularach, ze zgarbionymi ramionami i przerzedzonymi włosami, nie wyglądał jak ci faceci o urodzie amantów filmowych, którzy zwykle zasiadali za wielkimi biurkami i odczytywali najnowsze wiadomości. Kojarzył jej się raczej z pracownikiem prosektorium. Poza tym miał dość niefortunny głos jak na osobowość telewizyjną. Trochę kwaczący. Cóż, Magda sądziła, że News America nie bez powodu ma niższą oglądalność niż Fox i CNN. Nie mogła się doczekać, kiedy Michaela przeniesie się do jednej z tych stacji. Wtedy ona, Magda, nie będzie musiała już znosić Aldersona.

– Dzisiejszego ranka relacjonujemy na bieżąco wydarzenia, które zaczęły się w Australii – powiedział Alderson. Jego mina miała wyrażać troskę połączoną ze sceptycyzmem, w rzeczywistości jednak wyglądał, jakby męczyło go zaparcie.

Przeszedłbyś lepiej na emeryturę i łysiał w zaciszu domowym, pomyślała Magda i w toaście uniosła pierwszy tego dnia rum z colą.

Idź, wypoleruj sobie czerep woskiem samochodowym, George, i ustąp miejsca mojej Michaeli.

– Służby medyczne na hawajskiej wyspie Oahu donoszą, że epidemia choroby, którą niektórzy nazywają azjatyckim zespołem nagłego omdlenia, a inni australijską grypą usypiającą, stale się rozprzestrzenia. Skąd rzeczywiście przywędrowała, pozostaje nieustalone, wiadomo tylko, że do tej pory jedynymi ofiarami są kobiety. Właśnie otrzymaliśmy informację o pierwszych potwierdzonych przypadkach na terenie kontynentalnych Stanów Zjednoczonych, najpierw w Kalifornii, potem w Kolorado, a teraz w Karolinach. Szczegóły przedstawi Michaela Morgan.

– Mickey! – krzyknęła Magda i wzniosła kolejny toast do telewizora (przy okazji wylewając część drinka na rękaw swojego zapinanego swetra). Tego ranka w jej głosie słychać było zaledwie ślad czeskiego akcentu, ale kiedy o piątej wróci Anton, będzie brzmiała tak, jakby dopiero przypłynęła zza oceanu, a nie mieszkała w tych stronach prawie czterdzieści lat. – Mała Mickey Coates! Ganiałam twój goły zadek po salonie twojej mamuśki i obie zrywałyśmy boki ze śmiechu! Zmieniałam ci osrane pieluchy, mała świrusko, i patrzcie państwo, co z ciebie wyrosło!

Michaela Morgan z domu Coates, ubrana w bluzkę bez rękawów i jedną ze swoich nieodłącznych krótkich spódniczek, stała przed rozległym kompleksem budynków pomalowanych na czerwień stodoły. Zdaniem Magdy te krótkie spódniczki świetnie Michaeli służyły. Nawet ważnego polityka zauroczy kawałek gołego uda – a w stanie zauroczenia prawda czasem sama się wyrywa z ich załganych gąb. Nie zawsze, oczywiście, ale czasami. W kwestii nowego nosa Michaeli Magda miała mieszane uczucia. Tęskniła za zadziornym kinolkiem, który zdobił twarz dziewczyny w dzieciństwie; z tym nowym, eleganckim Mickey w pewnym sensie nie była już podobna do Mickey. Chociaż wyglądała fantastycznie, trzeba przyznać! Oczu nie szło od niej oderwać.

– Jestem w hospicjum Dłonie Miłości w Georgetown, gdzie we wczesnych godzinach rannych odnotowano pierwsze przypadki choroby zwanej przez niektórych australijską grypą usypiającą. W placówce przebywa prawie stu pacjentów, większość w podeszłym

wieku, przeszło połowa z nich to kobiety. Kierownictwo hospicjum odmawia komentarza, ale dosłownie kilka minut temu rozmawiałam z sanitariuszem i choć nie miał wiele do powiedzenia, to, co od niego usłyszałam, budzi niepokój. Zgodził się na wywiad pod warunkiem zachowania anonimowości. Oto ta rozmowa.

Odtworzony wywiad rzeczywiście był krótki – ot, wymiana kilku zdań. Michaela rozmawiała z mężczyzną w białym stroju szpitalnym. Jego twarz była zamazana, elektronicznie zniekształcony głos brzmiał jak wypowiedź ponurego wodza kosmitów z filmu science fiction.

– Co się tam dzieje? – spytała Michaela. – Może nam pan powiedzieć?

– Większość kobiet śpi i nie mogą się obudzić – odparł sanitariusz głosem wodza kosmitów. – Tak samo jak na Hawajach.

– A mężczyźni…?

– Mają się świetnie. Wstali i jedzą śniadanie.

– Z Hawajów płyną doniesienia o… naroślach na twarzach śpiących kobiet. Czy tutaj jest podobnie?

– Ja… chyba nie powinienem o tym mówić.

– Proszę. – Michaela zatrzepotała rzęsami. – Ludzie się niepokoją.

– Tak jest! – wychrypiała Magda, wzniosła drinka, znów oblewając sobie sweter. – Więcej seksu! Jak już zachcą zamiesić ci ciasto, wszystko z nich wyciągniesz!

– Nie narośle w sensie nowotwory – rozległ się głos wodza. – Wygląda to raczej, jakby były oblepione watą. Muszę już iść.

– Jeszcze tylko jedno pytanie…

– Naprawdę muszę iść. Ale… to się rozrasta. Ta wata. Jest… trochę ohydna.

Stacja wróciła do relacji na żywo.

– Niepokojące informacje z pierwszej ręki… o ile są prawdziwe. Oddaję głos do studia.

Teraz, kiedy już zobaczyła Mickey, Magda wyłączyła telewizor. Miała nadzieję, że cała ta sprawa to tylko kaczka dziennikarska. Pewnie kolejny fałszywy alarm, jak pluskwa milenijna czy ten SARS, ale mimo wszystko sama myśl, że coś nie tylko usypia kobiety, lecz sprawia, że obrastają jakimś paskudztwem… jak powiedziała Mickey,

budzi niepokój. Będzie zadowolona, kiedy wróci Anton. Czuła się samotna, mając tylko telewizor do towarzystwa, ale nie zwykła narzekać. Ani myślała przysparzać zmartwień ciężko pracującemu synkowi, co to, to nie. Pożyczyła mu pieniądze na otwarcie interesu, ale to on go rozkręcił.

A teraz może jeszcze jeden drink, mały, maluśki drynio, a potem drzemeczka.

ROZDZIAŁ 3

1

Lila owinęła skutą kobietę kocem ratowniczym, który trzymała w bagażniku radiowozu, i pomogła jej wsiąść na tylne siedzenie. Jednocześnie poinformowała ją o przysługujących jej prawach. Kobieta, teraz już milcząca, z przygasłym, rozmarzonym uśmiechem, nie stawiała oporu, kiedy Lila chwyciła ją za ramię i wsadziła do samochodu. Aresztowanie dokonane, podejrzana obezwładniona w niecałe pięć minut; kurz wzbity oponami radiowozu jeszcze opadał na ziemię, gdy Lila ruszyła do drzwi kierowcy.

– Jak przestawić litery w słowie „ćma", powstanie „mać", czyli matka.

Lila właśnie zawracała wóz w dół Ball's Hill, w stronę miasta, kiedy zatrzymana podzieliła się z nią tym spostrzeżeniem. Ich spojrzenia spotkały się w lusterku wstecznym. Głos nieznajomej był łagodny, ale niespecjalnie kobiecy. Snuł się leniwie. Lila nie była pewna, czy kobieta mówi do niej czy do siebie.

Narkotyki, pomyślała Lila. Stawiam na PCP. Albo ketaminę.

– Wie pani, jak mam na imię – powiedziała. – Skąd więc się znamy?

Były trzy możliwości: komitet rodzicielski (mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe), gazeta albo po prostu Lila aresztowała ją w którymś momencie swojej czternastoletniej służby i tego nie pamiętała. Drzwi numer trzy wydawały się najbardziej obiecujące.

– Wszyscy mnie znają – powiedziała Evie. – Można rzec, że mam w sobie to coś. – Kajdanki brzęknęły, kiedy uniosła ramię, żeby podrapać się w brodę. – Tak można rzec. Mam w sobie To i mam

w sobie Coś. Ja, ja sama, ja jedna. Ojciec, Syn i Ewa Święta. Ewa, czyli dająca życie. Jak matka. Mać. Ćma, od ciemno. A kiedy robi się ciemno, idziemy spać. No nie?

Cywile nie zdawali sobie sprawy, ile bzdur trzeba wysłuchiwać, kiedy jest się gliną. Ludzie uwielbiają wychwalać policjantów za ich odwagę, ale nikt nie docenia zwyczajnego, codziennego hartu ducha, niezbędnego, żeby ze spokojem przyjmować te wszystkie brednie. Chociaż odwaga to wielce pożądana cecha u stróża prawa, zdaniem Lili cenniejsza była wbudowana odporność na gadanie od rzeczy.

Właśnie dlatego miała tyle kłopotów ze znalezieniem nowego zastępcy szeryfa. Z całą pewnością to przesądziło o tym, że odrzuciła podanie miejskiego rakarza, Franka Geary'ego, a przyjęła młodego weterana nazwiskiem Dan Treat, mimo że nie miał doświadczenia w pracy w organach ścigania. Chociaż Geary niewątpliwie był inteligentny i wygadany, miał zbyt obszerną kartotekę służbową – wytworzył za dużo papierków, wypisał zbyt wiele mandatów. Między wierszami można było wyczytać, że z rozmysłem szuka konfrontacji; że nie jest typem człowieka, który przymyka oko na drobiazgi. A to niedobrze.

Nie żeby jej załoga była brygadą wybitnych asów, ale co z tego, wielkie rzeczy, witajcie w prawdziwym świecie. Bierzesz najlepszych ludzi, jakich możesz znaleźć, a potem starasz się im pomagać. Weźmy takich Rogera Elwaya i Terry'ego Coombsa. Roger pewnie przyjął o jeden cios za dużo, kiedy w początkach dwudziestego pierwszego wieku grał na obronie prowadzonej przez trenera Wittstocka drużyny futbolowej szkoły w Dooling. Terry, choć od niego bystrzejszy, czasem markotniał i popadał w przygnębienie, kiedy sprawy nie układały się po jego myśli, a do tego za dużo pił na imprezach. Z drugiej strony obaj raczej potrafili utrzymać nerwy na wodzy, co oznaczało, że mogła im ufać. Na ogół.

Lila żywiła niewypowiedziane przekonanie, że macierzyństwo jest najlepszą możliwą próbą generalną dla potencjalnego policjanta. (Niewypowiedziane zwłaszcza w obecności Clinta, który miałby z tym nie lada używanie; już sobie wyobrażała, jak przechyla głowę na bok, wykrzywia usta w tym swoim irytującym grymasie i stwierdza: „To ciekawe" albo „Możliwe"). Matki są najlepszymi policjantkami, bo

małe dzieci, jak kryminaliści, często bywają agresywne i mają destrukcyjne skłonności.

Jeśli zdołasz jakoś przetrwać z małym dzieckiem, nie tracąc panowania nad sobą ani nie wpadając w furię, masz szansę poradzić sobie też z dorosłymi przestępcami. Kluczem do sukcesu jest nie reagować, zachowywać się dojrzale – i czy w tej chwili myślała o nagiej, zakrwawionej kobiecie, która miała związek z gwałtowną śmiercią dwóch osób, czy może o tym, jak postąpić z kimś bliższym, znacznie bliższym jej sercu – z mężczyzną, który kładł głowę na poduszce obok niej? (Kiedy zegar pokazał 00:00, w sali gimnastycznej rozbrzmiała syrena; wtedy chłopcy i dziewczęta zaczęli wiwatować. Końcowy wynik: Hrabstwo Bridger 42 – Fayette 34). Jak może powiedziałby Clint: „Hm, to ciekawe. Możesz rozwinąć tę myśl?”.

– Jest dużo promocji – trajkotała Evie. – Pralka z suszarką. Grille. Bobasy, które jedzą plastikowe jedzenie, a potem je wydalają. Dla każdego coś taniego.

– Rozumiem – powiedziała Lila, jakby kobieta mówiła z sensem. – Jak się pani nazywa?

– Evie.

Lila wykręciła się do tyłu.

– A nazwisko? Ma pani jakieś nazwisko?

Kości policzkowe kobiety były proste, mocno zarysowane. Bladobrązowe oczy błyszczały. Jej skóra miała odcień, który Lila określiłaby jako śródziemnomorski. No i te ciemne włosy. O, rany, plama krwi zaschła na jej czole.

– Jest mi potrzebne? – spytała Evie.

To, zdaniem Lili, przesądzało sprawę: jej nowa znajoma definitywnie jest na potężnym haju.

Odwróciła się twarzą do kierunku jazdy, dodała gazu i chwyciła mikrofon.

– Baza, tu jedynka. Wiozę zatrzymaną; znalazłam ją na Ball’s Hill, na północ od składu drzewnego. Jest cała we krwi, więc niezbędny będzie sprzęt do pobrania próbek. Trzeba ją też ubrać w kombinezon ochronny. I wezwij pogotowie. Jest na jakichś prochach.

– Zrozumiałam – powiedziała Linny. – Terry mówi, że w tej przyczepie mieszkalnej jest straszny bajzel.

– Zrozumiałam. – Evie zaśmiała się radośnie. – Straszny bajzel. Zabierzcie dodatkowe ręczniki. Tylko nie te porządne, ha, ha, ha. Zrozumiałam.

– Jedynka, bez odbioru. – Lila odwiesiła mikrofon i zerknęła na Evie w lusterku. – Radzę siedzieć cicho. Jest pani aresztowana pod zarzutem morderstwa. To nie są żarty.

Zbliżały się do granicy miasta. Lila zatrzymała radiowóz przed znakiem stopu regulującym ruch na skrzyżowaniu Ball's Hill z West Lavin. West Lavin prowadziła do więzienia. Po drugiej stronie drogi stał znak przestrzegający przed zabieraniem autostopowiczów.

– Jest pani ranna?

– Jeszcze nie – odparła Evie. – Ale hej! Triple-double. Nieźle.

Coś błysnęło w głowie Lili, umysłowy odpowiednik skrzącej się drobinki piasku, szybko zmytej spienioną falą.

Ponownie spojrzała w lusterko. Evie zamknęła oczy i odchyliła się na oparcie. Czyżby miała zjazd?

– Będzie pani wymiotować?

– Lepiej pocałuj męża, zanim pójdziesz spać. Pocałuj go na pożegnanie, dopóki możesz.

– Nie omie… – zaczęła Lila, wtedy jednak kobieta rzuciła się do przodu i wyrżnęła głową w kratę przed tylnym siedzeniem. Lila odsunęła się odruchowo, kiedy cios wstrząsnął przegrodą.

– Przestań! – krzyknęła sekundę przed tym, gdy Evie drugi, a potem trzeci raz uderzyła czołem w kratę. Lila zdążyła tylko dostrzec błysk uśmiechu na jej twarzy, świeżą krew na zębach.

Już miała wysiąść, przejść na tył i potraktować aresztantkę paralizatorem – dla jej własnego bezpieczeństwa, uspokoić ją, ale trzecie uderzenie okazało się ostatnim. Evie osunęła się na oparcie, dysząc z satysfakcją – jak maratończyk, który minął linię mety. Krew ściekała z jej nosa, ust i rozciętego czoła.

– Triple-double! Supersprawa! – krzyknęła. – Triple-double! Pracowity dzień!

Lila sięgnęła po mikrofon i połączyła się z Linny: zmiana planów. Obrońca publiczny musi niezwłocznie spotkać się z nimi na

posterunku. Sędzia Silver też, jeśli da się staruszka przekonać, żeby przyjechał i oddał im przysługę.

2

Zagrzebany po brzuch w kępie komptonii lis patrzył, jak Essie rozpakowuje swój wózek.

Oczywiście nie myślał o niej jako o Essie, w ogóle nie miał dla niej żadnej nazwy. Była tylko jeszcze jednym człowiekiem. On, lis, obserwował ją od dłuższego czasu – wielu księżyców i słońc – i wiedział już, że jej prowizoryczny szałas z plastikowych plandek i płóciennych zasłon to rodzaj lisiej jamy. Rozumiał też, że cztery kawałki zielonego szkła, które ustawiała w półkolu i nazywała „dziewczynkami", miały dla niej wielkie znaczenie. Pod nieobecność Essie obwąchał je – nie wyczuł w nich życia – i przegrzebał jej dobytek, niegodny uwagi, nie licząc kilku puszek po zupie, które wylizał do czysta.

Sądził, że nie stanowiła dla niego zagrożenia, ale był starym lisem, a lis, który w jakiejkolwiek sytuacji postępuje z nadmierną pewnością siebie, starym lisem nie zostanie. Żeby dożyć takiego wieku jak on, trzeba być ostrożnym, wykorzystywać nadarzające się okazje, spółkować najczęściej, jak się da, unikając zaangażowania, nie przechodzić przez jezdnię za dnia i zagrzebywać się głęboko w miękkiej glinie.

Tego ranka przezorność chyba nie była konieczna. Zachowanie Essie w niczym nie odbiegało od normy. Wyjęła z wózka torby i rozmaite tajemnicze przedmioty, po czym poinformowała kawałki szkła, że mama musi się zdrzemnąć. „Nie rozrabiajcie, dziewczynki", powiedziała, weszła do szałasu i położyła się na stercie pikowanych pledów, które zastępowały jej materac. Ściany szałasu osłaniały jej ciało, głowa wystawała na zewnątrz.

W czasie, kiedy Essie zapadała w sen, lis bezdźwięcznie wyszczerzył kły na górę męskiego manekina, którą postawiła

w liściach obok szałasu, manekin jednak nie zareagował. Pewnie był martwy jak to zielone szkło. Lis przygryzł łapę i czekał.

Wkrótce oddech starej kobiety stał się równy, spokojny, po każdym głębokim wdechu następował krótki, świszczący wydech. Zasnęła. Lis powoli wstał i podkradł się do szałasu, żeby się upewnić co do zamiarów manekina bądź ich braku. Obnażył kły jeszcze szerzej. Manekin nie drgnął. Tak, na pewno martwy.

Potruchtał bliżej i zamarł. Coś białawego falowało na wietrze nad głową uśpionej kobiety – białe nitki, jak babie lato, unosiły się z jej policzków, rozwijały zwiewnie i osiadały na skórze. Z jednych nitek wyrastały drugie, szybko oplatając twarz maską, która wkrótce miała przesłonić całą głowę. Ćmy krążyły w ciemnym szałasie.

Lis cofnął się o kilka kroków, węsząc. Nie podobało mu się to białe coś – było żywe, na pewno, i w niczym nie przypominało żadnego ze znanych mu stworzeń. Nawet z daleka zapach tej białej substancji był intensywny i niepokojąco złożony: mieszały się w nim krew i tkanka, inteligencja i głód, a także odrobina głębokiej, bardzo głębokiej ziemi, Lisiej Jamy nad Lisie Jamy. A co spało w tym wielkim legowisku? Nie lis, tego był pewien.

Pociągnięcia nosem przeszły w skowyt, po czym lis odwrócił się i potruchtał na zachód. Po lesie za nim poniósł się odgłos ruchu – ktoś nadciągał. Lis zerwał się do biegu.

3

Pomógłszy Oscarowi Silverowi pochować kotkę imieniem Kakao – zawiniętą w przetarty ręcznik kąpielowy frotté – Frank pokonał dwie krótkie przecznice dzielące go od domu na Smith Lane 51, który on spłacał, a w którym, odkąd byli w separacji, mieszkała tylko Elaine z ich jedenastoletnią córką, Naną.

Dwa budżety stanowe temu Elaine wyleciała z pracy w służbach socjalnych, teraz miała niepełny etat w sklepie charytatywnym i była wolontariuszką w paru bankach żywności i przychodni Planned Parenthood w Maylock. Zaleta tego była taka, że nie musieli szukać

pieniędzy na opiekę nad dzieckiem. Nikomu nie zawadzało, że Nana po szkole siedzi w sklepie charytatywnym razem z matką. Wadą było to, że stracą dom.

Frank przejmował się tym bardziej niż Elaine. Mało tego – miał wrażenie, że jej to wisi. Chociaż zaprzeczała, podejrzewał, że planowała wykorzystać sprzedaż domu jako wymówkę, żeby na dobre stąd wyjechać, może do siostry w Pensylwanii. Gdyby tak się stało, zamiast widywać córkę co drugi weekend, widywałby ją w najlepszym razie co dwa miesiące.

Z wyjątkiem dni wizyt – a i wtedy wolałby, żeby Elaine przywoziła Nanę do niego – starał się omijać dom szerokim łukiem. Wspomnienia związane z tym miejscem – poczucie niesprawiedliwości i porażki, załatana dziura w kuchennej ścianie – były zbyt bolesne i zbyt świeże. Frank czuł się, jakby podstępem odebrano mu całe życie, którego najlepsze lata spędził na Smith Lane 51, w schludnym, prostym, parterowym domu, z kaczką na skrzynce pocztowej, którą namalowała jego córka.

Sprawa zielonego mercedesa oznaczała jednak, że dziś koniecznie musiał tam zajrzeć.

Kiedy ostro zahamował przy krawężniku, zauważył, że Nana rysuje kredą po podjeździe. Wydawałoby się, że to zajęcie dla znacznie młodszego dziecka, ale jego córka miała smykałkę do rysowania. W ubiegłym roku szkolnym zdobyła drugą nagrodę w konkursie projektowania zakładek do książek, zorganizowanym przez miejscową bibliotekę. Zakładka Nany przedstawiała książki frunące jak ptaki przez kłąb chmur. Frank oprawił ją i powiesił w swoim gabinecie. Nie mógł się na nią napatrzeć. Pięknie było wyobrażać sobie książki latające w głowie jego małej córeczki.

Siedziała po turecku w słońcu, z tyłkiem w dmuchanym kole; wokół siebie rozłożyła przybory we wszystkich kolorach tęczy. Oprócz talentu do rysunku, a może w związku z nim, Nana miała dar do wygodnego moszczenia się, gdziekolwiek była. Flegmatyczne, rozmarzone dziecko, bardziej wrodziła się we Franka niż w jej energiczną matkę, która nigdy się nie cackała, zawsze z miejsca przechodziła do rzeczy.

Otworzył drzwi pikapa i wychylił się.

– Hej, Jasnooka. Chodź tutaj.

Spojrzała na niego i zmrużyła oczy.

– Tata?

– O ile wiem, tak – powiedział, usilnie starając się utrzymać kąciki ust w górze. – Idziesz?

– Teraz? – Już zerkała na swój rysunek.

– Tak. Teraz. – Frank odetchnął głęboko.

Zaczął się robić, jak określała to Elaine, „taki", dopiero kiedy pożegnał się z sędzią. W jej rozumieniu oznaczało to, że stracił nad sobą panowanie. Zdarzało mu się to rzadko, bez względu na to, co sądziła. A dzisiaj? Początkowo wszystko było w porządku. Potem, po przejściu może pięciu kroków po trawniku Oscara Silvera, jakby uruchomił się w nim jakiś niewidzialny zapalnik. Czasami tak miał, i tyle. Jak wtedy, kiedy Elaine czepiała się go o awanturę, którą zrobił na zebraniu komitetu rodzicielskiego, i wybił pięścią dziurę w ścianie, a Nana z płaczem uciekła na górę, nie rozumiejąc, że czasem uderzasz rzeczy po to, żeby nie uderzyć człowieka. Było jeszcze to zajście z Fritzem Meshaumem – wtedy rzeczywiście trochę go poniosło, ale Meshaumowi się należało. Jak każdemu, kto tak się obchodzi ze zwierzęciem.

Na miejscu tej kotki mogło być moje dziecko, myślał, idąc po trawniku. I nagle bum! Jakby czas był sznurówką, której fragment, od chwili, kiedy szedł po trawie, do momentu, gdy wsiadł do samochodu, został zawiązany w supeł. Bowiem nagle był w swoim pikapie, jechał do domu na Smith, i nie mógł sobie przypomnieć, kiedy się znalazł za kółkiem. Jego spocone dłonie trzymały kierownicę, policzki paliły i wciąż myślał tylko o tym, że na miejscu tej kotki mogło być jego dziecko. Tyle że to nie była myśl, bardziej komunikat migający na ekranie ciekłokrystalicznym:

b ł ą d b ł ą d b ł ą d
m o j e d z i e c k o m o j e d z i e c k o m o j e d z i e c k o

Nana starannie odłożyła fioletową kredę w puste miejsce między pomarańczową a zieloną i dźwignęła się z dmuchanego koła. Przez

parę sekund stała, otrzepując tył kwiecistych żółtych szortów i w zamyśleniu pocierając ubrudzone kredą czubki palców o siebie.

– Kochanie. – Frank usiłował powstrzymać się od krzyku. Bo patrzcie tylko, siedziała tutaj, na podjeździe, gdzie mógł ją rozjechać jakiś pijany dureń w drogim samochodzie!

m o j e d z i e c k o m o j e d z i e c k o m o j e d z i e c k o

Nana zrobiła krok, zatrzymała się, znów obejrzała swoje palce, chyba z niezadowoleniem.

– Nana! – Frank, wciąż wyciągnięty w poprzek deski rozdzielczej, klepnął fotel pasażera. Mocno. – Chodźże tu!

Poderwała głowę z zaskoczoną miną, jakby wyrwana ze snu hukiem pioruna. Ruszyła, powłócząc nogami. Kiedy dotarła do otwartych drzwi, Frank złapał ją za przód koszulki i przyciągnął do siebie.

– Ej! Rozciągniesz mi koszulkę – zaprotestowała.

– To nic – powiedział. – Twoja koszulka nie jest najważniejsza. Powiem ci, co jest najważniejsze, więc słuchaj mnie uważnie. Kto jeździ zielonym mercedesem? W którym domu mieszka?

– Co? – Nana ścisnęła dłonią pięść, która trzymała jej koszulkę. – O czym ty mówisz? Koszulkę mi zniszczysz.

– Nie słyszałaś, co powiedziałem? Olać zasraną koszulkę! – Pożałował tych słów, ledwie wyszły z jego ust, ale jednocześnie był zadowolony, że przeniosła spojrzenie z koszulki na niego. Nareszcie słuchała uważnie. Zamrugała i wciągnęła powietrze. – No dobra, skoro już przestałaś bujać w obłokach, naradźmy się. Kiedyś mi powiedziałaś, że w jednym z domów, do których doręczasz gazetę, mieszka facet, który jeździ zielonym mercedesem. Jak się nazywa? W którym domu mieszka?

– Nie pamiętam nazwiska. Przepraszam, tato. – Nana przygryzła wargę. – To dom obok tego z dużą flagą. Otoczony murem. Na Briar. Na samej górze.

– W porządku. – Frank puścił jej koszulę, ale Nana nie ruszyła się z miejsca.

– Nie jesteś już zły?

– Kochanie, nie byłem zły – zapewnił, a kiedy nie odpowiedziała, dodał: – No dobra, byłem. Trochę. Ale nie na ciebie.

Nie patrzyła na niego, tylko pocierała te swoje cholerne palce o siebie. Kochał ją, była dla niego najważniejsza na świecie, ale czasem trudno było mu uwierzyć, że trzymała się drogi wszystkimi kołami.

– Dziękuję ci. – Żar powoli ustępował z jego twarzy, pot stygnął na skórze. – Dziękuję, Jasnooka.

– Proszę bardzo – powiedziała Nana. Cofnęła się o mały krok. Podeszwa jej tenisówki skrzypnęła na chodniku. Dźwięk ten wydał się Frankowi niewyobrażalnie głośny.

Usiadł prosto.

– Jeszcze jedno. Bądź tak dobra i nie siedź na podjeździe. Przynajmniej dziś rano, dopóki nie załatwię jednej sprawy. Wariat rozbija się samochodem po okolicy. Rysuj w środku, na papierze, dobrze?

Przygryzała wargę.

– Dobrze, tatusiu.

– Nie będziesz płakała, co?

– Nie, tatusiu.

– Cieszę się. Zuch dziewczynka. Widzimy się w przyszły weekend, co?

Poczuł, że usta wyschły mu na pieprz. Zadał sobie pytanie, jak inaczej miałby postąpić, a głos wewnątrz niego odpowiedział: „Jak inaczej miałbyś postąpić? Hm, trudna sprawa. Może, nie wiem, pewnie uznasz, że to zupełnie postrzelony pomysł, Frank, ale może wystarczyłoby, kurde, nie wpadać w szał?”. Ten głos był rozbawioną wersją głosu samego Franka, był głosem człowieka w okularach przeciwsłonecznych, który siedzi wygodnie na ogrodowym krześle i może sączy mrożoną herbatę.

– Dobrze. – Kiwnęła głową jak robot.

Za nią widniał jej rysunek: misterne drzewo, którego korona rozciągała się po jednej stronie podjazdu, a sękaty pień przecinał go w poprzek. Z gałęzi zwisał mech, podstawę obrastała broda kwiatów. Korzenie wyciągały się do zarysu podziemnego jeziora.

– Podoba mi się, co tam narysowałaś. – Uśmiechnął się.

– Dziękuję, tatusiu – odparła.

– Po prostu nie chcę, żeby coś ci się stało. – Jego uśmiech był jak przybity gwoździami do twarzy.

Pociągnęła nosem i znów mechanicznie kiwnęła głową. Wiedział, że powstrzymuje łzy.

– Hej, Nana… – zaczął, ale słowa, których szukał, pierzchły; kiedy znów odezwał się jego wewnętrzny głos, powiedział mu, że dziewczyna ma dosyć. Niech już da jej w cholerę spokój.

– Pa, pa, tatusiu.

Wyciągnęła rękę i delikatnie zamknęła drzwi pikapa. Obróciła się i potruchtała po podjeździe, roztrącając kawałki kredy, depcząc po swoim drzewie, rozmazując zieleń i czerń na jego wierzchołku. Miała spuszczoną głowę. Jej ramiona się trzęsły.

– Ech, dzieci – powiedział do siebie. – Nie zawsze potrafią docenić to, że starasz się zrobić coś dobrego.

4

Na biurku Clinta leżały trzy raporty z ostatniej nocy.

Pierwszego mógł się spodziewać, a mimo to był nim zaniepokojony: jeden z oficerów dyżurnych podejrzewał, że Angel Fitzroy coś knuje. Przed ciszą nocną Angel próbowała go wciągnąć w semantyczną dyskusję. W więzieniu obowiązywała zasada, że osadzone tytułują członków służby więziennej „oficerami”. Synonimy typu „strażnik” czy „klawisz”, nie wspominając – rzecz jasna! – o obelgach typu „palant” lub „skurwysyn”, były niedopuszczalne. Angel zapytała oficera Wettermore’a, czy rozumie język angielski. Przecież to oczywiste, że są strażnikami, powiedziała. Jasne, jak chcą, niech sobie będą też oficerami, ale nie mogą nie być strażnikami, skoro pełnią straż. No bo jak to? Czy nie pełnią straży nad osadzonymi? Czy ten, kto piecze chleb, nie jest piekarzem? Czy ten, kto kopie dół, nie jest kopaczem?

„Przestrzegłem osadzoną, że dalsza dyskusja jest bezprzedmiotowa i że jeśli natychmiast jej nie zakończy, może się spodziewać konsekwencji", napisał Wettermore. „Osadzona ustąpiła i weszła do celi, ale potem zapytała, jak możemy oczekiwać przestrzegania przepisów, kiedy słowa, z których te przepisy się składają, nie mają sensu. W głosie osadzonej wyczułem groźbę".

Angel Fitzroy była jedną z nielicznych więźniarek, które Clint uważał za autentycznie niebezpieczne. Na podstawie rozmów z nią podejrzewał, że może być socjopatką. Nigdy nie dostrzegł u niej śladu empatii, a jej więzienna teczka pękała w szwach od meldunków o naruszeniach regulaminu: narkotyki, bójki, pogróżki.

– Jak myślisz, Angel, co czułabyś, gdyby pobity przez ciebie człowiek zmarł od odniesionych ran? – spytał ją kiedyś podczas sesji grupowej.

– Ojej – powiedziała Angel, zagłębiona w krześle, wędrująca spojrzeniem po ścianach jego gabinetu. – Pewnie, hm, nie byłoby mi miło. – Potem cmoknęła i utkwiła wzrok w reprodukcji Hockneya na ścianie. – Obczajcie ten obrazek, laski. Nie chciałybyście tam pojechać?

Chociaż sam wyrok za napaść nie świadczył o niej najlepiej – w zajeździe dla kierowców ciężarówek jakiś mężczyzna powiedział do Angel coś, co jej się nie spodobało, więc złamała mu nos butelką keczupu – wiele wskazywało na to, że uszły jej na sucho dużo gorsze rzeczy.

Do Dooling przyjechał detektyw z Charlestonu, żeby zasięgnąć porady Clinta w śledztwie, w którym przewijała się Fitzroy. Szukał informacji dotyczących śmierci właściciela jej dawnego mieszkania. Facet zginął parę lat przed tym, jak rozpoczęła obecną odsiadkę. Angel była jedyną podejrzaną, ale ze zbrodnią nie łączyło jej nic oprócz tego, że przebywała w pobliżu miejsca zdarzenia; nie znaleziono też motywu, dla którego miałaby tego człowieka zabić. Sęk w tym (o czym Clint dobrze wiedział), że Angel nie potrzebowała szczególnego motywu i była z tego znana. Wystarczyło, że nacięli ją w sklepie na dwadzieścia centów, i już wpadała w furię. Detektyw z Charlestonu wręcz z lubością opisywał trupa właściciela jej mieszkania: „Wyglądało to tak, jakby staruszek zleciał ze schodów

i złamał kark. Ale lekarz sądowy ustalił, że przed śmiercią ktoś mu się dobrał do nabiału. Jego jajca były… nie pamiętam, jak doktor to ujął, czy powiedział »połamane« czy co. W każdym razie w uproszczeniu zostały praktycznie zmiażdżone".

Clint nie zwykł sypać pacjentów i tak też powiedział detektywowi, ale później wspomniał Angel o jego śledztwie.

– To jajca mogą się połamać? – zapytała z miną wyrażającą chłodne zdumienie.

Musiał dziś zajrzeć do Angel i dokonać pomiaru sejsmicznego.

Drugi raport dotyczył więźniarki wyznaczonej do sprzątania, która twierdziła, że w kuchni jest pełno ciem. Oficer Murphy sprawdził to, ale nie znalazł ani jednej ćmy. „Osadzona dobrowolnie zgodziła się na badanie moczu – nie wykryto obecności narkotyków ani alkoholu".

W interpretacji Clinta osadzona usilnie starała się wyprowadzić strażnika z równowagi, a strażnik zapragnął odpłacić jej pięknym za nadobne. Nie było co się tym zajmować i nakręcać tej spirali. Odłożył raport do akt.

Ostatni był incydent związany z Kitty McDavid.

Oficer Wettermore spisał fragmenty jej majaczeń: „Czarny Anioł wyrósł z korzeni i sfrunął z gałęzi. Jej palce to śmierć, jej włosy są pełne pajęczyn, sen jest jej królestwem". Kitty podano haldol i przeniesiono do Skrzydła A.

Clint wyszedł z gabinetu i ruszył przez administrację w stronę wschodniej części więzienia, w której mieściły się cele. Budynek widziany z góry kształtem przypominał małe „t"; długi środkowy korytarz, zwany Broadwayem, biegł równolegle do drogi numer 17/West Lavin Road. Biura administracji, centrala systemu łączności, pokój strażników, pokój socjalny i sale lekcyjne znajdowały się na zachodnim końcu Broadwayu. Drugi korytarz, Main Street, ulokowany był prostopadle do West Lavin. Prowadził od wrót więzienia prosto do stolarni, pomieszczenia gospodarczego, pralni i sali gimnastycznej. Po drugiej stronie Main Street Broadway ciągnął się dalej na wschód, obok biblioteki, stołówki, sali widzeń, izby chorych i biura przyjęć do trzech pawilonów więziennych.

Wzmocnione drzwi oddzielały pawilony od Broadwayu. Clint zatrzymał się i wcisnął guzik, który dawał znać do Kabiny, że ktoś

chce wejść. Zabrzęczało i potężne rygle odsunęły się ze szczękiem. Clint wcisnął się do środka.

Trzy skrzydła, A, B i C, układały się w kształt kleszczy. Pośrodku była Kabina, podobna do szopy konstrukcja zabezpieczona kulo-odpornymi szybami. Zawierała monitory i konsolę sterowniczą.

Chociaż większość populacji więzienia mogła się swobodnie spotykać na spacerniaku i w innych miejscach, osadzone siedziały w różnych skrzydłach, zależnie od zagrożenia, jakie teoretycznie stanowiła każda z nich. W więzieniu były sześćdziesiąt cztery cele; dwanaście w Skrzydle A, dwanaście w Skrzydle C i czterdzieści w Skrzydle B. A i C mieściły się w całości na parterze; Skrzydło B – na dwóch kondygnacjach.

Skrzydło A z założenia przeznaczone było dla chorych, choć trzymano tam też, na samym końcu korytarza, część więźniarek uznanych za „spokojne". Osadzone niekoniecznie „spokojne", ale za to „przystosowane", takie jak Kitty McDavid, siedziały w Skrzydle B. Skrzydło C było dla rozrabiak.

To ostatnie było najmniej zaludnione, połowa z dwunastu cel obecnie stała pusta. Jeśli któraś z osadzonych doznawała załamania psychicznego albo sprawiała kłopoty dyscyplinarne, regulamin nakazywał przenieść ją do jednej z cel „Pod okiem" w Skrzydle C. Więźniarki nazywały te cele Peep-Show, bo kamery pod sufitem pozwalały oficerom obserwować je przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Sugerowały w ten sposób, że strażników, przynajmniej płci męskiej, to podnieca. Kamery jednak były niezbędne. Gdyby osadzona próbowała coś sobie zrobić, nawet popełnić samobójstwo, musiała być pod nadzorem, żeby można było temu zapobiec.

Dzisiaj w Kabinie dyżurowała kapitan Vanessa Lampley. Wychyliła się w bok od konsoli, żeby wpuścić Clinta. Usiadł przy niej i poprosił, żeby włączyła podgląd z dwunastki, bo chciałby zobaczyć, co z McDavid.

– Prosimy o materiał z magnetowidu! – zawołał wesoło, ale Lampley spojrzała na niego dziwnie. – Prosimy o materiał z magnetowidu! – powtórzył. – No wiesz, tak zawsze mówi Warner Wolf. – Wzruszyła ramionami i włączyła podgląd celi numer 12. – Ten komentator sportowy – podpowiedział Clint.

Vanessa znów wzruszyła ramionami.

– Przykro mi. Pewnie nie moje pokolenie.

Zdziwił się jej reakcją, przecież Warner Wolf to żywa legenda, ale porzucił temat i skupił się na monitorze. Kitty leżała w pozycji embrionalnej, z twarzą schowaną w ramionach.

– Zauważyłaś coś nietypowego?

Lampley pokręciła głową. Przyszła o siódmej, McDavid od tamtej pory śpi.

To Clinta nie zaskoczyło. Haldol miał moc. Niepokoił się jednak o Kitty, matkę dwójki dzieci skazaną za fałszowanie recept. W idealnym świecie nie trafiłaby do zakładu karnego; była narkomanką z zaburzeniem afektywnym dwubiegunowym, edukację skończyła na gimnazjum.

Zaskakujące było to, jak jej przypadłość objawiła się w tych okolicznościach. W przeszłości Kitty zamykała się w sobie. Taki wybuch jak ostatniej nocy, wrzaski, majaczenie, nie zdarzył się jej jeszcze nigdy. Clint był względnie przekonany, że lit, który jej przepisał, dobrze się sprawdził. Od ponad pół roku Kitty była zrównoważona i dość pogodna – bez większych odchyłów ani w górę, ani w dół. No i podjęła decyzję, że będzie zeznawać w sądzie przeciwko Grinerom, co nie tylko dowodziło jej odwagi, ale i z dużym prawdopodobieństwem mogło odmienić jej los na lepsze. Wiele wskazywało na to, że wkrótce po procesie dostanie zwolnienie warunkowe. Odbył już z nią wstępne rozmowy o ewentualnym pobycie w domu przejściowym, o tym, co Kitty zrobi, kiedy pierwszy raz spotka kogoś, kto będzie miał narkotyki, jak odnowi znajomość ze swoimi dziećmi. Czy to wszystko stało się dla niej zbyt różowe?

Lampley chyba zauważyła troskę na jego twarzy.

– Nic jej nie będzie, doktorze. To jednorazowa sprawa, jak sądzę. Wpływ pełni księżyca. Cały świat wariuje, wie pan. – Krępa weteranka była pragmatyczna, ale sumienna, cechy pożądane u dowódcy straży więziennej. Nie zaszkodziło też to, że Van Lampley była znaną uczestniczką konkursów siłowania na rękę. Szare rękawy munduru ciasno opinały jej bicepsy.

– Ano rzeczywiście. – Clint przypomniał sobie kraksę, o której opowiadała Lila. Parę razy był u Van na urodzinach; mieszkała za

górą. – Domyślam się, że musiałaś dziś przyjechać okrężną trasą. Lila mówiła, że jakaś ciężarówka miała wypadek. Podobno musieli odblokować drogę buldożerem.

– Hm… – zastanowiła się Van. – Nie widziałam nic takiego. Pewnie posprzątali, zanim wyjechałam z domu. Chodziło mi o West i Ryckman. – Jodi West i Claire Ryckman były asystentkami lekarza. Podobnie jak Clint, pracowały od dziewiątej do piątej. – Nie przyszły do pracy, a to znaczy, że nikt nie dyżuruje w izbie chorych. Coates jest wkurzona. Mówi, że…

– Nie widziałaś niczego na Mountain Rest Road? – Lila mówiła, że to tam doszło do kraksy, prawda? Clint był tego pewien, no, prawie pewien.

Van pokręciła głową.

– W sumie nie byłby to pierwszy raz. – Uśmiechnęła się szeroko, obnażając duże, żółknące zębiska. – Zeszłej jesieni też wywróciła się tam ciężarówka. Katastrofa, mówię panu. Była ze Świata Zwierząt. Cała droga zasypana kocim żwirkiem i karmą dla psów.

5

Przyczepa mieszkalna świętej pamięci Trumana Mayweathera nie prezentowała się najlepiej, kiedy Terry Coombs był tu ostatnio (żeby załagodzić awanturę z udziałem jednej z wielu „sióstr” Trumana, która wkrótce potem wyprowadziła się z lokalu), jednak tego ranka wyglądała jak podwieczorek w piekle. Mayweather leżał pod stołem; jego naga pierś była upstrzona fragmentami mózgu. Meble (jak się domyślał, nabyte głównie w sklepie Wszystko za Dolara, na przydrożnych wyprzedażach i licytacjach komorniczych) były bezładnie porozrzucane. Telewizor stał do góry nogami pod pokrytym rdzą prysznicem. W zlewie toster zawarł bliższą znajomość z tenisówką Converse, sklejoną taśmą izolacyjną. Ściany były zbryzgane krwią. A do tego zgarbione ciało – z głową na zewnątrz przyczepy i rowem wystającym z dżinsów bez paska. Portfel leżący

na podłodze zawierał dowód tożsamości pana Jacoba Pyle'a z Little Rock w stanie Arkansas.

Ile trzeba mieć siły, żeby przebić ścianę ludzką głową?, zastanawiał się Terry. Jasne, ściany przyczepy są cienkie, ale jednak…

Sumiennie wszystko obfotografował, po czym służbowym iPadem zrobił panoramiczne ujęcie wnętrza. Pod drzwiami przystanął, żeby wysłać dokumentację fotograficzną na posterunek, do Linny Mars. Ona wydrukuje zdjęcia dla Lili, a potem założy akta w wersji elektronicznej i papierowej. Do Lili napisał krótką wiadomość: „Wiem, że jesteś zmęczona, ale lepiej tu przyjedź".

Usłyszał znajomy dźwięk jedynej w pełni wyposażonej karetki ze Szpitala Świętej Teresy; nie rozdzierające „iii-uuu, iii-uuu, iii-uuu", tylko dziwnie afektowane „piip-piip-piip". Była coraz bliżej.

Roger Elway, z papierosem zwisającym z kącika ust, rozciągał żółtą taśmę z napisem „MIEJSCE ZBRODNI ZAKAZ WSTĘPU". Terry zawołał go ze stopni przyczepy.

– Jak Lila się dowie, że paliłeś na miejscu zbrodni, urwie ci łeb.

Roger wyjął papierosa z ust, obejrzał go, jakby pierwszy raz w życiu widział takie dziwo, a potem zgasił na podeszwie buta i schował peta do kieszeni koszuli.

– Gdzie ona w ogóle jest? Zastępca prokuratora okręgowego już jedzie, na pewno liczy, że ją tu zastanie.

Karetka stanęła, drzwi po obu stronach szoferki otworzyły się gwałtownie. Dick Bartlett i Andy Emerson, dwaj ratownicy, z którymi Terry pracował w przeszłości, zeskoczyli na ziemię, w biegu naciągając rękawice. Jeden niósł deskę ortopedyczną, drugi taszczył przenośny szpital, jak nazywali zestaw do pierwszej pomocy.

Terry burknął pod nosem:

– Tylko zastępca, hm? Dwa trupy, a my nadal nie zasługujemy na wizytę pana i władcy.

Roger tylko wzruszył ramionami. Tymczasem Bartlett i Emerson wytracili impet i zatrzymali się obok przyczepy, w miejscu, gdzie głowa sterczała ze ściany.

– Temu dżentelmenowi to już raczej nie pomożemy – stwierdził fachowo Emerson.

Bartlett wskazał szyję ofiary.

– Zdaje się, że ma tu wytatuowanego Pana Hankeya.

– Gadającego balasa z *South Park*? Poważnie? – Emerson podszedł bliżej. – Rzeczywiście.

– *Howdy-ho*! – zapiał Bartlett.

– Ej – rzucił Terry. – Ubaw po pachy, chłopaki. Nagrajcie się kiedyś i wrzućcie to na YouTube'a. Tymczasem w środku mamy jeszcze jednego trupa, a w radiowozie kobietę, której przydałaby się pomoc.

– Na pewno chcesz ją obudzić? – spytał Roger, wskazując wóz ruchem głowy. Pasmo prostych, brudnych włosów przykleiło się do tylnej szyby. – Dziewczyna ma zjazd. Bóg raczy wiedzieć, co wzięła.

Bartlett i Emerson przeszli przez zagracone podwórko do radiowozu. Bartlett zapukał w szybę.

– Proszę pani? Halo? – Żadnej reakcji. Zastukał mocniej. – Hej, pobudka! – Nadal nic. Pociągnął za klamkę, a kiedy nie ustąpiła, spojrzał przez ramię na Terry'ego i Rogera. – Musicie otworzyć zamek.

– No tak – powiedział Roger. – Jasne. – Wcisnął kciukiem guzik pilota otwierający zamki. Mignęły przednie światła i Dick Bartlett pociągnął za tylne drzwi. Tiffany Jones wypadła z auta jak sterta brudnej bielizny. Bartlett złapał ją w ostatniej chwili, zanim górna połowa jej ciała wylądowała na poprzerastanym chwastami żwirze.

Emerson doskoczył, żeby mu pomóc. Roger został na miejscu, z lekko poirytowaną miną.

– Jeśli nam tu odwaliła kitę, Lila sakramencko się wkurzy. Jest jedynym świa…

– Gdzie jej twarz? – spytał Emerson, wyraźnie wstrząśnięty. – Cholera jasna, gdzie jest jej twarz?

Na te słowa Terry wreszcie się ruszył. Podszedł do radiowozu, kiedy dwaj ratownicy delikatnie opuścili Tiffany na ziemię. Wziął do ręki zwisające pasmo jej włosów – po co, tego sam nie wiedział – ale szybko je puścił, czując, jak coś tłustego pełznie między jego palcami. Wytarł rękę w koszulę. Tiffany miała we włosach jakąś białą, błoniastą substancję. Pokrywała też jej twarz, tak grubą warstwą, że ledwo mógł rozróżnić rysy, jakby widział je przez woalkę z rodzaju tych, jakie starsze panie wciąż wkładają do kościoła w krainie wdzięcznych Jezusowi wiernych.

– Co to jest? – Terry nadal pocierał dłoń. Substancja była nieprzyjemna, śliska, lekko łaskocząca. – Pajęczyna?

Roger zajrzał mu przez ramię; w jego wytrzeszczonych oczach fascynacja mieszała się z obrzydzeniem.

– To wyłazi jej z nosa, Ter! I z oczu! Co jest, kurwa?

Ratownik Bartlett oderwał kawałek mazi ze szczęki Tiffany i wytarł rękę w koszulę, ale zanim to zrobił, Terry zauważył, że substancja zaraz po zdjęciu z twarzy zaczęła się roztapiać. Spojrzał na swoją dłoń. Sucha, czysta skóra. Na koszuli też ani śladu, choć jeszcze przed chwilą widniała na niej plama.

Emerson przyłożył palce do szyi Tiffany.

– Wyczuwam tętno. Mocne, równe. Oddycha bez trudności. Widzę, jak to paskudztwo wydyma się i opada. Podaj zestaw ratowniczy.

Bartlett wyciągnął pomarańczową torbę z przenośnego szpitala, zawahał się, po czym sięgnął po jednorazowe rękawice. Jedną parę dał Emersonowi, drugą wziął dla siebie. Terry przyglądał się, głęboko żałując, że dotknął tego czegoś na skórze Tiffany. A jeśli to jest trujące?

Ratownicy zmierzyli jej ciśnienie – było w normie. Potem naradzili się, czy oczyścić jej oczy i obejrzeć źrenice, ostatecznie jednak postanowili tego nie robić – i była to najlepsza decyzja w ich życiu, choć wtedy o tym nie wiedzieli.

W czasie ich rozmowy Terry spostrzegł coś, co mu się nie spodobało: obrośnięte pajęczynami usta Tiffany powoli otwierały się i zamykały, jakby przeżuwała powietrze. Język jej zbielał. Włókienka wysnuwały się z niego, falując jak plankton.

Bartlett wstał.

– Trzeba ją jak najszybciej zabrać do Świętej Teresy, chyba że macie coś przeciwko. Jeśli tak, mówcie, bo dopóki jest w stabilnym stanie… – Spojrzał na Emersona, a ten kiwnął głową.

– Obczajcie jej oczy – powiedział Roger. – Całe białe. Ja cię w mordę!

– Dobra, zabierajcie ją – rzucił Terry. – I tak jej nie przesłuchamy.

– A co z dwoma denatami? – zapytał Bartlett. – Na nich też toto rośnie?

– Nie. – Terry pokazał palcem sterczącą głowę. – Tego widzicie. Na Trumanie, tym w środku, też nic nie ma.

– A w zlewie? – spytał Bartlett. – W sedesie? Pod prysznicem? Chodzi mi o mokre miejsca.

– Pod prysznicem jest telewizor – palnął Terry, bo w pierwszej chwili tylko to przyszło mu do głowy. Jeszcze jedna myśl ni z gruszki, ni z pietruszki: czy Squeak jest już otwarty? Pora może trochę wczesna, ale w takie poranki masz prawo obalić piwko czy dwa, jest specjalna dyspensa dla tych, którzy oglądają makabryczne trupy i ludzkie twarze obrośnięte jakimś paskudztwem. Nie odrywał oczu od Tiffany Jones, która powoli, ale nieubłaganie była grzebana żywcem pod przeświturającą białą mgłą… czegoś. Zmusił się, by wrócić do tematu. – Tylko na niej.

– Panowie, a jeśli to jest zaraźliwe? – Roger Elway dopiero teraz poruszył kwestię, o której wszyscy myśleli.

Odpowiedziało mu milczenie.

Nagle Terry kątem oka dostrzegł jakiś ruch i obrócił się w stronę przyczepy. Zrazu pomyślał, że stado wzbijające się z dachu to motyle, ale motyle są kolorowe, a te owady były brązowoszare. Nie motyle, tylko ćmy. Setki ciem.

6

Dwanaście lat wcześniej, w parny dzień późnego lata, do wydziału do spraw zwierząt przyszło zgłoszenie o szopie praczu grasującym pod podłogą stodoły, którą miejscowy kościół episkopalny przerobił na „ośrodek pastoralny”. Zachodziły obawy, że zwierzę ma wściekliznę. Frank od razu pojechał na miejsce. Nałożył maskę ochronną i rękawice do łokci, wczołgał się pod budynek, poświecił latarką na zwierzaka, ten zaś uciekł, jak postąpiłby każdy zdrowy szop. Na tym sprawa by się zakończyła – wściekłe szopy stanowiły poważne zagrożenie, szopy intruzi niekoniecznie – gdyby nie to, że ładna dwudziestoparolatka, która pokazała mu otwór pod stodołą, poczęstowała go niebieskim napojem Kool-Aid, serwowanym

gościom kiermaszu dobroczynnego, który odbywał się na parkingu. Napój był dość ohydny – za dużo wody, za mało cukru – ale Frank wypił porcję wartą trzy dolary, byle tylko jak najdłużej stać w żółknącej trawie przed kościołem i rozmawiać z kobietą, która miała piękny, głośny śmiech, a jak brała się pod biodra, to ciarki go przechodziły.

– To co, spełni pan swój obowiązek, panie Geary? – spytała w końcu Elaine, tak jak to miała w zwyczaju, raptownie ucinając towarzyską pogawędkę i przechodząc do rzeczy. – Bo jeśli usunie pan tego szkodnika, co zabija wszystko pod podłogą kościoła, chętnie pójdę z panem na randkę. Taka jest moja propozycja. Wargi panu zsiniały.

Po pracy Frank wrócił w to miejsce i zabił deską dziurę pod stodołą – wybacz, szopie, jak mus, to mus – a potem zabrał swoją przyszłą żonę do kina.

Dwanaście lat temu.

Co się stało? Czy to jego wina, czy po prostu każde małżeństwo ma ograniczony okres trwałości?

Długo myślał, że układało im się całkiem dobrze. Mieli dziecko, dom, zdrowie. Oczywiście, nie wszystko było zupełnie cacy. Z pieniędzmi bywało krucho. Nana nie była najpilniejszą uczennicą. Frank czasem robił się… cóż… kiedy życie dawało mu w kość, może stawał się trochę szorstki w obyciu. Każdy jednak ma jakieś wady i przez dwanaście lat trudno zawsze wszystko dusić w sobie. Tyle że jego żona postrzegała to inaczej. Osiem miesięcy temu powiedziała mu, jak konkretnie to widzi.

Przedstawiła swoje przemyślenia po pamiętnym ciosie pięścią w ścianę kuchni. Najpierw oznajmiła, że podarowała kościołowi osiemset dolarów na głodujące dzieci w jakimś kurewsko koszmarnym zakątku Afryki. Frank nie był bez serca; rozumiał, że tam cierpią ludzie. Nie dajesz jednak innym pieniędzy, jeśli cię na to nie stać. Nie narażasz na szwank przyszłości własnego dziecka, żeby pomóc cudzym dzieciom. Owszem, to było szaleństwo – cała rata kredytu hipotecznego poszybowała za ocean – ale nie dlatego walnął pięścią w ścianę. Do tego sprowokowały go następne słowa żony i mina, z jaką je wypowiedziała – bezczelna i nieprzystępna

jednocześnie: „Moje pieniądze, moja decyzja”. Jakby przysięga małżeńska po jedenastu latach nic dla niej nie znaczyła, jakby bez konsultacji z nim mogła robić, co jej się żywnie podoba. Uderzył więc pięścią ścianę (ścianę, nie ją); Nana uciekła z płaczem na górę, a Elaine wygłosiła swoje oświadczenie: „Kiedyś wyżyjesz się na nas, kochany. Pewnego dnia nie skończy się na ścianie”.

Nic, co Frank mówił, nic, co robił, nie mogło zmienić jej decyzji. Albo próbna separacja, albo rozwód. Wybrał to pierwsze. Jej przepowiednia się nie spełniła. Nie wyżywał się na nich. I nie będzie. Jest silny. Jest ich obrońcą.

Pozostawało jeszcze dość ważne pytanie: co chciała w ten sposób udowodnić? Jaką korzyść miała z tego, że kazała mu przez to przechodzić? Czy to jakaś niezaleczona trauma z dzieciństwa? A może zwyczajny sadyzm?

Tak czy owak, to było jak zły sen. I zupełnie bez sensu. Bezsens to coś, z czym każdy Afroamerykanin, który przeżył trzydzieści osiem lat w tych stronach (i w ogóle w Stanach Zjednoczonych), styka się praktycznie na co dzień – w końcu czymże jest rasizm, jeśli nie bezsensem. Przypomniał sobie córkę górnika, którą poznał w pierwszej czy drugiej klasie – miała przednie zęby ułożone w wachlarz jak karty w ręku pokerzysty i włosy spięte w mysie ogonki, tak krótkie, że wyglądały niczym kikuty. Ucisnęła palcem jego nadgarstek i stwierdziła: „Jesteś koloru zgniłoty, Frank. Jak toto, co mój tato ma pod paznokciami”. Jej mina wyrażała na poły rozbawienie, na poły fascynację i była beznadziejnie tępa. Już w dzieciństwie Frank potrafił poznać tę czarną dziurę nieuleczalnej głupoty. Zdumiała go i wprawiła w osłupienie. Kiedy później widział ją w innych twarzach, przerażała go, złościła – wtedy jednak patrzył z podziwem. Taka głupota wytwarza własne pole grawitacyjne. Przyciąga.

Tylko że Elaine nie była głupia. Wcale a wcale. Była na przeciwległym biegunie od głupoty.

Elaine wiedziała, jak to jest, kiedy po całym sklepie łazi za tobą biały małolat, który nawet nie zrobił matury, a ma się za Batmana i liczy, że przyłapie cię na kradzieży puszki orzeszków. Musiała znosić wyzwiska protestujących przed przychodnią Planned Parenthood,

słuchać, jak do piekła posyłają ją ludzie, którzy nawet nie znają jej imienia.

Czego więc chciała? Po co zadawać mu taki ból?

Jedna odpowiedź powracała natrętnie: miała podstawy, żeby się niepokoić.

Szukając zielonego mercedesa, Frank wciąż miał przed oczami tę chwilę, kiedy Nana odwróciła się od niego i poszła do domu, gdy rozrzuciła kopnięciem starannie ułożone kawałki kredy i rozmazała nogami swój rysunek.

Wiedział, że nie jest doskonały, wiedział też jednak, że jest z gruntu dobrym człowiekiem. Pomagał ludziom, pomagał zwierzętom; kochał córkę i zrobiłby wszystko, żeby zapewnić jej bezpieczeństwo; nigdy nie podniósł ręki na żonę. Czy popełnił błędy? Czy pamiętny cios w ścianę był jednym z nich? Pierwszy był gotów to przyznać. Nawet przed sądem. Nigdy jednak nie zrobił krzywdy nikomu, kto na to nie zasłużył, a dziś tylko porozmawia z tym facetem od mercedesa, prawda?

Przejechał pikapem przez elegancką bramę z kutego żelaza i zaparkował za zielonym mercedesem. Przedni zderzak po lewej stronie był pokryty kurzem drogi, ale po prawej lśnił czystością. Widać, że sukinsyn przetarł go szmatą.

Ruszył wyłożoną łupkiem ścieżką łączącą podjazd z drzwiami dużego białego domu. Po bokach ciągnęły się rabaty obsadzone sasafrasem, sklepienie liści tworzyło kryty korytarz. Ptaki ćwierkały w gałęziach nad głową Franka. Na końcu ścieżki, u podnóża schodów, stała kamienna donica, w której rozkwitał młody bez. Frank oparł się pokusie, żeby wyrwać go z korzeniami. Wdrapał się na ganek. Na solidnych, dębowych drzwiach wisiała mosiężna kołatka w kształcie kaduceusza.

Nakazał sobie zawrócić i pojechać prosto do domu. A potem złapał za kołatkę i raz po raz zaczął walić w drzwi.

Trochę trwało, zanim Garth Flickinger zwlókł się z kanapy.

– Chwila, moment – zawołał nadaremno; drzwi były za grube, jego głos zbyt ochrypły. Palił metę non stop, od kiedy wrócił z przybytku rozkoszy Trumana Mayweathera.

Gdyby ktoś zapytał go o narkotyki, Garth dobitnie uświadomiłby mu, że zażywa je tylko od czasu do czasu, rekreacyjnie, jednak ten ranek był wyjątkowy. Mało powiedziane: to była sytuacja nadzwyczajna. Nie co dzień człowiek szcza w przyczepie mieszkalnej swojego dilera, kiedy za lichymi drzwiami sracza wybucha trzecia wojna światowa. Coś się stało – trzask, huk wystrzałów, krzyki – a Garth, jak skończony idiota, wyjrzał na zewnątrz, żeby sprawdzić, co się dzieje. Nieprędko zapomni to, co zobaczył. Może nigdy. Na drugim końcu przyczepy stała czarnowłosa kobieta, naga od pasa w dół. Trzymała kumpla Trumana z Arkansas za włosy i pasek dżinsów i waliła jego głową w ścianę – bach! bach! bach!

Jakby zobaczył machinę oblężniczą tłukącą potężnym drzewem we wrota zamku. Głowa mężczyzny była zalana krwią, ręce latały u boków, jakby zmienił się w szmacianą lalkę.

Truman w tym czasie siedział bezwładnie na podłodze, z dziurą od kuli w czole. A nieznajoma? Miała przerażająco spokojną minę. Zupełnie jakby bez większych emocji odwalała swoją robotę, która w tym przypadku polegała na wykorzystaniu męskiej głowy w charakterze tarana. Garth po cichu zamknął drzwi, wskoczył na klapę sedesu i wygramolił się przez okno. Potem pognał sprintem do swojego samochodu i z prędkością światła wyrwał do domu.

Całe to doświadczenie nieco stargało jego nerwy, a to nie zdarzało się często. Garth Flickinger, dyplomowany chirurg plastyczny, poważany członek Amerykańskiego Stowarzyszenia Chirurgów Plastycznych, zwykle miał pewną rękę – i w pracy, i w życiu.

Teraz już czuł się lepiej, wypalona meta pomogła; ale to łomotanie w drzwi go drażniło.

Chwiejnie ominął kanapę i poczłapał przez salon, brnąc w małym morzu pojemników po fast foodzie.

Na płaskim ekranie nadzwyczaj seksowna reporterka mówiła z wielkim przejęciem o grupie staruszek z domu opieki w Waszyngtonie, które podobno zapadły w śpiączkę. Przez to, że

była taka poważna, wyglądała jeszcze bardziej ponętnie. Rozmiar stanika A, pomyślał Garth, choć jej sylwetka aż się prosiła o B.

– Dlaczego wyłącznie kobiety? – zastanawiała się reporterka na głos. – Początkowo myśleliśmy, że zagrożone są tylko osoby w podeszłym wieku i małe dzieci, wygląda jednak na to, że kobiety ze wszystkich grup wiekowych…

Garth oparł czoło o drzwi i uderzył w nie dłonią.

– Przestań! Dosyć!

– Otwieraj! – Głos był głęboki i wkurzony.

Garth wykrzesał z siebie resztki sił i podniósł głowę, żeby wyjrzeć przez judasza. Za drzwiami stał Afroamerykanin – po trzydziestce, szerokie ramiona, znakomita struktura kostna twarzy. Na widok jego beżowego munduru tętno Gartha na chwilę przyspieszyło – glina! – potem jednak dostrzegł naszywkę z napisem „Wydział ds. zwierząt".

Aha, czyli jesteś hyclem – przystojnym, że ho, ho, ale tylko hyclem. Nie ukrywam żadnych zbiegłych psin, szanowny panie, więc wszystko jest cacy.

Czy jednak na pewno? Kto to mógł wiedzieć. Może ten jegomość to koleżka półnagiej harpii z przyczepy? Lepiej być jej przyjacielem niż wrogiem, stwierdził Garth, ale zdecydowanie najlepiej w ogóle trzymać się od niej z daleka.

– Ona cię przysłała? – spytał. – Niczego nie widziałem. Przekaż jej, dobrze?

– Nie wiem, o czym pan mówi! Przyszedłem sam! Proszę otworzyć! – wrzasnął mężczyzna.

– Dlaczego? – spytał Garth i na dokładkę dorzucił: – Nie ma mowy.

– Proszę pana! Chcę tylko porozmawiać. – Hycel starał się zniżyć głos, ale Garth widział, jak wykrzywia usta, walcząc z potrzebą, tak, z potrzebą, by dalej krzyczeć.

– Nie teraz – odparł Garth.

– Ktoś potrącił kota. Sprawca jechał zielonym mercedesem. Pan ma zielonego mercedesa.

– Przykra sprawa. – Miał na myśli kota, nie mercedesa. Garth lubił koty. Lubił też swoją koszulkę Flamin' Groovies, która leżała zwinięta na podłodze przy schodach. Starł nią krew ze zderzaka swojego

samochodu. Ciężki dzień. – Nic jednak o tym nie wiem. Miałem trudny poranek, więc niech pan sobie idzie. Przykro mi.

Łupnięcie i drzwi zadrżały w zawiasach. Garth się cofnął, zanim facet kopnął w skrzydło.

Widział przez wizjer, że ścięgna w szyi hycla są napięte jak postronki.

– Moje dziecko mieszka kawałek stąd, bałwanie! A gdyby to na nią trafiło? Gdybyś to ją rozjechał zamiast tego kota?

– Dzwonię na policję – uprzedził Garth. Miał nadzieję, że w uszach faceta groźba zabrzmiała bardziej przekonująco niż w jego własnych.

Wycofał się do salonu, osunął na kanapę i sięgnął po fajkę. Torebka z narkotykiem leżała na stoliku. Na zewnątrz rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Potem metaliczny chrzęst. Czyżby señor Hycel znęcał się nad jego mercedesem? Gartha to nie obchodziło, nie dzisiaj. (Tak czy tak, wóz był ubezpieczony). Ta biedna ćpunka. Miała na imię Tiffany, była taka wyniszczona i taka słodka. Czy umarła? Czy ludzie, którzy napadli na przyczepę (zakładał, że nieznajoma była członkiem gangu), zabili ją? Powiedział sobie, że Tiff, słodka czy nie, to nie jego zmartwienie. Lepiej nie fiksować się na tym, czego nie da się zmienić.

Torebka była z niebieskiej folii, przez co kryształki też wydawały się niebieskie. To pewnie niewydarzony hołd Tru Mayweathera dla serialu *Breaking Bad*. Więcej hołdów już nie złoży, wydarzonych czy nie. Garth wziął kryształek i wrzucił go do główki fajki. Cokolwiek señor Hycel robił z jego mercedesem, spowodowało uruchomienie autoalarmu: biip, biip, biip.

W telewizji pokazywali jasną salę szpitalną. Sylwetki dwóch kobiet rysowały się pod pościelą. Ich głowy owinięte były cienkimi kokonami, jakby miały natapirowane koki, tyle że zaczynające się na wysokości brody. Garth zapalił, wciągnął dym, zatrzymał go w płucach.

Biip, biip, biip.

Garth miał córkę, Cathy. Ośmioletnia, chora na wodogłowie, mieszkała w specjalnym zakładzie, bardzo ładnym, na wybrzeżu Karoliny Północnej, tak blisko morza, że w jej pokoju czuć było sól. Za wszystko płacił; tyle mógł zrobić. Lepiej dla małej, żeby to jej

matka dbała o szczegóły. Biedna Cathy. Co takiego powiedział sobie o tej ćpunce? Aha: nie fiksuj się na tym, czego i tak nie zmienisz. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Biedny Garth. Biedne staruszki z głowami uwięzionymi w natapirowanych kokach. Biedny kot.

Piękna reporterka stała na chodniku przed gromadzącym się tłumem. Całkiem dobrze jej było w rozmiarze A. B to tylko taka niezobowiązująca sugestia. Czy zrobiła sobie nos? Jeśli tak – Garth nie miał pewności, musiałby się przyjrzeć z bliska – był świetnie wymodelowany, wyglądał naturalnie, z małym, zgrabnym czubkiem.

– Centrum Zwalczania i Prewencji Chorób wydało komunikat specjalny – oznajmiła. – „Pod żadnym pozorem nie podejmować próby usunięcia narośli".

– Może jestem stuknięty – mruknął Garth – ale teraz na złość mam ochotę to zrobić.

Zmęczony wiadomościami, zmęczony hyclem, zmęczony wyciem autoalarmu (pewnie go wyłączy, kiedy hycel pójdzie się wyżyć gdzie indziej), zmęczony fiksowaniem się na tym, czego nie da się zmienić, przełączał kanały, aż znalazł program o tym, jak w sześć dni wyrobić sobie kaloryfer na brzuchu. Próbował spisać darmowy numer z ekranu, ale jedyny długopis, jaki znalazł, nie chciał pisać po jego dłoni.

ROZDZIAŁ 4

1

Hrabstwa McDowell, Bridger i Dooling zamieszkiwało w sumie około siedemdziesięciu dwóch tysięcy dusz, z czego pięćdziesiąt pięć procent stanowili mężczyźni, a czterdzieści pięć kobiety. Liczba ludności spadła o pięć tysięcy w porównaniu z ostatnim pełnym spisem powszechnym, co oficjalnie czyniło ten teren „obszarem odpływowym". Były dwa szpitale, jeden w hrabstwie McDowell („Rewelacyjny sklep z pamiątkami!", głosił jedyny wpis w sekcji komentarzy na jego stronie internetowej) i drugi, znacznie większy, w hrabstwie Dooling, które miało najwięcej, bo trzydzieści dwa tysiące mieszkańców. Na obszarze trzech hrabstw znajdowało się w sumie dziesięć przychodni, a do tego dwa tuziny tak zwanych poradni przeciwbólowych w głębi sosnowych lasów, gdzie można było dostać rozmaite leki na bazie opioidów, wydawane na wypisywane od ręki recepty. Dawno, dawno temu, zanim w większości kopalń wyczerpały się złoża, ta okolica zwana była Republiką Mężczyzn bez Palców. Ostatnimi czasy stała się Republiką Bezrobotnych, ale miało to swoje zalety – większość mężczyzn przed pięćdziesiątką miała palce w komplecie i od dziesięciu lat nikt nie zginął zasypany w kopalni.

Tego ranka, kiedy Evie Doe (nie chciała podać nazwiska, więc Lila Norcross wpisała do akt takie dane) złożyła wizytę w przyczepie mieszkalnej Trumana Mayweathera, większość spośród około czternastu tysięcy kobiet w hrabstwie Dooling obudziła się jak zwykle i zaczęła dzień. Wiele z nich widziało w telewizji relacje o rozprzestrzeniającej się zarazie, którą pierwotnie nazywano

śpiączką australijską, potem śpiączką kobiecą, a następnie grypą Aurory – od imienia bohaterki disnejowskiej wersji *Śpiącej Królewny*. Tylko nieliczne były tymi doniesieniami przerażone; bądź co bądź, Australia, Hawaje i Los Angeles leżały daleko, i choć relacja Michaeli Morgan z domu starców w Georgetown mogła trochę niepokoić, a Waszyngton znajdował się geograficznie blisko – o niecały dzień jazdy – to jednak był dużym miastem i w przekonaniu większości miejscowych należał z tego względu do zupełnie innej kategorii. Poza tym News America miało na tym obszarze niską oglądalność, większość wolała *Dzień dobry, Wheeling* albo Ellen DeGeneres.

Pierwszy sygnał, że coś może być nie tak nawet tutaj, u Pana Boga za piecem, odnotowano kilka minut po dziewiątej rano. Miał on postać Yvette Alderson, która krzywo zaparkowała leciwego jeepa cherokee przed wejściem do Szpitala Świętej Teresy, po czym wpadła do SOR-u ze swoimi małymi bliźniaczkami na rękach. O każdą z jej piersi opierała się mała twarzyczka, owinięta kokonem. Yvette zawodziła jak syrena przeciwpożarowa, co szybko przyciągnęło uwagę lekarzy i pielęgniarek.

– Niech ktoś pomoże moim córeczkom! Nie chcą się obudzić! Nijak nie mogę ich obudzić!

Parę godzin później przywieziono Tiffany Jones – znacznie starszą, ale podobnie otuloną. O trzeciej po południu SOR był już pełny. Wciąż jednak przybywali następni: ojcowie i matki z córkami na rękach, dziewczynki niosące młodsze siostry, wujkowie niosący siostrzenice i bratanice, mężowie niosący żony. Tego popołudnia telewizor w poczekalni nie pokazywał *Sędzi Judy*, *Doktora Phila* ani teleturniejów. Leciały tylko wiadomości, a spikerzy mówili wyłącznie o tajemniczej śpiączce, na którą zapadają jedynie osoby z parą chromosomów XX.

Nigdy nie ustalono dokładnej pory co do minuty, pół minuty czy sekundy, kiedy śpiące przedstawicielki homo sapiens płci żeńskiej przestały się budzić i zaczęły wytwarzać powłoki. Na podstawie zebranych danych naukowcy orzekli jednak, że musiało to nastąpić między 7:37 a 7:57 czasu wschodniego.

– Pozostaje czekać, aż się ockną – powiedział George Alderson z News America. – Jak dotąd nie udało się to żadnej z nich. Michaela

Morgan przedstawi państwu więcej szczegółów.

2

Kiedy Lila Norcross dotarła przed kwadratowy murowany budynek, który mieścił z jednej strony biuro szeryfa hrabstwa Dooling, a z drugiej urząd miejski, wszyscy byli na pokładzie. Reed Barrows, zastępca szeryfa, czekał przy krawężniku, gotowy przypilnować aresztantki.

– Bądź grzeczna, Evie – powiedziała Lila, otwierając drzwi. – Zaraz wracam.

– Bądź grzeczna, Lila – odparła Evie. – Będę czekała. – Zaśmiała się. Schnąca krew z nosa pokryła krakelurą jej policzki; krew z rozciętego czoła usztywniła grzywkę w mały wachlarz.

Kiedy Lila wysiadła, ustępując miejsca Reedowi, Evie dodała:

– Triple-double. – I jeszcze trochę się pośmiała.

– Technicy są w drodze do przyczepy – powiedział Reed. – Zastępca prokuratora okręgowego i szóstka też.

– To dobrze. – Lila potruchtała w stronę drzwi posterunku.

Triple-double, pomyślała. Ach, już wiedziała! Co najmniej dziesięć punktów, dziesięć asyst i dziesięć zbiórek. Tyle właśnie uzyskała ta dziewczyna na wczorajszym meczu koszykówki, który Lila pojechała obejrzeć.

Ta dziewczyna – właśnie tak ją nazywała – miała na imię Sheila. To nie wina tej dziewczyny. Nie wina Sheili. Myśląc o niej po imieniu, robiła pierwszy krok do… Do czego? Nie wiedziała. Nie wiedziała i tyle.

No i Clint. Czego chciał Clint? W tych okolicznościach nie powinno jej to obchodzić, a jednak obchodziło. Był dla niej prawdziwą zagadką. W myśli zobaczyła znajomy obraz: mąż siedzi przy kuchennym blacie, patrzy na wiązy za domem, pociera kciukiem knykcie z lekkim grymasem na twarzy. Dawno przestała go pytać w takich sytuacjach, czy wszystko z nim w porządku. „Tylko myślę”,

odpowiadał zawsze. Ale o czym? O kim? Te pytania same się narzucały.

Nie do wiary, jak bardzo Lila była zmęczona, jak słaba; jakby na odcinku może dwudziestu kroków między radiowozem a schodami posterunku wylały się z niej resztki sił. Wszystko nagle stało się sprawą otwartą. Jeśli Clint nie był Clintem, to kim była ona? Kim byli ludzie w jej otoczeniu?

Musiała się skupić. Zginęli dwaj mężczyźni, kobieta, która prawdopodobnie ich zabiła, siedziała w radiowozie, naćpana po korek. Lila mogła być zmęczona i słaba, ale jeszcze nie teraz.

W biurze zastała Oscara Silvera i Barry'ego Holdena.

– Dzień dobry panom – przywitała się.

– Pani komendant – odparli niemal chórem.

Sędzia Silver był starszy od Boga i chodził z pewnym trudem, ale głowę wciąż miał nie od parady. Barry Holden zarabiał na utrzymanie siebie i swojej trzódki (jedna żona, cztery córki) spisywaniem testamentów i umów, a także negocjowaniem wysokości wypłat z tytułu ubezpieczenia (głównie z budzącym postrach Drew T. Barrym z Zakładu Ubezpieczeń Drew T. Barry'ego). Holden był też jednym z sześciu prawników w tych stronach, którzy rotacyjnie pełnili funkcję obrońców publicznych. Był porządnym gościem i Lila nie musiała mu długo tłumaczyć, czego od niego oczekuje. Skłonny był się zgodzić, ale dla formalności potrzebował zaliczki.

– Dolar wystarczy – powiedział.

– Linny, masz dolara? – Lila zwróciła się do dyspozytorki. – Dziwnie by wyglądało, gdybym wynajęła adwokata kobiecie, którą aresztowałam za dwa zabójstwa.

Linny wręczyła Barry'emu banknot jednodolarowy. Schował go do kieszeni, odwrócił się do sędziego Silvera i przemówił fachowym, sądowym głosem:

– Jako adwokat wynajęty przez Linnette Mars do reprezentowania aresztantki zatrzymanej przez szeryf Norcross wnoszę, aby… jak ona się nazywa, Lila?

– Evie, nazwisko na razie nieznane. Mów na nią Evie Doe.

– Aby Evie Doe została powierzona pieczy doktora Clintona Norcrossa w celu przeprowadzenia badań psychiatrycznych, które to

badania odbędą się w Zakładzie Karnym dla Kobiet w Dooling.

– Przychylam się do wniosku – powiedział z powagą sędzia Silver.

– Hm, a co z prokuratorem okręgowym? – spytała Linny zza biurka. – Czy Janker nie powinien mieć czegoś do powiedzenia w tej sprawie?

– Janker wyraża zgodę zaocznie – odparł sędzia Silver. – Nieraz ratowałem jego niekompetentny tyłek w mojej sali sądowej, więc mogę to powiedzieć z pełnym przekonaniem. Nakazuję, żeby niezwłocznie przewieziono Evie Doe do zakładu karnego w Dooling, gdzie pozostanie na… Może być czterdzieści osiem godzin, Lila?

– Lepiej dziewięćdziesiąt sześć. – Barry Holden najwyraźniej doszedł do wniosku, że powinien coś zrobić dla swojej klientki.

– Dziewięćdziesiąt sześć mnie urządza, panie sędzio – powiedziała Lila. – Chcę tylko, żeby była gdzieś, gdzie już nie zrobi sobie nic złego, dopóki nie poznam odpowiedzi na pewne pytania.

Linny znów się wtrąciła:

– Clint i naczelnik Coates nie będą mieli nic przeciwko niespodziewanemu gościowi?

Zaczynała trochę działać Lili na nerwy.

– Zajmę się tym – odparła i znów pomyślała o nowej aresztantce. Evie Doe, tajemniczej zabójczyni, która znała jej imię i bredziła o triple-double. Bez wątpienia zbieg okoliczności, ale niemile widziany i zupełnie nie w porę. – Wprowadźmy ją tutaj, trzeba pobrać jej odciski palców. Linny i ja musimy też wziąć ją do jednej z cel i przebrać w aresztanckie drelichy. Jej koszulę trzeba włączyć do dowodów, a nie ma na sobie nic poza nią. Nie zawiozę kobiety do więzienia z gołym tyłkiem, nie?

– Nie, jako jej adwokat musiałbym wyrazić stanowczy sprzeciw – powiedział Barry.

3

– A zatem, Jeanette… co słychać?

Jeanette zastanowiła się, jak zareagować na pierwszy ruch Clinta.

– Hm, pomyślmy. Ree mówiła, że we śnie jadła ciasto z Michelle Obamą.

Przechadzali się niespiesznie – on, więzienny psychiatra, ona, osadzona pacjentka. Spacerniak był opustoszały; o tej porze poranka większość więźniarek była zajęta pracą (stolarstwo, produkcja mebli, prace konserwatorskie, pranie, sprzątanie), uczestniczyła w kursach przygotowawczych do zaocznej matury prowadzonych w Szkole dla Głupków, jak nazywano ją w zakładzie karnym w Dooling, albo po prostu wylegiwała się w celach i odliczała dni do końca wyroku.

Do beżowej koszuli Jeanette przyczepiona była przepustka na spacerniak, podpisana przez samego Clinta. To znaczyło, że osobiście za nią odpowiadał. Nie miał nic przeciwko. Była jedną z jego ulubionych pacjentek (jego pupilek, jak powiedziałaby naczelnik Janice Coates, żeby zagrać mu na nerwach), a już na pewno była najmniej kłopotliwą osadzoną. Jego zdaniem, miejsce Jeanette było na zewnątrz – nie w innej instytucji, tylko dosłownie na zewnątrz – na wolności. Nie przedstawiłby tej opinii samej Jeanette, bo co by jej to dało? Byli w Appalachach. W tych stronach nie puszcza się płazem zabójstwa, nawet nieumyślnego. O swoim osobistym przekonaniu, że Jeanette nie była winna śmierci Damiana Sorleya, nie powiedziałby nikomu oprócz swojej żony, a może i jej niekoniecznie. Ostatnio Lila wydawała się nieswoja. Trochę rozkojarzona. Dzisiaj rano, na przykład, choć pewnie akurat była niewyspana. No i wciąż nie dawało mu spokoju to, co Vanessa Lampley powiedziała o wywrotce ciężarówki z karmą dla zwierząt na Mountain Rest Road rok temu. Na ile prawdopodobne jest, że w odstępie kilkunastu miesięcy doszło do dwóch identycznych, dziwacznych wypadków?

– Doktorze N., jest pan tutaj? Powiedziałam, że Ree…

– Śniła, że jadła z Michelle Obamą, słyszałem.

– Tak powiedziała najpierw. Ale zmyślała. Tak naprawdę śniło się jej, że nauczycielka krzyczała na nią, że jest w złej sali. Klasyczny sen lękowy, zgodzi się pan?

– Możliwe. – To była jedna z mniej więcej tuzina standardowych odpowiedzi, które miał w zanadrzu na wypadek, gdyby pacjentki zadawały pytania.

– Doktorze, jak pan myśli, przyjechałby do nas Tom Brady? Wygłosiłby przemówienie, rozdał autografy i tak dalej?

– Możliwe.

– Mógłby się podpisać na tych małych zabawkowych piłkach futbolowych.

– Pewnie.

Jeanette się zatrzymała.

– Co przed chwilą powiedziałam?

Clint pomyślał chwilę i parsknął śmiechem.

– No to wpadłem.

– Gdzie pan błądzi myślami, doktorze? Znowu robi pan to, co zwykle. Proszę wybaczyć, że ten, no, wnikam w sprawy osobiste, ale czy w domu wszystko w porządku?

Z nieprzyjemnym drżeniem serca Clint uprzytomnił sobie, że sam już nie wie, czy wszystko jest w porządku. Niespodziewane pytanie Jeanette – jej spostrzegawczość – obudziło w nim niepokój. Lila go okłamała. Nie było żadnej kraksy na Mountain Rest Road, przynajmniej nie ostatniej nocy. Nagle miał co do tego absolutną pewność.

– W domu wszystko gra – odparł. – Co zwykle robię?

Nachmurzyła się i podniosła pięść.

– Kiedy pan tak robi – potarła knykcie kciukiem – wiem, że buja pan w obłokach czy coś. Zupełnie jakby wspominał pan bójkę sprzed lat.

– Aha – rzucił. Mało brakowało. Musi się bardziej pilnować. – Stare przyzwyczajenie. Ale pomówmy o tobie, Jeanette.

– Mój ulubiony temat. – Niby to właśnie chciał usłyszeć, ale wiedział, że nie może dać się nabrać. Gdyby pozwolił Jeanette przejąć kontrolę nad tą rozmową, przegadaliby całą godzinę w słońcu o Ree Dempster, Michelle Obamie, Tomie Bradym i o każdym, kto przyszedłby jej do głowy. Jeanette była mistrzynią wolnych skojarzeń.

– To dobrze. Co ci się przyśniło ostatniej nocy? Jeśli mamy rozmawiać o snach, mówmy o twoich.

– Nie pamiętam. Ree też o to pytała i powiedziałam jej to samo. To chyba przez te nowe leki, które pan doktor mi przepisał.

– Czyli coś ci się śniło.

– Tak… chyba… – Jeanette patrzyła na ogródek warzywny zamiast na niego.

– Może Damian? Kiedyś często o nim śniłaś.

– Jasne, o tym, jak wtedy wyglądał. Cały siny. Ale już dawno nie miałam snów o sinym człowieku. Hej, pamięta pan film *Omen*? Ten o synu diabła? Tamten dzieciak też miał na imię Damien, tylko chyba inaczej się to pisało.

– Ty masz syna…

– No to co? – Teraz patrzyła na niego, i to trochę nieufnie.

– Cóż, niektórzy mogliby powiedzieć, że mąż był diabłem w twoim życiu, co czyniłoby Bobby'ego…

– Synem diabła! *Omen II!* – Ryknęła gromkim śmiechem, wymierzając w niego palec wskazujący. – Och, a to mnie pan rozbawił! Bobby jest najsłodszym dzieckiem na świecie, wdał się w rodzinę mojej mamy. Co drugi miesiąc przyjeżdża do mnie aż z Ohio z moją siostrą. Przecież pan wie. – Pośmiała się jeszcze trochę. Był to dźwięk rzadko słyszany na tym ogrodzonym i ściśle pilnowanym kawałku gruntu, ale niezwykle miły dla ucha. A później spytała: – Wie pan, co myślę?

– Nie. Jestem psychiatrą, nie jasnowidzem.

– Myślę, że to może być klasyczny przypadek „przeniesienia". – Pokazała cudzysłów palcami obu dłoni. – W sensie boi się pan, że to pana syn jest dzieckiem diabła.

Tym razem to Clint się roześmiał. Myśl, że Jared miałby być w jakikolwiek sposób związany z diabłem – Jared, który strzepywał komary z rąk, zamiast je rozgniatać – była surrealistyczna. Martwił się o syna, owszem, ale nie o to, że skończy za kratami i drutem kolczastym – jak Jeanette, Ree Dempster, Kitty McDavid i ta tykająca bomba zegarowa, znana jako Angel Fitzroy. Kurczę, chłopak nie miał nawet dość odwagi, żeby zaprosić Mary Pak na wiosenną zabawę szkolną.

– Z Jaredem jest wszystko w porządku. I z twoim Bobbym na pewno też. Jak te nowe leki działają na twoje… jak ty to nazywasz?

– Przymulenie. To wtedy, kiedy jakoś gorzej widzę i słyszę ludzi. Po tych nowych prochach znacznie z tym lepiej.

– Nie mówisz tak tylko dla świętego spokoju? Bo musisz być ze mną szczera, Jeanette. Wiesz, co zawsze powtarzam?

– Szczerość popłaca. I mówię prawdę. Jest lepiej. Czasem jednak nadal łapię doła, a wtedy zaczynam odpływać i przymulenie wraca.

– Jakieś wyjątki? Jest ktoś, kogo słyszysz głośno i wyraźnie, nawet będąc w depresji? I kto ewentualnie mógłby cię z niej wyciągnąć za uszy?

– Wyciągnąć za uszy! To mi się podoba. Tak, Bobby mógłby. Miał pięć lat, kiedy tu trafiłam. Teraz ma dwanaście. Gra na klawiszach w zespole, uwierzy pan? I śpiewa!

– Musisz być bardzo dumna.

– Jestem! Pański syn jest mniej więcej w tym samym wieku, prawda?

Clint, który potrafił poznać, kiedy podopieczna próbuje zmienić temat, burknął wymijająco, zamiast powiedzieć, że Jared niebawem – nie do wiary! – będzie mógł głosować w wyborach.

Jeanette trzepnęła go w ramię.

– Niech pan pilnuje, żeby nosił przy sobie prezerwatywy.

Od strony osłoniętego parasolem posterunku strażnika blisko północnej ściany dobiegł głos z megafonu:

– Osadzona! Zakaz fizycznego kontaktu!

Clint pomachał do strażnika usadowionego na krześle ogrodowym (trudno go było poznać z megafonem przy ustach, ale miał wrażenie, że to ten dupek Don Peters), żeby pokazać, że nic się nie stało, po czym zwrócił się do Jeanette:

– Teraz to ja będę musiał porozmawiać z terapeutą. – Zaśmiała się z satysfakcją, a Clintowi przyszło do głowy, nie po raz pierwszy zresztą, że w innych okolicznościach chętnie zaprzyjaźniłby się z Jeanette Sorley. – Hej, Jeanette, wiesz, kto to jest Warner Wolf?

– Prosimy o materiał z magnetowidu! – zaryczała bez namysłu. Jakby usłyszał samego Wolfa. – A dlaczego pan pyta?

Dobre pytanie. Dlaczego o to zapytał? Co stary komentator sportowy ma z czymkolwiek coś wspólnego? I czy to ważne, że jego osobisty popkulturowy układ odniesienia (podobnie jak jego tężyzna) nie jest pierwszej świeżości?

Inne, lepsze pytanie: Dlaczego Lila go okłamała?

– Hm – mruknął – ktoś o nim niedawno wspomniał. Wydało mi się to zabawne.

– Tak, mój tata go uwielbiał – powiedziała Jeanette.

– Twój tata.

Jego telefon zagrał fragment *Hey, Jude*. Spojrzał na wyświetlacz i zobaczył zdjęcie żony. Lila, która powinna teraz być w krainie snów; Lila, która może pamiętała Warnera Wolfa, a może nie; Lila, która go okłamała.

– Muszę odebrać – rzucił do Jeanette. – Ale będę się streszczał. Idź do ogródka, wyrwij parę chwastów i spróbuj sobie przypomnieć, co ci się śniło.

– Trochę prywatności, zrozumiałam – odparła i ruszyła we wskazane miejsce.

Clint znów pomachał w stronę północnej ściany, dając strażnikowi znać, że pozwolił Jeanette odejść, po czym odebrał połączenie.

– Cześć, Lila, co słychać? – Uświadomił sobie, że tymi samymi słowami otwiera wiele sesji terapeutycznych.

– Och, nic nowego – usłyszał. – Wybuch w wytwórni metamfetaminy, podwójne morderstwo, sprawczyni aresztowana. Zgarnęłam ją, kiedy szła Ball's Hill praktycznie na golasa.

– Żartujesz?

– Niestety, nie.

– Kurdemol, nic ci się nie stało?

– Jadę na samej adrenalinie, ale poza tym wszystko w porządku. Potrzebuję jednak pomocy.

Przedstawiła szczegóły. Clint słuchał, o nic nie pytając. Jeanette zajęła się grządką grochu, pełła chwasty i śpiewała wesołą piosenkę o kimś, kto idzie nad rzekę Harlem się utopić. Na północnym końcu spacerniaka Vanessa Lampley podeszła do krzesła Dona Petersa, powiedziała coś i zmieniła go na posterunku; Don powlókł się do skrzydła administracyjnego, noga za nogą, ze spuszczoną głową, jak uczeń wezwany do dyrektora. Kto jak kto, ale ten wór flaków i płynów ustrojowych zasługiwał na to, żeby wylądować na dywaniku.

– Clint? Jesteś tam jeszcze?

– Jestem. Zamyśliłem się.

– Zamyśliłeś się – powtórzyła Lila. – Nad czym?

– Nad procedurą. – Clint był zaskoczony, że tak naciskała. Prawie jakby z niego kpiła. – Teoretycznie jest to możliwe, ale musiałbym zapytać Janice…

– To zapytaj, proszę. Mogę być u was za dwadzieścia minut. A jeśli będzie trzeba ją przekonać, to przekonaj. Naprawdę potrzebuję pomocy, Clint.

– Spokojnie, załatwię to. Obawa przed samookaleczeniem to mocny argument. – Jeanette skończyła pleć jedną grządkę i teraz posuwała się wzdłuż drugiej, z powrotem w jego kierunku. – Chodzi tylko o to, że normalnie należałoby ją najpierw zabrać do świętej Tereski na badania. Jak rozumiem, mocno pokiereszowała sobie twarz.

– Jej twarz na razie mnie nie obchodzi. Prawie urwała łeb jednemu facetowi, głową drugiego przebiła ścianę przyczepy mieszkalnej. Naprawdę uważasz, że mogę ją zostawić w pokoju badań z jakimś dwudziestopięcioletnim stażystą?

Chciał znów zapytać, czy nic jej się nie stało, ale wiedział, że w obecnym nastroju tylko by się wściekła; kiedy człowiek pada z nóg, tak właśnie robi – wyładowuje się na kimś, kto jest bezpieczny. Czasem, nawet często, Clint nie znosił być tym bezpiecznym.

– Lepiej nie.

W słuchawce usłyszał dźwięki ruchu ulicznego. Lila wyszła z budynku.

– Nie chodzi tylko o to, że jest niebezpieczna czy że ma nierówno pod sufitem. Po prostu, jak powiedziałby Jared, „czuję moim pajęczym zmysłem, że coś jest nie tak”.

– Może gdyby miał siedem lat.

– Nigdy wcześniej jej nie widziałam, mogłabym przysiąc na stos Biblii, a mimo to ona mnie zna. Zwróciła się do mnie po imieniu.

– Jeśli jesteś w koszuli od munduru, a zakładam, że tak, to na piersi masz naszywkę z nazwiskiem – zauważył Clint.

– Tak, ale na niej jest tylko nazwisko. A ona nazwała mnie Lilą. Muszę kończyć. Obiecaj, że kiedy przyjedziemy, przyjmiecie ją z honorami.

– Obiecuję.

– Dziękuję. – Lila odchrząknęła. – Dziękuję, skarbie.

– Nie ma sprawy. Ale przysługa za przysługę. Nie wieź jej sama. Jesteś padnięta.

– Reed Barrows poprowadzi. Ja będę pasażerką.

– To dobrze. Kocham cię.

Szczęknęły otwierane drzwi, pewnie radiowozu Lili.

– Ja ciebie też – powiedziała i rozłączyła się.

Czy wyczuł w jej głosie lekkie wahanie? Nie miał teraz czasu o tym myśleć, dłubać w tym, aż zrobi z tego problem, którego w rzeczywistości pewnie nie było, i w sumie dobrze.

– Jeanette! – zawołał, a kiedy odwróciła się do niego, powiedział: – Muszę skrócić naszą sesję. Coś mi wypadło.

4

Zakłamanie było zaprzysięgłym wrogiem Coates. Nie żeby większość ludzi się z nim przyjaźniła czy choćby je lubiła, ale tolerowali kłamstwa, uczyli się z nimi żyć, sami rozrzucali je na lewo i prawo. Naczelnik Janice Tabitha Coates nigdy nikomu nie wciskała kitu. To nie leżało w jej naturze, a poza tym mijałoby się z celem. Więzienie i tak było fabryką kitu – można by je nazwać Wytwórnią Kitu w Dooling, a praca Janice polegała na tym, żeby trzymać produkcję w ryzach. Zasypywały ją ociekające zakłamaniem pisma od władz stanu z żądaniami, żeby jednocześnie cięła koszty i poprawiała jakość usług. Strumień zakłamania płynął z sądów – w których więźniarki, adwokaci i prokuratorzy spierali się na rozprawach apelacyjnych – a ona zawsze jakoś dawała się w to wciągnąć. Departament Zdrowia z lubością przeprowadzał niczemu niesłużące inspekcje. Spece, którzy przyjeżdżali naprawiać więzienną instalację elektryczną, zawsze obiecywali, że to już na pewno ostatni raz – i zawsze ich zapewnienia okazywały się gówno warte. Instalacja psuła się dalej.

I cały ten bajzel nie kończył się, kiedy Coates wracała do domu. Nawet gdy spała, piętrzył się niczym zaspa podczas zamieci, szara góra kitu. Weźmy choćby to, że tego samego ranka, kiedy Kitty McDavid odbiło, dwie asystentki lekarza postanowiły zrobić sobie wagary. Sterta syfu czekała na nią, kiedy tylko przestąpiła próg więzienia.

Norcross był rzetelnym psychiatrą, ale i on zwiększał ogólne stany kitu, żądając specjalnych terapii i przywilejów dla swoich pacjentek. Chroniczna ślepota pana doktora na fakt, że więźniarki z Dooling w przytłaczającej większości same są geniuszkami wciskania kitu, kobietami, które przez całe życie doskonaliły sztukę wynajdowania kłamliwych wymówek na każdą okazję, była rozczulająca, tyle tylko że to Coates musiała potem sprzątać.

Zresztą, pomimo ich zakłamania, niektóre więźniarki miały rzeczywiste powody, dla których skończyły tak, jak skończyły. Janice Coates nie była głupia ani bez serca. Wiele kobiet z zakładu przede wszystkim miało pecha. Wiedziała o tym. Koszmarne dzieciństwo, okropni mężowie, sytuacje bez wyjścia, choroby psychiczne leczone narkotykami i alkoholem. Te kobiety nie tylko wciskały kit, ale i były ofiarami tego procederu. Jednak nie do naczelnika należało zrobienie z tym porządku. Współczucie nie mogło jej przeszkadzać w wykonywaniu obowiązków. Te kobiety były tutaj, a ona musiała sprawować nad nimi pieczę.

Co znaczyło, że musiała się zająć Donem Petersem, mistrzem wciskania kitu, który właśnie kończył opowiadać jej kolejną wyssaną z palca historyjkę, mającą udowodnić, że jest uczciwym, bezpodstawnie oskarżanym człowiekiem pracy.

Kiedy zamknął wywód starannie wycyzelowaną pointą, powiedziała:

– Nie pieprz mi tu o związkach zawodowych, Peters. Jeszcze jedna skarga i wylatujesz. Jedna osadzona twierdzi, że złapałeś ją za pierś, druga, że uszczypnąłeś ją w tyłek, trzeciej podobno proponowałeś pół paczki newportów za obciągnięcie. Jeśli związek będzie chciał pójść dla ciebie na materace, ich sprawa, ale szczerze wątpię, czy się na to zdecydują.

Niski, przysadzisty strażnik siedział na jej kanapie z szeroko rozstawionymi nogami (jakby jego nabiał był czymś, na co chciała patrzeć) i skrzyżowanymi ramionami. Zdmuchnął grzywkę à la Buster Brown, opadającą mu na brwi, i powiedział:

– Nigdy nikogo nie dotknąłem, pani naczelnik.

– Złożyć wymówienie to żaden wstyd.

– Nie odejdę z pracy i nie zrobiłem nic, czego miałbym się wstydzić! – Czerwień oblała jego zwykle blade policzki. Gniewny oddech rozdymał nozdrza.

– To musi być miłe uczucie – zauważyła. – Ja mam całą listę rzeczy, których się wstydzę. W czołówce jest przyjęcie cię do pracy. Jesteś jak glut, którego nie mogę strząsnąć z palca.

Wargi Dona wykrzywiły się w chytrym grymasie.

– Wiem, że próbuje mnie pani zdenerwować, pani naczelnik. To się nie uda.

Nie był głupi, w tym cały problem. Dlatego nikt do tej pory nie złapał go na gorącym uczynku. Peters był na tyle przebiegły, żeby odwalać swoje numery tylko wtedy, kiedy nikogo nie było w pobliżu.

– Pewnie nie. – Coates, siedząca na krawędzi biurka, wzięła swoją torebkę i położyła ją na kolanach. – Ale co szkodzi spróbować.

– Pani wie, że one kłamią. To kryminalistki.

– Na molestowanie seksualne też jest paragraf. Udzielam ci ostatniego ostrzeżenia. – Coates grzebała w torebce, szukając pomadki. – A tak nawiasem, tylko pół paczki? Masz gest, Don. – Wyjęła chusteczki, zapalniczkę, fiolkę leków, iPhone'a, portfel i wreszcie znalazła to, czego szukała. Zatyczka odpadła i kolorowy sztyft oblepiały kłaczki. Janice użyła go mimo to.

Peters milczał. Spojrzała na niego. Był śmieciem, brutalem i miał niesamowite szczęście, że żaden ze strażników nie zgłosił się na świadka przeciwko niemu. Ale dopadnie go. Ma czas. Czas to synonim więzienia.

– Co? Chcesz skorzystać? – Wyciągnęła szminkę w jego stronę. – Nie? To wracaj do pracy.

Trzasnął drzwiami, aż zadrżały w zawiasach; Coates usłyszała, jak wymaszerował z sekretariatu, tupiąc tymi swoimi platfusami niczym nadąsany nastolatek. Zadowolona, że rozmowa dyscyplinująca

przebiegła mniej więcej zgodnie z jej oczekiwaniami, zaczęła szukać w torebce zatyczki pomadki.

Nagle zawibrował jej telefon. Coates odłożyła torebkę na podłogę i podeszła do kanapy. Pomyślała, jak bardzo nie znosi osoby, której tyłek spoczywał tam jeszcze przed chwilą, i usiadła na lewo od zagłębienia w środkowej poduszce.

– Cześć, mamo. – W tle głosu córki słychać było inne, niektóre podniesione, i wycie syren.

Coates odpędziła odruchowe pragnienie, żeby obedrzeć latorośl ze skóry za to, że nie dzwoniła od trzech tygodni.

– Co się stało, kochanie?

– Chwileczkę.

Dźwięki stały się przytłumione. Janice czekała. Jej relacje z córką miały swoje wzloty i upadki. Kiedy Michaela podjęła decyzję, żeby rzucić studia prawnicze i zająć się dziennikarstwem telewizyjnym (na swój sposób równie dużą fabryką kitu, jak system penitencjarny, i pewnie też pełną kryminalistów), wydawało się, że gorzej między nimi być nie może, ich stosunki sięgnęły dna dopiero po operacji plastycznej nosa, na którą zdecydowała się Michaela. Z czasem jednak Coates nauczyła się szanować upór córki. Może nie różniły się aż tak bardzo, jak się wydawało. Postrzelona Magda Dubcek, którą Janice zatrudniała jako opiekunkę, kiedy Michaela była mała, stwierdziła: „Jest taka jak ty, Janice! Nie uznaje słowa »nie«! Mówisz jej, żeby wzięła jedno ciastko, to koniecznie musi wrąbać trzy. Uśmiecha się, chichra i kadzi ci, aż nie masz serca jej odmówić".

Jeszcze dwa lata temu Michaela robiła grzeczne materiały dla lokalnych wiadomości. Teraz była w News America i jej kariera nabrała rozpędu.

– No dobra – wróciła do rozmowy. – Musiałam przejść gdzieś, gdzie jest cicho. Trzymają nas pod Centrum Zwalczania i Prewencji Chorób. Nie mogę długo rozmawiać. Oglądasz wiadomości?

– Jasne, na CNN. – Janice uwielbiała ten docinek i nigdy nie przepuściła okazji, żeby go użyć.

Michaela tym razem go zignorowała.

– Słyszałaś o grypie Aurory? Tej śpiączce?

– Mówili coś w radiu. Jakieś staruszki na Hawajach i w Australii nie mogą się obudzić…

– To się dzieje naprawdę, mamo. I zagrożona jest każda kobieta. Stara, niemowlę, młoda, w średnim wieku. Każda, która zaśnie. Dlatego nie zasypiaj.

– Słucham? – Czegoś tu nie rozumiała. Była jedenasta rano. Dlaczego miałaby zasnąć? Czy Michaela chciała przez to powiedzieć, że ma już nigdy nie spać? Jeśli tak, nic z tego nie będzie. Równie dobrze mogłaby zabronić jej sikać. – To bez sensu.

– Włącz wiadomości, mamo. Albo radio. Albo Internet.

Świadomość niedorzeczności sytuacji zawisła między nimi. Janice nie wiedziała, co powiedzieć, poprzestała więc na „Okej". Córka mogła się mylić, ale na pewno by jej nie okłamała. Niezależnie od tego, czy faktycznie był to pic na wodę, Michaela wierzyła, że to prawda.

– Naukowiec, z którym rozmawiałam… jest z FBI, to moja przyjaciółka, ufam jej… zna sprawę z pierwszej ręki. Twierdzi, że według ostatnich szacunków nieprzytomnych jest już osiemdziesiąt pięć procent kobiet w strefie czasowej Pacyfiku. Nie mów nikomu; jeśli to wycieknie do Internetu, rozpęta się chaos.

– Co to znaczy, że są nieprzytomne?

– Nie budzą się. Wytwarzają takie… coś jak kokony. Błony, powłoki. Te kokony podobno składają się z woskowiny – wosku usznego, łoju skórnego, czyli tłustej substancji, którą masz po bokach nosa, śluzu i… czegoś, o czym wiadomo tylko tyle, że jest to białko bez DNA. Odtwarzają się zaraz po usunięciu, ale nie próbuj ich zrywać. Były pewne… reakcje. Jasne? Nie-próbuj-tego-zdejmować. – Ostatnie słowa, brzmiące nie bardziej sensownie niż cała reszta, Michaela wypowiedziała wyjątkowo jak na nią surowym tonem. – Mamo?

– Tak, Michaela. Jeszcze tu jestem.

Jej córka mówiła z ożywieniem – jakby nagle porwana zapałem:

– To się zaczęło między siódmą a ósmą naszego czasu, czyli czwartą a piątą czasu urzędowego Pacyfiku, i dlatego kobiety na zachód od nas tak mocno ucierpiały. My mamy przed sobą cały dzień. Mamy prawie pełen bak.

– Pełen bak… przytomności?

– Otóż to. – Michaela westchnęła ciężko. – Wiem, myślisz, że gadam bzdury, ale uwierz mi, to nie żarty. Nie wolno ci zasnąć. I czekają cię trudne decyzje. Musisz zdecydować, co zrobisz ze swoim więzieniem.

– Z moim więzieniem?

– Twoje więźniarki prędzej czy później zaczną zasypiać.

– Aha. – Janice nagle zrozumiała. Poniekąd.

– Muszę lecieć, mamo. Mam wygłosić komentarz przed kamerą i producent się piekli. Zadzwonię, jak będę mogła.

Coates została na kanapie. Jej spojrzenie odnalazło oprawione zdjęcie na biurku. Przedstawiało świętej pamięci Archibalda Coatesa, szeroko uśmiechniętego, w fartuchu chirurgicznym, z nowo narodzoną córką na ręku. Zmarł na atak serca w niesprawiedliwie młodym wieku – zaledwie trzydziestu lat – i nie było go już prawie tak długo, jak długo żył na tym świecie. Na zdjęciu głowę Michaeli okrywał biały strzępek błony płodowej, niczym skrawek pajęczyny. Naczelnik żałowała, że nie powiedziała córce, że ją kocha – ale żal sparaliżował ją tylko na kilka sekund. Przed nią dużo pracy. Nie od razu rozgryzła istotę problemu, ale na pytanie najważniejsze – jak postąpić z kobietami w więzieniu – nie miała wielu odpowiedzi do wyboru. Najdłużej, jak to możliwe, musiała robić to, co zawsze: utrzymywać porządek i nie dać sobie wciskać kitu.

Kazała sekretarce, Blanche McIntyre, jeszcze raz zadzwonić do asystentek lekarza, a potem skontaktować się z Lawrence'em Hicksem, zastępcą naczelnika, i poinformować go, że skraca mu okres rekonwalescencji po usunięciu zęba mądrości; ma się niezwłocznie stawić w pracy. Poleciła też przekazać oficerom dyżurnym, co następuje: z uwagi na sytuację w kraju wszyscy dziś przepracują dwie zmiany. Miała poważne obawy co do tego, czy może liczyć na załogę drugiej zmiany – w czasie kryzysu ludzie na ogół wolą być z bliskimi.

– Słucham? – spytała Blanche. – Sytuację w kraju? Coś się stało prezydentowi? I chcesz, żeby wszyscy zostali na drugą zmianę? To im się nie spodoba.

– Nie obchodzi mnie, czy im się spodoba, czy nie. Włącz wiadomości, Blanche.

– Nie rozumiem. Co się dzieje?

– Jeśli moja córka ma rację, zaraz zrozumiesz.

Następnie Coates poszła do gabinetu Norcrossa. Razem sprawdzą, co z Kitty McDavid.

5

Jared Norcross i Mary Pak na trzeciej lekcji mieli wychowanie fizyczne. Siedzieli na trybunie, rakiety tenisowe tymczasowo odłożyli na bok. Razem z grupą Durnowatych Dziesiątoklasistów w niższych rzędach patrzyli, jak dwaj uczniowie dwunastej klasy grają na korcie centralnym, stękając przy każdym uderzeniu jak Monica Seles. Ten chudy to Curt McLeod. Ten umięśniony rudzielec – Eric Blass.

Mój śmiertelny wróg, pomyślał Jared.

– To chyba nie jest dobry pomysł – powiedział.

Mary spojrzała na niego, unosząc brwi. Była wysoka i (zdaniem Jareda) idealnie zbudowana. Miała czarne włosy, szare oczy, długie, opalone nogi, na których nosiła nieskazitelnie białe tenisówki. Właściwie „nieskazitelna” było słowem, które najlepiej ją opisywało. Tak przynajmniej uważał Jared.

– To à propos czego?

Nie udawaj, że nie wiesz, pomyślał.

– À propos tego, żeby wybrać się na Arcade Fire z Erikiem.

– Hm. – Jakby popadła w zamyślenie. – W takim razie całe szczęście, że to nie ty z nim idziesz.

– Pamiętasz wycieczkę do Muzeum Zabawek i Kolejek Elektrycznych na Kruger Street? W piątej klasie?

Mary uśmiechnęła się i przeczesała swoje długie włosy dłonią; paznokcie miała pomalowane na aksamitny błękit.

– Jak mogłabym zapomnieć? Mało brakowało, żeby nas nie wpuścili, bo Billy Mears napisał sobie jakiś krzywy tekst na ręce. Pani Colby kazała mu zostać w autokarze z kierowcą, tym, który się jąkał.

Eric podrzucił piłkę, wspiął się na palce i zagrał mocny serwis tuż nad siatką. Curt nawet nie próbował odebrać, tylko odskoczył do

tyłu. Eric wzniósł ręce jak Rocky na szczycie schodów Muzeum Sztuki w Filadelfii. Mary zaklaskała. Eric odwrócił się do niej i podziękował ukłonem.

– To był tekst „Colby ciągnie druta" i nie napisał go Billy. Eric mu to zrobił. Billy wtedy twardo spał, a potem nic nie powiedział, bo uznał, że lepiej siedzieć w autokarze, niż dostać po mordzie od Erica.

– I co z tego?

– To, że Eric jest łobuzem.

– Był łobuzem – sprostowała Mary. – Piąta klasa jest dawno za nami.

– Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci. – Jared usłyszał w swoim głosie pedagogiczny ton, jaki czasem przybierał jego ojciec; gdyby mógł, cofnąłby te słowa.

Szare oczy Mary patrzyły na niego badawczo.

– Co to niby znaczy?

Przestań, powiedział sobie Jared, po prostu wzrusz ramionami, powiedz: „nieważne", i daj spokój. Często udzielał sobie takich dobrych rad, ale jego gęba zwykle się do nich nie stosowała. Tak było i tym razem.

– To znaczy, że ludzie się nie zmieniają.

– Nieprawda. Mój tata kiedyś za dużo pił, ale przestał. Teraz chodzi na spotkania AA.

– No dobrze, niektórzy się zmieniają. Cieszę się, że twój ojciec jest jednym z nich.

– Ja myślę. – Szare oczy nadal wpatrywały się w niego.

– Ale większość się nie zmienia. Pomyśl, ci, co w piątej klasie byli sportowcami, jak Eric, nadal są sportowcami. Ty wtedy byłaś mądrą dziewczyną i nadal jesteś. Dzieciaki, które rozrabiały w piątej klasie, nadal rozrabiają w klasie jedenastej i dwunastej. Czy widujesz kiedykolwiek Erica i Billy'ego razem? Nie? Co było do udowodnienia.

Tym razem Curt zdołał odebrać serwis Erica, ale piłka po jego returnie poszybowała wysokim łukiem w górę; Eric już czyhał przy siatce, prawie nad nią wisiał. Zasmeczował – dotykając siatki, więc zagranie nie powinno się liczyć – tak że piłka trafiła prosto w sprzączkę paska Curta.

– Bez takich, stary! – krzyknął Curt. – Może kiedyś będę chciał mieć dzieci!

– Zły pomysł – odparł Eric. – Idź po nią, zamiast gadać! To moja szczęśliwa piłka. Aport, Burek!

Kiedy Curt powlókł się w stronę drucianej siatki, pod którą wylądowała piłka, Eric spojrzał na Mary i znów się ukłonił. Odpowiedziała mu stuwatowym uśmiechem. Wciąż był na jej twarzy, kiedy spojrzała na Jareda, ale jego moc znacznie osłabła.

– Jesteś kochany, że chcesz mnie chronić, Jere, ale jestem już dużą dziewczynką. To koncert, nie związek na całe życie.

– Po prostu…

– Po prostu co? – Uśmiech zniknął.

Po prostu uważaj na niego, chciał powiedzieć Jared. Bo ten tekst na ręku Billy'ego to pikuś. Wygłup z podstawówki. Tutaj, w liceum, w szatni chłopaków, odchodzą paskudne numery, o jakich nie chcę mówić. Po części dlatego, że żadnego nie próbowałem przerwać. Tylko patrzyłem.

Kolejna dobra rada; zanim jego zdradziecka gęba mogła ją ostentacyjnie zignorować, Mary obróciła się w stronę budynku szkoły. Musiała dostrzec kątem oka jakiś ruch, a teraz Jared też zauważył, co się dzieje: brązowa chmura wzbijała się z dachu sali gimnastycznej. Była tak duża, że wypłoszyła wrony z dębów, które otaczały parking dla kadry.

Kurz, pomyślał Jared, jednak chmura, zamiast się rozproszyć, ostro skręciła i skierowała się na północ. Zachowanie stadne, a jednak nie ptaki. Jakieś małe stworzenia, mniejsze od wróbli.

– Ćmy! Całe zaćmienie! – krzyknęła Mary. – O rany! Kto by się spodziewał?

– Tak się mówi na chmarę ciem? Zaćmienie?

– Tak. Kto by przypuszczał, że łączą się w stada? Poza tym ćmy za dnia ustępują miejsca motylom. Latają nocą. Przynajmniej na ogół.

– Skąd tyle o nich wiesz?

– W ósmej klasie przygotowałam projekt naukowy o ćmach. Słowo „ćma" dawniej znaczyło „mrok", wiedziałeś? Tata mnie namówił, bo wtedy się ich bałam. Kiedy byłam mała, ktoś mi powiedział, że jak kurz ze skrzydeł ćmy wpadnie ci do oczu, to oślepniesz. Tata

tłumaczył, że to tylko taki przesąd i że jeśli poświęcę projekt naukowy ćmom, to może się z nimi zaprzyjaźnię. Powiedział, że motyle to królowe piękności świata owadów, zawsze zapraszane na bal, a biedne ćmy to Kopciuszki, które zostają w domu. Wtedy jeszcze pił, ale i tak fajnie o tym opowiadał.

Te szare oczy – wpatrzone w niego, rzucające wyzwanie, żeby spróbował się sprzeciwić.

– Jasne – odparł. – I co, stało się tak, jak mówił?

– To znaczy jak?

– Zaprzyjaźniłaś się z nimi?

– Nie całkiem. Ale dowiedziałam się wielu ciekawych rzeczy. Motyle składają skrzydła na grzbiecie, kiedy odpoczywają. Ćmy swoimi osłaniają brzuch. Ćmy mają wędzidełka… to takie szczecinki, które łączą skrzydła… a motyle nie. Motyle rozwijają się z poczwarki, która jest twarda. Ćmy przędą kokony, które są miękkie i jedwabiste.

– Ej! – Kent Daley nadjeżdżał na rowerze przez boisko do softballa od strony sąsiedniej, zarośniętej parceli. Miał plecak, a przez ramię przewiesił rakietę tenisową. – Norcross! Pak! Widzieliście to stado ptaszorów?

– To były ćmy – powiedział Jared. – Z wędzidełkami.

– Hę?

– Mniejsza z tym. Co robisz? Może zapomniałeś, ale mamy dziś szkołę.

– Mama kazała mi wynieść śmieci.

– Fest naśmieciliście – stwierdziła Mary. – Ominęły cię dwie lekcje.

Kent posłał jej łobuzerski uśmiech, po czym spojrzał na Erica i Curta na korcie centralnym, zeskoczył na ziemię i upuścił rower w trawę.

– Usiądź, Curt, daj zagrać prawdziwemu mężczyźnie – powiedział. – Nie odebrałbyś serwisu Erica, nawet gdyby od tego zależało życie twojego psa.

Curt odstąpił swoją połowę kortu Kentowi, bon vivantowi, który wyraźnie nie czuł palącej potrzeby, żeby pójść do sekretariatu i usprawiedliwić swoje późne przybycie. Eric zaserwował – Jared był zachwycony, kiedy Kent mocno odbił piłkę prosto w rywala.

– Aztekowie wierzyli, że czarne ćmy zwiastują nieszczęście – podjęła Mary. Toczący się w dole mecz przestał ją interesować. – Po zapadłych wsiach mieszkają ludzie, którzy do dziś wierzą, że biała ćma w domu to znak, że ktoś umrze.

– W głowie ci się ćmi, Mary.

Dziewczyna wydała dźwięk smutnego puzonu.

– Zaraz, przecież ty nigdy nie byłaś na zapadłej wsi. Zmyśliłaś to, żeby mnie nastraszyć. Dobra robota, swoją drogą.

– Niczego nie zmyśliłam! Czytałam o tym w jednej książce! – Walnęła go w ramię. Trochę bolało, ale Jared udawał, że nie.

– Te były brązowe – powiedział. – Co oznaczają brązowe?

– Och, to ciekawe – odparła Mary. – Według Indian Czarnych Stóp brązowe ćmy przynoszą sen i wywołują sny.

6

Jared przebierał się na ławce w głębi szatni. Durnowaci Dziesiątoklasiści już się ulotnili, żeby nie dostać lania mokrymi ręcznikami – była to główna droga do sławy Erica i jego kompanów. A może raczej należałoby powiedzieć „do niesławy". Jak zwał, tak zwał, pomyślał Jared, wkładając tenisówki. Nie ma o co kruszyć kopii.

Eric, Curt i Kent byli pod prysznicem. Wyli, chlapali i wywrzaskiwali standardowe mądrości: pierdol się, jebać twoją starą, już ją ruchałem, cioto, gryź mi wora, ciotę to ma twoja siora, jego siora ssie pisiora i tak dalej. To było męczące, a przed Jaredem jeszcze tyle dni w budzie, zanim się stąd wyrwie.

Woda przestała lecieć. Eric i jego dwaj kumple, plaskając mokrymi stopami, weszli do części szatni, którą uważali za swój prywatny rezerwat – tylko dla dwunastoklasistów – co oznaczało, że Jared musiał znosić widok ich gołych tyłków tylko przez ułamek sekundy, zanim zniknęli za rogiem. Nie miał nic przeciwko. Powąchał swoje skarpetki tenisowe, skrzywił się, wcisnął je do torby i zasunął suwak.

– W drodze do budy widziałem Starą Essie – rzucił Kent.

Curt:

– Tę bezdomną? Z wózkiem na zakupy?

– Mhm. Prawie ją przejechałem i o mało nie wpadłem do nory, w której mieszka.

– Ktoś powinien ją stamtąd przegonić.

– Chyba w nocy dobrała się do swojego zapasu winiaczy – stwierdził Kent. – Była zupełnie nieprzytomna. I musiała się w czymś wytarzać. Całą twarz miała w jakimś syfie. Wyglądało jak pajęczyna. Ohyda, kurwa. Widziałem, jak to się porusza, kiedy oddychała. Krzyknąłem więc na nią, wiecie? „Cześć, Essie, co tam, laska? Co słychać, stara bezzębna pizdo?". I nic, kurde. Zero oznak życia.

– Fajnie byłoby mieć taki magiczny wywar usypiający dziewczyny. Żeby nie tracić czasu na bajer, tylko od razu ruchać – rozmarzył się Curt.

– On już istnieje – stwierdził Eric. – Nazywa się pigułka gwałtu.

Ryknęli śmiechem. I ten facet zabiera Mary na Arcade Fire, pomyślał Jared. Właśnie on.

– Oprócz tego – ciągnął Kent – w tym małym wąwozie, w którym sypia, ma masę dziwnych rzeczy, na przykład górną połowę manekina. Zerżnąłbym praktycznie wszystko, kurczę, ale naprutą bezdomną sukę obrośniętą pajęczyną? Są granice, których nie przekroczę.

– Ja tam już prawie nie mam granic. – W głosie Curta zabrzmiała nuta smutku. – Jestem zdesperowany. Wyruchałbym zombiaka z *Walking Dead.*

– Już to zrobiłeś – powiedział Eric i dodał: – Harriet Davenport, pamiętasz?

Znowu prymitywny rechot. Po co ja tego słucham?, zastanowił się Jared i znów mu się przypomniało: Mary idzie na koncert z jednym z tych psycholi. Nie ma pojęcia, jaki Eric jest naprawdę, a po naszej rozmowie na trybunach pewnie mi nie uwierzy, jeśli jej powiem.

– Nie przeleciałbyś tej staruchy – stwierdził Kent. – Ale pośmiać się zawsze można. Moglibyśmy zajrzeć tam po budzie. Zobaczyć, co z nią.

– E tam, po budzie – rzucił Eric. – Urwijmy się po szóstej lekcji.

Klaśnięcia dłoni przybijających piątki, znak, że przypieczętowali umowę. Jared chwycił torbę i wyszedł.

Dopiero na długiej przerwie Frankie Johnson usiadł obok Jareda i powiedział, że ta dziwna śpiączka kobieca, która do tej pory występowała tylko w Australii i na Hawajach, pojawiła się w Waszyngtonie, Richmond, a nawet w Martinsburgu, który był całkiem niedaleko. Jaredowi przemknęły przez myśl słowa Kenta o Starej Essie – że miała pajęczynę na twarzy – ale stwierdził, że to niemożliwe. Nie tutaj. W Dooling nigdy nie dzieje się nic tak ciekawego.

– Nazywają to aurorą – dodał Frankie. – O, masz sałatkę z kurczakiem? I co, zjadliwa? Zamienimy się?

ROZDZIAŁ 5

1

Cela numer 12 w Skrzydle A była spartańska: jedna prycza, stalowy sedes, kopuły kamer w narożnikach sufitu. Ani wymalowanego na ścianie kwadratu, na którym można wieszać zdjęcia, ani biurka. Coates przyniosła sobie plastikowe krzesło, żeby mieć na czym siedzieć w czasie, kiedy Clint badał leżącą na pryczy Kitty McDavid.

– No i? – spytała po chwili.

– Żyje. Parametry życiowe w normie. – Clint wstał z kucek. Ściągnął rękawiczki i starannie wsunął je do plastikowej torby. Wyjął z kieszeni marynarki mały notes i długopis, po czym zaczął robić notatki. – Nie wiem, co to za substancja. Lepka jak sok mleczny, twarda, a mimo to najwyraźniej przepuszcza powietrze, skoro Kitty przez nią oddycha. Pachnie… ziemią, tak to ujmę. I jest trochę woskowata. Gdybyś zażądała konkretów, powiedziałbym, że to jakiś grzyb, ale nie zachowuje się jak żaden z tych, które znam. – Clint miał wrażenie, że wdrapuje się na kopiec usypany z jednocentówek. – Biolog mógłby pobrać próbkę i obejrzeć ją pod mikroskopem…

– Słyszałam, że lepiej tego nie ruszać.

Clint pstryknął długopisem i schował go razem z notesem do marynarki.

– Cóż, tak czy owak nie jestem biologiem. A skoro poza tym nie dzieje się z nią nic złego…

Narośl na twarzy Kitty była biała i prześwitująca, ciasno przylegała do skóry. Przypominała całun. Clint widział, że oczy uśpionej są zamknięte i że się poruszają, co znaczyło, że weszła w fazę snu REM.

Myśl, że śni w tym kokonie, niepokoiła go, choć nie był pewien dlaczego.

Małe kosmyki zwiewnego materiału wysnuwały się z jej bezwładnych dłoni i nadgarstków, kołysały się jak na wietrze, przyczepiały do pasa więziennych drelichów. Patrząc, jak substancja się rozrasta, Clint szacował, że z czasem pokryje całe ciało.

– Wygląda jak chusteczka wróżki. – Naczelnik trzymała ręce założone na piersi. Nie była zdenerwowana, raczej zamyślona.

– Chusteczka wróżki?

– Pajęczyna, którą tkają pająki żyjące w trawie. Widzi się je rano, kiedy jeszcze jest rosa.

– A, rzeczywiście. Czasem mam takie w ogródku.

Przez chwilę milczeli, obserwując małe kosmyki wiotkiego materiału. Powieki Kitty trzepotały pod powłoką. Jakie wizje miała w tej chwili? Czy śniło jej się, że kupuje narkotyki? Raz powiedziała mu, że sama perspektywa przyćpania, ten dreszczyk emocji na myśl, że zaraz to zrobi, rajcował ją jeszcze bardziej niż sam haj. Czy śniła, że się tnie? Czy przyśnił się jej Lowell Griner, diler, który obiecał ją zabić, jeśli powie komukolwiek o jego działalności? A może jej mózg wysiadł, zniszczony przez wirusa (jeśli to był wirus), którego zewnętrznym objawem była ta pajęczyna? Może te ruchy oczu to neurologiczny odpowiednik zerwanej linii wysokiego napięcia, z której strzelają iskry?

– Kurewsko przerażające – skwitowała Janice. – A nie zwykłam używać tego sformułowania z byle powodu.

Clint był zadowolony, że wkrótce przyjedzie Lila. Cokolwiek się między nimi działo, chciał ją zobaczyć.

– Powinienem zadzwonić do syna – powiedział, głównie do siebie.

Rand Quigley, pełniący dyżur w pawilonie, wsadził głowę do sali. Zerknął lękliwie na leżącą bez życia kobietę z osłoniętą twarzą, po czym odwrócił się do naczelnik i odkaszlnął.

– Szeryf będzie za dwadzieścia minut, góra pół godziny, z aresztantką. – Postał jeszcze chwilę. – Blanche powiedziała mi, co i jak, pani naczelnik. Zostanę tak długo, jak będę potrzebny.

– To ci się chwali – odparła przełożona.

W drodze do celi McDavid Clint w skrócie powiedział Coates o kobiecie, którą Lila aresztowała pod zarzutem morderstwa, a którą teraz zamierzała przywieźć do więzienia. Naczelnik, znacznie bardziej przejęta tym, co usłyszała od Michaeli, odniosła się do tego naruszenia regulaminu z nietypową dla siebie nonszalancją. Clintowi ulżyło, ale tylko na kilka sekund, bo potem wyrzuciła z siebie wszystko, co wiedziała o aurorze.

Zanim zdążył zapytać, czy żartuje, pokazała mu swojego iPhone'a z otwartą pierwszą stroną „New York Timesa" – *Epidemia*, głosił nagłówek złożony czcionką dwudziestką. Tekst pod nim podawał, że kobiety wytwarzają powłoki we śnie, że się nie budzą, że w zachodnich strefach czasowych doszło do zamieszek na masową skalę, a w Los Angeles i San Francisco wybuchły pożary. Ani słowa o tym, że po usunięciu niby-pajęczyny dzieje się coś złego. Może dlatego że to tylko plotka, pomyślał Clint. A może to prawda, tylko prasa nie chce wywołać paniki. Kto to w tym momencie wie?

– Możesz zadzwonić do syna za kilka minut, Clint, ale sprawa jest naprawdę poważna. Nasza załoga to sześciu strażników z obecnej zmiany, plus ty, ja, Blanche z sekretariatu i woźny Dunphy. A w budynku jest sto czternaście osadzonych i następna w drodze. Większość strażników, jak Quigley, zdaje sobie sprawę, że obowiązek to obowiązek, i pewnie przez jakiś czas wytrzymają. Za co dziękuję Bogu, bo nie wiem, kiedy możemy się spodziewać posiłków i ile będą warte. Rozumiesz? – Rozumiał. – W porządku, doktorze. Pierwsza rzecz: co robimy z Kitty?

– Skontaktujemy się z Centrum Zwalczania i Prewencji Chorób, poprosimy, żeby przysłali chłopaków w kombinezonach ochronnych, którzy mogliby ją zabrać i zrobić jej badania, tyle że… – Clint bezradnie rozłożył ręce. – Jeśli to ma tak szeroki zasięg, jak powiedziałaś, a z tego artykułu tak wynika, nieprędko znajdą czas, żeby nam pomóc, zgadza się?

Coates wciąż miała skrzyżowane ramiona. Widząc, jak mocno przyciskała je do piersi, Clint był ciekaw, czy próbuje ukryć drżenie. Na tę myśl poczuł się lepiej i gorzej jednocześnie.

– I pewnie nie ma szans, żeby Szpital Świętej Teresy lub ktoś inny przejął ją od nas, prawda? – zapytała. – Domyślam się, że oni też

mają ręce pełne roboty.

– Powinniśmy zadzwonić wszędzie, gdzie się da, ale nie robiłbym sobie nadziei – odparł Clint. – Na razie trzymajmy ją pod kluczem, w kwarantannie. Niech nikt się do niej nie zbliża ani jej nie dotyka, nawet w rękawiczkach. Van może ją obserwować z Kabiny. Jeśli coś się zmieni, jeśli będzie z nią źle, jeśli się obudzi, zaraz tu przybiegniemy.

– To już jakiś plan. – Coates machnęła ręką, żeby odpędzić ćmę. – Głupi robal. Jak te skubaństwa się tu dostają? Cholera jasna. Następna sprawa: co z resztą osadzonych? Jak im pomóc?

– To znaczy? – Clint zamierzył się na ćmę. Chybił. Zataczając kręgi, poleciała w górę, na jarzeniówkę w suficie.

– Jeśli zasną… – Naczelnik wskazała gestem McDavid.

Clint położył rękę na czole, po trosze spodziewając się, że poczuje żar gorączki. Przyszło mu na myśl chore pytanie wielokrotnego wyboru:

Jak wybić więźniarkom sen z głowy? Wybierz jedną z poniższych możliwości:

A) Non stop puszczać Metallicę przez radiowęzeł.

B) Dać każdej więźniarce nóż i kazać im się ciąć, kiedy poczują senność.

C) Dać każdej więźniarce wór deksedryny.

D) Wszystkie powyższe rozwiązania są prawidłowe.

E) Nie da się.

– Są leki, które zwalczają senność, Janice, ale duża część tych kobiet to narkomanki. Szpikowanie ich czymś, co w gruncie rzeczy jest speedem, nie byłoby ani bezpieczne, ani zdrowe. Zresztą i tak nie mógłbym przepisać stu tabletek takiego, powiedzmy, provigilu. Aptekarz z Rite-Aid kręciłby nosem, nie? Podsumowując, nie widzę żadnego sposobu, żeby im pomóc. Możemy tylko utrzymywać na tyle normalne warunki, na ile to możliwe, zapobiegać wybuchowi paniki, liczyć na jakieś wytłumaczenie albo przełom i… – Chwilę się wahał, zanim sięgnął po eufemizm, który chyba najcelniej oddawał to, co miał na myśli, a zarazem brzmiał zupełnie niestosownie: – I pozwolić działać naturze. – Chociaż z naturą w takim wydaniu jeszcze się nie zetknął.

Coates westchnęła.

– Ja też tak uważam.

Gdy wyszli na korytarz, naczelnik kazała Quigleyowi przekazać pozostałym informację: niech nikt nie dotyka narośli na skórze McDavid.

2

Więźniarki zajmujące się stolarką jadły w warsztacie zamiast na stołówce, a w ładne dni zezwalano im wyjść z drugim śniadaniem na zewnątrz, w cień budynku. Dzisiaj było ładnie, za co Jeanette Sorley szczerze dziękowała losowi. Głowa rozbolała ją już w ogródku, kiedy doktor Norcross rozmawiał przez telefon, a teraz ból wnikał coraz głębiej, niby stalowy pręt wbijany w lewą skroń. Smród lakieru nie pomagał. Świeże powietrze mogłoby przynieść ulgę.

Za dziesięć dwunasta przyszły dwie Czerwone – funkcyjne – popychające przed sobą stolik na kółkach, zawierający kanapki, lemoniadę i kubeczki czekoladowego budyniu. O dwunastej zabrzęczał dzwonek. Jeanette ostatni raz obtoczyła nogę do krzesła i wyłączyła tokarkę. Pół tuzina więźniarek zrobiło to samo. Poziom decybeli spadł. Ciszę w pomieszczeniu – już teraz było tu gorąco, a jeszcze nie zaczął się czerwiec – mącił tylko jednostajny, piskliwy skowyt odkurzacza Power Vac, którym Ree Dempster zbierała trociny między ostatnim rzędem maszyn a ścianą.

– Osadzona, wyłączyć to! – ryknął Tig Murphy. W Dooling było osiemnastu pełnoetatowych strażników; Murphy do załogi dołączył niedawno. Jak na nowego przystało, dużo wrzeszczał, bo jeszcze nie nabrał pewności siebie. – Przerwa na lunch! Nie słyszałaś dzwonka?

– Panie oficerze, jeszcze tylko ten jeden… – zaczęła Ree.

– Wyłączyć to, powiedziałem!

– Tak jest, panie oficerze.

Ree wyłączyła odkurzacz; cisza przyprawiła Jeanette o dreszcz ulgi. Bolały ją dłonie w rękawicach roboczych, bolała głowa od oparów lakieru. Chciała tylko wrócić do starej dobrej B-7, gdzie miała

aspirynę (dozwolone zielone lekarstwo, ale tylko do tuzina tabletek miesięcznie). Potem mogłaby pospać aż do michy o szóstej.

– W szeregu zbiórka, ręce w górę – wyrecytował oficer Murphy. – W szeregu, ręce w górę, prezentujcie narzędzia, drogie panie.

Ustawiły się.

– Oficer Murphy jest trochę przy kości, nie? – szepnęła Ree, stojąca przed Jeanette.

– Pewnie jadł ciasto z Michelle Obamą – odszepnęła Jeanette; Ree zachichotała.

Podniosły swoje narzędzia: szlifierki ręczne, śrubokręty, wiertarki, dłuta. Jeanette była ciekawa, czy więźniowie płci męskiej dostaliby do rąk taką potencjalnie niebezpieczną broń. Zwłaszcza śrubokręty. Śrubokrętem można zabić, o czym doskonale wiedziała. Głowa bolała ją teraz właśnie tak, jakby miała w nią wbity śrubokręt. Wsuwający się coraz głębiej. Odnajdujący miękkie mięso, rozbełtujący je.

– Zjemy dziś *al fresco,* drogie panie? – Ktoś kiedyś wspomniał, że oficer Murphy uczył w szkole średniej, dopóki go nie zwolnili w ramach oszczędności. – To znaczy…

– Na zewnątrz – wymamrotała Jeanette. – To znaczy, że zjemy na zewnątrz.

Murphy wskazał ją palcem.

– No proszę, mamy tu stypendystkę Rhodesa. – Uśmiechał się lekko, więc nie zabrzmiało to złośliwie.

Narzędzia zostały zebrane i po potwierdzeniu, że żadnego nie brakuje, schowane do skrzyni, którą następnie zamknięto na klucz. Załoga stolarni powlekła się do stolika, porozchwytywała kanapki i papierowe kubki z napojami, a potem czekała, aż Murphy policzy wszystkie obecne.

– Drogie panie, otwarte niebo czeka. Niech ktoś mi weźmie kanapkę z szynką i serem.

– Robi się, misiu – mruknęła Angel Fitzroy.

Murphy łypnął na nią groźnie, na co Angel odpowiedziała spojrzeniem niewiniątka. Jeanette trochę mu współczuła. Ale współczuciem nie zapłacisz za zakupy, jak mawiała jej matka. Dawała Murphy'emu trzy miesiące. Góra.

Kobiety wyszły gęsiego ze stolarni, usiadły na trawie i oparły się o ścianę budynku.

– Jaką masz? – spytała Ree.

Jeanette zajrzała do swojej kanapki.

– Z kurczakiem.

– A ja z tuńczykiem. Zamienimy się?

Jeanette było wszystko jedno, i tak nie była głodna, więc się zgodziła. Zmusiła się do jedzenia w nadziei, że to choć trochę złagodzi ból głowy. Wypiła lemoniadę, która miała gorzki smak, ale kiedy Ree przyniosła jej kubeczek z budyniem, odmówiła. Czekolada wywołuje migrenę, a jeśli ten dzisiejszy ból głowy przejdzie w atak migreny, będzie musiała pójść do izby chorych po zomig, który dostanie, tylko jeśli doktor N. jeszcze tu był. Krążyły słuchy, że stałe asystentki lekarza nie przyszły do pracy.

W stronę głównego budynku więzienia biegła cementowa ścieżka, którą ktoś ozdobił przyblakłą planszą do gry w klasy. Kilka kobiet wstało, znalazły parę kamyków i zaczęły grać, recytując wierszyki, których zapewne nauczyły się w dzieciństwie. To zabawne, co człowiekowi zostaje w pamięci, pomyślała Jeanette.

Z wysiłkiem przełknęła ostatni kęs kanapki, popiła resztką gorzkiej lemoniady, odchyliła się i zamknęła oczy. Czyżby głowa przestawała boleć? Może trochę. W każdym razie mają jeszcze piętnaście minut, co najmniej. Mogłaby się chwilę zdrzemnąć…

I właśnie wtedy oficer Peters wyskoczył ze stolarni jak diabełek na sprężynie. Albo troll spod kamienia. Spojrzał na kobiety grające w klasy, a potem na te, które siedziały pod ścianą budynku. Jego oczy spoczęły na Jeanette.

– Sorley, do mnie. Mam dla ciebie robotę.

Jebany Peters. Lubił łapać za cycki i klepać po tyłku, zawsze w jednym z licznych punktów niewidocznych dla kamer. Znał je wszystkie. A gdyby któraś coś powiedziała, wykręciłby jej cycek, zamiast tylko ścisnąć.

– Mam przerwę na lunch, panie oficerze – odparła najuprzejmiej, jak mogła.

– Z tego, co widzę, skończyłaś. Rusz dupę i chodź ze mną.

Murphy miał niepewną minę, wbito mu jednak do głowy, że w więzieniu dla kobiet obowiązuje żelazna zasada: funkcjonariusze płci męskiej nie mogą przebywać sam na sam z osadzonymi.

– Tylko dwójkami, Don.

Rumieniec oblał policzki Petersa. Nie był w nastroju do słuchania pierdół profesorka – nie po tym, jak Coates się na nim wyżyła, a do tego przed chwilą dostał wiadomość od Blanche McIntyre, że „musi" pracować na dwóch zmianach z powodu „sytuacji w kraju". Sprawdził w Internecie na swoim telefonie: „sytuacja w kraju" polegała na tym, że grupa babin z domu starców dostała grzyba. Coates zupełnie odwaliło.

– Nie chcę żadnej z jej psiapsiółek – powiedział. – Chcę tylko ją.

Murphy ustąpi, pomyślała Jeanette. Tutaj jest zaledwie żółtodziobem. Zaskoczył ją jednak.

– Tylko dwójkami – powtórzył.

Może jednak sobie poradzi?

Peters zastanowił się. Kobiety siedzące pod ścianą patrzyły na niego, gra w klasy została wstrzymana. Były więźniarkami, ale były też świadkami.

– Halo. – Angel pomachała do niego gestem królowej pozdrawiającej poddanych. – Halo, tu jestem. Zna mnie pan, oficerze Peters, zawsze jestem skora do pomocy.

Dona naszła niepokojąca – i absurdalna – myśl, że Fitzroy skądś wiedziała, co mu chodzi po głowie. Oczywiście, wcale tak nie było, po prostu grała mu na nerwach, jak przez cały boży dzień. Chociaż chciałby kiedyś spędzić pięć minut sam na sam z tą wariatką, wolał nie odwracać się do niej plecami nawet na sekundę.

Nie, nie Fitzroy, nie przy tej okazji.

Wskazał na Ree.

– Ty, Dupster. – Część kobiet zachichotała.

– Dempster – powiedziała Ree z autentyczną godnością.

– Dempster, Dupster, Dupencja, jeden czort. Chodźcie ze mną. Nie każcie mi się powtarzać, mam zły dzień. – Zerknął na tego mądralę, Murphy'ego. – Na razie, profesorku.

To wywołało kolejne chichoty, tym razem typowo wazeliniarskie. Murphy był nowy i rzucony na zbyt głęboką wodę, a żadna z nich nie

chciała trafić na czarną listę oficera Petersa. Te kobiety nie są tak zupełnie głupie, pomyślał Don.

3

Oficer Peters zaprowadził Jeanette i Ree na Broadway; kazał im się zatrzymać przed świetlicą pełniącą funkcję sali widzeń. O tej porze wszyscy jedli lunch, więc pomieszczenie było puste. Jeanette zaczynała mieć bardzo złe przeczucia. Nie ruszyła się z miejsca, kiedy Peters otworzył drzwi.

– Co mamy zrobić? – zapytała.

– Ślepa jesteś, osadzona?

Nie, nie była ślepa. Widziała wiadro, o które opierał się mop, i drugie, plastikowe, na jednym ze stolików. W tym ostatnim, zamiast kubeczków budyniu, były szmaty i środki czystości.

– Trwa przerwa na lunch. – Ree próbowała przybrać oburzony ton, ale zdradziło ją drżenie głosu. – Poza tym mamy już zajęcie.

Peters nachylił się ku niej i rozsunął wargi, obnażając pieńki zębów. Ree cofnęła się tak gwałtownie, że wpadła na Jeanette.

– Chcesz, to złóż zażalenie do Pana Boga. A teraz macie tu wejść, i to bez gadania, inaczej wlepię wam naganę za złe zachowanie. Mam gówniany dzień, jestem w potwornie gównianym nastroju, więc jeśli nie chcecie, żebym się nim z wami podzielił, weźcie się do roboty. – Przesunął się w prawo, żeby zasłonić pole widzenia najbliższej kamery, a potem złapał Ree za tył koszuli, wsuwając palce pod elastyczny pasek jej sportowego stanika. Wepchnął ją do świetlicy. Ree potknęła się i przytrzymała bocznej ściany automatu z przekąskami, żeby nie upaść.

– Już dobrze, dobrze!

– Już dobrze co?

– Już dobrze, oficerze Peters.

– Nie powinien nas pan popychać – zauważyła Jeanette. – Tak nie wolno.

Don Peters przewrócił oczami.

– Pyskować to ty możesz komuś, kogo to rusza. Jutro dzień odwiedzin, a sala widzeń wygląda jak chlew.

Jeanette miała inne zdanie – sala wyglądała dobrze. Nie żeby to miało znaczenie. Jeśli mężczyzna w mundurze mówi, że sala wygląda jak chlew, to wygląda jak chlew i już. Tak działał system penitencjarny w małym hrabstwie Dooling i pewnie na całym świecie.

– Dokładnie posprzątacie wszystkie kąty, od podłogi po sufit, a ja przypilnuję, żebyście zrobiły to, jak należy. – Wskazał na wiadro ze środkami czystości. – To twoje, Dupster. Pani Tak-Nie-Wolno niech złapie za mop. Podłoga ma być tak czysta, żebym mógł z niej jeść.

Chętnie nakarmiłabym cię żarciem z podłogi, pomyślała Jeanette, ale podeszła do wiadra na kółkach. Nie chciała dostać nagany. Gdyby tak się stało, raczej nie miałaby szans znaleźć się w tej sali w najbliższy weekend, kiedy siostra przywiezie do niej syna. Przyjeżdżali z daleka autobusem. Och, jakże Jeanette kochała Bobby'ego za to, że nigdy się nie skarżył na trudy podróży. Tyle że ból głowy się nasilał, a ona marzyła jedynie o aspirynie i drzemce.

Ree obejrzała środki czystości; wybrała aerozol i ścierkę.

– Chcesz poniuchać Pledge, Dupster? Prysnąć sobie w nochala i mieć odlot?

– Nie.

– Chciałabyś przyćpać, co?

– Nie.

– Nie co?

– Nie, oficerze Peters.

Ree wzięła się do polerowania stolika. Jeanette napełniła wiadro pod kranem w kącie, namoczyła końcówkę mopa, wycisnęła ją i zaczęła myć podłogę. Za ogrodzeniem z siatki od frontu więzienia widziała West Lavin, po której w jedną i w drugą stronę przemykały samochody, pełne wolnych ludzi jadących do pracy, do domu, na lunch do Denny's, gdziekolwiek.

– Chodź no tu, Sorley – rzucił Peters. Stał między automatami do przekąsek i napojów, poza zasięgiem kamery, w miejscu, gdzie więźniarki czasem wymieniały tabletki, papierosy i pocałunki.

Potrząsnęła głową, nie przerywając mycia podłogi. Długie mokre smugi na linoleum szybko schły.

– Chodź tu, jeśli chcesz zobaczyć swojego chłopaka, kiedy następnym razem przyjedzie.

Powinnam odmówić, pomyślała. Powinnam powiedzieć: zostaw mnie w spokoju, bo złożę skargę. Tyle że takie zachowanie od dawna uchodzi mu na sucho, prawda? Wszyscy wiedzieli, jaki jest Peters. Coates też musiała to wiedzieć, ale choć gębę miała pełną frazesów o braku tolerancji dla molestowania seksualnego, nic się w tej sprawie nie zmieniało.

Jeanette poczłapała do małej wnęki między automatami i stanęła przed Donem ze spuszczoną głową, wciąż z mopem w ręku.

– Tam. Plecami do ściany. Mop się nie przyda, możesz go zostawić.

– Nie chcę, panie oficerze. – Z głową było już naprawdę źle, pękała z bólu. B-7 była tak niedaleko, w środku, na małej półce, czekała aspiryna.

– Właź, inaczej wlepię ci naganę i stracisz prawo do odwiedzin. Później dopilnuję, żebyś dostała jeszcze jedną naganę i dobre sprawowanie diabli wezmą.

Razem z szansą na zwolnienie warunkowe za rok, pomyślała Jeanette. Nie ma dobrego sprawowania, nie będzie zwolnienia warunkowego, wracamy do punktu wyjścia, sprawa zamknięta.

Przecisnęła się obok Petersa; wparł się w nią biodrami, tak że poczuła jego erekcję. Stanęła pod ścianą. Przysunął się bliżej. Czuła zapach jego potu, wody po goleniu i toniku do włosów. Była wyższa od niego – nad jego ramieniem widziała swoją towarzyszkę z celi. Ree przestała polerować blat stolika. Z jej oczu wyzierały strach, konsternacja i chyba gniew. Ściskała pojemnik Pledge'a, a potem powoli go podniosła. Jeanette lekko pokręciła głową. Peters nie zauważył, zajęty rozpinaniem rozporka.

Ree opuściła dłoń z pojemnikiem i wróciła do polerowania stolika, którego już nie trzeba było polerować, który w ogóle polerowania nie wymagał.

– A teraz zrób mi dobrze – zażądał Peters. – Muszę się odprężyć. Wiesz, o czym marzę? Żeby na twoim miejscu była Coatsie. Żebym

tak mógł przycisnąć jej stary płaski tyłek do tej ściany. Gdybym był tu z nią, nie skończyłoby się na trzepaniu gruchy.

Wciągnął powietrze, kiedy wzięła go do ręki. Właściwie było to dość śmieszne. Miał nie więcej niż osiem centymetrów, nic, co chciałby obnażyć przed innymi facetami, chyba żeby absolutnie nie dało się tego uniknąć, ale było to względnie twarde osiem centymetrów. A ona wiedziała, co robić. Jak większość kobiet. Mężczyźni mają pistolet; ty go rozładowujesz; oni wracają do swoich zajęć.

– Ostrożnie, Jezu! – syknął. Jego oddech cuchnął jakimś pikantnym mięsem, może kiełbaską Slim Jim albo kabanosem pepperoni. – Czekaj, daj rękę. – Podała mu dłoń, a on na nią napluł. – Teraz spróbuj. I lekko łaskocz jajca.

Zrobiła, co kazał, przez cały czas patrząc w okno nad jego ramieniem. Była to technika, której zaczęła się uczyć w wieku jedenastu lat, kiedy dotykał jej ojczym, a którą opanowała do perfekcji u boku nieżyjącego męża. Znajdujesz coś, w czym możesz utkwić wzrok, na czym skupić uwagę, a wtedy jest prawie tak, jakbyś opuszczała własne ciało – podczas gdy ono robi swoje, ty przenosisz się tam, gdzie jest to, co cię nagle zafascynowało.

Przyjechał radiowóz szeryfa; Jeanette patrzyła, jak najpierw czeka w martwej przestrzeni, a potem, po otwarciu bramy wewnętrznej, wtacza się na dziedziniec. Naczelnik Coates, doktor Norcross i oficer Lampley wyszli mu na spotkanie. Oficer Peters, dyszący w jej ucho, był daleko stąd. Z radiowozu wysiadły dwie gliny – kobieta zza kierownicy, mężczyzna od strony pasażera. Oboje dobyli broni, co wskazywało na to, że przywieźli jakieś niezłe ziółko, które pewnie trafi do Skrzydła C. Policjantka otworzyła tylne drzwi i z auta wysiadła kobieta. Nie sprawiała wrażenia groźnej. Była piękna pomimo sińców na twarzy. Włosy spływały ciemną kaskadą na jej plecy i miała tak ponętne kształty, że fajnie wyglądała nawet w obszernym aresztanckim ubraniu. Coś latało dookoła jej głowy. Duży komar? Ćma? Jeanette wytężyła wzrok, ale pewności nie miała.

Sapanie Petersa przeszło w pojękiwanie.

Policjant wziął ciemnowłosą kobietę za ramię i poprowadził ją w stronę administracji, gdzie czekali Norcross i Coates. Teraz wejdą

do środka i zarejestrują ją w więzieniu. Kobieta odgoniła owada krążącego wokół niej, otworzyła szeroko usta i zadarła głowę ku niebu. Jeanette poznała, że się śmieje – zobaczyła jej jasne, proste zęby.

Peters wyrzucił biodra do przodu i nasienie trysnęło na jej dłoń.

Cofnął się o krok. Miał rumiane policzki. Z uśmiechem na swojej tłustej małej gębie zapiął rozporek.

– Wytrzyj rękę o automat z colą, Sorley, a potem dokończ myć tę jebaną podłogę.

Jeanette starła spermę, po czym podsunęła wiadro z mopem do zlewu, żeby opłukać dłoń. Kiedy wróciła, Peters siedział przy jednym ze stolików i pił colę.

– Wszystko w porządku? – szepnęła Ree.

– Tak – odszepnęła Jeanette. I wszystko będzie w porządku, jak tylko łyknie aspirynę na ból głowy. Ostatnich czterech minut nie było. Patrzyła, jak kobieta wysiada z radiowozu, to wszystko. Nigdy więcej nie musiała myśleć o ostatnich czterech minutach. Najważniejsze, żeby w najbliższy dzień odwiedzin zobaczyła swojego Bobby'ego.

Ssss-ssss – pryskał aerozol.

Minęły trzy–cztery sekundy błogiej ciszy, zanim Ree znów się odezwała:

– Widziałaś tę nową?

– Tak.

– Naprawdę taka piękna czy mi się wydawało?

– Naprawdę.

– Kowboje od szeryfa wyciągnęli gnaty, widziałaś?

– Tak. – Jeanette zerknęła na Petersa; włączył telewizor i teraz oglądał wiadomości. Na ekranie widniała postać pochylona nad kierownicą samochodu. Trudno było poznać, czy to mężczyzna czy kobieta, bo spowijało ją coś w rodzaju gazy. U dołu ekranu migał czerwony napis „Z ostatniej chwili", ale to nic nie znaczyło; dla nich godną nadania wiadomością z ostatniej chwili było pierdnięcie Kim Kardashian. Jeanette zamrugała, żeby osuszyć wilgoć, która nagle wezbrała w jej oczach.

– Jak myślisz, co przeskrobała?

Odchrząknęła, łykając łzy.

– Nie mam pojęcia.

– Na pewno nic ci nie jest?

Odpowiedź Jeanette wyprzedził Peters, nie odwracając głowy:

– Skończcie ploty, bo obie dostaniecie naganę.

Ponieważ Ree nie umiała milczeć – to było ponad jej siły – Jeanette przezornie przeszła na drugi koniec sali, sunąc mopem po podłodze.

Z telewizora dobiegł głos Michaeli Morgan:

– Prezydent, jak dotąd, nie ogłosił stanu wyjątkowego, ale z dobrze poinformowanych źródeł wiemy, że…

Jeanette wygłuszyła jej głos. Przypomniała sobie, jak nowa podniosła skute dłonie do krążących nad nią ciem. Ależ się śmiała, kiedy wylądowały. Z jaką swobodą.

Tutaj oduczysz się tak śmiać, siostro, pomyślała.

Jak każda z nas.

4

Anton Dubcek wrócił do domu na lunch. Taki miał zwyczaj i choć było dopiero wpół do pierwszej, jak na niego tak naprawdę był to późny lunch – bo ciężko pracował już od szóstej. Ludzie nie rozumieli jednego: że konserwacja basenów to nie jest zajęcie dla mięczaków. Trzeba mieć motywację. Jeśli chcesz zaistnieć w tej branży, nie możesz spać do późna, śniąc o słodkich naleśnikach i obciąganku. Żeby wyprzedzić konkurencję, trzeba wyprzedzić słońce. Dzisiaj zdążył już posprzątać, wyregulować skład chemiczny wody i oczyścić filtry w siedmiu różnych basenach, a oprócz tego wymienić uszczelki w dwóch pompach. Pozostałe cztery zlecenia mógł zostawić na późne popołudnie i wczesny wieczór.

A do tego czasu: lunch, krótka drzemka, krótki trening i może krótka wizyta u Jessiki Elway, znudzonej mężatki, którą aktualnie bzykał. Najpiękniejsze było to, że jej mężulo był zastępcą szeryfa. Gliny całymi dniami siedzą w radiowozach, obżerają się pączkami i dla frajdy prześladują czarnych. On, Anton, jest, kurwa, panem wody i dobrze na tym wychodzi.

Wrzucił kluczyki do miseczki przy drzwiach i poszedł prosto do lodówki po shake’a. Odsunął mleko sojowe, torbę jarmużu, pojemnik z jagodami – i nic. Shake'a brak.

– Mamo! Mamo! – krzyknął. – Gdzie mój shake?

Nie było odpowiedzi, ale usłyszał telewizor grający w salonie. Wsadził głowę do pokoju. Widok, który ukazał się jego oczom – włączony telewizor, pusta szklaneczka – wskazywał, że Magda też postanowiła uciąć sobie drzemkę. Anton kochał swoją matkę, ale wiedział, że za dużo pije. Przez to zaniedbywała swoje obowiązki, a to go wkurzało. Od śmierci taty to on spłacał dom. Ona w zamian miała mu zapewniać wikt i opierunek. Jeśli Anton nie pił swoich shake’ów, nie mógł brylować w swoim fachu, tak jak to konieczne, dawać z siebie maksa na treningach ani posuwać zgrabnych tyłeczków tak energicznie, jak tego chciały ich posiadaczki.

– Mamo! Bez jaj! Musisz robić, co do ciebie należy! – Jego głos poniósł się echem po domu.

Magda musiała być tak nawalona, że nawet nie drgnęła.

Wyszarpnął mikser z szafki pod szufladą ze sztućcami, postawił go na blacie i połączył dzbanek z mieszadłem i podstawą, starając się robić jak najwięcej hałasu. Wrzucił sporą porcję zieleniny, garść jagód i orzechów, łyżeczkę ekologicznego masła orzechowego i szklankę proszku białkowego Mister RipperTM. Nagle złapał się na tym, że myśli o komendant Lili Norcross. Atrakcyjna, jak na starszą laskę, superwysportowana – prawdziwa Mniam-Mniam Mamuśka, pączków to ona nie je – i podobało mu się, jak szybko odzyskała rezon, kiedy ją zaczepił. Czy miała na niego chrapkę? A może chciała dopuścić się wobec niego aktów policyjnej brutalności? Albo – a to już bardzo intrygująca możliwość – jedno i drugie? Warto się zainteresować bliżej tą sytuacją. Ustawił największą szybkość w mikserze i patrzył na wirujące składniki. Kiedy mieszanina przybrała jednolity kolor grochu, wyłączył urządzenie, zabrał dzbanek i poszedł do salonu.

A na ekranie telewizora, kto by pomyślał: jego dawna towarzyszka zabaw, Mickey Coates!

Lubił Mickey, choć jej widok obudził dziwną melancholię w prezesie, dyrektorze generalnym, dyrektorze finansowym

i jedynym pracowniku firmy Anton Czyściciel Basenów sp. z o.o. Czy w ogóle by go pamiętała? Jego matka kiedyś często jej pilnowała, więc w swoich szczenięcych latach Anton spędzał z Mickey sporo czasu. Pamiętał, jak zwiedzała jego sypialnię, szperała po szufladach, wertowała komiksy i rzucała pytanie za pytaniem: Kto ci to dał? Dlaczego tego G.I. Joe'a lubisz najbardziej? Dlaczego nie masz kalendarza? Twój tata to elektryk, prawda? Myślisz, że nauczy cię obchodzić się z kabelkami i innymi takimi? Chcesz, żeby cię nauczył? Mieli wtedy pewnie z osiem lat, a maglowała go, jakby planowała napisać jego biografię. Nie przeszkadzało mu to jednak. Nawet to lubił. Jej zainteresowanie sprawiało, że czuł się kimś ważnym; przedtem, przed nią, nigdy nawet nie chciał niczyjego zainteresowania, był szczęśliwy, będąc po prostu dzieckiem. Oczywiście Mickey szybko poszła do prywatnej szkoły i od gimnazjum prawie ze sobą nie rozmawiali.

Teraz, jako dorosła kobieta, pewnie leciała na typów z aktówkami i spinkami do mankietów, którzy czytali „The Wall Street Journal", rozumieli, na czym polega cholerny urok opery, oglądali PBS – tego pokroju towarzystwo. Anton pokręcił głową. Jej strata, zapewnił sam siebie.

– Pragnę państwa ostrzec, że za chwilę wyemitujemy szokujący materiał o dotąd niepotwierdzonej autentyczności. – Mickey siedziała z tyłu wozu transmisyjnego, którego drzwi stały otworem. Obok niej jakaś kobieta w słuchawkach pracowała na laptopie. Podmalowane niebieskim cieniem powieki Mickey połyskiwały wilgocią. Wewnątrz wozu musiało być gorąco. Jej twarz wyglądała jakoś inaczej. Anton pociągnął duży łyk spienionego shake'a i przyjrzał jej się uważniej. Pewnie rozmiar biustu A, pomyślał. Może B, ale raczej A. Nic w tym złego. Byle się mieściły w dłoniach, więcej nie trzeba – taką wyznawał filozofię. – Jednak – ciągnęła – zważywszy na rozgłos wokół aurory i krążące plotki o niepożądanych skutkach przebudzenia osób uśpionych, postanowiliśmy go nadać, bo zdaje się on potwierdzać ich prawdziwość. Oto fragment internetowej transmisji z siedziby samozwańczych Oświeconych niedaleko Hatch w Nowym Meksyku. Jak państwo wiecie, milicja ta weszła w spór

z władzami federalnymi w związku z prawami do korzystania z wody…

Dobrze było zobaczyć Mickey, ale wiadomości nudziły Antona. Wziął pilota i przełączył na Cartoon Channel, gdzie animowany koń z jeźdźcem na grzbiecie galopował przez ciemny las, uciekając przed cieniami. Kiedy odłożył pilota z powrotem na stolik, zauważył na podłodze pustą butelkę po dżinie.

– Szlag by to, mamo.

Wziął następny łyk shake'a i przeszedł przez salon. Musiał się upewnić, że śpi na boku, w razie gdyby nagle z niej chlusnęło; dopóki nad nią czuwał, nie pozwoli, żeby umarła śmiercią gwiazdy rocka.

Jego telefon komórkowy zaświergotał na kuchennym blacie. Esemes od Jessiki Elway. Dziecko wreszcie zasnęło, więc planowała zapalić jointa, rozebrać się do naga i unikać telewizji oraz Internetu, bo i tu, i tam wszyscy dziś powariowali. Czy Anton chciałby do niej dołączyć? Jej mąż, biedaczysko, utknął na miejscu zbrodni.

5

Frank Geary stwierdził, że główny bohater materiału z Nowego Meksyku wygląda jak podstarzały uczestnik festiwalu w Woodstock, ktoś, kto powinien skandować razem z Country Joe McDonaldem, a nie przewodzić jakiejś porąbanej sekcie.

Brat Krwi Jasny Liść, tak o sobie mówił – dłuższego imienia nie mógł wymyślić? Miał burzę kręconych siwych włosów, kędzierzawą siwą brodę i wełniany szal w pomarańczowe trójkąty, który sięgał mu do kolan. Frank śledził sprawę Oświeconych, od kiedy wiosną zrobiło się o nich głośno, i doszedł do wniosku, że pod całą tą pseudoreligijną, quasi-polityczną otoczką kryje się tylko kolejna banda oszustów podatkowych i wyznawców Trumpa.

Nazywali siebie Oświeconymi. O, kurwa, ironio! Było ich około trzydziestu – mężczyźni, kobiety i garstka dzieci – i ogłosili się niezależnym państwem. Oprócz tego, że odmawiali płacenia

podatków, posyłania dzieci do szkół i oddania swego arsenału broni automatycznej (najwyraźniej potrzebnej im do obrony przed pustynnymi biegaczami), bezprawnie zmienili bieg jedynego strumienia w okolicy, żeby nawodnić należące do nich skąpo porośnięte pustkowie. FBI i ATF od miesięcy otaczały siedzibę ugrupowania i próbowały nakłonić jego członków do kapitulacji, ale jak dotąd z marnym skutkiem.

Ideologia Oświeconych budziła we Franku obrzydzenie. To był czysty egoizm w przebraniu duchowości. Mógł bez trudu poprowadzić prostą linię od Oświeconych do nieustających cięć budżetowych, które groziły tym, że koniec końców będzie musiał przejść na niepełny etat albo w ogóle pracować na zasadzie wolontariatu. Cywilizacja wymaga wkładu we wspólne dobro – lub ofiary na jego rzecz, jak kto woli. Inaczej kończy się to tak, że dzikie psy włóczą się po ulicach i zajmują ważne stanowiska w Waszyngtonie. Miał nadzieję (choć, musiał przyznać, niedużą), że w siedzibie Oświeconych nie ma dzieci, bo wtedy władze mogłyby po prostu wedrzeć się do środka i wymieść ich stamtąd jak śmiecie.

Frank siedział za biurkiem w swoim małym gabinecie. Otoczony różnej wielkości klatkami dla zwierząt i regałami zastawionymi sprzętem, nie miał za wiele przestrzeni, ale to mu nie przeszkadzało. Tak, jak było, było dobrze.

Sączył z butelki sok z mango i oglądał telewizję, przykładając worek z lodem do kantu dłoni, którą nie tak dawno walił w drzwi Gartha Flickingera. Światełko migało na jego telefonie komórkowym: Elaine. Nie był pewien, jak to rozegrać, więc zaczekał, aż zostawi wiadomość w poczcie głosowej. Za mocno naciskał Nanę, teraz zdawał sobie z tego sprawę. Pewnie nie uniknie konsekwencji.

Zdemolowany zielony mercedes stał przed domem bogatego lekarza. Odciski palców Franka były na pomalowanym kawałku kostki brukowej, którym powybijał szyby merca i zniszczył karoserię, a także na donicy z bzem, którą u szczytu furii wcisnął na tylne siedzenie samochodu bezmyślnego skurwysyna. Takich właśnie niepodważalnych dowodów potrzebował sędzia sądu rodzinnego, żeby zarządzić, by Frank widywał córkę tylko w obecności pracownika socjalnego przy co drugiej pełni księżyca. Z wyrokiem za

wandalizm pracę też będzie miał z głowy. Z perspektywy czasu było oczywiste, że w tamtym momencie Zły Frank przejął stery. Mało tego – Zły Frank dobrze się bawił.

Zły Frank jednak nie był na wskroś zły, nie można też powiedzieć, że popełnił błąd – bo spójrzcie tylko: zielony mercedes Gartha Flickingera w najbliższej przyszłości nie rozjedzie już żadnego kota. Nana przez jakiś czas znów mogła bezpiecznie rysować na podjeździe. Może Dobry Frank rozegrałby to lepiej. A może nie. Dobry Frank był trochę mięczakiem.

– Nie będę… nie będziemy stali z założonymi rękami, gdy tak zwany rząd Stanów Zjednoczonych mydli nam oczy. – Na ekranie Brat Krwi Jasny Liść wygłaszał mowę zza długiego, prostokątnego stołu. Na blacie leżała kobieta w jasnoniebieskiej koszuli nocnej. Jej twarz okrywała biała substancja, która wyglądała jak sztuczna pajęczyna sprzedawana w drogerii przed Halloween. Pierś kobiety podnosiła się i opadała.

– Co to za syf? – Frank zwrócił się do bezdomnego kundla, którego obecnie gościł.

Zwierzę podniosło wzrok, po czym znów zapadło w sen. To wyświechtany banał, ale nie ma lepszego towarzysza na każdą pogodę niż pies. W ogóle nie ma lepszego towarzysza. Psy nie potrafią inaczej; po prostu wydobywają z każdej sytuacji to, co najlepsze. Wydobywają z ciebie to, co najlepsze. Frank w dzieciństwie zawsze miał psa. Elaine była na nie uczulona – tak twierdziła. Jeszcze jedno, z czego dla niej zrezygnował. Ona nigdy nie zrozumie, jak wielkie to było poświęcenie.

Poskrobał kundla między uszami.

– Widzieliśmy, jak ich agenci zatruwali naszą wodę pitną. Wiemy, że użyli broni chemicznej przeciwko najbardziej bezbronnej i najcenniejszej części naszej Rodziny, kobietom Oświeconych, aby zasiać w naszych szeregach chaos, strach i zwątpienie. Ciemną nocą zatruli nasze siostry. W tym moją ukochaną żonę, Susannah. Trucizna toczyła ją i resztę naszych pięknych kobiet, kiedy spały. – Głos Brata Krwi Jasnego Liścia przeszedł w chrypienie nałogowego palacza; brzmiało dziwnie swojsko, jakby słuchać członka grupy wesołych emerytów jedzących śniadanie przy stoliku barowym.

Najwyższemu kapłanowi kultu niepłacenia podatków towarzyszyli dwaj młodsi mężczyźni, też z brodami, choć nie tak efektownymi, i też owinięci wełnianymi szalami. Wszyscy mieli pasy z bronią, które upodabniały ich do statystów w spaghetti westernie Sergia Leone. Na ścianie za nimi wisiał Chrystus Ukrzyżowany. Obraz był wyraźny, od czasu do czasu tylko zakłócany poziomą linią przewijającą się przez kadr.

– Kiedy spały!

– Czy teraz widzicie, jakim tchórzem jest obecny Król Kłamstw? Widzicie go w Białym Domu? Widzicie podobnych mu łgarzy na bezużytecznych zielonych papierkach, które, jak się nam wmawia, są coś warte? Och, sąsiedzi moi. Sąsiedzi, sąsiedzi. Tacy są podstępni, tak okrutni, tak wiele mają twarzy. – Zęby nagle rozbłysły w gąszczu jego brody. – Nie ulegniemy jednak diabłu!

Chwila, moment, pomyślał Frank. Jeśli Elaine uważa, że ma ze mną krzyż pański, niech obczai tego Jerry'ego Garcię dla ubogich. Facetowi brakuje nie tylko piątej, ale i wszystkich pozostałych klepek.

– Sztuczki potomków Piłata nie zwyciężą Pana, któremu służymy!

– Chwała Panu – mruknął jeden z członków milicji.

– Otóż to! Chwała Panu. Tak jest. – Pan Jasny Liść klasnął w dłonie. – Zerwijmy więc to paskudztwo z mojej małżonki.

Jeden z jego ludzi podał mu nożyce do drobiu. Brat Krwi pochylił się i zaczął ostrożnie rozcinać pajęczyny przesłaniające twarz żony.

Frank wychylił się do przodu na krześle.

Czuł, że zaraz będzie się działo.

6

Kiedy tylko wszedł do sypialni i zobaczył Magdę w pościeli, z twarzą zakrytą czymś, co wyglądało jak krem piankowy, Anton padł na kolana obok matki. Z hukiem postawił dzbanek z shakiem na stoliku nocnym, a gdy dostrzegł małe nożyczki – pewnie znów regulowała

sobie brwi, zastępując lusterko kamerą iPada – bez wahania zabrał się do rozcinania tego materiału.

Ktoś jej to zrobił? Czy ona sama? To jakiś dziwaczny wypadek? Reakcja alergiczna? Skutek jakiegoś zwariowanego zabiegu kosmetycznego? Było to dla niego niezrozumiałe i przerażające. Anton nie chciał stracić matki.

Rozciąwszy powłokę, odrzucił nożyczki i wsunął palce w powstały otwór. Materiał był lepki, ale dawał się odrywać, rozciągał się i odchodził od policzków Magdy białymi, gumowatymi wstęgami. Jej zniszczona twarz, z falami zmarszczek wokół oczu, kochana twarz, którą przez chwilę spodziewał się zobaczyć rozpuszczoną pod dziwną białą płachtą (trochę przypominała chusteczki wróżek połyskujące w trawie przy basenach, które czyścił z samego rana), okazała się nienaruszona. Skóra była nieco zaczerwieniona i ciepła, ale poza tym mama wyglądała tak jak przedtem.

Z jej gardła dobył się cichy pomruk, prawie chrapanie. Oczy poruszały się pod powiekami, wprawiając je w drżenie. Usta otworzyły się i zamknęły. Z jednego kącika pociekła strużka śliny.

– Mamo… Mamo? Możesz się obudzić? Zrób to dla mnie.

Wyglądało na to, że mogła, bo jej oczy się otworzyły. Krew przymgliła źrenice, rozpływała się po twardówkach. Powieki zamrugały. Spojrzenie Magdy powędrowało po pokoju.

Anton wsunął rękę pod ramiona matki i podniósł ją do pozycji siedzącej. Dźwięk wychodzący z jej gardła stał się głośniejszy; nie było to już chrapanie, raczej warkot.

– Mamo? Wezwać pogotowie? Chcesz, żeby przyjechała karetka? Przynieść ci wody? – Wyrzucał pytania jednym tchem.

Mimo wszystko ulżyło mu. Magda dalej toczyła wzrokiem po sypialni, jakby powoli do niej docierało, gdzie jest.

Jej spojrzenie zatrzymało się na stoliku nocnym: podróbka lampki od Tiffany'ego, opróżniony do połowy dzbanek z shakiem białkowym, Biblia, iPhone. Warczenie było coraz głośniejsze. Jakby wzbierał w niej krzyk. Czy to możliwe, że go nie poznawała?

– To mój napój, mamo – powiedział Anton, kiedy wyciągnęła rękę i chwyciła dzbanek. – I nie twoja w tym zasługa, ha, ha. Zapomniałaś go zrobić, głuptasku.

Zamachnęła się i przywaliła mu dzbankiem w skroń. Plastik głucho łupnął o kość.

Anton zatoczył się do tyłu, obolały, mokry i zdezorientowany. Wylądował na kolanach. Utkwił wzrok w zielonej plamie na beżowej wykładzinie. Czerwone krople kapały na zieleń. Ale bałagan, pomyślał i w tej samej chwili matka ponownie uderzyła go dzbankiem, tym razem prosto w potylicę. Gruby plastik pękł z głośnym trzaskiem. Anton padł twarzą w kałużę rozlanego na kłującej beżowej wykładzinie shake'a. Wciągając ustami krew, shake'a i włókna wykładziny, wyrzucił rękę w bok, usiłując się odsunąć, ale każda część jego ciała, każdy wspaniały mięsień wydawał się ciężki i bezwładny. Za jego plecami ryczał lew – jeśli miał pomóc matce przed nim uciec, musiał wstać i znaleźć swoją potylicę.

Próbował ostrzec Magdę krzykiem, ale z jego gardła wyszedł tylko bulgot, a usta zakneblowała wykładzina.

Wielki ciężar zwalił mu się na plecy i kiedy ten nowy ból zmieszał się ze starym, Anton miał nadzieję, że matka go usłyszała, że mimo wszystko zdoła uciec.

7

Bezpański pies zaczął szczekać w jednej z klatek; po chwili dołączyły do niego dwa następne. Bezimienny kundel u stóp Franka – tak bardzo podobny do tego, którego skatował Fritz Meshaum – zawył przeciągle. Już nie spał, siedział prosto. Frank w roztargnieniu przesunął dłonią po jego grzbiecie, żeby uspokoić zwierzę. Nie odrywał oczu od ekranu.

Jeden z młodych pomocników Brata Krwi Jasnego Liścia – nie ten, który podał mu nożyce do drobiu, lecz ten drugi – złapał go za ramię.

– Tato? Może lepiej tego nie rób.

Jasny Liść odtrącił jego dłoń.

– Bóg każe ci wyjść na światło! Susannah… Siostro Krwi Jasny Liść… Bóg nakazuje ci wyjść na światło! Wyjdź na światło!

– Wyjdź na światło! – powtórzył jak echo mężczyzna, który podał mu nożyce, i Jasny Liść junior z ociąganiem dołączył do chóru. – Wyjdź na światło! Siostro Krwi Jasny Liść, wyjdź na światło!

Brat Krwi Jasny Liść wsunął dłonie do rozciętego kokonu otulającego twarz jego żony i zagrzmiał:

– Bóg nakazuje ci wyjść na światło!

Pociągnął. Rozległ się odgłos darcia, który przypominał Frankowi dźwięk rozpinanego rzepa. Później ukazała się twarz pani Susannah Siostry Krwi Jasny Liść. Miała zamknięte oczy, ale jej policzki były rumiane, nitki na krawędziach rozcięcia w kokonie falowały, poruszane oddechem. Pan Jasny Liść pochylił się nisko, jakby chciał ją pocałować.

– Nie rób tego – powiedział Frank i choć telewizor nie grał głośno, a on mówił prawie szeptem, rozszczekało się już wszystkie sześć psów, które tego popołudnia były w klatkach. Kundel zaskomlał – cicho i z niepokojem. – Koleś, nie rób tego.

– Siostro Krwi Jasny Liść, przebudź się!

Przebudziła się, a jakże. I to jak się przebudziła. Jej oczy rozwarły się szeroko, poderwała się i wgryzła w nos męża. Brat Krwi Jasny Liść wrzasnął coś, co zostało wypikane, ale Frank miał wrażenie, że z ruchu ust odczytał słowa „kurwa mać". Trysnęła krew. Siostra Krwi Jasny Liść opadła z powrotem na stół, ze sporą częścią kinola męża w zębach. Góra jej koszuli nocnej była zachlapana krwią.

Frank odsunął się od ekranu i uderzył potylicą w szafkę z dokumentami, wciśniętą za biurko. W głowie miał jedną – niezwiązaną z tematem, ale bardzo wyraźną – myśl: stacja telewizyjna wypikała „kurwę", ale pozwoliła Ameryce patrzeć, jak kobieta odgryza mężowi kawał nosa. Ktoś tu miał mocno pochrzanione priorytety.

W pomieszczeniu, w którym doszło do amputacji nosa, kakofonia. Poza kadrem – krzyki. Kamera przewaliła się na bok i od tej pory pokazywała tylko drewnianą podłogę, na którą padały kolejne krople krwi. Po chwili na ekranie znów pojawiła się śmiertelnie poważna Michaela Morgan.

– Jeszcze raz przepraszamy za ten drastyczny materiał. Pragnę powtórzyć, że nie zdołaliśmy w stu procentach zweryfikować jego autentyczności, jednak właśnie otrzymaliśmy wiadomość, że Oświeceni otworzyli bramy swej siedziby i oblężenie się zakończyło. To zdaje się potwierdzać, że obrazy, które państwu pokazaliśmy, są prawdziwe. – Potrząsnęła głową, jakby próbowała oprzytomnieć, posłuchała plastikowego guziczka tkwiącego w jej uchu, po czym dodała: – Będziemy nadawali ten materiał o równych godzinach, nie w pogoni za sensacją (tak, jasne, pomyślał Frank, akurat), lecz w interesie publicznym. W zaistniałej sytuacji musicie państwo wiedzieć, co następuje: Jeśli macie bliską lub znajomą osobę uwięzioną w jednym z tych kokonów, nie próbujcie jej z niego uwolnić. Oddaję głos do studia. George Alderson ma specjalnego gościa, który może rzucić nieco więcej światła na tę przerażającą…

Frank wyłączył telewizor. Co teraz? Co, kurwa, teraz?

W jego małej przechowalni dla zwierząt psy jeszcze niewywiezione do schroniska Harvest Hills wciąż wściekle ujadały na ćmę, która wywijała piruety w wąskim przejściu między klatkami.

Frank pogłaskał kundla u swoich stóp.

– Nic się nie stało – powiedział. – Wszystko gra.

Pies się uspokoił. Ponieważ nie potrafił inaczej, uwierzył człowiekowi.

8

Magda Dubcek siedziała okrakiem na trupie syna. Dobiła go ciosem w bok szyi, który zadała kawałkiem dzbanka miksera, pokrytym zielonymi bryzgami. Dla pewności wsunęła drugi odłamek w jego ucho i przecisnęła przez kanał słuchowy, aż zatopił się w mózgu. Krew wciąż tryskała z rany w szyi Antona, rozlewała się kałużą na beżowej wykładzinie.

Łzy zaczęły spływać po jej policzkach. Magda czuła je niewyraźnie, jakby z dziwnego oddalenia. Dlaczego ta kobieta płacze?, zapytała samą siebie, niepewna, kto właściwie płacze i gdzie. A skoro już

o tym mowa, to gdzie była sama Magda? Zdaje się, że dopiero co oglądała telewizję i postanowiła chwilę odpocząć?

Na pewno nie była w swojej sypialni.

– Halo? – rzuciła w otaczającą ją ciemność. W tej ciemności byli inni, wielu innych, przysięgłaby, że ich wyczuwa, ale nie widziała nikogo… Może tam? Albo tam? Gdzieś. Magda szukała wokół siebie.

Musiała ich odnaleźć. Niemożliwe, by była tu sama. A jeśli ktoś z nią był, może pomógłby jej wrócić do domu, do syna, do Antona.

Jej ciało wstało z trupa, stare kolana strzeliły. Podeszła chwiejnym krokiem do łóżka i runęła jak długa. Powieki jej opadły. Nowe białe włókna zaczęły wysnuwać się z jej policzków; falowały i delikatnie opadały na skórę.

Zasnęła.

Szukała, kto oprócz niej jest w tym innym miejscu.

ROZDZIAŁ 6

1

Było upalne popołudnie, pogoda bardziej letnia niż wiosenna. W całym Dooling rozdzwoniły się telefony, bo część osób śledzących wiadomości na bieżąco postanowiła skontaktować się z krewnymi i znajomymi, którzy tego nie robili. Inni na razie się z tym wstrzymywali, przekonani, że cała sprawa okaże się burzą w szklance wody jak pluskwa milenijna, albo zwyczajną bujdą – jak internetowa plotka o śmierci Johnny'ego Deppa. Dlatego wiele kobiet, które wolały muzykę od telewizji, jak co dzień zaniosło swoje dzieci do łóżek na popołudniową drzemkę, a kiedy maluchy przestały marudzić, same też na chwilę się położyły.

Aby zasnąć i śnić o światach innych niż ten.

Ich córki śniły ten sen razem z nimi.

Synowie nie. Ten sen nie był dla synów.

Kiedy wygłodniali chłopcy obudzili się godzinę, dwie później i zobaczyli, że mamy śpią, a ich pełne miłości twarze spowija lepka biała substancja, krzyczeli i rozdzierali kokony paznokciami – co budziło uśpione kobiety.

Tak się stało w przypadku zamieszkałej na Eldridge Street 17 Leanne Barrows, żony zastępcy szeryfa Reeda Barrowsa. Miała w zwyczaju codziennie koło jedenastej ucinać sobie drzemkę ze swoim dwuletnim synkiem Garym. To samo zapewne zrobiła w czwartek, kiedy wybuchła epidemia aurory.

Kilka minut po drugiej pan Alfred Freeman, sąsiad Barrowsów, emerytowany wdowiec, zamieszkały na Eldridge Street 19, spryskiwał swoje rosnące przy krawężniku funkie środkiem

odstraszającym jelenie. Drzwi domu pod siedemnastką otworzyły się z hukiem i pan Freeman zobaczył panią Barrows; szła chwiejnym krokiem, niosąc małego Gary'ego pod pachą jak element sidingu. Chłopiec, w samej pielusze, krzyczał wniebogłosy i wymachiwał rękami. Prawie całą twarz jego matki przesłaniała matowa biała maska; odkryty był tylko fragment nad płatem materiału opadającym z kącika ust na brodę. Przypuszczalnie właśnie jego oderwanie obudziło matkę i ściągnęło na syna jej niezbyt czułą uwagę.

Pan Freeman, stojący może dziesięć metrów od granicy między posesjami, nie wiedział, co powiedzieć, kiedy pani Barrows ruszyła prosto do niego. Przez większą część poranka pracował w ogródku; nie oglądał ani nie słuchał wiadomości. Gdy zobaczył twarz sąsiadki – a właściwie jej brak – szok odebrał mu mowę. Z jakiegoś powodu, gdy podeszła, zdjął panamę z głowy i przycisnął do piersi, jakby zaraz mieli odegrać hymn narodowy.

Leanne Barrows upuściła zapłakane dziecko w rośliny u stóp Alfreda Freemana, obróciła się na pięcie i wróciła przez trawnik, tą samą drogą, którą przyszła, zataczając się jak pijana. Z czubków jej palców rozsnuwały się kawałki czegoś białego, jakby strzępki bibuły. Weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi.

Zjawisko to – tak zwany instynkt matki lub odruch opiekuńczy – okazało się jedną z najciekawszych i najszerzej analizowanych zagadek aurory. Chociaż ostatecznie odnotowano miliony doniesień o brutalnych konfrontacjach między uśpionymi a budzącymi ich dorosłymi, a miliony takich przypadków pozostały niezgłoszone, praktycznie nie zdarzyło się, żeby uśpiona skrzywdziła swoje małe dziecko. Obudzone kobiety oddawały synów pierwszej napotkanej osobie albo po prostu wystawiały ich za drzwi. A potem wracały w miejsce snu.

– Leanne? – zawołał Freeman.

Gary tarzał się po ziemi i kopał liście tłustymi różowymi stópkami.

– Mamo! Mamo! – zawodził.

Alfred Freeman spojrzał na chłopca, potem na zgniecione przez niego funkie, i zadał sobie pytanie: Czy odnieść go matce?

Nie przepadał za dziećmi; miał dwójkę własnych – odwzajemniały jego uczucia. Na pewno do szczęścia nie potrzebował Gary'ego

Barrowsa, brzydkiego małego terrorysty, którego wyrobienie towarzyskie sprowadzało się do wymachiwania zabawkowymi karabinami i wywrzaskiwania tekstów z *Gwiezdnych wojen.*

Twarz Leanne, osłonięta białym paskudztwem, w ogóle nie przypominała twarzy człowieka. Freeman postanowił zatrzymać dzieciaka do czasu, kiedy można się będzie skontaktować z mężem Leanne i poprosić, żeby go zabrał.

Dokonując tego wyboru, ocalił własne życie. Ci, którzy próbowali się przeciwstawić instynktowi matki, szybko tego żałowali. Cokolwiek skłoniło matki z aurorą, żeby spokojnie oddały synów pod cudzą opiekę, nie tolerowało żadnych pytań. Dla dziesiątek tysięcy ta nauka przyszła za późno.

– Przykro mi, Gary – powiedział Alf Freeman – ale chyba na razie jesteś skazany na towarzystwo starego wujka Alfa. – Chwycił niepocieszone dziecko pod pachy, podniósł je i wszedł z nim do domu. – Czy żądam zbyt wiele, prosząc, abyś był grzeczny?

2

Clint został z Evie przez prawie cały proces rejestracji. Lila nie. Chciał mieć ją przy sobie, na okrągło przypominać, żeby, broń Boże, nie zasnęła, choć zaczął wbijać jej to do głowy, kiedy tylko wysiadła z radiowozu na więziennym parkingu. Powtórzył to już z pół tuzina razy i wiedział, że swoją troską wystawia cierpliwość żony na próbę. Chciał też zapytać, gdzie była ostatniej nocy, ale wiedział, że to będzie musiało zaczekać. Zważywszy na sytuację – tutaj i w szerokim świecie – nie był pewien, czy to w ogóle jeszcze miało znaczenie. A jednak ciągle do tego wracał, niczym pies liżący obolałą łapę.

Zastępca naczelnika Lawrence „Lore” Hicks przyjechał zaraz po tym, jak Evie wprowadzono do więzienia. Naczelnik Coates kazała Hicksowi dopełnić wszelkich formalności związanych z przyjęciem nowej więźniarki, sama zaś usiadła przy telefonie; najpierw poprosiła

Biuro Więziennictwa o instrukcje, a potem obdzwoniła wszystkich członków załogi, którzy nie byli na służbie.

Jak się okazało, formalności nie było dużo. Evie siedziała z rękami przykutymi do stołu w pokoju przesłuchań, wciąż ubrana (na razie) w aresztanckie drelichy, które dały jej Lila i Linny Mars. Chociaż twarz miała poobijaną od uderzania w kratę w radiowozie Lili, jej oczy były osobliwie wesołe, zresztą cała była osobliwie wesoła. Pytania o aktualny adres, rodzinę i przebyte choroby zbyła milczeniem. Zapytana o nazwisko, powiedziała:

– Myślałam o tym. Przyjmijmy, że nazywam się Black. Black może być. Nie mam nic przeciwko Doe, w końcu znaczy tyle co „łania", ale Black lepiej pasuje do mrocznych czasów. Mówcie mi Evie Black.

– Czyli to nie jest twoje prawdziwe nazwisko? – Świeżo po wizycie u dentysty Hicks wciąż miał usta zwiotczałe od nowokainy.

– Nawet nie umielibyście wymówić mojego prawdziwego nazwiska. Nazwisk.

– Podaj je mimo wszystko – zachęcił Hicks. – Jedno wystarczy.

Evie tylko spojrzała na niego tymi wesołymi oczami.

– Ile masz lat? – spróbował znowu.

Na to pytanie radosna mina kobiety przygasła. Clintowi zdawało się, że widzi na jej twarzy smutek.

– Nie mam wieku – powiedziała, zaraz jednak puściła oko do zastępcy naczelnika, jakby przepraszając za swój podniosły ton.

– Evie, rozumiesz, dlaczego tu jesteś? – odezwał się Clint. Na szczegółową rozmowę przyjdzie czas później; pomimo wszystkiego, co się działo, nie mógł się jej doczekać.

– Aby poznać Boga, pokochać Boga i służyć Bogu – odparła. Podniosła skute dłonie tak wysoko, jak pozwalał łańcuch, demonstracyjnie się przeżegnała i wybuchnęła śmiechem. Nie powiedziała ani słowa więcej.

Clint poszedł do swojego gabinetu. Zastał tam Lilę mówiącą do nadajnika, który nosiła na ramieniu. Włożyła go z powrotem na miejsce i kiwnęła do Clinta.

– Muszę lecieć. Dzięki, że ją przyjęliście.

– Odprowadzę cię.

– Nie chcesz zostać z pacjentką? – Lila już szła korytarzem do głównych drzwi wewnętrznych – z podniesioną twarzą, żeby monitory Millie Olson rozpoznały w niej praworządnego obywatela, ba, stróża prawa, a nie osadzoną.

– Przy rewizji osobistej i odwszawianiu asystują tylko panie. Dołączę do niej, kiedy się ubierze.

Tyle że ty to wszystko wiesz, pomyślał. Jesteś zbyt zmęczona, żeby pamiętać takie szczegóły, czy po prostu nie chcesz ze mną rozmawiać?

Zabrzęczały otwierane drzwi i weszli do pomieszczenia wielkości śluzy powietrznej między więzieniem a holem wejściowym, klitki tak ciasnej, że Clint zawsze dostawał tu lekkiej klaustrofobii. Brzęczenie rozbrzmiało ponownie i wrócili do świata wolnych mężczyzn i kobiet; Lila pierwsza.

Clint dogonił ją, zanim wyszła na zewnątrz.

– Ta aurora…

– Jeszcze raz powiesz, żebym nie zasnęła, a zacznę krzyczeć. – Próbowała pokazać, że podchodzi do sprawy z humorem, ale Clint poznał, że z trudem trzyma nerwy na wodzy. Nie mógł nie dostrzec zmarszczek okalających jej napięte usta i worów pod oczami. Wzięła nocną zmianę w wysoce nieszczęśliwym momencie. O ile szczęście miało z tym cokolwiek wspólnego.

Poszedł za nią do samochodu, przy którym czekał Reed Barrows – oparty o karoserię, z rękami założonymi na piersi.

– Lila, jesteś nie tylko moją żoną, ale i najważniejszą figurą w policji hrabstwa Dooling. – Clint podał jej złożony świstek papieru. – Weź to i zrealizuj, zanim zrobisz cokolwiek innego.

Rozłożyła kartkę. To była recepta.

– Co to jest provigil?

Objął ją i przygarnął do siebie, żeby Reed nie usłyszał ich rozmowy.

– Lek na bezdech senny.

– Nie mam bezdechu.

– Wiem, ale kiedy to weźmiesz, nie zaśniesz. Nie żartuję, Lila. Musisz być przytomna. To ważne – dla mnie i całego miasta.

Zesztywniała pod jego ramieniem.

– Dobrze.

– Załatw to szybko, zanim ludzie się rzucą do aptek.

– Tak jest. – Chociaż miał dobre intencje, jego polecenia wyraźnie ją drażniły. – Po prostu rozgryź tę moją wariatkę. Jeśli się da. – Zdobyła się na uśmiech. – Zawsze mogę sięgnąć do magazynu dowodów rzeczowych. Mamy całą masę małych białych pigułek.

Na to nie wpadł.

– Warto wziąć to pod uwagę.

Odsunęła się.

– Żartowałam, Clint.

– Nie mówię, żebyś niszczyła dowody, tylko… – Uniósł dłonie. – Weź pod uwagę taką ewentualność. Nie wiemy, jak sprawy się potoczą.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem i otworzyła drzwi radiowozu od strony pasażera.

– Jeśli porozmawiasz z Jaredem wcześniej niż ja, powiedz mu, że postaram się wrócić do domu na kolację, ale szanse, że mi się uda, są bliskie zeru.

Wsiadła; zanim zasunęła szybę, żeby w pełni korzystać z klimatyzacji, prawie zadał to pytanie, nie bacząc ani na Reeda Barrowsa, ani na nagły, niewyobrażalny kryzys, który według stacji telewizyjnych stał się rzeczywistością. Było to pytanie, które, jak się domyślał, mężczyźni zadają od tysięcy lat: „Gdzie byłaś ostatniej nocy?”. Ostatecznie jednak, przez chwilę gratulując sobie sprytu, rzucił tylko:

– Hej, skarbie, pamiętasz o wypadku na Mountain Rest? Droga nadal może być nieprzejezdna. Nie jedźcie skrótem.

Lila nie drgnęła. Mruknęła tylko: „Mmhm, jasne”, i pomachała mu na pożegnanie.

Reed skierował radiowóz w stronę podwójnej bramy między więzieniem a szosą. Clint, jednak nie tak cwany, jak mu się wydawało, mógł tylko odprowadzić żonę wzrokiem.

Wrócił do środka w chwili, kiedy Evie Nawet-Nie-Umielibyście-Wymówić-Mojego-Prawdziwego-Nazwiska Black robiono zdjęcie do identyfikatora więziennego. Następnie Don Peters wcisnął jej w ramiona pościel.

– Wyglądasz mi na ćpunkę, kochanie. Nie zarzygaj tego.

Hicks posłał mu ostre spojrzenie, ale trzymał swoje odrętwiałe od nowokainy usta zamknięte. Ale Clint, który miał Petersa dosyć na całe życie, ani myślał siedzieć cicho:

– Przestań pieprzyć.

Peters obrócił głowę w jego stronę.

– Nie będziesz mi mówił…

– Mogę sporządzić raport, jeśli chcesz – przerwał mu Clint. – Niestosowna reakcja, niczym niesprowokowana. Twój wybór.

Peters przeszył go gniewnym wzrokiem, ale tylko zapytał:

– Skoro to ty za nią odpowiadasz, powiedz, dokąd ma trafić.

– Do A-10.

– Ze mną, osadzona – rzucił Peters. – Dostała ci się wyścielana cela. Szczęściara z ciebie.

Clint patrzył, jak odchodzą – Evie z pościelą w ramionach, Peters kroczący tuż za nią. Obserwował, czy pracownik jej dotknie, ale oczywiście się nie ośmielił. Wiedział, że Clint ma go na oku.

3

Lila na pewno kiedyś już była tak zmęczona jak dziś, ale nie pamiętała kiedy. Pamiętała za to – z lekcji higieny w liceum, na przenajświętszą litość boską – złe skutki długotrwałego braku snu: osłabiony refleks, zaburzona umiejętność oceny sytuacji, utrata czujności, drażliwość. Nie wspominając o kłopotach z pamięcią krótkotrwałą – mogła sobie przypomnieć lekcję higieny z dziesiątej klasy, ale nie kojarzyła, co, do cholery, miała zrobić teraz, dzisiaj, w tej chwili.

Wjechała na parking baru Olympia („Skosztuj naszego bajecznego ciasta jajecznego”, zachęcała tablica na stojaku przy wejściu), zgasiła silnik, wysiadła i wzięła kilka głębokich, powolnych oddechów, napełniając płuca i krwiobieg świeżym tlenem. Trochę pomogło. Wsadziła głowę do radiowozu i chwyciła mikrofon, ale zmieniła zdanie – to nie była rozmowa, która mogła pójść w eter. Odwiesiła

mikrofon i z kieszonki u pasa wyciągnęła swój telefon. Zadzwoniła pod jeden z kilkunastu numerów, które miała na szybkim wybieraniu.

– Linny, jak się trzymasz?

– Nieźle. W nocy spałam jakieś siedem godzin, trochę dłużej niż zwykle. Czyli wszystko gra. Martwię się jednak o ciebie.

– Nie trzeba, nie obawiaj się o… – Musiała przerwać pod wpływem rozdzierającego ziewnięcia; jej słowa brzmiały w związku z tym trochę absurdalnie, ale brnęła dalej: – Ze mną też wszystko w porządku.

– Poważnie? Jak długo jesteś na nogach?

– Nie wiem, osiemnaście, może dziewiętnaście godzin – odparła, a żeby rozproszyć obawy Linny, dodała: – Trochę się przekimałam w nocy, nie martw się. – Kłamstwo za kłamstwem padało z jej ust. Była jakaś baśń, która przed tym przestrzegała, opowiadająca o tym, jak jedno kłamstwo prowadzi do kolejnych, aż w końcu zmieniasz się w papużkę czy coś, ale znużony mózg Lili nie mógł teraz przywołać szczegółów. – Na razie mniejsza o mnie. Co z Tiffany jak-jej-tam, tą z przyczepy? Ratownicy zabrali ją do szpitala?

– Tak. I dobrze, że zrobili to w miarę szybko. – Linny zniżyła głos: – U Świętej Teresy mają istny dom wariatów.

– Gdzie są teraz Roger i Terry?

Linny odpowiedziała jakby ze wstydem:

– Cóż… Jakiś czas czekali na zastępcę prokuratora okręgowego, ale się nie zjawił, a chcieli sprawdzić, co z ich żonami…

– Mam rozumieć, że opuścili miejsce zbrodni? – Lila wpadła w złość, jednak gniew minął, ledwie skończyła wyrażać swoje niedowierzanie. Zastępca prokuratora okręgowego pewnie nie zjawił się z tego samego powodu, dla którego Roger i Terry sobie pojechali: chciał sprawdzić, co z jego żoną. Dom wariatów był nie tylko w Szpitalu Świętej Teresy. Dom wariatów był wszędzie.

– Wiem, Lila, wiem, ale Roger ma małą córeczkę, rozumiesz… – O ile rzeczywiście jest jego, pomyślała Lila. Jessica Elway lubiła skakać z łóżka do łóżka, takie przynajmniej chodziły słuchy w mieście. – Terry też wpadł w panikę… Kiedy zadzwonili do swoich domów, nikt nie odbierał. Uprzedziłam ich, że się wkurzysz.

– Dobra, ściągnij ich z powrotem. Chcę, żeby zajrzeli do wszystkich trzech aptek w mieście i przekazali aptekarzom…

Pinokio! Taki tytuł miała baśń o kłamaniu, a bohater nie zmieniał się w papużkę, tylko wydłużał mu się nos, aż urósł długi jak wibrator Wonder Woman.

– Lila? Jesteś tam jeszcze?

Weź się w garść, kobieto.

– Niech powiedzą aptekarzom, żeby rozważnie gospodarowali środkami pobudzającymi. Mówię o adderallu, deksedrynie… i wiem, że jest co najmniej jedna metamfetamina na receptę, choć nie mogę sobie przypomnieć nazwy.

– Metamfetamina na receptę? Nie gadaj!

– Tak. Aptekarze będą wiedzieli, o co chodzi. Przekażcie im, żeby wydawali te prochy wedle własnego uznania. Zasypie ich lawina recept. Niech dają ludziom jak najmniej pigułek, dopóki nie zrozumiemy, co się, do cholery, dzieje. Jasne?

– Tak.

– Jeszcze jedno, Linny, i niech to zostanie między nami. Zajrzyj do magazynu dowodów. Zobacz, co tam mamy na pobudzenie. Rozumiem przez to też kokę i amfę, zarekwirowane podczas aresztowania braci Grinerów.

– O rany, jesteś pewna? Jest tam ze dwieście gramów boliwijskiego dopalacza! Lowell i Maynard niedługo mają stanąć przed sądem. Szkoda byłoby to spieprzyć, tak długo na nich polowaliśmy!

– Wcale nie jestem pewna. Ale Clint podsunął mi tę myśl i teraz nie mogę jej odpędzić. Po prostu zinwentaryzuj to wszystko, dobrze? Nikt przecież nie będzie zwijał banknotów w rulonik i tego wciągał. – Przynajmniej nie tego popołudnia.

– Dobra. – W głosie Linny brzmiał szczery podziw.

– Kto jest koło tej wysadzonej wytwórni mety?

– Czekaj, zapytam Gertrude. – Z powodów, których Lila nie chciała znać, Linny nazywała swój komputer służbowy imieniem Gertrude. – Technicy i straż pożarna już się stamtąd zabrali. Dziwne, że tak szybko.

Lili to nie dziwiło. Pewnie oni też mieli żony i córki.

– Hm… wygląda na to, że zostało jeszcze paru gości z Adoptuj Autostradę; dogaszają ostatnie ogniska pożaru. Nie wiem, kto konkretnie, mam tylko notatkę z informacją, że wyjechali z Maylock o jedenastej trzydzieści trzy. Pewnie jest z nimi Willy Burke. Znasz Willy'ego, niczego nie przegapi.

Lokalna ekipa Adoptuj Autostradę składała się głównie z emerytów jeżdżących pikapami. Pełnili też funkcję ochotniczej straży pożarnej i ich pomoc często się przydawała w okresie pożarów lasów.

– Dobra, dzięki.

– Jedziesz tam? – Teraz w głosie Linny brzmiała lekka dezaprobata; Lila nie była zbyt zmęczona, żeby wychwycić podtekst: Kiedy tyle się tu dzieje?

– Linny, gdybym miała magiczną różdżkę, którą mogłabym obudzić ludzi, wierz mi, użyłabym jej.

– Dobrze, szefowo. – Podtekst: Nie urywaj mi głowy.

– Przepraszam. Po prostu muszę robić, co mogę. Domyślam się, że ktoś, a właściwie cała ekipa ktosiów, prowadzi badania nad tą śpiączką w Centrum Zwalczania i Prewencji Chorób w Atlancie. Ja mam na głowie podwójne morderstwo i to tym muszę się zająć.

Dlaczego tłumaczę to mojej dyspozytorce? Bo jestem zmęczona, oto dlaczego. A także dlatego że dzięki temu nie muszę myśleć o tym, jak patrzył na mnie mąż, kiedy spotkaliśmy się w więzieniu. Ani o możliwości – o fakcie, Lila, nie o możliwości, tylko o fakcie, fakcie imieniem Sheila – że ten sam mąż, o którego tak się niepokoisz, jest kimś, kogo w istocie nigdy nie znałaś.

Aurora, tak to nazwali. Jeśli zasnę, pomyślała Lila, czy to będzie koniec? Czy umrę? Możliwe, jak powiedziałby Clint. Bardzo, kurwa, możliwe.

Ich serdeczne przekomarzanki, zgodna współpraca w domowych przedsięwzięciach, przygotowywaniu posiłków i wypełnianiu rodzicielskich obowiązków, kojąca przyjemność, jaką ich ciała dawały sobie nawzajem – wszystkie te doświadczenia, treść ich codziennego wspólnego życia, zaczynały się rozsypywać w proch.

Wyobraziła sobie uśmiechniętego męża i zrobiło jej się niedobrze. Jared miał taki sam uśmiech. Sheila też.

Przypomniała sobie, jak Clint, bez słowa dyskusji, rzucił swoją prywatną praktykę. Tyle się napracowali przy urządzaniu jego gabinetu, tak długo szukali nie tylko dobrej lokalizacji, ale i właściwego miasta, zanim ostatecznie zdecydowali się na Dooling, bo było największym w okolicy skupiskiem ludności bez prywatnego gabinetu psychiatry. Clint jednak zezłościł się na swojego drugiego pacjenta i z miejsca postanowił coś zmienić. A ona tak po prostu się z tym pogodziła. Szkoda jej było zmarnowanego wysiłku, wynikłe z tego pogorszenie perspektyw finansowych wymusiło cięcia w budżecie domowym i – ogólnie rzecz biorąc – zdecydowanie wolałaby mieszkać gdzieś bliżej miasta, ale chciała, żeby Clint był szczęśliwy. Pogodziła się więc z tym i tyle. Nie chciała basenu. Kiedy się pojawił, pogodziła się z tym. Pewnego dnia Clint zdecydował, że przerzucą się na wodę butelkowaną, i zastawił nią pół lodówki. Pogodziła się z tym. Teraz w ręku miała receptę na provigil, który według niego musiała brać. Z tym też pewnie się pogodzi. Może sen to jej stan naturalny. Może dlatego aurora nie była jej straszna; bo w niewielkim stopniu zmieniłaby jej sytuację. Możliwe. Kto to, u licha, może wiedzieć?

Czy Evie była tam wczoraj wieczorem? Czy to możliwe? Czy oglądała mecz w sali gimnastycznej liceum, czy widziała wysoką blondynkę, która robiła dwutakt za dwutaktem, wchodząc w obronę Fayette jak ostry nóż w masło? To tłumaczyłoby, czemu wyskoczyła z tekstem o triple-double.

Lepiej pocałuj męża, zanim pójdziesz spać.

Tak, to pewnie wtedy zaczęłaś tracić rozum.

– Linny, muszę kończyć.

Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź, i schowała telefon z powrotem do kieszonki.

Potem przypomniała sobie o Jaredzie i znów wyszarpnęła komórkę. Tylko co mu powiedzieć? I po co? Miał w telefonie Internet, jak wszyscy. Pewnie wiedział o tym, co się dzieje, więcej niż ona. Jej syn – dobrze choć, że miała syna, nie córkę – za niego mogła dziś być wdzięczna. Państwo Pak na pewno odchodzili od zmysłów. Napisała do Jere'a esemesa, żeby po szkole wrócił prosto do domu i że go kocha; na tym poprzestała.

Podniosła twarz ku niebu i wzięła jeszcze kilka głębokich oddechów. Po prawie półtorej dekady uprzątania skutków rozmaitych wybryków, przeważnie z narkotykami w tle, Lila Norcross była na tyle pewna swego statusu i pozycji, żeby wiedzieć, że choć zrobi, co do niej należy i najlepiej jak potrafi, to nie ma wielkiego osobistego interesu w tym, by uzyskać sprawiedliwość dla dwóch martwych producentów metamfetaminy, którzy prędzej czy później zapewne sami usmażyliby się na Lampie Owadobójczej Życia. Znała też polityczne realia dość dobrze, aby mieć świadomość, że nikt nie będzie się domagał szybkiego wyjaśnienia sprawy, przynajmniej dopóki trwa panika wywołana aurorą. Jednak to właśnie w przyczepie mieszkalnej koło Składu Drzewnego Adamsa odbył się debiut Evie Doe w hrabstwie Dooling, a Świrniętą Evie zdecydowanie Lila była zainteresowana. Nie pojawiła się znikąd. Czy zostawiła gdzieś tam samochód? Może z dowodem rejestracyjnym w schowku? Przyczepa była niecałe siedem kilometrów stąd – nie ma powodu, żeby tam nie zajrzeć. Najpierw jednak musiała zrobić coś innego.

Weszła do Olympii. Lokal był prawie pusty, obie kelnerki plotkowały w narożnym boksie. Jedna zauważyła ją i zaczęła się podnosić, ale Lila machnęła ręką na znak, żeby się nie fatygowała. Gus Vereen, właściciel, ulokował się na stołku przy kasie; czytał powieść Deana Koontza w miękkiej oprawie. Za jego plecami grał mały telewizor ze ściszonym dźwiękiem. Pasek u dołu ekranu głosił: „Aurora: kryzys się pogłębia”.

– Czytałam to. – Lila stuknęła palcem w książkę Gusa. – Pies porozumiewa się przy użyciu płytek do scrabble.

– No i zepsułaś mi całą przyjemność – fuknął Gus, zaciągając się potężnie.

– Przepraszam. I tak ci się spodoba. Fajnie się czyta. No, skoro krytykę literacką mamy z głowy, poproszę kawę na wynos. Czarną. Dużą.

Gus podszedł do ekspresu marki Bunn i napełnił duży kubek. Kawa była czarna, a jakże; zapewne mocniejsza od Charlesa Atlasa i gorzka jak świętej pamięci irlandzka babcia Lili. I dobrze. Nasunął tekturową osłonę do połowy wysokości kubka, nakrył go plastikową przykrywką i podał Lili. Kiedy sięgnęła po portfel, pokręcił głową.

– Na koszt firmy, pani szeryf.

– Nie ma mowy. – To była żelazna reguła, idealnie podsumowana tabliczką, którą trzymała na biurku, z napisem „tłustym glinom kradnącym jabłka wstęp wzbroniony". Bo jak raz zaczniesz przyjmować darmowe upominki, nigdy nie przestaniesz… I zawsze jest jakieś *quid pro quo.*

Położyła piątaka na blacie, ale Gus odsunął go od siebie.

– To nie kwestia odznaki, pani szeryf. Dzisiaj kawa jest gratis dla wszystkich pań. – Zerknął na kelnerki. – Dobrze mówię?

– Tak. – Jedna z nich podeszła do Lili i wsunęła dłoń do kieszeni spódnicy. – I niech pani doda to do kawy, szeryf Norcross. Smaku nie poprawi, ale da kopa.

To była saszetka goody's, sproszkowanego leku na ból głowy. Chociaż Lila nigdy go nie zażywała, wiedziała, że to stały element lokalnej diety, podobnie jak burbon Rebel Yell i smażone tarte ziemniaki z serem. Zawartość saszetki wyglądała prawie jak kokaina w woreczkach, które znaleźli w szopie Grinerów, zawinięte w plastik i schowane w starej oponie od traktora – z tej przyczyny Grinerowie i wielu innych dilerów mieszali swój towar właśnie z goody's. Wychodziło taniej, niż gdyby kupowali pedia-lax.

– Trzydzieści dwa miligramy kofeiny – powiedziała druga kelnerka. – Już dwie dziś łyknęłam. Nie pójdę spać, dopóki tęgie mózgi nie znajdą sposobu na tę aurorę. O, nie!

4

Jedną z wielkich korzyści płynących z bycia jedynym pracownikiem odpowiedzialnym za odławianie zwierząt w hrabstwie Dooling – może nawet jedyną korzyścią – było to, że nie miał nad sobą szefa. Frank Geary teoretycznie odpowiadał przed burmistrzem i radą miejską, jednak ci prawie nigdy nie zaglądali do jego małej kanciapy na tyłach nijakiego budynku, w którym swoje siedziby miały też Towarzystwo Historyczne, Wydział Rekreacji i Biuro Taksatora. I w to mu graj.

Wyprowadził psy na spacer, uspokoił je (garść czipsów z kurczaka Dr. Tim's jak zawsze sprawdziła się doskonale), dał im pić i upewnił się, że Maisie Wettermore, wolontariuszka z liceum, przyjdzie o szóstej, żeby je nakarmić i zabrać na jeszcze jeden spacer. Tak, jej nazwisko widniało w grafiku. Frank zostawił jej notatkę z informacjami o tym, któremu psu podać jakie leki, po czym zamknął biuro i wyszedł. Dopiero później uprzytomnił sobie, że Maisie mogła mieć dziś na głowie ważniejsze sprawy niż kilka bezdomnych zwierzaków.

Przez cały ten czas myślał o swej córce. Znowu. Tego ranka ją wystraszył. Niechętnie to przyznawał, nawet przed samym sobą, ale tak było.

Nana. Coś nie dawało mu spokoju, coś, co w jakiś sposób jej dotyczyło. Nie chodziło o aurorę, nie całkiem, ale o coś związanego z aurorą. Co to mogło być?

Oddzwonię do El, pomyślał. Kiedy tylko wrócę do domu.

Gdy jednak wrócił do małego, czteropokojowego domu na Ellis Street, który wynajmował, najpierw zajrzał do lodówki. Niewielki wybór: dwa kubeczki jogurtu, spleśniała sałatka, butelka sosu barbecue Sweet Baby Ray's i karton owsianego stouta Miner's Daughter, wysokokalorycznego trunku, który, jak mniemał, na pewno był zdrowy – przecież zawiera owies, nie? Kiedy chwycił puszkę, zadzwonił telefon. Frank spojrzał na zdjęcie Elaine na małym ekranie i uzmysłowił sobie coś, co niekoniecznie chciał wiedzieć: on lękał się Gniewu Elaine (trochę), a jego córka lękała się Gniewu Tatusia (tylko trochę, miał nadzieję). Czy na takiej podstawie można zbudować zdrowe relacje rodzinne?

To ja jestem ten dobry, przypomniał sobie i odebrał.

– Cześć, El! Przepraszam, że nie odezwałem się wcześniej, coś mi wypadło. Smutna sprawa… Musiałem uśpić kotkę sędziego Silvera, a potem…

Elaine nie zamierzała pozwolić, by rozmowa zeszła na temat kotki sędziego Silvera; zadzwoniła, żeby się kłócić, i nic nie mogło jej od tego odwieść. Jak zwykle już od pierwszego słowa ryczała na cały regulator:

– Przestraszyłeś Nanę na śmierć! Wielkie dzięki!

– Uspokój się, dobrze? Poprosiłem tylko, żeby rysowała w domu. Z powodu tego zielonego mercedesa.

– Pojęcia nie mam, o czym mówisz, Frank.

– Pamiętasz, kiedy zaczynała rozwozić gazety i któregoś dnia powiedziała, że musiała zjechać na trawnik Nedelhaftów, bo na chodnik wpadł facet w dużym zielonym samochodzie z gwiazdą z przodu? Kazałaś mi machnąć na to ręką. I tak zrobiłem, machnąłem na to ręką. – Wyrzucał słowa coraz szybciej, niedługo zacznie je z siebie wypluwać, jeśli się nie opanuje. Elaine nie rozumiała, że czasem musi krzyczeć, żeby go usłyszano. Przynajmniej przy niej. – Samochód, który rozjechał kotkę sędziego Silvera, też był duży, zielony i miał gwiazdę z przodu. To był mercedes. Byłem prawie pewien, że wiedziałem, do kogo należy, już wtedy, kiedy o mało nie potrącił Nany…

– Frank, Nana mówiła, że wjechał na chodnik pół przecznicy od niej!

– Może tak. A może był bliżej, tylko nie chciała nas niepokoić? Może się bała, że ledwie zaczęła rozwozić gazety, a już jej tego zabronimy. Posłuchaj mnie, dobrze? Machnąłem na to ręką. Wiele razy widziałem tego mercedesa w okolicy i zawsze machałem na to ręką. – Ile razy to już powtórzył? Ściskał puszkę stouta tak mocno, że ją wgniótł, jeszcze trochę, a pęknie mu w dłoni. – Ale teraz miarka się przebrała. Rozjechał Kakao.

– Kto to…

– Kakao! Kakao. Kotka sędziego Silvera! Na jej miejscu mogło być moje dziecko, Elaine! Nasze dziecko! W telegraficznym skrócie: mercedes, o którym mowa, należy do Gartha Flickingera, facet mieszka kawałek od nas, na wzgórzu.

– To ten lekarz? – Elaine jakby się zainteresowała. Nareszcie.

– Tak, ten lekarz. I kiedy z nim rozmawiałem, nie zgadniesz, był naćpany, Elaine! Jestem tego prawie pewien. Ledwo mógł sklecić zdanie.

– I zamiast donieść na niego policji, poszedłeś do jego domu? Tak jak kiedyś poszedłeś do szkoły Nany i jak wariat nakrzyczałeś na jej nauczycielkę przy wszystkich dzieciach, włącznie z twoją córką?

Proszę bardzo, chcesz, to wywlekaj stare sprawy, pomyślał Frank, jeszcze mocniej ściskając puszkę. Zawsze tak robisz. To, pamiętny cios w ścianę, to, jak kiedyś wygarnąłem twojemu ojcu, że pierdoli głupoty. Wywlecz to wszystko, śmiało! Największe Przeboje Elaine Nutting Geary. Kiedy będę leżał w trumnie, ty będziesz komuś opowiadała, jak wydarłem się na nauczycielkę Nany w drugiej klasie, bo wyśmiała jej projekt naukowy i doprowadziła moją córkę do płaczu. A kiedy ci się znudzi, możesz wspomnieć, jak nawrzeszczałem na panią Fenton, bo pryskała chwasty, nie dbając o to, że Nana jeździ obok na rowerku i musi wdychać tę truciznę. W porządku. Jeśli dzięki temu będzie ci lżej, możesz zrobić ze mnie tego złego. Teraz jednak będę mówił spokojnie, bez żadnych emocji. Bo tym razem nie mogę dać ci się sprowokować, Elaine. Ktoś musi czuwać nad naszą córką, a jest dość oczywiste, że ty się do tego nie nadajesz.

– To był mój ojcowski obowiązek. – Czy to zabrzmiało pompatycznie? Frank miał to gdzieś. – Nie zależy mi na tym, żeby aresztowali go za potrącenie kota i ucieczkę z miejsca wypadku, ale owszem, zależy mi na tym, żeby nie rozjechał Nany. Jeśli napędzając mu lekkiego stracha, osiągnąłem ten cel…

– Powiedz mi, że nie odstawiałeś Charlesa Bronsona.

– Nie, byłem wobec niego bardzo racjonalny. – To przynajmniej było bliskie prawdy. Nieracjonalnie obszedł się tylko z samochodem. Był jednak pewien, że taki wzięty doktorzyna jak Flickinger ma pierwszorzędne ubezpieczenie.

– Frank.

– Co?

– Nie bardzo wiem, od czego zacząć. Może od pytania, którego nie zadałeś, kiedy zobaczyłeś, że Nana rysuje przed domem.

– Co? Jakiego pytania?

– „Dlaczego nie jesteś w szkole, kochanie?”. Tego pytania.

Nie była w szkole. Może właśnie to go dręczyło.

– Rano było tak słonecznie, że po prostu… Jak w lecie, wiesz? Zapomniałem, że jest maj.

– Frank, wszystko ci się w tej twojej łepetynie poprzestawiało. Tak się martwisz o bezpieczeństwo córki, a nie pamiętasz, że trwa rok

szkolny. Pomyśl chwilę. Nie zauważyłeś, że będąc u ciebie w domu, odrabia lekcje? No wiesz, pisze w zeszytach, czyta podręczniki? Biorę na świadka Boga i syna jego jedynego, Jezusa…

Wiele mógł znieść – i kto wie, może na część z tych rzeczy zasługiwał – ale ani myślał potulnie wysłuchiwać bzdetów o braniu Jezusa na świadka. To nie jedyny syn Boga lata temu wypłoszył szopa spod kościoła episkopalnego i zabił otwór deską, to nie dzięki niemu Nana miała co jeść i w co się ubrać, o Elaine nie wspominając. Zapewniał im to Frank – bez udziału magii.

– Do rzeczy, Elaine.

– Nie interesujesz się nikim oprócz siebie. Liczy się tylko, co dziś wkurzyło Franka i kto nie rozumie, że jeden Frank potrafi wszystko zrobić, jak trzeba. Bo to dla ciebie punkt wyjścia do każdej dyskusji.

Mogę to znieść. Mogę to znieść mogę to znieść mogę to znieść ale o Boże Elaine ależ potrafisz być nadętą suką kiedy się postarasz.

– Była chora?

– Aha, teraz ci się zapaliła czerwona lampka.

– To jak, była chora? Jest chora? Bo wyglądała normalnie.

– Nic jej nie jest. Pozwoliłam jej zostać w domu, bo dostała okres. Pierwszy raz. – Frank poczuł się jak rażony gromem. – Była przejęta i trochę wystraszona, choć rok temu wytłumaczyłam jej, na czym to polega. I wstydziła się, bo zabrudziła krwią pościel. Jak na pierwszy okres, był dość obfity.

– Niemożliwe, że… – Słowa na chwilę ugrzęzły mu w gardle. Musiał je wykrztusić jak kęs jedzenia, który wpadł nie tam, gdzie trzeba. – Niemożliwe, że dostała miesiączkę! Ma jedenaście lat, na litość boską!

– Myślałeś, że zawsze będzie twoją małą księżniczką ze skrzydełkami elfa i błyszczącymi bucikami na nóżkach?

– Nie, ale… jedenastolatka?

– Ja miałam swój pierwszy okres w tym samym wieku. Ale nie w tym rzecz, Frank. Oto, w czym rzecz: twoja córka była obolała, zawstydzona i przygnębiona. Rysowała na podjeździe, bo to zawsze poprawia jej nastrój, a tu nagle przyjeżdża wściekły tatuś, wydziera się na nią…

– Nie wydzierałem się! – Puszka pękła. Piana ściekła po zaciśniętej pięści Franka i zaczęła kapać na podłogę.

– …wydziera się, szarpie ją za koszulkę, jej ulubioną koszulkę…

Ku jego konsternacji łzy zapiekły go w oczy. Od separacji kilka razy zdarzyło mu się płakać, ale nigdy przy Elaine. W głębi ducha bał się, że żona z każdej jego słabości zrobi łom, którym otworzy go na oścież i pożre jego serce. Jego czułe serce.

– Bałem się o nią. Nie rozumiesz tego? Flickinger to pijak albo ćpun, a może jedno i drugie. Ma duży samochód i zabił kotkę sędziego Silvera. Obawiałem się o nią. Musiałem coś zrobić. Musiałem.

– Mówisz, jakbyś był jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek bał się o swoje dziecko. Nie jesteś, Frank. Ja też się o nią boję, a ty jesteś głównym powodem tego strachu.

Milczał. Nie pojmował, jak mogła powiedzieć coś tak potwornego.

– Rób tak dalej, to znów się spotkamy w sądzie, żeby przemyśleć twoje prawo do weekendów i wizyt.

Prawo do wizyt, pomyślał Frank. Prawo! Chciało mu się wyć. Oto, jak mu się odwdzięcza za szczerość.

– Jak ona się teraz czuje?

– Chyba nieźle. Zjadła prawie cały lunch, potem powiedziała, że się zdrzemnie.

Odchylił się na piętach i upuścił na podłogę zgniecioną puszkę. To właśnie go dręczyło – nie pytanie, co Nana robiła w domu, kiedy powinna być w szkole. Wiedział, jak reaguje, kiedy coś ją zdenerwuje: idzie spać, żeby się uspokoić. A on ją zdenerwował.

– Elaine… nie oglądałaś telewizji?

– Co? – Nie zrozumiała nagłego zwrotu rozmowy. – Obejrzałam parę zaległych odcinków *Daily Show*, nagranych na DVR…

– Chodzi o wiadomości, El, o wiadomości! Na wszystkich kanałach o tym trąbią!

– O czym ty mówisz? Oszala…

– Każ jej wstać! – ryknął Frank. – Jeśli jeszcze nie zasnęła, każ jej wstać! Ale to już!

– Gadasz od rze…

Nie, mówił całkiem do rzeczy. Chociaż wolałby, żeby było inaczej.

– O nic nie pytaj, tylko to zrób! Natychmiast! – Rozłączył się i pobiegł do drzwi.

5

Jared czuwał w ukryciu, kiedy Eric, Curt i Kent, ciężko tupiąc, nadciągnęli przez las od strony szkoły. Hałasowali, śmiali się, przekomarzali.

– To na pewno lipa! – Jared rozpoznał głos Kenta; nie było w nim już jednak tyle entuzjazmu, co przedtem, kiedy podsłuchiwał ich rozmowę w szatni.

Rozeszły się wieści o aurorze. Dziewczyny płakały na korytarzach. Kilku chłopaków też. Jared widział, jak jeden z nauczycieli matmy, ten barczysty z brodą, który nosił kowbojskie koszule i prowadził kółko dyskusyjne, powiedział paru zapłakanym dziesiątoklasistkom, żeby wzięły się w garść i że wszystko będzie dobrze. Pani Leighton, nauczycielka wiedzy o społeczeństwie, podeszła wtedy do niego i wbiła palec w jego koszulę, dokładnie między dwoma eleganckimi zatrzaskami. „Łatwo ci mówić! Nic o tym nie wiesz! Mężczyznom to nie grozi!”, wrzasnęła.

To było dziwne. Więcej niż dziwne. Kiedy Jared patrzył, co się dzieje, czuł się naelektryzowany jak powietrze podczas silnej burzy, gdy na niebie piętrzą się chorobliwie sine chmury, przetykane językami piorunów. Świat wtedy nie wydaje się dziwny; w ogóle nie wygląda jak świat, tylko jak jakaś inna rzeczywistość, do której nagle się trafiło.

Ulżyło mu, kiedy znalazł coś innego, na czym mógł się skupić. Przynajmniej na pewien czas. Wyruszył na samodzielną misję. Nazwijmy ją Operacją Zdemaskować Kutasów.

Ojciec mówił mu, że terapia elektrowstrząsowa, tak często potępiana, w rzeczywistości pomaga niektórym chorym psychicznie, może działać uspokajająco na umysł. Gdyby Mary zapytała Jareda, co chce osiągnąć, będąc tutaj, powiedziałby jej, że ma to być właśnie swego rodzaju terapia elektrowstrząsowa. Kiedy cała szkoła

zobaczy i usłyszy, jak Eric i jego pachołki demolują kryjówkę biednej Starej Essie i dowcipkują o jej cyckach – a Jared był pewien, że tak właśnie postąpią – może ten „elektrowstrząs" zrobi z nich lepszych ludzi. I każe niektórym trochę bardziej uważać na to, z kim chodzą na randki.

Tymczasem trolle były już prawie w Strefie Zero.

– Jeśli to lipa, to jest to największa lipa wszech czasów. Piszą o tym na Twitterze, Facebooku, Instagramie – wszędzie! Kobiety zasypiają i zmieniają się w jakieś larwy czy inny syf. Poza tym sam mówiłeś, że ta starucha miała to na twarzy. – To niechybnie był głos Curta McLeoda, kutasa do kwadratu.

Na ekranie telefonu Jareda pierwszy pojawił się Eric – przeskakujący nad kamykami rozsypanymi na skraju kryjówki Starej Essie.

– Essie? Skarbie? Kochanie? Jesteś tutaj? Kent chce się wczołgać do twojego kokonu i cię ogrzać.

Jared wybrał na swój punkt obserwacyjny gąszcz paproci oddalony o jakieś dziesięć metrów od szałasu. Z zewnątrz zarośla wydawały się gęste, w środku jednak był placek niemal gołej ziemi. Leżało na niej kilka kępek rudo-białej sierści, ślad, że przed nim przyczaiło się tu jakieś zwierzę. Pewnie lis. Jared wyciągnął się jak struna i wysunął iPhone'a przed siebie najdalej, jak się dało. Wymierzył kamerę w szczelinę między liśćmi i wyostrzył obraz Starej Essie, leżącej w wejściu do szałasu. Tak jak powiedział Kent, jej twarz pokrywała narośl – jeśli wcześniej przypominała pajęczynę, to teraz stała się jednolitą, białą maską, taką jak te, które wszyscy już zobaczyli na ekranach swoich telefonów, w wiadomościach i na serwisach społecznościowych.

To był jedyny szczegół, z którym czuł się nieswojo: leżała tam bezdomna, bezbronna kobieta chora na tę aurorę czy co to było. Ciekaw był, jak Lili skomentowałaby to, że tylko filmował, zamiast interweniować, gdyby jej przedstawił swoje wytłumaczenie oparte na porównaniu z elektrowstrząsami. Tutaj jego argumentacja zaczynała pękać w szwach. Matka wpajała mu, że zawsze powinien bronić siebie i innych, zwłaszcza dziewczyn.

Eric przykucnął u wejścia do szałasu, obok owiniętej bielą twarzy Starej Essie. W ręku trzymał patyk.

– Kent?

– Co? – Kent stanął kilka kroków od niego. Drapał się w szyję nad T-shirtem z niepewną miną.

Eric dotknął patykiem maski Essie, ale zaraz go cofnął. Nitki białawego materiału przylgnęły do drewienka.

– Kent!

– Przecież pytam: co? – Głos drugiego chłopaka stał się wyższy, prawie piskliwy.

Eric pokręcił głową na kumpla, jakby zaskoczony. I rozczarowany.

– Kurczę, ale jej się na twarz spuściłeś.

Na ryk śmiechu Curta Jared drgnął; otaczające go krzaki lekko zadrżały. Nikt jednak nie zwracał na nie uwagi.

– Wal się, Eric! – Kent gniewnym krokiem podszedł do torsu manekina Essie i kopnięciem posłał go w gałęzie martwego, przewróconego drzewa.

Ten wybuch złości nie skłonił jednak Erica do zmiany tematu.

– Musiałeś to zostawić, aż wyschnie? Taka ładna babunia, a tak jej ryjek śmietaną uświniłeś. Zero klasy.

Curt podszedł, żeby przyjrzeć się jej z bliska. Przechylał głowę to na jeden, to na drugi bok. Bezmyślnie oblizując wargi, wpatrywał się w Essie jak ktoś, kto nie może się zdecydować, czy z półki przy kasie wziąć miętusy czy żelki.

Jared poczuł nieprzyjemny dreszcz, który dotarł aż do jego żołądka. Jeśli zaczną ją krzywdzić, będzie musiał spróbować ich powstrzymać. Tyle że nie miał szans ich powstrzymać, bo ich było trzech, a on był sam. Poza tym w całej jego misji tak naprawdę nie chodziło o to, żeby postąpić słusznie, zaaplikować ludziom społecznościowe elektrowstrząsy ani o to, by skłonić ich do myślenia – nie, chciał po prostu udowodnić Mary, że jest lepszy od Erica, ale czy, zważywszy na okoliczności, rzeczywiście tak było? Gdyby był lepszy od tych chłopaków, nie wpakowałby się w tę kabałę. Do tej pory zrobiłby coś, żeby im przeszkodzić.

– Dam ci pięć dych, jeśli ją przelecisz – powiedział Curt i odwrócił się do Kenta. – Tobie też. Gotówką.

– Wisi mi to – rzucił Kent. Poszedł, nadąsany, w miejsce, gdzie wylądował kopnięty manekin, i zaczął deptać po jego piersi z cichym pyk-pyk-pyk pękającego plastiku.

– Nie wyruchałbym jej nawet za bańkę. – Eric, wciąż siedzący w kucki u wejścia do szałasu, wycelował patyk w kumpla. – Ale za stówę zrobię dziurę tutaj… – postukał patykiem w prawe ucho Essie – …i nasikam do środka.

Jared patrzył, jak pierś Essie podnosi się i opada.

– Serio? Za stówę? – Curt był wyraźnie zaintrygowany. Ale sto dolarów to kupa kasy.

– Nie. Żartuję. – Eric puścił oko do kumpla. – Nie kazałbym ci za coś takiego płacić. Zrobię to za darmo. – Pochylił się nad Essie i wsunął czubek kijka w oprzęd, próbując dogrzebać się do ucha.

Jared musiał coś zrobić; nie mógł biernie patrzeć i nagrywać, jak jej to robią. Dlaczego więc się nie ruszysz?, zapytał sam siebie. W tej samej chwili iPhone, którego mocno ściskał w wilgotnej dłoni, wyskoczył z niej i z cichym tąpnięciem wylądował w zaroślach.

6

Nawet kiedy się wciskało gaz do dechy, mały pikap wydziału do spraw zwierząt nie przekraczał osiemdziesięciu na godzinę. Nie dlatego że miał zamontowany ogranicznik prędkości; po prostu był stary, z licznikiem przebiegu, który zdążył już dojść do zera i zacząć liczyć kilometry od nowa. Frank kilka razy przedkładał radzie miejskiej wniosek o nowy wóz i zawsze dostawał tę samą odpowiedź: „Rozważymy to”.

Zgarbiony nad kierownicą, wyobrażał sobie, jak tłucze kilku tych małomiasteczkowych polityków na kwaśne jabłko. Co powiedziałby, gdyby go błagali, żeby przestał? „Rozważę to”.

Wszędzie widział kobiety. Żadna nie była sama. Stały w grupkach po trzy, cztery, rozmawiały, ściskały się, niektóre płakały. Nie patrzyły na Franka Geary’ego, nawet kiedy nie zatrzymywał się przed znakami stopu ani na czerwonych światłach. Tak pewnie jeździ

Flickinger na haju, pomyślał. Uważaj, Geary, bo potrącisz czyjegoś kota. Albo czyjeś dziecko.

Ale Nana! Nana!

Zadzwonił jego telefon. Odebrał, nie patrząc na wyświetlacz. To była Elaine. Szlochała.

– Śpi, nie można jej obudzić i na całej twarzy ma jakąś maź! Coś białego, jakby pajęczynę!

Minął trzy kobiety przytulone do siebie na rogu ulicy. Wyglądały jak goście jakiegoś terapeutycznego talk-show.

– Oddycha?

– Tak… tak, widzę, jak ta maź się rusza… wydyma się, potem tak jakby się wsysa… Och, Frank, chyba ma ją w ustach i na języku! Pójdę po nożyczki do paznokci i to rozetnę!

Oczami wyobraźni zobaczył obraz – tak wyraźny i upiornie rzeczywisty, że na chwilę przesłonił mu widok na ulicę – Siostra Krwi Susannah Jasny Liść wgryzająca się w nos męża.

– Nie, El, nie rób tego.

– Dlaczego?

Jak głupią trzeba być, żeby oglądać *Daily Show*, podczas gdy rozgrywa się najważniejsze wydarzenie w dziejach ludzkości? Cóż, to mówiło wszystko o Elaine z domu Nutting, urodzonej w Clarksburgu, w Wirginii Zachodniej. Cała ona. Pierwsza do osądzania innych, ostatnia do wiedzy.

– Bo wtedy się budzą. A gdy się budzą, wpadają w obłęd. Nie, nie w obłęd, w szał.

– Nie chcesz chyba powiedzieć… Nana nigdy by…

Jeśli w ogóle jeszcze jest Naną, pomyślał Frank. Brat Krwi Jasny Liść z pewnością nie odzyskał swojej słodkiej, potulnej kobiety, do której niewątpliwie był przywiązany.

– Elaine… kochanie… włącz telewizję, a sama zobaczysz.

– Co zrobimy?

Teraz mnie pytasz, pomyślał. Jesteś przyparta do muru, więc nagle zmieniasz śpiewkę na „Och, Frank, co zrobimy?”. Poczuł nieprzyjemną, gorzką satysfakcję.

Jego ulica. Nareszcie. Dzięki Bogu. Zaraz znajdzie się w domu. Wszystko będzie dobrze. Już on się o to postara.

– Zawieziemy ją do szpitala – odparł. – Tam pewnie już wiedzą, co się dzieje.

Oby wiedzieli. Oby tylko wiedzieli. Bo tu chodziło o Nanę. O jego córeczkę.

ROZDZIAŁ 7

1

W czasie, kiedy Ree Dempster ogryzała do krwi paznokieć kciuka, zastanawiając się, czy zakapować oficera Dona Petersa, pilot samolotu relacji Heathrow–JFK, boeinga 767, lecącego na wysokości przelotowej nad Atlantykiem o trzy godziny na południowy zachód od Londynu, połączył się z wieżą kontrolną, żeby poinformować o wybuchu epidemii na pokładzie i zasięgnąć rady, co zrobić w tej sytuacji.

– Mamy troje pasażerów, w tym młodą dziewczynę, u których wystąpiło… nie jesteśmy pewni co. Obecny na pokładzie lekarz twierdzi, że to prawdopodobnie grzyb albo jakaś narośl. W tej chwili śpią, przynajmniej takie sprawiają wrażenie. Lekarz mówi, że ich parametry życiowe są w normie, ale zachodzi obawa, że ich drogi oddechowe mogą być… hm, niedrożne, więc chyba zamierza…

Nie wiadomo, co przeszkodziło w dokończeniu meldunku. Rozległ się tumult, metaliczny brzęk i zgrzyt, okrzyki: „Tutaj nie ma wstępu! Zabierzcie je stąd!”, i iście zwierzęcy ryk. Kakofonia trwała przez prawie cztery minuty, aż 767 zniknął z radarów, prawdopodobnie w chwili, kiedy uderzył w lustro wody.

2

Doktor Clinton Norcross szedł Broadwayem na rozmowę z Evie Black. W lewej dłoni trzymał notes, prawą pstrykał długopisem. Jego ciało było w zakładzie karnym w Dooling, ale umysł wędrował

w mroku po Mountain Rest Road i martwił się, z jakiego powodu Lila go okłamuje. Albo – może – z czyjego powodu.

Kilka metrów od niego, piętro wyżej, w celi Skrzydła B, Nell Seeger – więźniarka zakładu karnego w Dooling #4609198–1, wyrok pięć do dziesięciu lat (posiadanie narkotyków z zamiarem rozprowadzania) – usiadła prosto na swej górnej pryczy, żeby kciukiem wyłączyć telewizor.

Mały, z płaskim ekranem grubości mniej więcej zamkniętego laptopa, stał na półce w nogach pryczy. Zanim go wyłączyła, oglądała wiadomości razem z towarzyszką z celi i okazjonalną kochanką, Celią Frode, która jeszcze nie odbyła połowy kary – rok do dwóch lat za posiadanie lekkich narkotyków w warunkach recydywy. Celia siedziała przy pojedynczym stalowym biurku.

– Dzięki Bogu. Dłużej tego wariactwa nie wytrzymam. Co zamierzasz?

Nell położyła się i przewróciła na bok, twarzą do wymalowanego na ścianie kwadratu, na którym w rządku przyklejone były szkolne zdjęcia trójki jej dzieci.

– Nie obraź się, kochana, ale trochę sobie odpocznę. Jestem strasznie wykończona.

– Aha. – Celia zrozumiała od razu. – Cóż. Dobrze. Słodkich snów, Nell.

– Oby były słodkie – odparła Nell. – Kocham cię. Możesz sobie wziąć z moich rzeczy, co chcesz.

– Ja ciebie też kocham, Nell. – Celia wstała i położyła rękę na jej ramieniu. Nell klepnęła jej dłoń i zwinęła się w kłębek. Celia usiadła z powrotem przy małym biurku. Czekała.

Kiedy Nell zachrapała cicho, Celia wstała i zerknęła na nią. Wokół twarzy jej towarzyszki z celi wiły się nitki – trzepoczące, opadające, wypuszczające kolejne nitki, falujące jak wodorosty w łagodnym nurcie. Gałki oczu Nell poruszały się pod powiekami. Czy śniła, że jest z Celią na wolności, że siedzą gdzieś na kocu piknikowym, może na plaży? Nie, chyba nie. Zapewne śniła o swoich dzieciach. Nie była najbardziej wylewną partnerką, z jaką Celia kręciła w swoim życiu, na pewno do rozmownych nie należała, ale miała dobre serce i kochała swoje dzieci; bez przerwy pisała do nich listy.

Bez niej Celia będzie tu strasznie samotna.

A co tam, pomyślała. I postanowiła, że też się położy.

3

Czterdzieści pięć kilometrów na wschód od zakładu karnego w Dooling, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Nell zapadała w sen, dwaj bracia siedzieli przykuci do ławki w budynku sądu hrabstwa Coughlin. Lowell Griner myślał o swoim ojcu i o samobójstwie, które chyba byłoby lepsze od trzydziestu lat w więzieniu stanowym. Maynard Griner wspominał żeberka z grilla, które jadł kilka tygodni wcześniej, tuż przed aresztowaniem. Żaden z nich nie miał pojęcia, co się dzieje na świecie.

Strażnikowi, który ich pilnował, znudziło się czekanie.

– Co jest, kurwa… Idę zobaczyć, czy sędzia Wainer weźmie się wreszcie do roboty czy nie. Za mało mi płacą, żebym cały dzień was niańczył, zbóje zafajdane.

4

Kiedy Celia postanowiła zasnąć razem z Nell; kiedy strażnik wszedł do sali konferencyjnej, żeby ponaglić sędzię Wainer; kiedy Frank Geary biegł przez trawnik swojego dawnego domu ze swoim jedynym dzieckiem na rękach i z żoną, z którą żył w separacji, kilka kroków za nim – kiedy to wszystko się działo, około trzydziestu cywilów przypuściło spontaniczny szturm na Biały Dom.

Awangarda, trzej mężczyźni i jedna kobieta, wszyscy młodzi, wszyscy na oko nieuzbrojeni, zaczęła forsować ogrodzenie Białego Domu.

– Dajcie nam antidotum! – ryknął jeden z mężczyzn, zeskakując na ziemię po drugiej stronie. Był chudy, z włosami związanymi w kucyk i w baseballówce Cubs na głowie.

Tuzin agentów Secret Service, z pistoletami gotowymi do strzału, błyskawicznie otoczyło intruzów, w tej samej chwili jednak druga, dużo większa grupa ludzi wyrwała się z tłumu zebranego na Pennsylvania Avenue, obaliła barykady i rzuciła się na ogrodzenie. Policjanci w pełnym rynsztunku bojowym nadbiegli od tyłu i zaczęli ściągać ich na dół. Padły dwa szybkie strzały, jeden z policjantów zachwiał się i bezwładnie runął na ziemię. Rozbrzmiała ogłuszająca kanonada. Gdzieś niedaleko rozerwał się pocisk z gazem łzawiącym i chmura popielatego dymu rozsnuła się nad chodnikiem, spowijając większość przebiegających ludzi.

Michaela Morgan, z domu Coates, oglądała te obrazy na monitorze w wozie transmisyjnym News America, zaparkowanym naprzeciwko Centrum Zwalczania i Prewencji Chorób. Potarła ręce. Od pewnego czasu zauważalnie drżały. Miała swędzące, załzawione oczy, skutek trzech działek, które wciągnęła z deski rozdzielczej przez zrolowaną dziesięciodolarówkę.

Na pierwszym planie ujęcia pokazującego Biały Dom pojawiła się kobieta w ciemnoniebieskiej sukience. Była mniej więcej w wieku matki Michaeli, z siwymi pasemkami w czarnych włosach do ramion i sznurem pereł podskakującym u szyi. Przed sobą, niczym gorący półmisek, trzymała dziecko o bezwładnie zwisającej głowie opatulonej bielą. Kobieta przeszła płynnym krokiem przez kadr, odwrócona profilem do kamery, i zniknęła.

– Wzięłabym jeszcze trochę. Nie masz nic przeciwko? – Michaela zwróciła się do swojego technika. Powiedział jej, żeby brała, ile chce, do utraty przytomności (chyba nie najszczęśliwsze słowa w tych okolicznościach), i podał jej woreczek.

5

Podczas gdy wściekły, przerażony tłum szturmował gmach przy Pennsylvania Avenue 1600, Lila Norcross jechała w stronę Dooling. Myślała o Jaredzie i o tej dziewczynie, Sheili, przyrodniej siostrze jej syna, córce jej męża… Ależ nagle mieli ciekawe drzewo

genealogiczne! Prawda, że było coś podobnego w wyrazie ich ust, Sheili i Clinta, to chytre uniesienie kącików? Czy Sheila była kłamcą jak jej ojciec? Możliwe. I czy była dziś tak zmęczona jak Lila, czy wciąż odczuwała skutki wczorajszego uganiania się za piłką? Jeśli tak, cóż, to jeszcze jedno, co je łączyło, oprócz Clinta i Jareda.

Lila zastanawiała się, czy nie lepiej po prostu zasnąć, wypisać się z tego całego bajzlu. Na pewno tak byłoby łatwiej. Kilka dni temu taka myśl nie przyszłaby jej do głowy; wtedy jeszcze uważała, że jest silna, stanowcza, że wszystko ma pod kontrolą. Czy kiedykolwiek przeciwstawiła się Clintowi? Ani razu, takie miała wrażenie, odkąd klapki opadły jej z oczu. Nawet gdy się dowiedziała o istnieniu Sheili Norcross, dziewczyny, która nosiła jego – i jej – nazwisko.

Snując te rozważania, skręciła na Main Street. Ledwo zauważyła mały jasnobrązowy samochód, który odbił w lewo, minął ją i pomknął pod górę w kierunku, z którego przyjechała.

Za kółkiem małego samochodu siedziała kobieta w średnim wieku, wioząca swoją matkę do szpitala w Maylock. Na tylnym siedzeniu jej leciwy ojciec – nigdy niegrzeszący nadmiarem ostrożności, człowiek, który wrzucał małe dzieci do basenów, obstawiał trójki na wyścigach, niefrasobliwie pożerał marynowane kiełbaski z mętnych słoików na ladach przydrożnych sklepów – zdrapywał skrobaczką do lodu pajęczyny pokrywające twarz żony.

– Udusi się! – wrzasnął.

– W radiu mówili, żeby tak nie robić! – odkrzyknęła kobieta w średnim wieku.

Ale jej ojciec wiedział swoje, do samego końca, i dalej zeskrobywał narośl z twarzy żony.

6

Evie była prawie wszędzie. Była muchą na pokładzie 767, która zeszła na dno szklanki i umoczyła nogi w resztkach whisky z colą na chwilę przed tym, jak dziób samolotu wbił się w powierzchnię oceanu. Była ćmą krążącą wokół jarzeniówki w suficie celi Nell

Seeger i Celii Frode. Odwiedziła sąd w Coughlin, gdzie lśniącymi czarnymi ślepiami myszy wyglądała przez kratkę przewodu wentylacyjnego w kącie sali konferencyjnej. Na trawniku przed Białym Domem, w postaci mrówki, przeszła przez kałużę jeszcze ciepłej krwi martwej nastolatki. W lesie, w którym Jared uciekał przed goniącymi go łobuzami, była dżdżownicą pod jego butami, ślepą, złożoną z wielu segmentów, ryjącą w glebie.

Taka to wszędobylska była Evie.

ROZDZIAŁ 8

1

Kiedy Jared uciekał między drzewami, przypomniały mu się treningi lekkoatletyczne w dziewiątej klasie. Trener Dreifort mówił o nim, że dobrze się zapowiada. „Wiążę z tobą plany, Norcross, plany, które obejmują zdobycie przez ciebie całej masy błyszczących medali", powiedział kiedyś. Na koniec tamtego sezonu Jared zajął piąte miejsce w stawce piętnastu startujących na 8000 metrów w zawodach regionalnych – świetny wynik po zaledwie roku treningów – potem jednak zniweczył plany trenera D., rzucając lekkoatletykę na rzecz stanowiska w redakcji szkolnej księgi pamiątkowej.

Uwielbiał ostatnie metry wyścigu, kiedy łapał drugi oddech, przyspieszał i ogarniało go ekstatyczne, upajające poczucie mocy. Powodem, dla którego z tego zrezygnował, był fakt, że w redakcji szkolnej księgi pamiątkowej pracowała Mary. Wybrali ją na przewodniczącą do spraw sprzedaży i dystrybucji wśród dziesiątoklasistów i szukała swojego zastępcy. To wystarczyło, by Jared niezwłocznie stracił serce do lekkoatletyki.

– Piszę się na to – powiedział do Mary.

– No dobra, ale miej na uwadze dwie sprawy – zastrzegła. – Po pierwsze, jeśli umrę, czego nie można wykluczyć, bo dziś zjadłam na stołówce tortillę z tajemniczym mięsem, musisz przejąć po mnie obowiązki przewodniczącego, a w ostatniej księdze pamiątkowej przed skończeniem szkoły zamieścić całostronicowe wspomnienie o mnie. I nie pozwól, żeby moja matka wybrała do księgi zdjęcie, na którym wyszłam głupio.

– Rozumiem – odparł Jared i pomyślał, że naprawdę ją kocha. Wiedział, że jest za młody. Wiedział, że ona jest za młoda. Jakże jednak mógł jej nie kochać? Mary była taka piękna, a do tego tak kumata, co przychodziło jej zupełnie naturalnie, bez stresu, bez wysiłku. – A druga sprawa? – zapytał.

– Druga sprawa… – Złapała go obiema rękami za głowę i zaczęła nią potrząsać w przód i w tył, w górę i w dół. – Ja tu rządzę!

To też nie był dla niego kłopot.

W tej chwili nadepnął tenisówką na płaski, obluzowany kamień – a to już był kłopot, i to całkiem spory, bo kamień się przechylił i Jared poczuł ostry ból w prawym kolanie. Wydał zduszony okrzyk i wyrzucił naprzód lewą nogę, skupiając się na oddychaniu, jak nauczono go na treningach, dalej pracując łokciami.

– Chcemy tylko pogadać! – grzmiał Eric za jego plecami.

– Weź, kurwa, nie bądź cipa! – To Curt.

Teraz w dół, do wąwozu. Jared poczuł, jak kontuzjowane kolano ucieka w bok, miał też wrażenie, że przez łomotanie tętna i chrzęst suchych liści pod podeszwami tenisówek usłyszał coś jakby ciche piknięcie. Przed nim była Malloy Street, ulica na tyłach szkoły; między drzewami mignął żółty samochód. Prawa noga Jareda wygięła się na dnie wąwozu; jeszcze nigdy nie doświadczył takiego bólu, to był ból, jakby dotknąć ręką rozgrzanego palnika kuchenki, tyle że odczuwany wewnątrz. Złapał za ciernistą gałąź, żeby wciągnąć się na przeciwległą ścianę.

Poczuł na karku ruch powietrza, jakby dłoń przemknęła tuż za jego potylicą, po czym usłyszał przekleństwa Erica i łoskot upadających ciał. Stracili równowagę, zsuwając się do wąwozu za nim. Już tylko kilka metrów do jezdni; słyszał warkot silnika samochodu. Da radę!

Wyskoczył naprzód, blisko, coraz bliżej drogi, i oto znów poczuł euforię, którą znał z mityngów lekkoatletycznych – powietrze w płucach nagle poniosło go naprzód i ukoiło ból skręconego kolana.

Dłoń na jego ramieniu wytrąciła go z równowagi na skraju drogi. Przytrzymał się brzozy, żeby nie upaść.

– Dawaj telefon, Norcross. – Twarz Kenta płonęła rumieńcem, czoło miał usiane sinymi pryszczami. Jego oczy były mokre. – Żartowaliśmy sobie, to wszystko.

– Nie. – Jared nawet nie pamiętał, kiedy podniósł komórkę z ziemi, ale teraz ściskał ją w dłoni. Miał wrażenie, że jego kolano rozrosło się do monstrualnych rozmiarów.

– Tak – powiedział Kent. – Dawaj telefon. – Pozostali dwaj pozbierali się; biegli do nich. Do pokonania zostało im już tylko kilka metrów.

– Chcieliście nasikać staruszce do ucha! – krzyknął Jared.

– Nie ja! – Kent zamrugał, żeby osuszyć łzy, które nagle wezbrały pod jego powiekami. – I tak nie mógłbym! Wstydzę się sikać przy ludziach!

Tyle że nie zamierzałeś ich powstrzymać, odparłby Jared, gdyby nie to, że jego ręka właśnie wzięła zamach, a pięść trafiła prosto w podbródek Kenta. Rozległ się przyjemny dla ucha szczęk zębów uderzających o zęby.

Kiedy Kent upadł w chaszcze, Jared znów zerwał się do biegu. Trzy bolesne susy i już stał na środku jezdni, i już machał rękami, żeby zatrzymać pędzący mały, jasnobrązowy samochód z rejestracją z Wirginii. Nie zauważył, że kobieta za kierownicą jest odwrócona do tyłu – a już na pewno nie widział, że na tylnym siedzeniu staruszka o twarzy obwieszonej poszarpanymi pajęczynami, rycząc, raz za razem wbija ostrze skrobaczki w pierś i gardło męża, który zerwał rzeczoną pajęczynę z jej twarzy. Dostrzegł jednak, że wóz zatacza się z prawa na lewo, z lewa na prawo, jakby kierowca ledwo nad nim panował.

Jared próbował się uchylić, skurczyć się, i już pogratulował sobie zwinności, kiedy samochód wpadł na niego i wyrzucił go w górę.

2

– Hej! Ręce z dala od Kabiny! – Ree ściągnęła na siebie uwagę oficer Lampley pukaniem w szybę Kabiny, co było bezwzględnie zabronione. – Czego chcesz, Ree?

– Ja do pani naczelnik, pani oficer. – Ree starannie artykułowała słowa, choć Vanessa Lampley doskonale ją słyszała przez otwory

wentylacyjne pod kuloodpornymi szybami. – Stało się coś złego i muszę się z nią zobaczyć. Z nią, z nikim innym. Przykro mi, pani oficer. To jedyna możliwość. Tak być musi.

Van Lampley ciężko pracowała na swoją opinię surowej, ale sprawiedliwej strażniczki. Siedemnaście lat patrolowała pawilony zakładu karnego w Dooling i w tym czasie raz została pchnięta nożem, kilka razy uderzona pięścią, jeszcze więcej razy kopnięta, była też duszona, obrzucana rzadkim gównem i zachęcana do tego, by poszła się jebać i wsadziła sobie rozmaite przedmioty, w tym wiele nierealistycznie dużych lub niebezpiecznie ostrych. Czy czasem czerpała siłę z tych wspomnień podczas siłowania na rękę? A owszem, choć oszczędnie, zazwyczaj tylko podczas ważnych pojedynków ligowych. (Vanessa Lampley uczestniczyła w rozgrywkach Kobiecej Ligi Ohio Valley). Wspomnienie chwili, kiedy porąbana ćpunka zrzuciła cegłówkę z piętra Pawilonu B prosto na jej czerep (co wywołało stłuczenie czaszki i wstrząs mózgu), pomogło nawet Vanessie wykrzesać z siebie siły niezbędne do zdobycia obu tytułów mistrzowskich w jej karierze. Gniew to doskonałe paliwo, trzeba go tylko poddać należytej rafinacji.

Pomimo tych pożałowania godnych doświadczeń zawsze była świadoma odpowiedzialności, jaka wiązała się ze sprawowaną przez nią funkcją. Rozumiała, że nikt nie chce być w więzieniu. Niektórzy jednak muszą. Nie jest to przyjemne – ani dla nich, ani dla niej. Jeśli nie będą się zachowywali z szacunkiem, będzie jeszcze bardziej nieprzyjemnie – i dla nich, i dla niej.

I choć Ree była w porządku – biedaczka miała na czole wielką bliznę, która świadczyła o tym, że życie jej nie rozpieszczało – przedstawianie wygórowanych żądań było wyrazem braku szacunku. Naczelnik nie mogła ot, tak spotykać się z każdym, kto sobie tego zażyczy, zwłaszcza w czasie ogólnego kryzysu zdrowotnego.

Van miała własne poważne obawy w związku z tym, co podczas ostatniej przerwy wyczytała o aurorze na Internecie, i odgórnym poleceniem, żeby wszyscy zostali na drugą zmianę. A teraz jeszcze ta McDavid – na monitorze wyglądająca, jakby powinna leżeć nie w celi, ale w sarkofagu – została poddana kwarantannie. Mąż Van, Tommy, kiedy do niego zadzwoniła, zapewnił, że poradzi sobie sam

pod jej nieobecność, jakkolwiek długo miałaby trwać, ale ani przez chwilę w to nie uwierzyła. Tommy, na rencie inwalidzkiej z powodu chorych bioder, nie umiał zrobić nawet grzanki z serem; dopóki ona nie wróci, będzie się żywił ogórkami ze słoika. Jeśli Van nie wolno było tracić głowy z takiego powodu, to Ree Dempster i reszta osadzonych tym bardziej nie miały do tego prawa.

– Nie, Ree, musisz mierzyć niżej. Albo powiesz o tym mnie, albo nikomu. Jeśli to rzeczywiście coś ważnego, pójdę z tym do naczelnik. I dlaczego dotknęłaś mojej Kabiny? Do diabła. Wiesz, że to zabronione. Powinnam wlepić ci za to naganę.

– Pani oficer… – Ree, po drugiej stronie szyby, złożyła dłonie w błagalnym geście. – Proszę. Ja nie kłamię. Stało się coś złego, krzywda zbyt wielka, żeby milczeć, a pani jest kobietą, więc proszę to zrozumieć. – Ree wykręcała splecione dłonie. – Jest pani kobietą. Rozumie pani?

Van Lampley przyjrzała się osadzonej. Stała na betonowym występie przed Kabiną i modliła się do niej, jakby miały ze sobą coś wspólnego oprócz pary chromosomów XX.

– Ree, zaraz przeciągniesz strunę. Nie żartuję.

– A ja nie kłamię dla nagród! Proszę mi uwierzyć. Chodzi o Petersa, to poważna sprawa. Naczelnik musi się o tym dowiedzieć.

Peters.

Van potarła potężny prawy biceps, jak to miała w zwyczaju, kiedy sytuacja wymagała poważnego namysłu. Biceps zdobił tatuaż nagrobka z napisem „Twoja duma". Pod słowami na kamieniu widniała ręka prężąca muskuły. To był symbol wszystkich przeciwników, których pokonała: knykcie na stole, dziękuję za walkę. Wielu mężczyzn nie chciało się z nią siłować. Bali się kompromitacji. Znajdowali wymówki – zapalenie ścięgna w barku, chory łokieć i tak dalej. „Kłamać dla nagród": dziwne wyrażenie, ale jakoś celne. Don Peters był typem człowieka, który kłamie dla nagród. „Gdybym nie załatwił sobie ręki, grając w szkolnej drużynie baseballowej, nie miałabyś ze mną szans. Mam nadzieję, że to rozumiesz, Lampley", powiedział kiedyś ten mały gnojek, gdy poszli całą grupą na piwo do Squeaky Wheel. „Nie wątpię, Donnie", odparła.

Wielka tajemnica Ree to pewnie jakaś bzdura. Z drugiej strony… Don Peters. Było na niego od groma skarg – takich, które chyba naprawdę mogła zrozumieć tylko kobieta.

Van podniosła kubek z kawą, o której zupełnie zapomniała. Zimna. No dobra, w sumie mogła zaprowadzić Ree Dempster do naczelnik. Nie dlatego, że z Vanessy Lampley robił się mięczak; po prostu musiała zaparzyć świeżą kawę. Bądź co bądź, nie wiadomo, kiedy dziś skończy pracę.

– Zgoda, osadzona. W drodze wyjątku. Pewnie popełniam błąd, ale mówi się trudno. Mam nadzieję, że to przemyślałaś.

– Tak, pani oficer, zdecydowanie tak. Myślałam i myślałam, i myślałam.

Lampley wezwała Tiga Murphy'ego, żeby zastąpił ją w Kabinie. Powiedziała, że musi zrobić sobie krótką przerwę.

3

Peters stał oparty o ścianę obok wyścielanej celi i przewijał coś na ekranie telefonu. Jego usta wykrzywiły się w grymasie zdumienia.

– Przepraszam, że przeszkadzam, Don – Clint wskazał ruchem brody drzwi celi – ale muszę z nią porozmawiać.

– Och, doktor mi nie przeszkadza. – Peters wyłączył telefon i przywołał na twarz uśmiech dobrego kumpla, który, jak obaj wiedzieli, był równie autentyczny jak lampy od Tiffany'ego sprzedawane na organizowanym co dwa tygodnie pchlim targu w Maylock.

Oprócz tego, wiedzieli, co następuje: 1) że strażnik bawiący się telefonem na służbie łamie regulamin; 2) że Clint od miesięcy dąży do tego, by Petersa przeniesiono albo bez ceregieli wylano. Cztery więźniarki osobiście żaliły się doktorowi na molestowanie seksualne, ale gotowe były mówić o tym tylko w jego gabinecie, gdzie obowiązywała tajemnica lekarska. Żadna nie chciała złożyć oficjalnej skargi. Bały się odwetu. Większość z nich doświadczyła wielu różnych form odwetu – i w więzieniu, i, znacznie częściej, poza nim.

– Czyli McDavid też to złapała, hę? To, o czym mówią w wiadomościach? Mam się bać? Wszędzie piszą, że tylko kobiety na to chorują, ale to ty jesteś lekarz.

Jak Clint przewidział po rozmowie z Coates, nie udało mu się dodzwonić do Centrum Zwalczania i Prewencji Chorób – za każdym razem słyszał sygnał zajętej linii.

– Znam nie więcej szczegółów niż ty, Don, ale tak, z tego, co wiem, jak dotąd żaden mężczyzna nie zaraził się tym wirusem, o ile to jest wirus. Muszę porozmawiać z osadzoną.

– Jasne, jasne. – Peters odciągnął górną i dolną zasuwę, po czym wcisnął guzik nadajnika. – Oficer Peters, wpuszczam doktora do A-10, odbiór. – Otworzył drzwi celi na oścież. Jeszcze zanim zszedł Clintowi z drogi, wymierzył palec w więźniarkę siedzącą na piankowym materacu pod tylną ścianą. – Jestem za drzwiami, więc nierozważnie byłoby spróbować coś zrobić panu doktorowi, w porządku? Rozumiemy się? Nie chcę użyć wobec ciebie siły, ale zrobię to, jeśli będę musiał. Jasne?

Evie nie spojrzała na niego. Skupiała całą uwagę na swoich włosach, przeciągała przez nie palce, rozczesywała splątane strąki.

– Rozumiem – rzuciła. – Dziękuję, że jest pan takim dżentelmenem. Matka musi być z pana bardzo dumna, oficerze Peters.

Peters stał w drzwiach, próbując rozstrzygnąć, czy kobieta drwi. Oczywiście, że matka była z niego dumna. Jej syn służył na pierwszej linii frontu walki z przestępczością.

Clint postukał go w ramię, przerywając jego rozważania.

– Dzięki, Don. Teraz już sobie poradzę.

4

– Pani Black? Evie? Nazywam się doktor Norcross i jestem psychiatrą w tej placówce. Czy jest pani na tyle spokojna, żeby ze mną porozmawiać? Muszę uzyskać jakiś obraz tego, co siedzi w pani

głowie, jak się pani czuje, czy rozumie pani, co się dzieje, czy ma pani jakieś pytania albo wątpliwości.

– Jasne. Pogadajmy. Niech rozmowa się toczy.

– Jak się pani czuje?

– Całkiem nieźle. Tylko brzydko tu pachnie. Chemią. Wolę świeże powietrze. Jestem miłośniczką przyrody, można powiedzieć. Lubię wiatr. Lubię słońce. Ziemię pod stopami. Teraz wchodzą podniosłe smyczki.

– Rozumiem. Więzienie może się wydawać dość ciasne. Zdaje sobie pani sprawę z tego, że jest w więzieniu, prawda? To Zakład Karny dla Kobiet w mieście Dooling. Nie przedstawiono pani żadnych zarzutów ani tym bardziej nie skazano, jest pani tu tylko dla własnego bezpieczeństwa. Czy wszystko na razie jest jasne?

– Tak. – Evie opuściła brodę na pierś i zniżyła głos do szeptu: – Ale co do tego faceta, oficera Petersa… słyszał pan o nim, prawda?

– Co miałem o nim słyszeć?

– Zabiera rzeczy, które do niego nie należą.

– Dlaczego tak pani mówi? Jakie rzeczy?

– Ja tylko podtrzymuję rozmowę. Miałam wrażenie, że tego pan chciał, doktorze Norcross. A tak w ogóle, nie żebym pouczała, jak ma pan wykonywać swoją pracę, ale nie powinien pan aby usiąść gdzieś za mną, tak bym pana nie widziała?

– Nie. Tak jest w psychoanalizie. Wróćmy do…

– „Oto wielkie pytanie, na które nigdy nie odpowiedziano i na które sam, po trzydziestu latach badań nad kobiecą duszą, też nie znalazłem odpowiedzi: Czego pragnie kobieta?”.

– Freud, tak. Pionier psychoanalizy. Czytała pani o nim?

– Myślę, że większość kobiet, gdyby je zapytać i gdyby były naprawdę szczere, odpowiedziałaby, że pragną drzemki. I może kolczyków, które pasowałyby do wszystkiego, co oczywiście jest marzeniem ściętej głowy. W każdym razie dzisiaj promocja, panie doktorze. Śmiesznie niskie ceny. Swoją drogą, jest jedna przyczepa mieszkalna, trochę poobijana, z dziurą w ścianie, trzeba by ją załatać… ale idę o zakład, że mógłby ją pan dostać za darmo. Niepowtarzalna okazja.

– Słyszysz głosy, Evie?

– Nie całkiem. Raczej… sygnały.
– Jak brzmią?
– Jak buczenie.
– Buczenie tłumu?
– Buczenie ciem. Trzeba mieć wyjątkowe uszy, żeby to słyszeć.
– A ja nie mam odpowiednich uszu, żeby usłyszeć buczenie ciem?
– Niestety, nie.
– Pamiętasz, jak zrobiłaś sobie krzywdę w radiowozie? Uderzyłaś twarzą w kratę. Dlaczego?
– Tak, pamiętam. Zrobiłam to, bo chciałam trafić do więzienia. Tego więzienia.
– To ciekawe. Dlaczego?
– Żeby się z panem zobaczyć.
– Ze mną? To mi pochlebia.
– Ale to nic nie daje. Wie pan, mam na myśli pochlebstwa.
– Komendant powiedziała, że znałaś jej imię. Czy to dlatego, że kiedyś już byłaś aresztowana? Spróbuj sobie przypomnieć. Bo byłoby nam znacznie łatwiej, gdybyśmy trochę lepiej poznali twoją przeszłość. Jeśli jesteś notowana, może w aktach są namiary na twoich krewnych lub znajomych, z którymi moglibyśmy się skontaktować. Przydałby ci się ktoś, kto stanąłby po twojej stronie, nie sądzisz, Evie?
– Komendant to pańska żona.
– Skąd wiesz?
– Pocałował ją pan na pożegnanie?
– Słucham?
Kobieta, która podawała się za Eve Black, wychyliła się do przodu, patrząc na niego z poważną miną.
– Pocałunek: spotkanie ust dwojga osób, w którym udział bierze, nie do wiary, wiem, sto czterdzieści siedem różnych mięśni. Pożegnanie: słowa wypowiedziane przed rozstaniem. Potrzebuje pan bardziej precyzyjnych objaśnień?
Clint poczuł się zbity z tropu. Ta kobieta była mocno, bardzo mocno niezrównoważona, chwilami mówiła przytomnie, chwilami bredziła, jakby jej mózg był neurologicznym odpowiednikiem krzesła u okulisty, na którym ogląda się świat przez serię soczewek.

– Obejdzie się, dziękuję. Jeśli odpowiem na twoje pytanie, powiesz mi coś?

– Umowa stoi.

– Tak, pocałowałem ją na pożegnanie.

– Ach, jak słodko. Wie pan, latka lecą, już nie jest z pana samiec przez duże S, doskonale to rozumiem. Pewnie od czasu do czasu nachodzą pana wątpliwości. Czy nadal mam to coś? Czy wciąż jestem potężną małpą? Nie stracił pan jednak pożądania do żony. To urocze. No i zawsze są pigułki. Zapytaj lekarza, czy to coś dla ciebie. Współczuję. Naprawdę, doskonale to rozumiem! Jeśli uważa pan, że starzenie się jest trudne dla mężczyzn, proszę mi wierzyć – dla kobiet to też nic przyjemnego. Kiedy już cycki opadną, stajesz się praktycznie niewidzialna dla pięćdziesięciu procent populacji.

– Moja kolej. Skąd znasz moją żonę? Skąd znasz mnie?

– Niewłaściwe pytania. Ale odpowiem panu na to, które powinien pan był zadać. Gdzie Lila była ostatniej nocy? O to właśnie należało zapytać. A odpowiedź brzmi: Nie na Mountain Rest Road. Nie w Dooling. Poznała prawdę o panu. I teraz robi się senna. Niestety.

– Jaką prawdę? Nie mam nic do ukrycia.

– Chyba szczerze pan w to wierzy, co tylko pokazuje, jak dobrze ją pan ukrył. Proszę zapytać Lilę.

Clint wstał. W celi było gorąco i lepił się od potu. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek przeprowadził podobną wstępną rozmowę z więźniarką. Ta kobieta była schizofreniczką – musiało tak być, niektórzy schizofrenicy świetnie odczytują reakcje rozmówców – ale nie spotkał jeszcze schizofrenika o tak niepokojąco żywym umyśle.

I skąd mogła wiedzieć o Mountain Rest Road?

– Nie byłaś aby na Mountain Rest Road ostatniej nocy, Evie?

– Możliwe. – Mrugnęła do niego. – Możliwe.

Możliwe. Clintowi przewróciło się w żołądku.

– Dziękuję, Evie. Wkrótce znów porozmawiamy, jestem tego pewien.

– Oczywiście, że tak. Już się nie mogę doczekać. – Przez całą rozmowę była całkowicie skupiona na nim, co też nie przypominało zachowania żadnego z nieleczonych schizofreników, z jakimi miał do czynienia, teraz jednak znów zaczęła ciągnąć się za włosy, raz

z jednej, raz z drugiej strony. Stęknęła, kiedy splątane strąki rozdzieliły się ze słyszalnym trzaskiem. – Aha, doktorze Norcross…

– Tak?

– Pana syn jest kontuzjowany. Przykro mi.

ROZDZIAŁ 9

1

Willy Burke drzemał w cieniu platana. Pod głową miał zwiniętą żółtą kurtkę strażacką, na jego okrytej wypłowiałą koszulą piersi spoczywała słabo tląca się fajka. Wyglądał jak z obrazka. Znany z kłusowania na ryby i zwierzynę łowną na terenach publicznych, a także z mocy swego produkowanego na małą skalę bimbru, słynący z tego, że nigdy nie przyłapano go ani na kłusownictwie, ani na gotowaniu zacieru – był idealnym ucieleśnieniem stanowego motto, wydumanej łacińskiej sentencji, która w wolnym przekładzie znaczy „górale zawsze są wolni”. Miał siedemdziesiąt pięć lat. Siwa broda stroszyła się na jego szyi, na ziemi obok niego leżał sfatygowany kapelusz, z paroma przynętami na ryby wczepionymi w filc. Gdyby ktoś chciał go zgarnąć za jego liczne występki – cóż, takie jest życie, Lila jednak wolała przymykać na nie oko. Willy był dobrym człowiekiem, który wiele robił dla miasta za darmo. Jego siostra umarła na alzheimera, ale zanim odeszła, opiekował się nią. Lila widywała ich na kolacjach w remizie; siostra Willy’ego patrzyła przed siebie szklistymi oczami, a Willy z ożywieniem opowiadał jej o tym i owym, karmiąc ją kurczakiem.

Teraz Lila stała nad nim i patrzyła, jak jego oczy poruszają się pod powiekami. Miło, że choć jeden człowiek nie pozwolił, by ogólnoświatowy kryzys przeszkodził mu w popołudniowym relaksie. Żałowała tylko, że sama nie może się położyć pod sąsiednim drzewem i też się zdrzemnąć.

Trąciła nogą jeden z jego gumiaków.

– Panie Van Winkle. Żona zgłosiła pana zaginięcie. Mówi, że nie widziała pana od kilkudziesięciu lat.

Powieki Willy'ego rozchyliły się. Zamrugał parę razy, zdjął fajkę z piersi i dźwignął się do pozycji siedzącej.

– Dzień dobry, pani komendant.

– Co ci się śniło? Podpalanie lasu?

– Od dziecka śpię z fajką na piersi. To całkowicie bezpieczne, kiedy nabierze się w tym wprawy. Jak już musi pani wiedzieć, śnił mi się nowy pikap. – Wóz Willy'ego, rdzewiejący dinozaur pamiętający czasy wojny w Wietnamie, stał na skraju żwirowego placyku przed przyczepą mieszkalną Trumana Mayweathera. Lila zaparkowała obok niego.

– Jak sytuacja? – Wskazała ruchem brody las i przyczepę, ogrodzoną żółtą taśmą. – Pożary ugaszone? Zostałeś sam?

– Polaliśmy wytwórnię mety, w której był wybuch. I rozrzucone szczątki. Dużo ich było. Na szczęście nie jest za sucho. Tyle że smród nieprędko się rozejdzie. Wszyscy oprócz mnie pojechali. Ja pomyślałem, że lepiej zaczekam, zabezpieczę miejsce zdarzenia i tak dalej. – Willy, stękając, podniósł się na nogi. – Powie mi pani, dlaczego w ścianie przyczepy jest dziura wielkości kuli do kręgli?

– Nie – odparła Lila. – Miałbyś koszmary. Możesz jechać, Willy. Dzięki, że dopilnowałeś, żeby pożar się nie rozprzestrzenił.

Kiedy szła do przyczepy, żwir jej chrzęścił pod nogami. Zaschnięta krew wokół dziury w ścianie pociemniała, przybrała rdzawoczerwony odcień. Przez pozostały po wybuchu smród spalenizny i ozonu przebijał nieświeży, ostry zapach żywej tkanki upieczonej na słońcu. Lila strzepnięciem rozłożyła chusteczkę i przycisnęła ją do nosa i ust, zanim przeszła pod taśmą policyjną.

– Dobrze więc – rzucił za nią Willy. – Jadę. Pewnie już po trzeciej. Trzeba coś wrzucić na ruszt. Aha, jeszcze jedno. Tam, za ruinami szopy, chyba zachodzi jakaś reakcja chemiczna. Tak mi się wydaje. – Jakoś nie palił się, żeby odjechać, mimo że otwarcie wyraził taki zamiar; nabijał fajkę, przebierając w porcjach tytoniu, które trzymał w kieszeni koszuli.

– To znaczy?

– Proszę spojrzeć między drzewa. Na ziemię. To coś jak chusteczki wróżek, tylko klejące. Lepkie. I gęste. Chusteczki wróżek takie nie są.

– Fakt. – Lila nie miała pojęcia, o czym on mówi. – Oczywiście, że nie są. Słuchaj, Willy, zatrzymaliśmy kogoś w związku z tymi zabójstwami…

– Wiem, wiem, słyszałem na skanerze. Trudno uwierzyć, że kobieta mogła zabić tych mężczyzn i tak zdemolować przyczepę, no ale dziewczyny w dzisiejszych czasach są coraz silniejsze, tak uważam. Silniejsze i silniejsze. Wystarczy popatrzeć na taką Rondę Rousey.

Lila nie miała też pojęcia, kim jest Ronda Rousey. Jedyną ponadprzeciętnie silną fizycznie kobietą, jaką znała w tych stronach, była Vanessa Lampley, która dorabiała do pensji strażnika więziennego udziałem w zawodach siłowania na rękę.

– Znasz tę okolicę…

– Może nie jak własną kieszeń, ale całkiem nieźle – przytaknął Willy, ugniatając świeżą porcję tytoniu w fajce kciukiem pożółkłym od nikotyny.

– Ta kobieta musiała się tu jakoś dostać, a nie sądzę, żeby przyszła pieszo. Jest w pobliżu jakieś miejsce, gdzie mogła zostawić samochód? Położone gdzieś na uboczu?

Willy przysunął zapałkę do fajki i zamyślił się.

– Hm, wie pani co? Tamtędy, kilkaset metrów stąd, biegną linie wysokiego napięcia Appalaskiego Zakładu Energetycznego. – Wskazał palcem wzniesienie za wytwórnią metamfetaminy. – Dochodzą aż do hrabstwa Bridger. Gdyby mieć wóz z napędem na cztery koła, można by wjechać na tę przecinkę od strony Pennyworth Lane, choć nie zrobiłbym tego samochodem kupionym za własne pieniądze. – Zerknął w słońce. – Muszę lecieć. Jeśli szybko wrócę do remizy, zdążę na *Doktora Phila*.

W przyczepie nie zostało nic, czego nie sfotografowaliby Terry Coombs i Roger Elway, nie było też żadnych śladów obecności Evie Black. Ani torebki, ani portfela.

Lila błąkała się po tym pobojowisku, aż usłyszała rzężenie pikapa Willy'ego, oddalające się w kierunku drogi głównej. Wtedy przemierzyła zawalony rupieciami żwir przed przyczepą, przeszła pod żółtą taśmą i ruszyła z powrotem do wytwórni metamfetaminy.

„Kilkaset metrów stąd" – tak powiedział Willy. I choć zarośla były zbyt gęste, żeby Lila mogła zobaczyć słupy wysokiego napięcia z miejsca, w którym stała (żałowała, że nie ma maski filtrującej; smród chemikaliów wciąż był intensywny), to słyszała miarowe bzyczenie przewodów niosących elektryczność do domów i okolicznych zakładów. Ludzie mieszkający blisko tych słupów twierdzili, że linie wysokiego napięcia wywołują raka – z tego, co Lila czytała w prasie, były na to dość przekonujące dowody. A co ze ściekami z kopalń odkrywkowych i zbiorników odpadów, które zanieczyszczały wody gruntowe? Może to one były głównymi winowajcami? A może powstał tu swoisty trujący bigos, stworzona przez człowieka mieszanka pikantnych składników, które połączyły się w przeróżne smakowite przypadłości, nowotwory, choroby płuc i chroniczne bóle głowy?

A teraz jeszcze jedna choroba, pomyślała. Z czego się wzięła? Nie z kopalnianych ścieków, skoro ogarnęła cały świat.

Ruszyła w stronę źródła bzyczenia; uszła może sześć kroków, kiedy zobaczyła pierwszą chusteczkę wróżki. Zrozumiała, o czym mówił Willy. Perląca się rosą pajęczyna, jaką zazwyczaj widzi się rano. Lila uklękła na jedno kolano i wyciągnęła dłoń do płatu przezroczystej bieli, ale zmieniła zdanie. Sięgnęła po gałązkę i to nią go dotknęła. Cienkie nitki przylgnęły do końca patyczka, a potem jakby wyparowały albo wtopiły się w drewno. Co oczywiście nie mogło się zdarzyć. Jej zmęczonym oczom coś się przywidziało. Innego wytłumaczenia być nie mogło.

Pomyślała o kokonach obrastających kobiety, które zasnęły, i tknęło ją przeczucie, że może to ta sama substancja. Jedno wydawało się oczywiste, nawet dla kogoś tak zmęczonego, jak ona: ten płat wyglądał jak ślad stopy.

– Przynajmniej ja mam takie wrażenie – powiedziała na głos. Wyjęła telefon z kieszonki u pasa i sfotografowała znalezisko.

Za pierwszym płatem był drugi, a dalej dwa następne. Teraz już nie miała wątpliwości – to ślady stóp, a osoba, które je zostawiła, szła w stronę wytwórni metamfetaminy i przyczepy Mayweathera. Biała pajęczyna przylgnęła też do pni paru drzew, na każdym tworząc niewyraźny zarys dłoni, jakby ktoś dotknął ich, przechodząc, albo się o nie oparł, żeby odpocząć czy nadstawić uszu. Co to za paskudztwo, do cholery? Jeśli Evie Black zostawiła obrośnięte pajęczyną ślady stóp i dłoni tutaj, w lesie, dlaczego nie było ich w radiowozie?

Lila poszła po śladach stóp w górę wzniesienia, a potem do wąskich niecek, które ludzie ze wsi, tacy jak Willy Burke, nazywali debrzami lub wądołami, i znów pod górę. Tutaj drzewa rosły gęściej – sosny wirginijskie walczyły o przestrzeń i dostęp do słońca. Podobna do pajęczyny substancja zwisała z niektórych gałęzi. Lila zrobiła jeszcze kilka zdjęć i ruszyła dalej, w stronę słupów wysokiego napięcia i blasku słońca. Schyliła się, weszła pod nisko zwisającą gałęzią na polanę i wybałuszyła oczy. Ze zdumienia na chwilę zapomniała o zmęczeniu.

Ja tego nie widzę, pomyślała. Zasnęłam, może w radiowozie, może w przyczepie mieszkalnej świętej pamięci Trumana Mayweathera, i to wszystko mi się śni. Inaczej nie da się tego wyjaśnić, bo przecież nic takiego nie istnieje w tej okolicy ani na wschód od Gór Skalistych. W ogóle nic takiego nie istnieje na tym świecie ani w tej epoce.

Stała jak wryta na skraju polany i z wyciągniętą szyją patrzyła w górę. Wokół niej krążyły stada ciem – w cieniu brązowe, w popołudniowym słońcu opalizujące złotem.

Gdzieś czytała, że najwyższe drzewo na ziemi – sekwoja – ma nieco poniżej stu dwudziestu metrów wysokości. To, które rosło na środku polany, wydawało się wyższe i na pewno nie było sekwoją. Nigdy nie widziała podobnego drzewa. Jedyne, z czym mogła je porównać, to baniany, które oglądali z Clintem w Portoryko podczas miesiąca miodowego. Ta… rzecz… stała na potężnym sękatym postumencie z korzeni, z których największe miały chyba dziesięć metrów grubości. Pień składał się z dziesiątków splecionych ze sobą zdrewniałych pędów, wyciągających się ku potężnym konarom,

porośniętym liśćmi przypominającymi liście paproci. Drzewo zdawało się jaśnieć jakimś wewnętrznym blaskiem. To pewnie złudzenie optyczne wywołane przez promienie zachodzącego słońca, padające przez szczeliny w powykręcanych częściach pnia, ale…

Ale złudzeniem był cały ten obraz, prawda? Drzewa nie wyrastają na wysokość stu pięćdziesięciu metrów, a nawet gdyby to tutaj było wyjątkiem – zakładając, że istnieje naprawdę – zobaczyłaby je z przyczepy Mayweathera. Zobaczyliby je Terry i Roger. Zobaczyłby je Willy Burke.

Z chmury pierzastych liści wysoko nad głową Lili zerwało się stado ptaków. Były zielone i w pierwszej chwili pomyślała, że to papugi, ale papugi z reguły są większe. Pofrunęły na zachód w kluczu – jak kaczki, na litość boską – i po chwili zniknęły.

Zdjęła nadajnik z ramienia, wcisnęła guzik i spróbowała wywołać Linny. Usłyszała tylko jednostajny szum zakłóceń. Jakoś jej to nie zdziwiło. Nie była też zaskoczona, kiedy czerwony wąż – grubszy od naprężonego bicepsa Van Lampley, co najmniej trzymetrowej długości – wysunął się z pionowej szczeliny w szarym pniu niezwykłego drzewa. Szczeliny szerokiej jak otwór drzwiowy.

Wąż uniósł trójkątną głowę w kierunku Lili. Czarne ślepia obejrzały ją z zimnym zainteresowaniem. Język zbadał powietrze i wsunął się z powrotem. Wąż szybko wpełzł po krawędzi szczeliny na górę i oplótł się wokół gałęzi szeregiem równych pętli. Jego głowa kołysała się jak wahadło. Nieprzeniknione ślepia wciąż patrzyły na Lilę, teraz do góry nogami.

Zza drzewa dobiegł niski, wibrujący pomruk i z cienia wyłonił się biały tygrys o jasnych, zielonych ślepiach. Za nim dumnie paradował paw, z kiwającą się głową i rozpostartym pięknym ogonem; wydawał dźwięk, który brzmiał jak powtarzane raz po raz zabawne pytanie: Hęę? Hęę? Hęę? Hęę? Wokół niego krążyły ćmy. Rodzice Lili mieli ilustrowany Nowy Testament – widok wirujących w powietrzu owadów przypomniał jej teraz diadem, który Jezus z jakiegoś powodu zawsze miał na głowie, nawet jako dzidziuś w stajence.

Czerwony wąż zsunął się z gałęzi, spadł na ziemię z wysokości trzech metrów, i wylądował między pawiem a tygrysem. Zwierzęta

ruszyły w stronę Lili, stojącej na skraju polany; tygrys stąpał cicho, wąż pełzł, paw kroczył dumnie i piał.

Poczuła głęboką, bezbrzeżną ulgę: Tak. Tak. To sen – zdecydowanie. Musiało tak być. Nie tylko ta chwila i nie tylko aurora, ale w ogóle wszystko od poniedziałkowego wieczoru, bo choć nie była to WIADOMOŚĆ Z OSTATNIEJ CHWILI na Fox, CNN ani News America, to właśnie wtedy, na wiosennym spotkaniu Komitetu do spraw Programu Nauczania w auli liceum w Coughlin, świat – jej świat – zaczął się rozpadać.

Zamknęła oczy.

3

To za zachętą Clinta wstąpiła do Komitetu do spraw Programu Nauczania (cóż za ironia losu – koniec końców został wysadzony w powietrze własną petardą). Stało się to w dwa tysiące siódmym roku. Lokalny „Herald" zamieścił artykuł o rodzicu ucznia gimnazjum w Coughlin, żądającym usunięcia ze szkolnej biblioteki pozycji *Jesteś tam, Boże? To ja, Margaret*. „Przeklęta ateistyczna propaganda", takim mianem wspomniany rodzic określił tę książkę. Lila nie mogła w to uwierzyć. Jako trzynastolatka uwielbiała powieść Judy Blume; urzekła ją tym, że wiernie pokazywała, jak to jest być nastolatką – kiedy dorosłość nagle wyrasta przed tobą niby nieznane, przerażające nowe miasto i żąda, abyś weszła w jej bramy, czy tego chcesz czy nie.

– Kochałam tę książkę! – powiedziała, podając gazetę Clintowi.

Wyrwała go z jego zwykłej zadumy, objawiającej się tym, że siedział przy kuchennym blacie i patrzył przez szklane drzwi na podwórko, lekko pocierając palcami lewej dłoni knykcie prawej.

Spojrzał na artykuł.

– Przykro mi, kochanie, ale książka musi pójść na stos. Tak zarządził sam generał Jezus.

– To nie żart, Clint. Facet chce tę książkę ocenzurować dokładnie z tego powodu, dla którego dziewczęta powinny ją przeczytać.

– Wiem, że to nie żart. Dlaczego więc czegoś z tym nie zrobisz?

Lila kochała go za to, że rzucał jej tego rodzaju wyzwania.

– Dobrze. Coś z tym zrobię – postanowiła wtedy.

W artykule była wzmianka o naprędce powołanej grupie rodziców i zaniepokojonych obywateli, która przyjęła nazwę Komitet do spraw Programu Nauczania. Lila przystąpiła do niej. A potem, w poszukiwaniu poparcia, zrobiła to, co powinien robić każdy dobry policjant: zwróciła się o pomoc do swojej społeczności. Namówiła wszystkich podobnie myślących miejscowych, których znała, żeby otwarcie opowiedzieli się za pozostawieniem tej powieści w bibliotece. Była najlepszą osobą do tego, by takie wsparcie uzyskać. Po wielu latach uciszania hałasujących sąsiadów, łagodzenia sporów o ziemię, udzielania piratom drogowym upomnień zamiast mandatów i udowadniania, że jest sumiennym i rozważnym stróżem prawa, zjednała sobie ogólną przychylność.

– Skąd się wzięło tyle tych bab? – krzyknął ojciec, który rozpętał całą aferę, na początku kolejnego zebrania Komitetu do spraw Programu Nauczania. Rzeczywiście, na spotkanie przyszły same kobiety – ich było dużo, a on był sam. *Margaret* została ocalona. Judy Blume przysłała osobiste podziękowanie.

Lila została w Komitecie do spraw Programu Nauczania, ale więcej skandali na skalę *Margaret* nie było. Członkinie czytały nowe książki włączane do list lektur i księgozbiorów bibliotek lokalnych liceów i gimnazjów, słuchały wykładów miejscowych nauczycieli angielskiego i bibliotekarzy. Był to raczej dyskusyjny klub czytelniczy niż zgromadzenie polityczne. Lubiła jednak te spotkania. I jak w większości klubów czytelniczych, choć czasem zjawił się jakiś facet czy nawet dwóch, ich grono obejmowało głównie posiadaczki pary chromosomów XX.

W zeszły poniedziałek wieczorem odbyło się kolejne zebranie komitetu. Po nim, idąc do samochodu, który zostawiła na szkolnym parkingu, Lila przypadkiem znalazła się u boku starszej pani nazwiskiem Dorothy Harper, która należała do zgrupowania o nazwie Klub Książkowy „Pierwszy Czwartek”, a swego czasu była jedną ze zwerbowanych przez nią obrończyń *Margaret.*

– Ależ musisz być dumna z tej swojej bratanicy! – stwierdziła Dorothy, podparta laską, z kwiecistą torebką, dość dużą, żeby zmieścić w niej dziecko, przewieszoną przez ramię. – Ludzie mówią, że Sheila ma szansę dostać stypendium koszykarskie i grać w jednej z czołowych drużyn uniwersyteckich. Cudowna sprawa! – Po czym dodała: – Oczywiście na razie pewnie nie ma się co za bardzo podniecać, wiem, że jest dopiero w dziesiątej klasie, ale niewiele piętnastolatek trafia na czołówki gazet.

Lila miała na końcu języka, że to nieporozumienie: Clint nie ma brata, a ona nie ma bratanicy. Ale Dorothy Harper była w wieku, w którym ludziom często się mylą nazwiska. Życzyła więc staruszce miłego wieczoru i pojechała do domu.

Była jednak policjantką i płacili jej za dociekliwość. Następnego ranka, gdy siedziała za swoim biurkiem na posterunku, przypomniała sobie słowa Dorothy i wpisała w okienku Firefoxa: „Sheila Norcross". Pierwszym wynikiem wyszukiwania był artykuł z nagłówkiem: *Fenomen z Coughlin prowadzi Tigers do finału turnieju*. Owym fenomenem była Sheila Norcross. Czyli Dorothy Harper jednak nie pomyliła nazwiska. W tych stronach mieszkali inni Norcrossowie – kto by przypuszczał? Na pewno nie Lila. U dołu artykułu była wzmianka o dumnej matce Sheili, która nosiła inne nazwisko niż córka: Parks. Shannon Parks.

Kiedy to przeczytała, stara deska zaskrzypiała w jej pamięci. Parę lat wcześniej, gdy Jared zgłosił się do drużyny lekkoatletycznej, Clint mimochodem wspomniał to nazwisko – powiedział, że za namową Shannon Parks sam w podobnym wieku zaczął uprawiać lekkoatletykę. Lila słuchała nie dość uważnie i uznała, że Shannon Parks był kolegą Clinta, obarczonym dość pretensjonalnym imieniem. Zapamiętała to, bo mąż prawie nigdy nie mówił o dzieciństwie i latach swojej młodości, a jeśli mówił, zawsze było to nie lada wydarzenie.

Wychowywał się w rodzinach zastępczych. Lila nie znała wielu szczegółów… Zresztą, kogo chciała oszukać? Nie znała żadnych szczegółów. Wiedziała tylko, że miał trudne dzieciństwo. Kiedy rozmowa schodziła na ten temat, wręcz czuła, jak Clintowi rośnie temperatura. Ile razy opowiadała o takiej czy innej policyjnej

interwencji, w wyniku której odebrano dziecko rodzicom i umieszczono w rodzinie zastępczej, milkł. Zaprzeczał jednak, jakoby słuchając o tym, czuł się nieswojo. „Po prostu skłania mnie to do refleksji", mówił. Lila, boleśnie świadoma, że nie może odgrywać roli gliny w swoim małżeństwie, nie próbowała wyciągnąć z niego nic więcej.

Nie że było jej łatwo; nie żeby nigdy nie miała ochoty podrążyć. Jako policjantka mogła bez trudu uzyskać dostęp do wszelkiego rodzaju akt sądowych. Opierała się jednak pokusie. Jeśli kogoś kochasz, czy nie musisz pozwolić mu na to, by miał swoje ciche zakątki? Pokoje, do których nie chce zaglądać? Poza tym wierzyła, że pewnego dnia Clint sam wszystko jej powie.

Ale.

Sheila Norcross.

W pokoju, do którego Clint nie chciał zaglądać – tym samym, do którego, jak Lila niefrasobliwie zakładała, może kiedyś ją zaprosi – była kobieta. Nie mężczyzna, lecz kobieta imieniem Shannon. Było też zdjęcie nastolatki, której uśmiech, z chytrze wykrzywionym prawym kącikiem ust, przywodził na myśl nie jedną, ale dwie osoby, które Lila dobrze znała: jej męża i jej syna.

4

Pozostało przeprowadzić proste dwuetapowe dochodzenie.

Już na początkowym etapie śledztwa Lila złamała prawo po raz pierwszy – nie tylko w swojej karierze zawodowej, ale i w całym życiu. Skontaktowała się z dyrektorem liceum w Coughlin i bez nakazu poprosiła o kopię dokumentacji Sheili Norcross. Dyrektor od dawna był wdzięczny Lili za pomoc w wyciszeniu krótkotrwałego zamieszania wokół *Margaret,* ona zaś zapewniła go, że jej prośba tak naprawdę nie ma nic wspólnego z Sheilą Norcross, a jest związana ze śledztwem w sprawie szajki złodziei tożsamości. Dyrektor przefaksował jej dokumenty bez wahania – tak bezgranicznie ufał Lili, że sam też ochoczo złamał prawo.

Z papierów wynikało, że Sheila Norcross jest bystra, mocna z angielskiego, jeszcze mocniejsza z matematyki i przedmiotów ścisłych. Miała średnią 4,8. Nauczyciele pisali o niej, że jest nieco arogancka, ale przy tym czarująca, o naturalnych zdolnościach przywódczych. Jej jedyną opiekunką prawną była Shannon Parks, jej matka. W rubryce „ojciec" widniało nazwisko „Clinton Norcross". Urodziła się w dwa tysiące drugim roku, czyli była nieco ponad rok młodsza od Jareda.

Do środowego meczu Lila wmawiała sobie, że wciąż nie może być pewna. Niepewność oczywiście nie miała sensu, prawda była wypisana czarno na białym w szkolnych papierach i wyrysowana na twarzy dziewczyny – w postaci charakterystycznego nosa Norcrossów – ale nie przyjmując jej do wiadomości, trochę łatwiej było jej przetrwać te dni. Mówiła sobie, że musi zobaczyć tę dziewczynę, zobaczyć Sheilę Norcross, wybitną rozgrywającą, nieco arogancką, ale sympatyczną uczennicę ze średnią 4,8, żeby rozwiać wszelkie wątpliwości.

Udawała, że działa pod przykryciem, że jej zadaniem jest przekonać Clinta, że wciąż jest kobietą, z którą się ożenił.

– Jakaś zamyślona jesteś – zauważył we wtorkowy wieczór.

– Przepraszam. To pewnie dlatego, że mam romans z kimś z pracy – rzuciła, bo to właśnie powiedziałaby, gdyby była tą samą Lilą, z którą się ożenił. – To mnie szalenie rozprasza.

– Aha. Rozumiem – odparł Clint i dodał: – Chodzi o Linny, prawda? – Po czym przyciągnął ją do siebie i pocałował, a ona nawet odwzajemniła pocałunek.

5

Drugi etap dochodzenia: obserwacja.

Lila znalazła wolne miejsce wysoko na trybunach sali gimnastycznej; przyglądała się rozgrzewce lokalnej drużyny. Od razu rozpoznała Sheilę Norcross, numer 34 – dziewczyna wybiła się w górę i podkręciła piłkę, tak że ta, odbita od rogu tablicy, wpadła

prosto do kosza. Lila patrzyła okiem detektywa, jak po udanym rzucie zawodniczka ze śmiechem obraca się na piętach. Może 34 nie miała szczęki Clinta, może też inaczej się poruszała, ale co z tego? Dzieci mają dwoje rodziców.

W drugim rzędzie za ławką rezerwowych drużyny gospodyń stało kilkoro dorosłych; klaskali w rytm puszczonej przed meczem muzyki. Rodzice zawodniczek. Czy ta szczupła w swetrze w warkocze to Shannon? A może matką dziewczyny jest tleniona blondynka w modnym kaszkiecie? Albo jakaś inna kobieta? Lila nie miała pojęcia. Bo i skąd? Przecież była obcą osobą na imprezie, nieproszonym gościem. Ludzie, którzy opowiadają o rozpadzie swoich małżeństw, mówią: „To wydawało się takie nierzeczywiste". Lili ten mecz wydawał się jednak całkowicie realny – gwar na widowni, zapach sali gimnastycznej, wszystko to było do bólu rzeczywiste. To ona była nierzeczywista.

Zawyła syrena. Mecz się zaczął.

Sheila Norcross potruchtała do koleżanek z drużyny, po czym zrobiła coś, co pozbawiło Lilę wszelkich wątpliwości, resztek złudzeń. To było okropne, proste i przekonujące – dowód znacznie pewniejszy od fizycznego podobieństwa czy dokumentacji szkolnej. Zobaczyła to ze swego miejsca na trybunach i zrozumiała, że między nią a Clintem wszystko skończone.

6

Kiedy tylko Lila zamknęła oczy, żeby nie widzieć nadciągających zwierząt, poczuła, że nadchodzi prawdziwy sen – nie stąpał cicho, nie pełzł, nie kroczył, kiwając głową, ale pędził ku niej jak ciężarówka bez kierowcy. Paniczny strach rozpalił jej nerwy. Uderzyła się w twarz. Mocno. Jej oczy rozwarły się szeroko. Nie było węża, białego tygrysa ani piejącego pawia. Nie było gigantycznego baniana. Tam, gdzie przed chwilą się wznosił, na środku polany, teraz rósł dąb, ładny, stary, dwudziestometrowy, na swój sposób majestatyczny, ale przy tym jednak całkiem normalny. Na jednym

z dolnych konarów siedziała wiewiórka i trajkotała na nią z oburzeniem.

– Halucynacje – mruknęła Lila. – Zły znak.

Wcisnęła guzik nadajnika.

– Linny? Jesteś tam? Zgłoś się.

– Jestem, szefowo. – Głos był brzękliwy, trochę się rwał, ale nie zagłuszał go szum zakłóceń. – Co… dla ciebie zrobić?

Znów słyszała bzyczenie linii wysokiego napięcia. Nawet się nie zorientowała, że przedtem ucichło. Na pewno ucichło? Boże, źle z nią.

– Nieważne, Lins, odezwę się, kiedy będę na odkrytym terenie.

– Wszystko… porządku, Lila?

– Tak. Do usłyszenia wkrótce.

Jeszcze raz rzuciła okiem przez ramię. Tylko dąb. Duży, owszem, ale tylko dąb. Zaczęła się odwracać, a wtedy z drzewa zerwał się kolejny jaskrawozielony ptak i pofrunął na zachód, ku opadającemu słońcu. W tym samym kierunku, co reszta stada.

Mocno zacisnęła oczy i otworzyła je z wysiłkiem. Żadnego ptaka. Oczywiście, że nie było żadnego ptaka. To wszystko jej się przywidziało.

A ślady? To one mnie tu doprowadziły.

Postanowiła nie przejmować się śladami, drzewem, dziwną kobietą ani w ogóle niczym poza tym, że musiała wrócić do miasta i nie zasnąć po drodze. Może czas wpaść do jednej z dobrych aptek w Dooling. A jeśli nic innego nie pomoże, zawsze pozostawał magazyn dowodów. Tyle że…

Tyle że co? Jakaś myśl przyszła jej do głowy, ale zmęczenie ją przegnało. No, prawie. Wychwyciła ją, zanim całkowicie pierzchła. Król Kanut – to była ta myśl. Król Kanut rozkazał morzu, żeby się cofnęło.

Niektóre rzeczy są po prostu niewykonalne.

Syn Lili był przytomny. Leżał w błotnistym przydrożnym rowie. Był przemoczony, obolały i coś wbijało mu się w plecy. Chyba puszka po piwie. Na domiar złego miał towarzystwo.

– Norcross.

Eric.

Jebany Eric Blass.

Jared nie otwierał oczu. Jeśli pomyślą, że jest nieprzytomny – może nawet martwy – uciekną jak przystało na trzęsących gaciami, tchórzliwych obsrańców.

Może.

– Norcross! – Tym razem dźwiękowi towarzyszyło szturchnięcie butem w bok.

– Eric, spadajmy stąd. – Witamy w studiu następnego gościa. Kent Daley, marudny i bliski paniki. – Chyba zemdlał.

– Albo jest w śpiączce. – Ton Curta dawał do zrozumienia, że taka perspektywa nie byłaby wielką tragedią.

– Nie jest w śpiączce. Udaje. – W głosie Erica jednak też pobrzmiewał niepokój. Pochylił się. Jared, choć miał zamknięte oczy, poznał to po nasilającym się zapachu dezodorantu Axe. Jezu, czy on się kąpie w tym syfie? – Norcross!

Jared ani drgnął. Boże, gdyby tylko nadjechał radiowóz, nawet prowadzony przez jego matkę – co tam, że potem musiałby świecić przed nią oczami. Kawaleria jednak przybywa z odsieczą tylko w filmach.

– Norcross, jak nie otworzysz oczu, kopnę cię w jaja, i to, kurwa, mocno.

Jared podniósł powieki.

– No dobra – powiedział Eric z uśmiechem. – Nikomu nie stała się krzywda.

Jared, który uważał, że akurat jego spotkała duża krzywda – ze strony samochodu, który go potrącił, i tych chłopaków – milczał. Uznał, że tak będzie najrozsądniej.

– Nie zrobiliśmy nic złego tej starej pokrace, ty też nie wyglądasz najgorzej. Przynajmniej kości ci z nogawek nie sterczą. Powiedzmy więc, że jesteśmy kwita. A właściwie będziemy, kiedy dasz mi swój telefon.

Jared pokręcił głową.

– Ależ z ciebie dupek. – Eric mówił pobłażliwym, wyrozumiałym tonem, jak do szczeniaka, który nasikał na dywan. – Curt, Kent, przytrzymajcie go.

– Jezu, Eric, nie wiem… – jęknął Kent.

– A ja wiem. Trzymaj go.

– A jeśli ma, te, no, obrażenia wewnętrzne? – podsunął Curt.

– Nie ma żadnych obrażeń. Samochód ledwo go drasnął. Przytrzymajcie go, mówię.

Jared próbował się wywinąć, ale Curt przycisnął do ziemi jedno jego ramię, a Kent drugie. Wszystko go bolało, kolano najbardziej. Nie było sensu się stawiać. Czuł się dziwnie ospały. Pomyślał, że to pewnie szok powypadkowy.

– Telefon. – Eric pstryknął palcami. – Dawaj go. – I Mary idzie z tym typem na koncert. Właśnie z nim.

– Wypadł mi gdzieś w lesie.

Jared patrzył na Erica z dołu i próbował nie płakać. To byłoby najgorsze ze wszystkiego.

Eric westchnął, ukląkł i zaczął obmacywać jego kieszenie. W prawej przedniej wyczuł prostokątny kształt iPhone'a. Wyciągnął go.

– Dlaczego musisz być takim palantem, Norcross? – Teraz wydawał się nadąsany i udręczony, jakby chciał zapytać: Dlaczego psujesz mi cały dzień?

– Nie ja tu jestem palantem. – Jared zamrugał, żeby powstrzymać łzy. – Chciałeś jej nasikać do ucha.

– Wcale nie. Trzeba mieć chorą wyobraźnię, żeby tak myśleć, Norcross. To był żart – powiedział Curt. – Takie męskie gadanie.

Kent gorliwie włączył się do rozmowy, jakby prowadzili racjonalną dyskusję, a nie siedzieli na nim i przygważdżali go do ziemi:

– Tak, męskie gadanie! Wygłupialiśmy się i tyle. Wiesz, tak jak w szatni. Nie pleć głupot, Jared.

– Tym razem ci daruję – oświadczył Eric. Mówiąc, stukał palcem w ekran telefonu Jareda. – Ze względu na Mary. Wiem, że jest twoją kumpelką, a dla mnie wkrótce będzie dużo więcej niż kumpelką. Ustalmy remis i rozejdźmy się każdy w swoją stronę. – Przestał

stukać. – I po sprawie: skasowałem wideo z twojej chmury, a potem ją opróżniłem. Nic nie zostało.

Szary kamień wystający z rowu przypominał Jaredowi siny, szyderczo wywalony język. Eric kilka razy uderzył o niego iPhone'em. Ekran popękał, kawałki czarnego plastiku rozprysnęły się na wszystkie strony. To, co zostało, rzucił na pierś Jareda. Zniszczona komórka zsunęła się do błotnistej wody na dnie rowu.

– Wideo już nie ma, więc nie musiałem tego robić, ale chcę, żebyś zrozumiał, że kto się zachowuje jak podstępny gnój, musi ponieść konsekwencje. I tu Mary ci nie pomoże. – Eric wstał. – Jasne? – Jared milczał, ale Eric kiwnął głową, jakby usatysfakcjonowany odpowiedzią. – Dobrze. Puśćcie go.

Kent i Curt wstali i się cofnęli. Mieli nieufne miny, jakby spodziewali się, że Jared zaraz skoczy na równe nogi i zacznie młócić pięściami jak Rocky Balboa.

– Dla nas sprawa jest zakończona – skwitował Eric. – Nie chcemy mieć więcej nic wspólnego z tą zapleśniałą starą pizdą, jasne? I radzę ci, żebyś też dał sobie spokój. Idziemy, chłopaki.

Zostawili go w rowie. Jared wytrzymał, dopóki nie poszli. Dopiero wtedy zakrył oczy ramieniem i się rozpłakał. Gdy miał to już z głowy, usiadł prosto i wsunął szczątki telefonu do kieszeni (przy okazji odpadło jeszcze kilka kawałków).

Jestem ofermą, pomyślał. Beck musiał napisać swój hicior o mnie. Ich było trzech, ja sam, ale i tak jestem beznadziejnym ofermą.

Pokuśtykał do domu. Bo dom to miejsce, do którego wracasz, gdy jesteś zbity i sponiewierany.

ROZDZIAŁ 10

1

Do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku Szpital Świętej Teresy był brzydkim jak noc budynkiem z pustaków, który bardziej przypominał blok mieszkalny niż placówkę medyczną. Jego ambitną rozbudowę sfinansowała spółka węglowa Rauberson, żeby załagodzić powszechne oburzenie, jakie wywołała, równając z ziemią góry Speck i Lookout w celu dobrania się do ukrytych pod nimi złóż węgla. Lokalna gazeta, którą kierował liberalny demokrata – czyli komuch, przynajmniej zdaniem większości republikańskiego elektoratu – nazwała dar od Rauberson pieniędzmi za milczenie. Miejscowi na ogół byli zwyczajnie wdzięczni. Kurczę, słyszało się w zakładzie fryzjerskim Bigbee's, ma nawet lądowisko dla helikopterów!

Popołudniami w dni powszednie dwa parkingi – mały przed ambulatorium, większy przed właściwym szpitalem – zazwyczaj wypełnione były co najwyżej w połowie. Dzisiaj, kiedy Frank Geary skręcił na drogę dojazdową do szpitala, były zastawione do ostatniego miejsca, podobnie jak placyk przed głównym wejściem. Zobaczył priusa z klapą bagażnika wgniecioną przez stojącego za nim jeepa cherokee. Odłamki tylnego reflektora lśniły na asfalcie jak krople krwi.

Nie zawahał się ani na chwilę. Wjechał subaru outbackiem Elaine na krawężnik, a potem na trawnik. Na razie był pusty, nie licząc posągu Świętej Teresy, który niegdyś zdobił hol główny starego szpitala, i masztu, na którym flaga Stanów Zjednoczonych powiewała

nad flagą stanową, przedstawiającą dwóch górników stojących po bokach czegoś, co przypominało nagrobek.

W innych warunkach nasłuchałby się od Elaine, aż uszy by go paliły: Co ty robisz?! Powariowałeś?! Samochód nie jest spłacony! Dzisiaj nie powiedziała nic. Trzymała Nanę w ramionach i kołysała ją jak wtedy, kiedy ząbkowała i miała gorączkę. Maź pokrywająca buzię Nany spływała na jej koszulkę (jej ulubioną; tę, którą wkładała, kiedy była trochę przygnębiona; tę, którą Frank rozciągnął eony temu, tego poranka) niczym kosmyki brody starego, obdartego poszukiwacza złota. Wyglądała ohydnie. Frank nade wszystko pragnął to z niej zerwać, ale powstrzymywało go wspomnienie Siostry Krwi Jasny Liść. Kiedy Elaine próbowała dotknąć tej powłoki podczas ich szalonej jazdy przez miasto, warknął: „Ani się waż!”; gwałtownie cofnęła rękę. Dwa razy zapytał, czy Nana oddycha. Elaine powiedziała, że tak, że to białe paskudztwo podnosi się i opada jak miech, jednak Frankowi to nie wystarczyło. Musiał wyciągnąć prawą rękę i położyć ją na piersi Nany, żeby się upewnić.

Zahamował ostro, aż źdźbła trawy sypnęły się spod kół outbacka, wysiadł i pobiegł do drzwi od strony pasażera. Wziął Nanę na ręce i ruszyli w stronę ambulatorium – Elaine przodem, on za nią. Franka ukłuło w sercu, kiedy zobaczył, że ma rozpięty boczny suwak spodni, spod którego wystają różowe majtki. Ta sama Elaine, która w normalnych okolicznościach była tak wzorowo poukładana – nienaganny strój, nienaganny makijaż, wszystko na ostatni guzik, przygładzone i gustownie dobrane.

Zatrzymała się tak raptownie, że prawie na nią wpadł. Przed wejściem do ambulatorium kłębił się tłum. Z gardła Elaine wydarło się dziwne, prawie końskie parsknięcie, wyrażające frustrację i gniew:

– Nie wciśniemy się do środka!

Frank widział, że ambulatorium pęka w szwach. Przed oczami mignął mu szalony obraz: łowcy okazji gnający do Walmarta w Czarny Piątek.

– Hol główny, El. Jest większy. Tam będzie dość miejsca.

Elaine natychmiast obróciła się na pięcie, omal go nie przewracając. Frank z wysiłkiem pobiegł za nią, teraz już lekko

zdyszany. Miał przyzwoitą kondycję, ale Nana zdawała się ważyć więcej niż czterdzieści kilogramów, które pokazała waga na jej ostatnim bilansie. Do holu głównego też się nie dostali. Przed drzwiami nie było tłumu, ale w środku panował ścisk. Ledwo zdołali przestąpić próg.

– Przepuśćcie nas! – wrzasnęła Elaine, waląc w ramię krzepką kobietę w różowej podomce. – Chodzi o naszą córkę! Nasza córka ma narośl!

Kobieta tylko napięła muskularne ramię, ale to wystarczyło, żeby El zatoczyła się do tyłu.

– Nie jesteś sama, siostro – warknęła.

Frank dostrzegł stojący przed nią wózek spacerowy. Nie widział twarzy siedzącego w nim dziecka, nie musiał. Wystarczyło, że zobaczył bezwładnie rozrzucone nogi i małą, zwisającą stopę okrytą różową skarpetką Hello Kitty.

Gdzieś z przodu męski głos ryknął:

– Jeśli jesteście tutaj, bo czytaliście w sieci, że mamy antidotum lub szczepionkę, wracajcie do domów! To fałszywe plotki! Na razie nie istnieje ani antidotum, ani szczepionka! Powtarzam: NA RAZIE NIE ISTNIEJE ANI ANTIDOTUM, ANI SZCZEPIONKA!

Odpowiedziały jęki zawodu, ale nikt nie wyszedł. Przeciwnie – kolejni przybywający napierali na tłum, szybko wypełniając przedsionek.

Elaine się odwróciła. Miała spoconą twarz, w jej szeroko otwartych, oszalałych oczach błyszczały łzy.

– Oddział kobiecy! Tam możemy ją zabrać!

Przecisnęła się przez tłum ze spuszczoną głową, roztrącając ludzi rękami. Frank ruszył za nią, z Naną w ramionach. Jej stopa lekko trąciła mężczyznę, który trzymał nastolatkę o długich blond włosach i zasłoniętej twarzy.

– Uważaj, koleś – rzucił mężczyzna. – Tkwimy w tym wszyscy razem.

– Sam uważaj – warknął Frank i przepchnął się na świeże powietrze. Przed oczami znów miał migający komunikat, jak na monitorze komputera z wadliwym obwodem:

W tej chwili nie liczyło się nic oprócz Nany. Nic a nic na całym bożym świecie. Zrobi wszystko, co konieczne, żeby jej pomóc. Poświęci swoje życie. Jeśli to szaleństwo, nie chciał być zdrowy na umyśle.

Elaine już biegła przez trawnik. Jakaś kobieta siedziała oparta plecami o maszt flagowy, trzymała przy piersi małe dziecko i zawodziła rozpaczliwie. Frank dobrze znał ten dźwięk – żałosny skowyt psa ze złamaną łapą uwięzioną we wnykach. Kiedy przebiegał obok niej, wyciągnęła do niego dziecko; zobaczył białe włókna ciągnące się z tyłu małej, obrośniętej główki.

– Pomocy! – krzyknęła. – Proszę, niech pan nam pomoże!

Nie odpowiedział. Utkwił wzrok w plecach Elaine. Kierowała się do jednego z budynków po drugiej stronie drogi dojazdowej do szpitala. „Oddział kobiecy", głosiła niebiesko-biała tablica przed wejściem. „Położnictwo i ginekologia, dr Erin Eisenberg, dr Jolie Suratt, dr Georgia Peekins". Przed drzwiami siedziało kilka – tylko kilka – osób, z bliskimi w kokonach. To był dobry pomysł, żeby tu przyjść. Elaine miewała takie całkiem często, kiedy robiła sobie przerwy od trucia mu dupy – ale dlaczego ci ludzie siedzą tu bezczynnie? Dziwne.

– Szybko! – zawołała. – Pospiesz się, Frank!

– Szybciej… nie… mogę. – Dyszał coraz ciężej.

Spojrzała nad jego ramieniem.

– Część tamtych nas zobaczyła! Musimy zdążyć przed nimi!

Frank też rzucił okiem do tyłu. Dziki tabun pędził przez trawnik, omijając porzuconego outbacka. Na czele byli ci z małymi dziećmi.

Z trudem łapiąc powietrze, chwiejnie ruszył do drzwi za Elaine. Błona okrywająca twarz Nany łopotała na wietrze.

– Nic wam to nie da – powiedziała kobieta oparta o boczną ścianę budynku. Miała zmęczoną twarz i zmęczony głos. Siedziała z rozłożonymi nogami i tuliła do piersi córkę, na oko rówieśniczkę Nany.

– Co? – spytała Elaine. – O czym pani mówi?

Frank przeczytał kartkę przyklejoną po wewnętrznej stronie drzwi: „Zamknięte z powodu aurory”.

Głupie lekarki, pomyślał, kiedy Elaine zaczęła szarpać za klamkę. Głupie, samolubne babska. Z powodu aurory to wy właśnie powinnyście pracować.

– Same też pewnie mają dzieci – zauważyła kobieta. Pod oczami miała ciemne wory. – W sumie trudno je winić.

Ja je winię, pomyślał Frank. Jak cholera.

Elaine odwróciła się do niego.

– Co teraz? Dokąd pójdziemy?

Zanim zdążył odpowiedzieć, nadciągnął tłum z ambulatorium. Jakiś dziadyga, z dzieckiem przewieszonym przez ramię jak wór ziarna – może to była jego wnuczka – bezceremonialnie odepchnął Elaine od drzwi i nacisnął klamkę.

To, co stało się potem, było w jakimś sensie nieuniknione. Starzec wsunął rękę pod wywleczoną ze spodni koszulę, wyszarpnął zza pasa rewolwer, wymierzył w drzwi i pociągnął za spust. Huk wystrzału był ogłuszający, nawet na otwartym terenie. Odłamki roztrzaskanej szyby wpadły do wnętrza budynku.

– Kto teraz jest zamknięty? – krzyknął wysokim, łamiącym się głosem. Wyrzucony na zewnątrz odprysk szkła utkwił mu w policzku. – Kto teraz jest zamknięty, gnojki?!

Znowu podniósł pistolet do strzału. Ludzie się cofnęli. Mężczyzna niosący śpiącą dziewczynkę w sztruksowym pajacyku potknął się o wyciągnięte nogi kobiety opartej o ścianę budynku. Wyrzucił ręce w bok, żeby zamortyzować upadek, i upuścił swoje brzemię. Śpiąca dziewczynka runęła na chodnik z głuchym łoskotem. Jej ojciec wylądował obok; upadając, rozdarł dłonią błonę na twarzy córki siedzącej kobiety. Nie było nawet chwili na złapanie tchu; dziewczynka otworzyła szeroko oczy i usiadła prosto, jakby połknęła kij. Nienawiść i furia zmieniły jej twarz w maskę goblina. Opuściła głowę i ugryzła mężczyznę w rękę, po czym wężowym ruchem wysunęła się z objęć matki i wbiła kciuk w jego prawy policzek, a pozostałe palce w lewe oko.

Dziadyga odwrócił się i wymierzył broń – rewolwer z długą lufą, który wyglądał Frankowi na zabytek – w wijące się, warczące

dziecko.

– Nie! – krzyknęła matka, próbując osłonić córkę. – Nie, nie strzelaj do mojego maleństwa!

Frank odwrócił się, żeby chronić Nanę; wyrzucił nogę do tyłu, trafiając dziadygę w krocze. Facet wydał zduszony okrzyk i zatoczył się na drzwi oddziału. Wtedy Frank odkopnął jego broń. Ludzie, którzy przybiegli z ambulatorium, rozpierzchli się na wszystkie strony. Dziadyga wpadł do holu oddziału kobiecego, stracił równowagę i runął na odłamki rozbitego szkła. Krew zalewała mu dłonie i oblicze. Jego wnuczka leżała twarzą do ziemi (jaką twarzą, pomyślał Frank).

Elaine złapała Franka za bark. Po upadku w klomb miała brudne spodnie i zadrapane przedramię.

– Chodź! To jakiś obłęd! Musimy jechać!

Ale on nie słuchał. Patrzył, jak przebudzona dziewczynka drapie mężczyznę, który niechcący przerwał jej nienaturalny sen. Rozorała skórę pod jego prawym okiem, aż gałka wyszła na wierzch i rogówka wypełniła się krwią. Frank nie mógł pomóc nieszczęśnikowi, nie z Naną w ramionach, mężczyzna jednak poradził sobie sam. Jedną ręką chwycił dziewczynkę i odrzucił od siebie.

– Nie! Och, nie! – Matka pobiegła za córką.

Mężczyzna utkwił wzrok we Franku.

– Zdaje się, że to dziecko oślepiło mnie na jedno oko – powiedział, jakby stwierdzał suchy fakt.

To koszmar, pomyślał Frank. To musi być koszmar.

Elaine złapała go za ramię i pociągnęła za sobą.

– Musimy jechać! Frank, musimy!

Ruszył za nią do outbacka, stąpając ciężko. Kiedy mijał kobietę, która jeszcze przed chwilą siedziała oparta o ścianę oddziału kobiecego, zobaczył, że błona na twarzy jej córki odtwarza się z zadziwiającą prędkością. Oczy dziewczynki były zamknięte. Grymas furii zniknął; jego miejsce zajął wyraz niezmąconego spokoju. Po chwili twarz zniknęła, zagrzebana w białym puchu. Matka wzięła dziewczynkę na ręce, przytuliła ją do piersi i zaczęła całować jej zakrwawione palce.

Elaine była już prawie przy samochodzie; wrzeszczała, żeby się pospieszył. Frank zerwał się do niezgrabnego biegu.

2

Jared gruchnął na jeden z hokerów przy kuchennych blacie; połknął na sucho dwie aspiryny z buteleczki, którą mama zostawiła obok tacki z drobnymi. Na blacie leżała notka od Antona Dubceka w sprawie wiązów za domem – z nazwiskiem chirurga drzew, którego polecał. Jared wbił wzrok w świstek. Jakie operacje można przeprowadzać na drzewach? Kto nauczył Antona Dubceka, który sprawiał wrażenie imbecyla, poprawnie pisać, i to takim ładnym, wyraźnym charakterem? Poza tym chyba jest czyścicielem basenów, nie? I zna się na drzewach? Czy stan i zdrowie rodzinnego ogródka Norcrossów w ogóle kiedykolwiek jeszcze będą miały znaczenie? Czy Anton nadal będzie czyścił baseny, gdy wszystkie kobiety na świecie zasną? A czemu by, kurde, nie? Faceci też lubią pływać.

Wcisnął brudne pięści w oczodoły; oddychał głęboko. Musiał się pozbierać, wziąć prysznic, włożyć świeże ciuchy. Musiał porozmawiać z rodzicami. Musiał porozmawiać z Mary.

Zadzwonił telefon stacjonarny, rzadki i obcy dźwięk w domu. Zwykle odzywał się tylko przed wyborami.

Jared sięgnął po słuchawkę, oczywiście strącając ją z widełek. Spadła na posadzkę po drugiej stronie blatu. Obudowa połamała się, klapka z tyłu odpadła z trzaskiem, baterie rozsypały się po podłodze.

Ostrożnie przeszedł przez salon, przytrzymując się mebli, i podniósł słuchawkę drugiego telefonu, stojącego na stoliku obok fotela.

– Słucham?

– Jared?

– We własnej osobie. – Usiadł w skórzanym fotelu ze stęknięciem ulgi. – Co słychać, tato? – Ledwie zadał to pytanie, dotarło do niego, jak jest idiotyczne.

– Wszystko w porządku? Dzwoniłem do ciebie na komórkę. Dlaczego nie odbierałeś? – Głos ojca był napięty, co w sumie nie

mogło dziwić. W więzieniu pewnie nie działo się najlepiej. Było nie było, siedziały tam same kobiety.

Jared nie zamierzał pozwolić, żeby ojciec martwił się jeszcze o niego. Oficjalny powód, dla którego tak postanowił, powinien być zrozumiały dla wszystkich: w czasie bezprecedensowego kryzysu tata i bez tego miał dość spraw na głowie. Prawdziwy powód, niezbyt głęboko ukryty, był taki, że się wstydził. Dostał wciry od Erica Blassa, pozwolił, by zniszczyli mu telefon, a zanim wrócił do domu, przez jakiś czas leżał w rowie i płakał. Nie było to coś, o czym chciałby rozmawiać z tatą. Nie życzył sobie, żeby ktokolwiek wmawiał mu, że wszystko jest w porządku, bo wcale tak nie było. I nie chciał być pytany o to, jak się w związku z tym czuje. Jak się czuł? Kijowo – to chyba najtrafniejsze określenie.

– Spadłem ze schodów w szkole. – Odchrząknął. – Nie patrzyłem, jak idę. Przy okazji telefon mi się rozwalił. Dlatego nie mogłeś się dodzwonić. Przepraszam. Ale chyba jeszcze jest na gwarancji. Pójdę do Verizona i…

– Coś ci się stało?

– Skręciłem kolano, i to całkiem porządnie.

– To wszystko? Nic poza tym? Powiedz prawdę.

Jared był ciekaw, czy ojciec coś wie. A jeśli ktoś widział? Aż brzuch go rozbolał na tę myśl. Wiedział, co powiedziałby tata, gdyby poznał prawdę; że go kocha i że on, Jared, nie zrobił nic złego, zawinili tamci. I oczywiście dopilnowałby, żeby Jared „był świadomy swoich uczuć".

– Oczywiście, że to wszystko. Po co miałbym kłamać?

– O nic cię nie oskarżam, Jere, chciałem tylko się upewnić. Ulżyło mi, że w końcu się do ciebie dodzwoniłem, że słyszę twój głos. Źle się dzieje. Wiesz o tym, prawda?

– Tak, słyszałem wiadomości. – Nie tylko słyszał, ale i widział: Stara Essie w szałasie, prześwitująca biała maska zrośnięta z jej twarzą.

– Rozmawiałeś z Mary?

– Ostatnio przed lunchem. – Dodał, że planuje niebawem się z nią skontaktować.

– To dobrze. – Ojciec wyjaśnił, że nie jest pewien, kiedy wróci, że mama jest na służbie i że Jared powinien zostać w domu. – Jeśli sytuacji nie uda się szybko opanować, na świecie będą się działy dziwne rzeczy. Pozamykaj drzwi, miej telefon pod ręką.

– Jasne, tato. Nic mi nie będzie, ale czy naprawdę musisz tam siedzieć? – Nie bardzo wiedział, jak to wyrazić. Nie wypadało sprowadzać tego do prostej arytmetyki; to tak, jakby powiedzieć umierającemu, że umiera. – To znaczy… w więzieniu są same kobiety. Czyli… prędzej czy później i tak zasną… nie? – Głos lekko mu się załamał na ostatnim słowie; miał nadzieję, że ojciec tego nie wychwycił.

Kolejne pytanie – i co z mamą? – cisnęło mu się na usta, ale wątpił, czy zdoła wydobyć je z siebie bez płaczu.

– Przykro mi, Jared – odparł Clint po kilku sekundach ciszy. – Na razie nie mogę wyjść. Chciałbym, ale brakuje nam ludzi. Wrócę, kiedy tylko będę mógł. Obiecuję. – Potem, może wyczuwając niezadane pytanie, dodał: – Twoja mama też. Kocham cię. Uważaj na siebie i siedź w domu. Zadzwoń, gdybyś czegoś potrzebował.

Jared przełknął gulę niepokoju tkwiącą w głębi jego gardła i jakoś zdołał się pożegnać z ojcem.

Zamknął oczy i oddychał głęboko. Dość tego mazgajstwa. Musiał zdjąć brudne, podarte ubrania i wziąć prysznic. Wtedy świat zacznie wyglądać lepiej. Dźwignął się na nogi i pokuśtykał do schodów. Z zewnątrz dobiegło rozbrzmiewające echem głuche, rytmiczne dudnienie, a potem metaliczny brzęk.

Przez szybkę u góry drzwi wejściowych widział drugą stronę ulicy. Ostatni zamieszkany dom należał do pani Ransom, siedemdziesięcioparolatki, która, wykorzystując brak planu zagospodarowania przestrzennego w Dooling, prowadziła u siebie piekarnię i cukiernię. Był to schludny, jasnozielony budynek, ożywiony kępkami radosnych wiosennych kwiatów w skrzynkach. Pani Ransom siedziała na plastikowym krześle ogrodowym na podjeździe i sączyła colę. Dziesięcio-, może jedenastoletnia dziewczynka – niechybnie jej wnuczka, Jared miał wrażenie, że już ją kiedyś widział – kozłowała piłkę i rzucała ją do przenośnego kosza, ustawionego z boku podjazdu.

Z brązowym, rozhuśtanym kucykiem, wypuszczonym przez otwór z tyłu ciemnej baseballówki, dziewczynka, dryblując, zrobiła kółko, wykonała zwód w jedną, potem w drugą stronę, jakby umykała niewidzialnym obrońcom, po czym zatrzymała się i wykonała rzut do kosza. Nie zdążyła stabilnie stanąć na ziemi i piłka poleciała za wysoko. Odbiła się od szczytu tablicy i podkręcona poszybowała łukiem na sąsiednie podwórko – pokryty chwastami i sianem teren przed pierwszym z niezamieszkanych domów na osiedlu.

Dziewczynka poszła po nią. Siano chrzęściło jej pod stopami. Piłka potoczyła się pod ganek pustego domu – o ścianach z nagiego drewna i oknach z wciąż naklejonymi na szyby nalepkami producenta. Dziewczynka stanęła i podniosła oczy na budynek. Jared był ciekaw, o czym teraz myśli. Że dom, w którym nie ma rodziny, wygląda smutno? Albo strasznie? A może że fajnie byłoby się w nim bawić, kozłować piłkę na jego pustych korytarzach? Trenować udawane dwutakty w kuchni?

Miał szczerą nadzieję, że mama albo tata niedługo wrócą.

3

Wysłuchawszy dwukrotnie relacji Ree Dempster – drugi raz po to, by wychwycić nieścisłości, których większość osadzonych nie potrafiła uniknąć, kiedy kłamały – Janice Coates stwierdziła, że młoda kobieta mówi szczerą prawdę, i odesłała ją do celi. Chociaż była zmęczona nocną walką ze skutkami meksykańskiego jedzenia, czuła też dziwną euforię. Nareszcie coś, z czym mogła sobie poradzić. Długo, bardzo długo czekała na pretekst, by wylać Dona Petersa na zbity pysk, i jeśli potwierdzi się kluczowy szczegół zeznania Ree, dziś wreszcie go dopadnie.

Wezwała Tiga Murphy’ego i jasno określiła, czego oczekuje. A kiedy strażnik nie porwał się natychmiast do działania, dodała:

– W czym kłopot? Weź gumowe rękawice. Wiesz, gdzie są.

Kiwnął tylko głową i powłócząc nogami, poszedł wykonać brudną robotę.

Wtedy zadzwoniła do Clinta.

– Będziesz wolny za jakieś dwadzieścia minut?

– Jasne – odparł. – Miałem wyskoczyć do domu i zobaczyć, co z synem, ale udało mi się do niego dodzwonić.

– Co, zdrzemnął się? Jeśli tak, szczęściarz z niego.

– Bardzo śmieszne. Co się dzieje?

– Pojawił się jeden jedyny pozytyw w tym beznadziejnym, popieprzonym dniu. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, wywalę Dona Petersa w cholerę. Nie przewiduję, żeby miał się na mnie rzucić, takie buce jak on uciekają się do rękoczynów, tylko kiedy zwietrzą słabość, ale przyda mi się mężczyzna u boku. Ostrożności nigdy za wiele.

– Za nic nie przegapiłbym takiej okazji.

– Dzięki, doktorze.

Kiedy powiedziała mu, co według Ree Peters zrobił Jeanette, Clint jęknął:

– Bydlak. Ktoś już rozmawiał z Jeanette? Powiedz, proszę, że nie.

– Nie – odparła Coates. – W pewnym sensie właśnie to jest w tym najpiękniejsze. – Odchrząknęła. – Zważywszy na ohydne okoliczności sprawy, możemy się obejść bez niej.

Ledwie się rozłączyła, jej telefon zadzwonił. Michaela nie traciła czasu. W pierwszym dniu aurory kobiety na całym świecie nie miały chwili do stracenia.

4

W ciągu dwudziestu dwóch miesięcy pracy w News America Michaela „Mickey” Morgan widziała wielu gości, którzy w gorącym blasku reflektorów tracili rezon i albo plątali się w odpowiedziach na pytania, na które nie byli przygotowani, albo nieudolnie usprawiedliwiali swoje bezmyślne wypowiedzi sprzed lat, zachowane na taśmie wideo. Pamiętała pewnego kongresmena z Oklahomy zmuszonego obejrzeć nagranie, na którym perorował: „Większość niezamężnych matek ma słabe mięśnie nóg. Dlatego tak łatwo je

rozkładają”. Kiedy prowadzący niedzielny program publicystyczny na News America poprosił o skomentowanie tej wypowiedzi, kongresmen palnął: „To było, zanim wpuściłem Jezusa do syrca”. Przez resztę kadencji koledzy z ław Kongresu nazywali go (raz nawet podczas głosowania ustnego) kongresmenem Syrcem.

Podobne wysoce cenione „podpuchy” udawały się względnie często, ale pierwszy prawdziwy atak amoku na wizji Michaela zobaczyła dopiero późnego popołudnia pierwszego dnia aurory. I to nie gość programu wpadł w szał.

Siedziała przy konsoli w wozie transmisyjnym, zwarta i gotowa dzięki kokainie swojego technika. W klimatyzowanym pokoiku na tyle wozu odpoczywał jej kolejny gość – jedna z kobiet potraktowanych gazem łzawiącym przed Białym Domem. Była młoda i ładna. Michaela sądziła, że świetnie wypadnie przed kamerą, bo raz – była wygadana, i dwa – wciąż znać było po niej skutki działania gazu. Postanowiła przeprowadzić z nią wywiad przed pobliską ambasadą peruwiańską. Budynek był skąpany w silnym słońcu, którego blask podkreśli czerwone, przekrwione oczy młodej kobiety.

Jeśli ustawię ją w odpowiednim miejscu, będzie wyglądała, jakby płakała krwawymi łzami, pomyślała Michaela. Obrzydliwy pomysł, ale tak się pracuje w News America. Jeśli się chce dotrzymać kroku Fox News, nie można mieć sentymentów.

Miały wejść na żywo o 16:19, po zakończeniu wywiadu nadawanego ze studia. George Alderson, z tłustą łysiną prześwitującą przez kosmyki zaczeski, rozmawiał właśnie z psychiatrą klinicznym nazwiskiem Erasmus DiPoto.

– Czy kiedykolwiek w dziejach ludzkości mieliśmy do czynienia z podobną epidemią, doktorze? – zapytał George.

– Ciekawe pytanie – odparł DiPoto. Miał okrągłe okulary bez oprawek i tweedowy garnitur; w blasku reflektorów musiało mu być w nim piekielnie gorąco. Ale jak na profesjonalistę przystało, wyglądał, jakby nie uronił ani kropli potu.

– Zobacz, jak buźkę w ciup złożył – powiedział technik. – Rozsadziłoby go, gdyby musiał srać takim małym otworem.

Michaela zaśmiała się serdecznie. Po części zadziałała koka, po części zmęczenie, po części zwyczajne przerażenie, które chwilowo

tłumił profesjonalizm, ale które tylko czekało, żeby wyjść na powierzchnię.

– Liczymy na równie ciekawą odpowiedź – powiedział George Alderson.

– Przychodzi mi na myśl taneczna plaga z roku tysiąc pięćset osiemnastego – odparł DiPoto. – To też była przypadłość, która dotykała tylko pań.

– Pań – zabrzmiał głos za plecami Michaeli. Demonstrantka spod Białego Domu przyszła popatrzeć. – Pań. Boże drogi…

– Tamta epidemia zaczęła się od kobiety nazwiskiem Troffea, która przez sześć dni i sześć nocy tańczyła jak opętana na ulicach Strasburga. – DiPoto się rozkręcał. – Zanim opadła z sił, dołączyło do niej wiele innych kobiet. Taneczna mania objęła całą Europę. Setki, może tysiące kobiet tańczyły w małych i dużych miastach. Wiele umarło na atak serca, udar, z wyczerpania. – Pozwolił sobie na lekki, zadowolony uśmieszek. – To była prosta histeria, która ostatecznie zanikła sama z siebie.

– Twierdzi pan, że aurora to coś podobnego? Podejrzewam, że wielu naszym widzom trudno będzie się z tym zgodzić. – Michaela była zadowolona, że głos i twarz George'a zdradzały nieskrywane niedowierzanie. Na ogół był nudziarzem, ale gdzieś pod jego oksfordzką koszulą biło małe serce prawdziwego dziennikarza. – Proszę pana, mamy materiały pokazujące tysiące kobiet i dziewcząt o ciałach i twarzach owiniętych włóknistym materiałem… tymi kokonami. To dotyka milionów kobiet.

– Nie bagatelizuję sytuacji, w żadnym razie – zapewnił DiPoto. – Absolutnie nie. Masowa histeria jednak często wywołuje objawy fizyczne, a te prowadzą do rzeczywistych zmian w ludzkim organizmie. Na przykład pod koniec osiemnastego wieku u dziesiątek kobiet z Flandrii wystąpiły stygmaty, czyli krwawienie z dłoni i stóp. Odkładając na bok politykę seksualną i poprawność polityczną, uważam, że musimy…

Wtedy na plan wpadła Stephanie Koch, producentka *Popołudniowego przeglądu wydarzeń.* Stephanie była nałogową palaczką po pięćdziesiątce o pooranej bruzdami twarzy, kobietą, która wszystko w życiu widziała i większość z tego nadała

w telewizji. Michaela uważała ją za osobę uodpornioną na wszelkie głupoty, jakie wygadywali goście programu. Okazało się jednak, że jej pancerz ma słaby punkt, i znalazł go właśnie doktor DiPoto, ze swoimi okrągłymi okularkami i buzią w ciup.

– Co ty, kurwa, pierdolisz, ty szczurze z penisem?! – krzyknęła Stephanie. – Mam dwie wnuczki obrośnięte tym paskudztwem, leżą w śpiączce, a ty gadasz, że to babska histeria?

George Alderson niepewnie wyciągnął rękę, próbując ją powstrzymać. Stephanie odtrąciła jego dłoń. Tocząc łzy gniewu, stanęła nad doktorem Erasmusem, który skulił się na krześle i patrzył z przerażeniem na oszalałą Amazonkę.

– Kobiety na całym świecie robią wszystko, żeby nie zasnąć, bo się boją, że nigdy się nie obudzą, a według ciebie to babska histeria?!

Michaela, technik i demonstrantka patrzyli zafascynowani w monitor.

– Przerwa na reklamy! – zawołał George, wychylając się znad ramienia Stephanie Koch. – Zapraszam państwa po przerwie! Czasami w studiu emocje biorą górę. Cóż, takie są uroki programu na żywo…

Stephanie odwróciła się gwałtownie i spojrzała poza kadr, w stronę reżyserki.

– Ani się ważcie dawać reklamy! Jeszcze nie skończyłam z tym zasranym szowinistą! – Zerwała słuchawki z głowy i zaczęła nimi okładać DiPoto. Kiedy podniósł dłonie, żeby osłonić ciemię, chlasnęła go w twarz. Z nosa doktora polała się krew. – Oto babska histeria! – krzyknęła Stephanie; tłukła go słuchawkami, aż jego usta też spłynęły krwią. – Tak wygląda prawdziwa babska histeria, ty… ty… ty BRUKWIO!

– Brukwio? – Demonstrantka parsknęła śmiechem. – Czy ona nazwała go brukwią?

Paru pracowników planu pobiegło powstrzymać Stephanie Koch. W czasie, kiedy oni się z nią szamotali, DiPoto nadal krwawił, a George Alderson wytrzeszczał oczy – obraz ze studia zniknął, zastąpiony reklamą Symbicortu.

– Ja cię kręcę – powiedziała demonstrantka. – To było super. – Spojrzała w bok. – Hm, mogę się poczęstować? – Patrzyła na mały

stosik kokainy na laminowanym rozkładzie dnia technika.

– Uhm – mruknął technik. – Dzisiaj gratis.

Demonstrantka wzięła trochę koki na paznokieć i wciągnęła ją nosem.

– Juhu! – Uśmiechnęła się do obserwującej ją Michaeli. – Jestem oficjalnie gotowa dać czadu.

– Proszę wrócić na tył i usiąść – powiedziała Michaela i zapewniła: – Zawołam panią. – Wiedziała jednak, że tego nie zrobi. Fakt, że nawet zaprawionej w bojach Stephanie Koch puściły nerwy, coś Mickey uzmysłowił. Ona nie tylko oglądała tę historię okiem kamery – to była jej historia. I kiedy w końcu zaśnie, nie chciała, żeby stało się to wśród obcych.

– Pilnuj interesu, Al – rzuciła do technika.

– Jasne – odparł. – Hej, to była rewelacja, co? Telewizja na żywo w najlepszym wydaniu.

– Rewelacja – przytaknęła i wyskoczyła na chodnik. Włączyła komórkę. Jeśli ruch nie będzie za duży, może dotrzeć do Dooling przed północą.

– Mamo? To ja. Dłużej tak nie mogę. Wracam do domu.

5

O 15:10, dziesięć minut po oficjalnym zakończeniu jego zmiany, która zaczęła się o 6:30, Don Peters siedział w Kabinie i patrzył w monitor z podglądem celi numer 10. Wariatka zaczynała przysypiać. Siedziała na pryczy ze zwieszoną głową i zamkniętymi oczami. Lampley z jakiegoś powodu została gdzieś wezwana, Murphy po chwili też, więc teraz to Don dyżurował w Kabinie. Nie miał zresztą nic przeciwko – wolał siedzieć, niż stać. Najchętniej wróciłby do domu, jak co dzień, ale żeby nie narazić się Coatsie, postanowił na razie jakoś tu wytrzymać.

Z tej szurniętej pizdy była całkiem niezła żyleta, Don musiał to przyznać. Nawet w stroju więziennym jej nogi ciągnęły się i ciągnęły bez końca.

Wcisnął guzik mikrofonu łączącego go z celą. Już miał jej powiedzieć, żeby się obudziła, tylko po kiego grzyba? Wszystkie i tak zasną, a ich twarze i ciała obrosną tym paskudztwem. Chryste, co to będzie za świat, kiedy tak się stanie. Plus jest taki, że na drogach zrobi się bezpieczniej. Hm, dobre. Będzie musiał zapamiętać ten tekst na później, sprzedać go chłopakom w Squeaky Wheel.

Peters puścił guzik. Kobieta z celi numer 10 podniosła nogi na pryczę i położyła się. Patrzył na nią, ciekaw, jak to się stanie, skąd się weźmie ta dziwaczna pajęczyna, o której czytał.

6

Dawno temu w więzieniu żyły setki szczurów tworzących dziesiątki kolonii; teraz zostało tylko czterdzieści. Kiedy Evie leżała z zamkniętymi oczami, nawiązała kontakt z alfą – starą samicą, wojowniczką o długich szponach, której myśli były jak zardzewiałe, zgrzytające tryby. Evie wyobrażała sobie pyszczek alfy – jako niezwykle smukłą i piękną siatkę blizn.

– Dlaczego tak was mało, przyjaciółko moja?

– Trucizna – powiedziała królowa wojowniczka. – Wykładają truciznę. Pachnie jak mleko, ale nas zabija. – Szczurzyca była w bruździe między pustakami, które oddzielały celę numer 10 od celi numer 9. – Trucizna ma nas zmusić, żebyśmy szukali wody, ale mąci nam w głowach i często umieramy, zanim zdążymy ją znaleźć. To straszna śmierć. Te mury są wypełnione naszymi ciałami.

– Więcej nie będziecie tak cierpieć – zapewniła Evie. – Mogę wam to obiecać. Ale być może będę chciała, żebyście zrobili dla mnie pewne rzeczy. W tym takie, które mogą być niebezpieczne. Godzicie się na to?

Zgodnie z przewidywaniami Evie niebezpieczeństwo nic nie znaczyło dla królowej szczurów. Żeby zostać królową, walczyła ze swoim królem. Urwała mu przednie nogi i zamiast go dobić, siedziała i patrzyła, jak się wykrwawia. Spodziewała się, że sama pewnego dnia umrze w podobnych okolicznościach.

– Godzimy się – odparła matka szczurów. – Strach to śmierć.

Evie była innego zdania – uważała, że śmierć to śmierć i że zdecydowanie warto jej się bać – ale pominęła to milczeniem. Szczury, choć ograniczone, są szczere. Na szczurze można polegać.

– Dziękuję.

– Proszę bardzo – powiedziała królowa szczurów. – Muszę tylko zadać ci jedno pytanie, Matko. Czy dotrzymujesz słowa?

– Zawsze.

– Co więc mamy zrobić?

– Na razie nic. Ale wkrótce was wezwę. Tymczasem wystarczy ci wiedzieć jedno: twoja rodzina już nigdy nie da się skusić na jedzenie trucizny.

– Naprawdę?

Evie przeciągnęła się, uśmiechnęła i – wciąż z zamkniętymi oczami – pocałowała ścianę.

– Naprawdę – powiedziała.

7

Evie poderwała głowę i szeroko otworzyła oczy. Patrzyła prosto w kamerę – wydawało się, że patrzy na Dona.

Drgnął na krześle w Kabinie. Zaniepokoiło go, że tak ostentacyjnie, od razu po przebudzeniu, utkwiła wzrok w kopule kamery. Co u licha? Jakim cudem się ocknęła? Przecież podobno po zaśnięciu obrastają pajęczynami? Czy ta sucz tylko udawała, żeby go zmylić? Jeśli tak, świetna z niej aktorka: przez cały ten czas miała zwiotczałą twarz, zupełnie nieruchome ciało.

Wcisnął guzik interkomu.

– Osadzona, patrzysz w moją kamerę. To niegrzeczne. Masz niegrzeczną minę. Mamy jakiś problem?

Kobieta z dziesiątki pokręciła głową.

– Przepraszam, oficerze Peters. Przepraszam za moją minę. Nie ma żadnego problemu.

– Przyjmuję przeprosiny – powiedział Don. – Niech to się więcej nie powtórzy. – Po czym: – Skąd wiedziałaś, że to ja?

– Zdaje się, że pani naczelnik chce się z panem widzieć – stwierdziła, zamiast odpowiedzieć na pytanie.

Jak na zawołanie zabrzęczał interkom. Wzywali go do administracji.

ROZDZIAŁ 11

1

Blanche wpuściła Dona do gabinetu pani naczelnik i powiedziała, że Coates przyjdzie za jakieś pięć minut. Nie powinna była tego zrobić i nie zrobiłaby, gdyby nie miała głowy zaprzątniętej dziwnymi wydarzeniami w więzieniu i na całym świecie.

Dłonie lekko mu drżały, kiedy nalewał sobie kawy z dzbanka stojącego w kącie gabinetu, dokładnie pod głupawym plakatem przedstawiającym kotka na gałęzi z napisem: „Trzymaj się". Kiedy kubek był już pełny, Don napluł do resztki czarnego płynu na dnie dzbanka. Coates, zawzięta stara suka, całymi dniami paliła papierochy i piła kawę. Miał nadzieję, że bierze go przeziębienie i że zarazi szmatę swoim bakcylem. Chryste, dlaczego nie mogła zdechnąć na raka płuc i wreszcie zostawić go w spokoju?

Fakt, że wezwano go właśnie teraz, w połączeniu z niepokojącą przepowiednią dziwoląga z celi numer 10, pozbawił go wątpliwości – Sorley albo Dempster nadały na niego. To niedobrze. Nie powinien był zrobić tego, co zrobił. Czekały, kiedy powinie mu się noga, a on zaraz po porannym dywaniku u Coates sam im się wystawił.

Oczywiście żaden rozsądny człowiek nie mógłby go za to winić. Kiedy wziąć pod uwagę presję, jaką wywierała na nim Coates, i to, że dzień w dzień musiał znosić labidzenie i wygłupy kryminalistek, które niańczył, to w gruncie rzeczy cud, że jeszcze kogoś nie zabił z czystej frustracji.

Co w tym złego, że raz na jakiś czas złapie którąś za to czy owo? Na litość boską! Kiedyś jak nie klepnąłeś kelnerki w tyłek, to była rozczarowana. Jeśli nie gwizdnąłeś na przechodzącą kobietę,

zastanawiała się, po cholerę w ogóle się wystroiła. Ubierają się, żeby facet miał ochotę je rozebrać – taka jest prawda. Kiedy tak się poprzewracało w głowach całemu kobiecemu gatunkowi? W tych politycznie poprawnych czasach nie można nawet kobiecie komplementu powiedzieć. A przecież tym właśnie jest klepnięcie w tyłek albo ściśnięcie cycka, prawda? Rodzajem komplementu. Tylko głupi tego nie rozumie. Jeśli Don łapał kobietę za tyłek, to nie dlatego, że miała brzydki tyłek. Robił to, bo miała tyłek palce lizać. To tylko tak dla żartu, nic poza tym.

Czy sprawy czasem posuwały się trochę dalej? No, dobra. Zdarzało się. I tu Don gotów był wziąć część winy na siebie. W więzieniu ciężko się żyje kobietom o zdrowym seksualnym apetycie. Więcej krzaczorów niż w dżungli i żadnego włócznika. Nieuchronnie budzą się pewne pragnienia. Potrzeby, których nie sposób wiecznie tłumić. Weźmy na przykład tę Sorley. Może było to z jej strony całkowicie podświadome, ale w jakimś sensie go pragnęła. Wysyłała mnóstwo sygnałów: a to zarzuciła biodrem w jego kierunku, idąc na stołówkę, a to oblizała wargi czubkiem języka, kiedy niosła naręcze nóg do krzeseł, a to posłała mu przez ramię lubieżne, wyzywające spojrzenie.

Jasne, obowiązkiem Dona było opierać się takim zachętom – bądź co bądź płynęły od kryminalistek i degeneratek, które nie przepuszczą żadnej okazji, żeby cię wrobić, wpakować w tarapaty. Był jednak tylko człowiekiem; trudno mieć do niego pretensje o to, że ulega normalnym męskim żądzom. Nie żeby taka zapchlona kobyła jak Coates mogła to zrozumieć.

Był pewien, że zarzuty kryminalne mu nie grożą – słowo jebanej ćpunki, nawet dwóch jebanych ćpunek, w żadnym sądzie nie ważyłoby więcej od jego słowa – ale jego praca bez wątpienia zawisła na włosku. Naczelnik obiecała, że w razie następnej skargi podejmie stosowne kroki.

Don chodził po gabinecie. Czy cała ta kampania przeciwko niemu to aby nie wyraz jakiejś chorej, podszytej zazdrością miłości Coates do niego? Oglądał ten film z Michaelem Douglasem i Glenn Close. Przeraził go na śmierć. Odrzucona kobieta zrobi wszystko, żeby ci dokopać, taka jest prawda.

Przelotnie pomyślał o swojej matce, o tym, jak mu wyznała, że poradziła jego byłej, Glorii, by za niego nie wychodziła, bo „Donnie, wiem, jak traktujesz dziewczyny". To zabolało go do głębi, bowiem Don Peters kochał swoją matkę, kochał chłodny dotyk jej dłoni na swoim rozpalonym gorączką czole, kiedy był mały, i pamiętał, jak mu śpiewała, że jest jej słońcem, jedynym słońcem. Jak matka może się zwrócić przeciwko własnemu synowi? Jak to o niej świadczyło? Ech, kurczę, baby lubią się rządzić i tyle.

(Przyszło mu do głowy, że powinien zadzwonić do matki i spytać, czy wszystko w porządku, potem jednak pomyślał: Chrzanić to. Jest dużą dziewczynką).

Obecna sytuacja zalatywała babskim spiskiem: najpierw uwiedzenie, potem zasadzka. To, że wariatka z dziesiątki skądś wiedziała, że naczelnik wezwie go do siebie, właściwie przesądzało sprawę. Nie powiedziałby, że wszystkie maczały w tym paluchy, nie, do tego by się nie posunął (to byłoby szaleństwo), ale i nie mógł tego do końca wykluczyć.

Usiadł na skraju biurka naczelnik i niechcący strącił na podłogę małą skórzaną saszetkę.

Schylił się po nią. Wyglądała jak futerał, w którym przechowuje się szczoteczkę do zębów podczas podróży, ale była z ładnej skóry. Rozsunął suwak. W środku znajdowała się buteleczka ciemnoczerwonego lakieru do paznokci (jakby Coates liczyła, że jeśli pomaluje sobie pazury, nikt nie zauważy, że jest ohydną wiedźmą), pęseta, nożyczki do paznokci, mały grzebyk, kilka nienapoczętych listków prilosecu i… buteleczka lekarstwa na receptę.

Don przeczytał etykietę: „Janice Coates, xanax, 10 mg".

2

– Jeanette! Uwierzysz?

Na dźwięk głosu Angel Fitzroy Jeanette ścisnął się żołądek. W co miała uwierzyć? Że Peters zaciągnął ją w kąt przy automacie z colą

i zmusił, żeby go zbrandzlowała? Jej ból głowy nie był już bólem głowy; był serią eksplozji, bum! bum! bum!

Ale nie, nie o tym Angel mówiła. Na pewno nie. Ree nigdy nikomu nie powiedziałaby, próbowała się pocieszyć Jeanette, a każda jej myśl była jak krzyk huczący w głowie, ledwo jednak słyszalny wśród wybuchów spowodowanych migreną. Po chwili odgadła – taką miała nadzieję – o co chodzi Angel.

– Mówisz o tym… zasypianiu?

Angel stała w drzwiach celi. Jeanette leżała na swojej pryczy. Ree gdzieś poszła. Późnym popołudniem piętro było otwarte – ten, kto się dobrze sprawował, mógł swobodnie się poruszać po pawilonie.

– Pewnie, że o tym. – Angel weszła do celi i przysunęła sobie jedyne krzesło. – Nie wolno ci zasnąć. Ani w ogóle żadnej z nas. Dla mnie to nie jest wielki kłopot, bo i tak mało sypiam. Zawsze tak miałam, nawet będąc dzieckiem. Sen jest jak śmierć.

Jeanette słyszała o aurorze, ale uznała to za absurd. Kobiety wytwarzające kokony we śnie? Czy migrena jakimś sposobem odebrała jej rozum? Chętnie wzięłaby prysznic, ale nie miała ochoty rozmawiać z żadnym ze strażników. I tak by jej nie pozwolili. W więzieniu obowiązuje regulamin. Strażnicy – oj, przepraszam, oficerowie – byli ucieleśnieniem regulaminu. Musisz robić, co każą, inaczej bach – i nagana.

– Łeb mi pęka, Angel. Mam migrenę. Nie mam siły na jakieś wariactwa.

Angel głośno i głęboko wciągnęła powietrze przez swój długi, kościsty nos.

– Słuchaj, siostro…

– Nie jestem twoją siostrą, Angel. – Jeanette za bardzo cierpiała, żeby się martwić o to, jak Angel zareaguje na przyganę.

Angel jednak nie dała się wybić z rytmu.

– Wariactwo czy nie, to się dzieje naprawdę. Właśnie widziałam Nell i Celię. A przynajmniej to, co z nich zostało. Poszły spać i teraz leżą, kurczę, opakowane jak prezenty pod choinką. Ktoś mówił, że McDavid też to złapała. I tyle ją widziano. Przyglądałam się, jak toto obrastało Nell i Celię. Ten materiał. On się rozpełza. Zakrywa twarze. Jakbym oglądała jakiś pieprzony eksperyment naukowy.

Rozpełza się.

Zakrywa twarze.

A więc to prawda. Jeanette wyczytała to z tonu Angel. Cóż, czemu nie. Było jej wszystko jedno. Nie miała wpływu ani na to, ani na cokolwiek innego. Zamknęła oczy, ale nagle dłoń chwyciła ją za ramię i zaczęła nią potrząsać.

– Co?

– Zasypiasz?

– Nie, dopóki zadajesz mi pytania i trzęsiesz mną, jakbym była torebką popcornu. Przestań.

Dłoń się uniosła.

– Nie zasypiaj. Potrzebuję twojej pomocy.

– Dlaczego mojej?

– Bo jesteś w porządku. Nie to, co prawie cała reszta. Masz łeb na karku. Choćby się waliło i paliło, ty nie pękasz. Nie chcesz, żebym ci choć powiedziała, o co chodzi?

– Mam to w nosie.

Chociaż Angel nie od razu odpowiedziała, Jeanette poczuła ją u swego boku, górującą nad pryczą.

– To twój synek?

Jeanette otworzyła oczy. Angel wpatrywała się w fotografię Bobby'ego, przyczepioną do kwadratu namalowanego na ścianie obok pryczy. Na zdjęciu Bobby pił przez słomkę z papierowego kubka; na głowie miał czapkę z uszami Myszki Miki. Patrzył w obiektyw z uroczo nieufną miną, jakby się bał, że ktoś zaraz wyrwie mu napój i czapkę i da dyla. Wtedy był jeszcze mały, miał cztery, może pięć lat.

– Uhm – mruknęła Jeanette.

– Fajna czapka. Zawsze taką chciałam. Zazdrościłam dzieciakom, które je miały. To chyba stare zdjęcie. Ile teraz ma lat?

– Dwanaście.

Zabrali z Damianem Bobby'ego do Disney World jakiś rok przed tym, jak jej świat się zawalił. Chłopiec ze zdjęcia nie wiedział jeszcze, że tata uderzy mamę o jeden raz za dużo, że mama wbije śrubokręt w udo taty, że on sam trafi pod opiekę ciotki, podczas gdy mama pójdzie siedzieć za zabójstwo drugiego stopnia. Chłopiec ze zdjęcia

wiedział tylko, że jego pepsi jest pyszna, a czapka z uszami Myszki Miki fajowa.

– Jak mu na imię?

Kiedy myślała o synu, eksplozje w jej głowie przycichły.

– Bobby.

– Ładnie. Lubisz to? Bycie mamą? – Pytanie wyrwało się z ust Angel, zanim zrozumiała, że chce je zadać. Mama. Bycie mamą. Na samą myśl serce jej zadrżało. Nie dała jednak nic po sobie poznać. Angel miała swoje tajemnice i potrafiła je zachować.

– Nigdy mi to za dobrze nie wychodziło – stwierdziła Jeanette. Zmusiła się, żeby usiąść prosto. – Ale kocham synka. O co więc chodzi, Angel? Czego ode mnie chcesz?

3

Później Clint dojdzie do wniosku, że powinien był się domyślić, że Peters coś knuje. Strażnik z początku był zbyt spokojny, na twarzy miał uśmiech zupełnie niestosowny w świetle przedstawionych mu zarzutów. Clint jednak był wściekły, wściekły jak nigdy od czasu, kiedy był w wieku Jareda, i nie zobaczył tego, co zobaczyć powinien. To było tak, jakby w głowie miał przewiązaną sznurem skrzynię ze złymi wspomnieniami z dzieciństwa. Kłamstwo żony przecięło pierwsze włókno, aurora drugie, rozmowa z Evie trzecie – i wreszcie po tym, co spotkało Jeanette, sznur pękł. Złapał się na tym, że rozmyślał, z niemal naukowym zainteresowaniem, jakie obrażenia mógłby zadać Petersowi przy użyciu rozmaitych przedmiotów. Na przykład mógł mu rozwalić nos telefonem stojącym na biurku. Albo zerwać ze ściany pamiątkową tabliczkę dla Naczelnika Roku i pogruchotać nią pieprzonemu sadyście kość policzkową. Clint ciężko pracował nad tym, żeby wygnać z siebie takie agresywne myśli; w dużej mierze to w reakcji na nie zajął się psychiatrią.

Co takiego wtedy powiedziała Shannon? „Clint, skarbie, jeśli dalej będziesz się bił, pewnego dnia wygrasz zbyt przekonująco”. Konkretnie chodziło jej o to, że w końcu kogoś zabije. Może miała

rację. Niedługo później sąd przyznał mu upragnioną samodzielność i Clint więcej nie musiał się z nikim bić. W ostatniej klasie liceum wyładowywał swoją wściekłość, uprawiając lekkoatletykę. Też pomysł Shannon, i to cholernie dobry. „Jak chcesz trzymać formę, powinieneś biegać", powiedziała, „Wtedy leje się mniej krwi". Biegał więc, aż uciekł od przeszłości, uciekł jak Piernikowy Ludzik – na studia medyczne, do małżeństwa, do ojcostwa.

Większość dzieciaków z domów zastępczych nie poradziła sobie w życiu; opieka zastępcza była istnym cmentarzyskiem nadziei. Wielu skończyło w instytucjach, takich jak zakład w Dooling albo pobliskie więzienie Lion Head, które – według specjalistów – w każdej chwili mogło się zsunąć ze wzgórza, na którym stało. W Dooling siedziało wiele dziewczyn wychowanych w rodzinach zastępczych, a teraz zdanych na łaskę i niełaskę Dona Petersa. Clint miał szczęście. Przezwyciężył niesprzyjające okoliczności. Shan mu w tym pomogła. Dawno o niej nie myślał. Ten dzień jednak był jak pęknięta magistrala wodociągowa – rzeczy normalnie głęboko ukryte wybijały na powierzchnię, zalewały ulice. Wyglądało na to, że czas katastrofy jest też czasem wspomnień.

4

Clinton Richard Norcross został formalnie przekazany pod pieczę zastępczą w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku, kiedy miał sześć lat, ale z dokumentów, które później zobaczył, wynikało, że opieka społeczna interesowała się nim już wcześniej. Historia, jakich wiele: nastoletni rodzice, narkotyki, nędza, kłopoty z prawem, prawdopodobne zaburzenia psychiczne. Bezimienny pracownik socjalny, który rozmawiał z matką Clinta, napisał w raporcie: „Obawia się, że zarazi syna swoim smutkiem".

Ojca nie pamiętał, a jedynym wspomnieniem o matce był obraz dziewczyny o pociągłej twarzy, która łapie go za ręce, aż jego dłonie znikają w jej dłoniach, i potrząsając nimi, błaga, żeby przestał ogryzać paznokcie. Lila raz go spytała, czy chciałby nawiązać kontakt

z którymś z rodziców, o ile jeszcze żyją. Nie chciał. Stwierdziła, że rozumie, ale w rzeczywistości nie miała pojęcia, dlaczego tak zdecydował, i to mu odpowiadało. Nie chciał też, żeby rozumiała. Mężczyzna, za którego wyszła – opanowany i zdolny doktor Clinton Norcross – w pełni świadomie zostawił tamto życie za sobą.

Tyle tylko, że tak naprawdę niczego nie da się na dobre zostawić. Nic nie przepada na zawsze, dopóki śmierć albo alzheimer nie wymażą wspomnień. Wiedział o tym. Potwierdzała to każda jego sesja z więźniarkami; człowiek nosi swoją przeszłość jak naszyjnik, taki cuchnący, z czosnku. Czy chowasz go pod kołnierzem, czy wypuszczasz na wierzch – nic nie ginie. Raz po raz staczasz tę samą walkę i nigdy nie wygrywasz shake'a.

W dzieciństwie i wczesnej młodości obskoczył pół tuzina domów zastępczych, z których żaden nie był prawdziwym domem, jeśli przyjąć, że prawdziwy dom to miejsce, w którym człowiek czuje się bezpiecznie. Może nic w tym dziwnego, że ostatecznie zatrudnił się w zakładzie karnym. W więzieniu panowała ta sama atmosfera, którą pamiętał z dzieciństwa i wczesnej młodości: ciągłe wrażenie, że zaraz się udusisz. Chciał pomóc ludziom, którzy żyli z tym na co dzień, bo wiedział, jakie to jest koszmarne, jak bardzo nadwątla istotę człowieczeństwa. To właśnie w głównej mierze kryło się za decyzją Clinta, żeby porzucić prywatną praktykę, jeszcze zanim na dobre ją otworzył.

Gdzieś tam były przyzwoite domy zastępcze, dziś nawet więcej niż kiedyś, ale Clint nigdy do takiego nie trafił. O kilku mógł powiedzieć tyle dobrego, że były czyste i prowadzone przez kompetentnych, nienachalnych opiekunów, którzy ograniczali się do koniecznego minimum, żeby pobrać wynagrodzenie od władz stanu. Tych ludzi łatwo było zapomnieć. Ale to dobrze. Opiekunowie niewarci zapamiętania byli cenni.

Najgorsze domy były najgorsze pod różnymi względami: w jednych przymierałeś głodem, inne miały ciasne, brudne pokoje, w których zimą marzłeś, jeszcze w innych opiekunowie zmuszali cię do pracy za darmo albo cię krzywdzili. Najcięższych krzywd doznawały oczywiście dziewczyny.

Clint nie pamiętał już twarzy niektórych braci i sióstr z domów zastępczych, ale kilka wciąż widział wyraźnie. Na przykład Jasona, który zabił się w wieku trzynastu lat, wypijając butelkę taniego środka do udrażniania rur. Clint mógł przywołać obraz Żywego Jasona i obraz Martwego Jasona, leżącego w trumnie. To było, kiedy mieszkał u Dermota i Lucille Burtellów, którzy trzymali podopiecznych nie w swoim ładnym domu w stylu Cape Cod, lecz w długiej, przypominającej szopę budowli na tyłach, o nieizolowanych ścianach i nagiej, najeżonej drzazgami podłodze. Burtellowie urządzali tak zwane Piątkowe Wieczory Bokserskie, podczas których rolę pięściarzy pełniło ich sześciu podopiecznych, a nagrodą dla zwycięzcy był czekoladowy shake z McDonalda. Raz Clint musiał walczyć z Jasonem, ku uciesze Burtellów i ich znajomków. Ring był na kawałku popękanego betonowego tarasu, widzowie zbierali się wokół, by patrzeć i robić zakłady. Jason, przerażony i ociężały, nie był faworytem, a Clint bardzo chciał shake'a. Potem, w otwartej trumnie, Jason miał pod okiem siniaka wielkości pięciocentówki, którego kilka wieczorów wcześniej nabił mu Clint.

W następny piątek, po tym, gdy Jason wypił udrażniacz do rur i na dobre zakończył karierę bokserską, Clint znów wygrał shake'a; nie myśląc o konsekwencjach (tak to przynajmniej pamiętał), cisnął go Dermotowi Burtellowi w twarz. Przypłacił to potężnym laniem. Nie przywrócił życia Jasonowi, ale przynajmniej wyrwał się z tego domu.

W następnym domu, a może jeszcze w następnym, mieszkał w ponurym piwnicznym pokoju ze starym dobrym Marcusem. Clint pamiętał jego piękne rysunki. Marcus rysował ludzi, którzy składali się w osiemdziesięciu procentach z nosa, właściwie byli samymi nosami, z malutkimi nogami i rękami. *Nosownicy* – tak zatytułował swój komiks. Chłopak miał talent i wkładał w to całe serce. I nagle któregoś dnia po szkole, bez żadnego wyjaśnienia, powiedział Clintowi, że wyrzucił wszystkie swoje zeszyty i że się zwija. Clint mógł dziś odtworzyć w pamięci jego rysunki, ale nie samego Marcusa.

Shannon jednak widział wyraźnie; była zbyt piękna, żeby ją zapomnieć.

– Cześć, jestem Shannon. Nie chcesz się ze mną zapoznać? – Tak się przedstawiła, nawet nie zerkając na niego, kiedy przechodził obok w drodze do parku. Opalała się w niebieskim podkoszulku i czarnych dżinsach na masce buicka, który stał przy krawężniku przed ośrodkiem opiekuńczo-wychowawczym w Wheeling. I uśmiechała się do słońca. – Jesteś Clint, prawda?

– Tak – powiedział.

– Aha. Cóż, miło mnie poznać, nie? – odparła, a Clint mimo wszystko się zaśmiał, szczerze się zaśmiał po raz pierwszy od niepamiętnych czasów.

Ośrodek opiekuńczo-wychowawczy w Wheeling, w którym się poznali, był ostatnim przystankiem na jego tournée po stanowym systemie pieczy zastępczej. Większość trafiała stamtąd prosto do zakładu karnego w Dooling albo do szpitala Weston. Weston, monumentalny gotycki zakład dla psychicznie chorych, zamknięto w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku. Teraz, w dwa tysiące siedemnastym, udostępniano go do zwiedzania miłośnikom duchów. Czy to tam wylądował jego ojciec?, zastanawiał się Clint. Jego matka? Richie, któremu jacyś gówniarze z prywatnej szkoły złamali nos i trzy palce w centrum handlowym, bo powiedział, że nie powinni się naśmiewać z jego fioletowej kurtki z darów? Marcus? Wiedział, że to niemożliwe, by wszyscy byli martwi albo osadzeni, a mimo to jakoś nie mógł sobie ich wyobrazić oddychających i żywych. Czy snują się ciemnymi korytarzami Weston po godzinach zwiedzania? Czy rozmawiają o Clincie? Czy cieszą się, że mu się dobrze wiedzie – czy też zawstydza ich tym, że jeszcze żyje?

5

Ośrodek w Wheeling był lepszy od wielu poprzedzających go przystanków. Szyderczo uśmiechnięty kierownik, rozciągający kciukami kieszenie szarej poliestrowej kamizelki, przestrzegał każdego nowo przybyłego: „Naciesz się swoim ostatnim rokiem przy

stanowym cycu, młokosie!”. Przede wszystkim jednak on, szyderczo uśmiechnięty kierownik, nie chciał żadnych kłopotów. Jeśli tylko udawało ci się uniknąć aresztowania, pozwalał wychodzić i przychodzić o każdej porze dnia i nocy. Mogłeś się bić, rżnąć, dawać w kanał. Byle nie pod moim dachem, młokosie.

Mieli wtedy z Shan siedemnaście lat. Clint dużo czytał i z czasem to zauważyła; dostrzegła, że wymyka się do parku w dole ulicy, siada na ławce i, nie bacząc na późnojesienny chłód, nadrabia zaległości w pracy domowej. Shannon widziała też krwawe otarcia na jego dłoniach, pamiątki po awanturach, w które się pakował – a czasem sam wywoływał – w drodze między ośrodkiem a szkołą. Zaprzyjaźnili się. Udzielała mu rad. Przeważnie dobrych.

„Wiesz, masz wolność na wyciągnięcie ręki”, powiedziała. „Postaraj się tylko jeszcze przez jakiś czas nikogo nie zabić”, powiedziała. „Pracuj głową, a będziesz bogaty”, powiedziała. Shan mówiła tak, jakby świat nie miał dla niej większego znaczenia, a to w jakiś sposób sprawiło, że Clint zapragnął nadać mu znaczenie – dla niej i dla siebie samego.

Zapisał się na lekkoatletykę i przestał się bić. To skrócona wersja. Wersja pełna to Shannon – Shannon w słońcu; Shannon motywująca go, żeby biegał szybciej, składał podania o stypendia, siedział nad książkami, zamiast wystawać na chodniku; Shannon w środku nocy, otwierająca zamek w drzwiach na piętro chłopaków powleczoną celuloidem kartą do gry (damą pik) i zakradająca się do pokoju Clinta.

– No, no – powiedziała, gdy zobaczyła go w stroju lekkoatletycznym: podkoszulku i bardzo krótkich spodenkach. – Gdybym rządziła światem, wszystkie chłopaki musiałyby nosić takie szorty.

Shannon była piękna, była mądra, miała bez liku własnych problemów. I Clint sądził, że uratowała mu życie.

Poszedł na studia. Tak mu radziła, a kiedy się wahał (mówił, że może zaciągnie się do wojska), wręcz tego zażądała. Powiedziała: „Tylko matoły nie idą do szkoły”.

Potem kontakt im się urwał, rozmowy telefoniczne były za drogie, pisanie listów zbyt czasochłonne. Dopiero jakieś osiem–dziewięć lat

po tym, jak wyjechał na studia, spotkali się w Waszyngtonie. To było w sylwestra roku… dwa tysiące pierwszego? Drugiego? Był w Georgetown na seminarium i został na noc, bo samochód nawalił. Lila powiedziała, że zezwala mu wyjść na miasto i się zalać, ale niech nie całuje żadnych zdesperowanych kobiet. Ewentualnie może pocałować zdesperowanego faceta, jak już absolutnie nie będzie mógł tego uniknąć, ale nie więcej niż jednego.

W barze kłębił się tłum studentów. A Shan była kelnerką.

– Hej, kolego. – Stanęła obok Clinta przy kontuarze i trąciła go biodrem. – Znałam w kiciu gościa, który wyglądał zupełnie jak ty.

Długo tulili się do siebie, kołysząc w swoich objęciach.

Wyglądała na zmęczoną, ale poza tym chyba miała się nie najgorzej. Udało im się zamienić parę słów na osobności pod błyskającym neonem Molson.

– Gdzie się zaczepiłeś? – zapytała.

– Na zadupiu – odparł. – W mieścinie o nazwie Dooling. Dzień jazdy stąd. Malownicza okolica.

Pokazał jej zdjęcie czteromiesięcznego Jareda.

– Och, popatrz tylko. I co, nie warto było przejść przez to wszystko, Clint? Ja też muszę sobie takiego sprawić.

Rosa lśniła na rzęsach Shannon. Wokół wydzierali się ludzie. Zbliżał się nowy rok.

– Hej, już dobrze – powiedział do niej. – Wszystko gra.

Podniosła na niego oczy, a wtedy przepaść dzieląca ich od przeszłości zniknęła i przez chwilę znów byli nastolatkami.

– Na pewno? – spytała. – Na pewno wszystko gra, Clint?

6

Nad ramieniem naczelnik więzienia, za szybą, popołudniowe cienie kładły się na ogródku; rzędy sałaty i grochu pięły się po treliażach, zbitych z drewnianych odpadów. Coates mówiła, obejmując dłońmi kubek kawy.

Kubek kawy! Clint mógł wylać kawę na krocze Dona Petersa, a kubkiem przywalić mu w ucho!

Zanim poznał Shannon Parks, na pewno tak by zrobił. Przypomniał sobie, że jest ojcem i mężem, lekarzem, człowiekiem ze zbyt wieloma siwymi włosami, żeby wpaść w pułapkę przemocy. Wkrótce skończy pracę i wróci do domu – do żony, syna i ładnego widoku na basen w ogródku. Walki o shake'a toczył w innym wcieleniu. Mimo to ciekaw był, z czego jest ten kubek, czy może z tej mocnej ceramiki, która czasem nawet nie pęka, kiedy ją upuścić na twardą posadzkę.

– Widzę, że przyjąłeś to ze spokojem – zauważyła Janice Coates.

Peters przesunął palcem po wąsach.

– Po prostu cieszę się na myśl, że zostanę milionerem, kiedy adwokat załatwi mi odszkodowanie za bezzasadne zwolnienie, pani naczelnik. Myślę, że kupię sobie łódź. Poza tym od małego uczono mnie, że trzeba być dżentelmenem, nawet jak człowieka źle traktują. Dlatego proszę bardzo, niech mnie pani wyleje. Nie macie żadnych dowodów, ale co tam. Policzymy się w sądzie. – Zerknął na Clinta, który stał przy drzwiach. – Wszystko w porządku? Co tak zaciskasz pięści? Klocka musisz postawić czy co?

– Pierdol się – rzucił Clint. Stary tekst, ale dobry na każdą okazję.

– Widzi pani, jak niegrzecznie mnie traktują? – Peters obnażył w uśmiechu zęby koloru białej kukurydzy.

Coates napiła się z kubka, do którego przed chwilą dolała sobie kawy. Była gorzka. Mimo to pociągnęła drugi łyk. Powoli nabierała optymizmu. Ten dzień to apokalipsa, ale jej córka jest w drodze do domu, a ona sama w końcu pozbędzie się Dona Petersa. Nawet w stercie gnoju czasem lśni kilka pereł.

– Jesteś łachudrą i masz szczęście, że w tej chwili nie możemy zająć się tobą tak, jak na to zasługujesz. – Wyjęła woreczek z kieszeni żakietu. Podniosła go i potrząsnęła. W środku były dwa patyczki higieniczne. – Bo widzisz, mamy dowody. – Szeroki uśmiech Petersa nieco przygasł, spróbował przejść w hardą minę, ale nie dał rady. – Twoja sperma, Donnie. Zebrana z automatu z colą. – Coates wzięła duży łyk ohydnej kawy i cmoknęła. – Kiedy wszystko się uspokoi i będziemy mogli się tobą zająć, tak jak na to zasługujesz, pójdziesz siedzieć. Dobra wiadomość jest taka, że przestępców

seksualnych trzymają w odrębnym pawilonie, więc może przetrwasz. Zła: nawet jeśli znajdziesz dobrego adwokata, nieprędko wyjdziesz na wolność. Ale nie martw się, będziemy się widywali na rozprawach o zwolnienie warunkowe. Bo, widzisz, zasiadam w komisji, która je prowadzi. – Naczelnik obróciła się w stronę interkomu i wcisnęła guzik. – Blanche, możesz zaparzyć świeżą kawę? Ta jest paskudna. – Poczekała chwilę na odpowiedź, po czym wcisnęła przycisk jeszcze raz. – Blanche? – Puściła guzik. – Pewnie na chwilę wyszła.

Coates ponownie odwróciła się do Petersa siedzącego na kanapie. Jego uśmiech zupełnie dał za wygraną. Strażnik ciężko oddychał, oblizywał językiem skórę pod wargami; wyraźnie rozmyślał o tym, co oznacza dla niego obecność śladów DNA, które właśnie podstawiono mu pod nos.

– Na razie – podjęła naczelnik – zdaj mundur i wynoś się. Pewnie popełniłam błąd, mówiąc ci, co na ciebie mamy, ale nie mogłam się oprzeć pokusie. Masz kilka dni, zanim klamka zapadnie. Możesz wskoczyć do samochodu i wyjechać do Kanady. Nie będziesz się wychylał, zajmiesz się łowieniem ryb w przerębli. Kto wie, może uda ci się zniknąć.

– Wrobiliście mnie! – Peters poderwał się na nogi. – To zmowa!

Clint nie wytrzymał. Ruszył naprzód, złapał niższego od siebie strażnika za gardło i przyparł do ściany. Don okładał go po ramionach i twarzy, drapał jego policzki. Clint ścisnął mocniej. Pod palcami czuł niespokojne tętno Petersa, czuł kurczące się jabłko Adama, czuł, jak całe zagubienie, frustracja i przerażenie wywołane tym dniem wylewają się z jego własnych dłoni jak sok z grejpfruta. Ćma krążyła dookoła jego głowy. Ulotnym pocałunkiem musnęła jego skroń i odfrunęła.

– Doktorze Norcross!

Clint wbił pięść w miękki brzuch Petersa i puścił go. Strażnik upadł na kanapę, po czym zsunął się na podłogę. Wylądował na czworakach, wydając zduszone, zwierzęce dźwięki:

– Hii… hii… hii…

Wtedy drzwi gabinetu otworzyły się z hukiem. Wszedł Tig Murphy z paralizatorem w dłoni. Jego policzki lśniły wilgocią, cera przybrała

niezdrowy odcień; przedtem zapewniał Clinta, że wszystko z nim w porządku, ale nie mówił prawdy. Nic nie było w porządku. Z nikim.

– Hii… hii… hii… – Peters odczołgał się od kanapy. Ćma krążyła teraz nad pełznącym mężczyzną, jakby odprowadzała go do wyjścia.

– Właśnie mieliśmy pana wezwać, oficerze Murphy. – Coates siedziała za biurkiem, jakby nic się nie stało. – Pan Peters, wychodząc, potknął się o fałdę dywanu. Proszę mu pomóc wstać, dobrze? Może zostawić swoje rzeczy w szatni. – Naczelnik wzniosła kubkiem kawy toast do Tiga Murphy’ego i wypiła do dna.

ROZDZIAŁ 12

1

– Pani oficer, wie pani, że czasem ponoszą mnie nerwy, prawda?

Angel, stojąca w podyktowanej szacunkiem odległości od Kabiny, zadała to retoryczne pytanie Vanessie Lampley. Towarzysząca jej Jeanette nie miała złudzeń: czeka je trudna przeprawa.

Lampley siedziała przy konsoli za plastikową osłoną Kabiny. Jej szerokie ramiona były groźnie wychylone do przodu. Wyglądała na gotową wyskoczyć przez osłonę. Jeanette sądziła, że Angel, choć szczupła, niejednemu spuściłaby manto – ale Lampley rady by nie dała.

– Fitzroy, co to ma być, jakaś niewydarzona groźba? I to teraz, kiedy dzieje się cały ten syf? Mam trzy osadzone obrośnięte pajęczynami, dawno powinnam zejść ze służby, padam na pysk ze zmęczenia, a ty chcesz się ze mną próbować? Zły pomysł, zaręczam ci.

Angel uniosła dłonie.

– Nie, nie, nie, pani oficer. Chcę tylko powiedzieć, że na pani miejscu też nie zaufałabym sobie w takiej sytuacji, okej? Moja kartoteka mówi sama za siebie, do tego wiele grzeszków uszło mi na sucho, choć, sama pani rozumie, szczegółów podać nie mogę.

Jeanette dotknęła czoła i wbiła wzrok w ziemię. Jeśli Angel planowała po zwolnieniu warunkowym zająć się dyplomacją międzynarodową, ktoś powinien wybić jej to z głowy.

– Idź mi stąd, zakuta pało – powiedziała Lampley.

– I właśnie dlatego przyprowadziłam ze sobą Jeanette. – Z tymi słowy Angel ukazała koleżankę szerokim gestem ręki: oto i ona!

– Cóż, to zupełnie zmienia postać rzeczy.

– Niech pani nie kpi. – Uniesiona ręka Angel opadła do jej boku. Przyjazna mina spłynęła z twarzy. – Niech pani ze mnie nie kpi, pani oficer.

– Nie mów mi, czego mam nie robić, osadzona.

Teraz albo nigdy, pomyślała Jeanette.

– Przepraszam, pani oficer. Nie chcemy sprawić kłopotów.

Van, która już zaczęła się podnosić z krzesła, usiadła z powrotem. W odróżnieniu od Fitzroy, która zbierała nagany jak cholerne nieruchomości w grze monopol, Sorley znana była z tego, że dobrze żyje ze wszystkimi. W dodatku, jeśli wierzyć słowom Ree Dempster, to ją molestował ten parszywy wieprz Peters. Van uznała, że może jej wysłuchać.

– O co chodzi?

– Chcemy zaparzyć kawę. Taką specjalną. Po której trudno zasnąć.

Van trzymała palec na interkomie sekundę–dwie, zanim zadała oczywiste pytanie:

– Co to znaczy „specjalną”?

– Mocniejszą od zwykłej – powiedziała Jeanette.

– Pani też będzie się mogła napić – dodała Angel, wspaniałomyślnie i z uśmiechem. – Od razu postawi panią na nogi.

– Tylko tego mi potrzeba! Więzienia pełnego nabuzowanych więźniarek! Znakomity pomysł! Niech zgadnę, Fitzroy: sekretny składnik to crack.

– No… nie całkiem. Tego nie mamy. Poza tym proszę mi powiedzieć: jakie jest inne wyjście?

Lampley przyznała, że nie wie.

Wtedy odezwała się Jeanette:

– Pani oficer, jeśli szybko nie wynajdą lekarstwa na tę aurorę, całe więzienie zacznie się burzyć. – Dopiero teraz, kiedy o tym mówiła, w pełni to do niej dotarło. Oprócz Maury Dunbarton i paru innych odsiadujących dożywocie wszystkie widziały przed sobą odległe światełko nadziei: koniec wyroku. Wolność. Aurora nagle to światełko zgasiła. Nikt nie wiedział, co – i czy w ogóle cokolwiek – się dzieje po zaśnięciu. Tak jak nikt nie wie, co czeka w niebie. – Zapanuje ogólny niepokój, poruszenie, przerażenie, a wtedy może

pani mieć… poważny problem. – Jeanette pilnowała się, żeby nie użyć słowa „bunt”, ale właśnie na tym polegał problem, który miała na myśli. – Dziewczyny już teraz są zaniepokojone, poruszone i przerażone. Sama pani powiedziała, że trzy z nas już to złapały. A składniki mamy na miejscu, w kuchni. Wystarczy nas tam wpuścić, wszystko zrobimy same. Proszę posłuchać, nie chcę się naprzykrzać ani robić zamieszania. Zna mnie pani, prawda? Staram się żyć w zgodzie ze wszystkimi. Nie rozrabiam. Po prostu mówię o tym, co mnie niepokoi, i przedstawiam pewien pomysł.

– I wasza „specjalna” kawa rozwiąże problem? Jakiś dopalacz sprawi, że wszystko będzie cacy, wszyscy pogodzą się z sytuacją?

– Nie, pani oficer – odparła Jeanette. – Wcale tak nie uważam.

Dłoń Lampley odszukała na bicepsie tatuaż nagrobka. Przesunęła palcami po liniach rysunku. Jej spojrzenie powędrowało w górę, na coś nad osłoną kabiny.

Zegar, pomyślała Jeanette, najpewniej wisi tam zegar. Lampley miała dziś pierwszą zmianę. To znaczy, że poszła spać koło dziewiątej, wstała o piątej, może wpół do szóstej rano i pojechała do pracy. Jeanette przed wyjściem z celi sprawdziła godzinę, wiedziała więc, że teraz jest mniej więcej piąta po południu – czyli robi się późno.

Strażniczka zakręciła głową osadzoną na grubym karku. Miała wory pod oczami, co nie uszło uwagi Jeanette. Dobrodziejstwa pracy dwuzmianowej.

– Kurwa – rzuciła Lampley.

Jeanette nie usłyszała tego przez dźwiękoszczelną osłonę, ale odczytała słowo z ruchu ust strażniczki.

Lampley pochyliła się nad interkomem.

– Powiedz coś więcej, osadzona. Sprzedaj mi ten pomysł.

– Myślę, że wszystkim da to odrobinę nadziei. Poczucie, że coś robią. A przy okazji zyskamy trochę czasu, może wystarczająco dużo, żeby doczekać chwili, kiedy sytuacja się uspokoi.

Spojrzenie Van znów powędrowało w górę. Dyskusja jeszcze trochę trwała, potem przeszła w negocjacje i wreszcie w plan, ale właśnie wtedy, w tamtym momencie, Jeanette zrozumiała, że przekonała oficer Lampley – z zegarem nie ma dyskusji.

2

Clint i Coates znów mieli gabinet naczelnika tylko dla siebie, ale na razie oboje milczeli. Clint złapał oddech, serce jednak wciąż waliło mu jak młotem i domyślał się, że jego ciśnienie, na ostatnim badaniu mieszczące się w górnych granicach normy (fakt, którego nie ujawnił Lili; po co ją niepokoić, dość ma własnych zmartwień), sięgnęło niebezpiecznego poziomu.

– Dzięki – rzucił w końcu.

– Za co?

– Za to, że mnie kryłaś.

Coates przetarła oczy. Wyglądała – takie Clint odniósł wrażenie – jak zmęczone dziecko po zabawie z kolegami, która przeciągnęła się do późna.

– Właśnie usunęłam czarną owcę z naszego stada, doktorze. Tak musiało być. Ale nikogo innego się nie pozbędę, i bez tego mam za mało ludzi. Dobrze choć, że na razie wszyscy oprócz niego zostali.

Clint otworzył usta, żeby powiedzieć: „Chciałem go zabić", ale zaraz je zamknął.

– Powiem tyle… – Janice ziewnęła szeroko. – Byłam lekko zaskoczona. Rzuciłeś się na niego jak Hulk Hogan w swoich najlepszych, wspomaganych sterydami, latach. – Clint spuścił głowę. – Na razie jednak jesteś mi potrzebny. Mój zastępca znów gdzieś zdezerterował, więc przejmiesz jego obowiązki, dopóki łaskawie się nie zjawi.

– Pewnie pojechał do domu sprawdzić, co z żoną.

– Też tak sądzę. Rozumiem, ale nie pochwalam. Mamy w tych murach sto czternaście… nie, sto piętnaście kobiet, licząc niespodziewanego gościa w Skrzydle A, i one muszą być naszym priorytetem. Nie chcę, żebyś tracił panowanie nad sobą.

– Nie ma takiego zagrożenia.

– Oby. Wiem, że dorastałeś w trudnych warunkach, czytałam twoje akta, ale nie ma w nich wzmianki o talencie do duszenia ludzi na śmierć. Inna sprawa, że przestępstwa młodocianych ulegają zatarciu.

Clint zmusił się, żeby spojrzeć naczelnik w oczy.

– Tak. To prawda.

– Powiedz mi, że to, co zrobiłeś Petersowi, to odchylenie od normy.

– To było odchylenie od normy.

– Powiedz mi, że nigdy nie rzuciłbyś się tak na jedną z kobiet. Fitzroy, na przykład. Albo którąkolwiek. Choćby tę nową. Dziwaczną Evie.

Jego zszokowana mina musiała wystarczyć za odpowiedź, bo Coates się uśmiechnęła. Kiedy uśmiech przeszedł w kolejne ziewnięcie, zadzwonił jej telefon.

– Naczelnik. – Słuchała chwilę. – Vanessa? Dlaczego dzwonisz, skoro masz pod ręką sprawny interkom…

Jeszcze chwilę słuchała, a w tym czasie Clint zauważył coś dziwnego. Słuchawka co rusz podjeżdżała z jej ucha do linii włosów. Janice raz po raz opuszczała ją z powrotem, a ta znowu uciekała w górę. Mogło to być spowodowane zwykłym zmęczeniem, ale nie wyglądało to na zmęczenie. Clint zastanowił się przelotnie, czy Janice aby nie ukrywa flaszki w biurku, odrzucił jednak tę myśl. On i Lila kilka razy byli z Coates na kolacji i zwykle nie zamawiała nic mocniejszego od lampki wina, którą zresztą zwykle zostawiała niedopitą.

Kazał sobie przestać szukać dziury w całym, ale to nie takie proste. Jeśli naczelnik padnie, kto będzie rządził do powrotu Hicksiego? O ile w ogóle wróci. Lampley? On? Wyobraził sobie siebie w roli tymczasowego naczelnika i poczuł nieprzyjemny dreszcz.

– Zgoda – rzuciła Coates do słuchawki. Jeszcze chwilę posłuchała. – Zgoda, powiedziałam. Tak. Niech to zrobią. Możesz to ogłosić przez radiowęzeł. Powiedz osadzonym, że dostaną kawę.

Chciała odłożyć słuchawkę na widełki, ale chybiła i musiała ponowić próbę.

– Kurczę – zaśmiała się.

– Janice, wszystko w porządku?

– Och, lepiej być nie może – zapewniła, ale ostatnie słowa wybełkotała, tak że zabrzmiały jak „byśnimosze”. – Właśnie upoważniłam Van, żeby pozwoliła Fitzroy, Sorley i paru innym zaparzyć w kuchni superkawę. Właściwie coś w rodzaju amfy.

– Słucham?

Coates mówiła powoli i wyraźnie. Jak pijak, który chce udowodnić, że jest trzeźwy, pomyślał Clint.

– Według Van, która dowiedziała się tego od Angel, naszego Waltera White'a, więzienna kawa jest jasno, nie ciemno palona, a to dobrze, bo zawiera więcej kofeiny. Zamiast jednej torebki na termos użyją trzech. Zaparzą tego całe he… he… het… hetkolitry. – Zrobiła zdziwioną minę i oblizała usta. – To znaczy hektolitry. Usta mi jakoś zdrętwiały.

– Żartujesz? – Clint nie wiedział, czy pytanie dotyczy kawy czy jej ust.

– Och, nie us… us… usłyszałeś jeszsze tego, co najlepsze. Do kawy wsypią cały zapas sudafedu z izby chorych, a mamy go sporo. Zanim jednak wypiją kawę… wieś… więźniarki… muszą wlać w siebie sok grefr… grep… grejpfrutowy z masłem. To przyszpiesza wchłanianie. Tak twierdzi Angel, a nie sądzę, żeby to miało zaszkodzić…

Coates spróbowała wstać, ale tylko parsknęła śmiechem i klapnęła z powrotem na krzesło. Clint przypadł do niej.

– Jan, piłaś?

Patrzyła na niego szklistymi oczami.

– Nie, oszywiście, że nie. Nie szuję się pijana. Raszej jak po… – Zamrugała i wyciągnęła rękę do małej skórzanej torebki obok tacki na korespondencję. Obmacała ją czubkami palców, wyraźnie czegoś szukając. – Gdzie moje tabletki? Były tutaj, na biurku, w mojej kopertówce.

– Jakie tabletki? Co bierzesz? – Clint rozejrzał się za buteleczką, ale na biurku żadnej nie zauważył. Schylił się i zerknął pod spód. Nic, tylko kilka kotów kurzu przeoczonych przez więźniarkę, która ostatnio sprzątała.

– Sssan… Ssan… oż, kurwa… – Naczelnik opadła na oparcie krzesła. – Pa, pa, doktorze. Zasypiam.

Clint zajrzał do kosza na śmieci. Wśród chusteczek i kilku zmiętych papierków po marsach znalazł brązową buteleczkę. Na etykiecie przeczytał: „Janice Coates, xanax, 10 mg". Buteleczka była pusta.

Podniósł ją i pokazał Janice, po czym oboje wypowiedzieli to samo słowo, tyle że Coates bełkotliwie:

– Peters.

Z wysiłkiem – niewątpliwie nadludzkim – Janice Coates usiadła prosto i pochwyciła spojrzenie Clinta. Chociaż oczy wciąż miała szkliste, przez chwilę prawie nie bełkotała.

– Dorwij go. Zanim wyjdzie. Zamknij obleśnego sukinsyna w Skrzydle C i wyrzuć klucz.

– Musisz zwymiotować – powiedział Clint. – Surowe jajka. Przyniosę kilka z kuch…

– Za późno. Zjeżdżam. Powiedz Mickey… – Oczy jej się zamknęły. Otworzyła je z najwyższym trudem. – Powiedz Mickey, że ją kocham.

– Sama jej to powiesz.

Coates uśmiechnęła się. Powieki znów jej opadały.

– Teraz ty tu rządzisz, doktorze. Przynajmniej dopóki nie wróci Hicks. Proszę… – Westchnęła głęboko. – Czuwaj nad nimi, dopóki wszystkie nie zasną… a wtedy… ach, czuwaj nad nimi, czuwaj nad nami, dopóki…

Skrzyżowała ramiona na podkładce na biurko i złożyła na nich głowę. Clint z fascynacją i przerażeniem patrzył na pierwsze białe nitki wysnuwające się z jej włosów, uszu i skóry zarumienionych policzków.

Tak szybko, pomyślał. Tak cholernie szybko.

Wypadł z gabinetu, żeby przekazać sekretarce, że Petersowi nie wolno opuścić budynku, ale Blanche McIntyre nie było. Na jej biurku leżała kartka z papeterii więziennej z wiadomością wypisaną czarnym flamastrem. Clint dwa razy przeczytał duże drukowane litery, zanim uwierzył własnym oczom: „POSZŁAM NA SPOTKANIE KLUBU KSIĄŻKOWEGO”.

Klubu książkowego?

Klubu książ-ko-we-go?

Serio?

Blanche poszła na spotkanie pieprzonego klubu książkowego?

Pobiegł Broadwayem w stronę holu wejściowego, omijając kilka zabłąkanych więźniarek w obszernych brązowych drelichach. Świadom, że niektóre patrzą na niego z zaskoczeniem, dopadł do zamkniętych drzwi głównych i zaczął walić pięścią w przycisk interkomu, aż Millie Olson, wciąż urzędująca w dyżurce, odebrała.

– Jezu, doktorze, niech pan tego nie niszczy! Co się stało?

Przez podwójne szyby w drzwiach widział zdezelowanego chevroleta Dona Petersa; był za bramą wewnętrzną, w martwej przestrzeni, właśnie wjeżdżał w bramę zewnętrzną. Zobaczył, jak krótkie palce Dona przysuwają identyfikator do czytnika.

Jeszcze raz wcisnął guzik interkomu.

– Nieważne, Millie – powiedział. – Nieważne.

ROZDZIAŁ 13

1

W drodze powrotnej do miasta Lili przypomniał się upierdliwy, idiotyczny wierszyk, który w dzieciństwie recytowała z koleżankami, kiedy były na tyle daleko od domów, że rodzice nie mogli ich słyszeć. Teraz, w gasnącym świetle dnia, znów zaczęła go recytować:

– W Derby Town, w Derby Town przy ulicach stoją słupy; w Derby Town, w Derby Town dziewczyny chłopców kopią w łupu-cupu, łupu-cup, łupu-cupu-łupu-cup… – Co było dalej? Ano tak! – W Derby Town, w Derby Town mojego brata brzuch boli; w Derby Town, w Derby Town moja siostra smuty łupu-cupu, łupu-cup…

W ostatniej chwili zorientowała się, że zjechała w krzaki i zmierza prosto na stromy stok, po którym radiowóz przekoziołkowałby co najmniej trzy razy, zanim wylądowałby na dole. Wcisnęła hamulec obiema nogami; samochód zatrzymał się – z maską wystającą poza krawędź kamienistego urwiska. Ustawiła dźwignię biegów w pozycji „park”; robiąc to, poczuła, że jakieś kosmyki delikatnie muskają jej twarz. Oderwała je, zdążyła zobaczyć, jak jeden rozpuszcza się na jej dłoni, po czym otworzyła ramieniem drzwi i spróbowała wysiąść. Zapięty pas bezpieczeństwa ściągnął ją z powrotem na miejsce.

Rozpięła klamrę i wysiadła. Przez chwilę stała i głęboko oddychała powietrzem, które nareszcie zaczynało się wychładzać. Trzasnęła się w twarz raz i drugi.

– Mało brakowało – sapnęła. Daleko w dole jeden z małych strumyków, ruczajów, jak nazywali je miejscowi, zasilających rzekę Ball, płynął, chichocząc, na wschód. – Mało brakowało, Lilo Jean.

Za mało. Koniec końców zaśnie, wiedziała o tym, a wtedy ten biały syf wysnuje się z jej skóry i owinie ją całą. Ale nie pozwoli na to, dopóki jeszcze choć raz nie pocałuje i nie przytuli syna.

Wsiadła za kierownicę i chwyciła mikrofon.

– Czwórka, tu jedynka. Odbiór.

Zrazu nic; już miała ponowić wezwanie, kiedy zgłosił się Terry Coombs:

– Jedynka, tu czwórka. – Miał dziwny głos. Jakby się przeziębił.

– Czwórka, obskoczyliście apteki?

– Tak. Dwie splądrowane, jedna się pali. Na miejscu jest straż, więc pożar się nie rozprzestrzeni. Tyle dobrego, można powiedzieć. Ktoś zastrzelił aptekarza z CVS i sądzimy, że w Rite-Aid są co najmniej jedne zwłoki. To właśnie tam się pali. Straż pożarna nie wie, ile faktycznie jest ofiar.

– O, nie.

– Przykro mi, szefowo. Takie są fakty.

Nie, nie jakby się przeziębił – jakby płakał.

– Terry? O co chodzi? Czy stało się coś jeszcze?

– Byłem w domu – odparł. – Zastałem Ritę w cholernym kokonie… Zasnęła przy stole, jak zawsze przed moim powrotem z pracy. Musi mieć kwadrans dla siebie, tak mówi. Przestrzegałem, żeby tego nie robiła, obiecała, że jakoś wytrzyma, wpadłem więc do domu zobaczyć, jak sobie radzi, i… – Teraz już otwarcie szlochał. – Położyłem ją do łóżka i pojechałem sprawdzić apteki, jak kazałaś. Co innego miałem zrobić? Dzwoniłem do córki, nikt w jej pokoju nie odbiera. Rita wcześniej też próbowała, wiele razy. – Diana Coombs była na pierwszym roku studiów na Uniwersytecie Karoliny Południowej. Jej ojciec zachlipał i głośno wciągnął powietrze. – Na Zachodnim Wybrzeżu większość kobiet śpi, żadna się nie obudziła. Miałem nadzieję, że może Diana zarwała noc, uczyła się albo coś, niechby nawet balowała, ale… wiem, że tak nie było, Lila.

– Może się mylisz.

Terry puścił jej słowa mimo uszu.

– No ale przynajmniej oddychają, nie? Wszystkie kobiety i dziewczyny nadal oddychają. Może więc… sam nie wiem…

– Roger jest z tobą?

– Nie, ale rozmawiałem z nim. Zastał Jessicę całą obrośniętą. Od stóp do głów. Musiała położyć się nago, bo ponoć wygląda jak mumia ze starego horroru. Z córeczką to samo. Leży w łóżeczku, owinięta jak te wszystkie małe dziewczynki, które pokazywali w telewizji. Roger się załamał. Wył na całe gardło. Namawiałem go, żeby pojechał ze mną, ale nic z tego.

Lila poczuła niedorzeczną złość, może dlatego, że sama była tak cholernie wypompowana. Jeśli jej nie wolno się poddać, to innym też.

– Niedługo zrobi się ciemno, będzie nam potrzebna każda para rąk.

– Powiedziałem mu to…

– Pojadę po Rogera. Spotkamy się na posterunku, Terry. Przekaż wszystkim, do których się dodzwonisz, żeby do nas dołączyli. O siódmej.

– Po co?

Nawet kiedy świat się walił, Lila nie zamierzała mówić o tym przez radio – ale włamią się do magazynu dowodów i urządzą sobie narkotykową imprezkę. Przewidziane tylko środki pobudzające.

– Po prostu bądź.

– Wątpię, czy Roger przyjedzie.

– Przyjedzie, choćbym miała doprowadzić go siłą.

Lila wycofała auto znad urwiska, z którego omal nie spadła, i pojechała do miasta. Włączyła koguta, ale i tak zatrzymywała się na każdym skrzyżowaniu. Zważywszy bowiem na wszystko, co się działo wokół, błyskające światła mogły nie wystarczyć. Kiedy dotarła na Richland Lane, gdzie mieszkali Roger i Jessica Elway, znów przypomniał się jej ten cholerny wierszyk: W Derby Town, w Derby Town, kiedy tacie chce się spać…

Datsun powoli przeciął jej drogę, ignorując błyskającego koguta i znak stopu na skrzyżowaniu. W normalny dzień pognałaby za nieostrożnym sukinsynem, aż by się kurzyło. Gdyby nie walczyła z sennością, może nawet zauważyłaby naklejkę za tylną szybą: „Co jest takiego śmiesznego w pokoju, miłości i zrozumieniu?” – i poznałaby, że to wóz pani Ransom, która mieszka przy jej ulicy, niedaleko pierwszego z pustych domów. Niechybnie zauważyłaby

też, że za kierownicą wozu siedzi jej własny syn, a obok niego – Mary Pak, dziewczyna, dla której stracił głowę.

To jednak nie był normalny dzień, a ona nie była w pełni przytomna, więc ruszyła dalej, do domu Elwayów na Richland Lane, gdzie wzięła udział w następnym akcie niekończącego się koszmaru.

2

Jaredowi Norcrossowi też chodziła po głowie uciążliwa wyliczanka, nie miała jednak nic wspólnego z Derby Town, gdzie przy ulicach stoją słupy. W jego przypadku były to powtarzające się raz po raz słowa: „przypadek", „traf", „predestynacja", „przeznaczenie". Z punktu widzenia wszechświata wszystko to pewnie jedno i to samo. Przypadek, traf, predestynacja, prze…

– Minąłeś znak stopu. – Głos Mary na chwilę wyrwał go z zadumy. – A chyba widziałam tam glinę.

– Lepiej nie mów. – Jared siedział za kierownicą, sztywno wyprostowany. Pocił się, a galopujące serce posyłało błyskawice bólu prosto w jego kontuzjowane kolano. Zginało się, to znak, że niczego nie zerwał, ale było mocno opuchnięte i obolałe. Paskudnie się czuł na myśl o tym, że mógł wpaść w ręce policji, gdy oficjalnie nie miał prawa prowadzić samochodu, przynajmniej nie bez kierowcy z uprawnieniami u boku. Matka wiele razy mu powtarzała, że najgorszym, co mogłoby ją spotkać jako komendanta policji, byłaby sytuacja, w której on, Jared, zostałby przyłapany na złamaniu prawa – choćby chodziło o drobiazg, ot, że wyszedł z kiosku Fenton's z batonem, za który zapomniał zapłacić. „I wierz mi, już ja bym się postarała, żeby i dla ciebie było to czymś najgorszym", obiecywała zawsze.

Wnuczka pani Ransom, Molly, klęczała na tylnym siedzeniu i wyglądała przez tylną szybę.

– Wszystko gra – zameldowała. – Radiowóz pojechał prosto.

Jared lekko się odprężył, ale wciąż nie mógł uwierzyć, że robi to, co robi. Niecałe pół godziny wcześniej był w domu i czekał na

wiadomość od któregoś z rodziców. W końcu zadzwonił do Mary. Wydarła się na niego, ledwie się przywitał.

– Gdzie ty się podziewasz? Wydzwaniam do ciebie i wydzwaniam!

– Serio? – Może nie było tak źle. Dziewczyny nie krzyczą tak na facetów, na których im nie zależy, prawda? – Komóra mi padła.

– Przyjedź do mnie, ale to już! Musisz mi pomóc!

– Czego ci potrzeba? Coś nie tak?

– Wiesz, co jest nie tak! Wszystko, jeśli jesteś dziewczyną! – Mary złapała oddech i nieco spuściła z tonu. – Musisz mnie zawieźć do Shopwella. Gdyby tata był w domu, poprosiłabym jego, ale wyjechał w delegację do Bostonu. Robi, co może, żeby wrócić, ale to nam w tej chwili nic nie daje.

Shopwell był największym supermarketem w Dooling, tyle że leżał na drugim końcu miasta. Jared przybrał swój najbardziej rozsądny, dorosły ton i powiedział:

– Spożywczy jest znacznie bliżej. Wiem, że nie mają najlepszego wyboru…

– Posłuchasz mnie wreszcie? – Zamilkł, przerażony powściąganą histerią w jej głosie. – Musisz mnie zawieźć do Shopwella, bo tam w dziale owocowo-warzywnym pracuje taka jedna kobieta. Zna ją prawie cała szkoła. Sprzedaje… pomoce naukowe.

– Mówisz o speedzie? – Milczenie. – Mary, to nielegalne.

– Mam to gdzieś! Mama na razie jakoś się trzyma, ale moja młodsza siostra ma dopiero dwanaście lat, chodzi spać o dziewiątej i zwykle już dużo wcześniej zmienia się w zombi.

No i jesteś jeszcze ty, pomyślał Jared.

– No i jestem jeszcze ja. Nie chcę zasnąć. Nie chcę leżeć w kokonie. Boję się jak diabli.

– Rozumiem.

– Nic nie rozumiesz. Jesteś facetem. Faceci nie mogą tego zrozumieć. – Mary wzięła głęboki, rozedrgany oddech. – Nieważne. Nie wiem, czemu na ciebie liczyłam. Zadzwonię do Erica.

– Nie rób tego! – powiedział Jared z przerażeniem. – Przyjadę po ciebie.

– Naprawdę?

Boże, ta wdzięczność w jej głosie! Aż kolana się pod nim ugięły.

– Tak.

– Twoi rodzice nie będą mieli nic przeciwko?

– Pewnie, że nie. – W sumie nie kłamał. Jak mogliby mieć coś przeciwko czemuś, o czym się nie dowiedzą? Faktycznie pewnie za nic by się nie zgodzili, nawet nie ze względu na ogólnoświatowy kryzys, ale dlatego, że Jared nie miał prawa jazdy. Miałby je, gdyby na egzaminie nie potrącił kubła na śmieci podczas próby parkowania równoległego. Do tamtej chwili szło mu nieźle.

Czy dał Mary do zrozumienia, że zdał ten egzamin? Cóż, tylko w sensie, że tak jej powiedział. Szlag! Wtedy to kłamstewko wydawało się nieszkodliwe. Pomyślał, że wyjdzie na ofermę, jeśli przyzna, że oblał. Wyznaczyli mu drugie podejście na przyszły miesiąc, a że i tak nie miał własnego samochodu, uznał, że Mary do tego czasu się nie dowie. Taki był tok jego rozumowania. Teraz nie sądził, żeby egzaminy na prawo jazdy miały być w najbliższym czasie priorytetem w hrabstwie Dooling. I w ogóle na świecie.

– Kiedy przyjedziesz?

– Za piętnaście minut. Góra dwadzieścia. Czekaj na mnie.

Dopiero kiedy odłożył słuchawkę, uprzytomnił sobie, że się zagalopował. Nie tylko nie miał prawa jazdy, ale i nie miał samochodu. Ojciec pojechał priusem do więzienia, a toyota mamy stała zaparkowana za posterunkiem policji. Dom Norcrossów stał się domem chwilowo niezmotoryzowanym. Jared musiał więc albo pożyczyć od kogoś wóz, albo oddzwonić do Mary i powiedzieć, żeby jednak zabrała się z Erikiem. Pierwszy wariant wydawał się mało realistyczny, ale po wydarzeniach tego popołudnia drugi był nie do przyjęcia.

I wtedy ktoś zadzwonił do drzwi.

Przypadek, traf, predestynacja albo przeznaczenie.

3

Pani Ransom stała zgarbiona o lasce, na prawej nodze miała metalowy aparat ortopedyczny, przypominający narzędzie tortur.

Widząc ją w tym stanie, Jared na chwilę zapomniał o własnych rozterkach i pomyślał, że zdecydowanie za bardzo się przejmował swoim skręconym kolanem.

– Zauważyłam, że wróciłeś do domu – powiedziała pani Ransom. – Jesteś Jared, prawda?

– Tak, psze pani. – Jared, chłopiec, który zachowałby dobre maniery nawet na tonącym Titanicu, podał jej dłoń, podrapaną podczas ucieczki przez zarośla.

Pani Ransom uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Wolę nie. Artretyzm. I wybacz, że daruję sobie uprzejmości, normalnie nigdy bym tego nie zrobiła, ale tego wieczoru każda chwila, jak się zdaje, jest na wagę złota. Młody człowieku, czy masz prawo jazdy?

Jared mimowolnie przypomniał sobie jakiś film, w którym czarujący czarny charakter powiedział: „Tylko raz mnie mogą powiesić".

– Tak, ale nie mam samochodu.

– To nic. Weźmiesz mój. To datsun, stary, ale w doskonałym stanie. Ostatnio, przez artretyzm, rzadko nim jeżdżę. No i w aparacie ortopedycznym trudno wciskać pedały. Klienci odbierają zamówienia z mojego domu. Zwykle nie mają nic przeciwko… och, nieważne. To nie ma nic do rzeczy, prawda? Jared… chciałabym cię poprosić o przysługę. – Jared był prawie pewien, że wie, o jaką przysługę chodzi. – Ostatnimi czasy źle sypiam, nawet w najlepszych okolicznościach, a teraz, kiedy jeszcze jest u mnie wnuczka, bo syn i synowa chcą w spokoju… wyjaśnić pewne nieporozumienia między sobą… praktycznie nie mogę oka zmrużyć. Można powiedzieć, że zebrało mi się dużo zaległego snu i pomimo wszystkich moich bolesnych dolegliwości myślę, że dziś te zaległości o sobie przypomną. Chyba że… – Podniosła laskę i podrapała się rączką między brwiami. – Och, ależ trudno o tym mówić. Normalnie jestem skrytą, kulturalną osobą, nie zwierzam się zupełnie obcym ludziom, ale kiedy zobaczyłam, że wróciłeś, pomyślałam… pomyślałam, że może…

– Pomyślała pani, że może znam kogoś, kto mógłby załatwić coś, co pomogłoby pani wytrzymać trochę dłużej bez snu. – To było

stwierdzenie faktu, nie pytanie. Przypadek, traf, predestynacja, przeznaczenie.

Pani Ransom szerzej otworzyła oczy.

– Och, nie! Wcale nie! Ja już kogoś takiego znam. Przynajmniej tak sądzę. Kupuję od niej tylko marihuanę, pomaga mi na artretyzm i jaskrę… ale słyszałam, że sprzedaje też inne rzeczy. I nie chodzi tylko o mnie. Muszę myśleć o Molly, mojej wnusi. Na razie bryka jak pchełka, ale o dziesiątej…

– Oklapnie – powiedział Jared, myśląc o siostrze Mary.

– Tak. Pomożesz mi? Ta kobieta nazywa się Norma Bradshaw. Pracuje w Shopwellu na drugim końcu miasta. W dziale owocowo-warzywnym.

4

I właśnie dlatego teraz jechał do sklepu Shopwell z tymczasowym prawem jazdy, jednym wykroczeniem – niezatrzymaniem się przed znakiem stopu – na koncie i życiem dwojga ludzi w swoich niedoświadczonych rękach. Że będzie z nim Mary, na to liczył; o towarzystwie dziesięcioletniej Molly Ransom niekoniecznie marzył. Czekała już na tylnym siedzeniu starego datsuna, kiedy odprowadził jej babcię do domu, i pani Ransom nalegała, by wziął małą ze sobą. Taka wycieczka „trochę biedulkę rozrusza”. W wiadomościach mówili, że w dużych miastach wybuchły zamieszki, ale pani Ransom nie obawiała się wysłać wnuczki do sklepu w małym Dooling.

Jared nie mógł odmówić wzięcia dodatkowego pasażera. Bądź co bądź, auto należało do staruszki, nie mówiąc o tym, że gdyby się nie zgodził, znów mogłoby paść kluczowe pytanie – ma prawo jazdy, prawda? Pani Ransom może puściłaby go, nawet gdyby wyznał, że nie ma uprawnień – była mocno zdesperowana – ale wolał nie ryzykować.

Przynajmniej dojeżdżali do supermarketu, dzięki Bogu. Molly w końcu usiadła i zapięła pas, ale usta jej się nie zamykały i od jakiegoś czasu weszła na przyspieszone obroty. Jared i Mary jak

dotąd dowiedzieli się, że najlepszą przyjaciółką Molly jest Olive i że Olive bywa wstręciuchem, kiedy nie może postawić na swoim, to taka jakby jej supermoc, tyle że kto by chciał taką mieć, że rodzice Molly chodzą do poradni „męczeńskiej", a babunia pali takie specjalne leki, co jej pomagają na oczy i kości, i ma taki duży przyrząd do palenia z namalowanym amerykańskim orłem, a palenie zwykle szkodzi, ale babuni nie szkodzi, choć Molly nie wolno o tym mówić, bo wtedy ludzie mogliby pomyśleć, że palenie czegoś, co nie jest lekarstwem, też jest zdrowe…

– Molly – przerwała jej Mary – czy ty się kiedykolwiek zamykasz?

– Zwykle tylko jak śpię – odparła mała.

– Nie chcę, żebyś zasnęła, ale twoje przemyślenia są trochę męczące. Poza tym powinnaś przestać wdychać dym z marychy twojej babci. To nie jest zdrowe.

– Dobrze. – Molly założyła ramiona na piersi. – Mogę zadać tylko jedno pytanie, pani Przemądrzalska?

– Czemu nie – rzuciła Mary.

Jej włosy, zwykle starannie odgarnięte do tyłu i związane w koński ogon, teraz luźno opadały na ramiona. Jared pomyślał, że wygląda pięknie.

– Jesteście zakochaną parą?

Mary spojrzała na Jareda i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. Zanim jednak zdążyła, odważył się zdjąć jedną dłoń z kierownicy i wskazał przed siebie, na wielki parking zalany halogenowym światłem i zastawiony samochodami.

– Shopwell, ahoj!

5

– Obłęd zupełny – stwierdziła Mary.

– Obłęd – przytaknęła Molly.

Jared zaparkował na trawie na drugim końcu parkingu. Pewnie było to kolejne naruszenie przepisów, ale raczej małego kalibru, zważywszy na to, że sam parking zmienił się w samochodowe rodeo.

Auta gnały na złamanie karku po nielicznych przejezdnych pasach, trąbiły na ludzi, którzy pchali przed sobą wózki wyładowane po brzegi. Dwaj mężczyźni, zapatrzeni na to, co się dzieje wokół, zderzyli się wózkami i zaczęli wrzeszczeć.

– Może lepiej zostań w samochodzie, Molly.

– O, nie. – Dziewczynka chwyciła Jareda za rękę. – Nie zostawicie mnie samej. Proszę. Mama raz zostawiła mnie na parkingu i…

– W drogę – ucięła Mary i wskazała na jeden ze środkowych pasów. – Chodźmy tędy. Mniejsze zagrożenie, że nas rozjadą.

Szli we trójkę slalomem przez labirynt porzuconych samochodów. Właśnie mijali jeden z nich, kiedy uderzył w niego dodge ram, ruszający tyłem z miejsca parkingowego. Zepchnął blokujący przejazd wóz z drogi, po czym przemknął obok nich z głośnym rykiem silnika. Świeżo wgięta tylna klapa latała jak obluzowana szczęka.

W Shopwellu panował chaos. Gwar głosów, krzyki, wrzaski, brzęk tłuczonego szkła. Kiedy Jared, Mary i Molly stanęli przy stosie koszyków i kilku wolnych wózkach, przebiegł przed nimi chudzielec w marynarce i krawacie, popychający wózek pełen napojów: same red bulle, blast-o cole i monster energy. Gonił go barczysty facet w dżinsach i T-shircie, głośno tupiąc butami motocyklowymi.

– Nie możesz wziąć tego wszystkiego! – krzyczał Ten w Butach Motocyklowych.

– Kto pierwszy, ten lepszy! – odkrzyknął Krawaciarz, nie odwracając się. – Kto pierwszy, ten lep…

Próbował odbić w prawo, w alejkę numer 7 (Karma dla Zwierząt i Produkty Papiernicze), ale przeładowany wózek nie wyrobił na zakręcie i wpadł na stoisko z ciastkami dla psów. Smakołyki rozleciały się na wszystkie strony. Ten w Butach Motocyklowych natychmiast przypadł do wózka i zaczął chwytać sześciopaki energetyków. Kiedy Krawaciarz próbował odzyskać wózek, Ten w Butach go odepchnął. Krawaciarz upadł.

Jared spojrzał na Mary.

– Gdzie są owoce i warzywa? Nigdy tu nie byłem.

– Chyba tam. – Wskazała w lewo.

Niosąc Molly na barana, przestąpił nad Krawaciarzem, który podpierał się jedną ręką, a drugą pocierał tył głowy.

– Facet oszalał – rzucił do Jareda. – Wszystko z powodu napojów energetycznych.

– Wiem. – Jared darował sobie stwierdzenie faktu oczywistego: że Krawaciarz uciekał z całą masą tych samych produktów.

– Wszyscy poszaleli. Co oni, kurwa, myślą? Że nadciąga huragan? Pieprzona zamieć? – Krawaciarz zerknął na Molly. – Przepraszam.

– Nic się nie stało, moi rodzice mówią tak na okrągło – odparła, ale jeszcze mocniej przywarła do Jareda.

W dziale rybno-mięsnym, biegnącym wzdłuż całej tylnej ściany sklepu, panował względny spokój, ale alejka numer 4 – Witaminy, Suplementy Diety i Środki Przeciwbólowe – zmieniła się w pole bitwy. Trwał zażarty bój o brązowe buteleczki genestry, lumidayu, natrolu i kilku innych specyfików dostępnych bez recepty. Środkowe półki były już puste; Jared domyślił się, że trzymano tam suplementy poprawiające koncentrację.

Starsza pani w niebieskiej sukience w hawajskie wzory nadciągała między regałami, za nią gnał JT Wittstock, trener drużyny futbolowej i ojciec dwóch zastępców szeryfa, Willa i Rupe'a Wittstocków. Jared znał trenera tylko z widzenia, ale Will i Rupe na policyjnej imprezie z okazji Święta Pracy wygrali wyścig w workach, a potem omal się nie pobili o to, kto zabierze do domu warte pięć dolarów trofeum. (Lila, jak zawsze dyplomatycznie wyrażająca się o swojej załodze i jej rodzinach, mawiała o nich, że są „bardzo młodzi i bardzo energiczni”).

Kobieta w hawajskiej sukience nie mogła szybko biec, bo dźwigała koszyk wypełniony butelkami preparatu vita-caff. Trener Wittstock złapał ją za kołnierz i pociągnął do tyłu. Koszyk wyleciał w górę, butelki rozsypały się po podłodze, kilka poturlało się pod nogi Jareda i Mary.

– Nie! – krzyknęła kobieta. – Proszę, nie! Możemy się podzielić! Możemy się po…

– Zgarnęłaś wszystko, co zostało – warknął trener Wittstock. – Tak się dzielisz z innymi? Potrzebuję kilku butelek dla żony.

Oboje zaczęli gorączkowo zbierać napoje z podłogi. Trener odepchnął kobietę na jeden z regałów, z którego runęła kaskada opakowań aspiryny.

– Ty łobuzie! – krzyknęła. – Ty podły łobuzie!

Jared bez namysłu zrobił krok naprzód, postawił nogę na czubku łysiejącej głowy trenera Wittstocka i pchnął w bok. Mężczyzna przewrócił się na podłogę. Kobieta zaczęła ponownie napełniać koszyk. Trener, z odbitym słabym śladem tenisówki Jareda na łysinie, pozbierał się i przykucnął za nią w pozycji amerykańskiego futbolisty przed rozpoczęciem akcji. Nagle wystrzelił naprzód i ze zręcznością małpy kradnącej pomarańczę wyrwał kobiecie wypełniony do połowy koszyk. Przemknął obok Jareda (posyłając mu chmurne spojrzenie mówiące: Zapamiętam cię, koleś) i potrącił jego ramię. Jared, wciąż z Molly na plecach, stracił równowagę. Upadli na podłogę. Molly zawyła.

Mary doskoczyła do nich, ale Jared pokręcił głową.

– Nic nam nie jest. Lepiej sprawdź, czy z nią wszystko w porządku. – Patrzył na kobietę w hawajskiej sukience, zbierającą z podłogi nieliczne butelki, które przeoczył trener.

Mary przyklękła na jedno kolano.

– Nic się pani nie stało?

– Chyba nie – odparł kobieta. – Tylko jestem w szoku. Jak tak można… co prawda ten człowiek mówił, że ma żonę… a może córkę… ale przecież ja też mam córkę… – Jej torebka leżała wśród towarów zrzuconych z półek. Ludzie nie zwracali na nią uwagi, zajęci walką o kilka ostatnich buteleczek suplementów. Jared pomógł Molly wstać i oddał torebkę starszej pani. Do środka włożył butelki vita-caff.

– Zapłacę za nie kiedy indziej – powiedziała kobieta. A kiedy Mary podniosła ją na nogi, dodała: – Dziękuję. Zawsze robię tu zakupy, niektórzy z tych ludzi to moi sąsiedzi, ale dziś ich nie poznaję.

Pokuśtykała do wyjścia, mocno przyciskając torebkę do piersi.

Wtedy Molly krzyknęła:

– Chcę do babci!

– Idź po towar, Jared – powiedziała Mary. – Szukaj kobiety imieniem Norma, poznasz ją po kręconych blond włosach. Ja

zaprowadzę Molly do samochodu.

– Wiem. Pani Ransom mi powiedziała – odparł. – Uważaj na siebie.

Ruszyła, trzymając dziewczynkę za rękę. Nagle się odwróciła.

– Gdyby nie chciała ci sprzedać, powiedz, że przysłał cię Eric Blass. To może pomóc.

Musiała wyczytać ból z jego oczu, bo lekko się skrzywiła, zanim potruchtała do frontowej części sklepu, pochylona opiekuńczo nad przerażoną Molly.

6

Na środku długiego stoiska owocowo-warzywnego stał mężczyzna palący papierosa. Miał na sobie białe spodnie i biały fartuch z napisem „kierownik działu", wyszytym czerwoną nicią na lewej piersi. Z wyrazem wręcz niezmąconego spokoju na twarzy oglądał pandemonium, które rozpętało się w jego sklepie.

Widząc nadchodzącego Jareda, kiwnął mu głową i zaczął mówić, jakby wracał do przerwanej rozmowy:

– Ten burdel się uspokoi, jak wszystkie kobiety zasną. Wiesz, to one robią najwięcej zamieszania. Masz przed sobą człowieka, który się na tym zna. Przegrałem trzy wojny małżeńskie. Mało że przegrałem – zostałem rozgromiony. Jakby małżeństwo było Vicksburgiem, a ja Konfederacją.

– Szukam…

– Normy, domyślam się.

– Jest tutaj?

– Nie. Wyszła pół godziny temu, kiedy wyprzedała cały swój towar. Pewnie oprócz tego, co zachowała dla siebie. Ale mam świeże jagody. Wsypiesz je do płatków, to zaraz cię ożywią.

– Nie, dzięki – mruknął Jared.

– Jest pewien plus – stwierdził kierownik działu. – Nie będę musiał dłużej płacić alimentów. Południe powstało z popiołów. Zabili nas, ale nie zwyciężyli.

– Słucham?

– Zabili nas, ale nie zwyciężyli. „Przyniosę panu skrawek fraka Lincolna, pułkowniku”. Faulkner. Niczego was dzisiaj w tych szkołach nie uczą?

Jared przedarł się do wyjścia, omijając tłum przy kasach. Kilka stanowisk stało pustych; ludzie przeciskali się obok nich z pełnymi koszykami.

Na przystanku autobusowym przed sklepem siedział mężczyzna w kraciastej koszuli; na kolanach trzymał koszyk wyładowany puszkami kawy Maxwell House. Napotkał spojrzenie Jareda.

– Żona się zdrzemnęła – oznajmił – ale na pewno niedługo się obudzi.

– Powodzenia. – Jared zerwał się do biegu.

Mary siedziała w datsunie na miejscu pasażera, z Molly na kolanach. Potrząsnęła dziewczynką, kiedy Jared usiadł za kierownicą, i powiedziała za głośno:

– Oto i on, oto i on, nasz kolega Jared!

– Cześć, Jared – powitała go Molly ochrypłym, płaczliwym głosem.

– Molly robiła się senna – oznajmiła Mary, znów zbyt głośno i zbyt wesoło. – Ale teraz już jest rozbudzona. Wcaaaale jej się nie chce spać. Prawda, Mols, że nie chce nam się spać? Opowiedz jeszcze o Olive, co?

Dziewczynka zgramoliła się z kolan Mary i przeszła na tylne siedzenie.

– Nie chcę.

– Masz? – Teraz głos Mary był cichy. Cichy i pełen napięcia. – Dostałeś…

Jared zapalił silnik.

– Nie ma jej. Kupa ludzi była tam przed nami. Masz pecha. Pani Ransom też.

Szybko wyjechał z parkingu, bez trudu wymijając samochody, które próbowały wcisnąć się przed niego. Był zbyt rozdrażniony, żeby myśleć o prowadzeniu, i dlatego wychodziło mu to tak dobrze.

– Jedziemy do babci? – rozległo się z tylnej kanapy. – Chcę do babci.

– Najpierw odwiozę Mary – powiedział Jared. – Musi zadzwonić do swojego najlepszego kumpla, Erica, i zapytać, czy ma towar. – Przez

chwilę przyjemnie było ją zaatakować, rozładować wypełniający go strach. Ale tylko przez chwilę. Odwalał dziecinadę. Wkurzało go to, a jednak jakoś nie mógł się powstrzymać.

– Jaki towar? – zapytała Molly, ale nikt nie odpowiedział.

O zmierzchu zajechali przed dom Paków. Jared skręcił na podjazd i zatrzymał datsuna pani Ransom.

Mary patrzyła na niego w zapadającym mroku pierwszego wieczoru aurory.

– Jere, nie poszłabym z nim na Arcade Fire. Zamierzałam dać mu kosza.

Milczał. Może mówiła prawdę, może nie. Wiedział tylko, że była w dobrej komitywie z Erikiem, skoro dał jej namiary na lokalną dilerkę.

– Zachowujesz się jak dziecko – powiedziała, ale on wciąż patrzył prosto przed siebie. – No dobra. Dobra, dziecko. Dziecko chce smoczka. Do licha z tym. Do licha z tobą.

– Kłócicie się jak moja mama z moim tatą. – Molly znów się popłakała. – Chcę, żebyście przestali. Chcę, żebyście znowu byli zakochaną parą.

Mary wysiadła, trzasnęła drzwiami i ruszyła do domu.

Już wchodziła na tylny ganek, kiedy do Jareda dotarło, że następnym razem być może zobaczy ją w białym całunie nieznanego pochodzenia. Spojrzał na Molly.

– Trzymaj oczy otwarte – nakazał. – Jeśli zaśniesz, głowę ci urwę.

Wyskoczył z samochodu i pobiegł za Mary. Dogonił ją, kiedy otwierała tylne drzwi domu. Odwróciła się do niego, zaskoczona. W górze, wokół lampy, krążyła chmura ciem; ich roztańczone cienie padały na jej twarz.

– Przepraszam – powiedział. – Mary, bardzo cię przepraszam. Po prostu wszystko dziś stanęło na głowie. Nie wiem, czy moja matka nie śpi gdzieś w swoim samochodzie, boję się, nie załatwiłem tego, czego ci potrzeba, i naprawdę mi przykro…

– Nie ma sprawy – odparła.

– Nie zaśnij. Proszę cię… – Wziął ją w ramiona i pocałował. Cud nad cudami: odwzajemniła pocałunek, rozchyliła usta, ich oddechy zmieszały się ze sobą.

– Niniejszym jestem rozbudzona. – Odchyliła się, żeby spojrzeć mu w twarz. – A teraz zabierz Czerwonego Gadułka z powrotem do babci.

Ruszył w dół schodów, ale rozmyślił się – zawrócił i pocałował Mary kolejny raz.

– Ojeja – powiedziała Molly, kiedy w końcu wrócił do samochodu. Po jej głosie poznał, że miała bez porównania lepszy nastrój. – Ale żeście się lizali!

– Nie da się ukryć. – Jared był oszołomiony, nie poznawał sam siebie. Wciąż czuł dotyk ust Mary, smak jej oddechu. – Jedziemy do domu – zarządził.

Ostatni etap tej długiej, dziwnej wyprawy miał zaledwie dziewięć przecznic długości i Jared pokonał go bez żadnych incydentów. Wjechał na Tremaine Street, minął puste domy i skręcił na podjazd pani Ransom. Przednie światła samochodu omiotły postać siedzącą na ogrodowym krześle. Postać bez twarzy. Jared wcisnął hamulec. To była pani Ransom. W blasku reflektorów auta wyglądała jak mumia.

Molly zaczęła krzyczeć, więc zgasił światła. Wrzucił wsteczny i przejechał na drugą stronę ulicy, pod swój dom.

Wypiął dziewczynkę z pasów, wyciągnął ją z samochodu i wziął na ręce. Przylgnęła do niego. Nie przeszkadzało mu to. Było przyjemne.

– Nie martw się – powiedział, głaszcząc ją po włosach. Były w strąkach, pozlepiane potem. – Posiedzisz u mnie. Pooglądamy filmy. Zrobimy sobie całonocną imprezę.

ROZDZIAŁ 14

1

Maura Dunbarton – dawna bohaterka nagłówków w prasie, dziś właściwie zapomniana – siedziała na dolnej pryczy w B-11, celi, którą przez ostatnie cztery lata dzieliła z Kayleigh Rawlings. Drzwi były otwarte, podobnie jak drzwi wszystkich cel w Skrzydle B, i Maura nie sądziła, by tego wieczoru oficer dyżurujący w Kabinie miał je zamknąć. Nie, na pewno nie dzisiaj. Mały telewizor osadzony w ścianie był włączony na News America, ale Maura wyciszyła dźwięk. Wiedziała, co się dzieje; wiedziały to już nawet najbardziej tępe więźniarki z Dooling. „Zamieszki w kraju i na świecie", głosił komunikat przewijający się na pasku u dołu ekranu. Dalej następowała lista miast. W większości były to miasta amerykańskie, bo ludzi przede wszystkim interesuje własne podwórko, ale wśród wymienionych Maura zobaczyła też Kalkutę, Sydney, Moskwę, Kapsztad, Meksyk, Bombaj i Londyn. Później przestała patrzeć.

W sumie, jak się zastanowić, to zabawne; z jakiego właściwie powodu wszyscy ci mężczyźni wszczynali rozruchy? Co chcieli w ten sposób osiągnąć? Maura była ciekawa, czy doszłoby do zamieszek, gdyby zasypiała druga połowa rodzaju ludzkiego. Mało prawdopodobne, stwierdziła.

Głowa Kayleigh, otulona białym kaskiem, który falował w rytm jej oddechu, leżała na kolanach Maury. Maura trzymała dłoń Kayleigh, schowaną w białej rękawicy, ale nie próbowała zerwać tego materiału. W radiowęźle więziennym nadali komunikat, żeby tego nie robić, bo to może być niebezpieczne, takie samo ostrzeżenie powtarzano raz po raz w wiadomościach. Chociaż włókna były nieco

lepkie i bardzo gęste, Maura czuła skryte pod nimi palce, niby ołówki w twardym plastikowym opakowaniu. Kayleigh, dużo od niej młodsza, była jej kochanką praktycznie od chwili, kiedy wprowadziła się do B-11, skazana za napad z bronią w ręku. Pomijając różnicę wieku, pasowały do siebie. Lekko przewrotne poczucie humoru Kayleigh uzupełniało cynizm Maury. Kay zasypywała swoją pogodą ducha mroczne jamy, które w charakterze Maury wyżarło wszystko, co w życiu widziała i co zrobiła. Zgrabnie tańczyła, świetnie całowała i choć ostatnimi czasy nie kochały się często, kiedy to robiły, wciąż było przyjemnie. Gdy leżały razem, ze splecionymi nogami, przez jakiś czas nie było ani więzienia, ani niezrozumiałego zewnętrznego świata. Były tylko one.

Kayleigh była też doskonałą śpiewaczką; trzy lata z rzędu wygrała więzienny konkurs talentów. W październiku zeszłego roku, kiedy odśpiewała – a cappella – *The first Time tver I saw your face*, cała publika miała łzy w oczach. Maura sądziła, że to nigdy się nie powtórzy. Ludzie mówią przez sen, ale niewielu przez sen śpiewa, jeśli w ogóle ktokolwiek. Nawet gdyby Kayleigh teraz zaczęła śpiewać, dźwięk byłby stłumiony. Poza tym co, jeśli całe jej gardło zarosło tym paskudztwem? I płuca? Tak się pewnie stało, choć w takim razie zagadką było, jakim cudem wciąż oddycha.

Maura uniosła jedno kolano, potem drugie, raz i dwa, w górę, w dół, delikatnie bujając kochankę.

– Dlaczego musiałaś zasnąć, kochanie? Dlaczego nie mogłaś zaczekać?

Przyszły Jeanette i Angel z wózkiem, na którym stały dwa wielkie termosy z kawą i dwa duże plastikowe dzbanki soku. Maura czuła je z daleka – kurczę, ten ich wynalazek pachniał gorzko, że hej. Eskortował je oficer Rand Quigley. Maura była ciekawa, ile strażniczek zostało. Domyślała się, że niewiele. A na następną zmianę przyjdzie ich jeszcze mniej. Może żadna.

– Kawy, Maura? – spytała Angel. – Zaraz postawi cię na nogi.

– Nie – odparła. Jej kolana wciąż chodziły w górę i w dół. W górę i w dół. Luli, luli, la, moja Kayleigh, luli, luli, la.

– Jesteś pewna? Dodałaby ci energii. Jeśli kłamię, niech mnie ziemia pochłonie.

– Nie – powtórzyła Maura. – Idźcie stąd.

Quigleyowi nie spodobał się jej ton.

– Uważaj, co mówisz, osadzona.

– Bo co? Walnie mnie pan pałą w łeb i usnę? Śmiało. Chyba tylko tak mi się to uda.

Quigley nie odpowiedział. Wyglądał na zmordowanego. Maura nie rozumiała dlaczego. Jego to nie dotknie; żaden mężczyzna nie będzie musiał nieść tego krzyża.

– Męczy cię bezsenność, co? – spytała Angel.

– Uhm. Pozna swój swojego.

– Mamy szczęście – skwitowała Angel.

E tam szczęście, pomyślała Maura. Mamy pecha.

– To Kayleigh? – spytała Jeanette.

– Nie – odburknęła Maura. – Whoopie, kurwa, Goldberg.

– Przykro mi. – Jeanette wyglądała, jakby rzeczywiście było jej przykro, a to przeszyło serce Maury bólem, jakiego zawsze starała się wystrzegać. Nie popłacze się jednak przy oficerze Quigleyu i tych dwóch smarkulach. Co to, to nie.

– Idźcie stąd, powiedziałam.

Kiedy poszły dalej z tym popieprzonym wózkiem, Maura pochyliła się nad śpiącą towarzyszką z celi – jeśli stan Kayleigh można nazwać snem. Jej samej bardziej przypominało to efekt magicznego zaklęcia z baśni.

Miłość pojawiła się w jej życiu późno i to cud, że w ogóle się pojawiła, Maura wiedziała o tym. Jakby róża zakwitła w kraterze po bombie. Powinna być wdzięczna za czas, jaki był im dwóm dany, tak radziły wszystkie pocztówki i popowe hity. Teraz jednak, gdy patrzyła na groteskową błonę przesłaniającą ukochaną twarz, czuła, że zasoby jej wdzięczności, zawsze skromne, do cna się wyczerpały.

I tylko łez jej nie zabrakło. Kapały na białą substancję spowijającą głowę Kayleigh, błyskawicznie w nią wsiąkając.

Jeśli ona jest gdzieś blisko, to gdybym zasnęła, może udałoby mi się ją dogonić, pomyślała. A wtedy odeszłybyśmy razem.

Ale nic z tego. Cholerna bezsenność. Żyła z nią od nocy, kiedy metodycznie zaszlachtowała całą swą rodzinę, na koniec zachowując Sluggera, podstarzałego owczarka niemieckiego. Głaskała go,

uspokajała, pozwoliła, żeby polizał jej dłoń, po czym poderżnęła mu gardło. Od tej pory miała szczęście, jeśli udało jej się po zmierzchu stracić świadomość na dwie godziny. Było wiele nocy, kiedy w ogóle nie mogła zmrużyć oka… A noce w Dooling bywały długie. Dooling to jednak tylko miejsce. Przez te wszystkie lata jej prawdziwym więzieniem była bezsenność. Bezsenność nie ma żadnych granic i nigdy nie wynagradza dobrego sprawowania.

Będę przytomna, kiedy większość z nich zaśnie, pomyślała. Strażniczki i więźniarki będą spały, a ja będę miała całe więzienie dla siebie. Oczywiście, o ile zechcę tu zostać. Chociaż po co miałabym odejść? Przecież ona, moja Kayleigh, może się obudzić. W takiej sytuacji wszystko jest możliwe. Prawda?

Maura nie śpiewała tak ładnie, jak Kayleigh – ba, fałszowała niemiłosiernie – ale teraz zanuciła ulubioną piosenkę kochanki, delikatnie podnosząc i opuszczając kolana, jakby naciskała pedały niewidocznych organów. To był kawałek, którego jej mąż słuchał na okrągło, dlatego słowa wryły się jej w pamięć. Kiedyś zaśpiewała tę piosenkę pod nosem, Kay to usłyszała i koniecznie chciała się jej nauczyć. „A fe, jaka nieprzyzwoita!", krzyknęła. Utwór był na longplayu jakiejś zwariowanej irlandzkiej kapeli. Oto, jak długo Maura siedziała za kratami; jej mąż miał rozległą kolekcję płyt gramofonowych. Dzisiaj już nic nie znaczył. Pan Dunbarton zapadł w wieczny sen wczesnym rankiem 7 stycznia 1984 roku. Jemu pierwszemu wbiła nóż – prosto w pierś, jak łopatę w piach; usiadł prosto i jego oczy spytały: Dlaczego?

Dlatego. I zabiłaby jego i każdego innego człowieka, zabijałaby ich raz po raz, zrobiłaby to tu i teraz, gdyby to miało przywrócić jej Kayleigh.

– Posłuchaj, Kay, posłuchaj: „W kobiecym więzieniu siedemdziesiąt kobiet jest… i to tam razem z nimi chciałbym być…". – Mały telewizor pokazywał płonące miasto, chyba Las Vegas. – „Wtedy ten trójkąt stary, psia mać… mógłby swoje dzyń-dzyń grać…". – Schyliła się i pocałowała biały kokon, w którym skrywała się twarz Kayleigh. Poczuła na ustach gorzki smak, ale nie miała nic przeciwko, bo tam, w środku, była Kayleigh. Jej Kay. – „Jak Kanał Królewski długi i szeroki".

Maura odchyliła się do tyłu i zamknęła oczy. Modliła się o sen. Nie nadszedł.

2

Richland Lane lekko zakręcała w lewo, zanim kończyła się przy małym parku. Po wyjściu z tego zakrętu Lila najpierw zobaczyła na środku ulicy dwa przewrócone kubły. Potem dostrzegła grupę krzyczących sąsiadów przed domem Elwayów.

Nastolatka w dresie rzuciła się biegiem do radiowozu. Jej twarz, migocząca w błyskającym świetle koguta, wyrażała czyste przerażenie. Lila ostro zahamowała i otworzyła drzwi, rozpinając pasek kabury.

– Szybko! – krzyknęła dziewczyna. – Ona go zabije!

Lila pobiegła w stronę domu, odtrąciła kopnięciem jeden z kubłów na śmieci i przecisnęła się obok dwóch mężczyzn. Jeden podniósł krwawiącą dłoń.

– Próbowałem ją powstrzymać, suka mnie ugryzła. Jak wściekły pies.

Zatrzymała się na końcu podjazdu, z pistoletem wiszącym u jej prawego uda, i usiłowała zrozumieć obraz, który ukazał się jej oczom: kobieta siedziała w kucki na asfalcie. Otulało ją coś w rodzaju muślinowej koszuli nocnej, jednocześnie obcisłej i wystrzępionej, z której wystawały niezliczone luźne nitki. Wzdłuż podjazdu ciągnęły się ozdobne cegły w barwach patriotycznych – czerwone, białe i niebieskie. Kobieta trzymała jedną w lewej dłoni, drugą w prawej i ich kantami tłukła ciało mężczyzny w przesiąkniętym krwią mundurze wydziału szeryfa Dooling. Lila domyśliła się, że to Roger, choć dla pewności trzeba by sprawdzić odciski palców albo DNA; twarz miał wgniecioną jak rozdeptany ziemniak, nienaruszona pozostała tylko część szerokiego podbródka. Krew lała się strumieniami po podjeździe, rozbłyskując na niebiesko, ilekroć padało na nią światło koguta.

Kobieta kucająca nad Rogerem miała wyszczerzone zęby. Jej rumiana twarz – twarz Jessiki Elway – była tylko częściowo przesłonięta strzępami pajęczyny, które, ku swej zgubie, zapewne próbował usunąć jej mąż. Dłonie bijące cegłami były obleczone czerwienią.

To nie Jessica Elway, pomyślała Lila. To nie może być ona, prawda?

– Przestań! – krzyknęła. – Przestań natychmiast!

O dziwo, kobieta znieruchomiała. Podniosła przekrwione oczy, tak szeroko otwarte, że zdawały się zajmować pół twarzy. Wstała, ściskając w dłoniach ociekające krwią cegły. Jedną czerwoną, jedną niebieską. Boże, błogosław Amerykę. Lila zobaczyła dwa zęby Rogera tkwiące w części kokonu zwisającej z podbródka kobiety.

– Ostrożnie, pani szeryf – powiedział jeden z mężczyzn. – Słowo honoru, chyba dostała wścieklizny.

– Rzuć je! – Lila uniosła glocka. Była zmęczona jak nigdy, ale jej ręka nawet nie drgnęła. – Rzuć cegły!

Jessica upuściła jedną, po czym jakby się zamyśliła. Wzniosła drugą cegłę i skoczyła naprzód – nie na Lilę, tylko na jednego z mężczyzn, który przysunął się bliżej, żeby wyraźniej widzieć, co się dzieje. I – nie do wiary – żeby zrobić zdjęcie. W ręku trzymał telefon komórkowy wymierzony obiektywem w Jessicę. Kiedy do niego podbiegła, facet pisnął i czmychnął ze spuszczoną głową i zgarbionymi ramionami. Potrącił dziewczynę w dresie, przewracając ją na ziemię.

– Rzuć to rzuć to rzuć to!

Istota o twarzy Jessiki nie zwracała na Lilę uwagi. Przeskoczyła nad dziewczyną w dresie i zamierzyła się cegłą. Wszyscy sąsiedzi się rozpierzchli, więc za jej plecami nie było teraz nikogo. Lila strzeliła dwa razy. Głowa Jessiki Elway eksplodowała. Strzępy skóry z jasnymi włosami poleciały w tył.

– O, mój Boże. O, mój Boże. O, mój Boże – zawodziła dziewczyna leżąca na ziemi.

Lila pomogła jej wstać.

– Idź do domu, skarbie. – Kiedy dziewczyna chciała spojrzeć na Jessicę, Lila odwróciła jej głowę. Podniosła głos: – Rozejść się! Wszyscy do domów! Ale już!

Mężczyzna z telefonem komórkowym skradał się z powrotem, szukał dobrego ujęcia, które uchwyciłoby cały ten makabryczny widok. Nie, nie mężczyzna. Poniżej rudawozłotych włosów miał miękkie rysy nastolatka. Lila poznała go z artykułów w lokalnej gazecie – uczeń szkoły średniej, nie pamiętała nazwiska, pewnie gwiazda szkolnej drużyny czy ktoś taki. Wymierzyła w niego drżący palec.

– Jak zrobisz zdjęcie, wsadzę ci to cholerstwo do gardła.

Chłopak – kumpel Erica Blassa, Curt McLeod – patrzył na nią, marszcząc brwi.

– Żyjemy w wolnym kraju, nie? – rzucił.

– Nie dzisiaj – odparła Lila, po czym, szokując samą siebie równie mocno jak grupę sąsiadów, krzyknęła: – Wynocha! Won! WON!

Poszli. Kilku jeszcze zerkało ukradkiem przez ramię, jakby w obawie, że rzuci się za nimi w pościg, oszalała jak kobieta, którą dopiero co zastrzeliła na ulicy.

– Wiedziałem, że nie powinni byli robić baby szeryfem! – zawołał jeden z mężczyzn na odchodnym.

Lila oparła się pokusie, żeby pokazać mu środkowy palec, i wróciła do radiowozu. Kiedy kosmyk włosów opadł jej na oczy, odgarnęła go z dreszczem przerażenia, przekonana, że to ta substancja znów wysnuwa się z jej skóry. Oparła się o drzwi, wzięła głęboki oddech i włączyła mikrofon.

– Linny?

– Jestem, szefowo.

– Wszyscy przyjadą?

Pauza.

– Zgłosiło się pięciu – powiedziała Linny. – Obaj Wittstockowie, Elmore, Vern i Dan Treat. Reed też ma zaraz być. Jego żona… zasnęła. Zdaje się, że ich sąsiad zajmie się małym Garym, biedny dzieciak…

Lila policzyła w pamięci. Ośmiu ludzi, trochę mało, żeby chronić miasto przed wybuchem anarchii. Linny nie dodzwoniła się do żadnej z trzech zastępczyń szeryfa. Lila była ciekawa, jak wygląda sytuacja w więzieniu. Zamknęła oczy i zaczęła odpływać; zmusiła się, żeby podnieść powieki.

Linny mówiła o niezliczonych telefonach na policję. Co najmniej kilkanaście było od mężczyzn, którzy – jak Reed Barrows – nagle zostali jedynymi opiekunami małych dzieci.

– Kilku baranów chciało, żebym im wytłumaczyła, jak karmić ich własne dzieci! Jeden kretyn dopytywał, czy Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego założy ośrodek opieki nad dziećmi, bo on ma bilety na…

– Są już na posterunku?

– Kto? Agencja Zarządzania Kryzysowego?

– Nie, Linny, zastępcy szeryfa. – Byle nie Terry. Proszę, tylko nie on. Lila nie chciała, żeby zobaczył, co zostało z człowieka, z którym przez ostatnie pięć lat jeździł na większość patroli.

– Niestety, nie. Jest tylko ten dziadek z Adoptuj Autostradę i ochotniczej straży pożarnej. Pyta, czy może jakoś pomóc. Siedzi przed budynkiem i kurzy fajkę.

Minęło kilka sekund, zanim te słowa dotarły do zmęczonego, zszokowanego mózgu Lili. Willy Burke, który wie, co to są chusteczki wróżek, i jeździ zdezelowanym fordem pikapem.

– Przyślij go.

– Tego dziadka? Poważnie?

– Tak. Jestem na Richland Lane 65.

– Czy to nie adres…

– Tak. Jest źle, Linny. Bardzo źle. Jessica zabiła Rogera. Widocznie rozciął narośl na jej twarzy. Wybiegła za nim i… rzuciła się z cegłą na jednego chłopaka, głupiego gówniarza, który próbował zrobić jej zdjęcie. Zupełnie straciła rozum. – O ile w ogóle go miała. – Kazałam jej przestać, a kiedy nie posłuchała, strzeliłam do niej. Nie żyje. Nie miałam wyboru.

– Roger nie żyje? – Ani słowa o tym, że jego żona też. Lila nie była zaskoczona. Linny zawsze miała słabość do Rogera.

– Przyślij tu Willy'ego. Powiedz mu, że przewieziemy dwa ciała do szpitalnego prosektorium. Niech weźmie ze sobą plandekę. Załogę zatrzymaj na posterunku. Przyjadę, kiedy tylko będę mogła. Bez odbioru.

Spuściła głowę i czekała, aż łzy popłyną. Ale nie popłynęły. Czy człowiek może być zbyt zmęczony, żeby płakać? Całkiem możliwe.

Dzisiaj wszystko wydawało się możliwe.

Telefon komórkowy zadzwonił w małej kieszonce u pasa z wyposażeniem. Odebrała.

– Cześć, Clint. To nie najlepszy moment na rozmowę.

– Dobrze się czujesz? Poznaję po twoim głosie, że coś jest nie tak.

Lila nie była pewna, od czego zacząć. Od Rogera i Jessiki Elway, leżących bez życia przed domem? Od przywidzenia, które miała przy słupach elektrycznych w lesie za szczątkami wytwórni metamfetaminy Trumana Mayweathera? Od Sheili Norcross? Od Shannon Parks? Od dnia, kiedy Clint bez uprzedzenia zamknął swoją prywatną praktykę? Od ich przysięgi małżeńskiej?

– Chyba nie zasypiasz, co? Lila?

– Nie, słucham cię.

– Janice jest… wyłączona z obiegu. Długa historia. Hicks gdzieś się zapodział. Jakoś tak wyszło, że teraz ja tu rządzę.

Lila powiedziała, że jej przykro. To trudna sytuacja, bez wątpienia. Może niech się prześpi, rano wszystko będzie wyglądało lepiej. On mógł to zrobić: położyć się spać, a potem się obudzić.

Powiedział, że pojedzie do domu sprawdzić, co z ich synem. Jared mówił, że zrobił sobie coś w kolano, podobno nic poważnego, ale Clint wolał się upewnić. Czy Lila chce się tam z nim spotkać?

– Spróbuję. – Nie wiedziała, kiedy zdoła się wyrwać. Wiedziała tylko, że zanosi się na kolejną ciężką noc.

3

– Słyszysz? – Kobieta odnalazła Kayleigh Rawlings w ciemności. Zalatywało od niej gorzałą, jej ręka była miękka w dotyku. Powiedziała, że ma na imię Magda. – Ktoś śpiewa, nie?

– Uhm. – Śpiewała Maura. Głos miała do niczego, tak rozhuśtany, że słuchając, można było dostać choroby morskiej, raz wyższy, raz niższy, skrzypiący, łamiący się; w tej chwili jednak, kiedy niósł głupawe słowa starej, rubasznej przyśpiewki, wydawał się Kayleigh niezrównanie piękny.

– …Kanał Królewski długi i szeroki…

Śpiew ucichł.

– Skąd to dochodziło?

– Nie wiem.

Z daleka, tyle Kayleigh wiedziała na pewno. Może z samego Dooling? I gdzie właściwie jest Dooling? Nie tutaj, co do tego nie miała wątpliwości. A może jednak? Trudno powiedzieć. Właściwie nie sposób powiedzieć.

Łagodny wiatr krążył w ciemności. Powietrze było świeże, zdrowe, a pod nogami czuła nie cement ani lepkie płytki, tylko coś na kształt trawy. Przykucnęła i dotknęła podłoża: tak, trawa, może chwasty, mniej więcej do kolan. Z oddali dobiegał słaby świergot ptaków. Kayleigh po przebudzeniu czuła się silna, młoda i wypoczęta.

Zakład karny odebrał jej już dwanaście lat – prawie całą czwartą dekadę jej życia, pierwszych parę lat piątej i rościł sobie prawo do następnych dziesięciu. Maura była najlepszą częścią tego utraconego czasu. Oczywiście to, co między nimi było, ten, nazwijmy to, układ, poza murami nie miałoby prawa bytu, ale w więzieniu zadowalasz się tym, co masz. Gdyby nagle wystawili Kayleigh za bramę zakładu karnego w Dooling, wspominałaby Maurę czule i z wdzięcznością, ale żyłaby dalej swoim życiem, zostawiłaby ten etap za sobą. Nie można wiecznie wzdychać do morderczyni trzech osób, nawet takiej, która wydaje się dziwnie czarująca. Jej towarzyszka z celi była wariatką – Kayleigh nie miała co do tego złudzeń. Maura kochała ją jednak całym sercem, a ona kochała być kochaną. A poza tym może sama też była trochę niespełna rozumu.

Przed więzieniem nigdy nie zaznała prawdziwej, bezgranicznej miłości. W ogóle żadnej miłości, przynajmniej od wczesnego dzieciństwa.

Na jednej robocie – ale nie tej, za którą ją posadzili – Kayleigh i jej chłopak okradli melinę na tyłach motelu wynajmującego pokoje na godziny. W środku zastali nastolatka siedzącego na bujanym krześle. Krzesło było ładne, wypolerowane na połysk, zupełnie niepasujące do obskurnego motelu – tron pośród śmieci. Dzieciak, który na nim siedział, miał w policzku ogromną, ziejącą dziurę. Błyszczała czerwienią i smolistą czernią; ohydna, a zarazem dziwnie fascynująca

rana, z której dobywał się smród zgnilizny. Jak to się stało? Czy zaczęło się od zadrapania, otarcia, drobnej infekcji? A może ktoś ciął go brudnym nożem? Czy też sprawiła to jakaś choroba? Kayleigh pomyślała wtedy, że ma szczęście, bo nie musi tego wiedzieć ani się tym przejmować.

Dawała temu małolatowi może szesnaście lat. Drapał się po bladym brzuchu i patrzył, jak ona i jej chłopak demolują pokój, szukając narkotyków. Co jeszcze z nim było nie tak, że tylko siedział z niezmąconym spokojem i przyglądał im się bez lęku?

Chłopak Kayleigh znalazł, czego szukał, pod materacem na łóżku, i schował to za pazuchę. Potem odwrócił się do małolata i powiedział:

– Twarz ci gnije. Wiesz o tym?

– Wiem – odparł dzieciak.

– To dobrze. A teraz zabieraj dupę z krzesła, synu.

Dzieciak nie stawiał oporu. Wstał, zwalił się na sprężynowe łóżko i znów zaczął się drapać po brzuchu. Zabrali bujane krzesło razem z pieniędzmi i narkotykami. Mogli sobie na to pozwolić, bo chłopak Kayleigh miał furgonetkę.

Takie właśnie życie prowadziła w tamtych czasach: potrafiła bez sprzeciwu pomóc mężczyźnie, z którym sypiała, ukraść krzesło, na którym siedział dzieciak. Zniszczony dzieciak. I to, że ten dzieciak nawet nie próbował im w tym przeszkodzić, też było elementem tamtego życia. Położył się tylko, odwrócił zniszczoną twarz do sufitu i drapał się po brzuchu. Może był upalony. Może miał wszystko w dupie. Może jedno i drugie.

Wiatr przyniósł woń kwiatów.

Kayleigh poczuła ukłucie tęsknoty za Maurą, jednocześnie jednak obudziło się w niej intuicyjne przekonanie, że jest w lepszym miejscu – lepszym od więzienia, lepszym od świata poza murami więzienia. Nie było żadnych granic, a pod nogami miała trawę.

– Kimkolwiek jesteś, muszę ci wyznać, że się boję – powiedziała Magda. – I martwię się o Antona.

– Nie bój się – odparła Kayleigh. – Anton na pewno ma się dobrze. – Nie wiedziała, o kim mowa, i nie obchodziło jej to. Poszukała po

omacku dłoni Magdy i złapała ją. – Chodźmy w stronę śpiewu ptaków.

Ruszyły naprzód w ciemności i po chwili zorientowały się, że schodzą po łagodnie opadającym stoku, wśród drzew.

I czy tam, w oddali, widać było błysk światła? Czy to pierwsze promienie słońca?

Łuna brzasku rozlewała się po niebie, kiedy dotarły do zarośniętych szczątków przyczepy mieszkalnej. Stamtąd, ledwo widoczna wśród zarośli, droga gruntowa doprowadziła je na zniszczoną zębem czasu nawierzchnię Ball's Hill Road.

ROZDZIAŁ 15

1

Zostawiwszy z tyłu kryjówkę Starej Essie, lis przeciął zygzakiem otaczający las i zatrzymał się, by odpocząć w wilgoci pod zarośniętą szopą. Zasnął. Śniło mu się, że matka przyniosła mu szczura, który jednak okazał się zgniły i trujący; i wtedy do lisa dotarło, że jego matka jest chora. Miała czerwone ślepia, krzywo otwarty pysk, jej język opadał na ziemię. Wtedy przypomniał sobie, że już nie ma matki, że opuściła go wiele sezonów temu. Widział, jak się położyła w wysokiej trawie, i następnego dnia nadal leżała w tym samym miejscu, ale nie była już jego matką.

– W murach jest trucizna – powiedział martwy szczur w pysku martwej matki lisa. – Ta kobieta mówi, że Ziemia jest zbudowana z naszych ciał. Wierzę jej i och, ten ból nigdy się nie kończy. Nawet śmierć boli.

Chmura ciem opadła na martwą matkę lisa z martwym szczurem w pysku.

– Nie ustawaj, dziecko – powiedziała matka. – Masz pracę do wykonania.

Lis zerwał się ze snu. Poczuł przeszywający ból, kiedy uderzył barkiem w coś ostrego, gwóźdź albo drzazgę. Był wczesny wieczór.

Gdzieś blisko rozległ się ogłuszający huk; metal i drewno, sapnięcie pary, trzask wybuchającego ognia. Lis wybiegł spod zarośniętej szopy i pomknął w stronę drogi. Las za nią był większy i, miał nadzieję, bezpieczniejszy.

Obok drogi stał samochód wbity w drzewo. Płonąca kobieta wyciągała mężczyznę z przedniego siedzenia. Mężczyzna krzyczał.

Kobieta wydawała dźwięk, jaki wydają psy. Lis rozumiał, co ten dźwięk znaczy: Zabiję cię, zabiję cię, zabiję cię. Z jej ciała wyrastały rozwiane płonące nitki.

Czas podjąć decyzję. Jedno z najważniejszych praw, jakich lis starał się przestrzegać, głosiło: Nie Będziesz Przebiegał przez Drogę w Dzień. Za dnia było więcej samochodów, a samochodu nie da się zastraszyć ani przepłoszyć, a tym bardziej pokonać. Kiedy śmigały po jezdni, też wydawały dźwięk – i jeśli się w niego wsłuchać (a lis zawsze powinien słuchać), układał się on w słowa: Chcę cię zabić, chcę cię zabić, chcę cię zabić. Gorące, zakrwawione szczątki zwierząt, które tej przestrogi nie usłuchały, zapewniły lisowi wiele smakowitych przekąsek.

Z drugiej strony lis, który chce przetrwać, musi mieć elastyczne podejście do niebezpieczeństwa. Trzeba zdecydować, co jest groźniejsze: samochód, który chce cię zabić, czy spowita płomieniami kobieta oznajmiająca, że cię zabije.

Zerwał się do biegu. Kiedy mijał płonącą kobietę, bijący od niej żar liznął jego sierść i ranę na grzbiecie. Kobieta tłukła głową mężczyzny w asfalt, jej gniewny ryk był coraz głośniejszy; przycichł, kiedy lis wgramolił się na wał po drugiej stronie drogi.

W gęstym lesie zwolnił kroku. Prawa tylna noga bolała, ilekroć odpychał się nią od ziemi – to przez tę ranę w dolnej części grzbietu. Była noc. Zeszłoroczne liście chrzęściły pod łapami. Przystanął, żeby się napić ze strumienia. W wodzie rozpływały się plamy oleju, ale był spragniony i nie mógł wybrzydzać. Na pniaku nad strumieniem przycupnął jastrząb. Rozdziobywał brzuch wiewiórki.

– Dasz mi trochę? – zawołał lis. – Mógłbym zostać twoim przyjacielem.

– Lis nie ma przyjaciół – powiedział jastrząb.

To było prawdą, ale lis nigdy by tego nie przyznał.

– Kto ci tak nakłamał?

– Może nie zauważyłeś, ale krwawisz.

Lisowi nie podobał się wesoły ton ptaka.

Uznał, że lepiej zmienić temat.

– Co się dzieje? Coś się zmieniło. Co się stało ze światem?

– Kawałek dalej rośnie drzewo. Nowe drzewo. Drzewo Matka. Pojawiło się o świcie. Bardzo piękne. Bardzo wysokie. Próbowałem polecieć na sam wierzchołek, ale choć widziałem koronę, była poza zasięgiem moich skrzydeł. – Jaskrawoczerwony splot jelita wyrwał się z ciała wiewiórki i jastrząb go połknął.

Ptak przekrzywił głowę. Po chwili nozdrza lisa złowiły zapach: dym. Ten sezon był suchy. Jeśli płonąca kobieta przeszła na drugą stronę drogi, wystarczy, że wejdzie na kilka kroków w głąb zarośli i wszystko stanie w ogniu.

Lis musiał się ruszyć. Dyszał ciężko. Bał się i był ranny – ale zachował przytomność umysłu.

– Twoje ślepia będą prawdziwym przysmakiem dla jakiegoś szczęśliwego zwierzęcia – powiedział jastrząb i wzbił się w niebo, z bezwładnie zwisającą wiewiórką w szponach.

2

Jak to się nierzadko zdarzało, dyskusja Klubu Książkowego „Pierwszy Czwartek” nad wybraną na ten miesiąc lekturą, *Pokutą* Iana McEwana, zaczęła schodzić na tematy poboczne. Powieść opowiadała historię dwojga kochanków, rozdzielonych, niemal zanim ich związek na dobre się narodził, wskutek fałszywego oskarżenia obdarzonej nad wyraz bujną wyobraźnią dziewczynki imieniem Briony.

Dorothy Harper, siedemdziesięciodziewięcioletnia nestorka grupy, nie mogła wybaczyć Briony jej zbrodni.

– Ta mała szelma zniszczyła im życie. I co z tego, że potem żałowała?

– Słyszałam, że mózg rozwija się w pełni dopiero w znacznie starszym wieku – stwierdziła Gail Collins. – Briony miała jedenaście czy dwanaście lat, kiedy powiedziała to kłamstwo. Nie można jej potępiać. – Gail otulała dłońmi czaszę kieliszka z białym winem. Siedziała przy stoliku we wnęce obok barku kuchennego.

Blanche McIntyre, wierna (przynajmniej zazwyczaj) asystentka naczelnik Coates, poznała Gail przed trzydziestu laty na kursie dla sekretarek. Margaret O'Donnell, czwarta członkini Klubu Książkowego „Pierwszy Czwartek", była siostrą Gail i jedyną znaną Blanche kobietą, która miała portfel akcji.

– Kto tak mówi? – spytała Dorothy. – To o mózgu?

– Naukowcy – odparła Gail.

– Phi! – Dorothy machnęła ręką, jakby odpędzała nieprzyjemny zapach. (Dorothy była jedyną znaną Blanche kobietą, która wciąż używała odzywek typu „phi").

– To prawda. – Blanche słyszała, jak doktor Norcross z więzienia mówił prawie dokładnie to samo, to znaczy, że mózg rozwija się w pełni dopiero po dwudziestce. Chociaż czy to naprawdę może zaskakiwać? Czy nie jest to oczywiste dla każdego, kto kiedykolwiek znał nastolatka albo nim był? Nastolatki, zwłaszcza chłopcy, nie mają pojęcia o niczym. A dwunastoletnia dziewczynka? Szkoda gadać.

Dorothy siedziała w fotelu przy oknie od frontu. Były w jej apartamencie na Malloy Street, schludnym mieszkaniu z miękkimi ciemnopopielatymi wykładzinami i czystymi beżowymi ścianami. Za szybami rozciągał się las podchodzący pod sam budynek. Jedyną widoczną oznaką panującego na świecie zamętu był ogień – z tej odległości wyglądający jak płomyk zapałki – na zachodzie, gdzieś w okolicy Ball's Hill i drogi numer 17.

– To po prostu było takie okrutne. Co z tego, że miała mały mózg.

Blanche i Margaret zajmowały kanapę. Na stoliku stała otwarta butelka chablis i jeszcze zakorkowany pinot. Były też talerz z ciastkami, które upiekła Dorothy, i trzy buteleczki tabletek przyniesione przez Margaret.

– A mnie ta książka się podobała – powiedziała Margaret. – Od początku do końca. Niesamowite są te szczegółowe opisy pracy pielęgniarek podczas nalotów na Anglię. No i ta wielka bitwa, wydarzenia we Francji, marsz nad morze… O, rany! Prawdziwa wyprawa! Epicka, można powiedzieć! A do tego wątek romantyczny! I to jaki pikantny. – Pokręciła głową ze śmiechem.

Blanche obróciła się do niej poirytowana, mimo że i jej *Pokuta* przypadła do gustu. Margaret pracowała na kolei, dopóki nie dali jej

góry pieniędzy, żeby przeszła na wczesną emeryturę – niektórzy to mają szczęście. Margaret O'Donnell była strasznie rozchichotana, zwłaszcza jak na kobietę po siedemdziesiątce, i miała bzika na punkcie ceramicznych figurek zwierząt, których dziesiątki tłoczyły się na parapetach okien w jej domu. Ostatnią lekturą, jaką wybrała dla Klubu, była powieść Hemingwaya o idiocie, który nie chciał oddać ryby, książka, która rozdrażniła Blanche, bo bądźmy szczerzy, przecież to tylko ryba! Ale dla Margaret to też było romantyczne. Jak taka kobieta mogła zainwestować swoją odprawę w portfel akcji? To ci dopiero zagadka.

Na głos Blanche powiedziała:

– Daj spokój, Midge. Jesteśmy dorosłymi kobietami. Nie chichrajmy się z seksu.

– Och, nie o to chodzi. To książka z rozmachem, tyle chcę powiedzieć. Mamy wielkie szczęście, że właśnie to jest nasza ostatnia lektura. – Margaret potarła czoło i spojrzała na Blanche znad okularów w rogowych oprawkach. – Przykro by się umierało po przeczytaniu jakiegoś gniota, nie?

– Pewnie tak. Ale skąd wiesz, że to, co się dzieje, prowadzi do śmierci? Kto powiedział, że umrzemy?

Termin spotkania ustaliły na długo przed wybuchem epidemii aurory – dotąd nie opuściły żadnego pierwszego czwartku miesiąca – a później cztery stare przyjaciółki jak nastolatki prawie cały dzień słały do siebie esemesy, czy w tych okolicznościach nie należałoby go odwołać. Żadna jednak tego nie chciała. Pierwszy czwartek to pierwszy czwartek. Dorothy napisała, że jeśli ma to być jej ostatnia noc, to najlepiej spędzić ją przy winku z przyjaciółkami. Gail i Margaret przychyliły się do jej zdania, Blanche też, choć z lekkimi wyrzutami sumienia, że zostawia naczelnik Coates na lodzie – miała jednak do tego święte prawo, w końcu wypracowała dziś ładnych kilka nadgodzin, za które stan nigdy jej nie zapłaci. Poza tym chciała porozmawiać o tej książce. Podobnie jak Dorothy, była zdumiona podłością małej Briony i tym, że to wredne dziecko wyrosło na jakże inną dorosłą.

Potem, kiedy już się rozgościły w salonie Dorothy, Margaret wyjęła buteleczki lorazepamu. Miała je od paru lat. Lekarz przepisał jej ten

środek po śmierci męża, „żeby łatwiej ci było dojść do siebie, Midge". Margaret nie wzięła ani jednej pigułki; choć zasmuciło ją, że straciła męża, psychicznie trzymała się nieźle, może nawet lepiej niż za jego życia, bo teraz już nie musiała się o niego bać, drżeć, że zabije się przy odśnieżaniu podjazdu zimą albo gdy wejdzie na drabinę, żeby przyciąć gałęzie, które rosły niebezpiecznie blisko linii wysokiego napięcia. Ponieważ jednak ubezpieczenie pokrywało koszt leku, zrealizowała receptę. Nigdy nie wiadomo, co się człowiekowi przyda – taką wyznawała zasadę. Ani kiedy. I proszę, wyglądało na to, że ta chwila właśnie nadeszła. „Lepiej to zrobić razem, to chciałam powiedzieć", wyjaśniła Margaret. „Mniej strasznie". Reszta zgodziła się z nią bez większego sprzeciwu. Dorothy Harper też była wdową. Mąż Gail przebywał w domu opieki i ostatnimi czasy nie poznawał nawet własnych dzieci. A skoro o dzieciach dziewczyn z „Pierwszego Czwartku" mowa – były w średnim wieku i mieszkały daleko od wzgórz Appalachów, więc ostatni pożegnalny zjazd rodzinny nie wchodził w grę. Blanche, jedyna nieemerytka w tym gronie, nigdy nie wyszła za mąż ani nie miała dzieci i chyba dobrze, zważywszy na to, jak się potoczyły sprawy.

Pytanie, które zadała Blanche, uciszyło śmiech.

– Może ockniemy się jako motyle – powiedziała Gail. – Kokony, które widziałam w wiadomościach, wyglądają trochę jak te, które przędą gąsienice.

– Mnie przypominają muchy owinięte przędzą przez pająka – stwierdziła Margaret.

– Na nic nie liczę. – Pełny kieliszek Blanche w ciągu ostatnich kilku minut, nie wiedzieć kiedy, stał się kieliszkiem pustym.

– A ja mam nadzieję, że zobaczę anioła – odezwała się Dorothy. Wszystkie trzy spojrzały na nią. Sądząc po minie, mówiła poważnie. Jej pomarszczony podbródek i usta napięły się jak dłoń zaciśnięta w pięść. – Wiecie, byłam całkiem porządnym człowiekiem – dodała. – Starałam się być życzliwa ludziom. Być dobrą żoną. Dobrą matką. Dobrą przyjaciółką. Na emeryturze zostałam wolontariuszką. Kurczę, w ten poniedziałek pojechałam aż do Coughlin na zebranie komitetu.

– Wiemy. – Margaret wyciągnęła rękę do Dorothy, która była uosobieniem poczciwości. Gail zrobiła to samo, Blanche też.

Puściły w obieg buteleczki leków, wszystkie wzięły po dwie tabletki i połknęły. Po tym swoistym akcie komunii cztery przyjaciółki siedziały i patrzyły na siebie.

– I co teraz mamy robić? – spytała nagle Gail. – Tylko czekać?

– Płakać. – Margaret zachichotała, udając, że ociera oczy. – Płakać, płakać, płakać!

– Dajcie lepiej ciastka – powiedziała Dorothy. – Rzucam dietę.

– Wróćmy do książki – zadecydowała Blanche. – Chcę porozmawiać o przemianie Briony. Ona rzeczywiście była jak motyl. Jej historia mnie zauroczyła. Kiedy ją czytałam, przypominały mi się niektóre kobiety z zakładu w Dooling.

Gail wzięła ze stolika butelkę pinot. Odwinęła folijkę i wbiła korkociąg. Kiedy rozlewała wino do kieliszków, Blanche mówiła dalej:

– Wiecie, że jest wiele przypadków recydywy, to znaczy więźniarki po wyjściu na wolność znów popełniają przestępstwa, naruszają zasady zwolnienia warunkowego, wracają do złych nawyków i tak dalej… Ale część z nich naprawdę się zmienia. Niektóre zaczynają życie na nowo. Jak Briony. Czy to nie budujące?

– Tak – powiedziała Gail i wzniosła swój kieliszek. – Za narodziny do nowego życia.

3

Frank i Elaine stali w drzwiach pokoju Nany. Było po dziewiątej. Położyli córkę na łóżku i zostawili odkrytą. Ścianę zdobił plakat umundurowanej orkiestry dętej; do tablicy korkowej były przypięte najlepsze rysunki Nany przedstawiające postacie z mangi. Pod sufitem wisiał dzwonek wiatrowy z kolorowych rurek i szklanych koralików. Elaine lubiła porządek, więc nic się nie walało na podłodze, żadne ubrania ani zabawki. Żaluzje były zaciągnięte. Narośl na głowie Nany miała bulwiasty kształt. Narośle na jej dłoniach były identyczne, tylko mniejsze. Jak rękawice z jednym palcem, tylko bez palca.

Chociaż żadne z nich nic nie powiedziało, po ponad minucie zgodnego milczenia Frank uzmysłowił sobie, że oboje boją się zgasić światło.

– Chodź, zajrzymy do niej za jakiś czas – szepnął z przyzwyczajenia do żony. Przy wielu okazjach pilnowali się, żeby nie obudzić Nany, choć tym razem tylko tego pragnęli.

Cofnęli się od otwartych drzwi pokoju córki i zeszli na dół, do kuchni.

Elaine usiadła przy stole, a Frank zajął się parzeniem kawy; napełnił dzbanek, odcedził ziarna. Robił to tysiące razy, choć nigdy o tak późnej porze. Te zwyczajne, codzienne czynności działały na niego uspokajająco.

Myśli Elaine biegły podobnym torem.

– Jak za dawnych czasów, co? – odezwała się. – Na górze chore dziecko, a my tutaj, niepewni, czy robimy to, co trzeba.

Frank wcisnął guzik na obudowie ekspresu. Elaine położyła głowę na stole, między ramionami.

– Lepiej siedź prosto – powiedział łagodnie i usiadł naprzeciwko niej.

Skinęła głową i wyprostowała się. Grzywka przykleiła się jej do czoła, na zasępionej twarzy malowało się nieme „że co, że jak?" kogoś, kto właśnie dostał po łbie. Frank pomyślał, że pewnie sam nie wygląda lepiej.

– Wiem, co masz na myśli – powiedział. – Pamiętam tamte czasy. Zadawaliśmy sobie pytanie, skąd w ogóle przyszło nam do głowy, że nadajemy się do tego, by się kimkolwiek zajmować.

Jego słowa przywołały promienny uśmiech na twarz Elaine. Cokolwiek się ostatnio z nimi działo, udało im się przeżyć z małym dzieckiem w domu – a to nie lada osiągnięcie.

Ekspres zapikał. Na chwilę jakby zapadła cisza, zaraz jednak Frank usłyszał hałasy na zewnątrz. Ktoś krzyczał. Wyły syreny radiowozów i autoalarm. Instynktownie nadstawił ucha w stronę schodów, w stronę Nany.

Nic nie usłyszał, oczywiście, że nie; nie była już małym dzieckiem, a to nie były dawne czasy, tylko czasy, jakich nie było nigdy. Nie

wyobrażał sobie, jaki hałas mógłby obudzić Nanę z tego snu, sprawić, że otworzyłaby oczy pod warstwą białego materiału.

Elaine też przechyliła głowę w stronę schodów.

– Co to jest, Frank?

– Nie wiem. – Uciekł wzrokiem przed jej spojrzeniem. – Niepotrzebnie odjechaliśmy ze szpitala. – Powiedział to tak, jakby sugerował, że to Elaine zmusiła ich do odjazdu; sam nie wiedział, czy w to wierzy, ale pragnął podzielić się brzemieniem winy, przerzucić na kogoś choć część brudu, którym czuł się oblepiony. Robił to z premedytacją, był tego w pełni świadom, i nienawidził się za to. Nie mógł jednak tego powstrzymać. – Trzeba było zostać. Nanie potrzebny jest lekarz.

– Jak im wszystkim, Frank. Mnie też wkrótce potrzebny będzie lekarz. – Elaine nalała sobie kawy. Minęła cała wieczność, zanim dodała mleko i słodzik. Myślał, że temat jest zamknięty, ale wtedy się odezwała: – Powinieneś być wdzięczny za to, że cię przekonałam do powrotu do domu.

– Co takiego?

– Dzięki temu nie zrobiłeś tego, co mógłbyś zrobić, gdybyśmy tam zostali.

– O czym ty mówisz?

Wiedział, o czym mówi, oczywiście, że wiedział. Każde małżeństwo ma własny język, słowa klucze zrodzone ze wspólnych doświadczeń. Teraz Elaine wypowiedziała dwa z nich:

– Fritz Meshaum.

Łyżeczka, którą mieszała kawę, uderzała w ceramiczny kubek – stuk, stuk, stuk. Jak dźwięk obracanego zamka w szyfrowym sejfie.

4

Fritz Meshaum.

Nazwisko owiane złą sławą. Nazwisko, które Frank chciałby zapomnieć. Tylko czy Elaine mu na to pozwoli? Nie. To, że nakrzyczał na nauczycielkę Nany, było złe, pamiętny cios pięścią w ścianę –

jeszcze gorszy, ale incydent z Fritzem Meshaumem był najgorszy ze wszystkiego. Fritz Meshaum był martwym szczurem, którym machała mu przed nosem, ilekroć czuła się zapędzona w kozi róg, jak dzisiaj. Gdyby tylko zrozumiała, że tkwią w tym kozim rogu razem, że stoją po tej samej stronie, stronie Nany, ale nie – ona musiała przypomnieć Fritza Meshauma. Musiała pomachać martwym szczurem.

Tamtego dnia Frank tropił lisa, którego obecność w okolicznych lasach nie była niczym niezwykłym. Ktoś widział, jak zwierzę biegło przez łąkę na południe od drogi numer 17, niedaleko kobiecego więzienia. Lis miał wywieszony język, co według zgłaszającego mogło wskazywać, że jest chory na wściekliznę. Frank w to powątpiewał, ale, jak przystało na rakarza z prawdziwego zdarzenia, nie zlekceważył podejrzenia choroby. Pojechał do walącej się stodoły w pobliżu miejsca, gdzie widziano lisa, i przez następne pół godziny szukał śladów w okolicznych krzakach. Nie znalazł nic oprócz zardzewiałego szkieletu cutlassa rocznik 1982 z przetartymi ze starości kobiecymi majtkami zasupłanymi na antenie.

Wracając do zaparkowanego na poboczu auta, szedł skrótem wzdłuż ogrodzonej posesji. Płot był sklecony ze złomu, przegniłych desek, kołpaków i kawałków blachy falistej, tak podziurawionych, że raczej przyciągały uwagę, niż odstraszały intruzów. Przez regularne szczeliny Frank widział biały dom obłażący z farby i zaniedbane podwórko. Z gałęzi dębu zwisała opona na wystrzępionym sznurze, u stóp drzewa leżała sterta czarnych łachmanów, wokół której krążyły owady, wyładowana złomem skrzynka po mleku pełniła straż przy stopniach ganku, niedbale rzucona puszka po oleju (prawdopodobnie pusta) spoczywała, jak kapelusz, na nieokiełznanych pędach bugenwilli, które częściowo obrosły ganek. Na nagim dachu z papy rozsiane były kawałki szyby z wybitego okna na piętrze, a przed domem stał nowiutki nawoskowany pikap marki Toyota, błękitny niczym Pacyfik. Wokół tylnych kół auta walało się kilkanaście łusek po nabojach do strzelby – kiedyś jaskrawoczerwone, teraz wyblakły do bladego różu, jakby leżały tam od dawna.

Ta rudera i ten lśniący wóz były tak idealną ilustracją życia na wsi, że Frank prawie roześmiał się na głos. Ruszył dalej, uśmiechając się pod nosem; dopiero po kilku sekundach dotarło do niego, że jeden szczegół tego obrazu nie miał najmniejszego sensu: czarne łachmany się ruszały. Jakby się wierciły.

Wrócił na miejsce obserwacji. Przyjrzał się łachmanom. Oddychały.

A potem wszystko potoczyło się tak jak zawsze, jakby we śnie. Nie tyle prześliznął się pod płotem i przeszedł przez podwórko, ile teleportował się prosto do czarnego kształtu pod drzewem.

To nie były łachmany. To był pies – średniej wielkości, może mały owczarek, może młody labrador, może zwykły wiejski burek, pokąsany przez pchły. Czarna poszarpana sierść miejscami obłaziła, odsłaniając zakażone płaty nagiej skóry. Jedyne widoczne oko zwierzęcia było małą białą plamą osadzoną w skorupie ledwo przypominającej głowę. W bok wyciągały się kończyny, wszystkie przekrzywione, wszystkie wyraźnie połamane. Co zakrawało na groteskę – bo jak mógłby uciec? – jego szyję opasywał łańcuch, którego drugi koniec był przytwierdzony do drzewa. Bok psa podnosił się i opadał w rytm ciężkich oddechów.

– To teren prywatny! – rozległ się głos za plecami Franka. – Mam cię na muszce, chłoptasiu!

Frank podniósł ręce, odwrócił się i ujrzał Fritza Meshauma.

Drobny mężczyzna – gnom z brudną, rudą, wieśniacką brodą – miał na sobie dżinsy i wypłowiały T-shirt.

– Frank? – Fritz był wyraźnie zdumiony.

Znali się, choć nie za dobrze, ze Squeaky Wheel. Frank pamiętał, że Fritz jest mechanikiem i że według niektórych można u niego kupić broń. Czy była to prawda, czy nie, Frank nie miał pojęcia, ale kilka miesięcy wcześniej wypili razem parę kolejek przy barze, oglądając mecz futbolowej ligi uniwersyteckiej. Fritz – ten katujący psa sadysta – stwierdził, że lubi drużyny, które dużo biegają z piłką, zamiast zdawać się na dalekie podania; nie sądził jednak, by Mountaineers mieli na tyle dobrą ekipę, żeby tak grać na dłuższą metę. Frank przytaknął dla świętego spokoju; nie za dobrze znał się na futbolu amerykańskim. Pod koniec meczu Meshaum, już mocno wstawiony, przestał ględzić o zaletach biegania z piłką i zaczął

wciągać Franka w rozmowę o Żydach i rządzie federalnym. „Cały Waszyngton siedzi w kieszeni u parchów, wiedziałeś o tym?", Fritz wychylił się do przodu. „Moi przodkowie pochodzili z Niemiec, więc znam się na tych sprawach". Wtedy Frank uznał, że pora się rozstać.

Teraz Fritz opuścił karabin, z którego do niego mierzył.

– Co tu robisz? Chcesz kupić gnata? Mogę ci sprzedać coś dobrego, długiego albo krótkiego. Napijesz się piwa? – Chociaż Frank nie odpowiedział, musiał coś okazać mową ciała, bo Fritz dodał rozgoryczonym tonem: – Psem się przejąłeś? Niepotrzebnie. Sukinsyn ugryzł mojego *neffe.*

– Co ugryzł?

– *Neffe.* Mojego siostrzeńca. – Fritz pokręcił głową. – Niektórych starych słów się nie zapomina. Zdziwiłbyś się, jak… – I tyle Meshaum zdołał powiedzieć.

Kiedy Frank skończył, kolba karabinu, który wyrwał draniowi i z którego zrobił użytek, była popękana i zbryzgana krwią. Meshaum leżał na ziemi, trzymając się za zmiażdżone krocze. Jego oczy zniknęły pod opuchlizną; pluł krwią przy każdym drżącym oddechu, wyrywającym się spod żeber, które Frank potłukł albo nawet połamał. Wtedy wydawało się całkiem możliwe, że Fritz nie przeżyje.

Może jednak Frank nie pobił Fritza Meshauma tak ciężko, jak przypuszczał – tak sobie powtarzał, kiedy w następnych tygodniach zaglądał na strony z nekrologami i czekał, czy ktoś przyjdzie go zaaresztować. Wyrzutów sumienia nie miał. To był niewielki pies, a niewielkie psy nie są w stanie się obronić. Nic nie usprawiedliwia zadawania takich mąk zwierzęciu, nawet najbardziej agresywnemu. Niektóre psy są zdolne zabić człowieka, żaden jednak nie zrobiłby człowiekowi tego, co Fritz Meshaum zrobił temu nieszczęsnemu stworzeniu, przykutemu do drzewa. Czy pies może rozumieć, że niektórzy ludzie czerpią przyjemność z okrucieństwa? Nie, nigdy tego nie zrozumie. Frank jednak to rozumiał i myśląc o tym, co zrobił Fritzowi Meshaumowi, czuł w duszy spokój.

Co do żony Meshauma… Skąd miał wiedzieć, że facet w ogóle ma żonę? Teraz wiedział. O, tak. Elaine się o to postarała.

5

– Chodzi ci o jego żonę? – spytał Frank. – Do tego zmierzasz? Nie zdziwiłem się, kiedy wylądowała w schronisku. Fritz Meshaum to sukinsyn.

Gdy zaczęło się o tym mówić w mieście, Elaine zapytała go wprost, czy sprał Fritza Meshauma. Nieopatrznie powiedział jej prawdę. A ona nigdy nie dała mu o tym zapomnieć.

Odłożyła łyżeczkę i napiła się kawy.

– Nie mówię, że nie.

– Mam nadzieję, że w końcu go zostawiła – ciągnął Frank. – Nie żebym się czuł za nią odpowiedzialny.

– Naprawdę? Nie jesteś odpowiedzialny za to, że jej mąż, jak już wyszedł ze szpitala po laniu, które mu sprawiłeś, pobił ją niemal na śmierć?

– Nie, wcale. Ja nie tknąłem jej palcem. Już o tym rozmawialiśmy.

– Uhm… I dziecko, które straciła – ciągnęła Elaine – to też nie twoja odpowiedzialność, zgadza się?

Frank cmoknął z niezadowoleniem. Nie wiedział o żadnym dziecku. Dzisiaj Elaine pierwszy raz o nim wspomniała. Czekała na właściwy moment, żeby uderzyć z zaskoczenia. Też mi żona. Też mi przyjaciel.

– Była w ciąży, hę? I straciła dziecko. Cóż, przykra sprawa.

Elaine spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Tyle masz do powiedzenia? „Przykra sprawa”? Twoja empatia mnie poraża. Nic z tego wszystkiego nie wydarzyłoby się, gdybyś po prostu zadzwonił na policję. Nic, Frank. On poszedłby siedzieć, a Candy Meshaum nie straciłaby dziecka.

Wzbudzanie poczucia winy było specjalnością Elaine. Gdyby jednak zobaczyła tego psa – co Fritz mu zrobił – może zastanowiłaby się dwa razy, czy Frank naprawdę zasłużył na to, żeby patrzeć na niego bykiem. Meshaumowie tego świata muszą zapłacić. Podobnie jak doktor Flickinger…

To nasunęło mu pewną myśl.

– Może pójdę po tego faceta od mercedesa? Jest lekarzem.

– Mówisz o tym, który rozjechał kotkę tego staruszka?

– Uhm. Szczerze żałował tego, że tak gnał. Na pewno by pomógł.

– Słyszałeś coś z tego, co przed chwilą mówiłam, Frank? Wpadasz w szał i to zawsze źle się kończy!

– Elaine, zapomnij o Fritzu Meshaumie i o jego żonie. Zapomnij o mnie. Pomyśl o Nanie. Może ten lekarz mógłby pomóc. – Kto wie, może Flickinger nawet uzna, że jest coś Frankowi winien za to, że tylko wyżył się na jego samochodzie, zamiast wedrzeć się do domu i wyładować furię na nim.

Znowu zawyły syreny. Ulicą przejechał ryczący motocykl.

– Frank, chciałabym w to wierzyć. – Powoli, starannie wypowiadane słowa miały zabrzmieć szczerze, ale Elaine nadała im tę samą intonację jak wtedy, gdy tłumaczyła Nanie, dlaczego w szufladach musi być porządek. – Bo cię kocham. Ale cię znam. Byliśmy razem dziesięć lat. Mało nie zabiłeś człowieka z powodu psa. Bóg jeden wie, jak się obszedłeś z tym Flickmullerem czy jak go zwał.

– Flickingerem. Nazywa się Garth Flickinger. Doktor Garth Flickinger. – No nie, jak ona może być tak głupia? Przecież dziś omal ich nie stratowano, a nawet zastrzelono, kiedy próbowali zabrać córkę do lekarza, nie?

Elaine dopiła resztę kawy.

– Bądź tu ze swoją córką. I tyle. Nie próbuj naprawić czegoś, czego nawet nie rozumiesz.

Frank Geary uświadomił sobie coś przygnębiającego: będzie mu łatwiej, kiedy Elaine też zaśnie. Na razie jednak była przytomna. On też.

– Mylisz się – powiedział.

Zamrugała.

– Słucham? Co powiedziałeś?

– Uważasz, że zawsze masz rację. Czasami tak jest, przyznaję, ale nie teraz.

– Dziękuję za to głębokie spostrzeżenie. A teraz pójdę na górę posiedzieć z córką. Jak chcesz, możesz iść ze mną; ale jeśli pojedziesz do tego faceta, jeśli w ogóle wyjdziesz z domu, z nami koniec.

Frank uśmiechnął się. Nareszcie czuł się dobrze. Ależ to była ulga.

– Między nami już wszystko jest skończone. – Patrzyła na niego. – Nie rozumiesz? Sądzę, że rozumiesz. To ja byłem zbyt tępy, żeby to pojąć. Wszystko między nami skończone. To nie separacja, to rozwód, tylko jeszcze nie podpisaliśmy papierów. W tej chwili liczy się dla mnie Nana. Tylko ona.

6

Idąc do samochodu, Frank przystanął, by spojrzeć na stos drewna przy tylnym ganku. Sam je rąbał. Po ostatniej zimie zostało pół sąga. Dzięki małemu piecykowi Jøtul w kuchni w mroźne dni dom był przytulny i ciepły. Nana lubiła siedzieć przy nim w fotelu na biegunach, kiedy odrabiała lekcje. Pochylona nad książkami, z włosami opadającymi na twarz, przypominała Frankowi dziewczynkę z dziewiętnastego wieku – z czasów, gdy układy męsko-damskie były znacznie prostsze. Wtedy mówiłeś kobiecie, co zamierzasz, a ona albo się na to godziła, albo trzymała gębę na kłódkę. Przypomniało mu się coś, co jego ojciec powiedział jego matce, kiedy miała pretensje o to, że kupił nową kosiarkę: „Ty prowadź dom. Ja będę zarabiał pieniądze i opłacał rachunki. Powiedz, jeśli ci to nie odpowiada". Nigdy tego nie powiedziała. Dlatego mieli udane małżeństwo. Prawie pół wieku razem. Bez poradni małżeńskiej, bez separacji, bez prawników.

Stos drewna przykryty był dużą plandeką, pniak do rąbania drzewa – mniejszą. Frank uniósł tę mniejszą i wyrwał siekierę z pokancerowanego drewna. Flickinger groźny chyba nie był, ale nie zaszkodzi się zabezpieczyć.

7

Dorothy zasnęła pierwsza. Zachrapała, z głową odchyloną do tyłu, otwartymi ustami, lekko wysuniętą sztuczną szczęką, oblepioną

okruchami ciastek. Trzy przyjaciółki patrzyły, jak białe nitki rozwijają się i rozczepiają, jak się rozdzielają, unoszą i opadają na jej skórę. Nakładały się na siebie warstwami niczym miniaturowe bandaże, przeplatały ze sobą na krzyż.

– Chciałabym… – zaczęła Margaret, ale jakoś nie mogła wyrazić, czego właściwie chce.

– Myślicie, że ona cierpi? – spytała Blanche. – Że to boli? – Słowa ciążyły jej w ustach, ale nie czuła bólu.

– Nie. – Gail podniosła się chwiejnie; jej wypożyczony z biblioteki egzemplarz *Pokuty* spadł na podłogę z trzaskiem papieru i szelestem foliowej oprawy. Przytrzymując się mebli, przeszła przez pokój w stronę Dorothy.

Blanche, choć półprzytomna, była pod wrażeniem. Oprócz tego, że łyknęły pigułki i opróżniły butelkę pinot – i Gail wypiła najwięcej – wciąż mogła się zdobyć na taki wysiłek. Jedna strażniczka z więzienia brała udział w zawodach w siłowaniu na rękę. Blanche była ciekawa, czy organizuje się zawody polegające na tym, że pije się wino i bierze prochy nasenne, a potem trzeba chodzić tak, żeby nie potykać się o krzesła ani nie wpadać na ściany. Jeśli tak, Gail minęła się z powołaniem!

Blanche chciała to wszystko powiedzieć Gail, ale wydobyła z siebie tylko:

– Ładnie… chodzisz… Gail…

Patrzyła, jak przyjaciółka pochyla się nad uchem Dorothy, pokrytym już cienką warstwą przędzy, i mówi:

– Dorothy? Słyszysz nas? Spotkajmy się koło… – urwała na chwilę, a potem zwróciła się do Margaret. – Jakie znamy miejsca w niebie, Midge? Gdzie mam się z nią umówić?

Margaret nie odpowiedziała. Nie mogła. Jej głowę też oplatały już nitki.

Oczy Blanche, które zdawały się poruszać bez jej udziału, odnalazły okno i ogień na zachodzie. Powiększył się – nie wyglądał już jak płomyk zapałki, tylko jak głowa płonącego ptaka. Zostało jeszcze dość mężczyzn, żeby go ugasić, ale może byli zbyt zajęci opieką nad swoimi kobietami, żeby zawracać sobie głowę pożarem. Jak się nazywał ten ptak, taki, co staje w płomieniach, a potem się odradza,

no, ten magiczny ptak, przerażający, straszny? Nie pamiętała. Przypomniał się jej za to stary japoński film o potworze imieniem Rodan. Oglądała go w dzieciństwie. W nim też pojawiał się wielki ptak, którego okropnie się bała. Teraz nie była przerażona, tylko… ciekawa.

– Straciłyśmy moją siostrę – oznajmiła Gail i osunęła się na wykładzinę. Siedziała teraz oparta o nogi Dorothy.

– Zasnęła, to wszystko – powiedziała Blanche. – Nie straciłaś jej, kochana.

Gail pokiwała głową tak energicznie, że włosy opadły jej na oczy.

– Tak, tak. Masz rację, Blanche. Po prostu będziemy musiały się odnaleźć. Poszukać się nawzajem w niebie. Albo… no wiesz… w jego względnie wiernej kopii. – To ją rozśmieszyło.

8

Blanche wytrzymała najdłużej. Poczołgała się do Gail, śpiącej pod warstwą pajęczyny.

– Kiedyś byłam zakochana – powiedziała do niej. – Założę się, że nie wiedziałaś. Kamuflowaliśmy się z tym, jak powiedziałyby dziewczyny z więzienia. Musieliśmy.

Oddech Gail poruszył włóknami leżącymi na jej ustach. Jedna cienka nitka wyciągnęła się zalotnie w stronę Blanche.

– Myślę, że on mnie też kochał, ale… – Trudno to było wytłumaczyć. Była wtedy młoda. A kiedy kobieta jest młoda, jej mózg jeszcze w pełni się nie rozwinął. Wiadomo, jacy są mężczyźni. Smutna historia. On był żonaty. Ona czekała. Postarzeli się. Blanche oddała mężczyźnie najdroższą część swojej duszy. On składał pięknie brzmiące obietnice i żadnej nie dotrzymał. Co za strata czasu.

– Może to, co zrobiłyśmy… może to jest najlepsze, co mnie w życiu spotkało. – Mówiła już tak cicho i bełkotliwie, że gdyby nawet Gail była przytomna, pewnie i tak by jej nie zrozumiała. Blanche straciła czucie w języku. – Bo przynajmniej teraz, na końcu, jesteśmy wszystkie razem.

A jeśli jest coś jeszcze, jakiś inny świat…
Zanim Blanche McIntyre mogła dokończyć myśl, zapadła w sen.

9

Garth Flickinger nie był zaskoczony, kiedy zobaczył Franka.

Po jakichś dwunastu godzinach oglądania News America i wypaleniu wszystkiego, co miał w domu, oprócz jego oswojonej iguany (imieniem Gillies), chyba nic by go nie zaskoczyło. Gdyby sam sir Harold Gillies, dawno nieżyjący pionier chirurgii plastycznej, zszedł na dół, do kuchni, żeby zrobić sobie cynamonowego tosta, byłoby to niewiele większym przegięciem od zjawisk, które Garth tego dnia widział w telewizji.

Szok wywołany gwałtownymi wydarzeniami, które rozegrały się w przyczepie mieszkalnej Trumana Mayweathera, kiedy Garth odlewał się w kiblu, był zaledwie prologiem do tego, na co napatrzył się w następnych godzinach, nie wstając z kanapy. Zamieszki przed Białym Domem, kobieta odgryzająca nos nawiedzonemu sekciarzowi, wielki 767 zaginiony nad morzem, zakrwawieni sanitariusze z domów opieki, starsze panie obrośnięte pajęczynami i przykute do noszy, pożary w Melbourne, pożary w Manili, pożary w Honolulu. Coś kurewsko złego stało się na pustyni w pobliżu Reno, gdzie podobno mieścił się tajny rządowy ośrodek badań jądrowych; naukowcy donosili, że liczniki Geigera wirują jak oszalałe, a igły sejsmografów chodzą w górę i w dół, rejestrując kolejne wybuchy. Kobiety na całym świecie zasypiały, wytwarzały kokony, a kretyni na całym świecie je budzili. Śliczna reporterka News America, Michaela z pierwszorzędnie wymodelowanym nosem, po południu zniknęła z anteny, a na jej miejsce wstawili jąkającą się stażystkę z kolczykiem w wardze. To wszystko przypomniało Garthowi graffiti, które widział na ścianie jakiegoś męskiego kibla: „Grawitacja nie istnieje, to życie jest ciężkie”.

Bo i było ciężko: aż się nie chciało z kanapy ruszyć. Nawet meta nie pomogła. No, może trochę, ale nie tak bardzo, jak by wypadało.

Kiedy zadźwięczał dzwonek u drzwi – melodyjnym bim-bom, bim-bom – Garth był już boleśnie trzeźwy. Nie miał jednak szczególnej ochoty otworzyć. Nie poczuł się też w obowiązku wstać, kiedy gość przestał dzwonić i zaczął pukać. Potem walić. Ileż w to wkładał energii!

Nagle łomotanie ucichło. Garth pomyślał, że nieproszony gość dał za wygraną, ale wtedy rozległy się odgłosy rąbania. I trzask rozłupywanego drewna. Drzwi zadrżały, zamek ustąpił. Mężczyzna, ten sam, który był tu wcześniej, wmaszerował do środka z siekierą w dłoni. Garth uznał, że facet przyszedł go zabić – i nawet nie było mu jakoś wielce smutno z tego powodu. Może będzie bolało, ale – taką miał nadzieję – niezbyt długo.

Wielu ludzi kpiło z chirurgii plastycznej. Garth nie. Co w tym śmiesznego, że chcesz polubić swoją twarz, swoje ciało, swoją jedyną skórę? Trzeba być okrutnym, głupim człowiekiem, żeby z tego szydzić. Tyle że teraz najwidoczniej los spłatał mu figla. Bo i jaki będzie ten świat, jeśli ocaleje tylko połowa gatunku? Świat okrutny i głupi. Garth zrozumiał to od razu. Do jego gabinetu często przychodziły piękne kobiety, pokazywały mu zdjęcia innych pięknych kobiet i pytały: Czy może pan upodobnić mnie do niej? A za wieloma z tych pięknych kobiet, pragnących poprawić swoje idealne twarze, stały podłe skurwysyny, których nie sposób zadowolić. Garth nie chciał zostać sam na świecie pełnym podłych skurwysynów.

– Niech pan tak nie stoi, proszę wejść – zachęcił. – Właśnie oglądam najnowsze wiadomości. Widział pan może, jak ta kobieta odgryzła facetowi nos?

– Widziałem – odparł Frank.

– Jestem specem od nosów i lubię wyzwania, ale raczej nie da się uratować czegoś, czego nie ma.

Frank stał przy rogu kanapy, półtora metra od Gartha. Siekiera była mała, ale siekiera to siekiera.

– Zamierza pan mnie zabić?

– Co? Nie. Przyszedłem…

Ich uwagę przyciągnął płaski ekran telewizora, na którym pojawiło się ujęcie płonącego sklepu Apple. Na chodniku przed budynkiem mężczyzna o osmalonej ogniem twarzy chodził w kółko, oszołomiony,

z tlącą się torebką koloru fuksji przewieszoną przez ramię. Symbol jabłka nad wejściem do sklepu nagle zerwał się z mocowań i runął na ziemię.

Szybkie cięcie i na ekranie ukazał się George Alderson. Jego twarz miała odcień zwietrzałej szarości, głos był chrapliwy. Cały dzień siedział w studiu.

– Właśnie zadzwonił do mnie mój… mój syn. Poszedł do mojego domu sprawdzić, co z moją żoną. Jesteśmy z Sharon małżeństwem od… – Opuścił głowę i przesunął palcami po węźle różowego krawata. Na krawacie była plama od kawy. Garth pomyślał, że dotąd nie widział bardziej poruszającej ilustracji tego, z jak bezprecedensową sytuacją mają do czynienia. – …od czterdziestu dwóch lat. Timothy, mój syn, mówi… mówi, że… – George Alderson zaszlochał.

Frank wziął pilota ze stolika i wyłączył telewizor.

– Doktorze Flickinger, czy ma pan na tyle trzeźwy umysł, żeby rozumieć, co się dzieje? – Wskazał ruchem głowy fajkę leżącą na stoliku.

– Oczywiście. – Garth był lekko zaciekawiony. – Naprawdę nie przyszedł pan po to, żeby mnie zabić?

Frank ścisnął palcami grzbiet nosa. Tak wygląda człowiek, który toczy poważny monolog wewnętrzny, pomyślał Garth.

– Przyszedłem poprosić o przysługę. Jeśli pan mi pomoże, będziemy kwita. Chodzi o moją córkę. Jest jedynym, co dobrego spotkało mnie w życiu. A teraz to złapała. Aurorę. Chcę, żeby poszedł pan ze mną, zerknął na nią i…

Garth pomyślał o własnej córce, o Cathy.

– Nie musi pan nic więcej mówić – powiedział, ucinając tę myśl, pozwalając, by odfrunęła jak kawałek wstążki porwany silnym wiatrem.

– Tak? Serio?

Garth wyciągnął dłoń. Może zaskoczył Franka Geary'ego, ale nie siebie. Na tak wiele rzeczy nie ma się wpływu. Zawsze był zadowolony, kiedy trafiało się coś, na co wpływ miał. No i ciekawie będzie zobaczyć z bliska skutki tej aurory.

– Oczywiście. Pomoże mi pan wstać?

Frank podniósł go na nogi i już po kilku krokach Garth poczuł się lepiej. Przeprosił na chwilę gościa i poszedł do sąsiedniego pokoju. Wrócił z czarnym kuferkiem i torbą lekarską.

Wyszli w noc. W drodze do pikapa Franka Garth musnął dłonią gałęzie bzu sterczące z tylnego lewego okna jego mercedesa, ale powstrzymał się od komentarza.

10

Lis odkuśtykał od pożaru trawy, który paląca się kobieta wznieciła swoim ciałem, ale ogień wciąż płonął w dolnej części jego grzbietu. Źle z nim; nie mógł szybko biec i czuł zapach swojej krwi. A to znaczyło, że inne stworzenia też go czują.

W tym lesie zachowało się jeszcze kilka pum i gdyby któraś zwietrzyła jego zakrwawiony grzbiet i zad, byłoby po nim. Dawno nie widział pumy, ostatnio w czasach, gdy jego matka była pełna mleka, a czwórka jego rodzeństwa żyła (wszyscy zginęli – jedno po wypiciu nieświeżej wody, drugie po zjedzeniu zatrutej przynęty, trzecie, piszcząc i skowycząc w pułapce, która rozszarpała mu nogę, czwarte zniknęło w nocy), ale były jeszcze dzikie świnie. Lis bał się ich bardziej niż pum. Uciekły z zagrody jakiegoś farmera i rozmnożyły się w lesie. Teraz było ich dużo. Normalnie zwiałby im bez trudu i może nawet trochę by się z nimi podrażnił; były bardzo niezdarne. Dzisiaj jednak ledwo mógł biegać. Wkrótce nie będzie w stanie nawet truchtać.

Las kończył się przy blaszanym domu, który pachniał ludzką krwią i ludzką śmiercią. Wokół wisiały żółte paski. W krzakach i na pokruszonych kamieniach przed domem leżały metalowe wytwory człowieka. Z odorem śmierci mieszała się inna woń, jakiej jeszcze nigdy nie czuł. Zapach nie całkiem ludzki, ale podobny do ludzkiego.

I samiczy.

Odpędzając strach przed dzikimi świniami, lis pokuśtykał dalej od blaszanego domu. Co jakiś czas padał na bok i ciężko dysząc, czekał,

aż ból zelżeje. Potem znów ruszał. Musiał. Zapach był egzotyczny, jednocześnie słodki i gorzki, taki, któremu nie sposób się oprzeć. Może zaprowadzi go w bezpieczne miejsce. Małe szanse, ale lis był zdesperowany.

Egzotyczna woń przybierała na sile. Zmieszał się z nią inny samiczy zapach, ten drugi jednak był świeższy i na pewno ludzki. Lis przystanął, żeby powąchać jeden ze śladów butów Lili na glinie, a potem płat białego materiału w kształcie bosej ludzkiej stopy.

Mały ptak sfrunął na nisko wiszącą gałąź. Tym razem nie jastrząb. Taki, jakiego lis jeszcze nie widział. Miał zielone upierzenie. Płynął od niego wilgotny, cierpki zapach, którego lis nie potrafił z niczym porównać. Ptak butnie nastroszył skrzydła.

– Proszę, nie śpiewaj – powiedział lis.

– Dobrze – odparł zielony ptak. – Nocą i tak rzadko śpiewam. Widzę, że krwawisz. Boli?

Lis był zbyt zmęczony, żeby kłamać.

– Tak.

– Wytarzaj się w tej pajęczynie. To uśmierzy ból.

– Raczej mnie zatruje – powiedział lis. Grzbiet palił, ale on wiedział swoje o truciznach, o tak. Ludzie wszystko zatruwają. To potrafią najlepiej.

– Nie. Trucizna opuszcza ten las. Wytarzaj się w pajęczynach.

Może ptak kłamał, ale lis nie widział innego wyjścia. Upadł w pajęczynę, najpierw na bok, a potem przekręcił się na grzbiet – czasem tarzał się tak w odchodach jeleni, żeby zamaskować swój zapach. Błogi chłód złagodził ból grzbietu i zadu. Zerwał się na nogi, patrząc na gałąź błyszczącymi ślepiami.

– Kim jesteś? Skąd się wziąłeś? – spytał lis.

– Z Drzewa Matki.

– Gdzie ono jest?

– Idź za swoim węchem – odparł zielony ptak i poleciał w ciemność.

Lis szedł od jednego śladu stopy, obrośniętego pajęczyną, do drugiego, po drodze jeszcze dwa razy przystając, żeby się w nich wytarzać. Ochładzały, orzeźwiały i dawały siłę. Zapach kobiety pozostał całkiem mocny, ten drugi, egzotyczny zapach nie-całkiem-

kobiety osłabł. Razem opowiedziały lisowi historię. Nie-kobieta szła pierwsza, na wschód, w stronę metalowego domu i spalonej szopy. Prawdziwa kobieta pojawiła się później, podążyła po śladach nie-kobiety w przeciwnym kierunku, a potem wróciła do śmierdzącego blaszanego domu otoczonego żółtymi paskami.

Splecione zapachy zaprowadziły lisa w gęste zarośla, potem pod górę i wreszcie do kępy karłowatych sosen. Na niektórych gałęziach wisiały poszarpane pajęczyny, od których płynął ten egzotyczny zapach nie-kobiety. Dalej była polana. Lis potruchtał na nią. Teraz już łatwo mu się truchtało i czuł, że gdyby pokazała się dzika świnia, mógłby nie tylko biec, ale wręcz sunąć po ziemi. Na polanie usiadł, wpatrzony w drzewo, które zdawało się składać z wielu pni oplatających się nawzajem. Wyciągało się ku ciemnemu niebu, tak wysoko, że nie dostrzegał jego czubka. Chociaż nie było wiatru, drzewo szeleściło, jakby mówiło do siebie. Tutaj zapach nie-kobiety ginął w setce innych śladów zapachowych. Wiele ptaków i wiele zwierząt, wszystkie lisowi nieznane.

Zza drzewa miękkim krokiem wyszedł kot. Nie żbik, dużo większy. I biały. Jego zielone ślepia świeciły w ciemności jak lampy. Lis nie drgnął wbrew głęboko zakorzenionemu instynktowi ucieczki przed drapieżnikami. Wielki biały tygrys człapał ku niemu niespiesznie. Trawa, szeleszcząc, uginała się pod gęstą sierścią na jego brzuchu.

Gdy tygrys był o półtora metra od niego, lis położył się i przewrócił na grzbiet, odsłaniając brzuch na znak uległości. Lis może i ma swoją dumę, ale nic mu po godności.

– Wstawaj – powiedział tygrys.

Lis podniósł się na nogi i lękliwie wysunął szyję do przodu, żeby dotknąć nosa tygrysa.

– Jesteś uleczony? – spytał tygrys.

– Tak.

– Wobec tego posłuchaj mnie, lisie.

Evie Black leżała w więziennej celi. Miała zamknięte oczy i uśmiechała się lekko.

– Wobec tego posłuchaj mnie, lisie – powiedziała. – Mam dla ciebie zadanie.

ROZDZIAŁ 16

1

Zanim Clint zdążył poprosić Tiga Murphy'ego, żeby wypuścił go z budynku, główne drzwi się otworzyły i w progu stanął zastępca naczelnika, Lawrence Hicks.

– Pan dokąd, doktorze Norcross? – Pytanie zabrzmiało jak wyrzut, ale przynajmniej było wyraźnie wyartykułowane. Chociaż Lore Hicks wyglądał niechlujnie – zmierzwiona aureola włosów wokół łysiny, obwisłe policzki pokryte zarostem, wory pod oczami – nowokaina, którą dostał przed porannym zabiegiem dentystycznym, chyba już przestała działać.

– Do miasta. Muszę się zobaczyć z żoną i synem.

– Janice się zgodziła?

Clint, usiłując opanować nerwy, przypomniał sobie, że aurora albo już odebrała, albo wkrótce odbierze Hicksowi żonę. Nie zmieniało to faktu, że człowiek stojący przed nim był ostatnią osobą, która powinna kierować taką instytucją jak więzienie w Dooling w czasie kryzysu. Janice kiedyś powiedziała Clintowi, że jej zastępca zaliczył niecałe trzydzieści godzin zajęć z zarządzania zakładem karnym – w fabryce dyplomów w Oklahomie – i ani jednej godziny z administracji więziennej. „No, ale siostra Hicksiego jest żoną wicegubernatora", wyjaśniła. Przy tamtej okazji wypiła jedną lampkę pinot więcej niż zwykle. Może dwie. „Resztę sam sobie dopowiedz. Nie ma lepszego w rozpisywaniu grafików i robieniu remanentów, ale pracuje u nas szesnaście miesięcy i wątpię, czy trafiłby do Skrzydła C bez mapy. Praktycznie nie rusza się z gabinetu, ani razu nie poszedł

na obchód, choć ma obowiązek robić to co najmniej raz w miesiącu. Boi się niegrzecznych dziewczynek".

Dzisiaj ruszysz się z gabinetu, Hicksie, pomyślał Clint, i przeprowadzisz obchód. Przypniesz sobie walkie-talkie i obejdziesz wszystkie trzy skrzydła razem z innymi mundurowymi. Tymi, którzy zostali.

– Słyszał mnie pan? – spytał Hicks. – Czy Janice się zgodziła, żeby pan wyszedł?

– Mam do powiedzenia trzy rzeczy – odparł Clint. – Po pierwsze, według grafiku miałem wyjść o trzeciej, czyli… – Spojrzał na zegarek. – Mniej więcej sześć godzin temu.

– Ale…

– Chwila. Teraz druga sprawa – naczelnik Coates śpi na swojej kanapie w dużym białym kokonie.

Hicks nosił grube okulary z powiększającymi szkłami. Kiedy wybałuszał oczy, tak jak teraz, wyglądały, jakby miały mu wypaść z orbit.

– Że co?

– W telegraficznym skrócie: Don Peters w końcu potknął się o własnego kutasa. Został przyłapany na molestowaniu osadzonej. Janice wyrzuciła go na zbity pysk, ale Don wcześniej wsypał jej do kawy xanax, nawiasem mówiąc, należący do niej. Szybko zwaliło ją z nóg. I uprzedzając twoje pytanie, Peters się ulotnił. Kiedy zobaczę się z Lilą, powiem jej, żeby wydała za nim list gończy, ale wątpię, czy to będzie sprawa priorytetowa. Zwłaszcza dzisiaj.

– O, mój Boże… – Hicks przeczesał dłońmi resztki swoich włosów, jeszcze bardziej je burząc. – O… mój… Boże.

– I wreszcie trzecia sprawa. Wciąż mamy czterech funkcjonariuszy z pierwszej zmiany: Randa Quigleya, Millie Olson, Tiga Murphy'ego i Vanessę Lampley. Ty jesteś piąty. O północy musisz iść na obchód razem ze wszystkimi. Aha, kiedy cię nie było, osadzone zaparzyły coś, co nazywają superkawą, Van wprowadzi cię w szczegóły. Jeanette Sorley i Angel Fitzroy rozwożą to po celach.

– Superkawa? Co to takiego? I dlaczego Fitzroy jest poza celą? Nie można jej ufać, wcale a wcale! Ma skłonności do agresji! Czytałem pański raport!

– Dzisiaj trzyma nerwy na wodzy, przynajmniej na razie. Zakasała rękawy i pracuje dla dobra ogółu. Ty też musisz. I pamiętaj: jeśli nic się nie zmieni, wszystkie te kobiety zasną, Lore. Wszystkie bez wyjątku. Czy wypiją superkawę, czy nie. Zasługują na odrobinę nadziei. Porozmawiaj z Van i gdyby coś się działo, zdaj się na nią.

Hicks złapał Clinta za marynarkę. Z jego powiększonych oczu bił paniczny strach.

– Nie może pan wyjść! Nie wolno panu opuścić swojego stanowiska!

– Dlaczego? Ty to zrobiłeś. – Clint zobaczył, że Hicks się skrzywił, i pożałował swoich słów. Delikatnie zdjął jego dłoń ze swojej marynarki. – Ty sprawdziłeś, co z twoją żoną, ja muszę sprawdzić, co z Jaredem i Lilą. Niedługo wrócę.

– Kiedy?

– Kiedy tylko będę mógł.

– Najlepiej, żeby wszystkie zasnęły! – palnął Hicks tonem marudnego dziecka. – Złodziejki, kurwy, ćpunki! Powinniśmy dać im prochy nasenne zamiast kawy! To rozwiązałoby problem. – Clint patrzył na niego w milczeniu. – No dobrze. – Hicks zrobił, co w jego mocy, żeby wyprostować ramiona. – Rozumiem. Ma pan bliskich. Tyle tylko że… to wszystko… te wszystkie kobiety… mamy ich całe więzienie!

Dopiero teraz się zorientowałeś?, pomyślał Clint, po czym spytał Hicksa, jak się ma jego żona. Pewnie powinien był się tym zainteresować wcześniej. Tyle że, kurczę, Hicksie też nie zapytał o Lilę.

– Jest przytomna, przynajmniej na razie. Wzięła… – Hicks odchrząknął i uciekł wzrokiem. – Wzięła coś na pobudzenie.

– Dobrze. To dobrze. Niebawem wró…

– Doktorze. – To była Vanessa Lampley. Nie wzywała go przez interkom – stała u jego boku na korytarzu przy drzwiach głównych. Zostawiła Kabinę bez nadzoru, rzecz wprost niesłychana. – Musi pan to zobaczyć.

– Van, teraz nie mogę. Muszę sprawdzić, co z Jaredem, i zobaczyć się z Lilą…

Żeby się z nią pożegnać, pomyślał. Nagle to do niego dotarło. To może być ich ostatnia rozmowa. Ile jeszcze może wytrzymać bez snu? Niedługo. Przez telefon wydawała się nieobecna, jakby już była daleko stąd, w drodze do innego świata. I wszystko wskazywało na to, że kiedy zaśnie, nie uda się jej sprowadzić z powrotem.

– Rozumiem – odparła Vanessa – ale to zajmie tylko minutkę. Pana też z nami poproszę, panie Hicks. To… sama nie wiem, ale to może wszystko zmienić.

2

– Patrzcie w monitor numer dwa – poleciła Van, kiedy weszli do Kabiny.

Dwójka pokazywała korytarz Skrzydła A. Dwie kobiety – Jeanette Sorley i Angel Fitzroy – pchały wózek z kawą w stronę wyścielanej celi, A-10, na samym końcu. Po drodze zatrzymały się, żeby porozmawiać z potężnie zbudowaną więźniarką, która z jakiegoś powodu ulokowała się w punkcie odwszawiania.

– Na razie mamy co najmniej dziesięć kobiet śpiących w tych cholernych pajęczynach – powiedziała Van. – Może nawet piętnaście. Większość w swoich celach, plus trzy w świetlicy i jedna w stolarni. Ten syf wyrasta z każdej, kiedy tylko zaśnie. Ze wszystkich oprócz… – Wcisnęła guzik na konsoli i monitor numer dwa pokazał wnętrze A-10. Nowa osadzona leżała z zamkniętymi oczami na pryczy. Jej pierś niespiesznie podnosiła się i opadała. – Oprócz niej – dokończyła Van. W jej głosie brzmiało coś na kształt podziwu. – Śpi jak dziecko, a na twarzy ma tylko swoją skórę, świeżą jak po camayu.

„Świeżą jak po camayu”… Coś w tych słowach uderzyło Clinta, ale nie zdołał tego sprecyzować, zaskoczony tym, co widział, i zdjęty obawą o Lilę.

– To, że ma zamknięte oczy, nie znaczy jeszcze, że śpi.

– Panie doktorze, wykonuję mój zawód dłużej niż pan swój. Potrafię poznać, kto śpi, a kto nie. I ta dziewczyna śpi, w dodatku co najmniej od czterdziestu pięciu minut. Kiedy rozlega się jakiś hałas,

na przykład ktoś coś upuszcza, ona tak jakby się wzdryga, a potem przewraca na drugi bok.

– Miej ją na oku. Kiedy wrócę, zdasz mi pełny raport – polecił Clint. – Muszę iść.

Mimo zapewnień Van, że potrafi odróżnić osobę śpiącą od kogoś, kto tylko leży z zamkniętymi oczami, pozostał nieprzekonany. I musiał zobaczyć się z Lilą. Dopóki może. Nie chciał jej stracić w czasie, kiedy dzieliło ich… sam nie wiedział, jaki był powód, dla którego go okłamała.

Szedł do samochodu, kiedy zrozumiał, co takiego nie dawało mu spokoju. Evie Black kilka razy uderzyła twarzą w kratę w radiowozie Lili, a mimo to – raptem kilka godzin później – opuchlizna i sińce zniknęły bez śladu. Została tylko skóra, świeża jak po mydle Camay.

3

Jeanette prowadziła wózek z kawą, Angel szła obok i bębniła zakrętką w jeden z termosów, krzycząc:

– Kawa! Specjalna kawa! Kto wypije, ten ożyje! Jeden łyk, drugi, trzeci i sen w mig uleci!

W Skrzydle A, gdzie większość cel była otwarta i pusta, nie znalazły wielu chętnych.

Wcześniej, w Skrzydle B, reakcja Ree dała im przedsmak tego, co je czekało. Specjalna kawa to może w teorii dobry pomysł, w praktyce jednak okazała się trudna do przełknięcia. Ree skrzywiła się i oddała kubek, ledwie umoczyła usta.

– Rany, Jeanette, soku mogę się napić, ale to dla mnie za mocne.

– Mocne i pomocne! – oznajmiła Angel. Dzisiaj zastąpiła swój zwykły południowy akcent euforyczną gwarą rodem z czarnego getta. Jeanette była ciekawa, ile kubków specjalnej kawy Angel już w siebie wlała. Z tego, co zauważyła, mieszanka wchodziła jej bez najmniejszego trudu. – Prawdziwa moc w płynie, kto wypije, nie zginie, nie chcesz mumią być, superkawę musisz pić!

Jedna z lokatorek Skrzydła A wbiła w nią wzrok.

– Jeśli to ma być rap, kochana, wolałabym, żeby wróciło disco.

– Nie krytykuj. Robimy to dla was. A kto z nami nie wypije, niech się pod stół skryje.

Czy jednak odwlekanie tego, co nieuniknione, rzeczywiście było dobrym pomysłem? Jeanette początkowo tak sądziła, ożywiona myślą o swoim synu, teraz jednak znów ogarniało ją zmęczenie i czuła, że beznadzieja czeka tuż za rogiem. Zresztą nie odwlekały nieuniknionego na długo; kiedy zaproponowały oficer Lampley, że zaparzą superkawę, w więzieniu były trzy uśpione, ale od tego czasu zasnęło kilka następnych. Jeanette jednak nie poruszała tego tematu. Nie dlatego że bała się osławionej porywczości Angel – po prostu męczyła ją sama myśl o rozmowie na jakikolwiek temat. Wypiła trzy kubki specjalnej kawy – no, dwa i pół, jej żołądek nie zniósłby więcej – a mimo to wciąż była wyczerpana. Wydawało się, że minęły całe lata od czasu, kiedy obudziła ją Ree i zapytała, czy kiedykolwiek przyglądała się kwadratowi światła wędrującemu po podłodze.

„Nic mnie nie obchodzi jakiś kwadrat światła", powiedziała wtedy Jeanette.

„A ja mówię, że kwadrat światła nie może cię nie obchodzić", odparła Ree. Teraz jej słowa raz po raz odtwarzały się w głowie Jeanette, niczym zwariowany koan zen. Nie może cię nie obchodzić – przecież to bez sensu, prawda? Chociaż… nie ma aby jakiejś reguły, która mówi, że podwójne zaprzeczenie to potwierdzenie? Jeśli tak, może jednak ma to sens. Może…

– Hola! Czekaj no, laska! – ryknęła Angel i mocno pchnęła tyłkiem wózek z kawą. Wbił się w krocze Jeanette, na chwilę wyrywając ją z letargu. Specjalna kawa zachlupotała w termosach, sok w dzbankach.

– Co? – spytała. – Co się dzieje, Angel?

– Toż to moja dobra kumpela Claudia! – krzyknęła Angel. – Hej, mała!

Były jakieś sześć metrów od początku korytarza. Na ławce obok podajnika Kwella siedziała zgarbiona Claudia Stephenson, zwana przez wszystkie osadzone (i personel, choć nie przy więźniarkach) Petardą. Nie była z niej już jednak taka petarda jak przed

dziesięcioma miesiącami. Od czasu, kiedy trafiła za kraty, skrobia i hektolitry więziennych sosów utuczyły ją o jakieś piętnaście, może dwadzieścia kilogramów. Jej dłonie spoczywały na brązowych więziennych spodniach. Koszulę zdjęła i rzuciła na podłogę, odsłaniając sportowy stanik w rozmiarze XL. Cycki wciąż ma rewelacyjne, pomyślała Jeanette.

Angel, nakręcona i rozentuzjazmowana, wlała chochlą kawę do styropianowego kubka z takim rozmachem, że część chlusnęła na podłogę. Podała kubek Claudii.

– Pij śmiało, Petarda! Mocna i pomocna! Napij się i zapomnij o śnie!

Claudia potrząsnęła głową, nie odrywając oczu od posadzki.

– Claudia? – spytała Jeanette. – Co się stało?

Niektóre więźniarki zazdrościły Claudii, ale Jeanette lubiła ją i jej współczuła. Claudia zdefraudowała pieniądze kościoła prezbiteriańskiego, w którym była dyrektorem do spraw usług, żeby pokryć koszty ostrej narkomanii męża i najstarszego syna. Teraz ci dwaj chodzili po ulicach, wolni jak ptaki. Mam dla ciebie rym, Angel, pomyślała Jeanette. Mężczyźni tracą, kobiety płacą.

– Nic się nie stało, zbieram odwagę. – Claudia nie odrywała oczu od podłogi.

– Do czego? – spytała Jeanette.

– Chcę ją poprosić, żeby pozwoliła mi spać normalnie, tak jak ona.

Angel mrugnęła do Jeanette, wystawiła język z kącika ust i pokręciła palcem koło ucha.

– A o kimże mówisz, Petarda?

– O nowej. Myślę, że jest diabłem.

To wyznanie zachwyciło Angel.

– No popatrz, a ja jestem aniołem, jak z imienia wynika. – Ułożyła dłonie w szalki wagi i poruszyła nimi w górę i w dół. – Diabeł po jednej stronie, anioł po drugiej. Moje życie w pigułce.

Claudia jednak głędziła dalej:

– Musi być demonem lub czymś takim, skoro jako jedyna może spać tak jak dawniej.

– Nie chwytam – powiedziała Jeanette.

Claudia wreszcie podniosła głowę. Pod oczami miała sine kręgi.

– Śpi, ale nie w kokonie. Same zobaczcie. Spytajcie, jak to robi. Powiedzcie jej, że jak chce moją duszę, może ją sobie wziąć. Bylebym znów zobaczyła mojego Myrona. Jest moją dziecinką i potrzebuje swojej mamusi.

Angel przelała kawę z kubka przeznaczonego dla Claudii z powrotem do termosu, po czym spojrzała na Jeanette.

– Sprawdźmy to. – Ruszyła, nie czekając na zgodę towarzyszki.

Kiedy Jeanette podeszła z wózkiem, Angel stała już uczepiona krat i zaglądała do celi. Jeanette widziała już tę kobietę. Gdy Peters ją napastował, tamtą właśnie przywieźli – obserwowała ją przez okno. Teraz leżała w swobodnej pozycji na pryczy, z zamkniętymi oczami, i oddychała równo. Ciemne włosy rozpościerały się wokół głowy imponującym wachlarzem. Jej twarz z bliska wydawała się jeszcze piękniejsza – bez najmniejszej skazy. Nie porastały jej pajęczyny; sińce, które wcześniej widziała Jeanette, zniknęły. Jak to możliwe?

Może naprawdę jest diabłem, pomyślała Jeanette. Albo aniołem, który przybył nas zbawić. To drugie wydawało się mało prawdopodobne. Tutaj anioły nie latają. Najwyżej nietoperze.

– Obudź się! – krzyknęła Angel.

– Angel… – Jeanette ostrożnie położyła dłoń na jej ramieniu. – Może lepiej nie…

Angel strząsnęła jej rękę i szarpnęła za drzwi celi, nie ustąpiły jednak. Zerwała więc pokrywkę z termosu i zaczęła walić nią w kraty, robiąc tak nieludzki hałas, że Jeanette musiała zakryć uszy.

– Wstawaj, suuu-ko! Pobudka, kurwa, kawa czeka!

Kobieta na pryczy otworzyła oczy o migdałowym wykroju, tak ciemne jak jej włosy. Spuściła nogi na podłogę – długie i piękne, nawet w obszernych więziennych drelichach – i ziewnęła. Potem wyciągnęła ręce do góry, prężąc piersi, z którymi nawet cycki Claudii nie mogły się równać.

– Towarzystwo! – zawołała. Ledwie jej bose stopy dotknęły podłogi, a już doskoczyła do krat i wystawiła ręce na zewnątrz; jedną chwyciła dłoń Angel, drugą – dłoń Jeanette. Angel cofnęła się instynktownie. Jeanette była zbyt oszołomiona. Miała wrażenie, jakby słaby prąd przepływał z ręki nowej na jej własną dłoń. – Angel! Tak się cieszę, że przyszłaś! Mogę rozmawiać ze szczurami,

ale sztuka konwersacji nie jest ich mocną stroną. Nie krytykuję, stwierdzam fakt. Każde stworzenie ma swoje zalety i wady. Na przykład, z tego, co słyszałam, Henry Kissinger jest fascynującym rozmówcą, a z drugiej strony ileż ten człowiek ma krwi na rękach! Gdybym musiała wybierać, wolałabym towarzystwo szczura, bardzo dziękuję, i możecie o tym napisać w prasie, tylko nie przekręćcie mojego nazwiska.

– Co ty, do pieruna, gadasz? – spytała Angel.

– Oj, właściwie nic. Przepraszam, że tak plotę. Dopiero co byłam po drugiej stronie świata. Takie podróże trochę mącą w głowie. A oto Jeanette Sorley! Co u Bobby'ego, Jeanette?

– Skąd znasz nasze imiona? – spytała Angel. – I jak to jest, że śpisz i nie obrastasz tym syfem?

– Jestem Evie. Przybyłam z Drzewa. Ciekawie wam się tu żyje, co? Zawsze coś się dzieje! Tyle do zrobienia, tyle do zobaczenia!

– Bobby ma się dobrze – powiedziała Jeanette. Czuła się jak we śnie… i może to rzeczywiście był sen. – Chciałabym zobaczyć się z nim raz jeszcze, zanim zas…

Angel pociągnęła ją do tyłu tak mocno, że omal jej nie przewróciła.

– Zamknij się, Jeanie. Twój synuś nie ma tu nic do rzeczy. – Wsadziła rękę do wyścielanej celi i złapała Evie za obficie wypełniony przód drelichów. – Jak to robisz, że nie zasypiasz? Mów albo spuszczę ci manto, jakiego w życiu nie dostałaś. Jak skończę, będziesz miała pizdę tam, gdzie odbyt, i na odwrót.

Evie zaśmiała się wesoło.

– To byłby istny cud medycyny, nie? Kurczę, musiałabym się od nowa uczyć korzystać z ubikacji.

Angel się zaczerwieniła.

– Pogrywasz sobie ze mną? Na pewno tego chcesz? Myślisz, że skoro siedzisz w celi, to cię nie dorwę?

Evie spojrzała w dół, na trzymające ją dłonie. Tylko spojrzała. A mimo to Angel nagle krzyknęła i zatoczyła się do tyłu. Palce jej poczerwieniały.

– Poparzyła mnie! – zawołała. – Suka jakoś mnie poparzyła!

Evie odwróciła się do Jeanette. Uśmiechała się, ale Jeanette miała wrażenie, że w jej ciemnych oczach dostrzega nie tylko wesołość, ale

i smutek.

– Problem jest bardziej złożony, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka, rozumiem to. Naprawdę. Niektóre feministki chcą wierzyć, że źródłem całego zła na świecie są mężczyźni. Ich wrodzona skłonność do agresji. Poniekąd mają rację, kobieta nigdy nie wszczęła wojny, choć, wierz mi, niektóre o niczym innym nie marzyły. Ale na świecie jest też sporo niegrzecznych, bardzo niegrzecznych sikorek. Bezsprzecznie.

– Co ty pierdolisz?

Evie znów spojrzała na Angel.

– Doktor Norcross żywi wobec ciebie pewne podejrzenia, Angel. Na przykład że zabiłaś właściciela twojego mieszkania w Charlestonie.

– Nikogo nie zabiłam! – Teraz Angel pobladła; cofnęła się o krok i wpadła na wózek z kawą. Przyciskała poczerwieniałe dłonie do piersi.

Evie przeniosła wzrok na Jeanette i zniżyła głos, jakby mówiła jej coś w zaufaniu:

– Zabiła pięciu ludzi. Pięciu. – Znowu zwróciła się do Angel: – Przez jakiś czas to było dla ciebie swoiste hobby, prawda, Angel? Pojechać autostopem byle gdzie, z nożem w torebce i małą trzydziestką dwójką w bocznej kieszeni twojej nieodłącznej kurtki z niewyprawionej skóry. Ale to jeszcze nie wszystko, mam rację?

– Zamknij się! Zamknij się!

Te niesamowite oczy znów powędrowały ku Jeanette. Głos Evie był cichy, ale ciepły. To był głos kobiety z reklamy telewizyjnej, gospodyni domowej, która mówi przyjaciółce, że kiedyś też miała kłopoty z wywabieniem plam od trawy ze spodni dziecka, ale ten nowy detergent wszystko zmienił.

– Zaszła w ciążę, kiedy miała siedemnaście lat. Ukrywała to pod warstwami obszernych ciuchów. Pojechała stopem do Wheeling… przy tej okazji nikogo nie zabiła, chwała jej za to… i wynajęła pokój. Tam urodziła dziecko…

– ZAMKNIJ SIĘ, POWIEDZIAŁAM!

Ktoś musiał zauważyć na monitorze, co się dzieje, bo Rand Quigley i Millie Olson nadbiegali korytarzem, Quigley z gazem łzawiącym

w dłoni, Olson z paralizatorem ustawionym na średnią moc.

– Utopiła je w umywalce, a ciało wrzuciła do pieca do spalania odpadów. – Evie skrzywiła się, zamrugała parę razy i dodała cicho: – Puf. I po sprawie.

Quigley spróbował pochwycić Angel. Czując jego dotyk, obróciła się gwałtownie, machnęła pięścią i przewróciła wózek, a razem z nim kawę, sok i całą resztę. Brązowa ciecz – już nie wrząca, ale wciąż gorąca – chlusnęła na nogi Millie Olson. Strażniczka krzyknęła z bólu i upadła na tyłek.

Jeanette patrzyła ze zdumieniem, jak Angel rzuca się na Quigleya – niczym Hulk Hogan chwyta go jedną ręką za gardło, a drugą wytrąca mu z dłoni gaz łzawiący. Pojemnik spadł na podłogę i poturlał się przez kraty do celi. Evie schyliła się, podniosła go i podała Jeanette.

– Chcesz to?

Jeanette bez namysłu wzięła gaz.

Oficer Olson taplała się w brązowej kałuży, próbując się wygrzebać spod przewróconego wózka. Quigley usiłował nie dać się udusić. Chociaż Angel była chuda, a on co najmniej dwadzieścia pięć kilo od niej cięższy, potrząsała nim jak pies wężem trzymanym w kłach; rzuciła go na wózek w tej samej chwili, kiedy Millie Olson zaczęła się podnosić. Strażnicy ponownie padli na podłogę z głuchym łoskotem. Angel obróciła się w stronę celi. Szeroko otwarte oczy błyszczały w jej wąskiej, drobnej twarzy.

Evie rozłożyła ramiona tak szeroko, jak pozwalały na to kraty, i wyciągnęła je do Angel niby oblubienica przywołująca ukochanego. Angel też wysunęła dłonie przed siebie, z palcami zakrzywionymi w szpony, i rzuciła się na nią z wrzaskiem.

Tylko Jeanette zobaczyła, co się stało potem. Strażnicy wciąż gramolili się spod przewróconego wózka, a Angel była zaślepiona furią. Jeanette zdążyła pomyśleć: To, co widzę, to już nie wybuch gniewu, tylko prawdziwy atak psychozy. Wtedy usta Evie rozwarły się tak szeroko, że zajęły praktycznie całą dolną połowę jej twarzy, i wylało się z nich stado – nie, rzeka – ciem. Krążyły wokół głowy Angel, część ugrzęzła w spiętrzonej fali jej tlenionych włosów. Angel krzyczała i opędzała się od nich.

Jeanette rąbnęła ją w potylicę pojemnikiem gazu łzawiącego. Zyskam sobie wroga, pomyślała, ale może zaśnie, zanim zdąży się na mnie odegrać.

Ćmy poleciały w stronę okratowanych lamp Skrzydła A i wlały się do głównej części więzienia. Angel odwróciła się, wciąż otrzepując głowę (choć wyglądało na to, że wszystkie owady już wyfrunęły z jej włosów i dołączyły do reszty stada). Wtedy Jeanette prysnęła gazem prosto w jej twarz.

– Teraz rozumiesz, jaki to złożony problem, co, Jeanette? – powiedziała Evie, kiedy Angel zatoczyła się na ścianę, wyjąc i desperacko przecierając oczy. – Myślę, że pora przekreślić cały układ mężczyzna – kobieta. Wcisnąć „delete” i zacząć od nowa. Co ty myślisz?

– Że chcę się zobaczyć z synem – odparła Jeanette. – Chcę się zobaczyć z moim Bobbym.

A potem upuściła pojemnik z gazem i zaczęła płakać.

4

W czasie tego zajścia Claudia „Petarda” Stephenson wyłoniła się z punktu odwszawiania i postanowiła poszukać nowych, spokojniejszych horyzontów. W Skrzydle A było dziś zbyt głośno. Zbyt nerwowo. W dodatku cała podłoga zalana była tą specjalną kawą i strasznie śmierdziało. Lepiej nie pertraktować z diabłem, kiedy masz skołatane nerwy – to się rozumie samo przez się. Mogła porozmawiać z kobietą z A-10 później. Minęła Kabinę i weszła do Skrzydła B. Bez koszuli.

– Osadzona! – Van Lampley wychyliła się z Kabiny, odrywając wzrok od monitora pokazującego zamieszanie w Skrzydle A, które lada chwila mogło się przerodzić w bójkę. (Angel i jej cholerna superkawa; Van była zbyt wykończona, żeby czynić sobie wyrzuty, ale nie powinna była przystać na ten plan). Wysłała Quigleya i Olson, żeby uspokoili sytuację, i właśnie miała ruszyć im na pomoc, kiedy minęła ją Stephenson.

Claudia bez słowa szła dalej.

– Nie zapomniałaś czegoś? To więzienie, nie klub nocny. Do ciebie mówię, Stephenson! Gdzie leziesz? – zapytała Van, choć tak naprawdę – czy w ogóle ją to obchodziło? Wiele więźniarek snuło się po korytarzach, pewnie próbowały odpędzić sen, a tymczasem na końcu Skrzydła A trwała rozróba. To tam Van była teraz potrzebna.

Ruszyła w tamtą stronę, ale Millie Olson – z przodu cała ochlapana kawą – machnęła na nią, żeby wracała.

– Wszystko pod kontrolą – powiedziała. – Zamknęliśmy tę szurniętą sukę Fitzroy. Sytuacja wróciła do normy.

Van pomyślała, że nic nie jest pod kontrolą ani w normie, jednak skinęła głową.

Rozejrzała się za Stephenson; nigdzie jej nie dostrzegła. Wróciła do Kabiny i włączyła na jednym z monitorów podgląd Skrzydła B – w samą porę, by zobaczyć, jak Claudia wchodzi do B-7, celi Dempster i Sorley. Tyle że Sorley wciąż była w Skrzydle A, a Dempster od dłuższego czasu się nie pokazywała. Osadzone nie cofały się przed drobnymi kradzieżami, jeśli zastawały pustą celę (największą popularnością cieszyły się pigułki i majtki), a takie rabunki nieuchronnie pociągały za sobą kłopoty. Van nie miała powodu podejrzewać, że Claudia, która nikomu nie wadziła – choć przy swoich pokaźnych gabarytach mogłaby być sporym utrapieniem – dopuściłaby się czegoś takiego. Strażnikom jednak płacą za to, żeby byli podejrzliwi. Nie mogła pozwolić, by wybuchła draka z powodu skradzionej własności. I bez tego wszystko się sypało.

Postanowiła przeprowadzić szybką kontrolę. To było tylko przeczucie, ale na widok Claudii – idącej ze spuszczoną głową, włosami opadającymi na twarz i koszulą porzuconą Bóg wie gdzie – pomyślała, że coś jest nie tak. Zajmie to tylko minutę, a przy okazji rozprostuje nogi. Przywróci w nich krążenie.

Claudia nie zamierzała niczego ukraść. Chciała tylko z kimś spokojnie porozmawiać. Zabić czas do chwili, kiedy sytuacja w Skrzydle A się uspokoi i będzie mogła zapytać nową, co ona, Claudia, ma zrobić, żeby zasnąć i obudzić się jak co dzień. Nowa może powie, może nie powie, kto ją tam wie. Diabeł jest nieobliczalny. Kiedyś był aniołem.

Ree leżała na swej pryczy, twarzą do ściany. Claudia pierwszy raz zauważyła, nie bez żalu, że Ree zaczyna siwieć. Sama też miała ten problem i dlatego farbowała włosy. Kiedy nie było jej stać na prawdziwą farbę (albo gdy żadna z nielicznych odwiedzających ją osób nie dawała się namówić, by przynieść Nutrisse Szampański Blond, jej ulubioną), używała soku cytrynowego z kuchni. Działał nieźle, ale był nietrwały.

Wyciągnęła rękę do włosów Ree i zaraz cofnęła ją z cichym okrzykiem, bo część siwizny przylgnęła do jej palców. Nitki zafalowały w powietrzu, po czym się rozpuściły.

– Och, Ree… – jęknęła Claudia ze smutkiem. – Tylko nie ty.

Może jednak nie było za późno; Ree miała we włosach tylko kilka kosmyków tej dziwnej waty. Może Bóg przysłał Claudię do B-7 w samą porę. Może to jest próba.

Wzięła Ree za ramię i przewróciła na plecy. Nitki wysnuwały się z jej policzków i biednego, zrytego bliznami czoła, wychodziły z nozdrzy i tańczyły, poruszane jej oddechem, ale twarz wciąż była widoczna.

No, prawie.

Claudia zaczęła zeskrobywać dłonią to paskudztwo z policzków Ree, od jednej strony do drugiej, nie pomijając białawych nici wyłaniających się z ust i kładących się na wargach. Wolną ręką potrząsała ją za ramię.

– Stephenson? – rozległo się z głębi korytarza. – Osadzona, co tam robisz? To nie twoja cela.

– Obudź się! – krzyknęła Claudia, potrząsając mocniej. – Obudź się, Ree! Bo potem już nie będziesz mogła!

Nic.

– Osadzona Stephenson? Do ciebie mówię.

– To oficer Lampley – powiedziała Claudia, wciąż szarpiąc śpiącą, wciąż zeskrobując niezliczone białe nitki z jej skóry; Boże, tak szybko wyrastały, że nie mogła nadążyć. – Lubię ją, a ty? A ty, Ree? – Claudia się rozpłakała. – Nie odchodź, kochana… Za wcześnie, żebyś odeszła!

Przez chwilę myślała, że kobieta na pryczy się z nią zgadza, bo jej oczy otworzyły się szeroko, a na usta wypłynął uśmiech.

– Ree! – zawołała Claudia. – Och, dzięki Bogu! Myślałam, że już…

Tyle że uśmiech był coraz szerszy, wargi rozsuwały się i rozsuwały, aż nie był to już uśmiech, tylko dziki, obnażający zęby grymas. Ree usiadła prosto, złapała Claudię za szyję i odgryzła jej kolczyk, jeden z ulubionych Claudii, małą plastikową głowę kota. Claudia krzyknęła. Ree wypluła kolczyk razem ze strzępem płatka ucha i rzuciła się jej do gardła.

Claudia ważyła trzydzieści parę kilogramów więcej niż drobna Ree Dempster, była silna, ale Ree wpadła w szał. Ledwo mogła utrzymać ją na dystans. Palce Ree zsunęły się z szyi Claudii, paznokcie wbiły się w jej nagie ramiona, aż popłynęła krew.

Claudia chwiejnie wycofała się od pryczy w stronę otwartych drzwi celi, a Ree, uczepiona jej jak rzep psiego ogona, warczała, zgrzytała zębami i miotała się, usiłując wyswobodzić się z jej uchwytu, zbliżyć do niej na tyle, by zrobić jej poważną krzywdę. I nagle znalazły się na korytarzu, wokół krzyczały więźniarki, oficer Lampley ryczała na całe gardło. A wszystkie te dźwięki rozlegały się w innej galaktyce, innym wszechświecie, bo oczy Ree były wytrzeszczone, zęby Ree kłapały o centymetry od twarzy Claudii i wtedy, o Boże, Claudia zaplątała się we własne nogi i runęła jak długa na korytarzu Skrzydła B. Ree wylądowała na niej.

– Osadzona! – krzyknęła Van. – Osadzona, puść ją!

Kobiety wrzeszczały. Tylko nie Claudia, przynajmniej początkowo. Nie mogła tracić sił na krzyk, potrzebowała ich, żeby trzymać tę wariatkę – tego demona – z dala od siebie. Tylko że to nic nie dawało. Kłapiące usta były coraz bliżej. Czuła zapach oddechu Ree, widziała krople jej śliny, w których tańczyły małe białe włókienka.

– Osadzona, wyciągnęłam broń! Nie zmuszaj mnie, żebym jej użyła! Proszę, nie zmuszaj mnie do tego!

– Zastrzel ją! – usłyszała Claudia i uświadomiła sobie, że to ona sama krzyczy. A jednak miała dość sił. – Proszę, oficer Lampley!

Korytarzem wstrząsnął potężny huk. Wielka czarna dziura pojawiła się w czole Ree, na samym środku siatki blizn. Jej oczy powędrowały ku górze, jakby chciała zerknąć na tę dziurę. Ciepła krew trysnęła na twarz Claudii.

Ostatnim nadludzkim wysiłkiem Claudia zepchnęła z siebie bezwładne ciało. Ree runęła na podłogę z głuchym tąpnięciem.

Oficer Lampley stała w rozkroku, trzymając oburącz służbową broń. Z lufy unosiła się smuga dymu, przypominająca Claudii białe nici, które przylgnęły do jej palców, kiedy musnęła dłonią włosy Ree. Twarz oficer Lampley była trupio blada, pomijając sine wory pod oczami.

– Chciała mnie zabić… – wydyszała Claudia.

– Wiem – powiedziała Van. – Wiem.

ROZDZIAŁ 17

1

W połowie drogi do miasta pewna myśl kazała Clintowi Norcrossowi zjechać na parking przed barem Olympia. Zatrzymał wóz obok tablicy z napisem: „Skosztuj naszego bajecznego ciasta jajecznego”, wyciągnął telefon i poszukał nazwiska Hicksa. Okazało się, że nie ma jego numeru – mówiło to wszystko o relacjach Clinta z zastępcą naczelnika zakładu karnego w Dooling. Przewinął listę dalej i znalazł pozycję „Lampley”.

Odebrała po drugim sygnale. Wydawała się zdyszana.

– Van? Nic ci nie jest?

– Nie, ale ledwie pan pojechał, zaczęły się fajerwerki. Doktorze, musiałam kogoś zastrzelić.

– Co takiego? Kogo?

– Ree Dempster. Nie żyje.

Van pokrótce wyjaśniła, co się stało. Clint słuchał z rosnącym przerażeniem.

– Jezu – powiedział, kiedy skończyła. – Trzymasz się jakoś?

– Fizycznie tak. Emocjonalnie jestem zupełnie rozwalona, ale na psychoanalizę przyjdzie czas później. – Potężnie zatrąbiła nosem, jakby w coś smarkała. – To nie wszystko.

Powiedziała Clintowi o ostrym spięciu między Angel Fitzroy i Evie Black.

– Nie było mnie przy tym, ale część widziałam na monitorach.

– Dobrze, że to zobaczyłaś. A co do Claudii… z tego, co rozumiem, uratowałaś jej życie.

– Dempster nie wyszła na tym najlepiej.

– Van…

– Lubiłam ją. Gdyby mnie pan zapytał, powiedziałabym, że ją ostatnią podejrzewałabym o to, że dostanie pierdolca.

– Gdzie jest ciało?

– W składziku. – W głosie Van brzmiał wstyd. – Nie mieliśmy innego pomysłu.

– Oczywiście. – Clint mocno zacisnął oczy i potarł czoło. Czuł, że powinien powiedzieć coś jeszcze, jakoś ją pocieszyć, ale zabrakło mu słów. – A Angel? Co z nią?

– Sorley, wiem, trudno uwierzyć, ale to właśnie Sorley złapała pojemnik gazu łzawiącego i w nią prysnęła. Quigley i Olson wsadzili Fitzroy do celi w Skrzydle A. W tej chwili wali w ściany i wrzeszczy, że chce lekarza. Marudzi, że oślepła, co jest bzdurą. Twierdzi też, że ma ćmy we włosach, a to akurat może być prawda. Namnożyło się ich tu co niemiara. Musi pan wrócić, doktorze. Hicks zupełnie się rozsypał. Chciał, żebym zdała broń. Odmówiłam, choć to pewnie wbrew regulaminowi.

– Dobrze zrobiłaś. Dopóki sytuacja się nie uspokoi, regulamin można wyrzucić do kosza.

– Hicks jest do niczego.

Jakbym nie wiedział, pomyślał Clint.

– To znaczy zawsze taki był, ale w tych okolicznościach może być autentycznie niebezpieczny.

Szukał jakiegoś punktu zaczepienia.

– Mówiłaś, że Evie prowokowała Angel. Co dokładnie jej powiedziała?

– Nie wiem, Quigley i Millie też nie wiedzą. Może Sorley słyszała. To ona powstrzymała Angel. Laska naprawdę zasłużyła na medal. Jeśli nie padnie, opowie panu wszystko, kiedy pan wróci. Co, jak rozumiem, nastąpi niedługo?

– Najszybciej, jak to możliwe – zapewnił Clint. – Słuchaj, Van, wiem, że przeżyłaś wstrząs, ale chcę, żebyś coś mi wyjaśniła. Angel rzuciła się na Evie, bo Evie nie obrosła kokonem, tak?

– Tak myślę. Widziałam tylko, że waliła w kraty zakrętką termosu i darła się na całe gardło. Potem miałam już inne zmartwienia.

– Ale się obudziła?

– Uhm.

– Evie się obudziła.

– Tak. To znaczy Fitzroy ją obudziła.

Próbował poskładać to wszystko w logiczną całość, ale bezskutecznie. Może gdyby trochę się przespał…

Wyrzuty sumienia na tę myśl przyprawiły go o gorący rumieniec. Przyszedł mu do głowy szalony pomysł: a jeśli Evie Black jest mężczyzną? Może jego żona aresztowała faceta przebranego za kobietę?

Ale nie. Kiedy Lila ją zatrzymała, Evie była goła jak ją Pan Bóg stworzył. Poza tym strażniczki przed przyjęciem do więzienia też pewnie miały okazję obejrzeć ją w pełnej krasie. No i jak wyjaśnić fakt, że wszystkie jej sińce i zadrapania zagoiły się w niecałe pół dnia?

– Chcę, żebyś przekazała to, co teraz powiem, Hicksowi i pozostałym strażnikom, którzy jeszcze tam są. – Clint wrócił do swej pierwotnej myśli, tej, z której powodu zjechał na parking i zadzwonił do więzienia.

– To nie zajmie dużo czasu – mruknęła Van. – Właśnie przyszli Billy Wettermore i Scott Hughes; dobre i to, ale nawet z nimi mamy, mówiąc delikatnie, okrojoną załogę. Jest nas siedmioro, licząc Hicksa. Pan będzie ósmy.

Clint zignorował tę jawną aluzję.

– W drodze do miasta przyszło mi coś do głowy. Eve Black jest ewidentnie inna od reszty kobiet… już sam nie wiem, co o tym sądzić, zwłaszcza w świetle tego, co mi powiedziałaś, wiem tylko, że musimy to zachować dla siebie, przynajmniej na razie. Niezależnie czy to prawda, czy nie. Gdyby to wyszło na jaw, mogłyby wybuchnąć zamieszki. Rozumiesz?

– Hm…

„Hm” wzbudziło w Clincie złe przeczucia.

– O co chodzi, Van?

– Cóż…

„Cóż” jeszcze mniej mu się spodobało.

– Po prostu powiedz.

Kolejne głośne smarknięcie.

– Widziałam, jak Hicks rozmawia przez komórkę po tym, jak zadyma w Skrzydle A się skończyła, a ja odmówiłam oddania mu broni. Poza tym, kiedy Millie przedstawiła sytuację Scottowi i Billy'emu, obaj zaraz złapali za telefony.

A zatem jest za późno. Clint zamknął oczy. W głowie ułożyła mu się krótka bajka:

Dawno, dawno temu był sobie szerzej nieznany psychiatra więzienny, który ubrał się na czarno, wybiegł w noc i położył się w poprzek autostrady. Nadjechał autobus i skrócił jego męki, po czym wszyscy żyli długo i szczęśliwie – a może nie, ale przynajmniej nie było to już zmartwieniem szerzej nieznanego psychiatry. Koniec.

– No dobra – powiedział. – Oto, co zrobimy: przekaż im, że koniec z telefonami, niech więcej do nikogo nie dzwonią. Rozumiesz?

– Zadzwoniłam do siostry! – wybuchnęła nagle Van. – Przepraszam, doktorze, ale chciałam zrobić coś dobrego, jakoś zadośćuczynić za to, że musiałam zastrzelić Dempster! Powiedziałam Bonnie, żeby nie zasypiała, choćby nie wiadomo jak bardzo jej się chciało, bo być może mamy w więzieniu odporną osobę, a to może znaczyć, że istnieje lekarstwo! Albo że choroba sama przechodzi!

Clint otworzył oczy.

– Jak długo jesteś na nogach, Van?

– Od czwartej rano! Cholerny pies mnie obudził! Musiała wyjść się w-w-wysikać! – Twarda jak głaz Vanessa Lampley nie mogła dłużej wytrzymać. Rozpłakała się.

– Po prostu powiedz załodze, żeby do nikogo więcej nie dzwonili, dobrze? – Prawie na pewno było za późno, ale może uda się trochę odwlec moment, gdy wiadomość pójdzie w świat. Może nawet znajdzie się sposób, żeby sprawę wyciszyć. – Zadzwoń jeszcze raz do swojej siostry i powiedz, że się pomyliłaś. Że to była fałszywa plotka, na którą dałaś się nabrać. I niech pozostali zrobią to samo.

Cisza.

– Van, jesteś tam jeszcze?

– Nie chcę, doktorze Norcross. I z całym szacunkiem nie sądzę, żeby to było dobre rozwiązanie. Bonnie przynajmniej tej nocy nie zaśnie, bo wierzy, że jest nadzieja. Nie pozbawię jej złudzeń.

– Rozumiem, co czujesz, ale to jest jedyne dobre rozwiązanie. Chcesz, żeby grupa ludzi z miasta ruszyła na więzienie jak… jak chłopi z pochodniami szturmujący zamek w starym *Frankensteinie*?

– Niech pan jedzie do żony – powiedziała Van. – Mówił pan, że jest na nogach jeszcze dłużej niż ja. Zobaczymy, czy zdoła pan spojrzeć jej w twarz i zataić przed nią, że może jest światełko na końcu tunelu.

– Van, posłuchaj…

Rozłączyła się.

Clint długo patrzył na komunikat „połączenie zakończone”. Potem schował telefon do kieszeni i ruszył do miasta.

Dempster nie żyje. Wesoła Ree Dempster. Nie mógł w to uwierzyć. Serce mu się krajało na myśl o Van Lampley – pomimo jej niesubordynacji. Chociaż, bądźmy szczerzy, jak mogła być niesubordynowana wobec niego? Był tylko więziennym psychiatrą, na litość boską.

2

Gdy Clint wjechał na jedno z miejsc parkingowych, oznakowanych „Postój max 15 min”, przed biurem szeryfa, usłyszał ostatni dźwięk, jaki spodziewał się usłyszeć: śmiech dobywający się zza otwartych drzwi budynku.

W sali odpraw zebrała się spora załoga. Lila siedziała przy stanowisku dyspozytora obok Linny. Pięciu zastępców szeryfa otaczało je nierównym kołem, sami mężczyźni – Terry Coombs, Reed Barrows, Pete Ordway, Elmore Pearl i Vern Rangle. Na zewnątrz kręgu glin byli Barry Holden, obrońca publiczny, który krótko zajmował się sprawą Evie Black, oraz siwobrody staruszek, znany Clintowi z widzenia. Willy Burke, tak się nazywał.

Lila paliła. Rzuciła papierosy przed ośmiu laty, kiedy Jared pewnego dnia wyraził nadzieję, że mama nie umrze na raka płuc, dopóki on nie dorośnie. Linny Mars i dwaj inni też ostro kurzyli. Powietrze było sine i wonne.

– Co tu się dzieje? – spytał.

Lila rozpromieniła się na jego widok. Zgasiła papierosa w kubku po kawie, pobiegła do Clinta i skoczyła mu na szyję. Dosłownie. Objęła go nogami w pasie, skrzyżowała kostki na jego udach i dała mu mocnego buziaka. To wywołało kolejną salwę śmiechu, radosny okrzyk mecenasa Holdena i pojedyncze oklaski.

– Ależ się cieszę, że jesteś! – powiedziała i znów go pocałowała.

– Właśnie jechałem do Jareda – wyjaśnił Clint. – Pomyślałem, że wpadnę i zobaczę, czy możesz się wyrwać.

– Jared! – krzyknęła. – Uwierzysz, jakiego wspaniałego dzieciaka wychowaliśmy, Clint? Rany boskie, tak świetni z nas rodzice, że czasem myślę, że postąpiliśmy egoistycznie, nie decydując się na drugie dziecko. – Trzepnęła go w pierś i oderwała się od niego z uśmiechem.

Źrenice Lili były dwoma punkcikami.

Do Clinta podszedł Terry Coombs. Miał podkrążone, zapuchnięte oczy. Uścisnęli sobie dłonie.

– Słyszałeś, co się stało z Rogerem, nie? Próbował rozpakować żonę. Zły pomysł. Powinien był poczekać do Bożego Narodzenia. – Terry ryknął śmiechem, który jednak zaraz przeszedł w szloch. – Ja też straciłem żonę. A do dziecka nie mogę się dodzwonić.

Od Coombsa czuć było alkohol, od Lili nie; wspomagała się czymś znacznie silniej pobudzającym niż gorzała. Clint przez chwilę miał ochotę przelicytować Terry'ego opowieścią o tym, co zaszło w więzieniu. Wybił to sobie jednak z głowy. Śmierć Ree Dempster nie była anegdotką do opowiadania na imprezie, a z tego, co widział, to właśnie się tu odbywało.

– Przykro mi, Terry.

Pete Ordway objął Terry'ego i odprowadził na bok.

Lila wskazała na brodacza.

– Skarbie, znasz Willy'ego Burke'a, nie? Przewieźliśmy Rogera i Jessicę do prosektorium jego pikapem. Mówiąc „prosektorium", mam na myśli chłodnię w Squeaky Wheel. Okazuje się, że do szpitala nie można się dostać. To dopiero prowizorka, co? – Zachichotała i położyła dłonie na policzkach. – Przepraszam. Nie mogę się powstrzymać.

– Cieszę się, że pana widzę – odezwał się Willy. – Ma pan wspaniałą żonę. Jest zmęczona, a dzielnie robi, co do niej należy.

– Dzięki – odparł Clint, po czym zwrócił się do swej wspaniałej żony: – Zgaduję, że sięgnęliście do magazynu dowodów rzeczowych.

– Tylko Lila i ja – odpowiedziała za nią Linny. – Terry napił się szkockiej.

Lila wyjęła z tylnej kieszeni receptę na provigil i oddała Clintowi.

– Nie dostanie się ani tego, ani niczego innego. Dwie apteki splądrowane, z Rite-Aid zostały zgliszcza. Pewnie czułeś smród, wjeżdżając do miasta.

Clint pokręcił głową.

– Urządziliśmy tu sobie coś w rodzaju czuwania – powiedział Vern. – I chciałbym, żeby wszystkie kobiety wzięły z nas przykład.

Reszta towarzystwa chwilę patrzyła na niego ze zdumieniem. Pierwszy zaśmiał się Barry, potem pozostali zastępcy szeryfa, na koniec Willy, Lila i Linny. Ta ogólna wesołość wydawała się jakoś nie na miejscu.

– Czuwanie – powiedziała Lila i trzepnęła Clinta w ramię. – Bo kto czuwa, nie śpi. Rozumiesz?

– Rozumiem – odparł. Znalazł się w policyjnym odpowiedniku Krainy Czarów.

– Ja jestem trzeźwy jak świnia. – Willy Burke podniósł dłoń. – Od czasu do czasu pędzę małe co nieco… – Mrugnął do Lili. – Pani komendant, jakby co, tego nie słyszała… ale nie piję ani kropli. Czterdzieści lat jestem abstynentem.

– Wyznam, że zarekwirowałem trunek pana Burke'a na własny użytek – powiedział Barry Holden. – Uznałem, że tak trzeba, zważywszy na to, co się dzieje na świecie.

Zastępcy szeryfa – Barrows, Ordway, Pearl i Rangle – oświadczyli, że są trzeźwi, Vern Rangle nawet podniósł dłoń, jakby zeznawał w sądzie. Clint zaczynał wpadać w złość. To przez te śmiechy. Rozumiał, z czego się biorą, Lila miała prawo być trochę skołowana po jakichś trzydziestu godzinach bez snu, a do tego sam podsunął jej pomysł, żeby sięgnęli do magazynu dowodów, ale i tak zupełnie mu się to nie podobało. W drodze do miasta myślał, że jest przygotowany praktycznie na wszystko, ale, jak się okazało, nie był

przygotowany na wieść, że Van zastrzeliła Ree, ani na irlandzką stypę na posterunku.

– Właśnie wspominaliśmy, jak Roger kiedyś pojechał na interwencję w sprawie kłótni rodzinnej, a pani domu wychyliła się przez okno i kazała mu wypierdalać w podskokach – powiedziała Lila. – Kiedy nie spełnił jej żądania, wylała mu na głowę całe wiadro farby. Przez miesiąc nie mógł domyć włosów.

– Dutch Boy, odcień Czerwona Rumba! – zawołała Linny ze śmiechem, upuszczając sobie papierosa na kolana. Podniosła go i omal nie włożyła zapalonym końcem do ust; kiedy próbowała go odwrócić, wypadł jej na podłogę. To znów rozbawiło towarzystwo.

– Co wzięłyście? – spytał Clint. – Ty i Linny? Kokainę?

– Nie, kokainę trzymamy na później – odparła Lila.

– Bez obaw, pani szeryf, będę pani bronił – stwierdził Barry. – Powołam się na nadzwyczajne okoliczności. Żadna ława przysięgłych w Ameryce pani nie skaże.

To wywołało kolejny wybuch wesołości.

– Aresztując braci Grinerów, zarekwirowaliśmy ponad sto kapsułek amfy – wyznała Linny. – Lila otworzyła jedną i wciągnęłyśmy proszek nosem.

Clint pomyślał o Donie Petersie, który najpierw zmusił w świetlicy Jeanette Sorley, żeby zrobiła mu dobrze, a potem zaprawił kawę Janice środkiem uspokajającym. Pomyślał o idiotycznej kawie z dodatkami, na której zaparzenie sam wyraził zgodę. Pomyślał o dziwnej kobiecie ze Skrzydła A. Pomyślał o Ree duszącej Claudię i próbującej przegryźć jej gardło. Pomyślał o przerażonych więźniarkach płaczących w celach i o Vanessie Lampley mówiącej: „Nie chcę, doktorze Norcross”.

– Widzę, że pomogło – powiedział. Musiał wytężyć wszystkie siły, żeby nad sobą panować. – Wydajecie się bardzo przytomne.

Lila wzięła go za ręce.

– Wiem, jak to wygląda, kochanie… jak my wyglądamy… ale nie miałyśmy wyboru. Apteki trafił szlag, a w supermarketach wszystko o działaniu pobudzającym dawno się wyprzedało. Wiem to od Jareda. Rozmawiałam z nim. Nic mu nie jest, wiesz? Nie musisz się martwić…

– Mhm. Możemy chwilę pogadać na osobności?
– Oczywiście.

3

Wyszli w chłodną noc. Clint poczuł swąd popiołu i spalonego plastiku – wszystkiego, co zostało z Rite-Aid, jak się domyślał. Za ich plecami rozmowa zaczęła się na nowo. Śmiechy rozbrzmiały.

– Co się dzieje z Jaredem? – zapytał.

Lila podniosła dłoń jak osoba przeprowadzająca dzieci przez jezdnię. Jakby Clint był agresywnym kierowcą.

– Opiekuje się dziewczynką imieniem Molly. To wnuczka pani Ransom. Pani Ransom jest w kokonie, więc Jared wziął sprawy w swoje ręce. Na razie wszystko z nim w porządku. Nie musisz się o niego martwić.

Nie, pomyślał Clint, nie mów mi, żebym się nie martwił o naszego syna. Dopóki nie skończy osiemnastu lat, naszym obowiązkiem jest się o niego martwić. Jesteś tak naćpana, że o tym zapomniałaś?

– A przynajmniej nie bardziej niż to konieczne – dodała po chwili.

Jest zmęczona i ma mnóstwo spraw na głowie, przypomniał sobie. Dopiero co zabiła kobietę, na litość boską. Nie masz powodu się na nią złościć! A jednak się złościł. Emocje w bardzo małym stopniu poddają się logice. Wiedział to jako psychiatra, nie żeby ta wiedza w tej chwili mu pomagała.

– Jak długo jesteś na nogach?

Lila zamknęła jedno oko; liczyła w pamięci. Nadało jej to trochę piracki wygląd, który niespecjalnie mu się podobał.

– Od, nie wiem… pierwszej po południu wczoraj, tak mi się zdaje. Czyli… – Potrząsnęła głową. – Nie mogę obliczyć. Rany, ale mi serce wali! Co tam, grunt, że jestem przytomna, zawsze to coś. I spójrz na te gwiazdy! Piękne, prawda? – Clint obliczył za nią. Była na nogach około trzydziestu dwóch godzin. – Linny sprawdziła w Internecie, ile człowiek może wytrzymać bez snu – powiedziała pogodnie. – Rekord wynosi dwieście sześćdziesiąt cztery godziny. Ciekawe, nie?

Jedenaście dni! Ustanowił go uczeń szkoły średniej, który wybrał sobie taki temat projektu naukowego. Ręczę ci, że ten rekord się nie utrzyma. Na świecie jest dużo zdeterminowanych kobiet. Tyle że dość szybko następuje upośledzenie procesów poznawczych, a potem tracisz panowanie nad emocjami. Do tego dochodzi zjawisko o nazwie mikrosen, coś, czego sama doświadczyłam, kiedy byłam koło przyczepy mieszkalnej Trumana Mayweathera. Uf… mówię ci, traumatyczne przeżycie, już czułam, jak pierwsze kosmyki tego materiału wyrastają mi z głowy. Szczęście w nieszczęściu, że ludzie to ssaki prowadzące dzienny tryb życia, więc jak tylko wzejdzie słońce, wszystkie kobiety, które przetrwają noc, dostaną zastrzyk energii. Po południu nic z niej nie zostanie, ale…

– Szkoda, że wczoraj musiałaś wziąć nocną zmianę – przerwał jej Clint. Słowa wyszły z jego ust, zanim się zorientował, że są w drodze.

– Uhm. – Lila spoważniała. – Szkoda, że musiałam tak zrobić.

– Nie.

– Słucham?

– Ciężarówka z karmą dla zwierząt wywróciła się na Mountain Rest Road rok temu. Co robiłaś ostatniej nocy? Gdzie, do cholery, byłaś?

Jej twarz stała się biała jak kreda, ale źrenice w ciemności wróciły do w miarę normalnego rozmiaru.

– Jesteś pewien, że chcesz się teraz w to zagłębiać? Przy tym wszystkim, co się dookoła dzieje?

Może by zaprzeczył, gdyby nie to, że w tej samej chwili z posterunku dobiegł kolejny wybuch potwornie irytującego śmiechu. Chwycił żonę za ramiona.

– Powiedz mi!

Lila spojrzała na dłonie trzymające jej bicepsy, potem na niego.

Puścił ją i się cofnął.

– Na meczu koszykówki – odparła. – Chciałam obejrzeć jedną zawodniczkę. Numer trzydzieści cztery. Nazywa się Sheila Norcross. Jej matką jest Shannon Parks. Powiedz mi więc, Clint, kto kogo okłamywał?

Otworzył usta – sam nie wiedział, co chciał powiedzieć – ale zanim zdołał się odezwać, z posterunku wypadł Terry Coombs. Patrzył na

nich błędnym wzrokiem.

– O Jezu, Lila! Jezu Chryste!

Odwróciła się od Clinta.

– Co?

– Zapomnieliśmy! Jak mogliśmy zapomnieć? Jezu!

– O czym zapomnieliśmy?

– Platinum!

– Platinum?

Tylko spojrzała na Clinta i to, co zobaczył na jej twarzy, sprawiło, że uszła z niego cała złość. Lila miała zdezorientowaną minę kogoś, kto mgliście kojarzy, o czym mu się mówi, ale nie potrafi tego umiejscowić we właściwym kontekście, znaleźć punktu odniesienia. Była zbyt zmęczona.

– Platinum! Córeczka Rogera i Jessiki! – krzyknął Terry. – Ma dopiero osiem miesięcy i nadal jest w ich domu! Zapomnieliśmy, kurna, o dziecku!

– Dobry Boże…

Lila obróciła się na pięcie i zbiegła po schodach; Terry za nią. Żadne z nich nie spojrzało już na Clinta, nie odwrócili się też, kiedy ich zawołał. Rzucił się za nimi, przeskakując po dwa stopnie; złapał Lilę za ramię, zanim wsiadła do radiowozu. Ani ona, ani Terry nie powinni prowadzić w tym stanie, ale zdał sobie sprawę, że ich nie powstrzyma.

– Lila, posłuchaj, dziecku prawie na pewno nic nie jest. Jak już są w tych kokonach, ich stan się stabilizuje. To trochę tak, jakby były podłączone do aparatury podtrzymującej życie.

Strąciła jego dłoń ruchem ramienia.

– Porozmawiamy później. W domu.

Za kierownicą usiadł Terry. Terry, który dopiero co pił alkohol.

– Obyś się nie mylił co do tego dziecka – rzucił jeszcze i trzasnął drzwiami.

Pod Fredericksburgiem opona zapasowa, na której córka naczelnik Coates jeździła od kilku tygodni, pękła w najbardziej niedogodnym momencie; jej matka – jak każda matka i naczelnik więzienia, obsesyjnie oddająca się obmyślaniu najgorszych możliwych scenariuszy – na pewno przestrzegłaby ją, że taki koniec jest nieuchronny.

Michaela zatrzymała wóz na parkingu przy McDonaldzie i poszła do środka się wysikać.

Przy ladzie stał harleyowiec, potężny, z gołą klatą, na którą narzucił tylko skórzaną kamizelkę z wyszytym napisem „Szatańska 7". Na plecach miał pistolet maszynowy, chyba tec-9. Tłumaczył kasjerce z rozmazanym makijażem, że nie, nie zapłaci za ani jeden z zamówionych Big Maców. Dzisiaj oferta specjalna; dla niego wszystko za darmo. Słysząc szmer zamykanych drzwi, harleyowiec odwrócił się i zobaczył Michaelę.

– Cześć, siostro. – Patrzył z uznaniem mówiącym: całkiem niezła. – Znamy się?

– Kto wie – odparła Michaela i nie zatrzymując się, przeszła wzdłuż bocznej ściany McDonalda, minęła ubikację i tylnymi drzwiami wydostała się z powrotem na zewnątrz.

Pospieszyła na tyły parkingu i wsunęła się między gałęzie żywopłotu. Po jego drugiej stronie był sklep Hobby Lobby. W środku paliły się światła, ludzie przechadzali się między półkami. Michaela pomyślała, że trzeba mieć nielichego fioła na punkcie scrapbookingu, żeby w taki wieczór robić zakupy w Hobby Lobby.

Zrobiła krok naprzód i jej uwagę przyciągnęła corolla, stojąca z włączonym silnikiem może sześć metrów od niej. Siedzenie kierowcy zajmował biały kształt.

Podeszła do samochodu. Białym kształtem była, oczywiście, kobieta z głową i dłońmi w kokonach. Chociaż Michaela jeszcze czuła efekty działania koki, żałowała, że nie jest na dużo, dużo większym haju. Na kolanach owiniętej przędzą kobiety leżał martwy pies, pudel o powykręcanym ciele.

Och, Fido, nie powinieneś zlizywać pajęczyn z twarzy mamusi, kiedy mamusia śpi na parkingu. Mamusia bardzo się złości, gdy ktoś ją budzi.

Ostrożnie wyciągnęła psa i położyła go na trawie. Potem przeciągnęła kobietę, Ursulę Whitman-Davies według danych w prawie jazdy, na fotel pasażera. Niezbyt jej się uśmiechało wożenie nieprzytomnej kobiety ze sobą, ale czułaby się jeszcze gorzej, gdyby zostawiła ją w trawie obok martwego pudla. No i dochodził aspekt praktyczny: biorąc Ursulę, miała prawo korzystać z pasa dla pojazdów z pasażerami.

Usiadła za kierownicą i wjechała na drogę dojazdową do autostrady I-70.

Kiedy mijała McDonalda, wpadła na złośliwy pomysł. Niewątpliwie zrodził się z kokainy, a jednak uznała, że jest ze wszech miar słuszny. Zawróciła pod sąsiednim motelem 6 i pojechała z powrotem pod fast food. Przed samym budynkiem, oparty na nóżce, stał harley softail, stary model, sądząc z wyglądu. Nad rejestracją z Tennessee na tylnym błotniku widniała kalkomania przedstawiająca czaszkę ze słowem „szatańska" w jednym oczodole i cyfrą 7 w drugim. Na zębach widniał napis: „Strzeż się".

– Trzymaj się, Ursula – powiedziała Michaela do owiniętego kokonem drugiego pilota i skierowała corollę prosto na motocykl.

Jechała z prędkością może dziesięciu kilometrów na godzinę, ale gdy go stuknęła, przewrócił się z miłym dla ucha łoskotem. Harleyowiec siedział przy stoliku w witrynie, przed nim na tacy piętrzyła się góra jedzenia. Poderwał głowę w porę, by zobaczyć, jak Michaela cofa wóz od jego żelaznego rumaka, przemienionego w padniętą chabetę. Widziała, jak porusza ustami, biegnąc do drzwi – z bułą ociekającą Sekretnym Sosem w jednej dłoni, shakiem w drugiej i tec-9 podskakującym na plecach. Nie mogła poznać, co mówi, ale raczej nie było to „szalom". Pomachała mu radośnie, po czym wróciła na drogę wyjazdową i rozpędziła toyotę Ursuli do dziewięćdziesięciu na godzinę.

Trzy minuty później była już na autostradzie i śmiała się jak szalona. Wiedziała, że euforia długo nie potrwa, i żałowała, że nie ma więcej koki, żeby ją podtrzymać.

5

Corolla Ursuli była wyposażona w radio satelitarne i po chwili majstrowania przy guzikach Michaela znalazła News America. Wieści nie były budujące. Pojawiły się niepotwierdzone doniesienia, że w związku z „incydentem” z udziałem jego żony do siedziby wiceprezydenta na Number One Observatory Circle wezwano Secret Service. Bojownicy o prawa zwierząt pootwierali wszystkie klatki w Narodowym Zoo; liczni świadkowie widzieli, jak lew pożera coś, co wyglądało jak ludzkie ciało, na Cathedral Avenue. Ultrakonserwatyści przekonywali w swoich programach radiowych, że wirus aurory to dowód, iż Bóg jest wrogiem feminizmu. Papież apelował o poszukiwanie odpowiedzi przez modlitwę. Nationals odwołali zaplanowane na najbliższy weekend mecze z Orioles, co Michaela nie do końca rozumiała: przecież wszyscy zawodnicy (i sędziowie) to mężczyźni, nie?

Na fotelu pasażera istota, która do niedawna była Ursulą Whitman-Davies, kiwała owiniętą watą głową w rytm jazdy, kołysała się delikatnie na odcinkach wylanych gładkim makadamem, podskakiwała, gdy opony toczyły się po wyboistej, niewykończonej nawierzchni. Była albo absolutnie najlepszym, albo absolutnie najgorszym towarzyszem podróży w dziejach świata.

Kiedyś Michaela spotykała się z dziewczyną, która miała bzika na punkcie kryształów i wierzyła, że człowiek może przybrać postać światła; według niej wymagało to tylko spokojnego skupienia umysłu i prawdziwej wiary. Ta słodka, poważna dziewczyna teraz już pewnie spała, spowita bielą. Michaela pomyślała o swoim nieżyjącym ojcu: starym dobrym tacie, który siedział przy jej łóżku, kiedy bała się ciemności – przynajmniej tak opowiadała jej matka. Umarł, gdy miała trzy lata. Nie pamiętała go jako żywego człowieka. Pomimo plastycznej operacji nosa, pomimo przybranego nazwiska – była reporterką z krwi i kości. Interesowały ją przede wszystkim fakty, a o Archiem Coatesie wiedziała na pewno tylko to, że został włożony do trumny, która następnie spoczęła w ziemi na cmentarzu Shady Hills w mieście Dooling, i że jest tam do dziś. Nie przybrał postaci

światła. Nie pozwalała sobie żywić złudzeń, że wkrótce spotka tatę w zaświatach czy gdzie indziej. Sytuacja była taka: świat się kończył, obok Michaeli kołysała się dusicielka pudla obrośnięta pajęczynami, a ona sama chciała tylko spędzić kilka godzin z matką, zanim sen zmorzy je obie.

W Morgantown musiała zatankować. Na stacji była pełna obsługa. Młody facet, który wlewał benzynę do baku, przeprosił; terminale kart kredytowych padły. Michaela zapłaciła gotówką znalezioną w torebce Ursuli.

Facet miał krótką jasną brodę, prosty biały T-shirt i niebieskie dżinsy. Mężczyźni nigdy nie pociągali jej jakoś szczególnie, ale musiała przyznać, że ten smukły wiking jest całkiem, całkiem.

– Dziękuję – powiedziała. – Trzyma się pan jakoś?

– Oj tam – odparł – mniejsza ze mną. O mnie niech się pani nie martwi. Umie się pani tym posługiwać?

Podążyła spojrzeniem za ruchem jego brody – do torebki Ursuli, leżącej u biodra kobiety w kokonie. Spod rozsuniętego zamka wystawała rękojeść rewolweru. Wyglądało na to, że pani Whitman-Davies lubiła nie tylko psy, ale i broń palną.

– Nie bardzo – przyznała. – Koleżanka wiedziała, że mam przed sobą długą podróż, więc mi go pożyczyła.

Spojrzał na nią surowym wzrokiem.

– Bezpiecznik jest z boku. Niech pani dopilnuje, żeby był zwolniony, gdyby zanosiło się na kłopoty. Proszę mierzyć w środek ciała, centrum masy, i pociągnąć za spust. Potem nie puszczać, uważać, żeby przy odrzucie spluwa nie walnęła pani w cycek. Zapamięta pani?

– Uhm – mruknęła Michaela. – Centrum masy. Nie puszczać, uważać, żeby nie walnęła w cycek. Rozumiem. Dzięki.

Gdy odjeżdżała, usłyszała jeszcze wołanie wikinga:

– Pani z telewizji czy coś?

Koło pierwszej w nocy z czwartku na piątek wreszcie dotarła na przedmieścia Dooling. Kłęby dymu z płonącego lasu przetaczały się nad West Lavin, kiedy skierowała corollę w stronę majaczącego w ciemności długiego, niskiego budynku więzienia. Zakryła usta dłonią, żeby nie wdychać smrodu spalenizny.

Przed bramą wysiadła z samochodu i wcisnęła czerwony guzik bramofonu.

6

Maura Dunbarton siedziała w swojej celi w Skrzydle B z Kayleigh, a właściwie z tym, co z niej zostało. Kay nie była martwa, ale spała jak zabita. Czy śniła pod swoim całunem?

Trzymała dłoń na delikatnie falującej piersi kochanki i patrzyła, jak biały płat włóknistej brei wydyma się i opada, przy każdym wdechu podkreślając kontur jej otwartych ust. Dwa razy wpiła paznokcie w ten gruby i nieco lepki materiał, pragnąc go rozedrzeć i uwolnić Kay. Za każdym razem jednak przypominała sobie, co mówili w telewizji, i cofała ręce.

Plotki i wirusy przeziębienia szybko się roznosiły w zamkniętej społeczności zakładu w Dooling. To, co się stało przed godziną w Skrzydle A, nie było jednak plotką. Angel Fitzroy siedziała pod kluczem, z oczami opuchniętymi od gazu łzawiącego, i wydzierała się, że nowa to jebana czarownica.

Maurze wydawało się to zupełnie możliwe, zwłaszcza po tym, jak przez Skrzydło B przemknęła Claudia Stephenson. Z posiniaczoną szyją i głębokimi zadrapaniami na ramionach, opowiadała na lewo i prawo, jak to Ree mało jej nie zabiła, i co sama widziała i słyszała przedtem. Claudia twierdziła, że nowa znała imiona Jeanette i Angel, ale to jeszcze nic. Wiedziała też – wiedziała, nie podejrzewała! – że Angel zabiła co najmniej pięciu ludzi i noworodka.

– Ta kobieta ma na imię Evie, rozumiecie? Jak Ewa z rajskiego ogrodu – powiedziała Claudia. – Pomyślcie tylko! A potem Ree próbowała mnie zabić i założę się, że ta czarownica wiedziała, że tak się stanie, tak jak znała imiona dziewczyn i prawdę o dziecku Angel.

Claudia nie była najbardziej wiarygodnym świadkiem, ale to, co mówiła, trzymało się kupy. Tylko czarownica mogła wiedzieć takie rzeczy.

Dwie historie połączyły się ze sobą w głowie Maury i wspólnie wytworzyły w niej pewność. Jedna opowiadała o pięknej królewnie, która, przeklęta przez złą czarownicę, zapadła w głęboki sen, kiedy ukłuła się wrzecionem w palec (Maura nie bardzo wiedziała, co to jest wrzeciono, ale niechybnie musiało to być coś ostrego). Wiele lat później pocałunek obudził królewnę ze snu. Drugą historią była baśń o Jasiu i Małgosi. Schwytani przez czarownicę, zachowali zimną krew i uciekli, upiekłszy wiedźmę żywcem w jej własnym piecu.

Historie to tylko historie, ale te, które przetrwały setki lat, muszą zawierać ziarno prawdy. Prawda zawarta w tych dwóch mogła być taka: klątwę da się zdjąć; czarownicę można zniszczyć. Ukatrupienie wiedźmy ze Skrzydła A może nie obudzi Kayleigh i kobiet na całym świecie. A może obudzi. Kto to może wiedzieć. Nawet jeśli nie, kobieta imieniem Evie musiała mieć jakiś związek z tą plagą. Inaczej dlaczego mogła normalnie się budzić ze snu? Skąd wiedziała rzeczy, których nie miała prawa wiedzieć?

Maura spędziła w więzieniu dziesiątki lat. Dużo czytała, zmogła nawet całą Biblię. W czasie lektury uznała ją za względnie bezwartościową stertę makulatury, pełną mężczyzn stanowiących prawa i kobiet rodzących wyrodnych synów, w pamięć jednak zapadł jej jeden frapujący cytat: „Nie pozwolisz żyć czarownicy”[1].

W głowie Maury wykluł się plan. Będzie potrzebowała odrobiny szczęścia, żeby się powiódł. Skoro jednak połowa strażników zdezerterowała i nikt nie zawracał sobie głowy pilnowaniem ciszy nocnej, może szczęście nie będzie konieczne. Angel Fitzroy nie dopięła swego, bo swoją wściekłość miała wypisaną na twarzy – każdy mógł ją zobaczyć. Przez to teraz siedziała zamknięta w celi. Wściekłość Maury zaś była ogniem głęboko ukrytym, żarem tlących się węgli przysypanych popiołem. Dzięki temu była funkcyjną i mogła się swobodnie poruszać po całym więzieniu.

– Niedługo wrócę, kochanie – powiedziała, klepiąc Kayleigh po ramieniu. – Chyba że tamta mnie zabije. A to całkiem możliwe, jeśli naprawdę jest czarownicą.

Podniosła swój materac i wymacała wyciętą w nim wąską szparę. Wsunęła dłoń do środka i wyciągnęła szczoteczkę do zębów. Twarda

plastikowa rączka była zaostrzona w szpic. Zatknęła szczoteczkę za gumkę spodni na krzyżu, naciągnęła na nią obszerną koszulę i wyszła. Na korytarzu Skrzydła B odwróciła się i posłała całusa pozbawionej twarzy towarzyszce z celi.

7

– Co robisz, osadzona?

Lawrence Hicks stał w drzwiach małej, ale zadziwiająco dobrze wyposażonej biblioteki zakładu karnego w Dooling. Normalnie nosił trzyczęściowe garnitury z ciemnym krawatem, jednak dziś marynarka i kamizelka zniknęły, a obciągnięty nisko krawat opadał na rozporek jak strzałka wskazująca jego niewątpliwie skurczonego fleta.

– Dobry wieczór, panie naczelniku – powiedziała Maura, ładująca książki w miękkiej oprawie na biblioteczny wózek. Obdarzyła Hicksa uśmiechem, jej jedyny złoty ząb błysnął w świetle jarzeniówek. – Rozwożę książki.

– Nie za późno na to, osadzona?

– Myślę, że nie, proszę pana. Dzisiaj, jak sądzę, nie będzie ciszy nocnej. – Mówiła grzecznie, wciąż z uśmiechem na twarzy. Tak to się robi; trzeba się uśmiechać i wyglądać niegroźnie. To tylko stara, siwa Maura Dunbarton, o grzbiecie przetrąconym latami więziennego życia, ochoczo liżąca buty każdemu, komu trzeba je wylizać, i dawno wyleczona z tego, co ją pchnęło do zabicia tych wszystkich ludzi. To była gra, której reguł ludzie pokroju Angel Fitzroy nie potrafili się nauczyć. Musisz oszczędzać amunicję na chwilę, kiedy będzie naprawdę potrzebna.

Podszedł, żeby skontrolować wózek. Patrząc na niego, prawie poczuła żal – twarz blada, obsypane zarostem policzki zwisające jak ciasto, resztki włosów potargane – ale gdyby spróbował ją powstrzymać, dźgnęłaby go prosto w tłusty bandzioch. Jeśli była szansa na ocalenie Kayleigh, musiała spróbować. Śpiącą Królewnę uratował pocałunek; może Maura zdoła uratować ukochaną nożem.

Nie wchodź mi w drogę, Hicksie, pomyślała. Jeśli nie chcesz mieć przedziurawionej wątroby. A doskonale wiem, gdzie ją masz.

Hicks oglądał książki, które Maura zdjęła z półek: Peter Straub, Clive Barker, Joe Hill.

– Same horrory! – zawołał. – Pozwalamy osadzonym czytać takie rzeczy?

– Właściwie czytają tylko to i romanse, panie naczelniku – odparła Maura, nie dodając: Wiedziałbyś to, gdybyś miał jakiekolwiek pojęcie o tym, jak się tu żyje, szczurze. Odświeżyła swój uśmiech. – Myślę, że co jak co, ale horrory spędzą dziewczynom sen z powiek. Poza tym, przecież to wszystko pic na wodę, wampiry, wilkołaki i inne takie. Bajki.

Chwilę jakby się wahał, może chodziło mu po głowie, żeby kazać jej wrócić do celi. Maura położyła dłoń na krzyżu, jakby chciała się podrapać. Wreszcie Hicks wydął policzki i westchnął.

– No dobrze, idź. Przynajmniej ty jedna nie zaśniesz.

Tym razem jej uśmiech był autentyczny.

– Och, o mnie pan się nie martwi, panie Hicks. Cierpię na bezsenność.

8

Michaela trzymała guzik wciśnięty, bo znudziło jej się naciskanie go raz po raz. Światło płonęło w przeszklonej frontowej części więzienia, na parkingu stały samochody; ktoś czuwał wewnątrz budynku.

– Czego? – Męski głos, który się odezwał, wzorcowo wyrażał znużenie; to był głos z wieczornym zarostem. – Mówi oficer Quigley. Przestań się znęcać nad tym guzikiem.

– Nazywam się Michaela Morgan. – Poniewczasie przypomniała sobie, że jej telewizyjne nazwisko nic tu nikomu nie powie.

– No i? – Mężczyzna rzeczywiście nie był pod wrażeniem.

– Dawniej nosiłam nazwisko Coates. Moja matka jest tu naczelnikiem. Chciałabym się z nią zobaczyć.

– Hm…

Cisza, nie licząc słabego szumu w głośniku. Michaela stanęła prosto. Jej cierpliwość się wyczerpała. Wcisnęła guzik z całej siły.

– Uprzedzam, że pracuję w News America. Mam was obsmarować na wizji czy pozwolicie mi porozmawiać z matką?

– Przykro mi. Pani Coates zasnęła. – Teraz to Michaela zamilkła. Spóźniła się. Opadła na drucianą siatkę. Odbite od bramy przednie światła corolli oślepiły jej podpuchnięte oczy. – Przykro mi – powtórzył głos. – Była dobrym szefem.

– Co ja teraz zrobię? – spytała Michaela. Nie wcisnęła guzika, więc jej pytanie skierowane było tylko do nocy i dymu buchającego z lasu.

Oficer Quigley pospieszył z odpowiedzią, jakby ją usłyszał.

– Może pojedzie pani do miasta? Są tam pokoje do wynajęcia. Albo… słyszałem, że dziś w Squeaky Wheel drinki są gratis i bar ma być czynny do wschodu słońca albo dopóki piwo się nie skończy.

9

Maura szła z wózkiem przez Skrzydło B, tak pomału, żeby nikt nie pomyślał, że ma jakiś określony cel.

– Książki? – pytała przy każdej zajętej celi, a przynajmniej przy tych, których lokatorki nie były obrośnięte białym paskudztwem. – Chcecie poczytać coś, co was przerazi? Mam straszydła w dziewięciu smakach.

Niewiele osadzonych wyrażało zainteresowanie. Większość oglądała wiadomości – to wystarczyło im za najlepszy horror. W pobliżu Skrzydła B Maurę zatrzymał oficer Wettermore, żeby zerknąć, jakie tytuły wiezie. Nie była zaskoczona, że tego wieczoru przyszedł do pracy. Większego geja nie spotkałoby się nawet w Nowym Orleanie pierwszego dnia Mardi Gras i wielce by się zdziwiła, gdyby miał w domu choć jedną kobietę.

– Jeden wielki chłam – skwitował. – No już, wynocha, Maura.

– Dobrze, panie oficerze. Pójdę jeszcze do Skrzydła A. Jest tam parę dziewczyn, doktor Norcross karmi je prozakiem, ale mimo wszystko lubią czytać.

– Zgoda, tylko trzymaj się z dala od Fitzroy i wyścielanej celi na końcu, jasne?

Maura obdarzyła go najszerszym ze swoich uśmiechów.

– Oczywiście, oficerze Wettermore. I dziękuję panu! Pięknie dziękuję!

Poza tą nową – czarownicą – w Skrzydle A były tylko dwie przytomne kobiety i bezkształtna masa, w którą zmieniła się śpiąca Kitty McDavid.

– Nie – powiedziała kobieta z A-2. – Nie mogę czytać, ni cholery. Prochy od Norcrossa szkodzą mi na oczy. Nie mogę czytać, nie. Straszne tu były krzyki. Nie lubię krzyków.

Drugą kobietą była Angel, zamknięta w celi A-8. Spojrzała na Maurę opuchniętymi oczami pytającymi: „Co mi się, kurwa, stało?".

– Jazda stąd, Mo-Mo – przestrzegła, kiedy Maura, wbrew poleceniu oficera Wettermore'a, podała jej dwie książki. To nic. Koniec korytarza był już blisko. Maura zerknęła przez ramię i zobaczyła, że Wettermore stoi plecami do niej, pogrążony w rozmowie z oficerem Murphym, tym, którego dziewczyny nazywały Tygrysem, przez skojarzenie nie z groźnym drapieżnikiem, tylko z przyjacielem Kubusia Puchatka.

– Maura… – Tylko szept, a jednak przenikliwy. Dziwnie donośny.

To ta nowa. Evie. Ewa. Która w Biblii zjadła owoc z drzewa wiadomości dobrego i złego, przez co razem ze swoim przystojnym mężulem została zesłana na ten padół bólu i zagubienia. Maura wiedziała, co to jest zesłanie, poznała to na własnej skórze. Została zesłana do zakładu w Dooling za to, że wyprawiła swojego męża i dwójkę dzieci (nie wspominając o Sluggerze) do bezkresu wieczności.

Evie stała w okratowanych drzwiach wyścielanej celi i patrzyła na Maurę. Uśmiechała się. Maura nigdy w życiu nie widziała cudniejszego uśmiechu. Może i czarownica, ale jaka piękna! Evie wysunęła dłoń przez kraty i przywołała ją skinieniem długiego, zgrabnego palca. Maura pchnęła wózek naprzód.

– Ani kroku dalej, osadzona! – To krzyczał oficer Tig Murphy. – Stój!

Nie zatrzymała się.

– Do niej, łap ją! – wrzasnął Murphy i twarde obcasy zastukały o posadzkę.

Maura ustawiła wózek w poprzek korytarza i przewróciła go, blokując przejście. Sfatygowane książki wysypały się i prześliznęły po podłodze.

– Stój, osadzona! Stój!

Maura pospieszyła do wyścielanej celi, sięgnęła za plecy i wyjęła zaostrzoną szczoteczkę do zębów. Czarownica wciąż przyzywała ją do siebie. Nie widzi, co dla niej naszykowałam, pomyślała Maura.

Odciągnęła przyciśniętą do biodra rękę w tył, przygotowując się do zadania ciosu w brzuch kobiety. W jej wątrobę. Kiedy jednak spojrzała w te ciemne oczy, coś kazało jej najpierw zwolnić kroku, a potem się zatrzymać. Nie widziała w nich zła, tylko chłodne zainteresowanie.

– Chcesz być z nią, prawda? – spytała Evie szybkim szeptem.

– Tak – odparła Maura. – Boże, jeszcze jak.

– To może się udać. Najpierw jednak musisz zasnąć.

– Nie da rady. Cierpię na bezsenność.

Wettermore i Murphy byli coraz bliżej. Miała kilka sekund na to, żeby dźgnąć czarownicę i zakończyć tę plagę. Nie zrobiła tego jednak. Spojrzenie ciemnych oczu nieznajomej paraliżowało ją i Maura stwierdziła, że nie chce z tym walczyć. To w ogóle nie były oczy, zauważyła, tylko szpary, otwory, za którymi rozciągała się nowa ciemność.

Czarownica przycisnęła twarz do krat, ani na chwilę nie odrywając wzroku od Maury.

– Szybko, pocałuj mnie. Dopóki jeszcze jest czas.

Maura nie myślała ani chwili. Upuściła zaostrzoną szczoteczkę do zębów i przycisnęła twarz do krat od swojej strony. Ich wargi się spotkały. Ciepły oddech Eve wpłynął do ust i gardła Maury. Poczuła, że zanurza się w oparach błogiego snu – jak dawno temu, w dzieciństwie, kiedy leżała we własnym łóżku, jedną ręką tuląc do siebie misia, Freddy'ego, drugą – pluszowego smoka, Gussiego, gdy słuchała zimnego wiatru za oknem i wiedziała, że jest w ciepłym, bezpiecznym domu, na progu krainy snów.

Kiedy Billy Wettermore i Tig Murphy przypadli do niej, Maura leżała na plecach przed celą Evie; pierwsze kosmyki już wysnuwały się z jej włosów, ust i spod zamkniętych powiek śniących oczu.

1 Cytat za Biblią Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań–Warszawa 1988.

ROZDZIAŁ 18

1

Frank spodziewał się, że po powrocie do domu znów będzie musiał znosić bzdurne połajanki Elaine, ale okazało się, że połajanek nie będzie. Jego problemy z El, jak nic innego tego dnia – ani, swoją drogą, w dniach następnych – bezboleśnie rozwiązały się same. Dlaczego więc nie poprawiło mu to nastroju?

Żona spała w łóżku córki, prawą ręką obejmując ramiona Nany. Jej twarz otulał cienki kokon, napięta powłoka z papier-mâché, na razie jednowarstwowa, ale już szczelna. Na stoliku nocnym leżał list: „Pomodliłam się za Ciebie, Frank. Mam nadzieję, że Ty będziesz się modlił za nas. E.”.

Frank zmiął kartkę i wrzucił do kosza na śmieci, stojącego obok łóżka. Tiana, czarna disnejowska księżniczka, tańczyła na ściance kubła w skrzącej się zielonej sukience; za nią kroczył pochód magicznych zwierząt.

– Słów brak. – W drzwiach pokoju Nany stanął Garth Flickinger.

– Uhm – mruknął Frank. – Można tak powiedzieć.

Na stoliku nocnym stało oprawione zdjęcie Nany z rodzicami. Trzymała na nim swoją nagrodzoną zakładkę. Doktor podniósł fotografię i przyjrzał się jej.

– Kości policzkowe ma po panu, panie Geary. Szczęściara.

Frank nie wiedział, co na to odpowiedzieć, więc milczał.

Doktor, niespeszony ciszą, odstawił zdjęcie na miejsce.

– To co, zaczynamy?

Zostawili Elaine w łóżku, a Frank, drugi raz tego dnia, wziął córkę na ręce i zniósł ją na dół. Jej pierś falowała – znak, że żyła w tym

kokonie. Tyle że ludziom w stanie śmierci mózgowej też bije serce. Bardzo możliwe, że dziś rano, gdy krzyczał na nią z samochodu, napędził jej stracha, rozmawiał z nią po raz ostatni. Bardzo możliwe, że tę właśnie rozmowę będzie rozpamiętywał do śmierci, kiedykolwiek nadejdzie.

Franka ogarnęła melancholia, niby mgła podnosząca się z ziemi, wchłaniająca go od stóp do głów. Nie miał żadnego, ale to żadnego powodu oczekiwać, że doktor ćpun będzie w stanie pomóc.

Flickinger rozpostarł ręczniki na drewnianej posadzce salonu i poprosił Franka, żeby położył na nich Nanę.

– Dlaczego nie na kanapie?

– Bo chcę, żeby padało na nią górne światło, panie Geary.

– Aha. Jasne.

Garth Flickinger ukląkł obok Nany i otworzył torbę lekarską. Miał przekrwione, podkrążone oczy wampira, wąski nos i wysokie, spadziste czoło, okolone kasztanowymi lokami, które odrobinę upodabniały go do obłąkanego elfa. Pomimo to – choć Frank wiedział, że facet jest co najmniej trochę porąbany – jego wesoły ton działał kojąco. Nic dziwnego, że jeździł mercedesem.

– Cóż więc wiemy?

– Że śpi. – Frank czuł się głupio jak jeszcze nigdy.

– Ach, ale to bynajmniej nie wszystko! Z telewizji dowiedziałem się, co następuje: kokony to włóknisty materiał, który zdaje się składać z glutów, śliny, woskowiny i dużej ilości nieznanego białka niezawierającego DNA. Jak powstaje? Skąd pochodzi? Nie wiemy i nie potrafimy tego wyjaśnić, bo normalne kobiece wydzieliny występują w znacznie mniejszych ilościach, na przykład zwyczajna miesiączka to w sumie dwie łyżki stołowe krwi, obfita to nie więcej niż jedna szklanka. Wiemy też, że uśpione są w kokonach podtrzymywane przy życiu.

– I wpadają w szał, kiedy ktoś rozerwie kokon – dodał Frank.

– Otóż to. – Garth rozłożył na stoliku narzędzia: skalpel, nożyczki i wyjęty z czarnego kuferka mały mikroskop. – Na początek zmierzymy pańskiej córce tętno, dobrze?

Gdy Frank powiedział, że nie ma nic przeciwko, Flickinger ostrożnie podniósł obrośnięty nadgarstek Nany i trzymał go przez pół minuty.

Potem równie ostrożnie opuścił jej rękę na podłogę.

– Tętno spoczynkowe jest lekko stłumione przez pokrywający ciało materiał, ale mieści się w normie dla zdrowej dziewczynki w jej wieku. A teraz, panie Geary…

– Frank.

– Dobrze. Czego nie wiemy, Frank?

Odpowiedź była oczywista.

– Dlaczego to się dzieje.

– Dlaczego. – Flickinger klasnął w dłonie. – Właśnie. Nic w naturze nie dzieje się bez przyczyny. Jaka jest przyczyna tego, co tu widzimy? Czemu ten kokon służy? – Podniósł nożyczki, ze szczękiem rozsunął i zamknął ostrza. – Sprawdźmy to.

2

Kiedy Jeanette nie miała z kim rozmawiać, czasem mówiła do siebie – czy raczej do wyimaginowanego życzliwego słuchacza. Doktor Norcross powiedział jej, że to najzupełniej normalne. Że to „werbalizacja". Tego wieczoru słuchaczem była Ree, którą Jeanette musiała sobie wyobrażać. Dlatego że oficer Lampley ją zabiła. Może niebawem spróbuje się dowiedzieć, gdzie położyli jej ciało, i pożegnać ją, na razie jednak wystarczyło, że siedziała w ich wspólnej celi. W tej chwili niczego więcej nie potrzebowała.

– Powiem ci, co się stało, Ree. Damian przetrącił sobie kolano, kiedy grał w futbol, ot co. Zwykły rekreacyjny mecz z chłopakami w parku. Nie było mnie przy tym. Damian opowiadał, że nikt nawet go nie dotknął, po prostu wybił się z ziemi, pewnie żeby zaatakować rozgrywającego, coś chrupnęło, upadł, a kiedy wstał, kulał. Poszło więzadło, krzyżowe albo poboczne, nie pamiętam które, w każdym razie jedno z nich. Takie, co działa jak amortyzator między kośćmi.

Ree powiedziała: Uhm.

– W tamtym czasie żyło nam się nieźle, tyle że nie mieliśmy ubezpieczenia zdrowotnego. Ja pracowałam trzydzieści godzin tygodniowo w żłobku, Damian miał stałą fuchę na czarno, z której

wyciągał niewiarygodne pieniądze. Dwie dychy za godzinę czy coś. Gotówką! Był kimś w rodzaju pomocnika u jednego stolarza, który robił meble dla elity Charlestonu, polityków, szefów firm i innych takich. No i dla szych ze spółek węglowych. Damian był od dźwigania i tak dalej. Naprawdę świetnie nam się powodziło, zwłaszcza jak na dwoje małolatów po szkole średniej. Byłam z siebie dumna.

Ree powiedziała: I słusznie.

– Znaleźliśmy sobie własny kąt, porządny, ładnie umeblowany i w ogóle, od dzieciństwa nie mieszkałam w takich warunkach. Damian kupił motocykl, prawie nowy, i wzięliśmy w leasing samochód, woziłam nim naszego Bobby'ego, jeździłam do pracy, na zakupy i tak dalej. Raz wyskoczyliśmy do Disney World. Zaliczyliśmy Space Mountain, Haunted Mansion, wyściskaliśmy Goofy'ego, wiesz, jak szaleć, to szaleć. Pożyczyłam siostrze na dermatologa. Dałam mamie kasę na naprawę dachu. Ale nie mieliśmy ubezpieczenia zdrowotnego. No i Damian załatwił sobie kolano. Operacja była najlepszym rozwiązaniem, ale… Powinniśmy byli zagryźć zęby i się na to zdecydować. Sprzedać motocykl, oddać samochód, zaciskać pasa przez rok. Tego właśnie chciałam, słowo daję. Ale Damian się nie zgodził. Nie chciał o tym słyszeć. I weź się z takim dogadaj. W końcu uznałam, że jego kolano, jego sprawa, i machnęłam na to ręką. Wiesz, jacy są mężczyźni. Za nic nie spytają o drogę, nie pójdą do lekarza, dopóki nie będą umierający.

Ree powiedziała: Święta racja, dziewczyno.

– „Nie", mówi mi. „Wytrzymam". Muszę też przyznać, że lubiliśmy imprezować. Nie opuściliśmy żadnego baletu, jak to dwójka małolatów. Ekstazka. Trawa, oczywiście. Koka, jeśli ktoś częstował. Damian zabunkrował trochę depresantów. Zaczął je łykać, żeby kolano mniej bolało. Leczył się na własną rękę, tak to nazywa doktor Norcross. A ja… pamiętasz, mówiłam ci o moich bólach głowy? Sinych Smutasach?

Ree powiedziała: Pewnie, że pamiętam.

– No właśnie. Którejś nocy mówię więc Damianowi, że łeb mi pęka, a on daje mi pigułkę. „Spróbuj tego", mówi. „Zobaczysz, ulży ci". I tak wpadłam w nałóg. Wsiąkłam na całego. Z miejsca. Wiesz?

Ree powiedziała: Wiem.

3

Jared nie miał już siły oglądać wiadomości, więc przełączył telewizor na kanał lokalny, na którym tryskająca entuzjazmem rękodzielniczka dawała lekcję robienia frędzli z koralików. Na pewno odtwarzali to z taśmy. Jeśli nie, jeśli to był rzeczywisty aktualny nastrój tej kobiety, nie chciałby jej spotkać w normalny dzień.

– Zrobimy coś piii-ęknego! – krzyknęła, podskakując na stołku przed szarym tłem.

Rękodzielniczka była jedyną towarzyszką Jareda. Molly zasnęła.

Koło pierwszej wymknął się do kibla. Kiedy wrócił po trzech minutach, leżała nieprzytomna na kanapie; jej biedna dziecięca buzia była już w połowie obrośnięta pajęczyną. W ręku ściskała puszkę mountain dew, którą jej dał.

Zdrzemnął się parę godzin w skórzanym fotelu. Wyczerpanie przemogło rozpacz.

Obudził go gryzący swąd sączący się przez moskitierę – ostrzeżenie od zmysłów, że gdzieś tam szaleje pożar. Zasunął szklane drzwi i wrócił na fotel. Na ekranie telewizora kamera skupiła się na dłoniach rękodzielniczki wbijających i wyciągających igłę, raz z góry na dół, raz z dołu do góry.

Była 2:54 w nocy z czwartku na piątek. Według zegara – nowy dzień, wydawało się jednak, że nigdy nie uwolnią się od poprzedniego.

Jared przedtem skoczył na drugą stronę ulicy i zabrał telefon komórkowy z torebki pani Ransom. Teraz esemesował z Mary:

„Cześć, tu Jared. Wszystko OK?”.

„Tak, ale wiesz może, czy coś się pali?”.

„Chyba tak, ale nie wiem co. Jak Twoja mama? I siostra? No i jak Ty się czujesz?”.

„Wszystko OK. Pijemy kawę, robimy ciastka czekoladowe. Wychodź, słońce, czekamy!!! Jak się ma Molly?”.

Jared zerknął na dziewczynkę leżącą na kanapie. Wcześniej przykrył ją kocem. Powłoka na jej głowie była biała i kulista.

„Świetnie”, napisał. „Żłopie mountain dew. Piszę z telefonu jej babci”.

Gdy Mary odpisała, że niedługo znów się odezwie, spojrzał na ekran telewizora. Wyglądało na to, że rękodzielniczka jest nie do zdarcia.

– Niektórzy z państwa zapewne się obruszą, ale przyznam, że nie przepadam za szkłem. Łatwo je zarysować. Jestem szczerze przekonana, że plastik równie dobrze się nadaje. – Kamera najechała na różowy koralik między jej kciukiem a palcem wskazującym. – Proszę, nawet najbardziej wprawne oko nie pozna różnicy.

– Nieźle – mruknął Jared. Jeszcze nigdy do siebie nie mówił, ale i nigdy nie był sam w domu z owiniętym bielą ciałem, podczas gdy na zewnątrz płonął las. I co prawda, to prawda – ten mały różowy skurwiel na jego oko niczym się nie różnił od szkła. – Całkiem, kurna, nieźle, droga pani.

– Jared? Z kim rozmawiasz?

Nie usłyszał, że drzwi wejściowe się otworzyły. Zerwał się na nogi, przekuśtykał cztery–pięć kroków na obolałym kolanie i padł ojcu w ramiona.

Clint i Jared stali między kuchnią a salonem, trzymając się w objęciach. Obaj łkali. Jared próbował wytłumaczyć ojcu, że tylko poszedł się wysikać, że nie mógł nic poradzić na to, co się stało z Molly, i paskudnie się z tym czuje, ale kurczę, kiedyś w końcu musiał pójść do kibla, a mała na oko miała się dobrze, był pewien, że nic jej nie będzie, trajkotała jak zawsze i piła mountain dew.

– Wszystko w porządku – powiedział Clint, chociaż nic a nic nie było w porządku, i powtarzał to raz po raz.

Ojciec i syn tulili się do siebie coraz mocniej, jakby siłą woli mogli sprawić, że wszystko jednak będzie w porządku, i może – może – na parę sekund im się to udało.

Wycinek, który Flickinger pobrał z dłoni Nany, w obiektywie małego mikroskopu przypominał Frankowi utkany z cienkich nici kawałek materiału. Nitki składały się z mniejszych nitek, a te z jeszcze mniejszych nitek.

– W zasadzie wygląda toto jak włókno roślinne – stwierdził doktor. – Przynajmniej jak dla mnie.

Frank wyobraził sobie przełamaną łodygę selera ze zwisającymi nitkami.

Garth ścisnął i roztarł w palcach kawałek białego włókna. Kiedy rozsunął palce, materiał rozciągnął się między nimi jak guma do żucia.

– Lepki… niezwykle rozciągliwy… szybko się rozrasta… w jakiś sposób rozregulowuje chemię organizmu żywiciela. I to mocno.

W czasie gdy Garth mówił, bardziej do siebie niż do niego, Frank myślał o tym, że oto jego córka stała się niczym więcej jak tylko „żywicielem". Nie był z tego zadowolony.

Garth parsknął śmiechem.

– Nie podoba mi się pana zachowanie, panie Włókno. Zupełnie. – Skrzywił się, wyciskając materiał na szklaną płytkę.

– Wszystko w porządku, doktorze Flickinger? – Frank mógł się pogodzić z tym, że chirurg plastyczny był naćpanym ekscentrykiem, tym bardziej że na razie chyba wiedział, co robi, nie zmieniało to jednak faktu, że facet posługiwał się ostrymi narzędziami w pobliżu jego nieprzytomnej córki.

– Czuję się śpiewająco. Ale chętnie bym się napił. – Flickinger ukucnął na podłodze obok Nany. Podrapał się nożyczkami pod nosem. – Nasz przyjaciel, pan Włókno, jest wewnętrznie sprzeczny. Powinien być grzybem, ale jest zbyt pracowity i agresywny, a przy tym interesuje go tylko para chromosomów XX. No i po odcięciu od reszty masy staje się niczym. Zupełnie niczym. Kawałkiem lepkiego paskudztwa.

Frank przeprosił na chwilę, wyszedł, pobuszował w kuchni i wreszcie wziął sikacza stojącego na górnej półce między proszkiem do pieczenia a mąką kukurydzianą. Wystarczyło, żeby nalać im obu na dwa centymetry. Wrócił z kieliszkami do salonu.

– Jeśli mnie wzrok nie myli, to jest sherry do gotowania. Cienko przędziemy, Frank. – Garth nie sprawiał wrażenia zawiedzionego. Bynajmniej. Przyjął kieliszek, wypił do dna i westchnął błogo. – Masz może zapałki? Albo zapalniczkę?

5

– No dobra, Ree, to, co teraz powiem, nie będzie dla ciebie nowiną. Drobny nałóg stał się poważnym nałogiem, a poważne nałogi kosztują. Damian kradł rzeczy z domu jakiegoś nadziańca i za pierwszym razem mu się upiekło; za drugim już nie. Nie aresztowali go ani nic takiego, ale wyleciał z roboty.

Ree powiedziała: Dlaczego mnie to nie dziwi?

– Właśnie. Potem straciłam pracę w żłobku. Akurat zaczął się kryzys gospodarczy i właścicielka musiała ciąć koszty. Tyle że, zabawna sprawa, parę dziewczyn pracowało tam krócej ode mnie, nie miały mojego doświadczenia, ale one zostały, a ja wyleciałam. Nigdy nie zgadniesz, co odróżniało te dziewczyny ode mnie.

Ree powiedziała: Och, mogę się domyślić, ale proszę cię bardzo, powiedz.

– Były białe. Nie to, że się usprawiedliwiam. Po prostu mówię, jak było. No i wpadłam w lekką deprechę. E tam, lekką. Ciężką. Każdy by tak zareagował. Zaczęłam więc brać prochy, nawet jak głowa nie bolała. I wiesz, co było najgorsze? Rozumiałam, co się dzieje. Myślałam sobie: aha, właśnie staję się durną ćpunką, tak jak mi to wszyscy przepowiadali. Nienawidziłam siebie za to. Wypełniłam przeznaczenie, jakie według ludzi było pisane komuś, kto jak ja wychowywał się w ubogiej, czarnej rodzinie.

Ree powiedziała: Tak, przykra sprawa.

– No dobra, czyli mnie rozumiesz. A to, co było między mną i Damianem, i tak pewnie długo by nie potrwało. Wiem o tym. Byliśmy w tym samym wieku, ale on duchem był dużo młodszy. Z facetami tak to zwykle jest. Tyle że on był jeszcze bardziej niedojrzały niż inni. Na przykład tamtego dnia poszedł do parku grać

w futbol, chociaż nasze dziecko leżało chore w domu. Wtedy wydawało mi się to normalne. Ciągle gdzieś wychodził. „Niedługo wrócę”, mówił – albo „Wyskoczę na chwilę do Ricka” czy coś. Nigdy o nic nie pytałam. Miałam wrażenie, że pytania są zabronione. Przymilał się do mnie. Kwiaty i tak dalej. Słodycze. Nowa koszula z centrum handlowego. Podarki, które przez sekundę cieszą. Czasem robił rzeczy, które niby miały być zabawne, a nie były. Zwyczajne podłości. Na przykład zatrzymywał wóz obok kobiety idącej z psem i wrzeszczał: „Wyglądacie jak bliźniaki!” – albo zamierzał się na przechodzącego nastolatka, niby że chce go uderzyć, tak żeby chłopak się skulił. „To tylko dla jaj”, mówił. A narkotyki do reszty zatruły mu duszę. Nadal robił to, co chciał, ale już nie z uśmiechem na ustach, jak przedtem. Jego podłość zerwała się z uwięzi jak pies z łańcucha. „Popatrz na tę naćpaną sukę, Bobby”, mówi na przykład do naszego syna i śmieje się do rozpuku. Jakbym była cyrkowym klaunem. Tego typu teksty. W końcu dałam mu za to w twarz, on oddał pięścią. A kiedy ja jemu też przyłożyłam, rozbił mi miskę na głowie.

Ree powiedziała: To musiało boleć.

– Nie tak bardzo, jak uczucie, że zasługuję na to, by mąż ćpun rozwalił mi moją ćpuńską mordę. Nienawidzę siebie za to. Pamiętam, jak leżałam na podłodze, widziałam pięciocentówkę w kurzu pod lodówką, rozrzucone kawałki niebieskiej miski, i myślałam, że teraz to już służby socjalne na pewno zabiorą Bobby’ego. I oczywiście tak się stało. Glina wyniósł Bobby’ego z mojego domu, moje dziecko płakało za mną i to powinno być najsmutniejszym, co mnie w życiu spotkało, tyle że byłam taka nieprzytomna, że niczego nie czułam.

Ree powiedziała: To smutne.

6

Minęło dziesięć minut, a Terry jeszcze nie wyszedł z domu sąsiadów Elwayów. Zolnik, takie nazwisko widniało na skrzynce pocztowej. Lila nie wiedziała, co robić.

Wcześniej poszli do domu Elwayów, omijając szerokim łukiem plamy krwi w miejscu, skąd zabrano ciała. Dostali się do środka głównymi drzwiami. Dziecko, któremu tęgie Elwayowskie mózgi ze zwykłą troską i subtelnością nadały imię Platinum, spokojnie leżało w swoim łóżeczku, otulone kokonem w kształcie ziarna czerwonej fasoli. Przyciskając dłonie do kokonu, Lila wyczuwała dziecięcą sylwetkę. Było w tym coś makabrycznie zabawnego; jakby sprawdzała twardość nowego materaca. Uśmiech jednak zamarł jej na ustach, kiedy Terry zaczął szlochać. Było po drugiej w nocy. To znaczyło, że kryzys trwa mniej więcej dwadzieścia godzin, a ona nie zmrużyła oka od trzydziestu pięciu. Była wykończona, a jej najlepszy zastępca – pijany i przygnębiony.

Cóż, robili, co w ich mocy, prawda? No i jeszcze będzie trzeba się zająć kocim żwirkiem rozsypanym na Mountain Rest Road.

– Nie, wcale nie – poprawiła się. To było wiele miesięcy temu. Może nawet rok?

– Co „nie”? – Znowu byli na zewnątrz; szli w stronę radiowozu zaparkowanego przed domem Rogera.

Lila, z kokonem w ramionach, spojrzała na Terry’ego. Zamrugała.

– Mówiłam na głos?

– Uhm – mruknął.

– Przepraszam.

– Do dupy to wszystko. – Pociągnął nosem i ruszył w stronę domu Zolników. – Drzwi są otwarte. – Wskazał palcem. – Środek nocy, a oni mają otwarte drzwi. Muszę to sprawdzić. Zajmie mi to sekundkę.

Lila wsiadła z dzieckiem do radiowozu od strony pasażera. Wydawało się, że minęła raptem chwila, ale elektroniczny zegar pokazywał 2:22. Miała wrażenie, że kiedy siadała, była 2:11. Dwadzieścia dwa i jedenaście to nie te same liczby. Ale jedenaście plus jedenaście daje dwadzieścia dwa. Co znaczy…

Jedenastki kołatały się w jej głowie: jedenaście kluczy, jedenaście dolarów, jedenaście palców, jedenaście życzeń, jedenaście namiotów na jedenastu kempingach, jedenaście pięknych kobiet czekających na środku drogi, aż ktoś je rozjedzie, jedenaście ptaków na

jedenastu gałęziach jedenastu drzew – drzew prawdziwych, rzecz jasna, nie wyimaginowanych.

Co to było za drzewo? Jak tak dalej pójdzie, ktoś w końcu powiesi tę Evie na drzewie, dla Lili było to jasne jak słońce – bo wszystko zaczęło się od niej, w jakiś sposób zaczęło się od niej i od drzewa; Lila czuła to tak jak ciepło otulonego kokonem dziecka na jej kolanach, małej Silver. Jedenaścioro dzieci w jedenastu kokonach w kształcie ziarna fasoli.

– Platinum, Platinum – wyrwało się jej. Głupie imię tego dziecka brzmi Platinum, nie Silver. Silver to nazwisko sędziego. Imienia jego martwej kotki Lila nie pamiętała, o ile w ogóle kiedykolwiek je znała. Córka Clinta nazywa się Sheila Norcross. Oczywiście, że się nie przyznał, co za rozczarowanie, to właśnie w tym wszystkim było najbardziej rozczarowujące, że nawet się nie przyznał, nie powiedział, że Platinum to jego dziecko. A raczej że Sheila to jego dziecko. Lila miała suche wargi i pociła się, mimo że w samochodzie było chłodno. Drzwi Zolników stały szeroko otwarte.

7

Terry nie był pewien, czy mógł coś dla faceta zrobić; do głowy mu nie przyszło choćby spróbować. Usiadł tylko na łóżku, położył dłonie na kolanach i kilka razy odetchnął – powoli i głęboko. Musiał spróbować wziąć się w garść. Uspokoić swoje biedne nerwy.

Uśpiona była na podłodze. Pajęczyny obrosły jej głowę, dłonie i dolną połowę ciała. W kącie leżały niedbale rzucone spodnie, splątane z majtkami. Była drobna, może metr pięćdziesiąt wzrostu. Sądząc ze zdjęć na ścianach i komodzie, miała siedemdziesiąt parę lat. Co najmniej.

Terry domyślał się, że mężczyzna, który próbował ją zgwałcić, ściągnął ją z łóżka na podłogę, kiedy zdejmował jej spodnie.

Gwałciciel też był na podłodze, może półtora metra od niego. Właściwie nie wyglądał na dorosłego mężczyznę; miał smukłą sylwetkę nastolatka. Jego spuszczone do kostek dżinsy zatrzymały

się na tenisówkach. Z boku podeszwy jednego z butów widniał wypisany flamastrem napis „Curt M.”. Twarz chłopaka była czerwoną plamą. Oddech poruszał krwawą śliną oblewającą jego usta. Krew lała się z krocza, powiększając bagienko, które już się pod nim utworzyło. Przeciwległą ścianę barwiła plama, a pod nią, na podłodze, leżał kawał mięsa – zapewne kutas i jajca Curta M., domyślił się Terry.

Curt M. pewnie pomyślał sobie, że kobieta nic nie zauważy. Dla sukinsyna tego pokroju aurora musiała być niepowtarzalną okazją, porankiem wielkanocnym w raju dla gwałcicieli. Na świecie zapewne było wielu takich jak on i – kurczę – czekała ich niemiła niespodzianka.

Ile jednak czasu minie, zanim wieść o tym się rozejdzie? Jeśli rozrywacie oprzęd i próbujecie umoczyć knota, kobiety stawiają opór; zabijają. I mają do tego prawo – zdaniem Terry’ego. Łatwo jednak było sobie wyobrazić, że jakiś mesjasz od siedmiu boleści – jak ten rąbnięty Brat Krwi Jak Mu Tam, którego pełno w wiadomościach, ten, co to ciągle pomstuje na podatki – wpadnie w związku z tym na zupełnie nowy pomysł. Ogłosi, że dla dobra ogółu należy odstrzelić kobietom w kokonach ich owinięte pajęczynami głowy. Są tykającymi bombami zegarowymi, powie. Wielu mężczyznom spodoba się ten pomysł. Terry pomyślał o tych wszystkich facetach, którzy latami śnią mokre sny o użyciu swoich niedorzecznie wielkich arsenałów zgromadzonych w celu „obrony domu”, ale nigdy nie zdobyliby się na to, żeby strzelić do człowieka przytomnego, a co dopiero uzbrojonego i mierzącego do nich z pistoletu. Terry nie sądził, by takich ludzi były miliony, ale dostatecznie długo był gliną, żeby podejrzewać, że tysiące by się znalazły.

Cóż więc pozostawało? Żona Terry’ego spała. Czy mógł ją ochronić? Co zrobi? Położy ją na półce w szafie, będzie przechowywał jak słoik przetworów?

I wiedział, że jego córka nie obudziła się tego ranka. Nawet nie dlatego, że nie mógł się do niej dodzwonić. Diane była studentką. Kiedy mogła, spała do późna. Poza tym przysłała im swój rozkład

zajęć w drugim semestrze i Terry był prawie pewien, że czwartkowe poranki ma wolne.

Czy to możliwe, że Roger – głupi, głupi, głupi Roger – dokonał mądrego wyboru, zrywając pajęczynę z Jessiki? W ten sposób miał problem z głowy. Nie będzie musiał patrzeć, jak we śnie umiera kobieta, którą kocha.

Powinienem ze sobą skończyć, pomyślał Terry.

Ta myśl chwilę krążyła mu w głowie. Kiedy nie udało się jej odpędzić, zaniepokoił się i powiedział sobie, że co nagle, to po diable. Powinien najpierw wypić drinka albo dwa, dokładnie sprawę rozważyć. Zawsze lepiej mu się myślało po paru głębszych.

Curt McLeod – trzeci w szkolnym rankingu tenisistów, za Kentem Daleyem i Erikiem Blassem – rzęził na podłodze. To już był oddech Cheyne'a Stokesa.

8

Prośba Terry'ego, żeby podrzuciła go do Squeaky Wheel, ani trochę Lili nie rozdrażniła. W tej chwili była równie zrozumiała, jak wszystko inne.

– Co zobaczyłeś tam, w środku, Terry?

Siedział na miejscu pasażera i trzymał owinięte kokonem dziecko między szeroko rozpostartymi dłońmi, jakby było gorącym garnkiem.

– Jakiś małolat… hm… dobierał się do mieszkającej tam kobiety. Wiesz, co mam na myśli?

– Wiem.

– To ją obudziło. Kiedy wszedłem, znowu spała. On… był praktycznie martwy. Teraz jest zupełnie martwy.

– Aha – powiedziała Lila.

Jechali przez tonące w mroku miasto. Ogień na wzgórzach był czerwony, buchająca z niego chmura dymu ciemniejsza od nocy. Kobieta w jaskraworóżowym stroju do joggingu robiła pajacyki na trawniku. Tłum, złożony głównie z kobiet, kłębił się za wielkimi witrynami Starbucksa na Main Street, który albo był dziś wyjątkowo

długo otwarty, albo (co chyba bardziej prawdopodobne) ludzie się do niego wdarli. Była 2:44.

Tak zatłoczonego parkingu za Squeakiem Lila nie widziała jeszcze nigdy. Pikapy, motocykle, samochody osobowe, vany; auta ustawiały się nawet na trawiastym wale na końcu placu.

Powoli podjechała pod uchylone tylne drzwi, z których wylewały się światło, głosy i ryk szafy grającej. Leciał hałaśliwy rockowy kawałek, który słyszała milion razy, ale którego tytułu nie przypomniałaby sobie, nawet gdyby miała za sobą przespaną noc. Głos wokalisty brzmiał jak żelazny pręt wleczony po asfalcie: „Obudzisz się zdziwiona, że sama jak palec zostałaś!”[2], zawodził.

Barmanka zasnęła na skrzynce po mleku stojącej przy drzwiach. Jej kowbojki były rozstawione w V. Terry wysiadł z radiowozu, położył Platinum na fotelu, po czym wsadził głowę z powrotem do środka. Światło neonu reklamującego piwo zalewało prawą stronę jego twarzy, nadając jej wściekle zielony odcień skóry filmowego trupa. Wskazał gestem otulone kokonem zawiniątko.

– Lepiej schowaj gdzieś tę małą.

– Słucham? – spytała Lila.

– Zastanów się. Niebawem zacznie się rzeź dziewcząt i kobiet. Bo są niebezpieczne. Wstają z łóżka lewą nogą, można powiedzieć. – Wyprostował się. – Muszę się napić. Powodzenia. – Ostrożnie zamknął drzwi, jakby w obawie, że obudzi uśpione niemowlę.

Patrzyła, jak Terry wchodzi tylnymi drzwiami do baru. Nawet nie zerknął na kobietę, która spała na skrzynce z obcasami butów wbitymi w żwir i czubkami skierowanymi w górę.

9

Oficerowie Lampley i Murphy uprzątnęli graty z długiego stołu w składziku, żeby ciało Ree mogło tam spokojnie leżeć. Przewiezienie jej do kostnicy w środku nocy nie wchodziło w rachubę, a w Szpitalu Świętej Teresy nadal był dom wariatów.

Jutro, jeśli sytuacja się uspokoi, jeden ze strażników zabierze zwłoki do domu pogrzebowego Crowdera na Kruger Street.

Claudia Stephenson siedziała na składanym krześle na końcu stołu; przykładała do gardła worek z lodem. Weszła Jeanette i usiadła u szczytu stołu.

– Chciałam tylko mieć z kim porozmawiać – powiedziała Claudia. Jej głos był chrapliwy, niewiele głośniejszy od szeptu. – Ree zawsze była dobrym słuchaczem.

– Wiem – odparła Jeanette i pomyślała, że Ree jest dobrym słuchaczem nawet po śmierci.

– Przykro mi – odezwała się Van. Stała w otwartych drzwiach; jej muskularne ciało wydawało się przygniecione ciężarem znużenia i żalu.

– Trzeba było użyć paralizatora – stwierdziła Jeanette, ale nie miała siły czynić jej szczerych wyrzutów. Też była zmęczona.

– Nie było czasu – powiedziała Van.

– Chciała mnie zabić, Jeanie – wyjaśniła Claudia przepraszającym tonem. – Jeśli masz kogoś winić, wiń mnie. To ja próbowałam zerwać z niej pajęczynę. – Na koniec powtórzyła: – Chciałam tylko z kimś pogadać.

Odsłonięta twarz Ree była zwiotczała, a zarazem oszołomiona, powieki przymknięte, usta otwarte: to była mina przejściowa – między wybuchami śmiechu, między uśmiechami – mina, jaką się ma na zdjęciu, którego odbitkę się wyrzuca albo które kasuje się z telefonu. Ktoś wytarł krew z jej czoła, ale wciąż ział w nim ohydny otwór po kuli. Postrzępione pajęczyny zwisały luźno z jej włosów, oklapłe i przywiędłe, a nie rozwiane i jedwabiste; martwe jak sama Ree. Materiał przestał się rozrastać, kiedy Ree przestała żyć.

Gdy Jeanette próbowała sobie wyobrazić żywą Ree, wyraźnie ukazywało się jej tylko kilka chwil dzisiejszego poranka. A ja mówię, że kwadrat światła nie może cię nie obchodzić.

Claudia westchnęła, jęknęła albo zaszlochała, a może wszystko naraz.

– O, Jezu Chryste – wyrzęziła zduszonym głosem. – Tak mi przykro.

Jeanette zamknęła powieki Ree. Tak lepiej. Przesunęła palcem po bliznach na jej czole. Kto ci to zrobił, Ree? Mam nadzieję, że kimkolwiek był, teraz nienawidzi samego siebie, wymierza sobie za to pokutę. Albo że facet w cholerę zdechł – bo to prawie na pewno był facet. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Powieki Ree były bledsze od reszty jej piaskowej skóry.

Jeanette nachyliła się do jej ucha.

– Nikomu nie powiedziałam tyle, co tobie. Nawet doktorowi Norcrossowi. Dzięki, że słuchałaś. A teraz śpij dobrze, kochanie. Proszę cię, śpij dobrze.

10

Kawałek płonącej pajęczyny wzbił się w powietrze, wirujący, rudo-czarny, rozkwitający. Nie rozbłysnął. Rozkwitł – tylko tak można opisać to, jak się rozpostarł, jak buchnął ogniem, dużo większym od podpalonego materiału.

Garth Flickinger, trzymający zapaloną zapałkę, którą przed chwilą przyłożył do wycinka kokonu, cofnął się i wpadł na stolik. Narzędzia medyczne prześliznęły się po blacie, kilka spadło na podłogę. Frank, ulokowany przy drzwiach, widząc, co się dzieje, ukucnął i rzucił się do Nany, żeby ją osłonić.

Płomień przybrał kształt wirującego kręgu.

Frank nakrył córkę swoim ciałem.

Flickinger nie puszczał zapałki, mimo że płomyk doszedł już do jego palców. Frank poczuł swąd palonej skóry. W blasku płomiennego kręgu wiszącego w powietrzu nad podłogą salonu elfie rysy doktora zdawały się rozstępować, jakby chciały – co zrozumiałe – rozpierzchnąć się na wszystkie strony.

Bo ogień tak nie płonie. Ogień nie wisi w powietrzu. Ogień nie tworzy kręgu.

Ostatni eksperyment dał definitywną odpowiedź na pytanie „Dlaczego?”. Odpowiedź ta brzmiała: Dlatego że to, co się dzieje, nie jest z tego świata i żadne lekarstwo nic na to nie poradzi,

przynajmniej żadne lekarstwo pochodzące z tego świata. Można to było wyczytać z twarzy Flickingera. Frank domyślał się, że z jego własnej też.

Ogień skurczył się w falującą brązową masę, która następnie rozerwała się na setkę kawałków. Ćmy rozsypały się na wszystkie strony. Wzbiły się ku lampie; pofrunęły na abażur, w rogi sufitu, do kuchni; poszybowały w powietrznych piruetach na reprodukcję obrazu przedstawiającego Chrystusa kroczącego po wodzie i obsiadły ramę; jedna zatoczyła się w locie i wylądowała na podłodze blisko Franka, osłaniającego własnym ciałem Nanę. Flickinger z krzykiem (a właściwie z wrzaskiem) cofał się na czworakach w stronę przedpokoju, jego zwykłe opanowanie ulotniło się bez śladu.

Frank ani drgnął. Nie odrywał oczu od ćmy na podłodze. Była koloru, jakiego normalnie by się nie zauważyło.

Ćma powoli ruszyła naprzód. Frank bał się, i to panicznie, małego stworzenia, które ważyło mniej więcej tyle, co paznokieć, i było żywym, niemym cieniem. Co mogło mu zrobić?

Wszystko. Niech robi z nim wszystko, co zechce – byleby nie skrzywdziło Nany.

– Wara od niej – szepnął. Kiedy obejmował córkę, tak jak teraz, wyczuwał jej tętno i oddech. Świat często wymykał mu się z rąk, robił z niego głupka i naiwniaka, gdy tylko chciał być dobry, postępować słusznie, ale tchórzem Frank nie był nigdy. Był gotów umrzeć za swoją córeczkę. – Jeśli masz kogoś zabrać, weź mnie.

Dwa kleksy na brązowym szewronie ciała ćmy, jej ślepia, zajrzały w głąb oczu i umysłu Franka. Czuł w swojej głowie jej obecność, czuł, jak lata to tu, to tam, jak siada na jego mózgu, jak brnie cienkimi, ostrymi nogami w jego kanałach niby chłopiec na głazie pośrodku strumienia, przeciągający kijek przez wodę. Bóg jeden wie, jak długo to trwało.

Frank mocniej przytulił dziecko.

– Proszę, weź mnie zamiast niej.

Ćma uciekła.

11

Claudia, zwana Petardą, wyszła. Oficer Lampley zaproponowała, że na chwilę zostawi Jeanette samą. Teraz mogła porozmawiać z prawdziwą Ree. A właściwie z tym, co z niej zostało. Czuła, że powinna była powiedzieć jej to wszystko, kiedy Ree jeszcze żyła.

– Co się potem stało… nie jestem pewna, czy to było rano, po południu czy wczesnym wieczorem, ładnych kilka dni byliśmy ledwo przytomni. Nie wychodziliśmy z domu. Zamawialiśmy jedzenie przez telefon. W którymś momencie Damian przypalił mnie papierosem. Leżymy sobie w łóżku, oboje patrzymy na moje nagie ramię i nagle pytam: „Co ty robisz?”. Ból był jakby odrębny ode mnie, ja w jednym pokoju, ból w drugim. Nawet nie ruszyłam ręką. Damian mówi: „Sprawdzam, czy naprawdę istniejesz”. Patrzyliśmy, jak papieros się spala do samego końca. Do dziś mam bliznę wielkości monety dolarowej, tak mocno przyciskał. „Zadowolony?”, zapytałam. „Teraz wierzysz, że istnieję?”. A on na to: „Tak, ale skoro istniejesz, jeszcze bardziej cię nienawidzę. Gdybyś pozwoliła mi wyleczyć kolano, nic z tego wszystkiego by się nie wydarzyło. Jesteś wredną suką. A ja nareszcie cię przejrzałem!”.

Ree powiedziała: To dość straszne.

– Tak. To było straszne. Bo Damian powiedział to z taką miną, jakby miał wspaniałą nowinę i cieszył się, że może ją przekazać. Zupełnie jakby prowadził nocną audycję w radiu i przemawiał do cierpiących na bezsenność baranów, którzy takich rzeczy słuchają. Jesteśmy w sypialni, zasłony zaciągnięte, od wielu dni nic nie było myte. Prądu nie ma, bo nie opłaciliśmy rachunku. Później, nie wiem, kiedy dokładnie, nagle siedzę na podłodze w pokoju Bobby’ego. Jego łóżko jeszcze tam jest, ale pozostałe meble, fotel na biegunach i komoda, zniknęły. Damian opchnął je jednemu gościowi za jakieś marne grosze. Może prochy przestawały działać, może to przez oparzenie od papierosa, ale było mi tak smutno, czułam się tak okropnie i tak… jakbym była zagubiona w obcym miejscu i nie miała jak wrócić do domu.

Ree powiedziała: Znam to uczucie.

– A teraz powiem ci, jak to było z tym śrubokrętem. Facet, który kupił fotel na biegunach, musiał odkręcić nim podstawę i zapomnieć go zabrać. Tak się domyślam. Wiem, że to nie był nasz śrubokręt. Wtedy nie mieliśmy już narzędzi. Damian sprzedał je długo przed meblami. W każdym razie śrubokręt leży na podłodze w pokoju Bobby'ego i biorę go do ręki. Idę do salonu, Damian siedzi tam na składanym krześle, ostatnim miejscu do siedzenia, jakie zostało w domu. Mówi: „Co, przyszłaś dokończyć, co zaczęłaś? Śmiało. Tylko lepiej się pospiesz, bo jak mnie za kilka sekund nie zabijesz, to złapię cię za gardło i będę dusił, aż głowa ci z szyi wyskoczy". Cały czas tym samym głosem prowadzącego nocną audycję. Po czym podnosi buteleczkę z ostatnimi dwiema pigułkami, które nam zostały, i potrząsa nią, jakby podkreślał pointę dowcipu: ta-dam! Mówi: „O, tu jest dobre miejsce, dużo mięsa", przyciąga dłoń, w której trzymam śrubokręt, do swojego uda; przyciska ostrze do dżinsów i dodaje: „No to jak? Teraz albo nigdy, Jeanie, kochana, teraz albo nigdy".

Ree powiedziała: Widocznie sam tego chciał.

– I dostał, co chciał. Wbiłam skurwysyna po sam uchwyt. Damian nie krzyknął, tylko wypuścił powietrze i powiedział: „Zobacz, coś mi zrobiła". Jego krew lała się na krzesło i podłogę, ale nie próbował się uratować. Powiedział: „W porządku. Chcesz, to patrz, jak umieram. Miej tę frajdę".

Ree powiedziała: I co, miałaś frajdę?

– Nie. Nie! Siedziałam skulona w kącie pokoju. Jak długo, nie wiem. Policja potem powiedziała, że dwanaście do czternastu godzin. Widziałam, jak cienie się zmieniają, ale nie miałam pojęcia, ile czasu minęło. Damian siedział i mówił. Bez przerwy mówił. Czy teraz jestem zadowolona. Czy taki miałam plan od samego początku. Aha, i że to ja specjalnie zryłam ziemię w parku, żeby rozwalił sobie kolano. „Doskonały podstęp, Jeanie, kochana". W końcu umilkł. Wciąż jednak go widzę, wyraźnie, jak na dłoni, nawet teraz, w tej chwili. Dawniej śniło mi się, że przepraszam Damiana, błagam go o przebaczenie. W tych snach tylko siedział na tym krześle, patrzył na mnie i siniał. Czasami śnimy o tym, na co już jest za późno, tak powiedział doktor Norcross. A na przeprosiny jest za późno. Jeden

zero dla doktora, co, Ree? Martwi nie przyjmują przeprosin. Ani razu w dziejach świata tak się nie zdarzyło.

Ree powiedziała: Święta prawda.

– Ale… och, kochanie, och, Ree. Czego bym nie dała, żeby teraz jeden jedyny raz wszystko zmienić, bo za dobra byłaś, by tak skończyć. Nigdy nikogo nie zabiłaś. To ja powinnam leżeć na tym stole. Nie ty. Ja.

Na to Ree nic nie odpowiedziała.

2 *You're Gonna Miss Me*, słowa i muzyka Sam Hopkins © 1962.

ROZDZIAŁ 19

1

Clint znalazł numer komórki Hicksa w notatniku z adresami, który trzymał w biurku; zadzwonił do niego z telefonu stacjonarnego. Tymczasowy naczelnik był niepokojąco wyluzowany. Może łyknął valium albo dwa.

– Zdaje się, że wiele kobiet weszło w stadium, jak pan by to pewnie określił, akceptacji, doktorze.

– Kapitulacja nie oznacza akceptacji – odparł Clint.

– Jak zwał, tak zwał, ale po pańskim wyjeździe więcej niż połowa uderzyła w kimono. – Hicks powiedział to z zadowoleniem i zauważył, że dzięki temu na każdego strażnika przypada rozsądna liczba osadzonych i że tak pozostanie, nawet kiedy stracą wszystkie strażniczki.

Tak właśnie ludzie u władzy traktują ludzkie życie, nieprawdaż? W kategoriach kosztów i korzyści, proporcji, łatwości zarządzania. Clint nigdy nie chciał sprawować władzy. Wychowując się w rodzinach zastępczych, przetrwał, właściwie cudem, rządy niezliczonych tyranów domowych; swój zawód wybrał pod wpływem tego doświadczenia, pragnąc pomóc bezsilnym ludziom, takim jak chłopak, którym sam kiedyś był, takim jak Marcus, Jason i Shannon – i jego własna matka, to blade, smutne widmo majaczące w jego pamięci.

Jared ścisnął ramię ojca. Przysłuchiwał się rozmowie.

– Uprzedzam, że będzie od groma roboty papierkowej – ciągnął Hicks. – Władze stanu nie pochwalają strzelania do więźniów. – Ree Dempster stygła w składziku, a Hicks już myślał o robocie

papierkowej. Clint uznał, że musi zakończyć rozmowę, zanim nazwie go potocznym określeniem mężczyzny, którego matka źle się prowadziła.

Powiedział, że niebawem przyjedzie, i się rozłączył. Jared zaproponował, że zrobi grzanki z mortadelą.

– Na pewno jesteś głodny.

– Dziękuję – powiedział Clint. – Może tego właśnie mi trzeba.

Mięso skwierczało i trzaskało na patelni. Złowił nosem jego zapach, tak piękny, że łzy napłynęły mu do oczu. Chociaż może były tam już wcześniej.

„Też muszę sobie takiego sprawić". Tak powiedziała Shannon podczas ich ostatniej rozmowy, kiedy patrzyła na zdjęcie małego Jareda. I najwyraźniej ten zamiar zrealizowała.

Sheila, tak według Lili miała na imię ta dziewczyna. Sheila Norcross.

To, że Shannon dała swojej córce jego nazwisko, pochlebiało mu, lepszego komplementu chyba nie można sobie wyobrazić. Owszem, w tej chwili miał przez to kłopoty, ale mimo wszystko. To znaczy, że go kochała. Cóż, on też kochał Shannon. Na swój sposób. Łączyła ich więź, której inni nigdy by nie zrozumieli.

Wrócił pamięcią do tamtego sylwestra. Shan, z wilgotnymi oczami, zapytała go, czy na pewno wszystko gra. Muzyka huczała. Cuchnęło piwem i papierosami. Nachylił się do jej ucha, żeby dobrze ją słyszeć…

Jeden–dwa kęsy, tyle zdołał przełknąć. Pięknie pachniało, ale jego żołądek był jak twarda gumowa piłka. Przeprosił syna.

– Nie chodzi o smak.

– Uhm – mruknął Jared. – Ja też jakoś nie mam apetytu. – Dłubał w swojej grzance.

Szklane drzwi rozsunęły się z szelestem. W progu stanęła Lila – z białym zawiniątkiem w ramionach.

Kiedy już Don Peters zabił swoją matkę, nie bardzo wiedział co dalej.

Pierwszy krok był oczywisty: posprzątać. Nie będzie to jednak łatwe z uwagi na wybraną przez niego metodę zabójstwa – przyłożył lufę strzelby remington do obrośniętego pajęczynami czoła matki i pociągnął za spust. Podziałało bezapelacyjnie (choć może nie tego słowa szukał), ale bajzel był straszny, a Don był lepszy w robieniu bałaganu niż w uprzątaniu go. Matka często mu o tym przypominała.

I cóż to był za bajzel! Krew, mózg i strzępy kokonu rozbryznęły się po ścianie, tworząc wielką plamę w kształcie poszarpanego megafonu.

Zamiast zająć się sprzątaniem, Don siedział w swoim wygodnym fotelu i zastanawiał się, po cholerę w ogóle zrobił taki bałagan. Czy to wina jego matki, że Jeanette Sorley wywijała mu przed nosem swoim zgrabnym zadkiem, a potem na niego nakablowała, kiedy tylko dał jej się zbrandzlować? No jak, wina matki? Albo to, że Janice Coates wylała go z roboty? A Norcross, świętoszkowaty psychiatra od siedmiu boleści, przywalił mu z zaskoczenia? Nie, jego matka nie miała z tym wszystkim nic wspólnego, a mimo to kiedy Don po powrocie do domu zobaczył, że śpi, od razu poszedł do pikapa po strzelbę i rozwalił jej śniący łeb. O ile w ogóle śniła – kto to mógł wiedzieć?

Tak, był zdenerwowany. Tak, źle go potraktowano. Niemniej, choć Don przyznawał to niechętnie, nawet jeśli jesteś zdenerwowany i źle cię traktują, nie powinieneś od razu zabijać rodzonej matki. To przesada.

Wypił piwo i się popłakał. Nie chciał się zabić ani pójść do więzienia.

Kiedy usiadł na kanapie matki, z piwem w żołądku, już spokojniejszy, przyszło mu do głowy, że sprzątanie wcale nie musi być takie trudne. Władze miały masę innych spraw na głowie. Dzięki aurorze czyny, które normalnie nie uszłyby ci płazem – jak podpalenie – pewnie nie zwracały niczyjej uwagi. Specjalistyczne badania miejsc zbrodni nagle przestały być priorytetem. Poza tym to głównie laski odwalają całą tę robotę z mikroskopami i komputerami. Tak przynajmniej pokazywali w telewizji.

Położył stos gazet na kuchence i odkręcił palnik. Kiedy papier się zajął, Don chlusnął podpałką do grilla na zasłony, meble i wszystko, co łatwopalne.

Odjeżdżając spod płonącego domu, uświadomił sobie, że musi zrobić coś jeszcze. Coś znacznie trudniejszego od rozniecenia pożaru, ale nie mniej ważnego: ten jeden raz w swoim życiu Don musiał wrzucić na luz.

Może jego relacje z kobietami rzeczywiście bywały nieco napięte, ale jeśli tak, to wszystko, co w nich złe, musiało się zacząć od pierwszego bliskiego związku w jego życiu – związku z matką. Nawet Norcross pewnie by się z tym zgodził. Wychowywała go samotnie i radziła sobie najlepiej, jak mogła, ale co zrobiła, by przygotować go na takie kobiety, jak Jeanette Sorley, Angel Fitzroy i Janice Coates? Matka piekła mu grzanki z serem i ciasta truskawkowe w kształcie UFO. Poiła go piwem imbirowym i opiekowała się nim, kiedy chorował na grypę. Gdy miał dziesięć lat, zrobiła Donowi z tektury i pasków filcu kostium czarnego rycerza, którego zazdrościła mu cała czwarta klasa – cała szkoła!

Wszystko to fajnie, ale może matka była dla niego za dobra. Ileż to razy jego własna wrodzona ustępliwość wpakowała go w tarapaty? Na przykład kiedy Sorley go podrywała. Wiedział, że to coś złego, a mimo to dał jej się wykorzystać. Był słaby. Jak wszyscy mężczyźni wobec kobiet. A niektórzy – nawet wielu – są… są…

Zbyt wielkoduszni!

Tak!

Wielkoduszność to tykająca bomba zegarowa, którą dostał w spuściźnie po matce – i dziś ta bomba wybuchła jej prosto w twarz. Była w tym pewna sprawiedliwość (fakt, niezwykle okrutna sprawiedliwość) i choć Don mógł to zaakceptować, przysiągł sobie, że nigdy mu się to nie spodoba. Śmierć to surowa kara za wielkoduszność. Prawdziwymi kryminalistami są ludzie pokroju Janice Coates. Dla niej śmierć nie byłaby zbyt surową karą. Żałował, że nie miał okazji jej udusić, zamiast naszpikować ją prochami. Albo że nie mógł poderżnąć jej gardła i patrzeć, jak się wykrwawia.

– Kocham cię, mamo – powiedział. Zupełnie jakby wypowiadał te słowa na próbę, żeby sprawdzić, czy odbiją się rykoszetem.

Powtórzył je jeszcze kilka razy. Na koniec dodał: – Wybaczam ci, mamo.

Don Peters stwierdził, że nie chce być sam ze swoim głosem. Brzmiał jakoś… jakoś obco.

(„Jesteś pewien, że to prawda, Donnie?", pytała mama, kiedy był mały i sądziła, że ją oszukuje. „Z ręką na sercu, naprawdę wziąłeś tylko jedno ciastko ze słoika, kochanie?").

(„Tak", odpowiadał. „Z ręką na sercu", choć to wcale nie była prawda, a ona pewnie wiedziała, że kłamie, ale przymykała na to oko. I proszę, jak na tym wyszła. Jak to było w Biblii? Kto sieje wiatr, burzę zbiera).

3

Ponieważ na parkingu Squeaky Wheel nie było wolnych miejsc, Don zostawił wóz kawałek dalej przy ulicy.

Idąc do knajpy, minął kilku mężczyzn, którzy stali na chodniku ze szklankami piwa i podziwiali wielki pożar na wzgórzach.

– Następny się fajczy, to chyba gdzieś w mieście – zauważył jeden z nich.

Pewnie mówią o domu mamy, pomyślał Don. Może podłożony przez niego ogień strawi całe osiedle – i kto wie, ile śpiących kobiet. Kilka z nich było porządnych – tych będzie żal – ale reszta to albo szmaty, albo oziębłe suki.

Kupił drinka i piwo przy barze i znalazł wolne miejsce na końcu długiego stołu, koło zastępcy szeryfa Terry'ego Coombsa i czarnego faceta, którego widywał wieczorami w Squeaku, ale jego nazwiska nie pamiętał. Don przez chwilę był ciekaw, czy Terry słyszał o tym, co zaszło w więzieniu – o fałszywych oskarżeniach, o pułapce, jaką na niego zastawili, i tak dalej. Chociaż nawet jeśli Coombs o tym wiedział, to i tak nie miałby ani siły, ani ochoty czegoś w tej sprawie zrobić – wyglądał na półprzytomnego, a na stole przed nim stał opróżniony w trzech czwartych dzbanek.

– Mogę się do was przysiąść, chłopaki? – Don musiał przekrzykiwać zgiełk w barze.

Obaj kiwnęli głowami.

Sala barowa mogła pomieścić setkę ludzi i teraz, o trzeciej nad ranem, co najmniej tylu mieściła. Chociaż była też garstka kobiet, wśród obecnych przeważali mężczyźni. Wyglądało na to, że w zaistniałej sytuacji panie wolą stronić od depresantów. Co zaskakujące, po knajpie pętało się też kilku nastolatków z oszołomionymi minami na rumianych twarzach. Donowi było ich szkoda, ale maminsynkowie tego świata będą musieli szybko wydorośleć.

– Co za dzień – powiedział. Tutaj, wśród ludzi, czuł się lepiej.

Czarny facet mruknął potakująco. Był wysoki, o szerokich barach, koło czterdziestki. Siedział prosto, jakby kij połknął.

– Zastanawiam się tylko, czy się zabić czy nie – powiedział Terry.

Don parsknął śmiechem. Jajcarz z tego Coombsa. I ta jego kamienna twarz – dałbyś słowo, że mówi serio.

– Widzieliście, jak Secret Service skopał tyłki zadymiarzom przed Białym Domem? Chłopaki musiały mieć radochę jak w wieczór gwiazdkowy. I Jezu, spójrzcie na to.

Terry i czarny facet skierowali wzrok na jeden z telewizorów wiszących na ścianie.

Leciało nagranie z monitoringu w podziemnym garażu. Kobieta, której wieku i rasy nie dało się ustalić – uniemożliwiał to kąt kamery i ziarnisty obraz – ubrana w strój parkingowego, siedziała okrakiem na mężczyźnie w garniturze. Zdaje się, że dźgała go czymś w twarz. Na nawierzchni garażu rozlewała się czarna kałuża. Z twarzy kobiety zwisały białe nitki. Jeszcze wczoraj telewizja za nic nie pokazałaby czegoś takiego, ale cóż, wyglądało na to, że z wybuchem aurory wszelkie normy i standardy etyczne – tak to się nazywa, prawda? – poszły do lamusa.

– Pewnie obudził ją, bo chciał odebrać kluczyki albo coś, nie? – rozmyślał Don na głos. – To cholerstwo jest jak napięcie przedmiesiączkowe w wersji ekstremalnej, dobrze mówię?

Dwaj mężczyźni nie odpowiedzieli.

Program przeniósł się do studia. Stanowisko prowadzącego było puste; George Alderson, staruszek, którego Don oglądał przedtem, zniknął. Młodszy facet w bluzie od dresu i słuchawkach wsadził głowę w kadr i ostrym gestem odpędził kamerę. Obraz ze studia zastąpiła reklama sitcomu.

– Brak profesjonalizmu – skwitował Don.

Terry pił piwo prosto z dzbanka. Piana ściekała mu po brodzie.

4

Gdzie przechować uśpione kobiety.

W ten wczesny piątkowy poranek nie było to może jedynym zmartwieniem Lili, ale na pewno jednym z największych. Idealnym miejscem byłaby piwnica albo tunel z ukrytym wejściem. Nieczynny szyb kopalniany mógłby się nadawać – w tych stronach ich nie brakowało – ale mieli za mało czasu, żeby jakiś znaleźć i przygotować. Cóż więc pozostawało? Domy. Jeśli jednak grupy samozwańczych stróżów porządku – albo szaleńców, jak zwał, tak zwał – rzeczywiście zaczną zabijać uśpione kobiety, najpierw szukać ich będą właśnie w domach. Gdzie twoja żona? Gdzie twoja córka? To dla twojego bezpieczeństwa, dla bezpieczeństwa wszystkich. Nie zostawiłbyś dynamitu leżącego luzem w domu, co?

A gdyby tak były domy, w których nikt nie mieszkał, które nigdy nie miały lokatora? Takie jak te przy jej ulicy: cała niezasiedlona druga połowa osiedla na Tremaine Street. Lila uznała, że lepszego rozwiązania nie wymyśli.

Kiedy wytłumaczyła to synowi i mężowi, zupełnie opadła z sił. Czuła się chora i połamana, jakby rozbierała ją grypa. Zdaje się, że ćpun, którego kiedyś aresztowała za włamanie, przestrzegał ją przed tym, to znaczy przed fatalnym samopoczuciem, kiedy narkotyki przestają działać. „Wszystko, bez względu na ryzyko, byleby uniknąć zjazdu”, powiedział. „Zjazd to masakra. Śmierć błogostanu”.

Clint i Jared nie od razu odpowiedzieli. Stali we troje w salonie.

– Czy to… dziecko? – spytał wreszcie Jared.

Podała mu kokon.

– Tak. Córka Rogera Elwaya.

Jej syn przytulił małą do piersi.

– Pewnie mogłoby być jeszcze gorzej – powiedział – ale nie bardzo to sobie wyobrażam.

Lila podniosła rękę i pogładziła włosy na skroni Jareda. Zauważyła, że trzyma dziecko inaczej niż Terry – który obchodził się z nim, jakby lada chwila mogło wybuchnąć albo się roztrzaskać – i serce zabiło jej szybciej. Jej syn się nie poddał. Starał się pozostać człowiekiem.

Clint zasunął szklane drzwi, żeby swąd dymu nie dostawał się do środka.

– Chciałbym móc powiedzieć, że twój pomysł, żeby ukryć uśpione kobiety czy, jak wolisz, gdzieś je przechować, to przesada, ale chyba coś jest na rzeczy. Moglibyśmy zanieść Molly, dziecko, panią Ransom i wszystkie, które znajdziemy, do jednego z pustych domów.

– Na przykład do pokazowego na szczycie wzgórza – podsunął Jared. – Jest w pełni umeblowany. – Napotkał odruchowe spojrzenie matki i dodał: – Luzik. Nie byłem w środku, zaglądałem tylko przez okno do salonu.

– Mam nadzieję, że to zbędna ostrożność, ale lepiej dmuchać na zimne – powiedział Clint.

Skinęła głową.

– Tak myślę. Bo koniec końców mnie też będziecie musieli wsadzić do jednego z tych domów. Wiesz o tym, prawda? – Lila nie powiedziała tego, żeby go zaszokować czy zranić. To był po prostu fakt, który musiała mu uzmysłowić, a była zbyt zmęczona, by owijać w bawełnę.

5

Na sedesie w kabinie damskiej ubikacji w Squeaky Wheel siedział mężczyzna w T-shircie zespołu rockowego i eleganckich spodniach. Gapił się wytrzeszczonymi oczami na Michaelę. Cóż, mogło być gorzej. Przynajmniej miał podciągnięte spodnie.

– Gościu – powiedziała – to damski kibel. Jeszcze kilka dni i będzie wasz po wsze czasy. Na razie jednak wynocha. – „Widespread Panic”, przeczytała na jego koszulce. Wszystko jasne.

– Przepraszam, przepraszam. Chwilka i już mnie nie ma. – Wskazał gestem mały futerał spoczywający na jego kolanach. – Chciałem sobie przypalić, ale w męskim był za duży tłok. – Skrzywił się. – I jedzie tam gównem. Całą masą gówna. Nic przyjemnego. Proszę o cierpliwość, będę wdzięczny. – Zniżył głos: – Widziałem dziś prawdziwą magię. Nie taką disnejowską. Złą magię. Na ogół mam mocne nerwy, ale to mnie trochę wystraszyło.

Michaela puściła pistolet Ursuli i wyjęła dłoń z torebki.

– Zła magia, hę? Rzeczywiście groźnie brzmi. Ja przyjechałam z Waszyngtonu i okazało się, że moja matka już śpi. Jak ci na imię?

– Garth. Wyrazy współczucia.

– Dzięki – powiedziała. – Potrafiła być upierdliwa, ale ogólnie nie dało się jej nie lubić. Poczęstujesz mnie crackiem?

– To nie crack. To meta. – Garth rozpiął futerał, wyciągnął fajkę i podał jej. – Chcesz, to się częstuj. – Wyjął woreczek strunowy z kryształkami metamfetaminy. – Wyglądasz jak jedna dziewczyna z wiadomości telewizyjnych, wiesz?

Michaela uśmiechnęła się.

– Wszyscy mi to mówią.

6

Katastrofalny stan męskiej ubikacji w Squeaky Wheel wypłoszył z niej także Franka Geary’ego. Poszedł opróżnić pęcherz na skraj parkingu. Po tym, co zobaczyli – a zobaczyli ćmy zrodzone z ognia – nie pozostało im nic innego, jak tylko iść do knajpy się upić. Na własne oczy widział coś niewytłumaczalnego. Świat miał swoją drugą stronę. Głębszą warstwę, która do dzisiejszego ranka była niewidzialna. To, że się ukazała, nie dowodziło jednak istnienia Boga Elaine. Ćmy powstały z ognia, a ogień podobno czeka na przeciwległym biegunie duchowym.

Kilka metrów od niego zaszeleściły krzaki.

– Ten kibel to zasrany chlew… – Bełkotliwy męski głos zamilkł. Frank dostrzegł wąską sylwetkę w kowbojskim kapeluszu.

Zapiął rozporek i ruszył z powrotem do baru. Nie wiedział, co innego miałby zrobić. Zostawił Nanę i Elaine w domu, leżące na ręcznikach plażowych w zamkniętej na klucz piwnicy.

Zatrzymał go głos mężczyzny:

– Powiedzieć ci coś ciekawego? Żona kumpla, Millie, pracuje w pierdlu i mówiła, że mają tam… jak by to powiedzieć, takiego femo… fenomena. Pewnie pieprzenie w bambus, tak myślę, ale… – Mocz mężczyzny pryskał po krzakach. – Mówiła, że ta laska… że kiedy śpi, nic jej się nie dzieje. Budzi się.

Frank stanął w pół kroku.

– Że co?

Mężczyzna niespiesznie kołysał się w przód i w tył, dla zabawy obsikując wszystko dookoła.

– Normalnie zasypia i się budzi. Budzi się zdrowa. Tak mówi żona mojego kumpla.

Chmura przesunęła się po niebie i światło księżyca wydobyło z mroku charakterystyczny profil znanego kata psów, Fritza Meshauma. Przypominająca włosy łonowe kępka wieśniackiej brody i wgłębienie pod prawą kością policzkową, w miejscu, gdzie Frank trwale przemodelował mu twarz kolbą karabinu, były wyraźnie widoczne.

– Z kim rozmawiam? – Fritz zmrużył oczy. – To ty, Kronsky? I jak, zadowolony z tej czterdziestkipiątki, Johnny Lee? Dobra spluwa, nie? Nie, to nie Kronsky. Chryste, już widzę potrójnie, nie podwójnie.

– Budzi się? – spytał Frank. – Ta więźniarka się budzi? Bez kokonu?

– Tak słyszałem, chcesz, to wierz, nie chcesz, nie wierz. My się znamy?

Frank bez słowa wrócił do baru. Szkoda mu było czasu dla Meshauma. Myślał przede wszystkim o tej kobiecie, więźniarce, która mogła normalnie spać i się budzić.

7

Kiedy Frank znów dołączył do Terry’ego i Dona Petersa (zaraz zjawił się też Garth Flickinger, który wyszedł sprężystym krokiem z damskiej ubikacji, jakby wstąpiły w niego nowe siły), jego towarzysze od wypitki siedzieli odwróceni plecami do długiego stołu. Mężczyzna w dżinsach, niebieskiej drelichowej koszuli roboczej i baseballówce Case stał i perorował o czymś, gestykulując opróżnionym do połowy dzbankiem piwa, a wszyscy wokół milczeli i grzecznie słuchali. Wyglądał znajomo, jakiś miejscowy farmer, może kierowca ciężarówki, o policzkach obsypanych zarostem i zębach pożółkłych od żucia tytoniu, mówił jednak pewnym tonem kaznodziei, to podnosząc, to zniżając głos w intonacji, która aż się prosiła o odzew „Chwała Panu!”. Obok niego siedział mężczyzna, którego Frank rozpoznał od razu – po śmierci jego psa pomógł mu wybrać nowego ze schroniska. Howland, tak się nazywał. Uczył w dwuletnim college'u w Maylock. Teraz Howland patrzył z ironią na złotoustego oratora.

– To było do przewidzenia – obwieścił tirowiec kaznodzieja. – Kobiety wzleciały za wysoko, jak ten facet, co miał skrzydła z wosku, i skrzydła im się roztopiły!

– Ikar – podpowiedział Howland. Miał na sobie starą, obszerną, lekką kurtkę z łatami na łokciach. Z kieszeni na piersi wystawały okulary.

– I-kar, otóż to, zgadza się w całej rozciągłości! Chcecie wiedzieć, jak daleko płeć piękna zaszła? Pomyślcie, jak było sto lat temu! Kobiety nie mogły głosować! Kiecki do kostek! Żadnej antykoncepcji, a jak któraś robiła sobie aborcję, musiała to załatwić w ciemnym zaułku i jeśli ją na tym złapali, szła do więzienia za morrr-derstwo! Teraz mogą się skrobać, gdzie chcą i kiedy chcą! Dzięki jebanemu Planned Parenthood o aborcję jest łatwiej niż o kubełek z KFC i mniej więcej tyle samo kosztuje! Kobiety mogą kandydować na prezydenta! Zaciągać się do SEALS i Rangersów! Mogą się chajtać ze swoimi lesbijskimi psiapsiółkami! Czy to nie terroryzm? Jak inaczej to nazwać?

Odpowiedziały mu potakujące pomruki. Frank milczał. Nie sądził, by jego problemy z Elaine miały jakikolwiek związek z aborcją czy lesbijkami.

– A wszystko to w ciągu zaledwie stu lat! – Mężczyzna zniżył głos. Mimo to wciąż było go dobrze słychać. Ktoś wyłączył szafę grającą; zabulgotało i Travis Tritt zamilkł. – Nawet się z nami nie zrównały, o co im podobno chodziło, tylko wzięły i nas wyprzedziły. Chcecie wiedzieć, co jest tego dowodem?

Frank musiał przyznać, że facet zaczyna mówić do rzeczy. Elaine nigdy mu nie pobłażała. Zawsze musiało być tak, jak chce ona – żadnej dyskusji. Źle się czuł ze świadomością, że homilia tego buraka trafia mu do serca – ale nie mógł temu zaprzeczyć. I nie był w tym sam. Całe barowe towarzystwo słuchało w skupieniu, z rozdziawionymi gębami. Oprócz Howlanda, który szczerzył się radośnie, jakby oglądał małpę tańczącą na rogu ulicy.

– Mogą się ubierać jak mężczyźni, oto dowód! Sto lat temu kobieta wkładała spodnie co najwyżej do jazdy konnej, a dziś? Wszędzie w nich łażą!

– Co masz przeciwko długim nogom w obcisłych spodniach, ośle? – zawołała jakaś kobieta, ku ogólnej wesołości.

– Nic! – odkrzyknął tamten. – Ale jak myślicie, czy mężczyzna, normalny mężczyzna, nie jakiś nowojorski transior, pokazałby się na ulicach Dooling w sukience? Nie! A jeśli nawet, zwyzywaliby go od wariatów! Wyśmialiby! Za to kobiety mogą nosić, co im się podoba! Zapomniały, co mówi Biblia: kobieta we wszystkim musi się podporządkować mężowi, szyć, gotować, rodzić dzieci, a nie paradować po ulicy w seksownych gaciach! Gdyby poprzestały na zrównaniu się z mężczyznami, może miałyby święty spokój! Ale to im nie wystarczyło! Musiały nas wyprzedzić! Odsunąć nas w cień! Poleciały za blisko słońca i Bóg je uśpił! – Zamrugał i przesunął dłonią po szorstkiej od zarostu twarzy, jakby dopiero do niego dotarło, gdzie jest i co robi – przedstawia swoje osobiste przemyślenia w barze pełnym wgapionych w niego ludzi. – I-kar – powiedział i raptownie usiadł.

– Podziękujmy panu Carsonowi Struthersowi – ryknął zza kontuaru Pudge Marone, barman i właściciel Squeaka. – Nasz lokalny

celebryta, panie i panowie: „Country Strong” Struthers. Uważajcie na jego prawy sierpowy. Carson to mój były szwagier. – Pudge był niespełnionym komikiem o obwisłych policzkach Rodneya Dangerfielda. Szczególnie zabawny nie był, ale nie skąpił przy polewaniu. – Dałeś nam wszystkim do myślenia, Carson. Już nie mogę się doczekać, kiedy omówię twoje mądrości z siostrą przy kolacji w Święto Dziękczynienia.

To wywołało kolejną falę śmiechu.

Zanim ludzie mogli wrócić do przerwanych rozmów albo podłączyć szafę grającą do prądu i dać panu Trittowi dokończyć piosenkę, Howland wstał z podniesioną ręką. Profesor historii, nagle przypomniał sobie Frank. Tak powiedział, kiedy się przedstawiał. Stwierdził, że nazwie nowego psa Tacyt – ku czci jego ulubionego rzymskiego historyka. Frank pomyślał wtedy, że to ambitne imię dla biszona.

– Przyjaciele – odezwał się profesor dźwięcznym głosem – biorąc pod uwagę wszystko, co się wydarzyło dzisiaj, łatwo zrozumieć, dlaczego jeszcze nie pomyśleliśmy o jutrze i wszystkich następnych jutrach. Na chwilę odłóżmy na bok dobre obyczaje, moralność i seksowne gacie i pomyślmy o sprawach praktycznych. – Poklepał Carsona „Country Stronga” Struthersa po krzepkim ramieniu. – Ten dżentelmen poniekąd ma rację; kobiety istotnie prześcignęły mężczyzn pod pewnymi względami, przynajmniej w społeczeństwach zachodnich, choć tu zaznaczę, że w moim przekonaniu wywalczyły sobie swobody dużo istotniejsze od prawa do robienia zakupów w Walmarcie bez gorsetu i z wałkami we włosach. Wyobraźmy sobie, że ta… nazwijmy to plagą, z braku lepszego słowa… wyobraźmy sobie, że ta plaga zaatakowała drugą połowę ludzkości, że to mężczyźni zasypiają i się nie budzą. Co by się wówczas stało?

W Squeaky Wheel zapadła cisza jak makiem zasiał. Wszystkie spojrzenia zwrócone były na Howlanda, wyraźnie zadowolonego, że znalazł się w centrum uwagi. Nie mówił jak wiejski kaznodzieja, a mimo to hipnotyzował pewnym, wyćwiczonym głosem.

– Kobiety mogłyby odtworzyć ludzkość, zgodzicie się? Oczywiście, że tak. W ośrodkach na terenie naszego pięknego kraju są miliony próbek spermy, zamrożonych przyszłych dzieci. A na całym świecie –

dziesiątki milionów! Gdyby je spożytkować, rodziłyby się dzieci płci obojga!

– O ile nowo narodzeni chłopcy nie wytwarzaliby kokonów, kiedy tylko przestawaliby płakać i pierwszy raz zasnęli – zauważyła bardzo ładna młoda kobieta, która nagle wyrosła u boku Flickingera. Frankowi przyszło do głowy, że były bokser pominął w swej przemowie jeden ważny szczegół: kobiety z natury wyglądają lepiej od mężczyzn. Jakby były bardziej dopracowane.

– To prawda – potwierdził Howland. – Ale nawet gdyby tak było, kobiety mogłyby dalej się rozmnażać przez wiele pokoleń, może do czasu, aż aurora przeminęłaby sama z siebie. Czy mężczyźni są do tego zdolni? Panowie, co będzie z ludzkością za pięćdziesiąt lat, jeśli kobiety się nie przebudzą? A za sto?

Tym razem ciszę przerwał mężczyzna, który rozbeczał się wniebogłosy.

Howland go zignorował.

– Może jednak rozważania o losach przyszłych pokoleń są czysto teoretyczne. – Podniósł palec. – Historia uzmysławia nam bardzo przykrą prawdę o ludzkiej naturze, przyjaciele, prawdę, która może wyjaśniać, dlaczego, jak to z wielką pasją wyłuszczył nam ten dżentelmen, kobiety nas wyprzedziły. Ta prawda, mówiąc bez ogródek, brzmi następująco: kobiety są rozumne, mężczyźni to szaleńcy.

– Gówno prawda! – krzyknął ktoś. – Bzdura!

Howland był niezrażony; nawet się uśmiechnął.

– Czy aby na pewno? Kto należy do gangów motocyklowych? Mężczyźni. Kto wchodzi w skład gangów, które zmieniły miasta, takie jak Chicago i Detroit, w strefy wolnego ognia? Chłopcy. Kto rozpętuje wojny i kto, pomijając garstkę kobiet w roli pilotów helikopterów i tym podobnych, na nich walczy? Mężczyźni. Aha, a kto stanowi gros strat ubocznych? Kobiety i dzieci.

– No dobra, a kto kręci tyłkami i ich podjudza? – krzyknął Don Peters. Jego twarz była czerwona. Żyły wystąpiły na szyi. – Kto, kurwa mać, pociąga za sznurki, panie Jajogłowy Mądralo?

Rozległy się pojedyncze oklaski. Michaela przewróciła oczami. Chciała zabrać głos. Nakręcona metą, z niebezpiecznie podniesionym

ciśnieniem krwi, czuła, że mogłaby gadać non stop przez bite sześć godzin – jak purytański kaznodzieja. Zanim jednak zdążyła się odezwać, Howland podjął:

– Wyważony argument, szanowny panie, godny prawdziwego intelektualisty, i pogląd podzielany przez wielu mężczyzn, szczególnie tych, którzy obarczeni są pewnym poczuciem niższości wobec płci pięk…

Don zaczął się podnosić.

– Niby kto ma poczucie niższości, cymbale?

Frank pociągnął go w dół; pragnął trzymać tego narwańca blisko siebie. Jeśli informacje Fritza Meshauma były prawdziwe, musiał o tym porozmawiać z Petersem. Bo był prawie pewien, że on pracuje w więzieniu.

– Puszczaj – warknął Don.

Frank wsunął dłoń pod jego pachę i ścisnął.

– Uspokój się.

Don się skrzywił, ale nic więcej nie powiedział.

– Oto interesujący fakt – ciągnął Howland. – W drugiej połowie dziewiętnastego wieku większość kopalń głębinowych, także u nas, w Appalachach, zatrudniała pracowników zwanych kulisami. Nie, nie chińskich robotników; w tym przypadku byli to młodzi mężczyźni, niekiedy najwyżej dwunastoletni chłopcy, którzy dyżurowali przy maszynerii zagrożonej przegrzaniem. Kulisi mieli do dyspozycji beczkę wody albo rurę, jeśli w pobliżu płynął strumień. Ich zadaniem było polewać wodą pasy i tłoki, żeby je schładzać. W moim przekonaniu kobiety spełniały podobną rolę w dziejach ludzkości, powstrzymywały mężczyzn, kiedy to możliwe, przed najgorszymi, najbardziej odrażającymi czynami. – Rozejrzał się po swojej publiczności. Uśmiech zniknął z jego twarzy. – Teraz jednak ci kulisi odeszli albo wkrótce odejdą. Ile czasu minie, zanim mężczyźni, którzy wkrótce będą jedyną płcią na Ziemi, rzucą się na siebie z pistoletami, bombami, bronią jądrową? Ile czasu minie, zanim maszyneria się przegrzeje i wyleci w powietrze?

Frank usłyszał już dosyć. Nie obchodziła go przyszłość całego rodzaju ludzkiego. Jeśli uda się go ocalić, to będzie tylko korzystny skutek uboczny. Dla niego liczyła się wyłącznie Nana. Chciał

pocałować jej słodką twarzyczkę i przeprosić za to, że rozciągnął jej ulubioną koszulkę. Zapewnić, że nigdy więcej tego nie zrobi. A w tym celu musiał ją obudzić.

– Chodź – powiedział do Dona. – Musimy pogadać.

– O czym?

Frank nachylił się do ucha Petersa.

– Czy to prawda, że w więzieniu jest kobieta, która nie wytwarza we śnie kokonu i normalnie się budzi?

Don wykręcił głowę do tyłu i spojrzał na Franka.

– Hej, jesteś miejskim hyclem, nie?

– Zgadza się. – Frank puścił „hycla" mimo uszu. – A ty jesteś Don, który pracuje w więzieniu.

– Uhm – sapnął Don. – We własnej osobie. Pogadajmy więc.

8

Clint i Lila wyszli na tylny ganek. Górne światło zmieniło ich w aktorów na scenie. Patrzyli w stronę basenu, z którego przed niespełna dobą Anton Dubcek wyławiał martwe robale. Ciekawe, gdzie jest teraz, pomyślał Clint bez szczególnego powodu. Pewnie śpi. Śni o chętnych młodych kobietach, zamiast przygotowywać się na nieprzyjemną rozmowę z żoną. Jeśli rzeczywiście tak było, Clint mu zazdrościł.

– Opowiedz mi o Sheili Norcross, kochanie. Dziewczynie, którą widziałaś na meczu koszykówki.

Lila obdarzyła go brzydkim uśmiechem, do jakiego wydawała mu się niezdolna. Obnażał wszystkie jej zęby. Nad nim błyszczały jej oczy – głęboko zapadnięte, otoczone ciemnobrązowymi kręgami.

– Jakbyś nic nie wiedział. Kochanie.

Podejdź do tego jak terapeuta, powiedział sobie. Pamiętaj, że jest naćpana i goni resztkami sił. Wyczerpani ludzie łatwo popadają w paranoję. Trudno było jednak zachować spokój. W ogólnych zarysach rozumiał, o co chodzi: Lila myślała, że jakaś dziewczyna, o której nigdy nie słyszał, jest jego córką; jego i Shan Parks. To

jednak było niemożliwe, a kiedy własna żona oskarża cię o coś niemożliwego, podczas gdy wokół dzieją się rzeczy pod każdym względem ważniejsze i pilniejsze, niezwykle ciężko utrzymać nerwy na wodzy.

– Powiedz mi, co wiesz. Potem powiem ci, co ja wiem. Ale zacznijmy od jednego prostego faktu. Ta dziewczyna nie jest moją córką, czy nosi moje nazwisko czy nie, a ja nigdy nie złamałem przysięgi małżeńskiej. – Lila odwróciła się, jakby chciała wrócić do domu. Złapał ją za ramię. – Proszę, powiedz mi, zanim… – Zanim pójdziesz spać i stracimy ostatnią szansę, żeby wszystko sobie wyjaśnić? – Zanim to się jeszcze bardziej zaogni.

– Czy to w ogóle ważne w tej sytuacji?

Dokładnie to samo myślał przed chwilą, ale mógł odpowiedzieć: to ważne dla ciebie. Trzymał jednak usta zamknięte. Bowiem pomimo wszystkiego, co się działo na świecie, było to też ważne dla niego.

– Wiesz, że wcale nie chciałam tego basenu, prawda? – spytała Lila.

– Co? – Clint był zdumiony. Co basen ma do rzeczy?

– Mamo? Tato? – Jared stał za siatką przeciw owadom.

– Wracaj do środka. To sprawa między twoją matką a…

– Nie, niech słucha – powiedziała Lila. – Jeśli się uparłeś, żeby to rozgrzebać, proszę bardzo. Nie sądzisz, że powinien wiedzieć, że ma przyrodnią siostrę? – Odwróciła się do Jareda. – Jest rok młodsza od ciebie, ma blond włosy, świetnie gra w kosza i jest ładna jak z obrazka. Ty też byłbyś, gdybyś był dziewczyną. Bo widzisz, jest łudząco podobna do ciebie, Jere.

– Tato? – Jared zmarszczył brwi. – O czym mama mówi?

Clint skapitulował. Było za późno, żeby zrobić cokolwiek innego.

– Może ty mu powiesz, Lila? Zacznij od początku.

9

Lila opowiedziała wszystko, poczynając od Komitetu do spraw Programu Nauczania i tego, co po zebraniu usłyszała od Dorothy

Harper, a do czego początkowo nie przywiązała większej wagi, ale następnego dnia sprawdziła w Internecie. Wśród wyników wyszukiwania znalazł się artykuł, w którym padało nazwisko wspomnianej kiedyś przez Clinta Shannon Parks, zilustrowany pięknym zdjęciem Sheili Norcross.

– Mogłaby być twoją bliźniaczką – zwróciła się do syna.

Jared powoli odwrócił się do ojca.

Teraz siedzieli we trójkę przy kuchennym stole.

Clint pokręcił głową, ale w głębi ducha mimowolnie był ciekaw, co wyraża jego twarz. Bo miał wyrzuty sumienia. Jakby rzeczywiście coś przeskrobał. Ciekawe zjawisko. Tamtej nocy w dwa tysiące drugim roku szepnął Shannon na ucho: „Wiesz, gdybyś mnie potrzebowała, zawsze możesz na mnie liczyć". Kiedy odpowiedziała: „A gdybym cię potrzebowała tej nocy?", odparł, że tej jednej rzeczy nie może dla niej zrobić. Gdyby się z nią przespał, miałby powód, żeby czuć się winny, ale odmówił, więc wszystko w porządku. Prawda?

Może i tak, tylko dlaczego nigdy nie powiedział Lili o tamtym spotkaniu? Nie pamiętał, ale przecież nie miał obowiązku tłumaczyć się z czegoś, co zaszło przed piętnastu laty. Równie dobrze mogłaby zażądać, żeby wyjaśnił, czemu w ogródku Burtellów znokautował Jasona z powodu nędznego shake'a czekoladowego.

– To wszystko? – spytał Clint. Nie oparł się pokusie, żeby dodać: – Powiedz, że to nie wszystko, Lila.

– Nie, to nie wszystko – odparła. – A co, będziesz mi wmawiał, że nie znałeś Shannon Parks?

– Wiesz, że ją znałem. Na pewno wspomniałem jej nazwisko.

– Przelotnie. Ale to było coś więcej niż przelotna znajomość, prawda?

– Tak. Dużo więcej. Oboje ugrzęźliśmy w systemie opieki zastępczej. Przez pewien czas trzymaliśmy się nawzajem na powierzchni. Inaczej jedno z nas albo oboje poszlibyśmy na dno. To Shannon przekonała mnie, żebym przestał się bić. Powiedziała, że inaczej pewnego dnia kogoś zabiję. – Clint sięgnął nad stołem i wziął Lilę za ręce. – Ale to było lata temu.

Wyrwała dłonie.

– Kiedy ostatnio się z nią widziałeś?

– Piętnaście lat temu! – krzyknął Clint. To był absurd.

– Sheila Norcross ma piętnaście lat.

– Rok młodsza ode mnie… – powiedział Jared. Gdyby była starsza, miała osiemnaście czy dziewiętnaście lat, znaczyłoby to, że urodziła się przed ślubem jego rodziców. Ale skoro jest młodsza…

– A jej ojcem – wycedziła Lila, ciężko dysząc – jest Clinton Norcross. Tak wynika z jej szkolnej dokumentacji.

– Widziałaś jej szkolne papiery? – spytał Clint. – Nie wiedziałem, że takie rzeczy są publicznie dostępne.

Po raz pierwszy od początku rozmowy jego żona wydawała się bardziej zakłopotana niż wściekła… a tym samym jakby mniej obca.

– Mówisz, jakbym zrobiła coś nieprzyzwoitego. – Jej policzki oblały się rumieńcem. – No dobrze, może to było nieprzyzwoite. Ale musiałam poznać nazwisko jej ojca. Twoje nazwisko, jak się okazuje. Potem poszłam na mecz, żeby ją zobaczyć. Tam właśnie byłam zeszłej nocy, w sali gimnastycznej liceum w Coughlin, na meczu ligi amatorskiej, i patrzyłam, jak twoja córka gra w kosza. I ma po tobie nie tylko urodę i nazwisko.

10

Zawyła syrena i miejscowa drużyna potruchtała za linię boczną. Lila oderwała wzrok od trybuny, na której wypatrywała kobiety, która mogła być Shannon.

Zobaczyła, jak Sheila Norcross kiwa głową na wyższą od siebie koleżankę z drużyny. Wymieniły wymyślny uścisk dłoni: stuknęły się pięściami, splotły kciuki, podniosły ręce i przybiły piątkę w górze.

Supersztama.

Właśnie wtedy Lili pękło serce. Kiedy to zobaczyła. Jej mąż był człowiekiem w zwodniczej masce. Wszystkie jej wątpliwości i frustracje nagle stały się zrozumiałe.

Supersztama. Setki razy widziała, jak Clint i Jared to robią. Tysiące razy. Żółwik, splecenie kciuków, piątka. W głowie miała drogi jej sercu pokaz slajdów przedstawiających, jak Jared, ze zdjęcia na

zdjęcie coraz wyższy, coraz szerszy w barach, z coraz ciemniejszymi włosami, przybija z ojcem supersztamę. Clint nauczył tego wszystkich chłopaków w juniorskiej drużynie Jareda.

Tamtą dziewczynę też tego nauczył.

ROZDZIAŁ 20

1

Około północy czasu centralnego w chicagowskim barze Stoney's Big Dipper wybuchła rozróba między małą grupą Cripsów a znacznie liczniejszym hufcem Bloodsów. Bójka przerodziła się w obejmującą całe miasto wojnę gangów, którą internetowe serwisy informacyjne nazwały apokaliptyczną, bezprecedensową, a nawet „ogromną jak cholera". Nikt nigdy nie ustali, który członek którego gangu zapalił zapałkę, od której rozpętał się, jak nazwano to później, Drugi Wielki Pożar Chicago, wiadomo tylko, że stało się to w West Englewood, a stamtąd ogień rozniósł się do kolejnych dzielnic. O świcie płonęła już duża część miasta. Policja i straż pożarna praktycznie nie reagowały. Większość glin i strażaków była w domach, gdzie albo próbowali nie dopuścić, by ich żony i córki zasnęły, albo czuwali nad kokonami z ich ciałami, trzymając się resztek nadziei.

2

– Powiedz, co widziałeś – rzucił Frank. On i Don Peters stali za Squeaky Wheel, w którym wreszcie robiło się coraz ciszej, pewnie dlatego że Pudge'owi Marone'owi kończył się zapas alkoholu. – W szczegółach.

– Byłem w Kabinie, no nie? To więzienne centrum dowodzenia, można powiedzieć. Mamy pięćdziesiąt różnych kamer. Obserwowałem tak zwaną wyścielaną celę, do której wsadzili nową.

W papierach figuruje jako Eve Black, chociaż nie wiem, czy to jej prawdziwe nazwisko, czy tylko…

– Na razie mniejsza z tym. Co widziałeś?

– Cóż, była w czerwonych drelichach, jak wszystkie nowe osadzone, i właśnie zasypiała. Chciałem zobaczyć, jak obrasta pajęczyną, bo słyszałem o tym, ale tego nie widziałem. Tylko że wcale tak się nie stało. – Don złapał Franka za rękaw koszuli. – Rozumiesz, co mówię? Nie było pajęczyny. Ani jednej nitki, a wtedy już spała. Potem się obudziła, jej oczy nagle rozwarły się szeroko, i spojrzała prosto w kamerę. Jakby patrzyła na mnie. I myślę, że rzeczywiście na mnie patrzyła. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale…

– Może nie spała. Może udawała.

– Tak zrelaksowana, tak swobodnie rozwalona? Nie ma szans. Wierz mi.

– Dlaczego siedzi u was? Dlaczego nie w areszcie szeryfa?

– Bo jest pojebana jak dziki kocur, oto dlaczego. Zabiła dwóch producentów mety gołymi rękami!

– A czemu teraz nie jesteś w więzieniu?

– Bo mnie dwa szczury wrobiły! – wybuchnął Don. – Wrobili mnie, a potem wylali! Naczelnik Coates i jej koleżka psychiatra, mąż pani szeryf! Pewnie to żonka załatwiła mu robotę w więzieniu! To musiał być jakiś polityczny układ, bo facet dupy od klamki nie odróżni!

Don opowiedział historię swojego niezasłużonego ukrzyżowania, ale Franka nie obchodziło, co według Coates i Norcrossa zrobił Peters. W tej chwili jego umysł był jak żaba na gorących kamieniach – skakał od jednego pomysłu do drugiego. Wysokim łukiem.

Odporna kobieta? Tutaj, w Dooling? Powiedziałby, że to niemożliwe, no ale o jej przebudzeniu słyszał już od dwóch osób. Gdzieś musiała być jakaś pacjentka zero, więc dlaczego nie tutaj? I kto wie, czy w kraju i na świecie nie ma innych odpornych kobiet? Najważniejsze, że jeśli to prawda, ta cała Evie Black może być kluczem do znalezienia lekarstwa. Lekarz (nawet jego nowy kolega Garth Flickinger, jeśli tylko wreszcie przestanie ćpać i wytrzeźwieje) mógłby wykryć w jej krwi coś nietypowego, a to mogłoby doprowadzić do opracowania… cóż…

Szczepionki!

Lekarstwa!

– …podrzucone dowody! Jakbym w ogóle chciał mieć do czynienia z mężobójczynią, która…

– Don. Przymknij się na chwilę.

O dziwo, Don posłuchał. Spojrzał błyszczącymi od gorzały oczami w twarz wyższego towarzysza.

– Ilu strażników jest teraz w więzieniu?

– Mówi się na nich „oficerowie" i nie wiem na pewno. Niewielu, skoro wszystko tak się popieprzyło. Zależy też, kto doszedł, kto odszedł. – Zmrużył oczy, licząc w pamięci; niezbyt przyjemny widok. – Może siedmiu. Z Hicksem ośmiu, dziewięciu, jeśli dodać pana lekarza od głowy, ale ci dwaj warci są tyle, co pierd na silnym wietrze.

– Co z naczelniczką?

Don uciekł wzrokiem.

– Zasnęła.

– No dobra, a ile w tej chwili jest kobiet na służbie?

– Kiedy wychodziłem, zostały tylko Van Lampley i Millie Olson. Aha, i może być jeszcze Blanche McIntyre, ale to sekretarka Coatsie i ma ze sto jeden lat.

– Czyli nawet z Hicksem i Norcrossem jest ich garstka. Wiesz co? Szeryf też jest kobietą i będę zdziwiony, jeśli da radę pilnować porządku jeszcze przez trzy godziny. Będę zdziwiony, jeśli za trzy godziny w ogóle będzie na nogach. – W normalnych okolicznościach Frank zachowałby te myśli dla siebie, a już na pewno nie ujawniłby ich takiemu nadpobudliwemu wypierdkowi jak Peters.

Don przetworzył te informacje, oblizując usta. Kolejny niełady obrazek.

– Co ci chodzi po głowie?

– Niebawem Dooling będzie potrzebowało nowego szeryfa. A nowy szeryf będzie miał wszelkie prawo zabrać więźniarkę z zakładu karnego. Zwłaszcza taką, która nie stanęła przed sądem, a tym bardziej nie została skazana.

– I chcesz się o tę robotę ubiegać? – spytał Don.

Jakby na podkreślenie tego pytania gdzieś w ciemności huknęły dwa strzały. No i wciąż czuć było ten wszechobecny swąd dymu. Kto

się zajmuje takimi sprawami? Czy w ogóle ktokolwiek?

– Jestem prawie pewien, że Terry Coombs, jako najwyższy rangą, byłby głównym kandydatem. – Głównym kandydatem, który w tej chwili jest tak zalany, że zaraz wpadnie pod stół, tego jednak Frank nie dodał. Był wyczerpany i podpity, ale w końcu do niego dotarło, że musi uważać na słowa.

– Ktoś jednak będzie musiał pomóc mu wszystko ogarnąć. Gdyby szukał zastępcy szeryfa, na pewno bym się zgłosił.

– Dobra myśl – powiedział Don. – Może i ja się zgłoszę. Wygląda na to, że jestem bezrobotny. Powinniśmy z nim pogadać, namówić go, żeby jak najszybciej pojechał po tę kobietę, nie sądzisz?

– Uhm – mruknął Frank. W świecie idealnym nie pozwoliłby Donowi Petersowi opłukać klatki dla psa, ale facet znał więzienie, więc mógł się przydać. – Jak tylko się prześpimy i wytrzeźwiejemy.

– Dobra, dam ci numer mojej komórki – powiedział Don. – Zadzwoń, gdybyście coś z Terrym wymyślili. – Wyjął długopis i notes, w którym do niedawna zapisywał nazwiska pizd, które zalazły mu za skórę i zasłużyły na naganę.

3

Niedługo po doniesieniach o pierwszych przypadkach aurory liczba samobójstw wśród mężczyzn gwałtownie wzrosła, dwukrotnie, trzykrotnie i wreszcie czterokrotnie. Mężczyźni zabijali się hałaśliwie, skacząc z budynków lub wkładając lufy pistoletów do ust, zabijali się też po cichu, łykając pigułki albo zamykając się w garażu i zatruwając spalinami. Emerytowany nauczyciel nazwiskiem Eliot Ainsley zadzwonił do radia w australijskim Sydney, żeby na antenie przedstawić swoje zamiary i przemyślenia, zanim podetnie sobie żyły, wróci do łóżka i położy się u boku uśpionej żony. „Po prostu nie ma sensu dalej żyć bez dziewczyn”, poinformował prowadzącego audycję. „I tak sobie myślę, że może to, co się stało, to próba, próba naszej miłości do nich, naszego oddania dla nich. Rozumiesz mnie, prawda, kolego?”. Didżej odparł, że nie rozumie, że jego zdaniem

Eliota Ainsleya „pojebało” – ale wielu mężczyzn go rozumiało. Różnie nazywano tych, którzy się zabijali, do powszechnego użytku weszło jednak określenie ukute w Japonii. To byli śpiący mężowie – mężczyźni, którzy liczyli, że dołączą do swoich żon i córek tam, dokąd odeszły.

(Próżna nadzieja. Mężczyźni nie mieli wstępu na drugą stronę Drzewa).

4

Clint czuł na sobie spojrzenia żony i syna. Przykro było patrzeć na Lilę, a jeszcze bardziej na Jareda, który wyglądał na zupełnie oszołomionego. W jego twarzy Clint widział też strach. Małżeństwo rodziców, z pozoru tak mocne, mające trwać wiecznie, zdawało się rozpadać na jego oczach.

Na kanapie leżała dziewczynka otulona mlecznobiałymi włóknami. Obok, na podłodze, w koszu na pranie spało niemowlę. Nie wyglądało jednak jak niemowlę. Wyglądało jak ofiara pająka, zapakowana do późniejszej konsumpcji.

– Żółwik, splecenie kciuków, klask-klask – powiedziała Lila, choć takim tonem, jakby już nieszczególnie ją to obchodziło. – Widziałam, jak to zrobiła. Przestań udawać, Clint. Przestań kłamać.

Musimy się przespać, pomyślał Clint, zwłaszcza Lila. Najpierw jednak trzeba wyjaśnić to głupie nieporozumienie rodem z sitcomu. O ile da się je wyjaśnić; może już wiedział, jak to zrobić. W pierwszej chwili pomyślał, żeby skorzystać ze swojego telefonu, ale miał za mały ekran jak na jego potrzeby.

– Jared, czy Internet jeszcze działa?

– Działał, kiedy ostatnio sprawdzałem.

– Przynieś swojego laptopa.

– Po co?

– Zrób, o co proszę, dobrze?

– Naprawdę mam siostrę?

– Nie.

Lili zaczynała opadać głowa, ale w tej chwili ją poderwała.

– Masz.

– Przynieś laptopa.

Jared poszedł po komputer. Głowa Lili znów opadła. Clint klepnął żonę w jeden, potem drugi policzek.

– Lila. Lila!

Podniosła głowę.

– Jestem. Nie dotykaj mnie.

– Zostało ci jeszcze trochę tego, co wzięłyście z Linny?

Chwilę grzebała w kieszeni na piersi, aż wyciągnęła pojemnik na szkła kontaktowe. Otworzyła jeden z plastikowych schowków. W środku była odrobina proszku. Zerknęła na Clinta.

– To mocny towar – powiedziała. – Możliwe, że wydrapię ci oczy. Czy będę w kokonie czy nie. Jestem smutna, ale i potwornie wkurzona.

– Zaryzykuję. Śmiało.

Schyliła się, zatkała jedną dziurkę nosa i wciągnęła proszek drugą. Usiadła prosto, z szeroko otwartymi oczami.

– Powiedz, Clint, czy Shannon Parks była dobra w łóżku? Myślałam, że jestem całkiem niezła w te klocki, ale ona musiała być lepsza, skoro rok po naszym ślubie poleciałeś do niej z wywalonym jęzorem.

Wrócił Jared, z zaciętą miną mówiącą „Nie słyszałem tego”, i postawił laptopa przed ojcem. Robiąc to, wyraźnie uważał, żeby trzymać się od niego na dystans.

I ty, Brutusie?

Clint odpalił maca, otworzył Firefoxa i wpisał: „Sheila Norcross Coughlin koszykówka”. Pojawił się link do artykułu. Było pod nim też zdjęcie dziewczyny nazwiskiem Sheila Norcross. Całkiem niezłe ujęcie, od ramion w górę, pokazujące ją w drużynowej koszulce. Jej ładna twarz była zarumieniona od wysiłku. Uśmiechała się. Clint wpatrywał się w fotografię prawie pół minuty. Potem bez słowa odwrócił laptopa w stronę Jareda. Zaciskając usta i pięści, syn wbił wzrok w ekran. Powoli się odprężył. Spojrzał na Lilę, zdumiony jak nigdy.

– Mamo… jeśli jest jakieś podobieństwo, ja go nie widzę. Nie wygląda jak ja. Ani jak tata.

Oczy Lili, już rozszerzone od magicznego proszku, otworzyły się jeszcze szerzej. Parsknęła ostrym, skrzekliwym śmiechem.

– Synku, proszę cię. Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

Jared skrzywił się, jakby dostał w twarz, i przez jedną okropną chwilę Clint był o włos od tego, by podnieść rękę na kobietę, która od siedemnastu lat jest jego żoną. Powstrzymał go kolejny rzut oka na zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny. Bowiem jeśli ktoś bardzo tego chciał, mógł znaleźć nikłe podobieństwo, czy Jared je dostrzegał, czy nie: wydłużona szczęka, wysokie czoło, dołki w kącikach uśmiechniętych ust. Wszystkie te detale wyglądały co prawda inaczej niż u Clinta, ale był w stanie zrozumieć, dlaczego mogły się z nim kojarzyć.

„Kocham twoje dołki”, mawiała Lila zaraz po ślubie. Często w łóżku, po seksie. Dotykała ich palcami. „Wszyscy mężczyźni powinni mieć dołki”.

Mógł jej powiedzieć, na czym jego zdaniem polega całe nieporozumienie, bo sądził, że teraz już to wie. Może jednak istniało inne rozwiązanie. Była czwarta nad ranem, pora, o jakiej normalnie prawie wszyscy śpią, ale to nie była normalna noc. Jeśli jego stara znajoma z ośrodka opiekuńczo-wychowawczego nie tkwiła w kokonie, będzie mogła odebrać telefon. Pytanie tylko, czy zdoła się do niej dodzwonić. W pierwszej chwili chciał skorzystać ze swojej komórki, ale rozmyślił się i podszedł do telefonu wiszącego na ścianie. Usłyszał sygnał w słuchawce; na razie wszystko dobrze.

– Co ty kombinujesz? – spytała Lila.

Nie odpowiedział, tylko wcisnął 0. Po sześciu sygnałach zaczął się obawiać, że nikt nie odbierze, co w sumie nie byłoby wielkim zaskoczeniem, ale wtedy zabrzmiał znużony kobiecy głos:

– Tak? Czego?

Clint nie przypuszczał, by szefostwo Shenandoah Telecom zaleciło pracownikom w ten sposób witać dzwoniących klientów, przede wszystkim jednak ulżyło mu, że usłyszał człowieka.

– Proszę pani, nazywam się Clinton Norcross, mieszkam w Dooling i bardzo potrzebuję pani pomocy.

– Szczerze w to wątpię, proszę pana – odparła rozmówczyni, zaciągając jak rodowita mieszkanka hrabstwa Bridger (którą pewnie

była). – Dzisiaj to kobiety potrzebują pomocy.

– Właśnie o to chodzi, że muszę się skontaktować z pewną kobietą. Nazywa się Shannon Parks. Mieszka w Coughlin. – O ile nie zastrzegła swojego numeru. Samotne kobiety często tak robią. – Poszukałaby jej pani?

– Takie informacje można dostać pod numerem 611. Albo znaleźć na cholernym komputerze.

– Proszę, niech mi pani pomoże.

Długa chwila ciszy. Połączenie się nie zerwało, ale może telefonistka zasnęła?

I wreszcie:

– Mam S.L. Parks zamieszkałą na Maple Street w Coughlin. To jej pan szuka?

Prawie na pewno tak. Chwycił ołówek wiszący pod tablicą na notatki i pociągnął tak mocno, że zerwał sznurek.

– Pięknie pani dziękuję. Poda mi pani ten numer?

Kobieta podyktowała ciąg cyfr i się rozłączyła.

– Nie uwierzę jej, nawet jeśli się do niej dodzwonisz! – krzyknęła Lila. – Skłamie, żeby cię kryć!

Clint bez słowa wybrał numer. Nawet nie zdążył wstrzymać tchu – w połowie pierwszego sygnału ktoś podniósł słuchawkę.

– Jeszcze nie śpię, Amber – powiedziała Shannon Parks. – Dzięki, że dzwo…

– To nie Amber, Shan – przerwał jej. Kolana nagle się pod nim ugięły; oparł się o lodówkę. – Mówi Clint Norcross.

5

Internet jest jasnym domem, pod którym skrywa się ciemna piwnica z klepiskiem zamiast podłogi. Kłamstwa rozrastają się w tej piwnicy jak grzyby. Niektóre są smakowite; wiele jest trujących. Kłamstwo, które zrodziło się w Cupertino – przedstawione jako niekwestionowany fakt – należało do tych ostatnich.

W facebookowym poście zatytułowanym „Prawda o aurorze” człowiek, który podawał się za lekarza, napisał, co następuje:

AURORA: PILNE OSTRZEŻENIE!
dr Philip P. Verdrusca
Zespół biologów i epidemiologów z instytutu Kaiser Permanente ustalił, że za rozprzestrzenianie się śpiączki aurory odpowiadają kokony, które otaczają kobiety nią dotknięte. Oddech chorych, przenikając przez kokon, staje się wektorem przenoszącym. Ten wektor jest wysoce zaraźliwy!
Jedynym sposobem zatrzymania epidemii aurory jest spalenie kokonów i kobiet w nich śpiących! Zróbcie to natychmiast! Zapewnicie najbliższym spoczynek, o którym marzą w swoim półświadomym stanie, a jednocześnie powstrzymacie zarazę.
Zróbcie to dla dobra kobiet, które jeszcze nie zasnęły!
OCALCIE JE!!!

Ani w instytucie Kaiser Permanente, ani w podlegających mu ośrodkach nie pracował lekarz nazwiskiem Philip Verdrusca. Fakt ten błyskawicznie ujawniono w telewizji i w Internecie, opublikowano też dementi dziesiątek poważanych lekarzy i Centrum Zwalczania i Prewencji Chorób. Fałszywka z Cupertino stała się tematem numer jeden w czasie, kiedy słońce wschodziło na Wschodnim Wybrzeżu Ameryki. Mleko jednak już się rozlało i Lila Norcross mogła przewidzieć to, co nastąpiło potem. Ba, przewidziała to. Ludzie może i starają się być jak najlepszej myśli, ale po prawie dwudziestu latach pracy w niebieskim mundurze Lila wiedziała, że wierzą we wszystko, co najgorsze. W świecie zdjętym przerażeniem fałszywa wiadomość jest królem.

Kiedy w stanach Środkowego Zachodu nastał świt, brygady zapalające już grasowały w miastach i miasteczkach Ameryki i całego świata. Kobiety w kokonach były zaciągane na wysypiska, na pola i murawy stadionów, a tam buchające z nich języki ognia zmieniały się w wielkie chmury ciem, które zasłaniały niebo i przyćmiewały słońce wschodzące drugiego dnia aurory.

Dzieło Philipa P. Verdruski już się dokonywało, kiedy Clint przedstawił Shannon aktualną sytuację w rodzinie Norcrossów, po czym bez słowa oddał słuchawkę żonie.

6

Lila najpierw milczała i tylko patrzyła nieufnie na męża. Skinął jej głową, jakby w odpowiedzi, po czym delikatnie ujął syna za ramię.

– Chodź – rzucił. – Dajmy mamie trochę prywatności.

Na ekranie telewizora w salonie kobieta z kanału lokalnego dalej pracowicie nawlekała koraliki – wydawało się, że do końca świata nie przestanie – ale dźwięk, na szczęście, był ściszony.

– Nie jesteś ojcem tej dziewczyny, co, tato?

– Nie – powiedział Clint. – Nie jestem.

– To skąd może znać supersztamę, którą przybijaliśmy w lidze juniorskiej?

Clint z westchnieniem usiadł na kanapie. Jared spoczął obok niego.

– Jak to mówią, jaka matka, taka córka, a Shan Parks też grała w kosza, chociaż nie w liceum ani lidze amatorskiej. Nie miała ochoty nosić wyznaczonego przez kogoś numeru i wdzięczyć się do publiki. To nie było w jej stylu. Wystarczały jej mecze towarzyskie na placu zabaw. Chłopaki grały razem z dziewczynami.

Jared słuchał zafascynowany.

– Ty też grałeś?

– Trochę, dla zabawy, ale byłem do niczego. Co innego ona. Miała talent. Gdyby chciała, ogrywałaby mnie niemiłosiernie. Tyle że nie musiała, bo nigdy nie graliśmy przeciwko sobie. Zawsze byliśmy w jednej drużynie. – Pod każdym względem, pomyślał. Tak to z nami było i dzięki temu przetrwaliśmy. Przetrwanie było prawdziwym shakiem, tym, o który oboje walczyliśmy. – Shan wymyśliła supersztamę, Jere. Pokazała mi ją, a ja wam, kiedy byłem waszym trenerem.

– Dziewczyna, którą znałeś, wymyśliła supersztamę? – W głosie Jareda brzmiał podziw, jakby Shannon była twórczynią biologii

molekularnej, a nie wymyślnego uścisku dłoni. W tej chwili chłopak wydawał się tak niewiarygodnie młody. I był.

– Uhm. – Reszty Clint nie chciał Jaredowi wyjawić, bo wyszedłby na zarozumialca, ale miał nadzieję, że Shannon właśnie dopowiada Lili brakujące szczegóły. Tak sądził, bo na pewno zdawała sobie sprawę, że za kilka dni, a nawet godzin, jej i Lili może już nie być na tym świecie. Musiała więc rozumieć, jak ważne jest, by powiedziała prawdę, nawet jeśli niekoniecznie przyjdzie jej łatwo.

Shan była jego najlepszą przyjaciółką, byli też kochankami, ale tylko przez kilka miesięcy. Kochała się w nim – na zabój. Taka była prawda. Dzisiaj Clint to wiedział i zapewne w najgłębszej głębi serca wiedział to też wtedy, ale postanowił to ignorować, bo nie odwzajemniał jej uczucia, nie mógł sobie pozwolić na jego odwzajemnienie. Shannon podała mu pomocną dłoń, kiedy tego potrzebował, i zawsze będzie jej dłużnikiem, ale nie chciał spędzić z nią życia, nawet nie brał tego pod uwagę. Tym, co ich połączyło, było dążenie do przetrwania – jego i jej. Shannon należała do świata, który krzywdził go i ranił, który omal go nie złamał. Przekonała Clinta, żeby nie zszedł z raz obranej drogi. Kiedy już na nią wstąpił, musiał iść naprzód. On nie mógł w ten sam sposób pomóc Shan, choć też tego potrzebowała. Czy to było okrutne? I samolubne? Tak. Pewnie, że tak.

Wiele lat po ich rozstaniu poznała faceta i zaszła w ciążę. Clint sądził, że ojciec córki Shannon był mężczyzną nieco podobnym do chłopca, w którym się kochała jako nastolatka. I odrobina tego podobieństwa zachowała się w urodzonym przez nią dziecku.

Lila weszła do salonu ociężałym krokiem i stanęła między kanapą a telewizorem. Rozejrzała się, jakby niepewna, gdzie jest.

– Skarbie? – odezwał się Clint.

– Mamo? – zapytał Jared w tej samej chwili.

Uśmiechnęła się blado.

– Wygląda na to, że jestem komuś winna przeprosiny.

– Jak już masz za coś przepraszać, to tylko za to, że nie przyszłaś z tym do mnie wcześniej – powiedział Clint. – Że pozwoliłaś, żeby to cię zżerało od środka. Dobrze, że udało mi się do niej dodzwonić. Jest jeszcze przy telefonie? – Wskazał kuchnię ruchem głowy.

– Nie – odparła Lila. – Och, chciała z tobą porozmawiać, pewnie, ale bez słowa odłożyłam słuchawkę. Trochę niełądnie z mojej strony, ale zazdrość chyba jeszcze nie całkiem mi przeszła. Poza tym to w dużym stopniu jej wina. Żeby dać córce twoje nazwisko… – Pokręciła głową. – Idiotyzm. Boże, ale jestem zmęczona. – Ty nie miałaś żadnych oporów, żeby przyjąć moje nazwisko i dać je synowi, pomyślał Clint nie bez urazy. – Nawet powiedziała córce, że jesteś jej ojcem. Opowiedziała jej o tobie wszystko. Prawdziwym ojcem był jakiś facet, którego poznała w barze, gdzie pracowała jako kelnerka. Wie tylko, jak miał na imię, o ile nie podał fałszywego. Swojemu dziecku powiedziała, że ojcem byłeś ty i że zginąłeś w wypadku samochodowym, kiedy była w ciąży. Dziewczyna i tak nigdy się nie dowie, że to nieprawda.

– Zasnęła? – spytał Jared.

– Dwie godziny temu – powiedziała Lila. – Parks jeszcze się trzyma na nogach tylko dzięki najlepszej przyjaciółce, Amber jakiejśtam. Która też jest samotną matką. Obrodziło nimi w tych stronach, nie? Chociaż właściwie wszędzie. Nieważne. Może dokończę tę głupią historyjkę, co? Po narodzinach dziecka przeniosła się do Coughlin, żeby zacząć od nowa. Twierdzi, że nie wiedziała, że mieszkasz w okolicy, w co ni cholery nie wierzę. Moje nazwisko co tydzień pojawia się w „Herald", a jak sam zauważyłeś, innych Norcrossów tu nie ma. Wiedziała, na pewno wiedziała. Nadal liczy, że pewnego dnia jakoś się ze sobą spikniecie, postawiłabym na to każde pieniądze. – Jej szczęki rozwarły się w potężnym ziewnięciu.

Clint uznał, że to szalenie niesprawiedliwe, i musiał sobie przypomnieć, że Lila – wychowana w komfortowych warunkach, w otoczeniu pogodnych rodziców i rodzeństwa rodem z sitcomu z lat siedemdziesiątych – nigdy nie poznała smaku piekła, jakie z Shannon przeżyli. Tak, nadanie córce jego nazwiska to zachowanie neurotyczne, bez wątpienia, ale Lila nie dostrzegała, albo nie chciała dostrzec, jednego szczegółu: Shannon mieszkała raptem dwieście kilometrów od niego, a nigdy nie szukała z nim kontaktu. Jasne, teoretycznie mogła nie wiedzieć, że był tak blisko, ale, jak zauważyła Lila, to mało prawdopodobne.

– Ten uścisk dłoni. Skąd się wziął? – zapytała Lila, a gdy Clint jej wytłumaczył, dodała: – No dobrze. Sprawa zamknięta. Idę zaparzyć kawę, potem wracam na posterunek. Jezu, ależ jestem, kurde, padnięta.

7

Lila wypiła kawę, uściskała Jareda, po czym poleciła mu opiekować się Molly i małym dzieckiem, i dobrze oboje ukryć. Gdy obiecał, że tak zrobi, odsunęła się od niego najszybciej, jak mogła. Gdyby się zawahała, za nic nie zdołałaby go opuścić.

Clint poszedł za nią do przedpokoju.

– Kocham cię, Lila.

– Ja ciebie też, Clint. – Chyba mówiła prawdę.

– Nie gniewam się – powiedział.

– To miło – odparła, powstrzymując się, żeby nie dodać: No, kurde, hip-hip-hura.

– Wiesz, kiedy ostatnio widziałem się z Shannon, lata temu, ale już po naszym ślubie, chciała, żebym się z nią przespał. Odmówiłem. – W przedpokoju było ciemno. Światło wpadające przez świetlik u szczytu drzwi odbijało się w szkłach okularów Clinta. Za jego plecami wisiały płaszcze i czapki, niczym rząd zawstydzonych widzów. – Odmówiłem – powtórzył.

Nie miała pojęcia, co chciał, żeby powiedziała – grzeczny chłopiec? W ogóle nie miała pojęcia o niczym.

Pocałowała go. Odwzajemnił pocałunek. To było tylko spotkanie ust, kontakt skóry ze skórą.

Obiecała zadzwonić, kiedy dotrze na posterunek. Zeszła po schodach na dół, zatrzymała się i spojrzała na niego przez ramię.

– Nic mi nie powiedziałeś o tym basenie – stwierdziła. – Od razu zamówiłeś ekipę budowlaną. Pewnego dnia wracam z pracy i zastaję wielki dół na podwórku. Wszystkiego, kurwa, najlepszego z okazji urodzin.

– Ja… – zaczął, ale zamilkł. Co miał powiedzieć? Że myślał, że chciała ten basen, gdy tak naprawdę chciał go on?

– A twoja decyzja, żeby rzucić prywatną praktykę? O tym też nie było rozmowy. Zadałeś kilka pytań, pomyślałam, że może zbierasz dane do publikacji czy coś, i nagle bum. Klamka zapadła.

– Sądziłem, że ta decyzja należy do mnie.

– Wiem, że tak sądziłeś.

Pomachała mu niedbale na pożegnanie i poszła do radiowozu.

8

– Oficer Lampley mówiła, że chcesz się ze mną widzieć.

Evie przypadła do krat tak szybko, że zastępca naczelnika odruchowo cofnął się o dwa kroki. Uśmiechała się promiennie, kaskady czarnych włosów oblewały jej twarz.

– Lampley jest jedyną kobietą z załogi, która jeszcze nie śpi, prawda?

– Wcale nie – odparł Hicks. – Jest jeszcze Millie. To znaczy oficer Olson.

– Nie, ona zasnęła w bibliotece. – Evie wciąż miała na twarzy ten swój uśmiech królowej piękności. I pięknością bezsprzecznie była. – Nad egzemplarzem „Seventeen”. Oglądała sukienki wyjściowe.

Zastępca naczelnika nie przywiązywał wagi do słów tej kobiety. Nie mogła wiedzieć takich rzeczy. Piękna, nie piękna, siedziała w żłobku, jak czasem nazywano wyścielaną celę, i to nie bez powodu.

– Masz źle w głowie, osadzona. Nie mówię tak, żeby zranić twoje uczucia, po prostu taka jest prawda. Może lepiej się prześpij, trochę ci się w łepetynie przejaśni.

– Mam dla pana ciekawostkę, naczelniku Hicks. Chociaż od czasu, kiedy rozpętało się to, co nazywacie aurorą, Ziemia wykonała niespełna jeden obrót, śpi już dobrze ponad połowa kobiet na świecie. Prawie siedemdziesiąt procent. Dlaczego tak dużo? Wiele kobiet w ogóle się nie obudziło, oczywiście. Spały, kiedy to się zaczęło. Potem spora grupa zasnęła ze zmęczenia, mimo że usilnie

starały się z tym walczyć. Ale to jeszcze nie koniec. Nie, znaczna część kobiecej populacji świadomie postanowiła uderzyć w kimono. Dlatego że, co niewątpliwie potwierdziłby wasz doktor Norcross, strach przed nieuniknionym jest gorszy od chwili, gdy nieuniknione nadchodzi. Rezygnacja przynosi ulgę.

– Jest psychiatrą, nie lekarzem – zastrzegł Hicks. – Nie poszedłbym do niego z wrastającym paznokciem. Jeśli nie masz do mnie nic więcej, pójdę już. Muszę pilnować porządku w więzieniu, a ty musisz się zdrzemnąć.

– Całkowicie rozumiem. Może pan iść, proszę tylko zostawić mi pański telefon komórkowy. – Wszystkie zęby Evie były na widoku. Jej uśmiech robił się szerszy i szerszy. Zęby miała bardzo białe i, na oko, niezwykle mocne. To zęby zwierzęce, pomyślał Hicks, bo przecież była zwierzęciem. Tylko tak można wytłumaczyć to, co zrobiła producentom mety.

– Po co ci moja komórka, osadzona? Nie możesz skorzystać ze swojego niewidzialnego telefonu? – Wskazał pusty kąt celi. Śmiać mu się chciało z tej kobiety, w równej mierze głupiej, szalonej i aroganckiej. – Tam stoi i masz na nim darmowe rozmowy bez limitu.

– Dobre – powiedziała Evie. – Ubaw po pachy. A teraz proszę mi dać telefon. Muszę zadzwonić do doktora Norcrossa.

– Nic z tego. Miło było. – Hicks odwrócił się, żeby odejść.

– Na pana miejscu jeszcze bym nie szła. Towarzystwo się obrazi. Proszę spojrzeć w dół.

Spuścił wzrok i zobaczył, że otaczają go szczury. Było ich co najmniej tuzin, patrzyły na niego twardymi jak marmur ślepiami. Czuł, że w piersi wzbiera mu krzyk, ale go stłumił. Jeszcze by je rozdrażnił, sprowokował do ataku.

Evie wysunęła smukłą dłoń przez kraty, wnętrzem do góry. Pomimo narastającej w nim paniki Hicks zauważył przerażający szczegół: na jej dłoni nie było linii. Była zupełnie gładka.

– Myśli pan o ucieczce – powiedziała. – Oczywiście zawsze można spróbować, ale nie wiem, czy przy takiej tuszy jest pan w stanie szybko biegać.

Szczury wierciły mu się na butach. Różowy ogon popieścił jego kostkę, okrytą kraciastą skarpetą, i Hicks poczuł, że znów wzbiera w nim krzyk.

– Kilka zdąży pana ugryźć, a kto wie, jakie zarazki roznoszą moi mali przyjaciele? Niech pan odda mi swój telefon.

– Jak ty to robisz? – Ledwo słyszał samego siebie przez szum krwi odpływającej z serca.

– Tajemnica zawodowa.

Drżącą ręką odpiął telefon od paska i położył go na tej strasznej gładkiej dłoni.

– Teraz może pan iść – powiedziała Evie.

Zobaczył, że jej oczy przybrały złocisty kolor. Źrenice stały się czarne, błyszczące, kocie.

Hicks ostrożnie stąpał między kłębiącymi się szczurami; kiedy zostawił je z tyłu, pognał na Broadway, do bezpiecznej Kabiny.

– Doskonała robota, Matko – powiedziała Evie.

Największy szczur stanął na tylnych łapach i podniósł wzrok, poruszając wąsikami.

– Był słaby. Czułam zapach choroby w jego sercu. – Szczurzyca opadła na podłogę i smyrgnęła w stronę stalowych drzwi prysznica w głębi Skrzydła A. Towarzysze ruszyli sznurkiem za nią, jak dzieci na szkolnej wycieczce. Między ścianą a podłogą była szczelina, rysa w cemencie, którą szczury poszerzyły i przerobiły na otwór wejściowy. Zniknęły w ciemności.

Komórka Hicksa była zabezpieczona hasłem. Evie bez wahania wpisała czterocyfrowy kod i nie zaglądając na listę kontaktów, wstukała numer Clinta. Odebrał od razu.

– Cierpliwości, Lore. Niedługo będę – powiedział bez powitania.

– Mówi Evie Black, doktorze Norcross, nie Lore Hicks.

Cisza po drugiej stronie.

– W domu sytuacja normalna, mam nadzieję? Przynajmniej na tyle, na ile to możliwe w tych okolicznościach?

– Skąd pani ma telefon Hicksa?

– Pożyczyłam.

– Czego pani chce?

– Po pierwsze, przekazać pewną informację. Zaczęło się całopalenie. Mężczyźni spalają tysiące kobiet w kokonach. Wkrótce z tysięcy zrobią się dziesiątki tysięcy. Wielu mężczyzn zawsze o tym marzyło.

– Nie wiem, jakie ma pani doświadczenia z mężczyznami. Marne, jak się domyślam. Cokolwiek jednak pani sądzi, większość mężczyzn nie chce zabijać kobiet.

– Przekonamy się, prawda?

– Tak przypuszczam. Czego jeszcze pani chce?

– Powiedzieć panu, że jest pan wybrańcem. – Zaśmiała się wesoło. – Mężem opatrznościowym.

– Nie rozumiem.

– Reprezentuje pan cały rodzaj męski. Tak jak ja reprezentuję wszystkie kobiety, te śpiące i te przytomne. Nie lubię uderzać w apokaliptyczne tony, ale w tym przypadku muszę. Tutaj rozstrzygną się losy świata. – Podkreśliła swoje słowa, naśladując dźwięk podniosłych bębnów ze ścieżki dźwiękowej telewizyjnego melodramatu. – Ba-ba-BUM!

– Pani Black, ma pani bujną wyobraźnię.

– Prosiłam, żeby mówił mi pan Evie.

– Dobrze: Evie, masz bujną wyo…

– Mężczyźni z pańskiego miasta przyjdą po mnie. Zapytają, czy mogę wskrzesić ich żony, matki i córki. Odpowiem, że to z całą pewnością możliwe, bo, jak młody Jerzy Waszyngton, nie umiem kłamać. Zażądają, żebym to zrobiła, a ja będę musiała odmówić. Będą mnie torturowali, ćwiartowali żywcem, ja nadal będę odmawiała. W końcu mnie zabiją, Clint. Mogę panu mówić po imieniu? Wiem, że dopiero zaczęliśmy ze sobą współpracować, więc nie chcę się nadmiernie spoufalać.

– W sumie czemu nie. – Mówił jak otępiały.

– Kiedy umrę, zamknie się portal między tym światem a krainą snu. Wszystkie kobiety prędzej czy później pójdą lulu, mężczyźni wymrą i udręczony świat wyda wielkie westchnienie ulgi. Ptaki uwiją gniazda na wieży Eiffla, lwy będą się przechadzały popękanymi ulicami Kapsztadu, wody oceanu zaleją Nowy Jork. Duże rybki powiedzą małym rybkom, żeby śmiało marzyły o rzeczach wielkich, bo Times

Square jest otwarty dla wszystkich i jeśli dasz radę płynąć pod prąd, to dopłyniesz wszędzie.

– Masz halucynacje.

– Czy to, co się dzieje na świecie, to halucynacja? – Dała mu czas na odpowiedź, ale nie skorzystał. – Myśl o tym jak o baśni. Ja jestem pięknym dziewczęciem więzionym w zamkowej baszcie. Ty moim księciem, rycerzem w lśniącej zbroi. Musisz mnie bronić. W biurze szeryfa na pewno jest cały arsenał, ale niełatwo będzie znaleźć mężczyzn skłonnych go użyć… może nawet umrzeć… w obronie istoty, która w ich mniemaniu odpowiada za całe zło, które się stało. Wierzę jednak w twój dar przekonywania. To dlatego… – zaśmiała się – …jesteś mężem opatrznościowym! Dlaczego tego nie przyznasz, Clint? Zawsze chciałeś być mężem opatrznościowym.

Wrócił pamięcią do tego ranka, do swojej irytacji na widok Antona, melancholii, z jaką oglądał swój sflaczały brzuch. Mimo ogarniającego go zmęczenia, słuchając jej insynuacji, miał ochotę coś uderzyć.

– To, co czujesz, jest normalne, Clint. Nie gryź się. – Teraz jej głos był współczujący, łagodny. – Każdy mężczyzna chce być mężem opatrznościowym. Człowiekiem, który przybywa na swoim wiernym rumaku, mówi tylko „tak”, „nie” i „wyciągaj broń”, robi w mieście porządek i wyjeżdża. Oczywiście uprzednio przespawszy się z najładniejszą dziewką w saloonie. Co nie rozwiązuje problemu najważniejszego: wy, mężczyźni, bodziecie się rogami i od tego huku całą planetę już głowa boli.

– Naprawdę możesz to zakończyć?

– Pocałowałeś żonę na pożegnanie?

– Tak. Dosłownie przed chwilą. Nie był to najlepszy z naszych pocałunków, ale przynajmniej się postarałem. Ona też. – Clint wciągnął powietrze. – Nie wiem, dlaczego ci to mówię.

– Dlatego, że mi wierzysz. A ja, tak czy owak, wiem, że ją pocałowałeś. Widziałam to. Jestem niepoprawną podglądaczką. Powinnam przestać, ale mam słabość do historii miłosnych. Cieszę się też, że wszystko sobie dziś wyjaśniliście, wyłożyliście karty na stół. Wszelkie niedopowiedzenia mogą być zgubne dla małżeństwa.

– Dziękuję, doktorze Phil. Odpowiedz na moje pytanie. Możesz to zakończyć?

– Tak. Oto moje warunki. Utrzymaj mnie przy życiu do, powiedzmy, wschodu słońca w najbliższy wtorek. A może dzień lub dwa dłużej, nie jestem pewna. W każdym razie to powinno się stać o wschodzie słońca.

– I co wtedy?

– Może uda mi się wszystko naprawić. O ile się zgodzą.

– O ile kto się zgodzi?

– Kobiety, głuptasie. Kobiety z Dooling. Jeśli jednak umrę, ich zdanie nie będzie miało znaczenia. Nie wystarczy jedno albo drugie. Oba warunki muszą zostać spełnione.

– Nie rozumiem, o czym mówisz!

– Zrozumiesz. We właściwym czasie. Może zobaczymy się jutro. A swoją drogą miała rację. Nie rozmawiałeś z nią o basenie. Chociaż fakt faktem, pokazałeś jej kilka zdjęć. Pewnie uznałeś, że to wystarczy.

– Evie…

– Cieszę się, że ją pocałowałeś. Bardzo się cieszę. Lubię ją.

Evie rozłączyła się i starannie położyła telefon komórkowy Hicksa na małej półce przeznaczonej na jej rzeczy osobiste – których nie miała. Potem wyciągnęła się na pryczy, przewróciła na bok i szybko zasnęła.

9

Lila miała szczery zamiar pojechać prosto do biura szeryfa, ledwie jednak znalazła się na ulicy, przednie światła radiowozu wyłowiły z mroku białą postać siedzącą na krześle ogrodowym po drugiej stronie drogi. Stara pani Ransom. Lila nie mogła mieć Jaredowi za złe, że ją tam zostawił. Musiał myśleć o dziewczynce, tej, która teraz leży na górze, w sypialni dla gości. Holly? Polly? Nie, Molly. Siąpił drobny kapuśniaczek.

Zatrzymała się przed domem pani Ransom, przeszła na tył radiowozu i przetrząsnęła graty na siedzeniu w poszukiwaniu baseballówki Dooling Hound Dogs, bo mżawka przeszła w lekki deszcz. Może ugasi pożary; to dobrze. Sprawdziła drzwi frontowe. Otwarte. Podeszła do krzesła ogrodowego i wzięła na ręce kobietę w kokonie. Spodziewała się sporego ciężaru, ale pani Ransom ważyła nie więcej niż pięćdziesiąt kilogramów. Lila wyciskała na siłowni większe ciężary. Ale jakie to ma znaczenie? I po co w ogóle to robi?

– Bo tak nakazuje przyzwoitość – powiedziała. – Bo kobieta to nie ogrodowy krasnal.

Idąc po schodach, zauważyła, że cienkie nitki odczepiają się od białej kuli otaczającej głowę pani Ransom. Falowały jak na wietrze, choć wiatr nie wiał. Wyciągały się do niej, do morza snu czekającego za jej czołem. Odpędziła je dmuchnięciem i powlekła się tyłem w głąb korytarza, do salonu starszej pani. Na dywaniku leżała otwarta kolorowanka, obok niej walały się rozrzucone flamastry. Jak ta dziewczynka ma na imię? Znowu zapomniała.

– Molly – powiedziała głośno, kładąc owiniętą kokonem kobietę na kanapie. – Na imię miała Molly. – Zawiesiła głos. – Nie miała, ma.

Podłożyła jaśka pod głowę pani Ransom i wyszła.

Zamknęła dom, poszła do radiowozu, zapaliła silnik, sięgnęła do dźwigni zmiany biegów, po czym zwiesiła nad nią rękę. Nagle stwierdziła, że nie wie, po co chce jechać do biura szeryfa. Tym bardziej że miała wrażenie, jakby dzieliło ją od niego co najmniej siedemdziesiąt kilometrów. Pewnie dałaby radę dotrzeć na miejsce i nie wjechać po drodze w żadne drzewo (lub Bogu ducha winną kobietę zwalczającą joggingiem senność), ale jaki w tym sens?

– Jeśli nie do biura, to gdzie? – spytała swój samochód. – Gdzie?

Wyjęła z kieszeni pojemnik na szkła kontaktowe. W drugim schowku, tym oznakowanym literką L, była jeszcze jedna dawka środka na pobudzenie, ale powróciło pytanie: Czy jest sens z tym walczyć? Wiedziała, że sen w końcu ją dopadnie. To nieuniknione, więc po co odwlekać ten moment? Według Szekspira sen zwikłane węzły trosk rozplata[3]. I przynajmniej zdążyli z Clintem choć w części, jak zwykł to określać, zamknąć ten nieprzyjemny rozdział.

– Byłam głupia – powiedziała. – Ale, Wysoki Sądzie, okolicznością łagodzącą jest brak snu.

Jeśli rzeczywiście to było jedyną przyczyną, dlaczego nie rozmówiła się z nim wcześniej? Przy wszystkim, co się wydarzyło, wydawało się to niewybaczalnie małostkowe z jej strony. Wstydziła się za siebie.

– No dobrze, Wysoki Sądzie, okolicznością łagodzącą jest strach.

Teraz jednak już się nie bała. Była zbyt wyczerpana, żeby się bać. Zbyt wyczerpana, żeby czuć cokolwiek.

Złapała mikrofon. Wydawał się cięższy od pani Ransom – to dopiero dziwne, co?

– Jedynka do bazy. Linny, jesteś tam jeszcze?

– Jestem, szefowo. – Linny pewnie znów się dobrała do sproszkowanych smakołyków; wydawała się radosna jak wiewiórka na stercie świeżych żołędzi. Poza tym, zeszłej nocy przespała pełne osiem godzin, zamiast pojechać szmat drogi do Coughlin w hrabstwie McDowell, a potem prawie do rana krążyć bez celu po okolicy i złorzeczyć w duchu mężowi, który koniec końców okazał się wierny. No dobrze, ale wielu mężów nie jest wiernych i czy to wytłumaczenie czy tylko wymówka? Czy to w ogóle prawda? Czy można znaleźć w sieci statystyki dotyczące wierności małżeńskiej? I czy byłyby one miarodajne?

Shannon Parks poprosiła Clinta, żeby się z nią przespał, a on odmówił. Proszę, jaki wierny.

Ale… przecież taki powinien być z założenia, nie? Czy dają ordery za to, że człowiek dotrzymuje słowa i spełnia swoje obowiązki?

– Szefowo? Słyszysz mnie?

– Na razie nie przyjadę, Linny. Muszę coś zrobić.

– Zrozumiałam. Co się stało?

Lila postanowiła nie odpowiadać.

– Kiedy Clint trochę odpocznie, musi wrócić do więzienia. Zadzwoń do niego koło ósmej, dobrze? Obudź go i poproś, żeby po wyjściu zajrzał do pani Ransom. Musi się nią zająć. Będzie wiedział, o co chodzi.

– Dobra. Budzenie telefoniczne to wprawdzie nie moja specjalność, ale nie mam nic przeciwko poszerzeniu horyzontów. Lila, wszystko z tobą w…

– Jedynka, bez odbioru.

Lila odwiesiła mikrofon. Na wschodnim horyzoncie kładła się już słaba smuga porannego światła. Zaraz zacznie się nowy dzień. Będzie deszczowy, stworzony do błogiej popołudniowej drzemki. Na siedzeniu obok walał się jej służbowy ekwipunek: aparat fotograficzny, podkładka do pisania, radar ręczny Simmons, przewiązane gumkami pliki ulotek, bloczek mandatowy. Sięgnęła po ten ostatni, wyrwała pierwszą kartkę i odwróciła na niezadrukowaną stronę. U góry napisała wielkimi wołami imię męża, a niżej: „Schowaj mnie, Platinum, panią Ransom i Dolly do jednego z pustych domów. Czuwaj nad nami. Może nie da się tego odwrócić, ale nie traćmy nadziei”. Przerwała na chwilę, zamyślona (a myśleć nie było łatwo), i dopisała: „Kocham Was obu”. Do tego dorysowała serce – ckliwe, ale co z tego? – i podpisała się swoim imieniem. Wyjęła spinacz z małego plastikowego pojemnika w schowku i przyczepiła list do kieszeni na piersi. Kiedy była mała, mama co poniedziałek tak samo przyczepiała jej do koszuli małą kopertę z pieniędzmi na mleko. Lila wiedziała o tym tylko z opowieści mamy.

Odchyliła się na oparcie i zamknęła oczy. Sen nadciągnął jak pędząca czarna lokomotywa bez przedniego reflektora i och, co za ulga. Rozkoszna ulga.

Pierwsze delikatne nitki wysnuły się z twarzy Lili i zaczęły pieścić jej skórę.

3 Tłum. Józef Paszkowski.

CZĘŚĆ DRUGA:
PRZEŚPIĘ SIĘ PO ŚMIERCI

Nic to, że się trochę zmęczę
Prześpię się po śmierci.

Warren Zevon,
I'll sleep when I'm dead

Nasiąkłe wilgocią stare deski ganku uginają się i pojękują pod butami Lili. Silny, melodyjnie wyjący wiosenny wiatr porusza wiechlinami zarastającymi miejsce, gdzie dawniej było jej podwórko. Wiechliny są zachwycająco zielone; aż oczom trudno uwierzyć. Lila zerka przez ramię w kierunku, z którego przyszła, i widzi, że młode drzewka przebiły się przez popękaną nawierzchnię Tremaine Street. Kołyszą się na wietrze jak wskazówki zdezorientowanych zegarów, które utknęły między dwunastą a pierwszą. Błękitna kopuła nieba nakrywa świat. Na podjeździe pani Ransom stoi zardzewiały radiowóz Lili, z uchylonymi drzwiami. Ze wszystkich czterech opon zeszło powietrze.

Jak się tu dostała?

Nieważne, mówi sobie. To sen. Na tym poprzestańmy.

Wchodzi do swojego domu i przystaje, żeby obejrzeć szczątki rzadko używanej jadalni: wybite szyby, podarte zasłony falujące na wietrze, stos liści, nawianych przez wiele sezonów, sięgający prawie po blat pokrytego pleśnią stołu. Wszystko przenika smród zgnilizny.

Lila rusza w głąb korytarza. Nabiera przekonania, że przyśniła się jej podróż w czasie.

Na podłogę salonu spadły spore kawały sufitu, zasłały dywan jak skały księżycowe. Płaski telewizor nadal jest przytwierdzony do ściany, ale z ekranem coś jest nie tak, wypaczył się i spuchł, jakby z gorąca.

Kurz i brud pokryły rozsuwane szklane drzwi białą matową warstwą. Lila pociąga za prawe skrzydło. Otwiera się, sunąc z rzężeniem po zniszczonym gumowym torze.

– Jared? – woła. – Clint?

Byli tu zeszłej nocy, siedzieli przy stole, który teraz leży przewrócony na bok. Żółte chwasty wznoszą się nad krawędziami tarasu i wychodzą spomiędzy desek. Grill, punkt centralny wielu wieczornych letnich pikników, tonie w zaroślach.

Woda w basenie przybrała nieświeży kolor akwarium po długiej przerwie w dostawie prądu. Brnący w niej ryś zatrzymuje się w pół

kroku, zanurzony po pierś. W zębach trzyma ptaka. Ślepia rysia są jasne, kły duże, krople wody perlą się na jego sierści. Do szerokiego płaskiego nosa zwierzęcia przylgnęło białe pióro.

Lila drapie się po policzku i kiedy czuje ból, uznaje (niechętnie), że to jednak może nie być sen. A skoro tak, jak długo spała?

Dość długo. Bardzo długo.

Ryś mruga błyszczącymi ślepiami i płynie w jej stronę.

Gdzie ja jestem?, myśli Lila i odpowiada sama sobie: W domu, a następnie wraca do swojej pierwszej myśli: Gdzie ja jestem?

ROZDZIAŁ 1

1

W późne piątkowe popołudnie drugiego dnia katastrofy (przynajmniej w Dooling; w niektórych częściach świata trwał już dzień trzeci) Terry'ego Coombsa obudził aromat skwierczącego bekonu i zaparzanej kawy. Pierwszą zborną myślą Terry'ego było: Czy w Squeaky Wheel zostało jeszcze coś do picia, czy wychlałem wszystko, z kranówą włącznie? Druga miała bardziej konkretny kształt: Leć do łazienki. Zrobił to i zdążył w samą porę, żeby obficie zwymiotować do sedesu. Został tam parę minut i czekał, aż zatrzyma się wahadło kołyszące całym pomieszczeniem. Kiedy ściany wróciły do pionu, dźwignął się na nogi, odszukał aspirynę i łyknął trzy proszki, popijając je wodą z kranu. Po powrocie do sypialni spojrzał na puste miejsce po lewej stronie łóżka. Jeszcze wczoraj leżała tam Rita – z kokonem na głowie i białą masą w ustach, która zapadała się i wydymała przy każdym jej oddechu.

Obudziła się? Koszmar się skończył? Łzy ukłuły go w oczy i chwiejnym krokiem, w samych majtkach, poszedł do kuchni.

Frank Geary siedział przy stole, jego barczysty tors górował nad blatem. Ten obraz – potężny mężczyzna przy małym stole w blasku słońca – miał w sobie tak głęboki smutek, że Terry zrozumiał wszystko bez słów. Ich spojrzenia się spotkały. Geary trzymał przed sobą otwarty „National Geographic". Odłożył go na bok.

– Czytałem o Mikronezji – powiedział Frank. – Ciekawe miejsce. Bogata flora i fauna, w większości zagrożone gatunki. Pewnie liczyłeś, że zastaniesz tu kogoś innego. Nie wiem, czy pamiętasz, ale nocowałem u ciebie. Położyliśmy twoją żonę w piwnicy.

Ach, teraz sobie przypomniał. Znieśli Ritę na dół, trzymając ją, jakby była dywanem, obijając się ramionami o poręcze i ściany. Zostawili ją na starej kanapie, osłoniętej od kurzu starą kołdrą. Rita niewątpliwie leżała tam w tej chwili, otoczona innymi zakurzonymi, niepotrzebnymi sprzętami, które zamierzali sprzedać, ale nigdy się do tego nie zabrali – były tam stołki barowe z żółtymi winylowymi siedziskami, magnetowid, stare łóżeczko Diany.

Terry'ego ogarnęło zniechęcenie: nie mógł nawet podnieść głowy. Broda opadła mu na pierś.

Przed pustym krzesłem po przeciwnej stronie stołu stał talerz z bekonem i grzanką. Obok talerza był kubek czarnej kawy i flaszka Jim Beam. Terry wziął urywany oddech i usiadł.

Przeżuł z chrzęstem kęs bekonu i czekał, co się stanie. Jego żołądek wydawał dziwne dźwięki i trochę się buntował, ale nic nie podeszło do gardła. Frank bez słowa wlał whisky do jego kawy. Terry wziął łyk. Ręce od razu przestały drżeć. Nawet nie zauważył, że się trzęsły.

– Tego mi było trzeba. Dziękuję – wychrypiał.

Chociaż nie byli serdecznymi przyjaciółmi, przez lata wychylił z Frankiem Gearym kilka głębszych. Terry wiedział, że Frank zajmuje się odławianiem bezpańskich zwierząt i poważnie podchodzi do swoich obowiązków; że ma córkę, którą uważa za wybitnie uzdolnioną artystkę; pamiętał też, jak jakiś pijak raz poradził Frankowi, żeby swoje pretensje o to czy tamto zgłosił Bogu, a Frank w odpowiedzi kazał pijaczynie zamknąć gębę; choć facet miał mocno w czubie, wychwycił nutę ostrzeżenia w jego głosie i przez resztę wieczoru trzymał dziób na kłódkę. Innymi słowy: Terry uważał Franka za względnie porządnego gościa, któremu jednak lepiej nie nadepnąć na odcisk. Fakt, że Frank był czarny, mógł być dodatkowym powodem, dla którego zachowywał do niego pewien dystans. Terry nigdy poważnie nie myślał o tym, żeby znaleźć sobie czarnego kumpla, choć teraz, kiedy w końcu się nad tym zastanowił, uznał, że nie miałby nic przeciwko temu.

– Żaden kłopot – powiedział Frank. Jego spokojny, bezpośredni ton dodał Terry'emu otuchy.

– Czyli wszystko… – wziął kolejny łyk doprawionej kawy – …jest tak samo?

– Jak wczoraj? Uhm. Co znaczy, że wszystko się zmieniło. Pierwsza sprawa, zostałeś pełniącym obowiązki szefa policji. Kilka minut temu dzwonili z posterunku. Pani komendant zaginęła.

Terry poczuł paskudną gulę w gardle.

– Lila zaginęła? Rany boskie…

– Gratulacje, hę? Duży awans. Brakuje tylko orkiestry dętej.

Prawa brew Franka była łobuzersko uniesiona. Obaj parsknęli śmiechem, ale Terry szybko spoważniał.

– Hej. – Dłoń Franka odnalazła rękę Terry'ego i ścisnęła ją. – Nie pękaj, okej?

– Okej. – Terry przełknął ślinę. – Ile kobiet jeszcze nie śpi?

– Nie wiem. Źle to wygląda. Ale na pewno sobie poradzisz.

Terry nie podzielał jego przekonania. Pił wzmocnioną kawę. Żuł bekon. Jego towarzysz milczał.

Frank napił się swojej kawy i spojrzał na Terry'ego znad krawędzi kubka.

– Poradzę sobie? – spytał Terry. – Serio pytam.

– Tak. – W głosie Franka Geary'ego nie było śladu wątpliwości. – Będziesz jednak potrzebował pomocy.

– Chcesz, żebym zrobił cię zastępcą szeryfa? – To Terry'emu wydawało się logiczne: oprócz Lili ubyło im jeszcze co najmniej parę funkcjonariuszek.

Frank wzruszył ramionami.

– Jestem pracownikiem miejskim. Moim obowiązkiem jest pomagać, jak mogę. Jeśli chcesz przypiąć mi gwiazdę, nie ma sprawy.

Terry pociągnął jeszcze jeden łyk kawy z prądem i wstał.

– Chodźmy.

Aurora uśpiła jedną czwartą miejscowej policji, ale w ten piątkowy ranek Frank pomógł Terry'emu uzupełnić szeregi ochotnikami i sprowadził sędziego Silvera, który po południu odebrał od nich przysięgę. Jednym z nowo zwerbowanych był Don Peters; innym Eric Blass, uczeń ostatniej klasy szkoły średniej, młody, ale pełen zapału.

Za radą Franka Terry wprowadził godzinę policyjną od dziewiątej wieczorem. Dwuosobowe zespoły rozeszły się po osiedlach Dooling, żeby wywiesić zawiadomienia. Miały też uspokajać ludzi, zapobiegać przypadkom wandalizmu i – kolejny pomysł Franka – zacząć spisywać miejsca pobytu uśpionych. Frank Geary może i przed aurorą był zwykłym hyclem, ale teraz okazał się znakomitym, świetnie zorganizowanym stróżem prawa. Kiedy Terry zrozumiał, że może na nim polegać, zdał się na niego całkowicie.

W weekend złapali prawie tuzin szabrowników. Nie wymagało to wielkiego wysiłku, bo niewielu zadawało sobie fatygę, żeby się kryć. Pewnie liczyli, że policja przymknie oko na ich postępowanie. Ale się przeliczyli. Jednym z opryszków był Roger Dunphy, niepokazujący się w pracy woźny z zakładu karnego w Dooling. Terry i Frank nakryli go w niedzielę na ich pierwszym wspólnym porannym patrolu. Bezczelnie taszczył foliową torbę pełną naszyjników i pierścionków, które zwinął z pokojów uśpionych pensjonariuszek domu spokojnej starości w Crestview, gdzie czasem dorabiał na czarno.

– Przecież im już nie będą potrzebne – przekonywał Dunphy. – Panie Coombs, pan da spokój. Ja tylko ratuję mienie.

Frank złapał woźnego za nos i ścisnął, aż zatrzeszczała chrząstka.

– Komendancie Coombs. Od tej pory masz go nazywać komendantem.

– Dobrze! – krzyknął Dunphy. – Będę go nazywał prezydentem, tylko puść mój nochal!

– Odnieś te rzeczy, skąd je wziąłeś, a zapomnimy o sprawie – powiedział Terry; poczuł satysfakcję, kiedy Frank z aprobatą skinął głową.

– Jasne! Oczywiście, panie władzo!

– Sprawdzimy, czy to zrobiłeś, więc radzę, żebyś nie skrewił.

We Franku najlepsze było to, uświadomił sobie Terry w ciągu tych pierwszych trzech dni, że jak nikt inny rozumiał ogromną presję, pod

jaką on, Terry, funkcjonował. Nigdy nie naciskał, ale zawsze coś doradził. I, co prawie równie ważne, miał przy sobie oprawioną w skórę srebrną piersiówkę – fajna rzecz, może wszyscy czarni takie noszą – która przydawała się, kiedy Terry podupadał na duchu i ogarniało go wrażenie, że dzień nigdy się nie skończy i że grzęźnie w paskudnym, surrealistycznym bagnie, w jakie zmienił się świat. Frank przez cały czas był u boku Terry'ego, bezwarunkowo wierny. Był z nim też w poniedziałek, piątego dnia aurory, przed bramą Zakładu Karnego dla Kobiet w Dooling.

3

Tymczasowy komendant Coombs w weekend kilka razy próbował przekonać Clinta, żeby wydał Evie Black w jego ręce. Zabójczyni dilerów mety stała się głównym tematem plotek; mówiło się, że w odróżnieniu od pozostałych kobiet zasypia i się budzi. Linny Mars (wciąż na nogach – zuch dziewczyna) odebrała na posterunku tyle telefonów w tej sprawie, że już rzucała słuchawką, gdy tylko ktoś o to pytał. Frank stwierdził, że koniecznie muszą się przekonać, czy te pogłoski są prawdziwe; to sprawa priorytetowa. Terry też tak uważał, ale Norcross stawał okoniem, a ostatnio coraz trudniej było w ogóle się dodzwonić do tego irytującego faceta.

Pożary do poniedziałku zgasły, ale w okolicy więzienia wciąż śmierdziało jak w palarni. Było szaro, wilgotno i znów siąpiła mżawka, padająca z przerwami od piątkowego ranka. Tymczasowy komendant Terry Coombs, który czuł się cokolwiek zapleśniały, stał przy bramofonie i monitorze przed bramą Zakładu Karnego dla Kobiet w Dooling.

Norcross nadal nie chciał uznać nakazu przeniesienia Eve Black wydanego przez sędziego Silvera. (Z tym Frank też pomógł, wyjaśnił sędziemu, że ta kobieta może być odporna na wirusa aurory, i uświadomił staremu prawnikowi, że trzeba działać szybko, uspokoić sytuację, zanim wybuchną zamieszki).

– Oscar Silver nie ma żadnych uprawnień w tej sprawie, Terry. – Głos doktora bulgotał w głośniku, jakby dochodził z dna sadzawki. – Wiem, że umieścił ją w więzieniu na prośbę mojej żony, ale nie może jej stąd zabrać. Z chwilą, kiedy powierzył ją mojej pieczy w celu przeprowadzenia badań, przestała podlegać jego kompetencji. Teraz potrzebny wam będzie sędzia okręgowy.

Terry nie mógł pojąć, dlaczego mąż Lili, który zawsze wydawał się konkretnym gościem, był taki upierdliwy.

– Innego sędziego nie mamy, Clint. Sędzia Wainer i sędzia Lewis zasnęły. Takie to nasze szczęście, że w sądzie okręgowym mieliśmy dwie kobiety.

– No dobrze, to zadzwoń do Charlestonu i spytaj, kogo wyznaczyli w ich zastępstwie – polecił Clint. Jakby zawarli zadowalający obie strony kompromis, jakby ustąpił choć o centymetr. – Ale nie szkoda czasu? Eve Black śpi jak cała reszta. – Na te słowa Terry poczuł się, jakby miał ołowianą kulę w żołądku. Nie powinien był uwierzyć w ludzkie gadanie. Równie dobrze mógł przesłuchać własną żonę, mumię w ciemnej piwnicy, wyciągniętą na wyświechtanej kołdrze, rzuconej na starą kanapę. – Zasnęła wczoraj po południu – ciągnął Norcross. – Nie śpi już tylko kilka więźniarek.

– To dlaczego nie pozwala nam jej zobaczyć? – spytał Frank, który do tej chwili w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie.

Dobre pytanie. Terry wcisnął guzik i je zadał.

– Powiem ci, co mogę zrobić – odparł Clint. – Wyślę ci zdjęcie na komórkę. Ale nikogo nie wpuszczę. Takie są przepisy. Wprowadziliśmy nadzwyczajne środki bezpieczeństwa, więzienie jest zamknięte, nikt nie ma wstępu. Mam przed sobą regulamin. Przeczytam ci odpowiedni punkt: „Władze stanu mogą wedle własnego uznania odwołać nakaz wprowadzenia nadzwyczajnych środków bezpieczeństwa w zakładzie karnym”. Władze stanu.

– Ale…

– Żadnych ale, Terry, nie ja to napisałem. Przepis to przepis. Hicks ulotnił się w piątek rano, więc jestem jedynym pracownikiem administracji w tym więzieniu i regulamin to wszystko, na czym mogę się oprzeć.

– Ale… – Terry zaczynał się powtarzać.

– Musiałem wprowadzić nadzwyczajne środki bezpieczeństwa. Nie miałem wyboru. Oglądałeś te same wiadomości, co ja. Ludzie palą kobiety w kokonach. Myślę, że zgodzisz się ze mną, że moje podopieczne byłyby pierwszym celem tego motłochu.

– Och, dajcie spokój. – Frank syknął i pokręcił głową. Nie znaleźli koszuli od munduru dość obszernej, by zapinała się na jego piersi, więc chodził rozpięty, z podkoszulkiem na wierzchu. – Na mój rozum to stek biurokratycznego bełkotu. Pełnisz obowiązki komendanta, Terry. To na pewno stawia cię wyżej od lekarza, zwłaszcza psychiatry.

Terry uniósł dłoń, uciszając go.

– Ja to wszystko rozumiem, Clint – powiedział. – Masz swoje obawy, i słusznie. Ale przecież mnie znasz, nie? Pracowałem z Lilą przeszło dziesięć lat. Poznaliśmy się, kiedy jeszcze nie była szeryfem. Jadłeś kolację w moim domu, ja w twoim. Niczego tym kobietom nie zrobię, więc pójdź mi na rękę.

– Próbuję…

– Nie uwierzysz, jaki bajzel musiałem sprzątać w mieście w ten weekend. Jakaś kobieta zostawiła włączoną kuchenkę i spaliła połowę Greely Street. Czterdzieści hektarów lasu na południe od miasta poszło z dymem. Mam martwego sportowca z liceum, który próbował zgwałcić jedną z uśpionych. Mam faceta z głową rozwaloną mikserem. Nie wygłupiaj się. Odłóżmy regulamin na bok. Pełnię obowiązki szefa policji. Jesteśmy przyjaciółmi. Pozwól mi się naocznie przekonać, że śpi jak wszystkie pozostałe, a dam ci święty spokój.

Wartownia za ogrodzeniem, w której powinien dyżurować strażnik, stała pusta. Dalej, za parkingiem i drugim ogrodzeniem, więzienie garbiło swoje szare ramiona. Przez kuloodporne szyby w drzwiach wejściowych nie było widać żadnego ruchu, więźniarki nie biegały na bieżni ani nie pracowały w ogródku. Obraz ten skojarzył się Terry’emu z parkami rozrywki późną jesienią – kiedy karuzele przestają się kręcić i nie ma roześmianych dzieci zajadających lody, zaczynają wyglądać licho. Diana, jego córka, teraz już była dorosła, ale dawniej często woził ją do parków rozrywki. Piękne czasy.

Chryste, chętnie by się napił. Dobrze, że Frank miał pod ręką tę fajną piersiówkę.

– Sprawdź swój telefon, Terry – z głośnika dobiegł głos Clinta.

Rozbrzmiał gwizd lokomotywy, dźwięk, który Terry ustawił sobie jako dzwonek w komórce. Wyjął telefon z kieszeni i spojrzał na zdjęcie przysłane przez Norcrossa.

Kobieta w czerwonych drelichach leżała na pryczy. Nad kieszenią na piersi miała numer; obok niego umieszczono identyfikator. Zdjęcie na nim przedstawiało kobietę o długich czarnych włosach, opalonej skórze i szerokim, białym uśmiechu. W rubryce „nazwisko" wpisane było „Eve Black", numer identyfikacyjny odpowiadał numerowi na koszuli. Twarz kobiety na pryczy przesłaniał kokon.

Terry podał telefon Frankowi.

– Jak myślisz? To wystarczy?

Tknęła go nieprzyjemna myśl: on – tymczasowy komendant policji – zwraca się po instrukcje do swego nowego zastępcy, gdy powinno być na odwrót.

Frank obejrzał zdjęcie.

– To ni cholery nie dowodzi, bo nie widać twarzy, tylko te czerwone drelichy. Norcross mógł w nie ubrać pierwszą lepszą uśpioną i obok położyć identyfikator Black. – Oddał telefon Terry'emu. – To bez sensu, że nie chce nas wpuścić. Ty jesteś stróżem prawa, Terry, on cholernym więziennym psychiatrą. Z faceta jest lepszy cwaniak, tyle mu przyznam, ale ta sprawa śmierdzi. Myślę, że gra na zwłokę.

Frank oczywiście miał rację; samo zdjęcie niczego nie dowodziło. Dlaczego Norcross nie pozwoli im przynajmniej zobaczyć tej kobiety na własne oczy, sprawdzić, czy śpi? Świat lada chwila może stracić połowę ludności. I jakiś tam regulamin jest ważniejszy?

– Tylko po co grać na zwłokę?

– Nie wiem. – Frank wyjął płaską piersiówkę i podał Terry'emu. Ten podziękował, pociągnął potężny łyk i oddał flaszkę. Frank pokręcił głową. – Miej ją pod ręką.

Terry schował piersiówkę do kieszeni i wcisnął guzik bramofonu.

– Muszę ją zobaczyć, Clint. Wpuść mnie, pokaż mi ją i będziemy mogli wrócić do swoich obowiązków. Ludzie o niej gadają. Muszę

uciąć te plotki. Inaczej możemy mieć problem, nad którym nie będę w stanie zapanować.

4

Clint obserwował dwóch mężczyzn na głównym monitorze. Drzwi Kabiny były otwarte, co w normalnych okolicznościach nigdy by się nie zdarzyło, i Tig Murphy zaglądał do środka. Quigley i Wettermore stali na zewnątrz i też przysłuchiwali się rozmowie. Scott Hughes, jedyny poza tym strażnik na służbie, drzemał w pustej celi. Van Lampley wyszła parę godzin po tym, jak zastrzeliła Ree Dempster – Clint nie miał serca prosić, żeby została. („Powodzenia, doktorze", powiedziała, wsadziwszy głowę do jego gabinetu, bez munduru, w stroju cywilnym, z oczami przekrwionymi ze zmęczenia. Clint życzył jej tego samego. Nie podziękowała). Nawet jeśli jeszcze nie zasnęła, tak czy owak raczej nie byłoby z niej wielkiego pożytku.

Był przekonany, że da radę spławić Terry'ego, przynajmniej na jakiś czas. Niepokoił go jednak rosły facet stojący obok Coombsa, ten, który dał tymczasowemu komendantowi piersiówkę i suflował mu w czasie rozmowy. Przypominali brzuchomówcę i jego gadającą lalkę. Zauważył, że potężny mężczyzna rozglądał się wokół, zamiast patrzeć na głośnik bramofonu, jak instynktownie robi większość ludzi. Jakby przyszedł na przeszpiegi.

Teraz Clint wcisnął guzik i przemówił do mikrofonu:

– Terry, ja naprawdę nie chcę ci utrudniać życia. Przykro mi, że sytuacja jest taka, a nie inna. Wiem, powtarzam się do znudzenia, ale przysięgam, mam przed sobą regulamin. To, o czym mówię, jest napisane wielkimi wołami na samej górze strony z przepisami dotyczącymi nadzwyczajnych środków bezpieczeństwa! – Postukał palcem w konsolę, na której nie było żadnej książki. – Terry, ja tu robię coś, do czego nikt mnie nie przygotował, i regulamin to wszystko, co mam.

– Clint. – Usłyszał zniesmaczone westchnienie Terry'ego. – Co u licha, stary… Myślałem, że jesteśmy kumplami. Chcesz, żebym

wyważył bramę? Nie wygłupiaj się. Lila byłaby… zawiedziona. I to mocno. Nie mogłaby w to uwierzyć.

– Rozumiem twoją frustrację i wiem, że w ostatnich dniach żyjesz w niewyobrażalnym stresie, ale zdajesz sobie sprawę, że stoisz przed kamerą, prawda? Przed chwilą widziałem, jak pociągasz z flaszki, i obaj wiemy, że nie masz tam lemoniady. Z całym szacunkiem, ale znałem Lilę… – Clintowi zamarło serce, gdy złapał się na tym, że wspomniał o żonie w czasie przeszłym. Odchrząknął, żeby dać sobie chwilę na ochłonięcie. – Znam Lilę trochę lepiej niż ty i myślę, że zawiedziona byłaby przede wszystkim tym, że jej zaufany zastępca pije na służbie. Postaw się na moim miejscu. Wpuściłbyś do więzienia osobę nieupoważnioną, bez właściwych papierów, i do tego będącą pod wpływem alkoholu?

Patrzyli, jak Terry wyrzuca ręce w górę, odsuwa się od bramofonu i zaczyna chodzić w kółko. Towarzysz objął go ramieniem i coś powiedział.

Tig pokręcił głową i zachichotał.

– Marnuje się pan jako więzienny psychiatra, doktorze. Zbiłby pan fortunę, wciskając ludziom tandetę w telezakupach. Zrobił pan gościowi prawdziwe wudu. Będzie musiał iść na terapię.

Clint odwrócił się w stronę trzech strażników.

– Ktoś zna tego drugiego? Tego potężnego chłopa?

Odezwał się Billy Wettermore:

– To Frank Geary; łapie bezpańskie zwierzęta. Moja bratanica mu przy nich pomaga. Opowiadała, że jest w porządku, tylko trochę zasadniczy.

– W jakim sensie?

– Nie znosi ludzi, którzy zaniedbują zwierzaki albo się nad nimi znęcają. Kiedyś chodziły słuchy, że zlał jednego buraka, który katował psa, kota czy coś takiego, ale nie dałbym sobie głowy uciąć, że to prawda. Licealnym plotkom raczej nie można wierzyć.

Clint miał na końcu języka prośbę, by Billy Wettermore zadzwonił do bratanicy, ale przypomniał sobie, że ta raczej na pewno śpi. Kobieca populacja więzienia skurczyła się do trzech osób: Angel Fitzroy, Jeanette Sorley i Eve Black. Kobietą, której zrobił zdjęcie, była więźniarka nazwiskiem Wanda Denker, o podobnej budowie

ciała jak Evie. Denker kimała od piątkowego wieczoru. Przebrali ją w drelichy z numerem identyfikacyjnym Evie i identyfikatorem Evie przypiętym do koszuli. Clint był wdzięczny – i lekko oszołomiony – że wszyscy czterej strażnicy przystali na jego plan.

Powiedział im, że ponieważ wieść o tym, że Evie zasypia i się budzi, rozeszła się po okolicy, prędzej czy później ktoś – pewnie gliny – po nią przyjdzie. Nie próbował wciskać Tigowi Murphy'emu, Randowi Quigleyowi, Billy'emu Wettermore'owi i Scottowi Hughesowi, że Evie jest baśniową istotą, której bezpieczeństwo, a tym samym bezpieczeństwo wszystkich kobiet na świecie, zależy od niego, Clinta. Głęboko wierzył w swoją umiejętność otwierania ludziom oczu na inny sposób postrzegania świata – robił to prawie dwadzieścia lat – ale po taki argument nawet on nie śmiałby sięgnąć. Uzasadnienie, jakie przedstawił szczątkowej załodze zakładu karnego w Dooling, było prostsze: nie mogli oddać Evie w ręce miejscowych. Nie mogli też być z nimi szczerzy, bo gdy tylko potwierdzą, że Evie jest inna, tamci staną się jeszcze bardziej nieustępliwi. To, na czym polegała jej inność – jej odporność – musieli ustalić poważni naukowcy z rządu federalnego, którzy się znają na rzeczy. Nieważne, że władze miasta pewnie mają podobne zamiary: zabrać ją do lekarza, wypytać o przeszłość i poddać wszelkim badaniom, jakie można zrobić osobie o niespotykanej budowie biologicznej. Co samo w sobie nie wydaje się takie groźne.

Ale, jak może powiedziałby Terry. Ale.

Była zbyt cenna, żeby ją narażać, to właśnie było to „ale". Gdyby oddali Evie w ręce niewłaściwych ludzi i coś poszłoby nie tak, na przykład komuś puściłyby nerwy i zabiłby ją – może z czystej frustracji, może z potrzeby znalezienia kozła ofiarnego – jaki pożytek miałyby z niej matki, żony i córki na całym świecie?

A rozmowa z Evie nic nie da, wyjaśnił Clint swojej (bardzo) cienkiej niebieskiej linii. Ona nie może ani nie chce nic nikomu powiedzieć. Zdaje się nie mieć najmniejszego pojęcia, na czym polega wyjątkowość jej organizmu. Poza tym, odporna czy nie, Eve Black jest psychopatką, która posłała do piachu dwóch producentów mety.

– No ale ktoś i tak mógłby… ten… zbadać jej ciało, DNA i tak dalej, nie? Nawet gdyby miała rozwalony mózg? – zasugerował z nadzieją

Rand Quigley i dodał pospiesznie: – Tak tylko mówię.

– Niewątpliwie tak, Rand – powiedział Clint. – Ale czy nie sądzisz, że nie byłoby to optymalne rozwiązanie? Chyba lepiej, żeby mózg został w jej głowie. Może się przydać.

Rand przyznał mu rację.

Tymczasem, aby uwiarygodnić ten scenariusz, Clint regularnie dzwonił do Centrum Zwalczania i Prewencji Chorób. Ponieważ w Atlancie nikt nie odbierał – za każdym razem włączał się nagrany komunikat albo ten sam zajęty sygnał, co w czwartek, kiedy kryzys się rozpoczął – omawiał sytuację z filią centrum, która, traf chciał, mieściła się na piętrze pustego domu przy Tremaine Street. Jej numer telefonu był identyczny z numerem komórki Lili, a cały personel naukowy placówki stanowili Jared i Mary Pak.

– Tutaj ponownie Norcross z zakładu karnego w Dooling w Wirginii Zachodniej – tak zaczynała się maskarada, którą, z drobnymi zmianami, odstawiał raz po raz przy załodze więzienia.

– Pański syn śpi, panie Norcross – tak odpowiedziała Mary podczas ich ostatniej konsultacji. – Mogę go zabić? Proszę?

– Nie – powiedział Clint. – Black nadal zasypia i się budzi. Nadal jest wysoce niebezpieczna. Nadal chcemy, żebyście ją stąd zabrali.

Pani Pak i młodsza siostra Mary w sobotę rano już spały, jej nieobecny ojciec był w drodze z Bostonu. Żeby nie siedzieć sama w domu, Mary położyła matkę i siostrę do łóżka i poszła do Jareda. Wobec dwójki nastolatków Clint był szczery – prawie. Pominął kilka szczegółów. Powiedział im, że w więzieniu jest kobieta, która zasypia i się budzi, i poprosił, by zgodzili się udawać Centrum Zwalczania i Prewencji Chorób, bo, jak wytłumaczył, jeśli nie pokaże swoim ludziom, że jest w kontakcie z kimś, kto wkrótce przyśle pomoc, ci zapewne dadzą za wygraną i odejdą. Pominięte szczegóły dotyczyły Evie: wiedzy, której nie miała prawa mieć, i umowy, którą mu zaproponowała.

– Panie Norcross, sikam czystym monster energy. Kiedy szybko macham rękami, zostają takie, no, smugi w powietrzu… które widzę. Czy mówię do rzeczy? Pewnie nie, ale nic to, może właśnie zmieniam się w superbohaterkę, a Jared kima w śpiworze i omija go wszystko,

co najciekawsze. Będę musiała mu napluć w ucho, jeśli zaraz się nie obudzi.

W tym momencie Clint z reguły okazywał irytację:

– Bardzo to wszystko fascynujące i mam nadzieję, że podejmiecie wszelkie niezbędne działania, ale chcemy, żebyście natychmiast zabrali tę kobietę i zajęli się ustaleniem, co powoduje, że jest inna. *Capisce?* Zadzwońcie, jak tylko wyślecie helikopter.

– Z pańską żoną wszystko w porządku. – Euforia Mary przygasła w mgnieniu oka. – To znaczy nic się nie zmieniło. Jest, jak było, rozumie pan. Spokojnie… hm… spokojnie odpoczywa.

– Dziękuję – powiedział Clint.

Cała ta logiczna konstrukcja opierała się na tak wątłych fundamentach, że Clint ciekaw był, na ile Billy, Rand, Tig i Scott naprawdę mu wierzą, a na ile po prostu pragną oddać się czemuś, co pozwoli im zapomnieć o ogólnej sytuacji, tyleż niezrozumiałej, co koszmarnej.

W grę wchodził też inny motyw, prosty, ale silny: imperatyw terytorialny. Mały zastęp przybocznych Clinta uważał, że więzienie to ich rewir i miastowym od niego wara.

Z tych to powodów przynajmniej przez kilka dni dalej robili to, do czego przywykli, choć mieli coraz mniej więźniarek do pilnowania. Praca w znajomym otoczeniu podnosiła na duchu. Na zmianę spali na kanapie w pokoju socjalnym i gotowali w więziennej kuchni. Być może pomogło też to, że Billy, Rand i Scott byli młodzi i nieżonaci, a Tig – dwadzieścia lat od nich starszy – rozwiedziony i bezdzietny. Pogodzili się nawet, choć dość opornie, z zarządzeniem Clinta, że dla bezpieczeństwa ogółu nie wolno im dzwonić do bliskich. I, co za tym idzie, przyłożyli rękę do wcielenia w życie najbardziej nieprzyjemnej decyzji, jaką musiał podjąć: pod pretekstem wprowadzenia „nadzwyczajnych środków ostrożności” odcięli nożycami do blachy słuchawki trzech automatów dostępnych dla więźniarek, tym samym pozbawiając je, być może w ostatnich dniach ich życia, możliwości nawiązania kontaktu z najbliższymi.

Ten krok doprowadził w piątkowe popołudnie do wybuchu małych rozruchów; pół tuzina więźniarek przypuściło szturm na skrzydło administracji. Właściwie trudno to nazwać szturmem – kobiety były

wyczerpane i nieuzbrojone, nie licząc jednej osadzonej dzierżącej skarpetę wypchaną zużytymi bateriami. Czterej strażnicy błyskawicznie stłumili bunt. Clint miał w związku z tym lekkie wyrzuty sumienia, ale ten atak prawdopodobnie tylko wzmógł determinację jego podkomendnych.

Jak długo ta determinacja potrwa, wolał nie zgadywać. Miał tylko nadzieję, że zdoła ich namówić, by zostali dotąd, aż przekona Evie do zmiany zdania i nawiązania z nim współpracy na bardziej sensownych warunkach, albo do wschodu słońca we wtorek, środę, czwartek czy kiedy tam, żeby była zadowolona.

O ile mówiła prawdę. Jeśli nie…

Wtedy to nie będzie miało znaczenia. Ale na razie znaczenie ma.

Czuł się dziwnie ożywiony. Wiele złego się wydarzyło, ale przynajmniej coś robił. Inaczej niż Lila, która się poddała.

Jared znalazł ją przed domem pani Ransom. Zasnęła w samochodzie. Clint powiedział sobie, że nie ma jej tego za złe. Jak mógłby? Był lekarzem. Rozumiał ograniczenia ludzkiego organizmu. Jeśli za długo funkcjonujesz bez snu, idziesz w rozsypkę, przestajesz się orientować, co jest ważne, co nie, tracisz poczucie rzeczywistości, a nawet poczucie własnego ja. Lila pękła i tyle.

On jednak nie mógł sobie na to pozwolić. Musiał wszystko naprawić. Tak jak naprawił swój związek z Lilą, zanim zabrała ją aurora. Wtedy mu się udało, bo się nie poddał, przemówił jej do rozsądku. Teraz musiał spróbować rozwiązać ten kryzys, sprowadzić żonę i wszystkie kobiety z powrotem. Nic innego mu nie pozostało.

Może Evie zdoła to powstrzymać. Może obudzi Lilę. Może obudzi wszystkie kobiety. Może Clint przemówi jej do rozsądku. Może świat wróci do normy. Pomimo całej medycznej wiedzy Clinta – wszystkiego, co mówiło mu, że Evie Black jest tylko wariatką z manią wielkości – zbyt wiele się wydarzyło, żeby mógł jednoznacznie odrzucić jej zapewnienia. Szalona czy nie, miała prawdziwe moce. Jej obrażenia zagoiły się w niecały dzień. Wiedziała rzeczy, których nie mogła wiedzieć. W odróżnieniu od reszty kobiet na świecie – zasypiała i się budziła.

Rosły facet, Geary, wsunął palce w oczka siatki w bramie i potrząsnął nią na próbę. Potem skrzyżował ramiona i przyjrzał się

elektronicznemu zamkowi wielkości rękawicy bokserskiej.

Clint zobaczył to, zauważył też, że Terry odszedł na bok; grzebał teraz czubkiem buta w ziemi na poboczu drogi i pociągał z piersiówki. Zapowiadały się poważne kłopoty. I to być może już wkrótce.

Wcisnął guzik bramofonu.

– Cześć, to znowu ja. I jak, wszystko jasne? Terry? Frank? Jesteś Frank, prawda? Miło cię poznać. Zrozumieliście, jak wygląda sytuacja?

Zamiast odpowiedzieć, nowy zastępca szeryfa i tymczasowy komendant wrócili do radiowozu, wsiedli i odjechali. Prowadził Frank Geary.

5

W połowie drogi między więzieniem a miastem znajdował się punkt widokowy. Frank zatrzymał tam wóz i zgasił silnik.

– Ładnie tu, co? – powiedział cicho, z namaszczeniem. – Wydawałoby się, że świat jest taki sam jak tydzień temu.

Ma rację, pomyślał Terry, piękna panorama. Sięgała do Ball's Ferry, a nawet dalej – ale nie czas podziwiać uroki okolicy.

– Hm, Frank? Myślę, że powinniśmy…

– Porozmawiać o tym, co się stało? – Frank energicznie pokiwał głową. – Z ust mi to wyjąłeś. Dla mnie sprawa jest prosta. Norcross może i jest psychiatrą czy kim tam, ale specjalizację musiał robić z wciskania kitu. Wodzi nas za nos i nie przestanie, dopóki nie powiemy „stop".

– Na to wygląda.

Terry myślał o tym, co Clint powiedział o piciu na służbie. Pewnie miał słuszność – Terry skłonny był przyznać (nawet jeśli tylko przed samym sobą), że w tej chwili był trochę wstawiony. Po prostu tyle tego wszystkiego zwaliło mu się na głowę. Nie nadawał się na szefa policji. Wyżej zastępcy szeryfa nie miał co mierzyć.

– Musimy doprowadzić to do końca, komendancie Coombs. Nie tylko dla własnej satysfakcji, ale i dla dobra wszystkich. Musimy dostać się do kobiety ze zdjęcia, które przysłał, rozciąć pajęczynę na jej twarzy i przekonać się, czy to ta sama twarz, co na identyfikatorze. Jeśli się okaże, że tak, możemy przejść do planu B.

– To znaczy?

Frank sięgnął do kieszeni, wyjął opakowanie gum do żucia, odwinął jedną z papierka.

– Cholera wie.

– Rozcinanie kokonów jest niebezpieczne – powiedział Terry. – Ludzie giną.

– Szczęśliwie się składa, że masz w zespole specjalistę od odławiania zwierząt. Poradziłem sobie z niejednym agresywnym psem, Terry, raz nawet wezwali mnie do sakramencko wkurzonego niedźwiedzia, który zaplątał się w drut kolczasty. Wobec pani Black posłużę się moim największym chwytakiem, trzymetrowym tomahawkiem. Nierdzewna stal. Zamek z zapadką sprężynową. Nałożę jej pętlę na szyję, zanim zabiorę się do rozcinania tego syfu na jej twarzy. Jeśli zacznie fikać, zaciągnę pętlę najmocniej jak się da. Może straci przytomność, ale przeżyje. Syf odrośnie, ona znów zaśnie. Musimy tylko na nią spojrzeć. To wszystko. Jeden rzut oka.

– Jeśli to będzie ona i plotki okażą się wyssane z palca, wszyscy będą zawiedzeni – stwierdził Terry. – Ze mną włącznie.

– Dla mnie to też byłby zawód. – Frank myślał o Nanie, o tym, że wciąż jest jej winien przeprosiny za to, że rozciągnął jej ulubioną koszulkę. – Ale musimy poznać prawdę. Rozumiesz to, nie?

– Uhm.

– Pytanie, jak skłonić Norcrossa, żeby nas do niej dopuścił. Moglibyśmy zebrać oddział ochotników, ruszyć na więzienie, i może trzeba będzie tak zrobić, ale to tylko w ostateczności, zgodzisz się?

– Tak. – Myśl o organizowaniu oddziału ochotników wzbudziła w Terrym niechęć, prawie obrzydzenie. W obecnej sytuacji oddział ochotników mógł się szybko zmienić w zdziczały motłoch.

– Moglibyśmy wykorzystać jego żonę.

– Hę? – Terry wbił wzrok we Franka. – Lilę? Co ty gadasz?

– Zaproponować mu wymianę. Ty oddasz nam Eve Black, my tobie żonę.

– Dlaczego miałby na to pójść? Przecież wie, że nie zrobilibyśmy jej nic złego. – Kiedy Frank nie odpowiedział, Terry złapał go za ramię. – Nie zrobilibyśmy jej nic złego, Frank. Nigdy. Rozumiesz to, prawda?

Frank wyrwał mu się.

– Oczywiście, że tak. – Uśmiechnął się do niego. – To byłby tylko taki blef. Ale Norcross mógłby go kupić. W Charlestonie palą kokony. Idiotyczna panika podsycana przez media społecznościowe, wiem. Wielu jednak w te brednie wierzy. Norcross mógłby pomyśleć, że my też. Poza tym… ma syna, zgadza się?

– Tak. Jareda. Porządny chłopak.

– On mógłby się na ten blef nabrać. Może dałoby się go przekonać, żeby zadzwonił do ojca i kazał mu oddać Black w nasze ręce.

– Bo co, zagrozimy, że spalimy jego matkę jak komara na lampie owadobójczej? – Terry nie mógł uwierzyć, że mówi to na głos. Nic dziwnego, że pije na służbie, skoro musi prowadzić takie dyskusje. Frank nie odpowiadał; żuł gumę. – To mi się nie podoba – powiedział Terry. – Grozić, że spalimy komendant? Nie, to mi się zupełnie nie podoba.

– Mnie też nie – odparł Frank najzupełniej szczerze. – Ale trudne sytuacje wymagają trudnych decyzji.

– Nie – uciął Terry. W tej chwili czuł się zupełnie trzeźwy. – Nawet jeśli jeden z patroli ją znajdzie, mówię stanowcze „nie”. Poza tym, kto wie, może nie zasnęła. Może machnęła na wszystko ręką i odeszła w siną dal.

– I zostawiła męża i syna? Rzuciła pracę, kiedy wszystko wokół się wali? Wierzysz w to?

– Nie bardzo. Jeden z patroli w końcu ją znajdzie, ale i tak nie pozwolę wykorzystać Lili przeciwko mężowi. Gliny nie uciekają się do gróźb i nie biorą zakładników.

Frank wzruszył ramionami.

– Przyjąłem do wiadomości. Tak tylko głośno myślę. – Odwrócił się, wyjrzał przez przednią szybę, zapalił silnik i tyłem wjechał na jezdnię. – Ktoś sprawdził, czy jest w domu Norcrossów?

– Reed Barrows i Vern Rangle, wczoraj. Nie zastali ani jej, ani Jareda. Dom jest pusty.

– Czyli chłopak też zniknął – powiedział Frank w zamyśleniu. – Może gdzieś z nią siedzi i jej pilnuje? Psychiatra mógł wpaść na taki pomysł. Głupi nie jest, trzeba mu to przyznać.

Terry nie odpowiedział. Z jednej strony myślał, że lepiej już nie pić, z drugiej, że łyczek nie zaszkodzi. Wydobył piersiówkę z kieszeni, odkręcił korek i przez grzeczność najpierw poczęstował Franka, bo przecież to jego własność.

Frank uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Prowadzę, *amigo*.

Pięć minut później, kiedy mijali bar Olympia (tablica przed wejściem już nie kusiła ciastem jajecznym; teraz apelowała „Módlcie się za nasze kobiety"), Frankowi przypomniało się coś, co ten lekarz od głowy powiedział przez bramofon. „Hicks ulotnił się w piątek rano, więc jestem jedynym pracownikiem administracji w tym więzieniu".

Jego wielkie dłonie mocno ścisnęły kierownicę i radiowozem zarzuciło. Terry obudził się z drzemki.

– Co jest? – zapytał.

– Nic – odparł Frank. Myślał o Hicksie. Był ciekaw, co Hicks wie. Co widział. Na razie jednak zachowa te pytania dla siebie. – Wszystko gra, komendancie. Wszystko gra.

6

W tej grze wideo Evie najbardziej wkurzały niebieskie gwiazdki. Różnokolorowe trójkąty, gwiazdki i ogniste kule spadały w dół ekranu. Musiałaś ułożyć cztery ogniste kule koło siebie, żeby rozwalić jedną migoczącą niebieską gwiazdkę. Inne kształty rozbłyskiwały i znikały, kiedy łączyły się ze sobą, ale migoczące niebieskie gwiazdki najwyraźniej były z jakiegoś supertrwałego materiału, który zniszczyć mogły tylko płomienie ognistych kul. Gra, z niepojętego dla Evie powodu, nazywała się Boom Town.

Była na piętnastym poziomie i stała u progu zagłady. Pojawiła się różowa gwiazdka, potem żółty trójkąt i – no, kurwa, rychło w czas! – ognista kula, którą Evie próbowała przesunąć w lewo, na stos trzech identycznych kul przy niebieskiej gwiazdce blokującej tę część ekranu. Wtedy jednak ukazał się zielony trójkąt śmierci i po herbacie.

„Niestety! Zginęłaś!", obwieścił migający komunikat.

Evie jęknęła i rzuciła telefon Hicksa na drugi koniec pryczy. Chciała być jak najdalej od tego cholerstwa. Niebawem jednak, oczywiście, znów ją wciągnie. Evie widziała dinozaury; oczami gołębia wędrownego oglądała wielkie puszcze Ameryki. Wpłynęła do sarkofagu Kleopatry na fali pustynnego piasku i nogami chrząszcza pieściła martwą twarz wielkiej królowej. Pewien dramaturg, niegłupi Anglik, napisał kiedyś zabawny, acz nie całkiem trafny tekst o Eve. „Ta, co to babi wieszczkom i w postaci/ Kobietki, mało co większej niż agat/ Na wskazującym palcu aldermana/ Ciągniona cugiem drobniuchnych atomów/ Tuż, tuż śpiącemu przeciąga pod nosem…"[4].

Poziom piętnasty Boom Town nie powinien być szczytem możliwości dla magicznej istoty jak ona.

– Wiesz, Jeanette, mówi się, że świat przyrody jest okrutny i głupi, ale ta mała maszyna… ta mała maszyna sama w sobie jest doskonałym argumentem na to, że dużo gorsza jest technologia. Powiedziałabym, że technologia to prawdziwe Boom Town.

7

Jeanette była w pobliżu; chodziła w tę i z powrotem po krótkim korytarzu Skrzydła A. Wyszło na to, że została główną funkcyjną. Była zarazem jedyną funkcyjną, ale pilnie uważała na wszystkich zajęciach przygotowujących do życia na wolności i zapamiętała, że pisząc CV, trzeba w jak najlepszym świetle przedstawić swoje osiągnięcia – niech sam pracodawca zdecyduje, co jest ważne, a co nie. Była główną funkcyjną i już.

Podczas gdy czterej strażnicy, którzy zostali na służbie, zajęli się patrolowaniem Skrzydeł B i C oraz obserwacją okolic więzienia, doktor Norcross spytał Jeanette, czy pod jego nieobecność mogłaby mieć oko na pozostałe dwie osadzone w Skrzydle A.

– Pewnie – odparła. – I tak nie mam nic do roboty. Wygląda na to, że pracy w stolarni dzisiaj nie będzie.

Dobrze było mieć co robić; przynajmniej mogła czymś zająć myśli.

Szła, powłócząc nogami. Przed nią, w zachodniej ścianie, potrójnie szklone okno ze szkła zbrojonego ukazywało szary poranek. Na bieżni stała woda, łąki zmieniły się w mokradła.

– Nigdy nie lubiłam gier wideo – stwierdziła Jeanette. Potrzebowała trochę czasu, żeby ułożyć sobie w głowie odpowiedź na słowa Evie. Nie spała od dziewięćdziesięciu sześciu godzin.

– Kolejny dowód nieskazitelności twojego charakteru, kochana – powiedziała Evie.

Do rozmowy przyłączyła się Angel, siedząca w sąsiedniej celi.

– Nieskazitelny charakter? Jeanette? Teeeż coś. Może nie wiesz, ale ona zabiła swojego mężula. Zadźgała go. Nawet nie nożem jak normalny człowiek. Wkrętakiem, dobrze mówię, Jeanette?

Raperka Angel zniknęła; wróciła Angel Wieśniara. Pewnie jest zbyt zmęczona, żeby rymować, domyśliła się Jeanette. I dobrze. Ogólnie rzecz biorąc, Angel Wieśniara była mniej irytująca i bardziej (Jeanette z wysiłkiem szukała właściwego słowa)… bardziej autentyczna.

– Wiem o tym, Angel. I jestem pełna uznania dla niej.

– Szkoda, że nie dała mi ciebie zabić – powiedziała Angel. – Przegryzłabym ci żyłę w szyi. Chybaby mi się udało. – Zamruczała pod nosem. – E tam chyba, na pewno.

– Chciałabyś pobawić się telefonem, Angel? Jeanette, jeśli podam ci telefon przez szparę w drzwiach, przekażesz go Angel? – Ton Evie był pojednawczy.

Mówiło się, że piękna kobieta w wyścielanej celi jest czarownicą albo demonem. Z jej ust wyfrunęły ćmy; Jeanette widziała to na własne oczy. Czymkolwiek jednak Evie była, wyglądało na to, że nie jest odporna na szyderstwa Angel.

– Założę się, że mogłabym wcisnąć ci ten telefon do gardła – powiedziała Angel.

– Założę się, że nie – odparła Evie.

– Właśnie że tak.

Jeanette zatrzymała się przy oknie, położyła dłoń na szybie i tak stała. Nie chciała marzyć o śnie, ale nie mogła przestać o nim marzyć.

Oczywiście więzienia istnieją nawet we śnie; Jeanette wiele razy się śniło, że czeka, by wypuszczono ją z celi, równie znudzona jak wtedy, kiedy na to samo czekała na jawie. Ale sen to też plaża, z której fale co noc uprzątają ślady stóp, popioły wygasłych ognisk, zamki z piasku, puszki piwa i inne śmieci; plaża, z której oczyszczające fale zmywają prawie wszystko w głębiny. Sen to Bobby. Spotkał ją w lesie, który zarósł ruiny złego, starego świata, i wszystko się zmieniło na lepsze.

Czy w jej snach pojawiłaby się Ree? Skoro ukazywał się jej Damian, to dlaczego nie ona? A może, leżąc w kokonie, nie śni się o niczym?

Jeanette pamiętała dni, kiedy po przebudzeniu czuła się taka młoda, silna i zdrowa. „Dzisiaj choćby niedźwiedź, to dostoję!", mówiła czasem Bobby'emu, kiedy był mały. Nie wyobrażała sobie, by kiedykolwiek jeszcze miała się tak poczuć.

W pierwszych miesiącach życia nie dawał jej spać po nocach. „Czego chcesz?", pytała go. A on tylko płakał i płakał. Domyślała się, że sam nie bardzo wiedział, czego chce, ale liczył, że może mama wie i mu to zapewni. To była najbardziej bolesna część macierzyństwa – fakt, że pewnych rzeczy nie rozumiesz i nie możesz nic na nie poradzić.

Jeanette była ciekawa, czy teraz w ogóle zdołałaby zasnąć. A jeśli uszkodziła sobie coś niezbędnego do zasypiania? Jakąś kość, mięsień, ścięgno? Miała strasznie suche oczy. Język wydawał się za duży. Dlaczego nie mogła po prostu ulec?

Proste. Bo nie chciała.

Uległa Damianowi, uległa narkotykom i jej życie potoczyło się dokładnie tak, jak wszyscy przewidywali. Tym razem nie ulegnie. Tego na pewno nie przewidzieli.

Policzyła do sześćdziesięciu, pogubiła się przy czterdziestu paru, zaczęła od nowa i za drugim razem doszła do stu. Rzut i kosz. Prosimy o materiał z magnetowidu! Jak się nazywał ten facet, ten od tekstu o magnetowidzie? Doktor Norcross by pamiętał.

Jeanette stała twarzą do wschodniej ściany, widziała metalowe drzwi prysznica i punkt odwszawiania za nimi. Ruszyła w stronę tych drzwi, prawa, lewa, prawa, lewa. Jakiś facet siedział w kucki na podłodze i sypał susz na bibułkę papierosową. Za jej plecami Angel tłumaczyła Evie, że obedrze ją ze skóry, wydłubie jej oczy, usmaży je z dzikim czosnkiem i zje, z dzikim czosnkiem nawet zgniły ochłap nabiera smaku. I tak dalej, ple-ple, ten sam ton, ten sam akcent, pogróżki gniewnej baby ze wsi. Jeanette słuchała rozmowy jednym uchem; głosy przypominały jej gadaninę w ściszonym radiu. Spodziewała się, że lada chwila usłyszy zachętę, by zadzwonić na darmowy numer telefonu.

– Wiesz, Angel, myślę, że jednak nie podzielę się z tobą moim Boom Town – powiedziała Evie. Jeanette szła dalej, prawa, lewa, prawa, lewa, skupiona na różnobarwnych ogłoszeniach na tablicy koło podajnika Kwella. Słowa za bardzo się rozmywały, żeby mogła je odczytać, ale wiedziała, że to terminy nabożeństw, spotkań Anonimowych Alkoholików, zajęć z prac ręcznych i przypomnienia o nakazach i zakazach. Na jednej kartce dziewczynka-elf tańczyła nad tekstem „Dostałam nagrodę za dobre sprawowanie!". Jeanette zatrzymała się ociężale i spojrzała w miejsce, gdzie przed chwilą widziała siedzącego w kucki mężczyznę. Nie było tam nikogo.

– Halo? Hej! Gdzieś ty poszedł?

– Jeanette? Wszystko w porządku?

– Mhm. – Jeanette zerknęła na drzwi celi Evie. Dziwna kobieta stała u krat. Miała melancholijną minę mówiącą „to się musiało tak skończyć", taką, jaką robi człowiek, kiedy żywił nadzieję, o której wiedział, że była mało realistyczna, i życie zrobiło to, co zawsze robi z nierealistycznymi nadziejami. To była mina, jaką przybiera małe dziecko podrapane przez kota, na chwilę zanim wybuchnie płaczem.

– Myślałam, że… że kogoś zobaczyłam.

– Zaczynasz mieć zwidy. Tak to jest, kiedy człowiek długo nie śpi. Powinnaś się położyć spać, Jeanette. Dla twojego bezpieczeństwa

lepiej, żebyś spała, kiedy przyjdą mężczyźni.

Jeanette pokręciła głową.

– Nie chcę umrzeć.

– Nie umrzesz. Zaśniesz i obudzisz się gdzie indziej. – Twarz Evie się rozjaśniła. – I będziesz wolna.

Jeanette nie potrafiła logicznie myśleć o Evie. Wydawała się szalona, ale nie szalona jak wszyscy, których Jeanette spotkała w zakładzie karnym w Dooling. Niektórzy szaleńcy byli tak bliscy wybuchu, że prawie słyszałaś tykający w nich zegar. Taka była Angel. Evie sprawiała inne wrażenie i nie tylko z powodu ciem; wydawała się natchniona.

– Co ty wiesz o wolności?

– Wszystko – odparła Evie. – Podać ci przykład?

– Jak chcesz. – Jeanette ukradkiem zerknęła w miejsce, gdzie siedział mężczyzna. Nie było tam nikogo. Zupełnie.

– W ciemnościach ziemi, głęboko pod rumowiskami na górskich szczytach zniszczonych w poszukiwaniu węgla, można znaleźć bezokie stworzenia, które są tak wolne, jak ty nie byłaś nigdy. Dlatego że żyją tak, jak chcą, Jeanette. Tam, w podziemnym mroku, są spełnione. Są wszystkim, czym chcą być. – Evie z naciskiem powtórzyła ostatnie słowa: – Są wszystkim, czym chcą być.

Jeanette wyobraziła sobie siebie w ciepłej ciemności głęboko pod powierzchnią ziemi. Wokół niej migotały konstelacje minerałów. Czuła się mała i bezpieczna.

Coś połechtało ją w policzek. Otworzyła oczy, odtrąciła nitkę, która wysnuła się z jej skóry. Zachwiała się na nogach. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że powieki jej opadły. Przed nią, całkiem blisko, była ściana – tablica z ogłoszeniami, drzwi prysznica, podajnik Kwella, pustaki. Zrobiła jeden krok, potem drugi.

I znowu ten facet. Teraz palił skręconego przez siebie jointa. Jeanette ani myślała na niego patrzeć. Nie ulegnie. Dotknie ściany, zawróci i pójdzie do przeciwległej ściany. Nie ulegnie. Jeanette Sorley nie była gotowa dać się zapakować w kokon.

Wytrzymam, pomyślała. Wytrzymam. Zobaczycie.

8

Wszystkie radiowozy dostały się innym, więc Don Peters i małolat, którego mu przydzielili do patrolu, przeczesywali podmiejskie ulice na południe od szkoły średniej w dodge'u ramie Dona. Samochód nie miał, niestety, oficjalnych oznaczeń (Don zamierzał później coś z tym zrobić, może skoczy po samoprzylepne litery do sklepu z narzędziami), ale na desce rozdzielczej stał powoli obracający się kogut na baterie, a sam Don ubrany był w mundur strażnika więziennego. Małolat oczywiście munduru nie miał, tylko prostą niebieską koszulę z przyczepioną odznaką, ale glock u biodra przydawał mu niezbędnego autorytetu.

Eric Blass miał dopiero siedemnaście lat, teoretycznie o cztery za mało, żeby pracować w policji. Don sądził jednak, że chłopak się nadaje. Zdobył sprawność strzelca wyborowego, zanim przed rokiem odszedł z harcerstwa. („Za dużo tam mięczaków", skwitował Blass, na co Don odparł: „Pewnie, że tak, młody"). Poza tym był z nim ubaw. Wymyślił grę dla zabicia czasu. Nazywała się zombi-laski. Donowi, jako że siedział za kierownicą, przypadła lewa strona ulicy, Ericowi prawa. Dostawali pięć punktów za stare laski, dziesięć za laski w średnim wieku, piętnaście za małolaty (w sobotę pokazywały się już tylko pojedyncze sztuki, dziś nie było żadnej) i dwadzieścia punktów za fajne dupy. Aktualnie Blass prowadził osiemdziesiąt do pięćdziesięciu pięciu, ale kiedy skręcili na St. George Street, ten stan rzeczy miał się zmienić.

– Fajna dupa na drugiej po mojej lewej – powiedział Don. – Czyli mam siedemdziesiąt pięć punktów. Doganiam cię, młody.

Chłopak wychylił się z fotela pasażera, żeby obejrzeć dość młodą kobietę w szortach ze spandeksu i staniku sportowym. Zataczała się ze spuszczoną głową, z której zwisały kołyszące się strąki spoconych włosów. Pewnie próbowała biec, ale zdobyć się mogła tylko na niezdarny, chwiejny trucht.

– Obwisłe cycki, obwisły tyłek – wyliczył Eric. – Jeśli uważasz, że to fajna dupa, żal mi ciebie.

– Patrzcie państwo, zaraz każe mi posypać głowę popiołem – zarechotał Don. – No dobra, skoro twarzy nie widać, może się zgodzimy na piętnaście punktów?

– Niech będzie – powiedział Eric. – Zatrąb na nią.

Don wcisnął klakson. Kobieta poderwała głowę (w sumie buźkę miała całkiem ładną, pomijając wielkie sine kręgi pod zapadniętymi oczami) i potknęła się. Zahaczyła lewą nogą o prawą kostkę i wyrżnęła na chodnik.

– Leży! – wrzasnął Eric. – Laska leży! – Wykręcił głowę do tyłu. – Ale proszę bardzo, podnosi się z desek! Nawet nie czeka na liczenie! – Odtrąbił ustami główny motyw z *Rocky'ego*.

Don zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył, że kobieta chwiejnie dźwiga się na nogi. Miała obtarte kolana, krew spływała po jej goleniach. Myślał, że pokaże im środkowy palec – tak zrobił nastolatek, na którego zatrąbili zaraz po rozpoczęciu patrolu – ale zombi-laska nawet się nie obejrzała, tylko ruszyła, potykając się, w stronę centrum.

– Widziałeś jej minę? – zapytał Don.

– Rewelacja – stwierdził Eric i uniósł dłoń.

Przybili piątkę.

Mieli listę ulic do sprawdzenia, wsadzoną do notesu, w którym zapisywali adresy domów z uśpionymi kobietami, nazwiska tych kobiet i dokumenty potwierdzające ich tożsamość. Jeśli zastawali dom zamknięty na klucz, wolno im było się do niego włamać, co początkowo sprawiało im frajdę. Don miał radochę, myjąc ręce różnymi mydłami w różnych łazienkach, a rozmaitość krojów i kolorów majtek w szufladach komód kobiet w Dooling była tematem, który od dawna prosił się o jego bliższą uwagę. Tyle że tanie rozrywki nie wystarczyły na długo. Czas, żeby coś zaczęło się dziać. Majtki bez opiętego nimi tyłka szybko stają się nudne. W gruncie rzeczy to, co robili z młodym, niewiele się różniło od spisu powszechnego.

– To na pewno Ellendale Street? – Don zatrzymał rama przy krawężniku.

– Tak jest, *el commandante.* Całe trzy przecznice.

– No to ruszajmy, kolego. Obejrzyjmy sucze wory i spiszmy nazwiska. – Zanim Don otworzył drzwi od strony kierowcy, Eric złapał go za ramię. Nowy patrzył w stronę zarośniętej parceli między Ellendale a szkołą średnią.

– Chcesz się zabawić, szefie?

– Zawsze jestem chętny do zabawy. Chętny do zabawy to moje drugie imię. Co ci chodzi po głowie?

– Spaliłeś już jakiś?

– Kokon? Nie. – Don widział w wiadomościach nagranie z telefonu komórkowego pokazujące, jak dwaj goście w maskach hokejowych podpalili kokon zapałką. Takich jak oni nazywali w telewizji brygadami zapalającymi. Kokon na wideo buchnął płomieniem jak ognisko polane benzyną. Szuuuu!

– A ty?

– Nie – odparł Eric. – Ale słyszałem, że, no wiesz, fajczą się jak szalone.

– I co w związku z tym?

– Tam żyje jedna stara bezdomna baba. – Eric wskazał palcem. – Chociaż co to za życie. Niepotrzebna sobie samej ani nikomu innemu. Moglibyśmy jej przypalić pięty. Tak tylko, żeby zobaczyć, jak to jest. Nikt nie będzie za nią tęsknił. – Eric nagle zrobił niepewną minę. – Oczywiście, jeśli nie chcesz…

– Nie wiem, czy chcę, czy nie – powiedział Don. Kłamał. Pewnie, że chciał. Na samą myśl o tym lekko się podniecił. – Obejrzyjmy ją, potem zdecydujemy. Ellendale sprawdzimy później.

Wysiedli i poszli na porośnięte chwastami pół hektara, na którym Stara Essie urządziła sobie kryjówkę. Don miał zapalniczkę Zippo. Wyjął ją z kieszeni i zaczął nią pstrykać.

4 Tłum. Józef Paszkowski.

ROZDZIAŁ 2

1

Kobiety zrazu mówiły po prostu, że są w „nowym miejscu”, bo właściwie nie było to już Dooling – przynajmniej nie Dooling, które znały. Później, kiedy zaczęło do nich docierać, że zostaną tu na dłużej, „nowe miejsce” stało się Naszym Miejscem.

Nazwa się przyjęła.

2

Mięso smakowało podpałką do grilla, którą musiały polać stary węgiel drzewny z piwnicy pani Ransom, żeby się rozpalił. Nie przeszkodziło im to jednak zjeść całej goleni, którą Lila odrąbała od ciała rysia. Zastrzeliła go ze swojego rewolweru służbowego i wywlekła z cuchnącego basenu.

– Jesteśmy obrzydliwe – powiedziała Molly tego pierwszego wieczoru, zlizując tłuszcz z palców i biorąc następny kawał mięsa. Nie wyglądała jednak na przejętą swoją obrzydliwością.

– Święta racja, kochanie – odparła jej babcia – ale, kurczę blade, to się nazywa porządna wyżerka. Te, komendantka, daj no jeszcze kawałek.

Schroniły się w ruinach domu pani Ransom. Na wszelki wypadek nie ruszały zakurzonych konserw ze spiżarki, bo Lila obawiała się zatrucia jadem kiełbasianym. Przez następne dwa tygodnie żywiły się głównie jagodami zrywanymi z krzaków porastających ich dawne podmiejskie osiedle i małymi kolbami dzikiej kukurydzy, twardymi,

prawie bez smaku, ale przynajmniej jadalnymi. Chociaż wydawałoby się, że maj to za wcześnie na jagody i kukurydzę.

Lila wyciągnęła z tego wniosek, początkowo niepewny, ale z dnia na dzień coraz bardziej przekonujący: w wersji Dooling, w której się znalazły, czas biegnie inaczej niż w Dooling, w którym były przedtem. Niby nie czuło się różnicy, a jednak istniała. Pani Ransom potwierdziła, że przed pojawieniem się Molly przez kilka dni była sama. Z tego wynikało, że godziny w starym miejscu (przedtem?) odpowiadały dniom w miejscu nowym (teraz?). Może nawet tygodniom.

Te rozmyślania o odmiennych strumieniach czasu najczęściej zaprzątały Lilę w chwilach rozluźnienia przed snem. Większość miejsc, w których spały, była pod gołym niebem – przewrócone drzewa wybiły dziury w niektórych dachach, inne zerwał wiatr – zapadając w sen, patrzyła przymrużonymi oczami na gwiazdy. Niby były takie same, a jednak ich blask oślepiał. Jakby oglądała białe iskry sypiące się spod spawarki. Czy ten świat bez mężczyzn w ogóle jest prawdziwy? Czy to raj? Czyściec? Równoległy wszechświat w alternatywnym strumieniu czasowym?

Przybywały kolejne kobiety i dziewczynki. Liczba ludności rosła w zawrotnym tempie i choć Lili wcale na tym nie zależało, nawet nie zauważyła, kiedy objęła władzę. Chyba z braku innych chętnych.

Dorothy Harper z Komitetu do spraw Programu Nauczania i jej trzy przyjaciółki, wesołe, siwowłose siedemdziesiątki, które przedstawiły się jako kumpelki z klubu książkowego, wyłoniły się z karłowatego lasu wyrosłego wokół apartamentowca. Strasznie rozpieszczały Molly, która lubiła być rozpieszczana. Janice Coates, z liściem tkwiącym w szczątkach trwałej na głowie, nadeszła Main Street w towarzystwie trzech kobiet w czerwonych drelichach więziennych. Ona i trzy byłe więźniarki – Kitty McDavid, Celia Frode i Nell Seeger – musiały wyrąbać przejście w gąszczu, żeby wydostać się z zakładu karnego w Dooling.

– Dzień dobry, drogie panie – powiedziała Janice, kiedy już wyściskała najpierw Blanche McIntyre, potem Lilę. – Wybaczcie nasz niechlujny wygląd. Właśnie uciekłyśmy z więzienia. A teraz

przyznajcie się, która ukłuła się wrzecionem w palec i stworzyła ten bajzel?

Część starych domów można było uratować; te nadawały się do zamieszkania. Inne utonęły w zaroślach, zawaliły się, albo jedno i drugie. Szkoła średnia, budynek przestarzały nawet w starym Dooling, w nowym dosłownie przełamała się na pół. Obie części nachyliły się ku sobie i między poszarpanymi krawędziami murów powstał prześwit. Ptaki siedziały na urwiskach z linoleum, którym wyłożone były podłogi klas. Ratusz, w którym mieściły się też biura służb miejskich i posterunek policji, częściowo się zawalił. Na Malloy otworzyło się zapadlisko. Na jego dnie stał samochód, zanurzony do wysokości przedniej szyby w wodzie koloru kawy.

Do kolonii dołączyła kobieta nazwiskiem Kayleigh Rawlings, która zgłosiła, że może się zająć elektryką, bo się na tym zna. Nie zaskoczyło to byłej naczelnik więzienia, wiedziała bowiem, że Kayleigh chodziła do zawodówki, gdzie wiele się nauczyła o instalacjach elektrycznych. To, że wyszła ze swoją wiedzą zza murów zakładu karnego w Dooling, nie miało znaczenia. Tutaj, w nowym świecie, pod tymi zbyt jasnymi gwiazdami, nie popełniła żadnego przestępstwa.

Kayleigh zdołała wskrzesić generator zasilany energią słoneczną, do którego podłączony był dom należący niegdyś do bogatego lekarza. Usmażyły królika na elektrycznej kuchence nieobecnego gospodarza, a później słuchały starych płyt na jego zabytkowej szafie grającej RockOla.

Wieczorami rozmawiały. Podobnie jak Lila, która ocknęła się w radiowozie na podjeździe pani Ransom, większość kobiet obudziła się tam, gdzie zasnęły. Kilka innych jednak pamiętało, że po otwarciu oczu zobaczyły ciemność i nie słyszały nic oprócz wiatru, śpiewu ptaków i – chyba – odległych głosów. Kiedy wstało słońce, kobiety te przedarły się na zachód przez las i wyszły albo na Ball's Hill Road, albo na West Lavin. Słuchając ich opowieści o tych pierwszych chwilach, Lila miała wrażenie, że odmalowują obraz powstającego świata, jakby otoczenie, w którym się znalazły, było wytworem zbiorowej wyobraźni. Co, pomyślała, nie byłoby najbardziej nieprawdopodobne w tym wszystkim.

3

Dzień mijał po dniu, noc po nocy. Ile dokładnie czasu upłynęło od pierwszego dnia, tego nie wiedział nikt, ale na pewno całe tygodnie, a potem miesiące.

Utworzono grupę zbieracko-łowiecką. Było pod dostatkiem zwierzyny – zwłaszcza jeleni i królików – były dzikie owoce i warzywa. Głód nigdy nie zaglądał im w oczy. Powstały też grupa rolnicza, budowlana, ochrony zdrowia i pedagogiczna, która zajęła się nauczaniem dzieci. Co rano inna dziewczyna stawała przed małą szkołą i potrząsała dzwonkiem; dźwięk niósł się kilometrami. Lekcje prowadziły kobiety i część starszych dziewczyn.

Nie atakowały ich żadne wirusy, choć było wiele poparzeń sumakiem i całkiem sporo skaleczeń i siniaków, a nawet połamane kości – świadectwo zagrożeń czyhających w dawno porzuconych budynkach: ostrych krawędzi, uginających się podłóg, niedostrzeżonych pułapek. Jeśli ten świat jest wytworem wyobraźni, myślała czasem Lila, zapadając w sen, musiała go stworzyć prawdziwie potężna wyobraźnia, skoro ludzie w nim naprawdę krwawią.

W piwnicy szkoły średniej, gdzie jakiś gatunek pleśni pożarł szafki pełne starych szkolnych dokumentów, Lila wyszperała powielacz, pewnie nieużywany od lat sześćdziesiątych. Ktoś starannie zapakował go do plastikowej skrzyni. Niektóre z byłych więźniarek okazały się zdumiewająco zaradne. Pomagały Molly Ransom robić świeży atrament z porzeczek i dziewczynka zaczęła wydawać jednoarkuszową gazetę o nazwie „Co Nowego w Dooling”. Pierwszy nagłówek głosił: „Szkoła otwarta!”, a tekst przytaczał wypowiedź Lili Norcross: „Cieszę się, że dzieci mogą wrócić do zwykłej, codziennej rutyny”. Zapytana przez Molly o to, jak ją tytułować – komendantem policji w Dooling czy szeryfem – Lila poprosiła, żeby nazywać ją po prostu „miejscową”.

Organizowano też Spotkania. Początkowo odbywały się raz w tygodniu, potem dwa razy, i trwały godzinę, góra dwie. Chociaż okazały się nieocenione dla zdrowia i dobrego samopoczucia

mieszkanek Naszego Miejsca, były właściwie dziełem przypadku. Jako pierwsze uczestniczyły w nich panie, które w starym świecie nazywały siebie Klubem Książkowym „Pierwszy Czwartek". W nowym spotykały się w supermarkecie Shopwell, który zachował się w zadziwiająco dobrym stanie, i miały dość tematów do rozmowy, żeby obyć się bez książek. Blanche, Dorothy, Margaret i jej siostra, Gail, siedziały na składanych krzesłach we frontowej części sklepu i gawędziły o wszystkim, za czym tęskniły. O świeżej kawie i soku pomarańczowym, o klimatyzacji, telewizji, odbiorze śmieci, Internecie i możliwości, by włączyć telefon i zadzwonić do przyjaciółki. Głównie jednak – co do tego wszystkie były zgodne – brakowało im mężczyzn. Na Spotkaniach zaczęły się pojawiać młodsze kobiety, przyjmowane z otwartymi ramionami. Rozmawiały o lukach w ich życiu, pustce, którą kiedyś wypełniali synowie, siostrzeńcy, ojcowie, dziadkowie… i mężowie.

– Coś wam, dziewczyny, powiem – wyznała Rita Coombs na Spotkaniu pod koniec pierwszego lata; wtedy uczestniczyło w nich już kilkadziesiąt kobiet. – Może niektóre z was uznają to za nadmiar szczerości, ale mam to gdzieś. Tęsknię za porządnym bzykankiem w piątkowy wieczór. Na początku naszego związku Terry za szybko kończył, ale jak już go podszkoliłam, radził sobie nieźle. Bywało, że zaliczałam dwa mniejsze i jeden większy, zanim on wypalił ze spluwy. A potem? Spałam jak dziecko!

– A co, palce masz niesprawne? – zapytała któraś z kobiet ku ogólnemu rozbawieniu.

– Pewnie, że sprawne! – odparowała Rita, też roześmiana, z policzkami czerwonymi jak jabłka. – Ale, kochana, to nie to samo!

Jej wyznanie wywołało serdeczny aplauz, choć kilka pań – w tym zahukana żona Fritza Meshauma, Candy – wstrzymało się od oklasków.

Oczywiście powracały dwa ważne pytania, formułowane na setki różnych sposobów. Przede wszystkim jak się znalazły tutaj, w Naszym Miejscu? I dlaczego?

Za sprawą magii? Nieudanego eksperymentu naukowego? A może z woli Boga?

Czy to, że nadal żyją, jest nagrodą czy karą?

Dlaczego padło właśnie na nie?

Kitty McDavid często zabierała głos, kiedy rozmowa schodziła na ten temat; wciąż żywo pamiętała koszmar, który nawiedził ją w przededniu wybuchu aurory, wizję mrocznej postaci z pajęczynami we włosach, w której z niewiadomego powodu rozpoznała królową.

– Nie wiem, co robić. Modlić się do niej o przebaczenie czy co – powiedziała.

– Olej to – poradziła jej Janice Coates. – Nie ma papieża, który mógłby wydać w tej sprawie dekret, więc możesz robić, co ci się żywnie podoba. Ja zamierzam po prostu dalej robić swoje, najlepiej, jak potrafię. Bo i bądźmy szczere, co innego nam pozostaje? Tylko tak możemy coś zmienić. – To było kolejne stwierdzenie, które zyskało ogólny poklask.

Jednak to pytanie: „Co się, do licha, stało?", natrętnie powracało. Bez zadowalającej odpowiedzi.

Na jednym ze Spotkań (co najmniej pół roku po Wielkim Przesiedleniu, jak nazywała to Janice Coates), do sklepu ukradkiem wsunęła się nowa uczestniczka; usiadła w głębi, na dwudziestokilowym worze sztucznego nawozu. Nie włączała się do ożywionej dyskusji o realiach życia w nowym świecie i bezcennym skarbie znalezionym w miejscowej placówce UPS: dziewięciu pudłach lunapads, podpasek wielokrotnego użytku.

– Nie będę musiała więcej ciąć koszulek, żeby mieć co wsadzić w majtki, kiedy przychodzą wiadome dni! – radowała się Nell Seeger. – Alleluja!

Pod koniec Spotkania rozmowa, jak zwykle, zeszła na temat wszystkiego, za czym tęsknią. Te wspominki prawie zawsze kończyły się płaczem za chłopcami i mężczyznami, ale większość kobiet twierdziła, że mają wrażenie, jakby przynajmniej na jakiś czas spadł z nich wielki ciężar. Czuły się lżejsze.

– To co, koniec na dzisiaj, drogie panie? – spytała Blanche tego dnia. – Czy może ktoś jeszcze odczuwa palące pragnienie zabrania głosu, zanim wrócimy do pracy?

Podniosła się mała ręka o palcach umazanych różnokolorową kredą.

– Tak, moja droga? Jesteś nowa, prawda? – zapytała Blanche. – I jakaś ty malutka! Może wstaniesz?

– Witaj – wyrecytowały chórem kobiety i odwróciły się, żeby zobaczyć, kto to.

Nana Geary wstała. Wytarła dłonie w przód koszulki, teraz już mocno znoszonej, z postrzępionymi rękawami… ale wciąż jej ulubionej.

– Mama nie wie, że tu jestem – zaczęła – więc mam nadzieję, że nikt jej nie powie.

– Kochanie, tu jest jak w Vegas. Wszystko, co się dzieje na Godzinie Kobiet, zostaje na Godzinie Kobiet – zapewniła Dorothy Harper.

Jej słowa wywołały szmer śmiechu, ale dziewczynka w wypłowiałym różowym T-shircie nawet się nie uśmiechnęła.

– Chcę tylko powiedzieć, że tęsknię za tatusiem. Poszłam do drogerii Pearson's i znalazłam jego wodę po goleniu, nazywa się Drakkar Noir. Powąchałam ją i… i się popłakałam.

We frontowej części supermarketu zaległa cisza, przerywana tylko siąkaniem nosów. Później miało się okazać, że nie tylko Nana zaglądała na regały z wodą po goleniu w drogerii.

– To chyba wszystko – zakończyła. – Po prostu… tęsknię za nim i chciałabym go jeszcze kiedyś zobaczyć.

Odpowiedziały jej oklaski.

Nana usiadła i schowała twarz w dłoniach.

4

Nasze Miejsce nie było utopią. Były łzy, niejedna kłótnia, a pierwszego lata nawet rozszerzone samobójstwo, które wstrząsnęło wszystkimi, głównie dlatego że nie miało najmniejszego sensu. Maura Dunbarton, jedna z wielu uchodźczyń z zakładu karnego w starym Dooling, udusiła Kayleigh Rawlings, a następnie odebrała sobie życie. To Coates zaprowadziła Lilę na miejsce zbrodni.

Maura wisiała na stryczku przywiązanym do zardzewiałej poprzeczki ogrodowej huśtawki. Kayleigh znaleziono w pokoju, który dzieliły; leżała martwa w swoim śpiworze, jej twarz była szara, twardówki otwartych oczu zdobiła misterna siateczka pękniętych naczyń krwionośnych. Została uduszona, a potem co najmniej tuzin razy pchnięta nożem. Maura zostawiła list, napisany ołówkiem na strzępku koperty: „Ten świat jest inny, ale ja zostałam taka sama. Beze mnie będzie wam lepiej. Zabiłam Kayleigh bez powodu. Nie rozzłościła mnie ani ze mną nie zadzierała. Nadal ją kochałam, tak jak w więzieniu. Wiem, że była wam potrzebna. Nie mogłam się powstrzymać. Naszło mnie, żeby ją zabić, więc to zrobiłam. Żałowałam tego. Maura".

– Co o tym sądzisz? – spytała Lila.

– Że to zagadka, jak wszystko tutaj – odparła Janice. – I że to wielka szkoda, że kiedy szurniętą sukę podkusiło, żeby kogoś zabić, wybrała jedyną osobę w Naszym Miejscu, która umiała zmontować działający obwód elektryczny. Przytrzymam jej nogi, ty wejdź na górę i ją odetnij. – Coates podeszła do huśtawki i bezceremonialnie objęła krótkie nogi Maury Dunbarton. Spojrzała na Lilę. – Do roboty, nie każ mi czekać. Sądząc po tym smrodzie, narobiła w gacie. Samobójstwo jest takie romantyczne.

Pochowały morderczynię i jej nieszczęsną ofiarę na zewnątrz przechylonego ogrodzenia otaczającego więzienie. Wtedy było już lato, pogodne i upalne, roztocza śmigały w trawie. Coates powiedziała kilka słów o znaczeniu Kayleigh dla społeczności i niezrozumiałym zabójstwie Maury. Chór dzieci odśpiewał *Amazing Grace*. Dziewczęce głosy wzruszyły Lilę do łez.

Uratowała ze swego domu sporo zdjęć Jareda i Clinta i czasem chodziła na Spotkania, ale syn i mąż z biegiem dni wydawali się jej coraz mniej rzeczywiści. Nocą, w swoim namiocie – Lila wolała biwakować na powietrzu, dopóki pogoda na to pozwalała – kręciła korbką latarki i oglądała ich twarze w snopie światła. Na kogo wyrośnie Jared? Jego twarz wciąż miała w sobie tę młodzieńczą miękkość, nawet na najpóźniejszych fotografiach. Bolało ją, że nigdy się tego nie dowie.

Patrzyła na wizerunek męża, jego cierpki uśmiech i siwiejące włosy, i tęskniła za nim, choć nie tak mocno jak za Jere'em. Wstydziła się podejrzeń, jakie żywiła wobec Clinta tego strasznego ostatniego dnia i nocy; wstydziła się swoich kłamstw i niedorzecznych obaw. Jednocześnie jednak teraz, przez pryzmat pamięci, postrzegała męża inaczej niż kiedyś. Wspominała to, jak pieczołowicie odgrodził murem swoją przeszłość, jak wykorzystywał swój lekarski autorytet, żeby ten mur uszczelnić i trzymać ją na dystans. Czy sądził, że on jeden jest w stanie znieść taki ból? Że to byłoby zbyt duże obciążenie dla jej małego rozumku i słabego ducha? A może powodował nim zwyczajny egotyzm schowany pod maską siły? Wiedziała, że mężczyźni są uczeni (oczywiście zwykle przez innych mężczyzn) zachowywać swoje udręki dla siebie, wiedziała też jednak, że małżeństwo powinno część tych nauk unieważnić. Z Clintem tak się nie stało.

No i była jeszcze sprawa tego basenu. Ciągle ją to wkurzało. Podobnie jak to, że przed laty z dnia na dzień rzucił pracę. I milion małych decyzji, które od tamtego czasu podjął, a z którymi ona musiała żyć. Czuła się przez to jak żona ze Stepford, nawet gdy jej mąż był w jakimś innym świecie.

Sowy pohukiwały w ciemności, wyły psy, zdziczałe po kto wie ilu pokoleniach. Lila zasunęła zamek namiotu. Błękitny blask księżyca przeświecał przez żółty materiał. Wspominanie całej tej domowej opery mydlanej wprawiało ją w przygnębienie, jego kwestia, jej kwestia, kłótnia, on trzaska jednymi drzwiami, ona drugimi. Żałosne przedstawienie, jakim zawsze gardziła, gdy odstawiały je inne małżeństwa. Pycho, twe imię Lila, pomyślała i mimo woli parsknęła śmiechem.

5

Żywopłoty dookoła więzienia rozrosły się w gęste chaszcze. Lila przeszła przez lukę w zaroślach wyrąbaną przez Coates i pozostałe kobiety, które przebudziły się właśnie tam. Do samego budynku

więzienia można było się dostać przez dziurę w południowej ścianie. Coś wybuchło – pewnie wielka kuchnia gazowa, domyślała się Lila – i zdmuchnęło kawał betonu jak dziecko świeczkę na torcie urodzinowym. Wchodząc, po trosze się spodziewała, że wyjdzie w jeszcze innym miejscu – na białej plaży, ulicznym bruku, skalistym szczycie górskim, w krainie Oz – ale po drugiej stronie otworu było tylko skrzydło z celami. Część ścian się zawaliła, niektóre okratowane drzwi zerwały się z zawiasów. Eksplozja musiała być naprawdę potężna. Z podłogi wyrastały chwasty, pleśń rozpełzła się po suficie.

Przeszła przez zniszczone skrzydło i znalazła się na centralnym korytarzu więzienia – Broadwayu, jak nazywał go Clint. Tutaj wszystko wyglądało lepiej. Ruszyła wzdłuż czerwonej linii biegnącej środkiem podłogi. Wszelkie bramki i barierki były pootwierane; okna ze zbrojonego szkła wychodzące na inne obiekty więzienne – stołówkę, bibliotekę, Kabinę – zaszły mgłą. Tam, gdzie Broadway dochodził do głównego wejścia, zobaczyła ślady kolejnej eksplozji; rozwalone pustaki, zakurzone odłamki szyb, wgięte do wewnątrz stalowe drzwi oddzielające hol wejściowy od właściwego więzienia. Ominęła gruzy.

Przeszła obok otwartych drzwi pokoju socjalnego. W środku, na wykładzinie, rosły grzyby. Powietrze przenikał smród rozbuchanej flory.

Wreszcie dotarła do gabinetu Clinta. Okno w kącie było wybite i do pomieszczenia wdarły się zarośla obsypane białym kwieciem. Pulchny szczur szperał w wyściółce rozerwanej poduszki. Przez chwilę gapił się na Lilę, po czym uciekł i schronił się w stosie kawałków płyty gipsowej.

Reprodukcja Hockneya za biurkiem jej męża wisiała krzywo jak wskazówki zegara ustawione na 11.25. Lila wyprostowała obraz. Przedstawiał zwyczajny budynek piaskowego koloru z rzędami okien, w których wisiały identyczne zasłony. Na parterze miał dwoje drzwi. Jedne niebieskie, drugie czerwone; słynne kolory Hockneya, promienne jak uczucia wywołane dobrymi wspomnieniami, nawet gdy te wspomnienia są słabe – właśnie te barwy, a także pole do interpretacji, jakie stwarzał ten obraz, przemówiły Lili do wyobraźni. Podarowała go Clintowi przed laty z nadzieją, że pewnego dnia

wskaże na niego palcem i powie pacjentowi: „Widzisz? Nic nie jest przed tobą zamknięte. Zawsze gdzieś są drzwi prowadzące do zdrowszego, szczęśliwszego życia”.

Ironia tej sytuacji była tak jaskrawa jak ta metafora. Clint był w innym świecie. Jared był w innym świecie. Jeden z nich – albo obaj – mógł już nie żyć. Reprodukcja Hockneya stała się własnością szczurów, pleśni i chwastów tego świata. Świata zniszczonego, opustoszałego i zapomnianego, ale jedynego, jaki im pozostał. To było, Boże, zmiłuj się, Nasze Miejsce. Lila wyszła z gabinetu i wróciła przez wymarły świat więzienia do luki w zaroślach. Nie chciała tu dłużej być.

6

W tych miesiącach kolejne kobiety przybywały z, jak kiedyś nazwał go James Brown, męskiego, męskiego, męskiego świata. Relacjonowały, że w Dooling, w którym zasnęły, kryzys związany z aurorą trwa w najlepsze; tam minęły raptem dwa czy trzy dni. Przemoc, zamęt i desperacja, o których opowiadały, wydawały się nierzeczywiste kobietom, które przeniosły się do nowego świata przed nimi. Nierzeczywiste – i prawie nieistotne. Tutaj kobiety miały własne problemy i powody do niepokoju. Jednym z nich była pogoda. Kończyło się lato. Po jesieni przyjdzie zima.

Z pomocą podręczników wyszperanych w bibliotece i pod kierunkiem, o dziwo, Magdy Dubcek, wdowy po fachowcu (i matki znanego Lili czyściciela basenów), zdołały dokończyć przynajmniej część pracy, którą zaczęła Kayleigh, zanim zginęła z ręki swej pomylonej byłej kochanki. Świętej pamięci małżonek Magdy całkiem sporo ją nauczył o elektryczności.

– Mąż codziennie mi tłumaczył, co robi: „Zobacz, Magda, tu jest przewód pod napięciem, a tamto to uziemienie” i tak dalej. A ja słuchałam. Nie zdawał sobie z tego sprawy, myślał, że mówi do jakiejś głupiej ściany, ale ja słuchałam. – Tutaj Magda zawiesiła głos

i zrobiła chytrą minę. Jakbym widziała Antona, pomyślała Lila z bólem serca. – No, przynajmniej pierwsze pięćset razy.

Dzięki zasilaniu z nielicznych paneli słonecznych, które przetrwały lata bez konserwacji, udało się im stworzyć sieć elektryczną obejmującą przynajmniej część domów na wyżej położonych terenach.

Normalne samochody nie nadawały się do użytku; nie sposób było ustalić, jak długo ta wersja świata obracała się bez nadzoru wokół Słońca, ale stan zaparkowanych aut wskazywał, że minęło dość czasu, by woda i wilgoć dobrały się do silników. Wóz przechowywany w ocalałym garażu mógłby być do uratowania, tyle że całe zapasy paliwa uległy rozkładowi albo wyparowały. Znalazły za to, w szopie na terenie pobliskiego ośrodka rekreacyjnego, małą flotę wózków golfowych napędzanych energią słoneczną. Po naładowaniu uruchomiły się od razu. Kobiety jeździły nimi ulicami oczyszczonymi z drzew i krzaków.

Podobnie jak Shopwell, bar Olympia zadziwiająco dobrze bronił się przed upływem czasu; Rita Coombs, niegdyś żona Terry'ego, otworzyła go na nowo i prowadziła na zasadzie handlu wymiennego. Gotowała na starej opalanej drewnem kuchence, którą grupa kobiet pomogła przytaszczyć z piwnicy Coombsów.

– Zawsze marzyłam o własnej restauracji – wyjaśniła Lili – ale Terry nie życzył sobie, żebym pracowała. Mówił, że tylko by się martwił. Nie potrafił zrozumieć, jakie to cholernie nudne być porcelanowym bibelotem w kredensie.

Powiedziała to lekkim tonem, ale patrzyła gdzieś w bok, ze wstydem, takie Lila odniosła wrażenie – jakby krępowała się swej radości z posiadania czegoś własnego. Lila miała nadzieję, że Ricie to przejdzie – nie, wiedziała, że tak się stanie. Wiele kobiet czuło, że zaszła w nich przemiana, ale zawsze towarzyszyła temu szczypta wstydu, jakby były na wagarach. Tak też było w przypadku Magdy i Rity, które w blasku nowego świata nagle rozkwitły, stały się potrzebne. W czasie, kiedy mijały kolejne nieodmierzane tygodnie, rozmawiały nie tylko o tym, za czym tęskniły, ale i o pewnych rzeczach, których im nie brakowało.

Liście zmieniały barwy jak w starym świecie, ale Lila miała wrażenie, że tutaj ich kolory są żywsze i trwalsze.

Pewnego dnia, chyba pod koniec października, była w ogródku pani Ransom i zbierała dynie, które dziewczynki miały wydrążyć na Halloween. Przyglądała się jej Stara Essie, siedząca w cieniu na ławce. Obok ławki stał zardzewiały wózek sklepowy pełen gratów, które Essie zbierała, jakby próbując umeblować nowe życie pamiątkami starego: miała tam radio, telefon komórkowy, stertę ubrań, psią obrożę, kalendarz z dwa tysiące siódmego roku, butelkę bez etykiety zawierającą coś, co dawno temu mogło być syropem klonowym, i trzy lalki. Lubiła chodzić za Lilą, kiedy widziała ją w jej dużym kapeluszu słomkowym, popychającą przed sobą taczki wyładowane narzędziami ogrodniczymi.

Staruszka w pierwszych dniach milczała i odsuwała się, kiedy ktoś podchodził za blisko, ale po kilku tygodniach nabrała więcej pewności, przynajmniej przy Lili. Czasami nawet się odzywała, choć Lila się domyślała, że Essie w swoich najlepszych latach też nie była błyskotliwą rozmówczynią.

– Teraz jest lepiej – powiedziała raz Essie. – Mam własny dom. – Spojrzała czule na lalki, które trzymała na kolanach. – Moim dziewczynkom się podoba. Ich imiona to Jingle, Pingle i Ringle.

Wtedy Lila spytała ją o jej nazwisko.

– Dawniej nazywałam się Wilcox – odparła Essie – ale teraz jestem Estabrook. Wróciłam do panieńskiego jak ta Elaine. Ten świat jest lepszy od starego, i to nie tylko dlatego, że mam panieńskie nazwisko i własny dom. Ładniej tu pachnie.

Dzisiaj Essie znów jakby się zamknęła w sobie. Zagadnięta przez Lilę, pokręciła głową, odpędziła ją gwałtownymi ruchami rąk i chwilę grzebała w swoim zardzewiałym wózku. Wyjęła stare radio stołowe marki Philco i zaczęła je przerzucać z ręki do ręki. Co Lili zupełnie nie przeszkadzało; jeśli to ją uspokoi, niech żongluje radiem, ile dusza zapragnie.

Kiedy miała sobie zrobić przerwę na lunch, na rowerze przyjechała Janice Coates.

– Pani komendant, można na słowo? – zwróciła się do Lili.

– Już nie jestem komendantem, Janice. Nie czytujesz „Co Nowego w Dooling?”. Jestem miejscowa, to wszystko.

Coates była niezrażona.

– Dobrze, ale wypada, żebyś wiedziała, że znikają ludzie. Już troje. Za dużo, żeby to był zbieg okoliczności. Ktoś musi się tym zająć.

Lila obejrzała dynię, którą zerwała z pnącza. U góry była jasnopomarańczowa, ale od spodu czarna i zgniła. Upuściła ją z głuchym hukiem na spulchnioną ziemię.

– Porozmawiaj z Komitetem Przebudowy albo zgłoś to na następnym Spotkaniu. Ja jestem na emeryturze.

– Bez takich, Lila. – Coates, siedząca na siodełku roweru, skrzyżowała kościste ramiona. – Nie ściemniaj. Nie jesteś na emeryturze, tylko w depresji.

Uczucia, pomyślała Lila. Mężczyźni najchętniej nigdy by o nich nie mówili, kobiety rozmawiają o nich prawie na okrągło. Czasem robi się to nudne. Ta myśl ją zaskoczyła. Chyba będzie musiała choć częściowo zrewidować swoją niechęć do stoicyzmu Clinta.

– Nie mogę, Janice. – Ruszyła wzdłuż grządki dyń. – Przykro mi.

– Ja też jestem w depresji – powiedziała Janice. – Być może już nigdy nie zobaczę córki. Myślę o niej, kiedy kładę się spać i kiedy się budzę. Codziennie. I brakuje mi rozmów telefonicznych z braćmi. Ale nie zamierzam pozwolić, żeby to…

Zza ich pleców dobiegł łoskot, a potem cichy krzyk. Lila się obejrzała. Radio leżało w trawie obok Jingle, Pingle i Ringle. Lalki patrzyły w bezchmurne niebo z pustymi, błogimi minami. Essie zniknęła. W miejscu, gdzie przed chwilą siedziała kobieta, była tylko jedna brązowa ćma. Chwilę latała bez celu, po czym wzbiła się w górę i odfrunęła, ciągnąc za sobą słaby swąd ognia.

ROZDZIAŁ 3

1

– Ja pierdolę! – Eric Blass siedział na ziemi z głową zadartą do góry. – Widziałeś to?

– Nadal widzę – odparł Don, wpatrzony w stado ciem frunące nad kortami tenisowymi w stronę szkoły. – I czuję.

Swoją zapalniczkę dał Ericowi, bo to był jego pomysł (a także, żeby mógł w miarę przekonująco zrzucić na chłopaka winę, gdyby się wydało). Eric kucnął, zapalił zippo i przystawił płomyk do krawędzi kokonu w zaśmieconej norze zawalonej gratami. Kokon buchnął jasnym płomieniem, jakby zawierał proch strzelniczy, a nie bezdomną wariatkę. Rozszedł się smród siarki. Zupełnie jakby sam Pan Bóg pierdnął. Stara Essie usiadła prosto – nie żeby widzieli coś więcej niż jej sylwetkę – i Don przysiągłby, że wykręciła się w ich stronę. Rysy kobiety na chwilę stały się wyraźne, czarno-srebrne jak na negatywie zdjęcia, wargi rozchyliły się, obnażając wyszczerzone zęby. I zaraz nic z niej nie zostało.

Ognista kula wzniosła się może metr nad ziemię, przez cały czas jakby się obracając. Potem zmieniła się w ćmy – setki ciem. Nie został ani ślad kokonu czy szkieletu, trawa, w której leżała Stara Essie, nawet się nie osmaliła.

Bo to nie był zwyczajny ogień, pomyślał Don. Inaczej obaj byśmy się usmażyli.

Eric wstał. Miał bardzo bladą twarz, oszalałe oczy.

– Co to było? Co się stało?

– Chuj wie – powiedział Don.

– Te brygady zapalające czy jak ich zwał… ktoś z nich mówił coś o płonących kokonach, które się zmieniają w latające robale?

– Nic takiego nie słyszałem. Ale może tego nie rozgłaszają.

– Może. – Eric oblizał usta. – Tak, nie ma powodu, dla którego ona miałaby być inna.

Nie, nie było żadnego powodu, dla którego Stara Essie miałaby się różnić od reszty uśpionych kobiet. Don dostrzegał jednak jeden powód, dla którego sytuacja w Dooling mogła być szczególna: tu, wśród nich, przebywała wyjątkowa kobieta, która we śnie nie wytwarzała kokonu. A potem normalnie się budziła.

– Chodź – powiedział Don. – Mamy robotę na Ellendale Street. Trzeba policzyć sucze wory. Spisać nazwiska. To tutaj… nigdy się nie wydarzyło. Rozumiemy się, partnerze?

– Pewnie, że tak.

– Nikomu o tym nie powiesz, co?

– Broń Boże!

– To dobrze.

Ja jednak może o tym komuś powiem, pomyślał Don. Nie Terry'emu Coombsowi, to na pewno. Wystarczyło parę dni, żeby Don doszedł do wniosku, że nowy komendant jest praktycznie do niczego. Że jest, jak to się mówi, figurantem. Do tego za dużo pił, a to już, normalnie, żenada. Ludzie, którzy nie panują nad swoimi zachciankami, budzili w Donie wstręt. Za to Geary, facet, którego Terry wyznaczył na swojego zastępcę… tak, on miał łeb nie od parady, a do tego był żywo zainteresowany tą całą Evie Black. Niebawem wyciągnie ją z więzienia, o ile jeszcze tego nie zrobił. Jeśli już z kimś pogadać, to właśnie z nim.

Najpierw jednak musiał to przemyśleć.

Bardzo wnikliwie.

– Don?

Byli już przy wozie.

– Co, młody?

– Widziała nas? Bo wyglądało, jakby nas widziała.

– Nie – odparł Don. – Nic nie widziała, od razu wybuchła. Nie bądź cykor, młody.

2

Terry stwierdził, że chce wrócić do domu i zastanowić się nad ich następnym posunięciem. Frank, prawie pewien, że następnym posunięciem komendanta będzie walnięcie się do wyra, żeby przetrzeźwieć, powiedział, że to dobry pomysł. Odprowadził Terry'ego pod sam dom, po czym pojechał prosto do biura szeryfa. Tam zastał Linny Mars – chodziła w kółko z laptopem w rękach. Pod nosem miała skorupę białego proszku. Jej policzki płonęły jak w gorączce, zapadnięte oczy patrzyły zamglonym wzrokiem. Z głośnika laptopa dobiegały aż za dobrze znane odgłosy chaosu.

– Cześć, Pete. – Od rana nazywała go Pete. Frank nie wyprowadzał jej z błędu. Szkoda czasu. Gdyby to zrobił, przez kilka minut pamiętałaby, że jest Frankiem, po czym znów stałby się dla niej Pete'em. Pamięć krótkotrwała szwankowała u większości kobiet, które jeszcze nie spały. Ich płaty czołowe rozpuszczały się jak masło na rozgrzanej patelni.

– Co oglądasz?

– Filmiki na YouTubie – odparła, nie zwalniając kroku. – Wiem, mogłabym oglądać przy biurku, monitor Gertrude jest znacznie większy, ale kiedy tylko siadam, zaczynam odpływać. Lepiej mi, kiedy chodzę.

– Jasne. Coś ciekawego? – Nie żeby chciał poznać najświeższe wiadomości. I bez tego wiedział, co się dzieje: złe rzeczy.

– Materiały z Al-Dżaziry. Wszystkie kanały informacyjne wariują, ale Al-Dżazira totalnie sra w gacie. Cały Bliski Wschód stanął w ogniu. Ropa, rozumiesz. Szyby naftowe. Szczęście w nieszczęściu, że jeszcze nikt na nikogo nie zrzucił atomówki, ale prędzej czy później tak to się skończy, nie sądzisz?

– Nie wiem. Linny, mogłabyś coś dla mnie sprawdzić? Próbowałem to znaleźć na moim telefonie, ale nie dało rady. Wygląda na to, że załoga więzienia niechętnie udostępnia dane osobowe.

Linny chodziła coraz szybciej, wciąż wpatrzona w laptopa, którego trzymała przed sobą jak kielich mszalny. Potknęła się o krzesło, omal nie fiknęła, wyprostowała się i ruszyła dalej.

– Szyici walczą z sunnitami, a Państwo Islamskie z jednymi i drugimi. Komentatorzy tłumaczą, że to z braku kobiet. Że skoro nie ma kobiet, które trzeba chronić, choć umówmy się, że przez ochronę niekoniecznie rozumieją to samo, co ja, odpada jakiś podstawowy psychologiczny fundament judaizmu i islamu. Jakby obie te religie to było jedno i to samo. Wychodzi na to, że kobiety nadal są wszystkiemu winne, nawet kiedy śpią. Paranoja, co? A w Anglii…

Wystarczy tych wiadomości ze świata, pomyślał Frank. Zaklaskał przed twarzą Linny.

– Skarbie, chcę, żebyś na chwilę wróciła do swoich obowiązków. Zrobisz to dla mnie?

Natychmiast oprzytomniała.

– Oczywiście! Czego ci trzeba, Pete?

– Terry prosił o adres Lawrence'a Hicksa. To zastępca naczelnika zakładu karnego. Możesz to znaleźć?

– Bułka z masłem, kaszka z mlekiem, pryszcz. Mam numery telefonów i adresy całej załogi. Na wypadek, gdyby działo się tam coś złego, rozumiesz.

Okazało się jednak, że nie była to taka bułka z masłem. Nie w obecnym stanie Linny. Frank czekał cierpliwie, kiedy siedziała za swoim biurkiem i otwierała jeden, drugi, trzeci plik, kręcąc głową i klnąc na komputer, jak to ludzie mają w zwyczaju, nawet kiedy wina leży po ich stronie. Raz zaczęła zasypiać; zobaczył cienką białą nitkę wysnuwającą się z jej ucha. Znów klasnął jej przed nosem.

– Skup się, Linny, dobrze? To może być ważne.

Poderwała głowę. Nitka odpadła, zawisła w powietrzu, zniknęła. Linny obdarzyła Franka głupawym uśmiechem.

– Zrozumiałam. Ej, pamiętasz, jak któregoś wieczoru pojechaliśmy na potańcówę do Halls of Ivy w Coughlin i bez przerwy grali *Boot-Scootin' Boogie*?

Frank nie miał pojęcia, o czym ona mówi.

– Jakże mógłbym zapomnieć. Lawrence Hicks. Adres.

Wreszcie znalazła. Clarence Court 64, w południowej części miasta. Dalej od więzienia nie dało się zamieszkać, jeśli chciało się pozostać w granicach Dooling.

– Dzięki, Linny. Lepiej strzel sobie kawę.

– Chyba wolę kolumbijski dopalacz od kolumbijskiej kawy. Lepiej działa. Boże, błogosław braci Grinerów.

Zadzwonił telefon. Linny złapała za słuchawkę.

– Policja! – Słuchała jakieś trzy sekundy, po czym się rozłączyła.

– Za każdym razem to samo. „Czy to prawda, że w więzieniu jest kobieta…". Bla, bla, bla. Czy ja wyglądam jak gazeta? – Posłała Frankowi beznadziejnie smutny uśmiech. – Nie wiem, po co jeszcze walczę ze snem. Tylko odwlekam to, co nieuniknione.

Schylił się i dotknął jej ramienia czubkami palców; nawet nie wiedział, że to zrobi, dopóki tego nie zrobił.

– Wytrzymaj. Może za następnym zakrętem czeka cud. Nie przekonasz się, jeśli tam nie dojedziesz.

Linny się rozpłakała.

– Dzięki, Dave. Miło, że tak mówisz.

– Jestem miłym człowiekiem – powiedział Frank, który owszem, próbował być miły, ale przekonał się, że to nie zawsze jest możliwe. Grzecznością długo nie pociągniesz pługa. To mu się nie podobało. Nie czerpał z tego przyjemności. Nie był pewien, czy do Elaine kiedykolwiek dotarło, że tak naprawdę nie lubił wpadać w złość. No ale tak to już jest. Ktoś musi ciągnąć pług i w Dooling tym kimś był on.

Wyszedł, przekonany, że następnym razem zobaczy Linny Mars w kokonie czy, jak mawiali niektórzy zastępcy szeryfa, suczym worze. Nie pochwalał tego, ale też ich nie ganił. Od tego był Terry.

W końcu to on był komendantem.

3

Wróciwszy za kierownicę radiowozu numer jeden, Frank połączył się z Reedem Barrowsem i Vernem Rangle'em, którzy byli w trójce. Odebrał Vern. Frank spytał, czy nadal są w okolicy Tremaine Street.

– Uhm – odparł Vern – i szybko nam idzie. Jak już się minie dom komendant, w dzielnicy jest niewiele śpiących. Żebyś ty widział, ile

tu tabliczek z napisem „na sprzedaż”. Wychodzi na to, że tak zwane ożywienie gospodarcze w te okolice nie dotarło.

– Jasne. Słuchajcie, Terry prosił, żeby zlokalizować komendant Norcross i jej syna.

– Ich dom stoi pusty – odparł Vern. – Już sprawdziliśmy. Mówiłem Terry’emu. Myślę, że może trochę za dużo… – Vern chyba się zreflektował, że wszystko, co mówi, idzie w eter. – No wiesz, trochę za dużo pracuje.

– Tak, tak, pamięta to – zapewnił Frank. – Chce, żebyście sprawdzili też puste domy. O ile dobrze kojarzę, niedaleko was jest cała niewykończona ślepa ulica. Jeśli ich znajdziecie, powiedzcie im „cześć” i jedźcie dalej. Ale potem od razu skontaktujcie się ze mną, jasne?

Reed przejął mikrofon.

– Jeśli Lila nie jest na nogach, Frank, to pewnie zasnęła w lesie czy gdzieś. Inaczej leżałaby w kokonie w domu albo w biurze szeryfa.

– Ja tylko przekazuję polecenie Terry’ego. – Frank za nic nie powiedziałby tym dwóm tego, co jemu wydawało się oczywiste: Norcross był o krok przed nimi. Gdyby jego żona nie zasnęła, nadal byłaby komendantem. Stąd wniosek, że doktor zadzwonił do syna i kazał mu przenieść Lilę w bezpieczniejsze miejsce. A to kolejny dowód, że facet coś knuje. Frank był pewien, że żona i syn Norcrossa są gdzieś blisko domu.

– Gdzie właściwie jest Terry? – spytał Reed.

– Odstawiłem go do domu – odparł Frank.

– Jezu. – Reed wydawał się zniesmaczony. – Mam nadzieję, że ta robota go nie przerasta, Frank. Naprawdę.

– Skończ z takim gadaniem – rzucił Frank. – Pamiętaj, że to, co mówisz, idzie w eter.

– Zrozumiałem. Zaczniemy sprawdzać puste domy na Tremaine. Tak czy owak mamy tę część osiedla na liście.

– Świetnie. Czwórka, bez odbioru.

Frank odwiesił mikrofon i pojechał na Clarence Court. Bardzo chciał wiedzieć, gdzie są Lila Norcross i jej syn – mogli być kartą przetargową niezbędną, żeby zakończyć ten kryzys bez rozlewu krwi

– ale to był drugi punkt na jego liście. Na razie czas się dowiedzieć czegoś więcej o pani Eve Black.

4

Jared odebrał po drugim dzwonku.

– Centrum Zwalczania i Prewencji Chorób, oddział w Dooling, epidemiolog Jared Norcross przy telefonie.

– Odpuść sobie, Jere – powiedział Clint. – Jestem sam w gabinecie. Z Mary wszystko w porządku?

– Na razie tak. Chodzi po podwórku. Mówi, że słońce dodaje jej energii.

Clint poczuł niejasny niepokój, ale zaraz przywołał się do porządku. Wysokie płoty, dużo drzew; na pewno nic jej tam nie grozi. Przecież Terry i jego nowa prawa ręka nie wyślą na ich poszukiwania drona ani helikoptera.

– Tato, ona chyba już długo nie wytrzyma. Nie wiem, jakim cudem jeszcze nie zasnęła.

– Ja też nie.

– I nie bardzo rozumiem, dlaczego mama chciała, żebyśmy się tu przenieśli. Jest trochę mebli, ale łóżko jest twarde. – Jared zawiesił głos. – Maruda ze mnie, co? Tyle się dzieje, a ja na łóżko narzekam.

– Ludzie skupiają się na drobnych sprawach, żeby wielkie ich nie przytłoczyły – powiedział Clint. – A twoja mama miała rację, Jere.

– Chyba nie myślisz, że w Dooling powstanie brygada zapalająca, co?

Clintowi przypomniał się tytuł starej powieści – *To się tu nie może zdarzyć*. Chodziło w niej właśnie o to, że wszystko może się zdarzyć wszędzie. Ale nie, to nie wizja brygad zapalających w Dooling była w tej chwili jego głównym zmartwieniem.

– Są pewne sprawy, o których nic nie wiesz – odparł Clint. – Ale ponieważ wiedzą o nich inni, a przynajmniej podejrzewają, że wiedzą, wieczorem wszystko ci wytłumaczę. – Potem może nie być więcej okazji, dodał w myśli. – Przywiozę tobie i Mary coś na kolację.

Może być pizza z podwójną porcją mięsa i grzybów z Pizza Wagon? O ile jeszcze jest czynne?

– Brzmi super – powiedział Jared. – A przywiózłbyś przy okazji czystą koszulę?

– Będziesz się musiał zadowolić niebieską koszulą strażnika – odparł Clint. – Nie chcę zaglądać do domu.

Jared chwilę milczał. Clint już miał spytać, czy jeszcze tam jest, kiedy jego syn rzucił:

– Powiedz mi, proszę, że dmuchasz na zimne.

– Wyjaśnię wszystko, kiedy przyjadę. Nie pozwól Mary zasnąć. Przypomnij jej, że w kokonie nie będzie mogła jeść pizzy.

– Jasne.

– Aha, jeszcze jedno, Jared.

– Tak?

– Gliny nie informują mnie o swoich planach opanowania sytuacji, nie jestem ostatnio ich pupilem, ale na ich miejscu systematycznie przeszukałbym miasto i spisał wszystkie śpiące kobiety i ich adresy. Terry Coombs może nie jest na tyle bystry i poukładany, żeby na to wpaść, ale człowiek, który z nim pracuje, owszem.

– Okej…

– Jeśli pokażą się gdzieś w pobliżu, bądźcie cicho i… Czy jest w tym domu jakiś schowek? Oprócz piwnicy?

– Nie jestem pewien, nie przeszukałem go dokładnie, ale chyba jest strych.

– Zabierz tam wszystkich, jeśli zobaczysz gliny na ulicy.

– Jezu, serio? Trochę mnie przerażasz, tato. Nie jestem pewien, czy za tobą nadążam. Dlaczego nie mogę pozwolić, żeby gliny znalazły mamę, panią Ransom i Molly? Tutaj kobiet nie palą, nie?

– Nie, ale i tak może wam grozić niebezpieczeństwo, Jared. Tobie, Mary, a zwłaszcza twojej matce. Jak mówiłem, policja ostatnio za mną nie przepada. Ma to związek z kobietą, o której wam opowiadałem, tą, która jest inna. Nie chcę wchodzić w szczegóły, musisz mi wierzyć na słowo. Dasz radę zabrać je na strych?

– Tak. Mam nadzieję, że nie będę musiał, ale dam radę.

– To dobrze. Kocham cię. Niebawem przyjadę, miejmy nadzieję, z pizzą.

Najpierw jednak, pomyślał, jeszcze raz spróbuję się rozmówić z Evie Black.

5

Kiedy Clint wszedł do Skrzydła A, niosąc pod pachą składane krzesło, które zabrał ze świetlicy, przy drzwiach prysznica i punktu odwszawiania stała Jeanette, pogrążona w rozmowie z nieistniejącym człowiekiem. Zdawała się prowadzić zawiłe negocjacje w sprawie zakupu narkotyków. Powiedziała, że chce te lepsze prochy, bo Damianowi humor się po nich poprawia. Evie stała przy kratach swojej celi i patrzyła na nią z czymś w rodzaju współczucia… chociaż z niezrównoważonymi psychicznie nigdy nic nie wiadomo. A skoro mowa o niezrównoważonych psychicznie, Angel siedziała na pryczy w pobliskiej celi, ze zwieszoną głową wspartą na dłoniach i twarzą zasłoniętą włosami. Zerknęła na Clinta, powiedziała: „Cześć, lachociągu", i znów opuściła wzrok.

– Wiem, skąd bierzesz towar – mówiła Jeanette do niewidzialnego dilera – i wiem, że możesz to dziś zdobyć. Przecież tam nie zamykają interesu o północy. Zrób to dla mnie, dobrze? Proszę? Proszę. Nie chcę, żeby Damian znów miał te swoje humory. Poza tym Bobby ząbkuje. Moja głowa dłużej tego nie wytrzyma.

– Jeanette – powiedział Clint.

– Bobby? – Spojrzała na niego, mrugając szybko. – Och… doktor Norcross… – Jej twarz była zwiotczała, jakby wszystkie mięśnie w niej zasnęły i już tylko czekały, kiedy uparty mózg pójdzie za ich przykładem. Clintowi przypomniał się stary kawał: Wchodzi koń do baru, barman pyta „Hej, koleś, co tak spuściłeś nos na kwintę?".

Clint chciał jej wytłumaczyć, dlaczego kazał odciąć automaty telefoniczne, i przeprosić za to, że przez niego nie mogła zadzwonić do syna, upewnić się, że nic mu nie jest. Nie był jednak pewien, czy w tym stanie Jeanette zdołałaby go zrozumieć, a jeśli nawet, czy to by cokolwiek dało, czy tylko jeszcze bardziej wyprowadziło ją z równowagi. To, jak potraktował kobiety z więzienia, swoje

pacjentki, zasługiwało na potępienie. Delikatnie mówiąc. Nawet zważywszy na to, że nie widział innego wyjścia. I to jeszcze nie wszystko, bynajmniej. Postąpił tak, jak postąpił, z powodu Evie – i nagle uświadomił sobie, że nienawidzi jej za to.

– Jeanette, z kimkolwiek…

– Niech pan nie przeszkadza, doktorze. Muszę to zrobić.

– Idź na spacerniak.

– Co? Nie mogę, przynajmniej nie sama. Jesteśmy w więzieniu, wie pan. – Odwróciła się od niego i zajrzała pod prysznic. – No i facet sobie poszedł. Wystraszył go pan. – Zaszlochała bez łez. – Co ja teraz zrobię?

– Wszystkie drzwi są otwarte, kochanie. – Clint jeszcze nigdy nie zwracał się tak czule do osadzonej, ale teraz przyszło mu to naturalnie, bez namysłu.

– Dostałabym naganę!

– Padło jej na mózg, doktorze – stwierdziła Angel, nie podnosząc głowy.

– Idź, Jeanette – powiedziała Evie. – Do stolarni, stamtąd na spacerniak i do ogródka. Znajdziesz tam świeży groch, słodki jak miód. Napełnij nim kieszenie i wróć. Do tego czasu skończę rozmawiać z doktorem Norcrossem i będziemy mogły zrobić sobie piknik.

– Piknik na ziarnkach grochu – powiedziała Angel przez zasłonę włosów i parsknęła śmiechem.

– Idź już – naciskała Evie. Jeanette spojrzała na nią niepewnie. – Może tam jest ten facet – przekonywała Evie. – Nawet nie może, tylko na pewno.

– A może siedzi w twoim brudnym dupsku – powiedziała Angel przez włosy. – Tam się przyczaił. Załatwcie mi klucz francuski, to pomogę go znaleźć.

– Masz niewyparzony język, Angel – zauważyła Jeanette. – Niewyparzony. – Ruszyła w głąb krótkiego korytarza Skrzydła A; nagle stanęła w pół kroku i wbiła wzrok w przekrzywiony prostokąt słońca na podłodze.

– A ja mówię, że kwadrat światła nie może cię nie obchodzić – powiedziała cicho Evie.

Jeanette się zaśmiała.

– No właśnie, Ree! – krzyknęła. – No właśnie! *Kłam dla nagród*, co nie?

Ruszyła dalej, powoli, noga za nogą, raz zarzucało ją w lewo, raz w prawo, ale zawsze wracała na pierwotny kurs.

– Angel? – odezwała się Evie. Mówiła tym samym cichym, uprzejmym głosem, ale Angel od razu poderwała głowę, z pozoru całkowicie przytomna. – Doktor Norcross i ja odbędziemy krótką naradę. Możesz słuchać, ale masz trzymać gębę na kłódkę. Inaczej zatkam ci ją szczurem i każę mu zeżreć twój język.

Angel patrzyła na nią przez kilka sekund, po czym znów opuściła twarz na dłonie.

Kiedy Clint rozkładał krzesło przed celą Evie, zjawił się oficer Hughes.

– Jedna osadzona wyszła na zewnątrz – powiedział. – Chyba do ogródka. Pozwolić jej?

– Tak, Scott. Ale miej na nią oko, dobrze? Gdyby zasnęła, przenieś ją w cień, zanim zacznie wytwarzać kokon. Zabierzemy ją do środka, kiedy cała obrośnie.

– Dobrze, szefie. – Hughes zasalutował niedbale i wyszedł.

Szefie, pomyślał Clint. Chryste Panie, nazywają mnie szefem. Nikt mnie nie nominował, nie prowadziłem kampanii wyborczej, a mimo to dostałem tę fuchę.

– Bezsenne głowy dźwigają korony[5] – powiedziała Evie. – *Henryk IV*, część druga. Nie najlepsza ze sztuk tego autora, ale ujdzie. Wiesz, że w tamtych czasach chłopcy grali kobiece role, prawda?

Ona nie czyta w myślach, powiedział sobie Clint. Mężczyźni przyszli, jak zapowiadała, ale sam mogłem to przewidzieć. Wystarczyło logicznie pomyśleć. Ma umiejętności dobrego jarmarcznego wróżbity, ale nie czyta w myślach.

Jasne, mógł to sobie wmawiać do woli – żyli w wolnym kraju.

Evie patrzyła na niego z ciekawością i zainteresowaniem, oczy miała przytomne i pełne życia. Pewnie była jedyną kobietą na całym świecie, która wciąż tak wyglądała.

– O czym pogadamy, Clint? O dramatach historycznych Szekspira? Baseballu? O ostatnim sezonie *Doktora Who*? Szkoda, że skończył się w tak krytycznym momencie, nie? Obawiam się, że od tej pory będziemy zdani na powtórki. Wiem z dobrych źródeł, że towarzyszka doktora zasnęła przed paroma dniami i teraz podróżuje Tardisem po swoim wewnętrznym wszechświecie. A może zmienią obsadę, nakręcą następny sezon z samymi facetami.

– Też dobrze. – Clint automatycznie wcielił się w rolę psychiatry.

– A może powinniśmy porozmawiać o czymś bardziej istotnym w obecnej sytuacji? Proponuję tak zrobić, bo czasu jest coraz mniej.

– Zaintrygowało mnie to, co powiedziałaś o nas. Że niby ty reprezentujesz wszystkie kobiety, a ja mężczyzn. Jakbyś widziała w nas symboliczne postacie. Archetypy. Yin i yang. Króla na jednym końcu szachownicy i królową na drugim.

– Ależ nie – odparła z uśmiechem. – Jesteśmy po jednej stronie, Clint. Ty to biały król, ja – biała królowa. Naprzeciwko nas stoją zastępy czarnych figur. Wszystkie króla konie i żołnierze. Z naciskiem na żołnierzy.

– To ciekawe, że uważasz mnie za sojusznika. Wcześniej odniosłem inne wrażenie. Kiedy właściwie zaczęłaś mnie tak postrzegać?

Uśmiech przygasł.

– Nie. Nie waż się tego robić.

– Czego?

– Szukać odpowiedzi w wykazie zaburzeń psychicznych. Żeby poradzić sobie w obecnej sytuacji, musisz porzucić pewne racjonalne założenia i zdać się na intuicję. Otworzyć się na swoją kobiecą stronę. Każdy mężczyzna taką ma. Przypomnij sobie, ilu pisarzy facetów potrafiło wejść w skórę kobiety. Weźmy *Mildred Pierce* Jamesa Caina. To moja ulubiona powieść.

– Wiele kobiet psychiatrów odrzuciłoby sugestię, że…

– Podczas naszej rozmowy telefonicznej, kiedy twoja żona jeszcze nie spała, wierzyłeś w to, co ci mówiłam. Wyczułam to w twoim głosie.

– Tamtego wieczoru byłem… w dziwnym nastroju. Miałem kłopoty osobiste. Słuchaj, nie kwestionuję twojego wpływu, twoich mocy,

jakkolwiek to nazwać. Załóżmy, że jesteś panią sytuacji. Przynajmniej dzisiaj.

– Tak załóżmy. Jutro jednak być może po mnie przyjdą. Jeśli nie jutro, to pojutrze albo za trzy dni. W każdym razie wkrótce. Tymczasem na tamtym świecie, po drugiej stronie Drzewa, czas płynie dużo szybciej… miesiące mijają tam w mgnieniu oka. Są pewne zagrożenia, ale z każdym kolejnym, które kobiety przezwyciężają, maleje szansa, że będą chciały tu wrócić.

– Przypuśćmy, że rozumiem i wierzę choćby w część tego, co mówisz – stwierdził Clint. – Kto cię przysłał?

– Prezydent Reginald K. Kusojajcy – wtrąciła Angel, nie podnosząc głowy. – Albo lord Smutas Walkutas. A może…

Nagle wrzasnęła. Clint się odwrócił i zobaczył, że do jej celi wbiegł wielki brązowy szczur. Angel podciągnęła nogi na pryczę i znów krzyknęła.

– Zabieraj go! Zabieraj go! Nienawidzę szczurów!

– Będziesz cicho, Angel? – spytała Evie.

– Tak! Tak! Obiecuję! Tak!

Evie zakręciła palcem jak sędzia sygnalizujący home run w baseballu. Szczur wycofał się z celi Angel i przycupnął na korytarzu, obserwując ją przenikliwymi ślepiami.

Clint odwrócił się twarzą do Evie. Przyszedł tu z przygotowaną listą pytań, które miały ją skłonić, żeby stawiła czoła swoim złudzeniom, teraz jednak rozsypały się jak domek z kart na silnym wietrze.

To ja żywię złudzenia, pomyślał. Kurczowo się ich trzymam, żeby do reszty nie zwariować.

– Nikt mnie nie przysłał – powiedziała Evie. – Sama przyszłam.

– Możemy zawrzeć pewną umowę?

– Już ją zawarliśmy. Jeśli przetrwam, jeśli mnie ocalisz, kobiety będą mogły same zdecydować o swojej przyszłości. Muszę jednak cię ostrzec: ten osiłek, Geary, koniecznie chce mnie dostać w swoje ręce. Myśli, że będzie w stanie zapanować nad swoimi ludźmi i wziąć mnie żywcem, ale raczej się myli. A jeśli umrę, to będzie koniec.

– Kim ty jesteś?

– Twoją jedyną nadzieją. Ale radzę, żebyś przestał się martwić o mnie i swoje wysiłki skupił na mężczyznach spoza tych murów. To

oni są twoim głównym problemem. Jeśli kochasz żonę i syna, Clint, musisz działać szybko, żeby uzyskać przewagę. Geary jeszcze nie zdobył pełnej władzy, ale to tylko kwestia czasu. Jest inteligentny, zmotywowany i nie ufa nikomu oprócz siebie.

– Spławiłem go. – Clint miał odrętwiałe usta. – Coś podejrzewa, owszem, ale pewności nie ma.

– Zdobędzie ją, kiedy porozmawia z Hicksem, a właśnie do niego jedzie.

Odchylił się na krześle, jakby wyciągnęła rękę przez kraty i dała mu w twarz. Hicks! Zupełnie zapomniał o Hicksie. Czy będzie trzymał język za zębami, jeśli Frank Geary zapyta go o Eve Black? Za cholerę.

Evie wychyliła się do przodu i zajrzała mu prosto w oczy.

– Uprzedziłam cię, że twoja żona i syn mogą być w niebezpieczeństwie. Przypomniałam, gdzie możesz zdobyć broń; w zasadzie nie powinnam była zrobić ani tego, ani tego, ale polubiłam cię bardziej, niż mogłam przypuszczać. Chyba nawet mnie pociągasz, bo jesteś tak straceńczo odważny. Jak pies, który szczeka na morskie fale. Nie żebym chciała odejść od tematu, ale to kolejny wymiar podstawowego problemu, chronicznego braku równowagi w układzie mężczyzna–kobieta. Nieważne, kiedy indziej będzie czas o tym pomówić. Teraz musisz podjąć decyzję: albo przygotujesz się do obrony więzienia, albo mnie wydasz.

– Nie pozwolę im ciebie zabrać – powiedział Clint.

– Mocne słowa. Godne prawdziwego macho.

Jej lekceważący ton zirytował go.

– Czy twoje wszechwidzące oko wie, że musiałem odciąć automaty telefoniczne od sieci, Evie? Że nie pozwoliłem zamkniętym tu kobietom pożegnać się z bliskimi, nawet z ich dziećmi, bo nie mogliśmy ryzykować, że wieść o tobie rozejdzie się jeszcze szerzej? Wiesz, że mój własny syn też może być w niebezpieczeństwie? Jest nastolatkiem i nadstawia karku na moje polecenie.

– Wiem, co zrobiłeś, Clint. Ale ja do niczego cię nie zmusiłam.

Teraz już wściekł się na nią.

– Jeśli naprawdę tak myślisz, sama siebie okłamujesz.

Zdjęła z półki telefon Hicksa.

– Powiedzieliśmy sobie wszystko, co było do powiedzenia, doktorze. Teraz chcę pograć w Boom Town. – Mrugnęła do niego jak kokieteryjny podlotek. – Coraz lepiej mi idzie.

6

– Jesteśmy na miejscu. – Garth Flickinger zatrzymał poobijanego mercedesa przed znacznie bardziej poobijaną przyczepą mieszkalną świętej pamięci Trumana Mayweathera.

Michaela obejrzała ją pustym wzrokiem. Przez kilka ostatnich dni czuła się jak we śnie i ta zardzewiała przyczepa – ustawiona na pustakach, otoczona chwastami, porozrzucanymi częściami do samochodów i taśmą policyjną, która leżała na ziemi i trzepotała niemrawo – wydawała się tylko kolejnym typowym dla snu dziwacznym zwrotem akcji.

Ale przecież wciąż tu jestem, powiedziała sobie. Moja skóra nadal jest moją skórą. Prawda? Przesunęła dłonią po policzku i czole. Prawda. Żadnych nitek. Wciąż jest tutaj. Wciąż na jawie.

– Chodź, Mickey – rzucił Garth, wysiadając z wozu. – Jeśli znajdę to, czego szukam, wytrzymasz na nogach jeszcze co najmniej dzień, może dwa.

Chciała otworzyć drzwi, ale nie mogła znaleźć klamki, więc siedziała jak kołek, dopóki Garth nie obszedł samochodu i nie wypuścił jej z szarmanckim ukłonem. Jakby przywiózł ją na studniówkę, a nie do gównianej przyczepy w lesie, w której niedawno doszło do podwójnego morderstwa.

– Wysiadka – powiedział i pociągnął ją za ramię. Był pogodny i ożywiony. Co w tym dziwnego? Nie miał za sobą ponad stu godzin bez snu.

Od tamtej nocy w Squeaky Wheel Michaela i Garth stali się nierozłącznymi przyjaciółmi. A przynajmniej kumplami od ćpania. Miał dużą torebkę metamfetaminy – zapas na czarną godzinę, powiedział – i ta w połączeniu z drinkami stworzyła całkiem niezłą mieszankę. Michaela bez większego wahania pojechała z nim do jego

domu, kiedy w Wheel skończył się alkohol i właściciel zamknął interes. W innych okolicznościach może nawet by się z Garthem przespała – choć mężczyźni jej nie kręcili, czasem warto spróbować czegoś nowego, a Bóg jej świadkiem, po takim dniu jak ten była wdzięczna za towarzystwo. Ale nie w tej sytuacji. Gdyby się z nim przespała, potem zasnęłaby naprawdę, zawsze tak miała, a wtedy, ups, dziękujemy państwu, dobranoc. Zresztą nie wiedziała, czy w ogóle byłby zainteresowany; Garth Flickinger nie sprawiał wrażenia demona seksu, prawdziwą namiętnością zdawał się darzyć tylko narkotyki.

Zapas na czarną godzinę okazał się dość spory i impreza w domu Gartha trwała niemal dwie doby. Kiedy w niedzielę po południu gospodarz w końcu przysnął, Michaela przejrzała zawartość jego sekretarzyka. Zawierał, co było do przewidzenia, periodyki medyczne i kilka osmalonych fajek na narkotyki. Znalazła też parę rzeczy, których obecność była mniej spodziewana: pomarszczone zdjęcie małego dziecka otulonego różowym kocykiem – na odwrocie widniało leciuteńko wypisane ołówkiem imię „Cathy” – a w dolnej szufladzie duże opakowanie suplementów witaminowych dla gadów. Potem pobawiła się jego szafą grającą. Niestety, miał na niej same kawałki zespołów lubujących się w długich improwizacjach; nie musiała słuchać *Casey Jones*, sama wkrótce skończy jak Casey Jones. Przejrzała chyba z pięćset kanałów na jego gigantycznym telewizorze, zatrzymując się na dłużej tylko na telezakupach prowadzonych przez cwaniaków o najdonośniejszych, najbardziej drażniących głosach, głosach, które wzywają widzów: „Słuchaj albo giń”. Jak przez mgłę pamiętała, że zamówiła odkurzacz marki Shark i kazała go wysłać na swój stary adres w Waszyngtonie. Nie sądziła, by dotarł; choć telefon odebrał mężczyzna, była pewna, że zamówienia realizowały kobiety. Bo czy to nie kobiety zazwyczaj dostają taką robotę? Brudną, najpodlejszą?

Jeśli widzisz sedes bez pierścienia brudu w środku, pomyślała, to znak, że gdzieś w pobliżu jest kobieta.

– Trume mówił, że zdobył najlepszy towar na świecie, i nie kłamał – powiedział Garth, prowadząc ją do przyczepy. – To znaczy, nie zrozum mnie źle, facet miał nierówno pod sufitem i kłamał prawie na

okrągło, ale to był jeden z tych rzadkich przypadków, kiedy powiedział prawdę.

W bocznej ścianie przyczepy ziała dziura otoczona kręgiem czegoś, co wyglądało jak zaschnięta krew – ale to nie mogło być rzeczywiste. Nie, Michaela musiała śnić na jawie, co jest częstym skutkiem długiej bezsenności, tak przynajmniej twierdził samozwańczy ekspert w materiale News America, który obejrzała, zanim wyruszyła ku zielonym wzgórzom rodzinnych Appalachów.

– Chyba nie widzisz dziury w ścianie tej przyczepy, co? – spytała. Nawet jej głos brzmiał jak we śnie. Zdawał się dochodzić z głośnika na czubku głowy Michaeli.

– Widzę, widzę – odparł Garth. – Jest tam, pewnie, że tak. Słuchaj, Mickey, Trume nazywał ten nowy wynalazek fioletową błyskawicą i zdążyłem tego skosztować, zanim wparowała ta wariatka i załatwiła jego i jego kumpla. – Garth na chwilę popadł w zadumę. – Facet miał najgłupszy tatuaż, jaki w życiu widziałem. Przedstawiał tego balasa z *South Park,* wiesz? Tego, co śpiewa i w ogóle. Miał go na jabłku Adama. Kto tatuuje sobie balasa na jabłku Adama? Rozumiesz to? Bo ja nie. Nawet jeśli to jest dowcipny, tańczący, śpiewający balas, balas pozostaje balasem. Każdy, kto na ciebie patrzy, widzi balasa. Nie jest to moja specjalność, ale kiedyś konsultowałem się w tej sprawie i nie uwierzysz, jak bolesne jest usuwanie czegoś takiego.

– Garth. Stop. Wróć. Ta wariatka. Czy to ta sama kobieta, o której mówią ludzie w mieście? Ta, którą trzymają w więzieniu?

– Uhm. Normalnie zmieniła się w Hulka. Miałem szczęście, że udało mi się uciec. Ale było, minęło, stało się i się nie odstanie, mleko się rozlało i tak dalej. To już nie jest ważne. I chwała opatrzności, wierz mi. Teraz liczy się tylko ta niesamowita meta. Trume jej nie upichcił, kupił ją w Savannah czy gdzieś, ale zamierzał ją produkować, jarzysz? Dokładnie ją zbadać, a potem stworzyć własną wersję. Miał dużą torebkę tego towaru, a ta na pewno jeszcze gdzieś tam jest. Znajdę ją.

Michaela miała taką nadzieję, bo koniecznie musieli uzupełnić zapasy. Przez ostatnich parę dni wypalili wszystko, co Garthowi zostało, włącznie z popiołem zebranym z dywanu i paroma

kryształkami znalezionymi pod kanapą. Po każdym posiedzeniu z fajką Garth kazał jej myć zęby.

– Właśnie dlatego meciarze mają zepsute zęby – wyjaśnił. – Na haju zapominają o podstawowej higienie.

Dym gryzł ją w gardło, euforia wywołana narkotykiem dawno minęła, ale Michaela przynajmniej nie zasnęła. Była prawie pewna, że zaśnie w drodze tutaj – ciągnęła się bez końca – ale jakoś wytrzymała. Pytanie, po co? Przechylona przyczepa na pustakach raczej nie wyglądała jak Zdrój Wiecznej Przytomności. Mogła się tylko modlić o to, by fioletowa błyskawica nie okazała się urojeniem przyćmionego narkotykami umysłu Gartha Flickingera.

– Chcesz, to idź – powiedziała – ale ja z tobą nie wejdę. A jeśli tam straszy?

Spojrzał na nią z dezaprobatą.

– Mickey, jesteś reporterką. Znawczynią wydarzeń w kraju i na świecie. Wiesz, że duchy nie istnieją.

– Wiem – powiedziała Michaela przez głośnik na czubku swojej głowy – ale w tym stanie może i tak je zobaczę.

– Nie chcę zostawiać cię samej. Nie będę mógł cię trzepnąć w twarz, jeśli zaczniesz zasypiać.

– Sama się trzepnę. Idź po to. Tylko uwiń się w miarę szybko.

Garth wbiegł po schodach i spróbował otworzyć drzwi, a kiedy nie ustąpiły, naparł na nie ramieniem. Rozwarły się na oścież i wpadł do środka. Po chwili, szeroko uśmiechnięty, wystawił głowę przez otoczoną rdzawoczerwoną plamą dziurę w ścianie przyczepy.

– Nie zasypiaj, ślicznotko! Pamiętaj, pewnego pięknego dnia poprawię ci nos!

– Marzyciel – mruknęła Michaela, ale Garth już wsadził głowę z powrotem do środka. Słyszała łupnięcia i brzęki towarzyszące poszukiwaniom mitycznej substancji. Substancji, którą pewnie zabrały gliny i włożyły do magazynu dowodów rzeczowych w biurze szeryfa. Może nawet podzielili towar między siebie, zanieśli do domów i dali swoim kobietom.

Michaela powędrowała do ruin szopy, w której produkowano metamfetaminę. Otaczały je spalone krzaki i osmalone drzewa. Nikt więcej nie upichci tu mety – fioletowej ani jakiejkolwiek innej.

Zastanawiała się, czy szopa wyleciała w powietrze sama z siebie, jak to z tego rodzaju wytwórniami często bywa, czy też wysadziła ją kobieta, która zabiła jej właścicieli. W gruncie rzeczy po tak długim czasie nie miało to większego znaczenia, ale ta kobieta intrygowała Michaelę, rozpalała jej wrodzoną, poszukującą ciekawość, tę samą, która kazała jej szperać w szufladach komody Antona Dubceka, kiedy miała osiem lat, i ostatecznie skłoniła ją do tego, żeby zająć się dziennikarstwem i grzebać w szufladach wszystkich ludzi. Domyślała się, że ta część jej umysłu, wciąż sprawna, trzyma ją na chodzie w równym stopniu, jak metamfetamina Flickingera. Miała pytania, na które nie znała odpowiedzi.

Pytania typu: jak w ogóle zaczęła się ta historia z aurorą. I dlaczego, o ile jakiś powód istnieje. Pytania o to, czy kobiety na całym świecie pewnego dnia obudzą się jak Śpiąca Królewna czy nie. No i pytania o zabójczynię dilerów mety, która, jak wynikało z rozmów zasłyszanych w Squeaky Wheel i na mieście, nazywała się Eve, Evelyn lub Ethelyn Black – i podobno mogła zasypiać i się budzić, co znaczyło, że drugiej takiej nie ma na świecie, no, chyba że jakaś uchowała się gdzieś na Ziemi Ognistej albo wysoko w Himalajach. Mogły to być tylko plotki, ale Michaela sądziła, że tkwi w nich ziarno prawdy. Kiedy słyszysz identyczną pogłoskę z różnych źródeł, warto się nią bliżej zainteresować.

Gdybym nie była jedną nogą w rzeczywistości, a drugą w krainie snu, pomyślała Michaela, ruszając ścieżką na tyły ruin szopy, pofatygowałabym się osobiście do kobiecego więzienia i zasięgnęła języka.

Kolejne pytanie: Kto tam rządzi, skoro jej matka śpi? Hicks? Mama mówiła o nim, że ma mózg myszoskoczka i kręgosłup meduzy. O ile pamięć Michaeli nie myliła, najwyższym rangą strażnikiem była Vanessa Lampley. Jeśli Lampley opuściła więzienie albo zasnęła, pozostawał jedynie…

Czy ten szum był tylko w jej głowie? Nie mogła mieć absolutnej pewności, ale sądziła, że nie. Chyba wytwarzały go linie wysokiego napięcia, które tędy przebiegały. Nic godnego uwagi. Jej oczy jednak rejestrowały szczegóły, które trudniej było uznać za normalne. Świecące plamy w kształcie odcisków dłoni na pniach niektórych

drzew o parę metrów od wysadzonej szopy. Świecące plamy, które wyglądały jak ślady stóp, na mchu i ściółce, zdające się mówić: „Tędy, moja pani". I obsiadające gałęzie chmary ciem, które – mogłaby przysiąc – obserwowały ją.

– A sio! – krzyknęła na jedną z tych gromad. Ćmy zatrzepotały skrzydełkami, ale nie odleciały. Michaela uderzyła się w jeden, potem w drugi policzek. Ćmy nie zniknęły.

Odwróciła się od niechcenia i zerknęła w dół, w stronę szopy i przyczepy. Spodziewała się zobaczyć samą siebie leżącą na ziemi, obrośniętą kokonem – niezbity dowód, że opuściła swoje ciało i stała się duchem. Nie było tam jednak nic oprócz ruin i słabych dźwięków dochodzących z przyczepy, w której Garth Flickinger zapamiętale szukał skarbów.

Spojrzała w głąb ścieżki – bo to była ścieżka, dowodziły tego świecące ślady stóp – i jakieś trzydzieści, może czterdzieści metrów dalej zobaczyła lisa. Siedział, z kitą starannie owiniętą wokół łap, i patrzył na nią. Kiedy z wahaniem zrobiła trzy kroki w jego stronę, odwrócił się i podreptał naprzód. Raz przystanął i zerknął w tył. Wyglądał, jakby się serdecznie uśmiechał.

Tędy, moja pani.

Michaela ruszyła za nim. Teraz, kiedy jej wrodzona ciekawość rozbudziła się na dobre, pierwszy raz od kilku dni czuła się przytomna, całkowicie kontaktowała. Jakieś sto metrów dalej na drzewach było już tyle ciem, że gałęzie wydawały się nimi obrośnięte. Musiały ich być tysiące. Co tam tysiące, dziesiątki tysięcy. Gdyby ją zaatakowały (to przywołało wspomnienie filmu Hitchcocka o mściwych ptakach), utonęłaby w nich. Nie sądziła jednak, by chciały to zrobić. Ćmy były obserwatorami, to wszystko. Wartownikami. Eskortą. Lis był przywódcą. Ale dokąd ją wiódł?

Przewodnik zaprowadził Michaelę na wzniesienie, potem w dół wąskiej niecki, na następne wzgórze i wreszcie do kępy karłowatych brzóz i olch. Pnie pokryte były płatami tej dziwnej białej substancji. Potarła jedną z plam dłońmi. Czubki jej palców chwilę świeciły, po czym zgasły. Czy przedtem były tu kokony? Czy to ślady po nich? Kolejne pytania bez odpowiedzi.

Kiedy podniosła wzrok znad swojej dłoni, lis zniknął, ale szum przybrał na sile. Już nie kojarzył się jej z odgłosem linii wysokiego napięcia. Był mocniejszy, tętnił życiem. Aż ziemia drżała pod nogami. Ruszyła w stronę źródła dźwięku i stanęła w pół kroku, oniemiała tak jak Lila Norcross w tym samym miejscu nieco ponad cztery dni temu.

Przed nią była polana. Na jej środku sękate drzewo, złożone z wielu splecionych ze sobą rudobrunatnych pni, pięło się ku niebu. Z konarów zwieszały się pierzaste, prastare liście. Michaela czuła ich pikantny aromat – trochę przypominał zapach gałki muszkatołowej, poza tym jednak był jej zupełnie obcy. Na wysokich gałęziach siedziało dość egzotycznych ptaków, żeby zapełnić ptaszarnię – pogwizdywały, zawodziły, świergoliły. U stóp drzewa stał paw wielkości dziecka, z opalizującym wachlarzem ogona rozpostartym ku uciesze oczu Michaeli.

Nie widzę tego, a jeśli tak, to widzą to też wszystkie śpiące kobiety. Bo jestem jedną z nich. Zasnęłam przy ruinach szopy i kokon osnuwa mnie w chwili, kiedy podziwiam tego oto pawia. Musiałam jakoś przegapić samą siebie, to wszystko.

Zmieniła zdanie, kiedy zobaczyła białego tygrysa. Przed nim kroczył lis, jakby wskazując mu drogę. Szyję tygrysa oplatał czerwony wąż, niczym barbarzyńska biżuteria. Wąż wysunął język, badając powietrze. Michaela widziała cienie powiększające się i malejące w mięśniach tułowia nadchodzącego tygrysa. Spojrzał jej w oczy swoimi ogromnymi zielonymi ślepiami. Lis przyspieszył kroku i musnął pyskiem jej goleń – jego nos był chłodny i lekko wilgotny.

Przed dziesięcioma minutami Michaela powiedziałaby, że nie ma siły truchtać, a co dopiero biec. Teraz odwróciła się i wielkimi susami pomknęła w kierunku, z którego przyszła, roztrącając gałęzie; chmury brązowych ciem wzbijały się z nich, wirując, w niebo. Potknęła się, padła na kolana, zerwała się, biegła dalej. Nie oglądała się za siebie, przekonana, że tygrys jest tuż za nią, że już, już rozwiera szczęki, żeby przegryźć ją w pasie na pół.

Wyłoniła się z lasu nad ruinami szopy i zobaczyła Gartha stojącego przy mercedesie. W podniesionej ręce trzymał dużą torebkę wypełnioną czymś, co wyglądało jak fioletowe klejnoty.

– Jestem nie tylko chirurgiem kosmetycznym, ale i, kurna, psem wykrywającym narkotyki! – zawołał. – Zawsze można na mnie polegać! Skubaństwo było przyklejone taśmą do płytki sufitowej! Zaraz to… Mickey? Co się stało?

Obejrzała się za siebie. Tygrys zniknął, ale był tam lis – znów z kitą starannie owiniętą wokół łap.

– Widzisz go?

– Kogo? Lisa? Pewnie. – Jego radość ulotniła się bez śladu. – Chyba cię nie ugryzł, co?

– Nie, nie ugryzł mnie. Ale… chodź ze mną, Garth.

– Do lasu? Nie, dzięki. Nigdy nie byłem harcerzem. Wystarczy, że spojrzę na sumak, a już jestem cały poparzony. Kółko chemiczne, o, to było coś dla mnie, ha, ha. Jak pewnie łatwo się domyślić.

– Musisz ze mną pójść. Serio. To ważne. Potrzebuję… cóż… potwierdzenia. Nie poparzysz się sumakiem. Jest ścieżka.

Poszedł bez entuzjazmu. Zaprowadziła go za zniszczoną szopę. Lis najpierw tylko truchtał, potem wyrwał naprzód sprintem, śmigał między drzewami, aż w końcu stracili go z oczu. Ćmy też zniknęły, ale…

– Tam. – Michaela pokazała palcem jeden ze śladów. – Widzisz to? Proszę, powiedz, że tak.

– Hm – mruknął Garth. – A niech mnie.

Schował drogocenną torebkę fioletowej błyskawicy za pazuchę rozpiętej koszuli i ukląkł na jedno kolano, żeby obejrzeć z bliska świecący ślad stopy. Delikatnie dotknął go liściem, powąchał zebrany osad, patrzył, jak fosforyzujące plamki gasną.

– To ten sam materiał, z którego składają się kokony? – spytała Michaela. – Tak, prawda?

– Być może to pozostałość kokonu – powiedział Garth. – Albo wydzielina tego, co powoduje ich powstawanie. To tylko przypuszczenia, ale… – Wstał. Jakby zapomniał, że przyjechali tu w poszukiwaniu narkotyków. Michaela po raz pierwszy zobaczyła w nim inteligentnego, dociekliwego lekarza, który czasem raczył się wynurzyć z oparów metamfetaminy w jego głowie. – Słuchaj, słyszałaś plotki, nie? Na przykład kiedy pojechaliśmy po zakupy do spożywczego? (Wspomniane zakupy – piwo, czipsy Ruffles, chińskie

zupki i duży pojemnik śmietany – były skromne. Shopwell był czynny, ale praktycznie do cna splądrowany).

– Plotki o tej kobiecie – powiedziała. – Oczywiście.

– Ludzie nie wiedzą jednego: że właśnie tutaj pokazała się po raz pierwszy – powiedział Garth. – Może naprawdę mamy w Dooling Tyfusową Mary. Wiem, że to mało prawdopodobne, według wszystkich doniesień aurora zaczęła się na drugim końcu świata, ale…

– Myślę, że to możliwe. – Maszyneria w głowie Michaeli znów pracowała na pełnych obrotach. Boskie uczucie. Może wkrótce przeminie, ale dopóki trwa, zamierzała się go trzymać jak brykającego mechanicznego byka. Wiśta wio, kowbojko! – I jeszcze jedno: chyba wiem, skąd ta kobieta przyszła. Chodź, pokażę ci.

Po dziesięciu minutach stanęli na skraju polany. Lis zniknął. Tygrys i paw ze wspaniałym ogonem też. Podobnie jak wielobarwne egzotyczne ptaki. Drzewo nadal stało, tylko że…

– Cóż – powiedział Garth i praktycznie słyszała, jak zainteresowanie uchodzi z niego niczym powietrze z przedziurawionego koła ratunkowego – ładny stary dąb, Mickey, przyznaję, ale poza tym nie widzę tu nic nadzwyczajnego.

– To nie było złudzenie. Na pewno. – Sama jednak zaczynała w to wątpić. Może ćmy też jej się przywidziały.

– Tak czy owak te świecące ślady dłoni i stóp to zdecydowanie sprawa dla Archiwum X. – Garth się rozpromienił. – Mam wszystkie odcinki na DVD, całkiem dobrze wytrzymały próbę czasu, choć telefony komórkowe w pierwszych sezonach są przezabawne. Chodźmy do mnie, zapalimy sobie i obejrzymy kilka, co ty na to?

Michaela nie chciała oglądać *Z Archiwum X*. Chciała pojechać do więzienia i przeprowadzić wywiad z najważniejszą postacią ostatnich dni. Pewnie mnóstwo z tym będzie roboty i nie bardzo sobie wyobrażała, jak przekona kogokolwiek, żeby ją wpuścił, kiedy wyglądała tak jak teraz (trochę jak Zła Czarownica z Zachodu, tylko w dżinsach i bluzce bez rękawów), ale po tym, co zobaczyli tutaj, gdzie podobno pierwszy raz widziano tę kobietę…

– Co powiesz na prawdziwą sprawę z Archiwum X? – zapytała.

– To znaczy?

– Przejedziemy się. Wytłumaczę ci w drodze.

– Może najpierw wypróbujmy to? – Mężczyzna z nadzieją potrząsnął torebką.

– Niebawem – odparła. I rzeczywiście będą musieli zrobić to jak najszybciej, bo ogarniało ją zmęczenie. Czuła się jak uwięziona w ciasnym czarnym worze. Pojawiło się w nim jednak jedno małe rozdarcie, a rozdarciem tym była jej ciekawość, wpuszczająca do środka snop jasnego światła.

– Cóż… dobrze. Jak chcesz.

Garth ruszył przodem w dół ścieżki. Michaela zatrzymała się i zerknęła przez ramię w nadziei, że przyłapie niezwykłe drzewo, zanim znowu zniknie. Zobaczyła jednak tylko dąb – był rozłożysty i wysoki, ale nie miał w sobie nic nadprzyrodzonego.

Gdzieś tam jednak jest prawda, pomyślała. I może nie jestem zbyt zmęczona, żeby ją odnaleźć.

7

Nadine Hicks była kobietą starej daty; w czasach przed aurorą zwykła przedstawiać się jako pani Lawrence'owa Hicks, jakby z chwilą wzięcia ślubu w jakimś sensie zrzekła się własnej tożsamości. Teraz siedziała przy stole w jadalni, opakowana jak prezent ślubny. Przed nią były pusty talerz, pusta szklanka, serwetka i sztućce. Wpuściwszy Franka, Hicks zaprowadził go do jadalni, po czym usiadł naprzeciwko żony przy stole z drzewa wiśni, żeby dokończyć śniadanie.

– Pewnie wydaje się to panu dziwne – powiedział Hicks.

Nie, pomyślał Frank, sadzanie żony w kokonie przy stole, jakby była wielką zmumifikowaną lalką, wcale nie jest dziwne. Jest, hm, jak by to ująć? Ach, już wiem: jest chore.

– Nie mnie pana osądzać – odparł. – To był duży wstrząs. Każdy radzi sobie, jak może.

– Cóż, panie władzo, po prostu staram się trzymać ustalonej rutyny. – Hicks był elegancko ubrany i ogolony, ale pod oczami miał

wielkie wory, a jego garnitur był wymięty. Oczywiście, ostatnio wszyscy chodzili w wymiętych ciuchach. Ilu mężczyzn umie prasować? Albo składać ubrania, skoro już o tym mowa? Frank to potrafił, owszem, ale nie miał żelazka. Od kiedy żył w separacji z żoną, zanosił brudy do pralni, a jeśli musiał szybko zrobić sobie kanty w spodniach, wkładał je pod materac, leżał na nim jakieś dwadzieścia minut i załatwione.

Hicks jadł na śniadanie grzankę z plastrami suszonej wołowiny i sosem beszamelowym.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu, że jem. Nie ma to jak stary dobry tościk z miękiem. Przenoszenie żony z miejsca na miejsce pobudza apetyt. Potem pójdziemy posiedzieć w ogródku. – Obrócił się w stronę kobiety. – Prawda, Nadine?

Odczekali kilka sekund, jakby liczyli, że odpowie. Nadine jednak tylko siedziała nad swoim nakryciem niby posąg kosmity.

– Panie Hicks, nie chciałbym zabrać panu za dużo czasu.

– Nie ma sprawy. – Hicks sięgnął po trójkątną grzankę i wziął kęs. Kropelki białego sosu z wołowiną spadły mu na kolano. – Szlag. – Zachichotał z ustami pełnymi jedzenia. – Kończą mi się czyste ubrania. To Nadine zawsze robi pranie. Mogłabyś już wstać, kochanie, i się tym zająć. – Przełknął kęs i, poważniejąc, kiwnął głową na Franka. – Ja w każdy piątek rano zmieniam żwirek w kuwecie i wynoszę śmieci. Tak jest sprawiedliwie. Równy podział obowiązków.

– Proszę pana, chcę tylko zapytać…

– I tankuję paliwo do jej samochodu. Nie znosi samoobsługowych dystrybutorów. Mówiłem jej: „Musisz się z nimi oswoić, bo jak sobie poradzisz, jeśli umrę przed tobą”, a ona na to…

– Chcę pana spytać o to, co się dzieje w więzieniu. – Frank miał nadzieję jak najszybciej uwolnić się od Lore'a Hicksa. – Jest tam kobieta, o której krążą pewne plotki. Nazywa się Eve Black. Co może mi pan o niej powiedzieć?

Hicks wbił wzrok w swój talerz.

– Na pana miejscu trzymałbym się od niej z dala.

– Czyli nie śpi?

– Kiedy wychodziłem, nie spała. Ale tak, lepiej trzymać się od niej z dala.

– Mówią, że zasypia i się budzi. Czy to prawda?

– Tak się wydawało, ale… – Hicks, wciąż wpatrzony w talerz, przechylił głowę na bok, jakby podejrzewał, że z grzanką jest coś nie tak. – Nie chcę się powtarzać, ale na pana miejscu dałbym tej sprawie spokój, panie władzo.

– Dlaczego pan tak mówi? – Frank myślał o ćmach, które wyleciały ze skrawka pajęczyny podpalonego przez Gartha Flickingera. I o tej, która zdawała się patrzeć mu prosto w oczy.

– Zabrała mi telefon.

– Słucham? Jak to możliwe?

– Straszyła mnie szczurami. Szczury jej pomagają. Robią, co im każe.

– Szczury robią, co im każe ta kobieta.

– Rozumie pan, co z tego wynika, prawda? Jak każdy hotel, każde więzienie jest zaszczurzone. Cięcia budżetowe pogłębiają problem. Pamiętam, jak Coates narzekała, że musiała odwołać deratyzatora. Brak środków. Ci, co stanowią prawa, w ogóle o tym nie myślą, nie? „To tylko więzienie. Co to jest kilka szczurów na osadzonego, skoro więźniowie sami są szczurami?”. No dobrze, a jeśli jeden z więźniów zdobędzie władzę nad szczurami? Co wtedy? – Hicks odsunął talerz. Najwyraźniej stracił apetyt. – Pytanie retoryczne, oczywiście. Prawodawcy nie myślą o takich sprawach.

Frank stał w drzwiach jadalni Hicksa i zastanawiał się, czy facet miewa halucynacje spowodowane stresem i rozpaczą. Tylko jak wyjaśnić ten kawałek pajęczyny, który zmienił się w ćmy? Frank widział to na własne oczy. I czy jedna z tych ciem nie patrzyła prosto na niego, tak przenikliwie, że nie wytrzymał jej spojrzenia? To mogło mu się przywidzieć (bądź co bądź, sam żył w stresie i rozpaczy), ale Frank nie sądził, by tak było. A może zastępca naczelnika nie postradał całkowicie zmysłów? A może mówił prawdę?

Jeszcze jedna możliwość: postradał zmysły, dlatego że mówił prawdę. Nieciekawa perspektywa, co?

Hicks wstał.

– Skoro już pan tu jest, pomógłby mi pan wynieść żonę na podwórko? Bolą mnie plecy, nie jestem już pierwszej młodości.

Frank chyba na nic nie miał mniejszej ochoty, ale się zgodził. Wziął Nadine za tęgie nogi, jej mąż wsunął ręce pod tęgie ramiona kobiety. Dźwignęli ją, zataszczyli na zewnątrz, zeszli po schodach i ruszyli wzdłuż ściany domu. Oprzęd szeleścił jak papier na prezentach gwiazdkowych.

– Trzymaj się, Nadine – rzucił Hicks w stronę białej powłoki. – Posadzimy cię wygodnie na krześle. Zażyjesz trochę słońca. Na pewno jakoś do ciebie dociera.

– Kto tam teraz rządzi? – spytał Frank. – W więzieniu?

– Nikt – odparł Hicks. – To znaczy Van Lampley pewnie mogłaby, o ile jeszcze nie zasnęła. Jest najwyższa stopniem.

– Psychiatra, doktor Norcross, twierdzi, że to on jest tymczasowym naczelnikiem.

– Nonsens.

Posadzili panią Hicks na jaskrawożółtym krześle na kamiennym tarasie. Oczywiście, nie było słońca. Nie dzisiaj. Znowu siąpił drobny deszcz. Krople, zamiast wsiąkać, perliły się na powierzchni kokonu jak na wodoszczelnym namiocie. Hicks na poły przytoczył, na poły przywlókł parasol ogrodowy. Jego podstawa zgrzytała o kamień.

– Ostrożności nigdy za wiele. Nie mogę jej posmarować kremem przeciwsłonecznym, kiedy jest cała obrośnięta, a bardzo szybko się spieka.

– Norcross? Psychiatra?

Hicks parsknął śmiechem.

– To pracownik kontraktowy. Bez żadnych uprawnień. Nikt go nie mianował.

Frank nie był zaskoczony. Od początku podejrzewał, że całe to gadanie Norcrossa to jeden wielki pic. Wkurzył się jednak. Przecież gra idzie o życie. Życie wielu ludzi, a jeśli sam myślał głównie o Nanie, to tylko dlatego, że w jego oczach uosabiała wszystkie kobiety. Kiedy tak na to spojrzeć, w tym, co robił, nie było krzty egoizmu; ba, to było wręcz altruistyczne! Na razie musiał zachować zimną krew.

– Jaki on jest? Ten psychiatra?

Hicks ustawił parasol i rozłożył go nad żoną.

– I załatwione. – Wziął kilka głębokich oddechów. Jego kołnierz pociemniał od potu i deszczu. – Jest inteligentny, to mu przyznam. Aż za inteligentny. W ogóle nie powinien pracować w więzieniu. I jeszcze jedno: płacą mu jak na etacie, prawie tyle, co mnie, a nie stać nas na deratyzatora. Tak, panie władzo, wygląda polityka w dwudziestym pierwszym wieku.

– Co pan ma na myśli, mówiąc, że Norcross nie powinien pracować w więzieniu?

– Dlaczego nie prowadzi prywatnego gabinetu? Widziałem jego akta. Ma publikacje. Skończył odpowiednie studia. Zawsze uważałem, że coś z nim jest nie tak, skoro chce przestawać z degeneratkami i narkomankami, ale nie wiedziałem co. Jeśli ma jakiś odchył seksualny, dobrze się z tym kryje. To pierwsza myśl, jaka się nasuwa, kiedy słyszy się o człowieku, który lubi pracować z kryminalistkami. Ale w jego przypadku chyba nie o to chodzi.

– Można się z nim dogadać? Jest rozsądny?

– Pewnie. To bardzo rozsądny facet, który jednocześnie jest politycznie poprawnym mięczakiem. I właśnie dlatego nie znoszę, jak to pan ujął, się z nim dogadywać. Widzi pan, my nie jesteśmy ośrodkiem resocjalizacji. Więzienie to przechowalnia ludzi, którzy łamią reguły gry i robią to nieumiejętnie. To kubeł na śmieci, można powiedzieć, a nam płacą za to, żebyśmy siedzieli na pokrywie. Coates lubi się z nim przekomarzać dla zgrywy, kumplują się ze sobą, mnie on jednak męczy. Typ człowieka, który truje ci i truje, aż dla świętego spokoju dajesz mu, czego chce. – Hicks wyciągnął z kieszeni zmiętą chusteczkę; starł kropelki wody z całunu żony. – I zawsze patrzy ludziom w oczy. Tak, że czujesz, że ma cię za wariata.

Frank podziękował Hicksowi za pomoc i poszedł przed dom, gdzie zostawił wóz. Co kombinuje ten Norcross? Z jakiego powodu nie chce ich dopuścić do tej kobiety? Dlaczego im nie ufa? Wszystkie fakty zdawały się prowadzić do jednego, nieprzyjemnego wniosku: z takiej czy innej przyczyny pan doktor jest z nią w zmowie.

Hicks potruchtał za nim.

– Panie Geary! Panie władzo!

– O co chodzi?

Zastępca naczelnika miał napiętą twarz.

– Proszę posłuchać, ta kobieta… – Zatarł dłonie. Deszcz plamił ramiona jego pomarszczonej marynarki. – Jeśli uda się panu z nią porozmawiać, to znaczy z Eve Black, niech pan, broń Boże, nie da jej do zrozumienia, że chcę, żeby oddała mi telefon, dobrze? Może go sobie zatrzymać. Gdybym musiał do kogoś zadzwonić, skorzystam z telefonu żony.

8

Kiedy Jared pospieszył na tyły domu pokazowego, w którym obecnie mieszkali (jeśli to nie za duże słowo), Mary stała oparta o płot, z głową schowaną w ramionach. Wiotkie białe nitki wysnuwały się z jej włosów.

Wyrwał do niej sprintem, omal się nie przewrócił o odpicowaną budę dla psa (wierna kopia domu, z miniaturowymi niebieskimi framugami okien włącznie), pochwycił Mary, potrząsnął nią, po czym uszczypnął ją w płatki uszu, jak kazała mu zrobić, gdyby zaczęła zasypiać. Mówiła, że czytała w Internecie, że to najlepszy sposób na to, by kogoś szybko obudzić. W sieci ostatnio pojawiło się mnóstwo porad, jak nie zasnąć; kiedyś tyle było artykułów o sposobach na bezsenność.

Poskutkowało. Jej oczy nabrały przytomnego spojrzenia. Białe nitki oderwały się, leniwie wzleciały w górę i zniknęły.

– O rany… – Dotknęła swoich uszu i spróbowała się uśmiechnąć. – Myślałam, że znów mam przekłuwane uszy. Twoją twarz zasłania duża fioletowa plama, Jere.

– Pewnie patrzyłaś w słońce. – Jared wziął ją za ramię. – Chodź. Musimy się pospieszyć.

– Dlaczego?

Nie odpowiedział. Jeśli jego ojciec popadał w paranoję, on właśnie się nią zaraził. W salonie, zastawionym idealnie dobranymi, ale dziwnie sterylnymi meblami – nawet obrazy na ścianach były do

siebie dopasowane – przystanął, żeby spojrzeć przez okno na radiowóz wydziału szeryfa zaparkowany jakieś sześć posesji dalej. Dwaj policjanci wychodzili z domu. Jego mama przez lata podejmowała kolacją swoich podkomendnych i ich żony; Jared większość z nich znał. Wiedział, że ci dwaj to Rangle i Barrows. Skoro wszystkie domy oprócz pokazowego były nieumeblowane, gliny pewnie przeszukają je po łebkach. Lada chwila będą tutaj.

– Jared, przestań mnie ciągnąć!

Ulokowali Platinum, Molly, panią Ransom i Lilę w głównej sypialni. Mary chciała zostawić je na parterze, stwierdziła, że przecież wystrój nie będzie im przeszkadzał, Jared jednak postawił na swoim, dzięki Bogu, ale nawet na piętrze nie były bezpieczne. Ponieważ dom pokazowy był umeblowany, Rangle i Barrows mogli postanowić go dokładnie przetrząsnąć.

Zaciągnął Mary na górę, nie bacząc na jej niezadowolenie. Zabrał z sypialni koszyk, w którym leżało otulone kokonem ciałko Platinum, i pospiesznie pociągnął za pierścień w suficie korytarza. Drabina na strych opadła z hukiem. Walnęłaby Mary w głowę, gdyby jej w porę nie odciągnął. Jared wdrapał się na górę, wsunął koszyk na podłogę strychu i ześliznął się z powrotem na dół. Puszczając mimo uszu pytania Mary, pobiegł na koniec korytarza i wyjrzał przez okno. Radiowóz powoli nadjeżdżał ulicą. Dzieliły go od nich już tylko cztery domy. Nie, trzy.

Pobiegł do Mary, stojącej ze zwieszonymi ramionami i spuszczoną głową.

– Musimy je tam wnieść. – Wskazał na drabinę.

– Nikogo nie udźwignę – jęknęła niczym marudne dziecko. – Jestem zmęęęęczona, Jere!

– Wiem. Z Molly sobie poradzisz, jest lekka. Ja wezmę jej babcię i moją matkę.

– Czemu? Po co to?

– Możliwe, że te gliny nas szukają. Tak mówił mój ojciec.

Spodziewał się, że zapyta, co w tym złego, że policja ich znajdzie, ale nie zapytała. Zaprowadził ją do sypialni – kobiety leżały na podwójnym łóżku; Molly była na puszystym ręczniku w sąsiedniej łazience. Wziął małą na ręce i podał ją Mary. Potem podniósł panią

Ransom; wydawała się cięższa, niż to pamiętał. Ale nie za ciężka, pomyślał i przypomniał sobie piosenkę, którą mama lubiła nucić, kiedy był mały: Po-odkreślaj pozytywy, e-eliminuj negatywy.

– I nie dbaj o to, co pomiędzy – mruknął, pewniej chwytając to, co zostało ze starszej pani.

– Hę? Że co?

– Nieważne.

Mary zaczęła wnosić Molly po drabinie, pomału, kroczek po kroczku. Jared (który wyobrażał sobie, że radiowóz już zajeżdża przed dom, że Rangle i Barrows właśnie patrzą na tabliczkę z napisem „Wejdź i sam zobacz" ustawioną na trawniku), naparł ramieniem na jej tyłek, kiedy zatrzymała się w połowie drogi. Obejrzała się.

– Trochę za bardzo się spoufalasz, Jared.

– To się pospiesz.

Jakoś zdołała się wgramolić na górę, nie upuszczając swego brzemienia na jego głowę. Jared wszedł za nią, zdyszany, i przecisnął panią Ransom przez otwór w suficie. Mary położyła Molly na nagich deskach strychu. Pomieszczenie ciągnęło się przez całą długość domu. Było niskie i mocno nagrzane.

– Zaraz wracam – rzucił Jared.

– Fajnie, ale jakoś nie bardzo mnie to obchodzi. Łeb mi pęka z gorąca.

Jared pospieszył z powrotem do głównej sypialni. Wziął w ramiona obrośnięte ciało Lili i poczuł ostrzegawcze strzyknięcie w kontuzjowanym kolanie. Zapomniał o mundurze mamy, jej ciężkich służbowych butach i pasie z wyposażeniem. Ile to wszystko dodaje kilogramów zdrowej, dobrze odżywionej kobiecie? Pięć? Dziesięć?

Zdołał dojść z nią do drabiny, spojrzał na strome szczeble i pomyślał: W życiu nie wniosę jej na górę. Nie ma szans.

Wtedy zabrzęczał dzwonek u drzwi, cztery wesołe, narastające, melodyjne dźwięki. Jared zaczął się wspinać, teraz już nie dysząc, tylko głośno zipiąc. Pokonał trzy czwarte wysokości i opadł z sił. Już się zastanawiał, jak tu zejść z powrotem, żeby nie upuścić mamy, kiedy z otworu nad nim wyłoniły się dwie szczupłe ręce

z rozpostartymi dłońmi. Dzięki Bogu… Jared wszedł dwa szczeble wyżej i Mary zdołała chwycić Lilę.

Wtedy z dołu dobiegł głos jednego z policjantów:

– Nawet nie są zamknięte. Drzwi stoją przed nami otworem. Wchodzimy.

Jared pchał. Mary ciągnęła. Wspólnymi siłami podnieśli Lilę nad otwór w suficie. Mary przewróciła się na plecy i ciało w kokonie wpadło do środka. Jared szarpnął górę drabiny ku sobie. Podniosła się i złożyła. Przytrzymał dłonią klapę, żeby nie trzasnęła przy zamykaniu.

Drugi policjant zawołał:

– Halo, jest tu kto?

– Myślisz, że baba w suczym worze ci odpowie? – spytał drugi i obaj się roześmiali.

Sucze wory?, pomyślał Jared. To tak je nazywacie? Gdybyście powiedzieli coś takiego przy mojej matce, skopałaby wam te burackie tyłki, aż by się wam zaklinowały między łopatkami.

Wciąż rozmawiali, ale ich głosy oddaliły się w stronę kuchni i Jared już nie mógł rozróżnić poszczególnych słów. Jego strach udzielił się Mary, mimo jej ogólnego otępienia. Objęła go ramionami; czuł zapach jej potu, dotyk jej policzka na swoim policzku.

Głosy wróciły i Jared telepatycznie posłał glinom rozkaz: Wyjdźcie! Widzicie, że nikogo tu nie ma, więc idźcie już sobie!

Mary szepnęła mu na ucho:

– W lodówce jest jedzenie, Jere. I w spiżarce. W koszu leży papierek, który tam wyrzuciłam. A jeśli…

Z łup-łup-łup ciężkich policyjnych buciorów gliny weszły po schodach na piętro. To źle. Nic jednak nie mówili o jedzeniu w lodówce ani o świeżo wyrzuconych śmieciach w koszu obok. A to dobrze. (Po-odkreślaj pozytywy). Zastanawiali się głośno, co by tu zjeść na lunch.

Na dole, po lewej stronie, jeden z policjantów – chyba Rangle – powiedział:

– Narzuta jest jakaś wygnieciona. Też masz takie wrażenie?

– Uhm – mruknął drugi. – Nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś tu mieszkał na dziko, ale myślę, że raczej przychodzą tu różni ludzie,

potencjalni nabywcy, i sobie na chwilę przysiadają, rozumiesz? Może nawet testują łóżko. Normalna rzecz.

Znowu kroki, tym razem wracające na korytarz. Łup-łup-łup. Nagle ucichły, a potem rozległy się bezpośrednio pod wejściem na strych. Mary mocniej objęła Jareda.

– Jeśli nas tu znajdą, aresztują nas, prawda? – szepnęła.

– Ciii – odszepnął Jared i pomyślał: Aresztowaliby nas, nawet gdybyśmy byli na dole. Tylko pewnie powiedzieliby, że to z troski o nasze bezpieczeństwo.

– Klapa w suficie – zauważył ten, który prawdopodobnie był Barrowsem. – Zajrzysz na strych czy ja mam to zrobić?

Nastąpiła chwila ciszy, która ciągnęła się w nieskończoność. Wreszcie ten, który zapewne był Rangle'em, odparł:

– Chcesz, to właź. Ale gdyby Lila i jej dzieciak zaszyli się w tym domu, to byliby tutaj, na dole. Jestem alergikiem, nie zamierzam wdychać kurzu.

– No ale mimo wszystko…

– Do roboty, kolego – zachęcił Rangle i drabina raptownie opadła. Przyćmione światło wlało się na strych. Gdyby owinięte kokonem ciało Lili leżało kilkanaście centymetrów bliżej otworu w suficie, byłoby doskonale widoczne z dołu. – I naciesz się duchotą. Założę się, że jest tam ze czterdzieści stopni.

– Jebać to – rzucił Barrows. – A przy okazji jebać ciebie i pchły twoje. Alergik, też coś. Chodź, spadamy stąd.

Drabina wsunęła się z powrotem, klapa zamknęła się z hukiem tak głośnym, że Jared drgnął, choć się go spodziewał. Łup-łup-łup policyjnych buciorów oddaliło się w dół schodów. Jared nasłuchiwał, wstrzymując oddech, kiedy policjanci stali w przedpokoju i jeszcze o czymś rozmawiali. Zniżonymi głosami. Dolatywały go tylko pojedyncze słowa i urywki zdań. Coś o Terrym Coombsie; coś o nowym zastępcy szeryfa nazwiskiem Geary; i znowu coś o lunchu.

Idźcie!, miał ochotę na nich krzyknąć. Idźcie, kurde, zanim się tu ugotujemy!

Wreszcie trzasnęły drzwi wejściowe. Jared wytężył słuch i czekał na dźwięk uruchamianego radiowozu, ale go nie usłyszał. Albo uszy mu nawalały od słuchania głośnej muzyki przez słuchawki, albo izolacja

strychu była za gruba. Policzył do stu, potem od stu do zera. Nie mógł dłużej czekać. Gorąco było nie do zniesienia.

– Chyba poszli – powiedział w końcu.

Mary milczała; uświadomił sobie, że już nie ściska go za szyję tak mocno jak przedtem. Dotąd był zbyt skoncentrowany, żeby to zauważyć. Kiedy się do niej odwrócił, jej ręce opadły bezwładnie i osunęła się na drewnianą podłogę.

– Mary. Mary! Nie zasypiaj!

Nie odpowiedziała. Jared pchnął klapę z całej siły. Nie baczył na huk, z jakim drabina uderzyła o twardą drewnianą posadzkę. Zapomniał o glinach. Teraz liczyła się dla niego Mary i tylko Mary. Może jeszcze nie jest za późno.

A jednak. Potrząsanie nic nie dało. Mary zasnęła w czasie, kiedy on nasłuchiwał, czy gliny nie wracają. Leżała obok Lili, jej delikatne rysy już znikały za białymi nitkami, które pracowicie przędły się z niczego.

– Nie… – szepnął Jared. – Tak bardzo się starała.

Przez pięć minut siedział i patrzył, jak kokon narasta, jak tka się nieubłaganie. A później zadzwonił do ojca.

Nic innego nie przyszło mu do głowy.

5 Tłum. Maciej Słomczyński.

ROZDZIAŁ 4

1

W świecie, który kobiety jakimś sposobem opuściły, Candy Meshaum mieszkała w domu na West Lavin, ulicy prowadzącej do więzienia. Stosowna lokalizacja, bo jej własny dom też był więzieniem. Tutaj, w nowym świecie, postanowiła zamieszkać z grupą innych kobiet, stałych uczestniczek Spotkań, w enklawie założonej w starym magazynie. Magazyn ten, podobnie jak Shopwell (i inaczej niż zdecydowana większość budynków w okolicy) pozostał praktycznie wolny od wilgoci, mimo Bóg raczy wiedzieć ilu lat nieużywania. Była to dwukondygnacyjna konstrukcja na planie litery L, ze schowkami ulokowanymi jeden na drugim, umiejscowiona na wylanym cementem placu otoczonym lasem. Schowki, zbudowane z twardych tworzyw sztucznych i włókna szklanego, okazały się tak wodoszczelne, jak obiecywała wyblakła tablica reklamowa na zewnątrz. Trawa i drzewa wdarły się na cementową nawierzchnię, liście zatkały rynny, ale przycięcie zarośli i odblokowanie odpływu wody nie przysporzyło żadnych trudności – i otwarte schowki, po usunięciu bezużytecznych pudeł z rzeczami dawnych właścicieli, stały się może nie pięknymi, ale na pewno wygodnymi mieszkaniami.

Chociaż Candy Meshaum zrobiła, co mogła, żeby swoje upiększyć, pomyślała Lila.

Obeszła schowek zalany naturalnym światłem, wpadającym przez otwarte drzwi. Pośrodku stało schludnie posłane łóżko, przykryte czerwoną kołdrą, która błyszczała w promieniach słońca. Na pozbawionej okien ścianie wisiał oprawiony pejzaż morski: czyste niebo, odcinek skalistego wybrzeża. Być może ocalał z rzeczy

poprzedniego właściciela. W kącie stało bujane krzesło, na podłodze obok niego był koszyk z włóczką, z której sterczały druty do robótek ręcznych. W drugim koszyku leżały pary wprawnie wydzierganych skarpet – dzieło gospodyni.

– Co sądzisz? – Coates została na zewnątrz, żeby zapalić. (Papierosy, zawinięte w folię i celofan, były kolejną z pamiątek przeszłości, które całkiem dobrze się zachowały). Naczelnik – była naczelnik – zapuściła długie włosy i pozwoliła im posiwieć. Rozsypane na jej wąskich ramionach, upodabniały ją do prorokini, która długo wędrowała po pustyni w poszukiwaniu swojego plemienia. Zdaniem Lili, w takich było jej do twarzy.

– Masz ładną fryzurę.

– Dzięki, ale miałam na myśli kobietę, która powinna tu być, a której nagle nie ma.

Candy Meshaum była jedną z czterech kobiet, które ostatnio zniknęły, licząc Essie. Lila przesłuchała mieszkanki sąsiednich schowków. Widziały, jak Candy wesoło bujała się na krześle i robiła na drutach, a dziesięć minut później już jej nie było. Mieszkała na piętrze magazynu, prawie na samym środku, nikt jednak nie widział, by wyszła. Owszem, mogła się niepostrzeżenie wymknąć, ale to mało prawdopodobne – była przy kości i mocno utykała.

Sąsiadki twierdziły, że Candy była wesoła i szczęśliwa. Jedna z nich, znająca ją przedtem, w starym świecie, użyła określenia „nowo narodzona”. Okazywała wielką dumę ze swoich robótek i ładnego, schludnie urządzonego mieszkanka. Według niektórych bez cienia ironii nazywała je mieszkaniem jej marzeń.

– Nie widzę nic rozstrzygającego. Nic, co chciałabym przedstawić w sądzie – powiedziała Lila. Domyślała się jednak, że Candy spotkał ten sam los, co Essie: w jednej sekundzie była, w następnej nie. Puf. Abrakadabra.

– Ta sama historia, prawda? – Janice patrzyła prosto na Essie, kiedy ta zniknęła; opowiadała, że zobaczyła mały błysk, nie większy niż płomyk zapalniczki, a potem nic. Puste miejsce, gdzie chwilę wcześniej była kobieta. Jej oczy nie wychwyciły żadnej przemiany, rozpadu czy jakie zjawisko tam wystąpiło. Stało się to za szybko dla ludzkiego oka. To było tak, stwierdziła naczelnik, jakby Essie zgasła

niczym wyłączona żarówka, tyle że nawet żarnik nie ściemnia się tak szybko.

– Możliwe – powiedziała Lila.

– Ona nie żyje – stwierdziła Janice. – Na tamtym świecie. Nie sądzisz?

Na ścianie nad bujanym krzesłem siedziała ćma. Lila wyciągnęła dłoń. Owad przyleciał i wylądował na paznokciu jej palca wskazującego. Lila poczuła słaby swąd spalenizny.

– Możliwe – powtórzyła. Ten „clintyzm" to wszystko, na co na razie miała odwagę. – Powinnyśmy wrócić i pożegnać dziewczyny.

– Zwariowany pomysł – mruknęła Janice. – Dość mamy roboty bez zwiedzania okolicy.

Lila się uśmiechnęła.

– Innymi słowy, żałujesz, że nie biorą cię ze sobą?

– Możliwe. – Była naczelnik Coates przedrzeźniła Lilę. – Jak mawia twój cholerny mąż.

Tu mnie masz, pomyślała Lila.

2

Na Main Street patrol szykował się do wyprawy poza granice Dooling. W jego skład wchodziło sześć kobiet, które miały pojechać dwoma wózkami golfowymi, wyładowanymi prowiantem i ekwipunkiem. Millie Olson, strażniczka z więzienia, na własną prośbę stanęła na czele ekspedycji. Do tej pory nikt nie wypuszczał się daleko poza miasto. Po niebie nie przelatywały samoloty ani helikoptery, w oddali nie płonęły ogniska, uruchomione radiostacje nie wychwytywały żadnych głosów w eterze. To umocniło Lili w przekonaniu, że świat, w którym się znalazły, jest w jakimś sensie niedokończony. Jakby był reprodukcją. Widoczkiem w kuli śnieżnej, tylko bez śniegu.

Kiedy ona i Janice przyszły, trwały ostatnie przygotowania do wymarszu. Była więźniarka nazwiskiem Nell Seeger siedziała w kucki przy jednym z wózków golfowych i nucąc pod nosem, sprawdzała

ciśnienie w oponach. Millie przeglądała zawartość tobołów załadowanych na przyczepę, upewniając się, że wszystko jest: śpiwory, liofilizowana żywność, czysta woda, ubrania, dwa zabawkowe walkie-talkie, w momencie znalezienia szczelnie zapakowane w plastik i – o dziwo – działające (jako tako), dwa karabiny, które własnoręcznie oczyściła Lila, apteczki. Atmosfera była radosna i ożywiona; kobiety śmiały się i przybijały piątki. Ktoś spytał Millie Olson, co zrobi, jeśli spotkają niedźwiedzia.

– Oswoję go – palnęła bez namysłu, nie podnosząc głowy znad toboła, w którym grzebała. To wywołało kolejną salwę śmiechu.

– Znałaś ją? – Lila zwróciła się do Janice. – Przedtem? – Stały w zimowych kurtkach na chodniku pod markizą. Z ich ust dobywała się para.

– Kurczę, byłam jej szefową.

– Chodzi mi o Candy Meshaum, nie o Millie.

– Jej nie znałam. A ty?

– Tak – powiedziała Lila.

– I?

– Była ofiarą przemocy domowej. Mąż ją bił. Regularnie. Dlatego kuśtykała. Facet był skończonym bydlakiem, mechanikiem, który tak naprawdę zarabiał na handlu bronią. Trzymał z Grinerami. Takie przynajmniej chodziły słuchy, dowodów nie mieliśmy. Tłukł ją swoimi narzędziami. Mieszkali na West Lavin, w rozpadającej się ruderze. Nie dziwię się, że nie próbowała wyremontować chałupy, nie byłoby sensu. Sąsiedzi nieraz nas do nich wzywali, słyszeli jej krzyki, ale nie chciała złożyć skargi. Bała się zemsty.

– Miała szczęście, że jej nie zabił.

– Myślę, że to zrobił.

Naczelnik spojrzała na Lilę spod zmrużonych powiek.

– Nie jestem pewna, czy rozumiem.

– Chodź ze mną.

Ruszyły niespiesznie po zniszczonym chodniku, przestępując zarośnięte chwastami szczeliny, omijając wyrwane kawały asfaltu. Naprzeciwko ruin ratusza znajdował się mały park, odratowany, wypielęgnowany i wysprzątany. Jedynym widocznym śladem upływu czasu był obalony pomnik jakiegoś dawno zmarłego dygnitarza.

Potężny konar wiązu – niechybnie zerwany w czasie burzy – strącił go z piedestału. Konar zabrano i pocięto, ale dygnitarz był tak ciężki, że na razie nikt nic z nim nie zrobił. Przewalił się pod ostrym kątem, jego cylinder wrył się w ziemię, buty sterczały w niebo: Lila widziała czasem, jak małe dziewczynki wbiegają po jego tyłku, śmiejąc się radośnie.

– Myślisz, że ten sukinsyn, jej mąż, spalił ją w kokonie – powiedziała Janice.

Lila nie odpowiedziała wprost.

– Czy któraś z dziewczyn wspomniała ci, że kręci się jej w głowie? Albo dostaje mdłości? Które atakują zupełnie znienacka i po paru godzinach przechodzą? – Samą Lilę to parę razy spotkało. Rita Coombs mówiła, że doświadczyła czegoś podobnego; pani Ransom i Molly też.

– Tak. Praktycznie wszystkie moje znajome się na to skarżą. To takie uczucie, jakby coś tobą obracało, chociaż stoisz w miejscu. Nie wiem, czy znasz Nadine Hicks, żonę mojego współpracownika z więzienia…

– Spotkałam ją na paru piknikach miejskich. – Lila zmarszczyła nos.

– Tak, praktycznie żadnego nie opuszcza. A nawet jeśli, nikt za nią nie tęskni, rozumiesz, co mam na myśli. W każdym razie Nadine twierdzi, że prawie bez przerwy ma zawroty głowy.

– Dobrze, miej to na uwadze. Teraz pomyśl o masowych podpaleniach. Wiesz, o co chodzi?

– Nie z pierwszej ręki. Przeniosłam się tu dość wcześnie, podobnie jak ty. Ale słyszałam, jak nowe mówiły, że widziały w wiadomościach mężczyzn podpalających kobiety w kokonach.

– No właśnie.

– Aha. – Janice zaczynała rozumieć. – Oż cholera…

– Oż cholera, w rzeczy samej. Początkowo myślałam… miałam nadzieję… że nowym coś się pomyliło. Długo nie spały, to raz, do tego były w szoku, może więc zobaczyły w telewizji coś, co wzięły za podpalanie kokonów, a co faktycznie było czymś zupełnie innym. – Lila zaczerpnęła haust późnojesiennego powietrza. Było tak rześkie i czyste, że wdychając je, czuła się wyższa. Żadnego smrodu spalin. Żadnych ciężarówek z węglem. – To taki wyrobiony odruch: jeśli

kobieta coś mówi, trzeba w to powątpiewać. Znaleźć pretekst, żeby nie uwierzyć jej na słowo. Mężczyźni tak robią… ale my też. Nawet ja.

– Jesteś dla siebie zbyt surowa.

– I przewidywałam, że tak się to skończy. Rozmawiałam o tym z Terrym Coombsem na starym świecie, nie więcej niż trzy–cztery godziny przed zaśnięciem. Kobiety reagowały na rozdarcie kokonów. Były niebezpieczne. Stawiały opór. Zabijały. Nie dziwi mnie, że wielu mężczyzn mogło uznać to za szansę dla siebie, zagrożenie, któremu należy zapobiec, albo pretekst do podpalenia kilku osób, jakiego zawsze szukali.

Janice uśmiechnęła się krzywo.

– A to mnie zarzucają, że nie mam zbyt wysokiego mniemania o gatunku ludzkim.

– Ktoś spalił Essie, Janice. Tam, na naszym świecie. Nie wiadomo kto. I ktoś spalił Candy Meshaum. Może mężulo się wkurzył, że worek treningowy mu zasnął? Gdybym tam była, jego przesłuchałabym w pierwszej kolejności. – Lila usiadła na obalonym pomniku. – A zawroty głowy? Jestem prawie pewna, że to też skutek tego, co się dzieje na tamtym świecie. Ktoś nas przenosi z miejsca na miejsce. Jakbyśmy były meblami. Essie, zanim spłonęła, była w podłym nastroju. Domyślam się, że ktoś ją przesunął przed podpaleniem i to właśnie zawroty głowy popsuły jej humor.

– Ja jestem prawie pewna, że posadziłaś tyłek na pierwszym burmistrzu Dooling – powiedziała Janice.

– Wytrzyma. Miał kogoś, kto mu prał bieliznę. Od tej pory to będzie nasza trybuna honorowa. – Lila zdała sobie sprawę, że jest wściekła. Co takiego zrobiły Essie i Candy Meshaum poza tym, że zaznały w swoim koszmarnym życiu kilku miesięcy szczęścia? Szczęścia, do którego wystarczyły trzy lalki i przerobiony schowek magazynowy bez okien.

A mimo to mężczyźni je spalili. Była tego pewna. Tak zakończyła się ich historia. Kiedy umierasz tam, umierasz też tutaj. Mężczyźni wyrwali je ze świata – z dwóch światów. Mężczyźni. Wyglądało na to, że nigdzie nie ma od nich ucieczki.

Janice jakby czytała jej w myślach… a może, co bardziej prawdopodobne, w twarzy.

– Mój mąż, Archie, był porządnym człowiekiem – powiedziała. – Wspierał mnie we wszystkim.

– Tak, ale umarł młodo. Może zmieniłabyś zdanie, gdyby pożył dłużej. – To zabrzmiało okropnie, ale Lila nie żałowała swoich słów. Nie wiedzieć czemu, przypomniało się jej stare powiedzenie amiszów: Pocałunek przemija, gotowanie zostaje. To samo można powiedzieć o wielu elementach stanu małżeńskiego. Uczciwości. Szacunku. Nawet zwykłej życzliwości.

Coates nie wyglądała na dotkniętą.

– Clint był aż tak złym mężem?

– Na pewno lepszym od męża Candy Meshaum.

– Nisko zawieszona poprzeczka. Nieważne. Posiedzę tu sobie i z łezką w oku powspominam męża, który miał dość przyzwoitości, żeby wyciągnąć kopyta, zanim stał się gnojkiem.

Lila odchyliła głowę.

– Toś mi dowaliła. Cóż, sama się prosiłam. – Był kolejny słoneczny dzień, ale od północy nadciągały ciężkie szare chmury.

– No to jak? Był aż tak złym mężem?

– Nie. Clint był dobrym mężem. I dobrym ojcem. Robił, co do niego należało. Kochał mnie. W to nigdy nie wątpiłam. Były jednak sprawy, które przede mną ukrywał. Fakty, których nie powinnam być zmuszona poznać we wstydliwych dla mnie okolicznościach. Pięknie mówił o otwartości i wzajemnym wsparciu, gadał o tym i gadał, ale kiedy zajrzeć głębiej, był typowym kowbojem z reklamy Marlboro. W moim przekonaniu to gorsze od kłamstwa. Kiedy ktoś cię okłamuje, to znaczy, że przynajmniej ma dla ciebie trochę szacunku. Jestem prawie pewna, że dźwigał spory bagaż, bardzo ciężki bagaż, i sądził, że jestem zbyt delikatna, żeby mu w tym pomóc. A ja wolę być okłamywana niż traktowana protekcjonalnie.

– Co masz na myśli, mówiąc o bagażu?

– Wychowywał się w trudnych warunkach. Myślę, że w dzieciństwie musiał walczyć o przetrwanie. Dosłownie. Nieraz widziałam, jak pociera knykcie, kiedy jest zamyślony albo zdenerwowany. Ale nigdy o tym nie mówił. Kiedy pytałam, zmieniał się w kowboja z reklamy

Marlboro. – Lila zerknęła na Coates, dostrzegła na jej twarzy coś jakby zmieszanie. – Wiesz, o czym mówię, prawda? Poznałaś go na tyle dobrze, żeby to zauważyć.

– Chyba tak. Clint ma… drugie oblicze. Twardsze. Bardziej gniewne. Dopiero niedawno wyraźnie to zobaczyłam.

– To mnie wkurza. Ale wiesz, co jest gorsze? Przez to czuję się taka… sama nie wiem, zniechęcona.

Janice zeskrobywała gałązką skorupę błota z twarzy posągu.

– Fakt, to może człowieka zniechęcić.

Wózki golfowe ruszyły, ciągnąc za sobą małe, przykryte plandekami przyczepy. Zniknęły z pola widzenia, ukazały się znów na parę minut w miejscu, gdzie droga pięła się pod górę, po czym Lila i Janice na dobre straciły je z oczu.

Przeszły do innych tematów: trwających remontów domów na Smith; dwóch pięknych koni, które zostały schwytane i przyuczone – być może ponownie – do chodzenia pod siodłem; i cudu, który, według zapewnień Magdy Dubcek i dwóch byłych więźniarek, lada dzień ma się stać rzeczywistością. Jeśli tylko uda się uzyskać więcej mocy, zainstalować więcej paneli słonecznych, istniała szansa, że z kranów popłynie czysta woda. Instalacja wodno-kanalizacyjna, amerykańskie marzenie.

Zanim tematy im się wyczerpały, zapadł zmierzch. Ich wymiany myśli nie zakłóciła już żadna wzmianka o Clincie, Jaredzie, Archiem, mężu Candy Meshaum, Jezusie Chrystusie ani jakimkolwiek innym mężczyźnie.

3

Nie rozmawiały o Evie, ale Lila o niej nie zapomniała. Nie zapomniała momentu, wiele na to wskazywało, nieprzypadkowego pojawienia się Eve Black w Dooling, jej niewytłumaczalnej wiedzy ani obrośniętych pajęczynami śladów w lesie nieopodal przyczepy Trumana Mayweathera. Nie zapomniała też, dokąd doprowadziły ją te ślady – do niezwykłego drzewa, pnącego się ku niebu na

niezliczonych korzeniach i splecionych pniach. Pamiętała też zwierzęta, które tam zobaczyła – białego tygrysa, węża, pawia i lisa.

Często stawał jej przed oczami obraz jego powykręcanych korzeni, owijających się wokół siebie jak sznurówki tenisówek olbrzyma. Było tak doskonałe, tak majestatyczne, tak słuszne w swoim zamyśle.

Czy Evie zrodziła się z Drzewa? A może Drzewo zrodziło się z Evie? I czy kobiety z Naszego Miejsca są śniącymi czy śnionymi?

4

Lodowaty deszcz bombardował Nasze Miejsce przez dwie doby, łamiąc gałęzie drzew, lejąc zimną breję przez dziury w dachach, pokrywając ulice i chodniki brudnymi kałużami. Lila, wyciągnięta w swoim namiocie, od czasu do czasu odkładała książkę, żeby kopaniem w ściany rozkruszać zamarzniętą powłokę, która tworzyła się na winylu. Pękała z brzękiem tłuczonego szkła.

Przedtem, po tamtej stronie, przerzuciła się z książek papierowych na elektroniczne, nie przypuszczając, że świat legnie w gruzach i takie rzeczy staną się przeżytkiem. Książki jednak zachowały się w jej domu, kilka nawet nie obrosło pleśnią. Kiedy skończyła ostatnio czytaną, poszła po następną do ruin domu. Myśl, że miałaby w nim zamieszkać, była zbyt przygnębiająca – przywoływała za wiele wspomnień o synu i mężu – ale nie mogła się przemóc, żeby się od niego oddalić.

Strugi wody spływające po ścianach wewnętrznych błyszczały w świetle jej latarki na korbkę. Deszcz szumiał jak wzburzone morze. Lila wzięła wilgotny kryminał z regału w głębi salonu i ruszyła z powrotem. Snop światła padł na dziwny świstek koloru papirusu leżący na przegniłym siedzisku stołka przy kuchennym blacie. Lila podniosła go. To była wiadomość od Antona: namiary na jego znajomego speca od drzew, który miał się zająć chorymi na grafiozę wiązami za domem.

Długo wpatrywała się w liścik, oszołomiona nagłą bliskością tamtego życia – jej prawdziwego życia? poprzedniego życia? – która

pojawiła się jak dziecko wyskakujące na ulicę spomiędzy zaparkowanych samochodów.

5

Tydzień po wymarszu ekspedycji Celia Frode wróciła pieszo, ochlapana błotem od stóp do głów. Była sama.

6

Celia powiedziała, że między zakładem karnym w Dooling a sąsiednim miasteczkiem Maylock drogi stały się nieprzejezdne; uczestniczki wyprawy usuwały jedno przewrócone drzewo tylko po to, by kilka metrów dalej natknąć się na następne. Łatwiej było zostawić wózki golfowe i iść pieszo.

W Maylock nie zastały żywej duszy ani najmniejszych śladów życia. Budynki i domy wyglądały jak te w Dooling – zarośnięte, mniej lub bardziej zniszczone, kilka spalonych – a strumień Dorr's Hollow zmienił się w wezbraną rzekę z mieliznami z zatopionych samochodów. Droga, która biegła jego brzegiem, zapadła się. Pewnie wtedy powinny były zawrócić, przyznała Celia. W spożywczym i innych sklepach w Maylock znalazły sporo przydatnych rzeczy. Przypomniało im się jednak, że w miasteczku Eagle, kilkanaście kilometrów dalej, jest kino, i pomyślały, że sprawiłyby frajdę dzieciom, gdyby przyniosły stamtąd projektor i filmy. Magda zapewniła je, że ich potężny generator podołałby takiemu wyzwaniu.

– Leciały jeszcze te nowe *Gwiezdne wojny* – powiedziała Celia i dodała cierpko: – Wie pani komendant, ta część, w której to dziewczyna jest główną bohaterką.

Lila nie poprosiła, żeby nie nazywała jej „panią komendant". Jak się okazuje, nadzwyczaj trudno przestać być gliną.

– Mów dalej, Celia.

Ekspedycja przeprawiła się po ocalałym moście na drugi brzeg Dorr's Hollow i dalej ruszyła górską drogą o nazwie Lion Head Way, uznając, że tamtędy będzie najbliżej do Eagle. Na mapie, którą ze sobą miały – pożyczonej ze szczątków biblioteki publicznej w Dooling – zaznaczona była stara, nienazwana droga kopalniana, odbijająca w bok blisko szczytu góry. Mogły nią dojść do autostrady, a dalej byłoby już łatwo. Mapa jednak okazała się nieaktualna. Lion Head Way teraz kończyła się na płaskowyżu, na którym wznosił się ponury zakład odosobnienia dla mężczyzn, znany jako więzienie Lion Head. Droga kopalniana, którą spodziewały się znaleźć, została zaorana w czasie budowy więzienia.

Ponieważ zrobiło się późno, postanowiły nie schodzić po ciemku wąską, zniszczoną, stromą drogą z powrotem na dół, tylko rozbić obóz przy więzieniu i wyruszyć rano.

Lila aż za dobrze znała więzienie Lion Head; był to zakład o zaostrzonym rygorze, w którym, jak kiedyś przewidywała, bracia Grinerowie mieli spędzić co najmniej dwadzieścia pięć lat życia.

Janice Coates, też przysłuchująca się relacji Celii, zwięźle wyraziła swoje zdanie na temat Lion Head:

– Paskudne miejsce.

O Head, jak nazywali zakład osadzeni w nim więźniowie, było głośno przed pojawieniem się aurory. Uchodził za jeden z nielicznych przykładów udanej rekultywacji terenów pokopalnianych. Kiedy Ulysses Energy Solutions skończyło karczować las i wysadzać w powietrze wierzchołek góry, żeby dobrać się do skrytego pod nim węgla, pokruszone skały zostały wydobyte na powierzchnię i wyrównane. Propagowano wtedy ideę, że zamiast uważać tak wyeksploatowane szczyty górskie za „zniszczone", opinia publiczna powinna je uznać za „otwarte do zagospodarowania". Świeżo wyrównana ziemia to ziemia, na której można stawiać nowe budynki. Chociaż większość mieszkańców stanu popierała przemysł węglowy, tylko nieliczni dali się nabrać na ten bełkot. Cudownie użyteczne nowe płaskowyże zazwyczaj znajdowały się na pustkowiach, często w pobliżu zbiorników ścieków i odpadów, a o takim sąsiedztwie mało kto marzył.

Teren rekultywowany był jednak idealnym miejscem pod budowę więzienia. I nikt nie przywiązywał szczególnej wagi do zagrożeń ekologicznych, na jakie narażeni mogli być potencjalni lokatorzy. Tak doszło do tego, że na szczycie Lion Head powstało więzienie o zaostrzonym rygorze.

Brama więzienna, powiedziała Celia, była otwarta, drzwi wejściowe też. Ona, Millie, Nell Seeger i reszta weszły do środka. Większość uczestniczek ekspedycji z Naszego Miejsca stanowiły byłe więźniarki i pracownice zakładu w Dooling, ciekawiło je więc, jak żyła druga połowa. Warunki w sumie były całkiem przyzwoite. Chociaż dawno niewietrzone wnętrze śmierdziało stęchlizną, a podłogi i ściany miejscami popękały, budynek był suchy; wyposażenie każdej celi wyglądało jak nowe.

– Przeżyłyśmy lekkie déjà vu – skwitowała Celia. – Ale poniekąd było to też zabawne.

Ich ostatnia noc upłynęła spokojnie. Rano Celia zeszła kawałek w dół zbocza, szukając skrótu, ścieżki, która pozwoliłaby uniknąć długiego marszu okrężną trasą do Eagle. Ku jej zaskoczeniu ktoś wywołał ją przez zabawkową krótkofalówkę.

– Celia! Chyba kogoś widzimy! – To była Nell.

– Co? – odparła Celia. – Powtórz?

– Jesteśmy w środku! W więzieniu! Okienka na końcu odpowiednika Broadwayu są zaparowane, ale w jednej z izolatek jest kobieta! Leży przykryta żółtym kocem! Chyba się rusza! Millie szuka sposobu, żeby otworzyć drzwi, są zamykane elektrycznie, a nie ma prądu, więc… – Połączenie się urwało.

Celię wystraszył donośny grzmot. Ziemia potężnie zadudniła pod jej nogami. Rozłożyła ręce, próbując złapać równowagę. Zabawkowa krótkofalówka wyleciała jej z dłoni i roztrzaskała się o ziemię.

Paliło ją w płucach, nogi jej drżały, kiedy wróciła na szczyt drogi i przeszła przez więzienną bramę. Pył sypał się na ziemię jak śnieg; musiała zasłonić usta, żeby się nie udusić. To, co zobaczyła, trudno było zrozumieć, a jeszcze trudniej przyjąć do wiadomości. Powierzchnia płaskowyżu była zniszczona, wypiętrzyła się w uskokach jak po trzęsieniu ziemi. Powietrze wypełniały kłęby kurzu. Celia kilka razy upadała na kolana i z oczami zwężonymi

w wąskie szparki macała wokół w poszukiwaniu oparcia. Z mgły stopniowo wyłonił się prostokątny kształt piętrowego biura przyjęć – i nic poza tym. Ani podłoża, ani więzienia. Cała ta część płaskowyżu zapadła się i runęła w przepaść. Zakład o zaostrzonym rygorze zjechał z tylnego zbocza góry jak wielkie kamienne dziecko ze zjeżdżalni. Biuro przyjęć zmieniło się w dekorację filmową – tylko fasada, za nią pustka.

Celia nie odważyła się podejść na samą krawędź urwiska, żeby spojrzeć w dół, ale w przepaści dostrzegła gruzy: potężne cementowe bloki, zatopione w grzęzawisku drobinek kurzu u stóp góry.

– Wróciłam więc sama – powiedziała na koniec. – Najszybciej, jak mogłam.

Wciągnęła powietrze i podrapała się w kawałek czystej skóry na ubłoconym policzku. Słuchaczki, tuzin kobiet, które na wieść o powrocie Celii pospieszyły na miejsce Spotkań w Shopwellu, milczały. Zrozumiały, że reszta uczestniczek ekspedycji nie wróci.

– Kiedyś czytałam, że były jakieś kontrowersje w związku z gruntem pod tym przerośniętym więzieniem – odezwała się Janice. – Coś o tym, że ziemia była za miękka, żeby dźwigać taki ciężar. Mówiło się, że spółka węglowa w ramach oszczędności nie ubiła jej jak należy. Władze stanowe miały się temu przyjrzeć…

Celia wypuściła powietrze z przeciągłym westchnieniem i podjęła w zamyśleniu:

– Miałyśmy z Nell luźny związek. Nie spodziewałam się, że na wolności przetrwa. – Pociągnęła nosem, tylko raz. – Pewnie więc nie powinno być mi aż tak smutno, ale prawda jest taka, że smutno mi jak diabli.

Zapadła cisza.

– Muszę tam pójść – powiedziała wreszcie Lila.

– Potrzebujesz towarzystwa? – spytała Tiffany Jones.

„To głupi pomysł”, powiedziała Coates.

– Cholernie głupi, Lila. Zachciało się wam zabaw w lawinie. – Odprowadziła Lilę i Tiffany Jones aż do Ball’s Hill Road. Dwie uczestniczki nowej wyprawy prowadziły dwa konie.

– Nie będziemy się bawić w lawinie – odparła Lila. – Będziemy się bawić w zniszczonym przez lawinę budynku.

– I sprawdzimy, czy ktoś przeżył – dodała Tiffany.

– Żartujesz? – Zmarznięty nos Janice był czerwony jak burak. Coraz bardziej upodabniała się do wieszczki, siwe włosy rozwiewały się za nią, kościste policzki płonęły jak flary ratunkowe. Brakowało tylko sękatego kostura i drapieżnego ptaka na ramieniu. – Spadły w przepaść i wylądowało na nich więzienie. Nie żyją. A jeśli rzeczywiście widziały tam jakąś kobietę, to ona też nie miała szans.

– Wiem – powiedziała Lila. – Ale jeśli ją widziały, to znaczy, że kobiety przetrwały nie tylko w Dooling. Zdobyć pewność, że nie jesteśmy same na tym świecie, Janice… to byłaby duża sprawa.

– Nie umrzyjcie! – zawołała naczelnik, kiedy zaczęły wjeżdżać na Ball’s Hill.

– Nie planujemy! – odkrzyknęła Lila.

Odpowiedź Tiffany Jones była bardziej zdecydowana:

– Nie umrzemy.

8

Tiffany jeździła konno przez całą wczesną młodość. Jej rodzina miała sad jabłkowy z placem zabaw, kozami, które goście mogli karmić, budką z hot dogami i zagrodą dla kucyków.

– Jeździłam, kiedy tylko mogłam, ale… były pewne rodzinne sprawy, takie, że tak powiem, minusy. To nie tak, że kucyki były całym moim życiem. Zaczęłam trochę rozrabiać i odwykłam od siodła.

To, że Tiffany rozrabiała, nie było dla Lili żadną tajemnicą, bądź co bądź niejeden raz osobiście ją aresztowała. Tamta Tiffany Jones miała jednak zadziwiająco mało wspólnego z tą. Kobieta, która

jechała na masywnym dereszu obok mniejszej białej klaczy Lili, była amazonką o pełnej twarzy i kasztanowych włosach, w białym kowbojskim kapeluszu, jakiego nie powstydziłby się ranczer z westernu Johna Forda. Spokojna i opanowana, w niczym nie przypominała wyniszczonej narkomanki, którą Truman Mayweather regularnie tłukł w przyczepie mieszkalnej obok wytwórni metamfetaminy tak dawno temu, tak daleko stąd.

I była w ciąży. Lila słyszała, jak Tiffany wspomniała o tym na Spotkaniu. Pomyślała wtedy, że to między innymi dlatego wygląda tak kwitnąco.

Zapadał zmierzch. Wkrótce będą musiały zatrzymać się na noc. W odległości paru kilometrów widać było Maylock, pogrążone w półmroku skupisko ciemnych budynków. Poprzednia ekspedycja dotarła tam i nie znalazła nikogo, mężczyzn ani kobiet. Wyglądało na to, że ludzie żyją tylko w Dooling. No, chyba że w męskim więzieniu naprawdę była kobieta.

– Z tego, co widzę, całkiem nieźle sobie radzisz – powiedziała ostrożnie Lila i dodała: – Ostatnio.

Tiffany zaśmiała się serdecznie.

– Życie pozagrobowe oczyszcza umysł. Nie ciągnie mnie do narkotyków, jeśli do tego zmierzasz.

– Myślisz, że tym jest ten świat? Zaświatami?

– Raczej nie – powiedziała Tiffany i na tym zakończyła rozmowę.

Do tematu wróciła, dopiero kiedy już leżały w śpiworach wewnątrz zniszczonego budynku stacji benzynowej, która była opuszczona także w starym świecie.

– To znaczy zaświaty to niebo albo piekło, zgadza się? – spytała. Przez szyby okien widziały swoje konie uwiązane do starych dystrybutorów. Ich sierść połyskiwała w blasku księżyca.

– Nie jestem religijna – powiedziała Lila.

– Ja też nie – odparła Tiffany. – Zresztą nie ma wśród nas aniołów ani diabłów, więc bądź tu mądra. Ale ten świat jest swoistym cudem, zgodzisz się?

Lila pomyślała o Jessice i Rogerze Elwayach. Ich dziecko, Platinum, rosło jak na drożdżach, już żwawo raczkowało. (Córka Elaine Nutting, Nana, pokochała Plat – brzydki przydomek, ale używali go

wszyscy, mała kiedyś pewnie ich za to znienawidzi – i woziła ją wszędzie w zardzewiałym wózku). Pomyślała o Essie i Candy. Pomyślała o mężu, synu i o całym jej życiu, które już nie było jej życiem.

– Swoistym, owszem – powiedziała. – Chyba tak.

– Przepraszam. Cud to złe słowo. Chcę tylko powiedzieć, że nie najgorzej nam się układa, nie? Czyli to nie może być piekło, prawda? Nie biorę. Dobrze się czuję. Mam te piękne konie, co kiedyś nie przyśniłoby mi się w najśmielszych snach. Ktoś taki jak ja miałby się zajmować takimi zwierzętami? W życiu. – Tiffany się zasępiła. – Mówię tak, jakbym to ja była najważniejsza, co? Wiem, że dużo straciłaś. Wiem, że prawie wszystkie tutaj dużo straciłyśmy. Ja po prostu nie miałam nic do stracenia.

– Cieszę się, że jest ci tu dobrze – powiedziała Lili. I mówiła prawdę. Tiffany Jones zawsze zasługiwała na lepszy los.

9

Ominęły Maylock i pojechały brzegiem wezbranego Dorr's Hollow. Sfora psów obserwowała je z pagórka w lesie. Było ich sześć, może siedem, owczarki i labradory, wystawiały języki, z ich pysków buchała para. Lila wyciągnęła pistolet. Jej biała klacz rzuciła łbem i zmieniła krok.

– Nie, nie. – Tiffany wyciągnęła rękę w bok i musnęła ucho klaczy. Jej głos był cichy, ale zdecydowany, nie pieszczotliwy. – Lila nie będzie strzelała.

– Nie będę? – Lila już upatrzyła sobie psa stojącego w środku sfory. Miał zjeżoną, buroczarną sierść. Jego ślepia były różnokolorowe, jedno niebieskie, drugie żółte, pysk wydawał się niespotykanie potężny. Lila nie była typem człowieka o przesadnie bujnej wyobraźni, sądziła jednak, że to zwierzę ma wściekliznę.

– Oczywiście, że nie. One chcą nas gonić. My jednak tylko robimy swoje. Nie chcemy się z nimi ścigać. Jedziemy sobie i tyle. – Głos Tiffany był lekki i pewny. Lila sądziła, że jej towarzyszka jest

przekonana, że wie, co robi; co nie znaczy, że rzeczywiście to wiedziała. Niespiesznie jechały dalej przez zarośla. Psy nie ruszyły za nimi.

– Miałaś rację – powiedziała później Lila. – Dzięki.

Tiffany odparła, że nie ma sprawy.

– Nie zrobiłam tego dla ciebie – dodała. – Bez urazy, ale nie pozwolę, żebyś straszyła moje konie.

10

Przeprawiły się na drugi brzeg rzeki i zamiast skręcić na drogę, którą poprzednia ekspedycja wspięła się na szczyt, ruszyły wzdłuż podnóża góry. Konie zeszły do zalesionej doliny oddzielającej szczątki Lion Head po lewej od poszarpanego, pochyłego urwiska po prawej; na nim spomiędzy skał i zarośli wyłaniały się płaty żółtobrunatnej gliny. Wszechobecny metaliczny zapach drapał w gardło. Grudki ziemi staczały się w dół, porywając ze sobą kamienie, których turkot odbijał się zdecydowanie za głośnym echem od ścian doliny.

Uwiązały konie kilkaset metrów od ruin więzienia i resztę drogi pokonały pieszo.

– Nietutejsza kobieta – powiedziała Tiffany. – To byłoby coś, nie?

– Tak – potwierdziła Lila. – A jeszcze lepiej, gdyby się okazało, że choć część naszych przeżyła.

Fragmenty murów, niektóre rozmiarów wozów przeprowadzkowych, wbiły się w tylną ścianę Lion Head i sterczały z niej jak ogromne cenotafy. Chociaż na oko trzymały się pewnie, Lila bez trudu mogła sobie wyobrazić, jak spadają pod własnym ciężarem prosto na stertę gruzu.

Główna część więzienia wylądowała na dnie doliny i zapadła się w sobie, tworząc coś w rodzaju piramidy. W pewnym sensie imponujące było to, jak duża część budynku przetrwała zjazd po górskim zboczu – przerażała też łatwość, z jaką wciąż można było się doszukać jego pierwotnego kształtu; jakby oglądać domek dla lalek rozwalony przez łobuza. Najeżone ostrymi krawędziami stalowe

dzidy sterczały z cementu, oplecione korzeniami masywne bryły ziemi osiadły na częściach gruzowiska. Na obrzeżach tej nieplanowanej nowej konstrukcji powstały poszarpane szczeliny, przez które widać było czarne wnętrze. Wszędzie leżały pogruchotane drzewa, sześcio-, dziesięciometrowe okazy, roztrzaskane w drzazgi.

Lila nałożyła maskę chirurgiczną.

– Zostań tu, Tiffany.

– Pójdę z tobą. Nie boję się. Daj mi też. – Wyciągnęła rękę po maskę.

– Wiem, że się nie boisz. Po prostu chcę, żeby ktoś mógł wrócić do miasta, jeśli ta ruina się na mnie zwali. No i ty doglądasz koni, a ja jestem tylko byłym gliną. Poza tym obie wiemy, że żyjesz za dwoje.

Lila zatrzymała się przy najbliższym otworze, żeby jej pomachać. Tiffany nie zauważyła; poszła do koni.

11

Szpady światła wbite w pogruchotany beton wnikały do wnętrza więzienia. Lila szła po ścianie, stawiając nogi na zamkniętych stalowych drzwiach cel. Wszystko przekręciło się o dziewięćdziesiąt stopni. Sufit był po jej prawej. Jego funkcję przejęła ściana, którą normalnie miałaby po lewej, ścianę z kolei zastąpiła podłoga. Lila musiała schylić głowę, żeby prześliznąć się pod otwartymi drzwiami celi, które zwisały jak klapka w pułapce. Słyszała odgłosy cykania i kapania. Kamień i szkło chrzęściły pod jej butami.

Dalszą drogę zatarasowała zbita masa skał, połamanych rur i kawałków izolacji. Lila poświeciła latarką dookoła. Na ścianie nad głową zobaczyła wymalowany od szablonu napis: „Poziom A”. Wróciła do zwisających drzwi. Podskoczyła, chwyciła framugę i wciągnęła się do celi. W ścianie za wiszącymi drzwiami powstał otwór. Podeszła do niego ostrożnie. Kucnęła i przecisnęła się na drugą stronę. Zęby popękanego betonu zaczepiły o tył jej koszuli, rozrywając materiał.

Usłyszała w głowie głos Clinta, pytający, czy aby – ja tylko pytam, proszę, nie myśl, że czynię ci wyrzuty – nie powinna się zastanowić, czy warto podejmować takie ryzyko?

Rozważmy to, dobrze, Lila? Ryzyko polega na tym, że chodzisz po niestabilnych ruinach u stóp niestabilnej góry. W dodatku na zewnątrz są dzikie – sądząc z wyglądu, także oszalałe – psy i ciężarna narkomanka czekająca, albo i nie, przy koniach. A ty masz – powtarzam, to nie krytyka, tylko zwykłe stwierdzenie faktów, kochanie – czterdzieści pięć lat. Wszyscy wiedzą, że dla kobiety optymalny wiek do chodzenia po niestabilnych, grożących zawaleniem ruinach to osiemnaście, góra dwadzieścia kilka lat. Nie mieścisz się w tym przedziale. Stąd wniosek, że narażasz się na śmierć, straszną śmierć lub niewyobrażalnie straszną śmierć.

W następnej celi musiała się przegramolić przez poobijany stalowy sedes, a potem wsunąć w kolejny otwór w podłodze, która do niedawna była prawą ścianą. Kostka dziwnie jej się wygięła przy lądowaniu i Lila wyrzuciła rękę w bok, szukając oparcia. Coś metalowego rozcięło jej dłoń.

Rana była głęboka, krwawa. Przydałby się szew, może dwa. Powinna wrócić po maść i bandaż z apteczki, którą ze sobą przywiozły.

Zamiast tego oderwała kawałek materiału od koszuli i owinęła nim dłoń. W świetle latarki odnalazła kolejny napis wymalowany od szablonu: „Skrzydło specjalne”. Dobrze. Gdzieś tu musiały widzieć tę kobietę. Jeden minus: główny korytarz był nad głową Lili, zmienił się w szyb idący pionowo w górę. Minus drugi, znacznie większy: w przechylonym kącie leżała noga obcięta parę centymetrów nad kolanem. Okrywał ją zielony sztruks. Nell Seeger była w zielonych sztruksach, kiedy ekspedycja wyruszyła do Eagle.

– Nie powiem o tym Tiff – stwierdziła Lila. Dźwięk własnego głosu zaskoczył ją, a zarazem dodał jej otuchy. – To nic by nie dało.

Skierowała snop światła w górę. Skrzydło specjalne Lion Head przeobraziło się w szeroki komin. Poświeciła na boki, szukając sposobu, żeby tam wejść, i chyba znalazła. Sufit skrzydła był podwieszany, kasetonowy; wszystkie panele wypadły w czasie

lawiny, ale stalowy szkielet pozostał nietknięty. Przypominał treliaż. Albo drabinę.

Głos Clinta: I co w ten sposób zyskasz? Może kogoś znajdziesz. Może. Ale bądź ze sobą szczera. Wiesz, że ta ruina jest pusta jak reszta świata. Nie znajdziesz tu nic oprócz ciał kobiet, które wyruszyły razem z Nell. Ta jedna obcięta noga reprezentuje los ich wszystkich. Gdyby w świecie, który nazywacie Naszym Miejscem, żyły inne kobiety, przez ten czas dałyby jakiś znak. Przynajmniej zostawiłyby ślady. Co właściwie masz do udowodnienia? Że kobiety też mogą być kowbojami z reklamy Marlboro?

Wyglądało na to, że nawet w jej wyobraźni nie mógł po prostu powiedzieć, że się o nią boi. Nie potrafił przestać traktować jej jak jedną ze swoich podopiecznych, musiał rzucać naprowadzające pytania niczym piłkę w zbijaku na szkolnym boisku.

– Idź sobie, Clint – powiedziała.

Zniknął. Cud nad cudami.

Wyciągnęła rękę w górę i chwyciła najniższą poprzeczkę szkieletu sufitu. Ugięła się, ale nie pękła. Dłoń zaprotestowała bólem, krew wyciekała bokami spod prowizorycznego bandaża – ale Lila nie zwolniła uchwytu. Podciągnęła się. Poprzeczka znów się ugięła – i wytrzymała. Sięgnęła nad głowę, podciągnęła się znowu, postawiła nogę. Zaczęła piąć się po szkielecie sufitu jak po drabinie. Ilekroć znajdowała się na wysokości drzwi celi, przytrzymywała się poprzeczki zdrową lewą ręką i wychylała w bok, z latarką w rannej prawej dłoni. Przez zbrojoną szybę u szczytu drzwi pierwszej celi nie zobaczyła żadnej kobiety, w drugiej i trzeciej też nie; tylko ramy łóżek sterczące ze ścian, które do niedawna były podłogami. Dłoń pulsowała bólem. Krew ściekała pod rękaw. W czwartej celi nic. Teraz musiała odpocząć, ale nie za długo, a już na pewno nie wolno jej było spojrzeć w dół, w ciemność. Czy jest jakaś sztuczka ułatwiająca tego rodzaju wysiłek? Zdaje się, że mówił o tym Jared, wspominał, że coś sobie powtarza w duchu, kiedy biega na przełaj? Aha, przypomniała sobie. „Kiedy zaczyna mnie ściskać w płucach, wmawiam sobie, że dziewczyny na mnie patrzą i nie mogę ich zawieść", tak powiedział.

Jej raczej to nie pomoże. Będzie musiała po prostu wspinać się dalej.

Ruszyła w górę. Piąta cela zawierała pryczę, umywalkę i zwisający sedes. Nic ponadto.

Dotarła do rozgałęzienia w kształcie litery T. Na lewo, po drugiej stronie szybu, ciągnął się następny korytarz. W oddali, na jego końcu, snop światła latarki wydobył z mroku coś, co wyglądało jak sterta brudów – ciało albo ciała, pomyślała, szczątki uczestniczek poprzedniej wyprawy. Czy to puchowa czerwona kurtka Nell Seeger? Lila nie była pewna, ale mimo niskiej temperatury czuła smród rozkładu. Miotało nimi na wszystkie strony aż do pogruchotania kości i jeszcze trochę. Teraz były już tylko zepsutymi lalkami i nie pozostawało nic innego, jak je tu zostawić.

Nagle coś poruszyło się w stercie szmat, Lila usłyszała piski. Wyglądało na to, że więzienne szczury przetrwały całe zamieszanie.

Weszła wyżej. Miała wrażenie, że każda kolejna metalowa poprzeczka bardziej się ugina pod jej ciężarem, dłużej, bardziej przenikliwie skrzypi, kiedy odpycha się od niej nogą. Szósta cela była pusta, podobnie siódma, ósma i dziewiąta. Zawsze jest tak, że znajdujesz to, czego szukasz, w ostatnim miejscu, w które zaglądasz, nie? Na górnej półce w głębi szafy. W teczce na spodzie stosu. W najmniejszej, najrzadziej używanej kieszonce plecaka.

Gdyby teraz spadła, przynajmniej umarłaby od razu.

Zawsze – zawsze, zawsze, zawsze – jest tak, że spadasz z najwyższej poprzeczki sufitu, który służy ci za drabinę w korytarzu więzienia o zaostrzonym rygorze, które zsunęło się z niestabilnych szczątków góry rozkopanej przez spółkę węglową.

Zdecydowała jednak, że za daleko zaszła, żeby zrezygnować. Zabiła Jessicę Elway w obronie własnej. Była pierwszą kobietą na stanowisku komendanta policji w dziejach hrabstwa Dooling. Zakuła w kajdanki braci Grinerów, a kiedy Low Griner kazał jej się pierdolić, zaśmiała mu się w twarz. Tych parę metrów jej nie odstraszy.

I nie odstraszyło.

Wychyliła się w ciemność tanecznym półobrotem i poświeciła latarką przez okienko w drzwiach dziesiątej celi.

Dmuchana lalka leżała z twarzą przyciśniętą do szyby. Jej wiśniowe wargi układały się w zaskoczony łuk, stworzony do seksu oralnego; bezmyślne, niebieskie oczy patrzyły kokieteryjnie. Płynący skądś podmuch pokiwał jej pustą głową i poruszył różowymi ramionami. Na głowie miała naklejkę z nadrukiem: „Wszystkiego najlepszego z okazji 40. urodzin, Larry!”.

12

– Chodź, Lila! – Głos Tiffany płynął z dołu szybu. – Najpierw jeden krok, potem będziesz się martwić następnym.

– Dobra. – Lila była zadowolona, że Tiffany jej nie usłuchała. Prawdę mówiąc, nie przypominała sobie, by kiedykolwiek coś bardziej ją ucieszyło. Miała sucho w gardle; było jej za ciasno we własnej skórze; dłoń płonęła bólem. Głos z dołu oznaczał jednak inne życie. Ta ciemna drabina nie musiała być końcem wszystkiego.

– O, tak. I znowu jeden krok – dopingowała ją Tiffany. – Musisz tylko zrobić jeden krok. Taki jest początek.

13

– Dmuchana lalka do ruchania? – dziwiła się później Tiffany. – Prezent urodzinowy dla jakiegoś palanta. Pozwalali im trzymać takie rzeczy w celach?

Lila wzruszyła ramionami.

– Wiem tylko, co widziałam. Pewnie kryje się za tym dłuższa historia, ale nigdy jej nie poznamy.

Jechały przez cały dzień i jeszcze po zapadnięciu zmroku. Tiffany chciała, żeby jedna z kobiet z Naszego Miejsca, które miały doświadczenie w opiece pielęgniarskiej, jak najszybciej oczyściła zranioną dłoń Lili. Lila zapewniła, że nic jej nie będzie, ale Tiff nalegała.

– Powiedziałam tej wiedźmie, byłej naczelniczce więzienia, że nie umrzemy. My. To znaczy ty i ja.

Opowiedziała Lili o mieszkaniu, które miała w Charlottesville, zanim uzależnienie od metamfetaminy puściło z dymem ostatnie dziesięć lat jej życia. Hodowała mnóstwo paprotek. Skubane świetnie się u niej czuły.

– Kiedy masz w domu dużo roślin, wiesz, że dobrze się urządziłaś – powiedziała.

Pochylona w siodle, przyjemnie kołysana niespiesznymi ruchami konia, Lila musiała się pilnować, żeby nie zasnąć i nie zsunąć się na ziemię.

– Co?

– Moje paprotki – powiedziała Tiffany. – Raczę cię opowieściami o moich paprotkach, żebyś mi tu nie padła.

To rozśmieszyło Lilę, ale z jej ust wyszedł tylko jęk. Tiffany zabroniła jej być smutną.

– Możemy ci kilka załatwić. Rośnie ich tu od cholery. Nie są rzadkie.

Później Lila spytała Tiffany, czy chciałaby urodzić chłopca czy dziewczynkę.

– Byleby było zdrowe – odparła Tiffany. – Wszystko jedno, byleby było zdrowe.

– Jeśli to będzie dziewczynka, możesz ją nazwać „Paprotka".

Tiffany się zaśmiała.

– Tak trzymaj!

O świcie ich oczom ukazało się Dooling – budynki zawieszone w sinej mgle. Słup dymu wznosił się z parkingu za ruinami Squeaky Wheel. Tam wyznaczono miejsce na wspólne ogniska. Elektryczność pozostawała luksusem, więc większość posiłków była gotowana pod gołym niebem. (Squeak okazało się doskonałym źródłem opału. Jego dach i ściany były powoli rozbierane).

Tiffany ruszyła przodem w stronę ogniska. Zebrało się przy nim tuzin kobiet, zakutanych w grube kurtki, czapki i rękawiczki. Dwa duże dzbanki kawy gotowały się nad szerokim ogniem.

– Witajcie w domu. – Coates odłączyła się od grupy. – Mamy kawę.

– A my nie mamy niczego – powiedziała Lila. – Przykro mi. W skrzydle specjalnym była tylko dmuchana lalka-ruchałka. Jeśli jest

na tym świecie ktoś oprócz nas, nadal nie chce się ujawnić. A co do pozostałych… – Pokręciła głową.

– Pani Norcross?

Wszystkie spojrzały na nową dziewczynę, która pojawiła się poprzedniego dnia. Lila zrobiła krok w jej stronę i znieruchomiała.

– Mary Pak? To ty?

Mary podeszła do Lili i uściskała ją.

– Jeszcze niedawno byłam z Jaredem, pani Norcross. Pomyślałam, że na pewno będzie pani chciała wiedzieć, że wszystko z nim w porządku. Tak przynajmniej było, kiedy widziałam go ostatnio. Na strychu domu pokazowego w pani dzielnicy. Zanim zasnęłam.

ROZDZIAŁ 5

1

Tig Murphy był pierwszym strażnikiem, któremu Clint powiedział prawdę o Evie i o tym, co od niej usłyszał: że wszystko zależy od tego, czy zdoła ją utrzymać przy życiu, choć, zaznaczył, broniła swojej racji nie mocniej niż Jezus postawiony przed Poncjuszem Piłatem. Na koniec wyjaśnił:

– Skłamałem, bo nie mogłem się zdobyć na to, żeby powiedzieć prawdę. Prawda jest tak trudna, że stawała mi ością w gardle.

– Mhm. Wie pan, że uczyłem historii w liceum, doktorze? – Tig patrzył na niego tak, że Clint miał wrażenie, jakby nagle wrócił do szkolnej ławy. To było spojrzenie, które powątpiewa, czy naprawdę dostałeś zgodę na wyjście do ubikacji. Spojrzenie, które sprawdza, czy masz rozszerzone źrenice.

– Tak, wiem – odparł Clint. Zaciągnął Tiga do pralni, żeby mogli porozmawiać na osobności.

– Pierwszy w rodzinie skończyłem studia. Harówa w kobiecym więzieniu to dla mnie żadna nobilitacja. Ale widziałem, jak pan się troszczy o te dziewczyny. I wiem, że choć wiele z nich ma paskudne rzeczy na sumieniu, większość nie jest do szpiku zła. Dlatego chcę pomóc… – Strażnik skrzywił się i przegarnął dłonią rzedniejące włosy na skroniach. Teraz można w nim było zobaczyć nauczyciela, którym dawniej był, wyobrazić sobie, jak chodząc po klasie, tłumaczy, na czym polega ogromna różnica między legendą o Hatfieldach i McCoyach a prawdą historyczną o tym sporze; jak zapalając się do tematu, coraz bardziej energicznie przeczesuje włosy palcami.

– To pomóż – powiedział Clint. Gdyby żaden ze strażników nie zgodził się zostać, próbowałby strzec więzienia bez nich i poniósłby klęskę. Terry Coombs i ten nowy mieli do dyspozycji lokalną policję, a przynajmniej to, co z niej zostało. W razie potrzeby mogli zwerbować dodatkowych ludzi. Clint widział, jak Frank Geary oglądał ogrodzenia i bramy, wypatrując słabych punktów.

– Naprawdę pan w to wierzy? Że jest… magiczna? – Tig powiedział „magiczna" tonem, jakim Jared mówił „serio"; na przykład: „Serio chcesz zobaczyć, czy odrobiłem lekcje?".

– Myślę, że ma jakiś wpływ na to, co się dzieje, i, co ważniejsze, sądzę, że tego samego zdania są ludzie po drugiej stronie murów.

– Wierzy pan, że jest magiczna? – Tig znów posłał Clintowi spojrzenie podejrzliwego belfra: Młody, co ty paliłeś?

– Szczerze? Tak. – Clint uniósł dłoń, żeby uciszyć Tiga, przynajmniej na razie. – Ale nawet jeśli się mylę, musimy bronić więzienia. To nasz obowiązek. Musimy chronić wszystkie nasze więźniarki, bez wyjątku. Nie wierzę, że zawiany Terry Coombs, Frank Geary czy ktokolwiek inny poprzestanie na rozmowie z Eve Black. Słyszałeś ją. Czy ma urojenia czy nie, po mistrzowsku wkurza ludzi. I będzie tak robiła dalej, aż ktoś w końcu się wścieknie i ją zabije. Ktoś albo wszyscy do spółki. Nie zdziwiłbym się, gdyby spalili ją na stosie.

– Sam pan w to nie wierzy.

– Pewnie, że wierzę. Brygady zapalające, mówi ci to coś?

Tig oparł się o jedną z dużych pralek.

– W porządku.

Clint miał ochotę go wyściskać.

– Dziękuję.

– Było nie było, to mój durny obowiązek, ale proszę bardzo. Jak długo musimy wytrzymać pańskim zdaniem?

– Niedługo. Góra kilka dni. Tak przynajmniej twierdzi ona. – Uświadomił sobie, że mówi o Eve Black jak starożytny Grek o gniewnym bóstwie. Bulwersujące, ale jeśli miał być szczery, prawdziwe.

2

– Zaraz, zaraz, zaraz – powiedział Rand Quigley, kiedy Clint po raz drugi wszystko wytłumaczył. – Zniszczy świat, jeśli wydamy ją glinom?

Tak mniej więcej sądził Clint, ale wolał ująć to bardziej oględnie:

– Po prostu nie możemy pozwolić, żeby miejscowa policja ją zabrała, Rand. Do tego sprawa się sprowadza.

Bladobrązowe oczy Randa patrzyły zza grubych szkieł kwadratowych okularów, czarne zrośnięte brwi leżały na ich mostku jak tłusta gąsienica.

– A co z Centrum Zwalczania i Prewencji Chorób? Wydawało mi się, że pan z nimi rozmawiał?

Tig wyręczył go w odpowiedzi:

– To była lipa. Doktor zmyślał, żebyśmy zostali.

I w tej chwili Randa zabierze nogi za pas i będzie po wszystkim, pomyślał Clint.

Rand jednak tylko zerknął na Clinta, a potem na Tiga.

– Nie dodzwonił się pan do nich?

– Nie – przyznał Clint.

– Ani razu?

– Czasem włączała się automatyczna sekretarka.

– Kurwa. To do kitu.

– Święte słowa, kolego – powiedział Tig. – To jak, możemy na ciebie liczyć? Gdyby ktoś z nami zadzierał?

– Jasne – odparł Rand urażonym tonem. – Pewnie, że możecie. Oni rządzą w mieście, my w więzieniu. Tak ma być.

Następny był Wettermore. Wysłuchał wyjaśnień Clinta z cierpkim, ale autentycznym rozbawieniem.

– Nie byłbym ani trochę zaskoczony, gdyby Wojownicza Pogromczyni Ćpunów okazała się magiczną istotą. Ba, nie byłbym zaskoczony, gdyby po pierdlu zaczęły kicać króliki z kieszonkowymi zegarkami. To, co pan mówi, jest nie bardziej porąbane od aurory. Z mojego punktu widzenia nic się nie zmieniło. Zostanę tak długo, jak będzie trzeba.

To Scott Hughes, mający dziewiętnaście lat najmłodszy z załogi, zdał swoje klucze, pistolet, paralizator i resztę wyposażenia. Jeśli Centrum Zwalczania i Prewencji Chorób nie przyśle kogoś po Eve Black, on tu nie zostanie. Nie jest niczyim wybawcą, tylko prostym chrześcijaninem, który przyjął chrzest w kościele luterańskim w Dooling i nie opuszcza praktycznie żadnego niedzielnego nabożeństwa.

– Lubię was, panowie. Nie jesteście tacy jak Peters i paru innych głąbów. I nie przeszkadza mi, że Billy jest gejem ani że Rand to półgłówek. Są w porządku.

Clint i Tig wyszli za nim na dziedziniec więzienia, żeby spróbować go przekonać do zmiany zdania.

– Ty, Tig, zawsze byłeś spoko. Do pana też nic nie mam, panie Norcross. Ale nie zamierzam tu umrzeć.

– Kto mówi, że umrzemy? – spytał Clint.

Nastolatek podszedł do swego pikapa, stojącego na potężnych oponach Bigfoot.

– Nie no, bądźmy poważni. Zna pan w tym mieście kogoś, kto nie ma pistoletu? A nawet dwóch czy trzech sztuk?

Miał rację. W Appalachach nawet w miastach-sypialniach (choć miasto to może za dużo powiedziane – mieli w Dooling sklep sportowy Foot Locker, mieli Shopwell, ale najbliższe kino było w Eagle) prawie każdy miał broń.

– A poza tym byłem na posterunku policji, doktorze Norcross. Mają cały stojak M4. I nie tylko. Jeśli miastowi dorwą się do tego arsenału, bez urazy, ale będziecie z Tigiem mogli sobie wsadzić nasze mossbergi w dupę.

Tig stał u boku Clinta.

– Czyli co, tak po prostu się zmywasz? – zapytał.

– Tak – odparł Hughes. – Zmywam się. Ktoś musi mi otworzyć bramę.

– Kurde, Tig – powiedział Clint. To był umówiony sygnał.

Tig westchnął, przeprosił Scotta Hughesa – „Szalenie mi przykro, stary” – a później poraził go paralizatorem.

Dokładnie to omówili. Gdyby pozwolili Scottowi Hughesowi odejść, prosiliby się o poważne kłopoty. Nie mogli pozwolić, żeby ktoś

powiedział ludziom z miasta, jak skromna jest załoga więzienia i jak skąpym uzbrojeniem dysponuje. Scott bowiem miał rację – arsenał więzienny nie wyglądał imponująco: tuzin strzelb mossberg 590, zapas nabojów śrutowych do nich i służbowa broń każdego strażnika, pistolet kalibru 45.

Dwaj mężczyźni stali nad kolegą z pracy, wijącym się na nawierzchni parkingu. Clint ze wstrętem przypomniał sobie ogródek Burtellów, Piątkowe Wieczory Bokserskie, swojego przybranego brata, Jasona, leżącego z nagim torsem na ziemi u jego brudnych tenisówek. Jego pięść zostawiła pod okiem Jasona czerwony ślad w kształcie pięciocentówki. Jason, z glutami cieknącymi z nosa, wymamrotał: „Nic się nie stało, Clint". Dorośli wiwatowali i śmiali się na krzesłach ogrodowych, wznosząc toasty puszkami piwa Falstaff. Wtedy Clint wygrał shake'a. Co wygrał teraz?

– No tośmy się, kurczę, doigrali – powiedział Tig. Przed trzema dniami, kiedy musieli się zająć Petersem, wyglądał, jakby dostał ostrej reakcji alergicznej i miał zaraz wyrzygać nieświeże małże. Teraz sprawiał wrażenie co najwyżej dręczonego lekką nadkwasotą. Opuścił się na kolana, przewrócił Scotta na brzuch i skrępował mu nadgarstki plastikowymi kajdankami.

– Do Skrzydła B, doktorze?

– Niech będzie. – Clint do tej chwili nawet nie pomyślał, gdzie zamknąć Scotta, co raczej nie dodawało mu wiary w jego umiejętność poradzenia sobie z sytuacją. Przykucnął, chwycił Hughesa pod pachy i pomógł Tigowi podnieść go na nogi, żeby mogli zaprowadzić go do środka.

Wtedy padł głos zza bramy:

– Panowie… – Był to głos kobiecy, pełen determinacji, zmęczenia i… radości. – Możecie chwilę zostać w tej pozycji? Żeby zdjęcie dobrze wyszło.

Podnieśli głowy z winą wypisaną na twarzach; jakby byli żołnierzami mafii przyłapanymi na grzebaniu zwłok. Michaela uradowała się jeszcze bardziej, kiedy obejrzała pierwsze zdjęcie. Nosiła w torebce taniego nikona, ale obraz wyszedł ostry. Idealnie.

– Ahoj, szubrawi piraci! – zawołał Garth Flickinger. – Cóż tam knujecie, jeśli można wiedzieć?

On i Michaela zatrzymali się na pobliskim punkcie widokowym, żeby wypróbować fioletową błyskawicę. Garth był wesoły jak skowronek. Mickey też wyraźnie złapała drugi oddech. A właściwie czwarty lub piąty.

– Kurde, doktorze – sapnął Tig. – No to mamy przesrane.

Clint nie odpowiedział. Wciąż trzymając Scotta Hughesa, gapił się na nowo przybyłych stojących przed poobijanym mercedesem. Czuł się tak, jakby w jego głowie trwała dziwna odwrotna lawina, taka, w której wszystko zbiera się do kupy, zamiast się rozpadać. Może w ten sposób na wielkich naukowców albo filozofów spływa prawdziwe natchnienie? Oby. Upuścił Scotta na ziemię; zdezorientowany strażnik wydał jęk niezadowolenia.

– Jeszcze jedno! – zawołała Michaela. Pstryknęła zdjęcie. – I jeszcze jedno! Dobrze! Super! A teraz powiedzcie, chłopcy, co właściwie robicie?

– Do krocset fur beczek, to bunt! – krzyknął Garth, chyba naśladując kapitana Jacka Sparrowa, bohatera *Piratów z Karaibów.* – Ogłuszyli pierwszego oficera i zaraz wyrzucą go za burtę! Arrr!

– Zamknij się – ucięła Michaela. Chwyciła bramę, na jej szczęście niepodłączoną do prądu, i potrząsnęła nią. – Czy to ma jakiś związek z tą kobietą?

– Ale mamy przejebane. – Tig powiedział to takim tonem, jakby był pod wrażeniem.

– Otwórz bramę – polecił Clint.

– Co…?

– Zrób to.

Tig ruszył w stronę budki przy wjeździe. Zanim wszedł, jeszcze raz zerknął z powątpiewaniem przez ramię na Clinta; ten w odpowiedzi skinął głową, ponaglił go gestem i skierował się do bramy, nie bacząc na miarowe trzaski aparatu fotograficznego. Młoda kobieta

miała czerwone oczy, co zrozumiałe po czterech dniach i trzech nocach bez snu, ale jej kompan patrzył równie przekrwionym wzrokiem. Clint podejrzewał, że raczyli się nielegalnymi używkami. To jednak w tej chwili było najmniejszym z jego zmartwień. Liczyło się tylko nagłe natchnienie, które go ogarnęło.

– Jesteś córką Janice – powiedział. – Tą reporterką.

– Zgadza się, jestem Michaela Coates. Michaela Morgan dla naszych wspaniałych telewidzów. A pan to, jak mniemam, doktor Clinton Norcross.

– Poznaliśmy się? – Clint jakoś sobie tego nie przypominał.

– Zrobiłam z panem wywiad do szkolnej gazetki. Osiem, może dziewięć lat temu.

– I dobrze wypadłem? – spytał. Chryste, był stary, z każdą minutą coraz starszy.

Michaela pokiwała dłonią na boki.

– Trochę dziwne mi się wydało, że tak bardzo lubi pan pracę w więzieniu. A nie dość, że w więzieniu, to jeszcze z moją mamą. Ale mniejsza z tym. Co może mi pan powiedzieć o tej kobiecie? Nazywa się Eve Black? Naprawdę zasypia i się budzi? Bo tak słyszałam.

– Posługuje się nazwiskiem Eve Black – odparł Clint. – I tak, zasypia i normalnie się budzi. Chociaż poza tym nie jest normalna pod żadnym względem. – Kręciło mu się w głowie, jakby szedł z zawiązanymi oczami po linie. – Chciałabyś zrobić z nią wywiad?

– Żartuje pan? – Michaela nie wyglądała na senną. Jej policzki były rozpalone z podniecenia.

Obie bramy, zewnętrzna i wewnętrzna, zaczęły się rozsuwać. Garth wziął Michaelę pod ramię i weszli w martwą przestrzeń. Ale wtedy Clint uniósł dłoń.

– Mam pewne warunki.

– Proszę je przedstawić – powiedziała Michaela z ożywieniem. – Chociaż, biorąc pod uwagę zdjęcia, które mam w aparacie, radzę, żeby nie był pan zbyt pazerny.

– Widzieliście gdzieś w okolicy radiowozy szeryfa? – spytał Clint.

Garth i Michaela pokręcili głowami.

Jeszcze nie przysłali radiowozów. Nikt nie obserwował drogi dojazdowej odchodzącej od West Lavin. Geary przeoczył ten

szczegół, przynajmniej na razie; Clint nie był tym szczególnie zaskoczony. Skoro Terry Coombs szukał ratunku we flaszce, jego numer dwa, Pan Łowca Bezpańskich Zwierząt miał tyle spraw na głowie, że nie mógł o wszystkim pamiętać. Clint sądził jednak, że szybko naprawi to przeoczenie. Być może już kogoś wysłał. Nie „być może" – trzeba przyjąć założenie, że tak zrobił. Czyli pizza z Jaredem odpada. Geary'ego może nie obchodziło, kto przyjeżdża do więzienia, ale na pewno nie chciał, żeby ktokolwiek je opuścił. Zwłaszcza kłopotliwy lekarz od głowy. I Evie Black, na przykład potajemnie wywieziona w więziennej furgonetce.

– Pańskie warunki? – przypomniała Michaela.

– Musisz się szybko uwinąć – powiedział Clint. – I jeśli usłyszysz i zobaczysz to, czego się spodziewam, będziecie mi musieli pomóc.

– W czym? – Dołączył do nich Tig.

– W sprowadzeniu posiłków – odparł Clint. – I broni… – Zawiesił głos. – I mojego syna. Chcę się zobaczyć z synem.

4

W Olympii nie było ciast. Kobieta, która je piekła, spała owinięta kokonem w pokoju socjalnym. Gus Vereen, przyjmując zamówienia od zastępców szeryfa, wyznał, że brakuje mu rąk do pracy.

– Znalazłem trochę ciasta lodowego na dolnej półce lodówki, ale nie ręczę za nie. Stoi tam od czasów, kiedy Hector był szczeniakiem.

– Zaryzykuję – stwierdził Don, choć była to nędzna namiastka deseru. Jego skromnym zdaniem fakt, że w barze nie mają porządnego ciasta, był skandaliczny, ale siedząc naprzeciwko Franka Geary'ego, starał się zachowywać wzorowo.

Przy stoliku w głębi baru byli też Barrows, Rangle, Eric Blass i stary wyżeł Temidy nazwiskiem Silver. Właśnie skończyli jeść podły lunch. Don zamówił hałuski i dostał je zatopione w kałuży żółtego tłuszczu. Zjadł je, po trosze z przekory, ale nie potrzebował jasnowidza, by wiedzieć, że niebawem przypłaci to sraczką. Pozostali wzięli kanapki

i hamburgery; nikt nie zmógł więcej niż połowy. Za deser podziękowali – pewnie słusznie.

– Myślisz, że Norcross ją dyma? – palnął Don, gdy Frank skończył półgodzinny wywód na temat sytuacji w więzieniu.

Frank spojrzał na niego spod przymrużonych powiek.

– Mało prawdopodobne i nieistotne.

Don zrozumiał; więcej się nie odezwał, dopóki Gus Vereen nie przyszedł zapytać, czy podać coś jeszcze.

Kiedy Gus się oddalił, głos zabrał sędzia Silver:

– Jakie twoim zdaniem mamy możliwości działania, Frank? Co o tym sądzi Terry? – Skóra sędziego była niepokojąco szara. Mówiąc, mlaskał, jakby miał w ustach prymkę tytoniu.

– Ograniczone. Możemy wziąć Norcrossa na przeczekanie, ale kto wie, ile to by potrwało. W więzieniu pewnie są spore zapasy żywności.

– To prawda – przyznał Don. – Nie ma steków z antrykotu ani niczego takiego, ale suchego prowiantu wystarczy im do końca świata.

– Im dłużej będziemy zwlekali – ciągnął Frank – tym szerzej rozejdą się plotki. Wielu miejscowych może zacząć myśleć o tym, żeby wziąć sprawy w swoje ręce. – Czekał, aż ktoś zapyta: A ty nie robisz tego samego? Nikt jednak tego nie powiedział.

– Przypuśćmy, że postanowimy nie czekać. Co wtedy? – spytał sędzia.

– Norcross ma syna, no i oczywiście znacie jego żonę.

– To dobra policjantka – powiedział Silver. – Ostrożna, skrupulatna. Ściśle trzyma się przepisów.

Eric się skrzywił na wspomnienie dwóch mandatów za nadmierną prędkość, które wlepiła mu pani komendant.

– I chciałbym, żeby była z nami – powiedział Geary. Don nie dał się na to nabrać. Tamtego wieczoru, kiedy Geary wsunął mu dłoń pod pachę, potraktował go jak pacynkę, od razu zrozumiał, że tacy jak on nie zadowalają się drugim miejscem. – Ale zniknęła razem z synem. Gdyby tu byli, powiedziałbym, że powinniśmy ich przekonać, żeby skłonili Norcrossa do zaprzestania kombinacji z Black.

Sędzia Silver cmoknął językiem, wpatrzony w swoją kawę. Nie tknął jej. Miał krawat w jaskrawożółte cytryny, ostro kontrastujący z jego niezdrowo wyglądającą skórą. Ćma krążyła dookoła jego głowy. Sędzia odgonił ją ręką; poleciała na jedną z kulistych lamp zwisających z sufitu.

– A więc… – zaczął, ale Don wszedł mu w słowo:

– A więc co zrobimy?

Frank Geary pokręcił głową i zgarnął na dłoń kilka okruchów ze stolika.

– Zbierzemy grupę odpowiedzialnych ludzi. Piętnastu, dwudziestu, takich, na których można polegać. Zaopatrzymy się w niezbędny sprzęt. Na posterunku powinno być dość kamizelek kuloodpornych dla wszystkich. Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze. Nie było czasu na inwentaryzację.

– Naprawdę uważasz… – odezwał się Reed Barrows z powątpiewaniem, lecz Frank nie dał mu dokończyć:

– Na pewno jest pół tuzina karabinów szturmowych. Dostaną je tylko ci, którzy potrafią się z nimi obchodzić. Inni wezmą winchestery, broń boczną albo jedno i drugie. Don przedstawi nam rozkład pomieszczeń więzienia, wszelkie szczegóły, które mogłyby pomóc. Potem przeprowadzimy demonstrację siły i damy Norcrossowi jeszcze jedną szansę na to, żeby wydał tę kobietę. Myślę, że pójdzie po rozum do głowy.

– A jeśli nie? – To oczywiste pytanie zadał sędzia.

– Nie sądzę, żeby mógł nas powstrzymać.

– Dość radykalne rozwiązanie, nawet w tych nadzwyczajnych okolicznościach – ocenił sędzia. – Co na to Terry?

– Terry jest… – Frank strzepnął okruchy na podłogę.

– Jest pijany, panie sędzio – dokończył Reed Barrows.

Dzięki temu Frank nie musiał tego powiedzieć. Stwierdził tylko (przybierając posępną minę):

– Robi, co może.

– Pijany to pijany – skwitował Reed, a Vern Rangle przychylił się do jego zdania.

– Wobec tego… – Sędzia dotknął barczystego ramienia Franka i ścisnął je. – Wygląda na to, że wszystko w twoich rękach, Frank.

Gus Vereen przyniósł Donowi kawałek ciasta lodowego. Twarz właściciela baru wyrażała powątpiewanie. Ciasto obrosło warstwą szronu.

– Jesteś pewien, Don? – zapytał.

– Raz się, kurde, żyje – odparł Don. Skoro wszystkie ciastkarki tego świata zniknęły, a on nadal miał ochotę na słodkości, będzie musiał wykazywać więcej odwagi w sprawach kulinarnych.

– Hm, Frank? – zagaił Vern Rangle.

– Co? – Zabrzmiało to raczej jak „Co znowu?".

– Tak sobie myślę, że może wypadałoby wysłać patrol, żeby obserwował więzienie. Na wypadek gdyby doktor postanowił ją wywieźć i gdzieś ukryć.

Frank wbił w niego wzrok, po czym palnął się w głowę – tak mocno, że wszyscy podskoczyli.

– Jezu! Masz rację. Od razu powinienem był to zrobić.

– Ja pojadę. – Don natychmiast zapomniał o cieście lodowym. Zerwał się z miejsca, uderzając udami o blat, aż kubki i talerze zabrzęczały. Oczy mu rozbłysły. – Z Erikiem. Zatrzymamy każdego, kto będzie chciał wjechać albo wyjechać.

Frank nie przepadał za Donem, a Blass był jeszcze małolatem, ale pomyślał, że może nic złego się nie stanie. Kurczę, przecież to i tak tylko środek ostrożności. Nie sądził, by Norcross chciał wywieźć tę kobietę. Doktor zapewne uważał, że tam, za murami, jest bezpieczniejsza.

– Dobra – zgodził się. – Ale jeśli ktoś rzeczywiście stamtąd wyjedzie, tylko go zatrzymajcie. Nie wyciągajcie broni, słyszycie? Żadnej zabawy w Dziki Zachód. Jeśli ktoś się nie zatrzyma, jedźcie za nim i tyle. I natychmiast skontaktujcie się ze mną.

– A nie z Terrym? – spytał sędzia.

– Nie. Ze mną. Stańcie u wylotu drogi dojazdowej do więzienia, u zbiegu z West Lavin. Zrozumiano?

– Tak jest! – Don był zwarty i gotowy. – Chodź, partnerze. Jedziemy.

Kiedy wyszli, sędzia wymamrotał:

– Niewyobrażalne w pogoni za niejadalnym.

– Słucham? – spytał Vern Rangle.

Silver pokręcił głową. Wyglądał na znużonego.

– Nieważne. Panowie, muszę powiedzieć, że ogólnie rzecz biorąc, niezbyt podoba mi się kierunek, w jakim to wszystko zmierza. Tak się zastanawiam…

– Nad czym, Oscarze? – spytał Frank. – Nad czym się zastanawiasz?

Sędzia jednak nie odpowiedział.

5

– Skąd wiedziałaś? – To mówiła Angel. – O dziecku?

Pytanie oderwało Evie od baru Olympia, w którym, oczami ćmy siedzącej na kulistej lampie, obserwowała mężczyzn snujących swoje plany. A żeby było weselej, działo się coś jeszcze, znacznie bliżej. Clint miał gości. Niebawem przyprowadzi ich do niej.

Evie usiadła prosto i wciągnęła w nozdrza zapach zakładu karnego w Dooling. Smród mocnych środków czystości wnikał głęboko; spodziewała się, że wkrótce umrze, i było jej smutno z tego powodu, ale umierała już wiele razy. Nigdy nie było to przyjemne, ale i nigdy nie oznaczało końca… choć tym razem może będzie inaczej.

Przynajmniej nie będę musiała więcej czuć zapachu tego miejsca, tej mieszanki środków czystości i rozpaczy, powiedziała sobie.

Kiedyś myślała, że w Troi to dopiero śmierdziało: stosy trupów, ogniska, rybie flaki, przezornie składane w ofierze bogom – wielkie, kurwa, dzięki, panowie, tylko o tym marzymy – i głupi Achajowie zadeptujący plażę, niemyjący się, zalani krwią, która piekła się na czarno w słońcu i przeżerała rdzą złącza zbroi. To jednak było nic w porównaniu z wszechobecnym fetorem świata współczesnego. Wtedy, w czasach przed lizolem i środkami dezynfekującymi, była jeszcze młoda. Zbyt łatwo można było zrobić na niej wrażenie.

Tymczasem Angel zadała całkowicie zasadne pytanie i wydawała się niemal zdrowa na umyśle. Przynajmniej na razie.

– Wiem o twoim dziecku, bo czytam w myślach. Nie zawsze. Na ogół. Łatwiej mi odczytywać myśli mężczyzn, bo są prostsze, ale

z kobietami też daję radę.

– Czyli wiesz, że… nie chciałam.

– Tak, wiem. I byłam dla ciebie zbyt surowa. Przepraszam. Dużo się działo.

Angel puściła przeprosiny mimo uszu. Była skupiona na recytowaniu słów, których najwyraźniej nauczyła się na pamięć, pocieszającego zaklęcia, które miało być promykiem światła, kiedy zapadnie najgłębszy mrok i nie zostanie nikt, z kim będzie mogła porozmawiać, żeby nie myśleć o sobie i o tym wszystkim, co zrobiła.

– Musiałam. Każdy mężczyzna, którego zabiłam, skrzywdził mnie albo skrzywdziłby, gdybym dała mu szansę. Nie chciałam uśmiercić tej dziewczynki, ale nie mogłam pozwolić, żeby i ona miała takie życie.

Evie odpowiedziała westchnieniem nabrzmiałym szczerymi łzami. Angel mówiła prawdę, całą prawdę i tylko prawdę o życiu w czasie i miejscu, w których sprawy po prostu źle się ułożyły. Oczywiście, tak czy owak, pewnie nie ułożyłyby się dla niej dobrze; była złą, szaloną kobietą. Miała jednak rację: skrzywdzili ją i pewnie skrzywdziliby też tę dziewczynkę. Ci mężczyźni i wszyscy tacy mężczyźni jak oni. Ziemia ich nienawidzi, ale kocha nawóz z ich zbrodniczych ciał.

– Dlaczego płaczesz, Evie?

– Bo to wszystko czuję i to boli. A teraz cicho. Jeśli pozwolisz, że jeszcze raz zacytuję *Henryka IV*, zwierzyna nadeszła[6]. Mam coś do zrobienia.

– Co?

Jakby w odpowiedzi szczęknęły otwierane drzwi na drugim końcu Skrzydła A; nadciągnęły kroki. Doktor Norcross, oficerowie Murphy i Quigley oraz dwoje nieznajomych.

– Gdzie ich przepustki? – krzyknęła Angel. – Ci dwoje nie mają przepustek! Nie mogą tu wchodzić!

– Cicho, powiedziałam – upomniała ją Evie. – Bo inaczej cię uciszę. Nawiązałyśmy nić porozumienia, Angel, nie psuj tego.

Clint zatrzymał się przed celą Evie. Kobieta wepchnęła się obok niego. Pod oczami miała sine wory, ale same oczy były błyszczące i przytomne.

– Dzień dobry, Michaelo Coates, znana też jako Michaela Morgan – powiedziała Evie. – Jestem Eve Black.

Wysunęła rękę przez kraty. Tig i Rand odruchowo zrobili krok do przodu, ale Clint wyciągnął ramiona na boki, zatrzymując ich.

Michaela bez wahania uścisnęła podaną jej dłoń.

– Domyślam się, że widziałaś mnie w wiadomościach – powiedziała.

Evie uśmiechnęła się ciepło.

– Obawiam się, że nie śledzę serwisów informacyjnych. Są zbyt przygnębiające.

– To skąd wiesz…

– Mam mówić ci Mickey, jak twój przyjaciel, doktor Flickinger? – Garth drgnął. Evie ciągnęła: – Przykro mi, że nie zobaczyłaś się z matką. Była dobrym naczelnikiem.

– Gówno prawda – mruknęła Angel, a kiedy Evie groźnie chrząknęła, dodała: – Dobra, dobra, będę cicho.

– Skąd wiesz… – zaczęła Michaela.

– Że naczelnik Coates to twoja matka? Że przyjęłaś nazwisko Morgan, bo jakiś latający za spódniczkami profesor dziennikarstwa powiedział ci, że widzowie lepiej zapamiętują nazwiska, w których występuje aliteracja? Och, Mickey, nie powinnaś była się z nim przespać, ale teraz już pewnie sama to wiesz. Dobrze choć, że poronienie oszczędziło ci konieczności dokonania trudnego wyboru. – Evie zacmokała i pokręciła głową, rozrzucając ciemne włosy.

Michaela była śmiertelnie blada, tylko oczy miała zaczerwienione. Kiedy Garth objął ją ramieniem, chwyciła go za rękę jak tonąca koło ratunkowe.

– Skąd to wiesz? – szepnęła. – Kim jesteś?

– Jestem kobietą, usłysz mój ryk. – Evie znów się zaśmiała; to był radosny dźwięk, jakby potrząsanych dzwoneczków. Odwróciła się do Gartha. – A dla pana, doktorze Flickinger, mam przyjacielską radę. Musi pan przestać ćpać, i to jak najszybciej. Dostał pan już jedno ostrzeżenie od kardiologa. Następnego nie będzie. Jeśli dalej będzie pan przypalał te kryształki, rozległy zawał czeka pana za… – Zamknęła oczy jak jarmarczna jasnowidzka, a potem otworzyła je szeroko. – Za jakieś osiem miesięcy. Może dziewięć.

Najprawdopodobniej w czasie, kiedy będzie pan oglądał pornosa ze spodniami spuszczonymi do kostek i butelką lubridermu pod ręką. Jeszcze przed pańskimi pięćdziesiątymi trzecimi urodzinami.

– Nie najgorsza śmierć – powiedział Garth, ale jego głos był słaby.

– Oczywiście, o ile dopisze panu szczęście. Jeśli zostanie pan z Michaelą i Clintem i będzie próbował bronić mojej biednej, bezbronnej osoby oraz reszty kobiet z więzienia, najprawdopodobniej dokona pan żywota znacznie wcześniej.

– Masz najbardziej symetryczną twarz, jaką w życiu widziałem. – Garth odchrząknął. – Możesz już przestać nas straszyć?

Najwyraźniej nie mogła.

– To przykre, że pańska córka ma wodogłowie i musi żyć w zakładzie opieki, ale nie usprawiedliwia to szkód, jakie wyrządza pan swojemu niegdyś całkiem sprawnemu ciału i umysłowi.

Strażnicy patrzyli na nią okrągłymi oczami. Clint, owszem, miał nadzieję, że Evie zrobi coś, by udowodnić, że jest nie z tego świata, ale to przerosło jego najśmielsze oczekiwania. Evie spojrzała na niego… i mrugnęła porozumiewawczo, jakby usłyszała jego myśl.

– Skąd wiesz o Cathy? – spytał Garth. – Jak możesz o niej wiedzieć?

Patrząc na Michaelę, Evie powiedziała:

– Mam swoich szpiegów wśród stworzeń tego świata. Mówią mi wszystko. Pomagają. Jak w *Kopciuszku,* tylko inaczej. Choćby dlatego, że wolę je w postaci szczurów niż stangretów.

– Evie… pani Black… te wszystkie uśpione kobiety to twoja robota? A jeśli tak, czy możesz je obudzić?

– Clint, jesteś pewien, że to dobry pomysł? – spytał Rand. – Pozwolić na wywiad z tą kobietą w więzieniu? Nie sądzę, żeby naczelnik Coates…

Jeanette Sorley wybrała właśnie tę chwilę, by nadejść chwiejnym krokiem z głębi korytarza. Trzymała zadarty rąbek swej brązowej koszuli, tak że służyła jej za prowizoryczną torbę.

– Komu grochu? – krzyknęła. – Komu świeżego grochu?

Evie jakby zgubiła wątek. Ścisnęła kraty tak mocno, że knykcie jej zbielały.

– Evie? – spytał Clint. – Dobrze się czujesz?

– Tak. I choć rozumiem, że czas nagli, wybaczcie, ale tego popołudnia robię kilka rzeczy naraz. Musicie zaczekać, aż coś załatwię. – Potem, raczej do siebie niż do połowy tuzina ludzi przed jej celą, dodała: – Przykro mi to robić, ale i tak długo by nie pociągnął. – Pauza. – Poza tym tęskni za swoją kotką.

6

Sędzia Silver dowlókł się prawie na parking Olympii, zanim Frank go dogonił. Klejnociki deszczu lśniły na okrytych paltem zgarbionych ramionach starca.

Silver odwrócił się na dźwięk jego kroków – wyglądało na to, że słuch wciąż miał dobry – i obdarzył go miłym uśmiechem.

– Chcę ci jeszcze raz podziękować za Kakao – powiedział.

– Nie ma sprawy – odparł Frank. – To był mój obowiązek.

– Tak, ale spełniłeś go ze szczerym współczuciem. Dzięki temu było mi lżej.

– Cieszę się. Sędzio, zdaje się, że tam, w barze, miałeś jakiś pomysł. Podzielisz się nim ze mną?

Silver zastanowił się.

– Mogę mówić szczerze?

Jego rozmówca uśmiechnął się.

– Niczego bardziej nie pragnę.

Sędzia nie odwzajemnił uśmiechu.

– Dobrze więc. Jesteś porządnym człowiekiem i cieszę się, że wziąłeś odpowiedzialność na swoje barki, skoro zastępca szeryfa, Coombs, jest… powiedzmy, *hors de combat*… i to oczywiste, że nikt inny nie chce się tego podjąć, ale nie masz doświadczenia w pracy w policji, a sytuacja jest delikatna. Niezwykle delikatna. Zgodzisz się?

– Tak – powiedział Frank. – Pod każdym względem.

– Obawiam się eskalacji. Tego, że oddział ochotników wymknie się spod kontroli i zmieni w żądny krwi motłoch. Byłem świadkiem takiej sytuacji podczas jednego z ostrzejszych strajków górniczych w latach

siedemdziesiątych, i paskudnie się to skończyło. Spalone budynki, wybuch dynamitu, ofiary w ludziach.

– Widzisz inne rozwiązanie?

– Być może. Ja… Idź mi stąd, do cholery! – Sędzia dotkniętą artretyzmem ręką odpędził ćmę, która krążyła dookoła jego głowy. Odleciała i wylądowała na antenie samochodowej; powoli rozpięła skrzydła w drobnym deszczu. – Ostatnio wszędzie ich pełno.

– Fakt. To co chciałeś powiedzieć?

– W Coughlin mieszka człowiek nazwiskiem Harry Rhinegold. Były pracownik FBI, od dwóch lat na emeryturze. Porządny chłop, nienaganny przebieg służby, kilka pochwał na piśmie, widziałem je na ścianie jego gabinetu. Pomyślałem sobie, że mógłbym z nim porozmawiać, spytać, czy nie przyłączyłby się do nas.

– Jako kto? Zastępca szeryfa?

– Doradca. – Sędzia wziął chrapliwy oddech. – A w razie potrzeby negocjator.

– Myślisz, że mógłby wynegocjować ich wyjście z więzienia?

– Tak.

W pierwszym odruchu, dziecinnym, ale silnym, Frank chciał powiedzieć sędziemu, że nie ma mowy, on tu rządzi. Tyle że, formalnie rzecz biorąc, tak nie było. Rządził Terry Coombs i zawsze istniała możliwość, że pojawi się w pracy, skacowany, ale trzeźwy, i zechce przejąć stery. Poza tym czy on, Frank, mógłby powstrzymać sędziego bez uciekania się do fizycznej przemocy? Nie. Chociaż Silver był zbyt dobrze wychowany, żeby to powiedzieć wprost (chyba że absolutnie nie miałby innego wyjścia), był funkcjonariuszem wymiaru sprawiedliwości, a to oznaczało, że stał w hierarchii znacznie wyżej niż samozwańczy stróż prawa, którego specjalnością było odławianie bezpańskich psów i apelowanie o adopcję zwierzaków w lokalnej telewizji. Do tego dochodził jeszcze jeden, bodaj najważniejszy czynnik: negocjacje to niegłupi pomysł. Zakład karny w Dooling był jak warownia. Czy to ważne, kto wyciągnie stamtąd tę kobietę, jeśli tylko uda się to zrobić? Jeśli będzie można ją przesłuchać? I w razie konieczności zmusić do posłuszeństwa, gdyby doszli do wniosku, że rzeczywiście jest w stanie powstrzymać aurorę?

Sędzia patrzył na niego z uniesionymi krzaczastymi brwiami.

– Zgoda – powiedział Frank. – Dam znać Terry'emu. Jeśli ten Rhinegold się zgodzi, wieczorem zwołamy naradę tutaj albo na posterunku.

– Czyli nie… – Sędzia odchrząknął. – Na razie nie podejmiecie żadnych działań?

– Przynajmniej do wieczora. Postawię tylko radiowóz przy więzieniu. – Frank zawiesił głos. – Tyle mogę obiecać, a i to pod warunkiem, że Norcross nie będzie nic kombinował.

– Nie sądzę, żeby…

– A ja tak. – Frank z poważną miną postukał się we wgłębienie w skroni, jakby pokazując, że główka ciężko pracuje. – Dopóki sytuacja jest, jaka jest, muszę brać pod uwagę wszystkie warianty. Norcross ma się za cwaniaka, a tacy bywają groźni. Dla siebie i dla innych. Kiedy tak na to spojrzeć, twój wyjazd do Coughlin to misja miłosierdzia. Dlatego jedź ostrożnie.

– W moim wieku inaczej nie potrafię.

Sędzia powoli, z wyraźnym trudem, wsiadł do land rovera. Frankowi przykro było na to patrzeć. Już miał mu pomóc, kiedy Silver wreszcie usadowił się za kierownicą i trzasnął drzwiami. Silnik z rykiem obudził się do życia – sędzia, nie wiedzieć po co, trzymał nogę na pedale gazu – i reflektory przecięły mżawkę stożkami światła.

Były pracownik FBI w Coughlin. Frank nie mógł się nadziwić. Cudom nie ma końca. Może ten człowiek zadzwoniłby do biura i wystąpił o federalny nakaz zwolnienia tej kobiety. Mała szansa, by go dostał, dopóki we władzach panował zamęt, ale a nuż się uda. Gdyby Norcross i wtedy się stawiał, mogliby sięgnąć po mocniejsze argumenty bez obaw, że ktoś potem się o to przyczepi.

Wrócił do baru, żeby wydać rozkazy. Już wcześniej postanowił wysłać Barrowsa i Rangle'a, by zluzowali Petersa i młodego Blassa. On sam i Pete Ordway mogli zacząć sporządzać listę odpowiedzialnych ludzi, których można by zwerbować do oddziału ochotników, gdyby taki okazał się potrzebny. Nie było co wracać na posterunek, gdzie mógł się zjawić Terry; mogli to zrobić tutaj.

7

Sędzia Oscar Silver ostatnio rzadko siadał za kierownicą, a jeśli już prowadził, to nie przekraczał sześćdziesięciu kilometrów na godzinę – bez względu na to, ile samochodów zbierało się za nim. Jeśli zaczynały trąbić i siedzieć mu na ogonie, stawał gdzieś na poboczu, przepuszczał je, po czym ruszał dalej swoim dostojnym tempem. Zdawał sobie sprawę, że nie ma już takiego refleksu i wzroku jak kiedyś. Przebył też trzy zawały i wiedział, że operacja wszczepienia bajpasów, której poddano jego nawalającą pompę przed dwoma laty w Szpitalu Świętej Teresy, tylko odwlekła w czasie nieunikniony ostateczny atak serca. Pogodził się z tym, ale nie chciał umrzeć za kółkiem, bo tracąc w ostatnich chwilach życia panowanie nad samochodem, mógłby zabrać ze sobą na tamten świat jakichś Bogu ducha winnych ludzi. Sądził, że jadąc sześćdziesiątką (a na obszarach zabudowanych jeszcze wolniej), będzie miał większą szansę na to, żeby zdążyć zahamować, zanim światła zgasną na dobre.

Dzisiaj było inaczej. Kiedy dotarł za Ball's Ferry i wjechał na Old Coughlin Road, dodał gazu, aż wskazówka prędkościomierza doszła do setki – w rejony, w które się nie zapuszczała od jakichś pięciu lat. Zadzwonił do Rhinegolda ze swojej komórki i Rhinegold skłonny był z nim porozmawiać (chociaż sędzia, stary, szczwany lis, nie chciał zdradzić przez telefon, czego rozmowa miałaby dotyczyć – pewnie nadmiar ostrożności, ale dyskrecja była jego dewizą), a to dobra wiadomość. Zła wiadomość: Silver nagle stwierdził, że nie ufa Frankowi Geary'emu, który tak lekko mówił o zbieraniu grupy ochotników i szturmowaniu więzienia. W Olympii sprawiał wrażenie człowieka względnie racjonalnego, ale cała sytuacja była zupełnie nieracjonalna. Sędziemu nie podobało się, że Frank uznał coś, co powinno być absolutną ostatecznością, za najzupełniej praktyczne rozwiązanie.

Wycieraczki chodziły w tę i z powrotem, usuwając z przedniej szyby cienką warstwę deszczu. Sędzia włączył radio na stację informacyjną nadającą z Wheeling.

– Większość usług komunalnych została zawieszona do odwołania – oznajmił spiker. – Pragnę też przypomnieć, że od dziewiątej obowiązuje godzina policyjna, której przestrzeganie będzie ściśle egzekwowane.

– Powodzenia – mruknął sędzia.

– A teraz wracamy do tematu dnia. Tak zwane brygady zapalające, działające pod wpływem krążących w Internecie fałszywych pogłosek, jakoby zarazę aurory roznosiło powietrze wydychane przez uśpione kobiety okryte naroślami lub, jak kto woli, kokonami, według najnowszych doniesień są aktywne w Charlestonie, Atlancie, Savannah, Dallas, Houston, Nowym Orleanie i Tampie. – Spiker zamilkł, a kiedy znów zaczął mówić, jego matowy głos przybrał bardziej nosowe brzmienie: – Sąsiedzi, jestem dumny, że te bandy oszołomów nie grasują u nas, w Wheeling. Wszyscy mamy bliskie nam kobiety, które kochamy do szaleństwa, i zabijanie ich we śnie, nieważne, jak nienaturalny by był, to okrutna zbrodnia.

Powiedział „łokrutna" zamiast „okrutna".

Land rover Silvera zbliżał się do peryferii Maylock, miasta sąsiadującego z Dooling. Dom Rhinegolda w Coughlin był po drugiej stronie Maylock, jakieś dwadzieścia minut drogi stąd.

– We wszystkich miastach, w których grasują brygady, powołano pod broń Gwardię Narodową. Gwardziści dostali rozkaz, by strzelać do wszystkich zabobonnych głupców, którzy nie zaprzestaną swoich haniebnych działań. I słusznie. Centrum Zwalczania i Prewencji Chorób powtórzyło, że nie ma krzty prawdy w…

Przednia szyba zaczynała zachodzić parą. Sędzia Silver wychylił się w prawo, nie odrywając oczu od jezdni, i włączył odmgławiacz. Zaszumiał wentylator. Wypchnięte podmuchem powietrza kłęby małych brązowych ciem wyfrunęły z otworów nawiewu; wypełniały wnętrze samochodu, krążąc wokół głowy sędziego. Obsiadały jego włosy, biły skrzydełkami w policzki. Co najgorsze, wirowały mu przed oczami i nagle przypomniał sobie coś, co usłyszał od starej ciotki dawno temu, kiedy był małym, łatwowiernym chłopcem, a co teraz wydało mu się niezbitym faktem jak to, że czarne jest czarne, a białe jest białe. „Kiedy dotkniesz ćmy, nie trzyj potem oczu, Oscarze", powiedziała. „Noszą na skrzydłach pył, który może oślepić".

– Won! – wrzasnął sędzia Silver. Zdjął dłonie z kierownicy i zaczął się okładać po twarzy. Ćmy dalej wylewały się z otworów nawiewu, setkami, może tysiącami. Wnętrze land rovera wypełniła wirująca brązowa mgła. – Won, won, won…

Wielki ciężar przygniótł jego lewą pierś. Ból przeszył lewą rękę jak prąd elektryczny. Sędzia otworzył usta, żeby krzyknąć, i wleciały do nich ćmy; chodziły mu po języku, łaskotały wnętrze policzków. Z wysiłkiem biorąc swój ostatni oddech, wciągnął je do gardła, aż zapchały mu krtań. Land roverem zarzuciło w lewo; nadjeżdżający pikap odbił w prawo, żeby uniknąć zderzenia, i wylądował w rowie, przechylony, ale nie przewrócony. Po drugiej stronie rowu nie było – była tylko barierka oddzielająca most nad Dorr's Hollow od otwartego powietrza i strumienia w dole. Samochód Silvera przebił ją, przechylił się i koziołkując, wpadł do wody. Sędzia, wówczas już martwy, wyleciał przez przednią szybę do strumienia Dorr's Hollow, dopływu Ball Creek. Mokasyn spadł mu z nogi, popłynął z prądem, a po chwili nabrał wody i utonął.

Ćmy wydostały się z przewróconego land rovera, który z bulgotem szedł na dno. Całe stado pofrunęło w stronę Dooling.

8

– Zrobiłam to z przykrością – powiedziała Eve, nie do swoich gości, jak pomyślał Clint, lecz do samej siebie. Otarła łzę z kącika lewego oka. – Im więcej czasu tu spędzam, tym bardziej staję się człowiekiem. Zapomniałam o tym.

– O czym mówisz, Evie? – spytał Clint. – Co zrobiłaś z przykrością?

– Sędzia Silver próbował sprowadzić pomoc z zewnątrz – odparła. – Może to by niczego nie zmieniło, ale nie mogłam ryzykować.

– Zabiłaś go? – spytała Angel z zaciekawieniem. – Tymi swoimi niezwykłymi mocami i w ogóle?

– Musiałam. Od tej chwili to, co się dzieje w Dooling, musi zostać w Dooling.

– Ale… – Michaela przesunęła dłonią po twarzy. – To, co się dzieje w Dooling, dzieje się wszędzie. Mnie też to czeka.

– Nie w najbliższym czasie – odparła Evie. – I obejdziesz się bez środków pobudzających. – Wysunęła rozluźnioną pięść przez kraty, wystawiła palec i skinęła na Michaelę. – Chodź do mnie.

– Odradzam – ostrzegł Rand.

– Nie bądź głupia, Mickey – zawtórował mu Garth, łapiąc kobietę za przedramię.

– A co ty sądzisz, Clint? – spytała Evie z uśmiechem.

Świadom, że to oznacza kapitulację – nie tylko teraz, ale i w ogóle – powiedział:

– Puść ją.

Garth zwolnił uścisk. Michaela – jak zahipnotyzowana – zrobiła dwa kroki do przodu. Evie przycisnęła twarz do krat, patrząc jej w oczy. Rozchyliła usta.

– Będzie lesbijska akcja! – zapiała Angel. – Kamery w ruch, zboki, zaraz przejdą do lizania bobrów!

Michaela nie zważała na nią. Wpiła się ustami w usta Evie. Całowały się, oddzielone twardymi kratami, aż Clint usłyszał westchnienie, kiedy Eve Black wdmuchnęła powietrze do ust i płuc Michaeli. Poczuł, że włosy na rękach i karku stają mu dęba. Jego oczy zaszły łzami. Gdzieś krzyczała Jeanette; gdzieś rechotała Angel.

Wreszcie Evie oderwała się od Michaeli i zrobiła krok do tyłu.

– Słodkie usta – powiedziała. – Słodka dziewczyna. I jak się czujesz?

– Jestem przytomna – odparła Michaela. Oczy miała okrągłe, jej wargi drżały. – Jestem całkowicie przytomna! – Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Sine wory pod jej oczami zniknęły, ale to nie wszystko; skóra Michaeli naprężyła się, blade policzki poróżowiały. Odwróciła się do Gartha, który patrzył na nią z rozdziawionymi ustami. – Jestem naprawdę, naprawdę przytomna!

– Kurde mol – sapnął Garth. – Na to wygląda.

Clint szybkim ruchem zbliżył rozpostarte palce do twarzy Michaeli. Odchyliła głowę.

– Wrócił ci refleks – stwierdził. – Pięć minut temu nie mogłabyś tak zareagować.

– Jak długo będę w takim stanie? – Michaela złapała się za ramiona i mocno ścisnęła. – Czuję się cudownie!

– Kilka dni – powiedziała Evie. – Potem zmęczenie wróci, i to z nawiązką. Zaśniesz bez względu na to, jak uparcie będziesz z tym walczyć, i obrośniesz kokonem jak cała reszta. Chyba że…

– Chyba że ty dostaniesz to, czego chcesz – stwierdził Clint.

– To, czego chcę, nie ma już żadnego znaczenia – powiedziała Evie. – Myślałam, że to rozumiesz. Wszystko zależy od tego, co zrobią ze mną mężczyźni z miasta. I co postanowią kobiety po drugiej stronie Drzewa.

– O czym… – zaczął Garth, ale zanim mógł dokończyć, Jeanette wpadła na niego jak rozpędzony rugbista. Przycisnęła go do drzwi celi, odepchnęła ramieniem na bok i uczepiła się krat, wpatrzona w Evie.

– Teraz ja! Evie, mnie też tak zrób! Nie chcę dłużej z tym walczyć, nie chcę więcej widzieć człowieka z trawą, zrób mi to, co zrobiłaś jej!

Evie wzięła ją za ręce i spojrzała na nią ze smutkiem.

– Nie mogę, Jeanette. Najlepiej, żebyś przestała się opierać i poszła spać jak reszta kobiet. Przydałby się im tam ktoś tak dzielny i silny jak ty. Nazywają swój świat Naszym Miejscem. Może stać się też twoim miejscem.

– Proszę… – szepnęła Jeanette, ale Evie puściła jej dłonie.

Jeanette zatoczyła się do tyłu, depcząc po rozsypanych ziarnkach grochu i płacząc bezgłośnie.

– Nie wiem – powiedziała Angel w zamyśleniu. – Może jednak cię nie zabiję, Evie. Tak sobie myślę, że… Nie wiem. Jesteś uduchowiona. I jeszcze bardziej stuknięta niż ja. A to duży wyczyn.

Evie znów zwróciła się do Clinta i pozostałych:

– Przyjdą uzbrojeni mężczyźni. Chcą mnie, bo myślą, że wywołałam aurorę, a skoro tak, to mogę ją powstrzymać. To nie całkiem prawda… rzeczywistość jest bardziej złożona… to, że coś sama puściłam w ruch, nie znaczy, że sama mogę to zatrzymać… ale myślicie, że rozgniewani, przerażeni mężczyźni w to uwierzą?

– Za nic w świecie – rzucił Garth Flickinger.

Stojący za nim Billy Wettermore mruknął potakująco.

– Zabiją każdego, kto wejdzie im w drogę – ciągnęła Evie. – A kiedy nie zdołam jak dobra wróżka obudzić ich śpiących królewien skinieniem czarodziejskiej różdżki, zabiją i mnie. Potem, z czystej złośliwości, podpalą więzienie i wszystkie kobiety w nim.

Jeanette poszła do punktu odwszawiania, żeby kontynuować rozmowę z człowiekiem zwijającym skręty, ale Angel słuchała uważnie. Clint wręcz słyszał, jak humor jej się poprawia, niby generator, który obudził się do życia i z warkotem wchodzi na coraz wyższe obroty.

– Mnie nie zabiją – zaoponowała. – Nie bez walki.

Evie pierwszy raz przybrała poirytowaną minę. Clint pomyślał, że cokolwiek zrobiła, żeby obudzić Mickey Coates, mogło to wyczerpać jej zapas energii.

– Angel, zaleją cię, jak fala zalewa dziecku zamek z piasku.

– Może i tak, ale kilku zabiorę ze sobą. – Angel pokazała parę nieudolnych ciosów kung-fu. Na ich widok Clinta ogarnęło politowanie, którego ta więźniarka nigdy w nim nie wzbudziła.

– To ty nas tu sprowadziłaś? – spytała Michaela. Oczy miała błyszczące, przepełnione fascynacją. – Zwabiłaś nas tutaj? Gartha i mnie?

– Nie – odparła Evie. – Nie zdajecie sobie sprawy, jak bardzo jestem bezsilna. Mogę niewiele więcej niż jeden z rozwieszonych na sznurze królików człowieka z narkotykami, czekających, czy zostaną obdarte ze skóry czy puszczone wolno. – Skupiła wzrok na Clincie. – Masz jakiś plan? Czuję, że tak.

– Nic tak ambitnego – odparł. – Ale może uda mi się trochę zyskać na czasie. Mamy tu dobrze ufortyfikowaną pozycję, przydałoby się jednak jeszcze kilku ludzi…

– Raczej pluton marines – wtrącił Tig.

Clint pokręcił głową.

– Jeśli Terry Coombs i ten Geary nie ściągną posiłków spoza miasta, myślę, że wystarczy dwunastu, może nawet dziesięciu ludzi, żeby utrzymać więzienie. W tej chwili jest nas czterech. Pięciu, jeśli uda się przekabacić Scotta Hughesa, ale raczej na to nie liczę. – Clint mówił dalej, głównie do Mickey i lekarza, którego ze sobą przyprowadziła. Nie podobał mu się pomysł wysłania Flickingera na

misję, od której powodzenia zależał będzie los ich wszystkich – wygląd i zapach tego człowieka pod żadnym względem nie przeczyły oświadczeniu Evie, że był narkomanem pełną gębą – ale tylko na niego i córkę Janice Coates mógł w tych okolicznościach liczyć. – Problem główny to broń, a sprawą kluczową jest to, kto pierwszy dostanie ją do ręki. Wiem od żony, że na posterunku mają spory arsenał. Tak jest w większości miast wielkości Dooling; to skutek jedenastego września i późniejszego zagrożenia terroryzmem. Jeśli chodzi o broń krótką, są tam glocki 17 i sig… coś tam, tak chyba mówiła Lila.

– Sig-sauery – powiedział Billy Wettermore. – Dobra spluwa.

– Do tego półautomatyczne M4 z dużymi magazynkami – ciągnął Clint – i dwa remingtony model 700. Lila wspominała też, zdaje się, o granatniku kalibru 40 mm.

– Broń palna – powiedziała Evie do nikogo w szczególności. – Idealne rozwiązanie każdego problemu. Im więcej jej masz, tym bardziej idealnie rozwiązuje problem.

– Jaja sobie robisz? – krzyknęła Michaela. – Granatnik?

– Tak, ale nie na pociski z materiałem wybuchowym. Strzelają z niego gazem łzawiącym.

– Nie zapominaj o kamizelkach kuloodpornych. – Rand przybrał ponury ton. – Nabój z mossberga przebije je tylko z bardzo bliskiej odległości. A cięższej broni od mossów nie mamy.

– Czyli sytuacja jest beznadziejna – stwierdził Tig.

– Nie chcę nikogo zabić, jeśli nie będę musiał – powiedział Billy Wettermore. – Ci ludzie to nasi znajomi, na litość boską.

– Cóż, powodzenia życzę. – Evie podeszła do pryczy i włączyła telefon Hicksa. – Pogram trochę w Boom Town, a potem się zdrzemnę. – Uśmiechnęła się do Michaeli. – Na więcej pytań od mediów nie odpowiem. Cudownie całujesz, Mickey Coates, ale zupełnie mnie wyczerpałaś.

– Uważajcie, żeby was nie poszczuła swoimi szczurami – uprzedziła zgromadzonych Angel. – Robią wszystko, co im każe. W ten sposób zdobyła telefon Hicksiego.

– Szczury – mruknął Garth. – Coraz lepiej.

– Chodźcie ze mną – powiedział Clint. – Musimy porozmawiać, a czasu jest mało. Lada chwila odetną nam drogę wyjazdu.

Billy Wettermore wskazał na Jeanette, która siedziała po turecku we wnęce prysznicowej i żywo dyskutowała z kimś, kogo nikt poza nią nie widział.

– Co z Sorley?

– Nic jej nie będzie – zapewnił Clint. – Chodźmy. Idź spać, Jeanette. Odpocznij.

Nie patrząc na niego, Jeanette wypowiedziała tylko jedno słowo:

– Nie.

9

Gabinet naczelnika wyglądał, jakby stał opuszczony od lat, a nie od niespełna tygodnia. Jak wykopalisko archeologiczne, pomyślał Clint. Janice Coates leżała na kanapie, zawinięta w biały całun. Michaela podeszła do niej i uklękła jak do modlitwy. Głaskała kokon dłonią. Trzaskał jak materiał, w który pakuje się kruche przedmioty przed wysłaniem pocztą. Garth ruszył do niej, ale Clint złapał go za ramię.

– Proszę dać jej minutę, doktorze Flickinger.

Minęły prawie trzy, zanim Michaela wstała.

– Co możemy zrobić? – spytała.

– Potrafisz być nieustępliwa i przekonująca? – Clint odpowiedział pytaniem.

Przeszyła go wzrokiem.

– W wieku dwudziestu trzech lat zaczynałam w News America jako nieopłacana stażystka. Trzy lata później byłam pełnoetatową korespondentką i chcieli mi dać własny program wieczorny. – Zauważyła, że Billy zerknął wymownie na Tiga i Randa, i uśmiechnęła się do nich. – Znacie to lokalne powiedzonko, nie? Nie jest samochwałą, kto mówi prawdę. – Wróciła spojrzeniem do Clinta. – Oto moje referencje. Wystarczą?

– Oby – rzucił Clint. – Posłuchajcie.

Mówił przez następne pięć minut. Mieli pytania, ale nie było ich wiele. Byli przyparci do muru – i wszyscy o tym wiedzieli.

6 Tłum. Maciej Słomczyński.

ROZDZIAŁ 6

1

Alexander Peter Bayer, pierwsze dziecko urodzone po drugiej stronie Drzewa, syn byłej więźniarki zakładu w Dooling nazwiskiem Linda Bayer, wziął swój pierwszy oddech tydzień po powrocie Lili i Tiffany z ruin u stóp Lion Head. Lila poznała go osobiście kilka dni później na kameralnym spotkaniu w wyremontowanym domu Elaine Nutting Geary. Nie był konwencjonalnie ładnym noworodkiem; liczne fałdy na policzkach upodabniały go nie do bobasa z etykiet produktów Gerbera, tylko do Dużego Larry'ego, nielegalnego bukmachera, którego Lila kiedyś aresztowała. Mały Alexander jednak przekomicznie przewracał oczami, jakby nerwowo usiłował się zorientować, gdzie jest i skąd się wzięły te wszystkie górujące nad nim kobiece twarze.

Uczestniczki spotkania częstowały się nieco przypalonymi (ale i tak smacznymi) babeczkami. Upiekła je Nadine Hicks w przerwach między nękającymi ją atakami dziwnych zawrotów głowy. Wykorzystała do tego piec stojący na wolnym powietrzu, przywleczony z ruin Lowe's w Maylock na saniach ciągniętych przez konie Tiffany. Lilę czasem zadziwiało tempo postępu w ich świecie, to, jak szybko i sprawnie przezwyciężały problemy i wprowadzały nowe rozwiązania.

W którymś momencie dziecko znalazło się w jej rękach.

– Jesteś ostatnim czy pierwszym mężczyzną na ziemi? – spytała go.

Alexander Peter Bayer ziewnął.

– Przykro mi, Lila. Nie rozmawia z glinami. – Tiffany wyrosła obok niej w kącie salonu.

– Co ty powiesz?

– Tak ich uczymy od małego – odparła Tiffany.

Od czasu ich wspólnej przygody zawiązała się między nimi dziwna przyjaźń. Lila lubiła patrzeć, jak Tiffany jeździ konno po mieście w swoim białym kapeluszu kowbojskim, zachęcając dzieci, by podeszły bliżej i pogłaskały konie po szyi, przekonały się, jak miękką i ciepłą mają sierść.

2

Pewnego dnia, nie mając nic lepszego do roboty, Lila i Tiffany przetrząsnęły budynek YMCA w Dooling; nie szukały niczego konkretnego, zorientowały się po prostu, że to jedno z jeszcze niezbadanych miejsc. Znalazły sporo rzeczy, niektóre ciekawe, ale nic szczególnie użytecznego. Był papier toaletowy, ale w Shopwellu zostały jeszcze spore zapasy. Zachowały się też kartony mydła w płynie, które jednak z upływem lat stwardniało i zmieniło się w różowe cegły. Basen wysechł; został tylko słaby, gryzący odór chloru.

Męska szatnia była wilgotna i zatęchła, jej ściany bujnie obrosły zieloną, czarną i żółtą pleśnią. Na drugim końcu pomieszczenia leżało zmumifikowane truchło gryzonia, z nogami sztywno wyciągniętymi w górę i pyskiem zastygłym w dzikim grymasie agonii, obnażającym rzędy ostrych kłów. Lila i Tiffany przez chwilę stały w zadumie, wpatrzone w pierwszy z szeregu sześciu pisuarów.

– Zachował się w idealnym stanie – stwierdziła Lila.

Tiffany spojrzała na nią pytająco.

– On? – Wskazała na gryzonia.

– Nie. On. – Lila poklepała górę pisuaru, stukając ślubną obrączką w porcelanę. – Przyda się do naszego muzeum. Nazwiemy je Muzeum Utraconych Mężczyzn.

– Ha – powiedziała Tiffany. – Strasznie tu jak cholera, muszę przyznać. A wiem, co mówię, bo widziałam w życiu niejeden prawdziwy loch. Mogłabym napisać przewodnik po zapoconych, pełnych przeciągów, cuchnących ćpuńskich norach Appalachów, ale tu jest bardziej nieprzyjemnie. Wiedziałam, że męskie szatnie są koszmarne, lecz nie wyobrażałam sobie, że aż tak.

– Pewnie wyglądała lepiej, zanim się zestarzała – stwierdziła Lila, jednak bez większego przekonania.

Młotkami i dłutami rozbiły szyfrowe zamki w szafkach. Lila znalazła zegarki z zatrzymanymi wskazówkami, portfele pełne bezwartościowych zielonych papierków i bezużytecznych plastikowych prostokątów, padnięte smartfony, kółka z kluczami, spodnie pogryzione przez mole i sflaczałą piłkę do koszykówki. Łupy Tiffany były niewiele lepsze: prawie pełne opakowanie tic taców i wyblakłe zdjęcie łysego mężczyzny o włochatej piersi stojącego na plaży z roześmianą córeczką na ramionach.

– Założę się, że zrobione na Florydzie – powiedziała Tiffany. – Tam jeżdżą ci przy forsie.

– Pewnie tak. – Na widok zdjęcia Lila pomyślała o synu. Ostatnio wydawało się jej to coraz bardziej bezcelowe, ale i tak nie mogła się przed tym powstrzymać. Mary opowiedziała jej, jak Clint grał na zwłokę, żeby zatrzymać załogę w więzieniu, i jak Jared ukrył ich ciała (nasze drugie ciała, pomyślała Lila) na strychu domu pokazowego. Czy kiedyś jeszcze dostanie jakieś wieści o którymkolwiek z nich? Po Mary pojawiło się parę nowych kobiet, ale nic nie wiedziały o jej dwóch mężczyznach, bo i skąd miałyby wiedzieć? Jared i Clint byli na statku kosmicznym, który coraz bardziej się od niej oddalał, o całe lata świetlne; pewnego dnia opuszczą galaktykę i to będzie koniec. *Finito*. Kiedy powinna zacząć ich opłakiwać? A może już zaczęła?

– No nie – odezwała się Tiffany. – Przestań.

– Co mam przestać?

Tiffany przejrzała ją na wylot, dostrzegła skrywane przez nią poczucie beznadziei i zagubienia.

– Nie ulegaj temu. – Odłożyła zdjęcie do szafki i zamknęła drzwi.

W sali gimnastycznej na górze zaproponowała Lili grę w króla kosza. Nagrodą dla zwyciężczyni miało być prawie pełne opakowanie

tic taców. Napompowały piłkę. Żadna z nich nie miała talentu do koszykówki. Córka Clinta, która, jak się okazało, nie była jego córką, ograłaby je z palcem w nosie. Tiffany za każdym razem rzucała od dołu, co Lili wydawało się irytująco dziewczęce, a zarazem urocze. Teraz, kiedy zdjęła kurtkę, widać było jej sterczący ciężarny brzuch, zaokrąglający się nad talią.

– Dlaczego Dooling? Dlaczego my? To są pytania, które należałoby zadać, nie sądzisz? – Lila potruchtała po piłkę, którą Tiffany wrzuciła na zakurzoną trybunę po prawej stronie boiska. – Mam pewną teorię.

– Tak? Zamieniam się w słuch.

Lila rzuciła z trybuny. Piłka przeleciała dwie długości samochodu od kosza i wylądowała w drugim rzędzie przeciwległej trybuny.

– Żałosne – skwitowała Tiffany.

– Przyganiał kocioł garnkowi.

– Też prawda.

– Mamy dwie lekarki i kilka pielęgniarek. Mamy weterynarza. Mamy grupę nauczycielek. Kayleigh znała się na elektryce; już jej nie ma, ale Magda też nieźle sobie radzi. Mamy cieślę. Mamy dwie muzyczki. Mamy socjolożkę, która już pisze książkę o nowym społeczeństwie.

– Tak, a kiedy skończy, Molly będzie mogła ją wydrukować swoim atramentem z porzeczek. – Tiffany parsknęła śmiechem.

– Mamy emerytowaną profesor inżynierii. Mamy od pioruna szwaczek, ogrodniczek i kucharek. Dziewczyny z klubu książkowego założyły grupę wsparcia, żeby kobiety mogły otwarcie rozmawiać o wszystkim, czego im brakuje, i choć trochę ulżyć smutkowi i rozpaczy. Mamy nawet zaklinaczkę koni. Rozumiesz?

Tiffany podniosła piłkę.

– Co mam rozumieć?

– Nikogo więcej nam nie trzeba. – Lila zeszła z trybuny i stanęła ze skrzyżowanymi ramionami na linii końcowej. – Dlatego wybór padł na nas. Mamy wszystkie podstawowe umiejętności niezbędne do przetrwania.

– Okej. Może. Niewykluczone. To by się mniej więcej zgadzało. – Tiffany zdjęła kowbojski kapelusz i powachlowała się nim. Nie kryła

rozbawienia. – Typowy z ciebie glina. Zawsze musisz rozwiązywać zagadki.

Lila jednak jeszcze nie skończyła.

– Co więc dalej? Urodziło się pierwsze dziecko. A ile kobiet jest w ciąży? Dwanaście? Osiem?

– Koło dziesięciu. Myślisz, że to wystarczy, żeby zaludnić nowy świat, skoro połowa zapewne urodzi dziewczynki?

– Nie wiem. – Lila improwizowała z wypiekami na twarzy, ożywiona pomysłami, które przychodziły jej do głowy. – Ale to już jakiś początek i założę się, że gdzieś tam są chłodnie zasilane generatorami zaprogramowanymi na wieczne działanie i działającymi do dzisiaj. Pewnie trzeba by pójść do dużego miasta, żeby jakąś znaleźć, ale to jest do zrobienia. A w tych chłodniach przechowywane są zamrożone próbki spermy. I na pewno jest ich dosyć, żeby powołać do życia świat… nowy świat.

Tiffany włożyła kapelusz na tył głowy i parę razy odbiła piłkę o ziemię.

– Nowy świat, hę?

– Być może ona tak to zaplanowała. Ta kobieta. Eve. Żebyśmy mogły zacząć od nowa bez mężczyzn – stwierdziła Lila.

– Rajski ogród bez Adama, co? No dobra, pani komendant, mam pytanie.

– Słucham.

– Czy to jest dobry plan? To, co ta kobieta nam zgotowała?

Celne pytanie, pomyślała Lila. Mieszkanki Naszego Miejsca bez końca dyskutowały o Eve Black; plotki zrodzone w starym świecie przeniosły się do nowego; rzadkością były Spotkania, na których nie padało jej nazwisko (o ile to było jej nazwisko). Była rozwinięciem i możliwą odpowiedzią na pierwotne pytania, wielkie Jak? i Dlaczego? odnoszące się do ich sytuacji. Zastanawiały się, czy to możliwe, by była kimś więcej niż kobietą – więcej niż człowiekiem – i panowało coraz bardziej zgodne przekonanie, że to ona jest przyczyną wszystkiego, co się stało.

Z jednej strony Lila opłakiwała kobiety, które zginęły – Millie, Nell, Kayleigh, Jessicę Elway i kto wie, jak wiele innych – a także zerwane więzi z przeszłością i dawnym życiem tych, które przetrwały. Ich

mężczyźni i chłopcy zniknęli. A jednak większość – w tym także ona, zdecydowanie – nie mogła zaprzeczyć odnowie dokonującej się na ich oczach: wystarczyło spojrzeć na Tiffany Jones – z jej pełnymi policzkami, czystymi włosami i drugim sercem bijącym w jej ciele. Na starym świecie byli mężczyźni, którzy krzywdzili Tiff, i to potwornie. Byli mężczyźni, którzy spalali kobiety, obracając je w popiół w obu rzeczywistościach, brygady zapalające, jak według Mary ich nazywano. Były złe kobiety i byli źli mężczyźni; kto jak kto, ale ona, Lila, miała prawo tak powiedzieć, bo aresztowała sporo jednych i drugich. Mężczyźni jednak więcej wojowali; więcej zabijali. Pod tym jednym względem płci nigdy nie były sobie równe: nie były równie niebezpieczne.

Dlatego owszem, Lila sądziła, że to jest dobry plan. Bezlitosny, ale bardzo dobry. Świat urządzony na nowo przez kobiety miał szansę być bezpieczniejszy i bardziej sprawiedliwy. A jednak…

– Nie wiem. – Nie mogła powiedzieć, że bez syna jest jej lepiej. Mogła sformułować taką myśl w głowie, ale gdyby ją wyartykułowała, poczułaby, że zdradza Jareda i swoje dawne życie.

Tiffany skinęła głową.

– W takim razie drugie pytanie: umiesz rzucać tyłem?

Odwróciła się plecami do kosza, ugięła nisko kolana i cisnęła piłkę nad głową. Piłka poszybowała w górę, odbiła się od rogu tablicy, trafiła w obręcz kosza… i spadła na boisko, hop, hop, hop, tak niewiele zabrakło.

3

Żółtobrunatna ciecz rzygnęła z kranu. Rura brzęknęła głośno o rurę. Brązowawy płyn trysnął silniejszym strumieniem, potem zupełnie przestał płynąć i wreszcie, alleluja, czysta woda polała się do zlewu.

– No i leci – powiedziała Magda Dubcek do małej grupy zebranej wokół zlewu roboczego pod ścianą zakładu uzdatniania wody.

– Niesamowite! – zachwyciła się Janice Coates.

– E, tam… Ciśnienie, grawitacja, żadna filozofia. Teraz trzeba ostrożnie podłączać dzielnice, każdą oddzielnie. Spiesz się powoli.

Lila pomyślała o starym liściku od syna Magdy, Antona, niewątpliwie półgłówka i psa na baby, który jednak, jak matka, był z wodą za pan brat, i raptownie uściskała staruszkę.

– Och, już dobrze – powiedziała Magda. – Już dobrze.

Plusk wody rozbrzmiewał echem w długim pomieszczeniu zakładu uzdatniania wody w Dooling, uciszając je wszystkie. Milczące kobiety jedna po drugiej wsuwały dłonie pod świeży strumień.

4

Jedno, czego wszystkim brakowało, to możliwość, by wsiąść do samochodu i gdzieś pojechać, zamiast wszędzie chodzić pieszo i nabawiać się pęcherzy na nogach. Auta wciąż istniały, te zaparkowane w garażach w całkiem przyzwoitym stanie, i przynajmniej niektóre z odnalezionych akumulatorów były jeszcze naładowane. Głównym problemem był brak benzyny. Wszystkie jej zapasy zdążyły się utlenić.

– Trzeba będzie jej trochę wydestylować – wyjaśniła emerytowana profesor inżynierii na zebraniu komitetu.

Nie więcej niż dwieście trzydzieści kilometrów od Dooling, w Kentucky, były podziemne magazyny i rafinerie, które przy odpowiedniej dozie pracy i szczęścia można by uruchomić. Natychmiast zaczęły planować następną wyprawę; rozdzieliły zadania i wybrały ochotniczki. Lila popatrzyła po zebranych kobietach, szukając w ich twarzach oznak wątpliwości. Nie dostrzegła żadnych. Szczególną uwagę zwróciła na Celię Frode, jedyną ocalałą uczestniczkę poprzedniej ekspedycji. Kiwała głową razem ze wszystkimi.

– Dopiszcie mnie do listy – powiedziała Celia. – Idę z wami. Ciągnie mnie w świat.

Będzie ryzykownie, ale tym razem zachowają większą ostrożność. Nic ich nie odstraszy.

5

Kiedy wdrapały się na piętro domu pokazowego, Tiffany oświadczyła, że nie zamierza wejść po drabinie na strych.

– Poczekam tutaj.

– Skoro nie chcesz tam wejść, po co w ogóle przyszłaś? – spytała Lila. – Nie jesteś w aż tak zaawansowanej ciąży.

– Liczyłam, że mistrzyni łaskawie podzieli się ze mną tic tacami. I jestem w wystarczająco zaawansowanej ciąży, wierz mi.

– Masz. – Lila, która została królową kosza i wygrała miętusy, rzuciła opakowanie do Tiffany, a później wdrapała się po drabinie.

Dom pokazowy w Pine Hills, jak na ironię, okazał się zbudowany solidniej od prawie wszystkich pozostałych budynków na Tremaine, z domem Lili włącznie. Strych, choć ciemny – zbierający się latami brud przesłonił małe okna – był suchy. Kurz wzbijał się spod nóg Lili, kiedy chodziła po pomieszczeniu. Mary mówiła, że to tutaj była z nią i panią Ransom po tamtej stronie, gdziekolwiek to było. Lila pragnęła poczuć tu obecność samej siebie, obecność swojego syna.

Nie czuła nic.

Na końcu strychu ćma biła skrzydłami w brudne okno. Lila podeszła, żeby ją wypuścić. Okno się zacięło. Usłyszała skrzypnięcie za plecami – to Tiffany weszła po drabinie. Odsunęła Lilę na bok, wyjęła scyzoryk, podłubała ostrzem pod ramą i okno poszło w górę. Ćma odfrunęła.

W dole leżał śnieg – na zapuszczonych trawnikach, na zniszczonej ulicy, na wraku radiowozu Lili, który stał przed domem pani Ransom. Konie Tiffany węszyły to tu, to tam, cicho rżały do siebie o tym, o czym konie do siebie rżą, majtały ogonami. Widok z okna sięgał za dom Lili, za basen, którego nie chciała, a którego pielęgnacją zajmował się Anton, za wiąz, w którego sprawie zostawił jej liścik. Rude zwierzę wybiegło z ciemnego skraju sosnowego lasu na tyłach osiedla. Lis. Nawet z tej odległości widać było jego połyskujące zimowe futro. Jak to możliwe, że zima przyszła tak wcześnie?

Tiffany stała na środku strychu. Był suchy, ale zimny, zwłaszcza przy otwartym oknie. Oddała Lili tic taki.

– Chciałam zjeść wszystkie, ale to byłoby nie w porządku. Skończyłam z przestępczym życiem.

Lila uśmiechnęła się i schowała cukierki do kieszeni.

– Niniejszym oświadczam, że jesteś zrehabilitowana.

Stały może pół metra od siebie, patrzyły sobie w oczy, ich oddechy zmieniały się w parę. Tiffany zdjęła kapelusz i upuściła go na podłogę.

– Nie myśl, że to żart. Nie chcę ci niczego zabierać, Lila. Ani tobie, ani nikomu innemu.

– A czego chcesz?

– Własnego życia. Dziecka, domu i tak dalej. Ludzi, którzy mnie kochają.

Lila zamknęła oczy. Kiedyś miała to wszystko. Nie czuła obecności Jareda, nie czuła obecności Clinta, ale ich pamiętała, pamiętała własne życie. Te wspomnienia bolały. Tworzyły kształty w śniegu – niczym śnieżne anioły, które robili w dzieciństwie – ale z dnia na dzień coraz bardziej się zacierały. Boże, ależ była samotna.

– To nie tak znów dużo – powiedziała i otworzyła oczy.

– Dla mnie owszem. – Tiffany wyciągnęła ręce i przyciągnęła twarz Lili do swojej twarzy.

6

Lis potruchtał z osiedla Pine Hills na drugą stronę Tremaine Street, w gęste łany pszenicy ozimej. Szukał zapachu wiewiórek ziemnych pogrążonych w zimowym śnie. Lis uwielbiał wiewiórki ziemne – chrupiące! soczyste! – a po tej stronie Drzewa, gdzie długo nie niepokoili ich ludzie – stały się nieostrożne.

Po półgodzinnych poszukiwaniach znalazł małą rodzinę w wykopanej norze. Nie obudziły się, nawet kiedy miażdżył je w zębach. Ale pychota!, powiedział sobie.

Ruszył dalej, w głąb lasu, kierując się do Drzewa. Po drodze zajrzał do opuszczonego domu. Nasikał na stertę książek rozrzuconych po podłodze i powęszył w szafie pełnej zbutwiałej bielizny pościelowej,

ale nic ciekawego nie znalazł. W kuchni stała lodówka z jedzeniem, które roztaczało rozkosznie zgniły zapach; jego próby uderzenia w drzwi, tak żeby się uchyliły, spełzły na niczym.

– Wpuść mnie – nakazał lis lodówce, na wypadek gdyby tylko udawała martwą.

Lodówka górowała nad nim w milczeniu.

Mokasyn wypełzł spod opalanego drewnem piecyka na drugim końcu kuchni.

– Dlaczego świecisz? – zapytał lisa. Inne zwierzęta też czyniły uwagi na temat tego zjawiska; budziło w nich lęk. Lis zobaczył, o co chodzi, dopiero kiedy przejrzał się w nieruchomej wodzie. Otaczał go złocisty blask. To był Jej znak.

– Dopisało mi szczęście – powiedział lis.

Mokasyn wysunął ruchliwy język w jego stronę.

– Chodź tutaj. Daj się ukąsić.

Lis wybiegł z domku. Rozmaite ptaki szydziły z niego, kiedy pędził pod sklepieniem sękatych, splątanych, nagich gałęzi, ale ich małostkowe docinki nic nie znaczyły dla lisa, który miał pełny brzuch i sierść gęstą jak niedźwiedzie futro.

Kiedy wbiegł na polanę, zobaczył Drzewo, centralny punkt bujnej, parującej oazy pośród zaśnieżonych pól. Jego łapy przeszły ze zmrożonej ziemi na ciepły, żyzny letni ił, odwieczne podłoże Drzewa. Niezliczone odcienie zieleni kładły się warstwami i mieszały ze sobą na gałęziach, a obok przejścia w pniu siedział biały tygrys. Kiwając wielkim ogonem, patrzył sennymi ślepiami na zbliżającego się lisa.

– Nie przeszkadzaj sobie – powiedział lis. – Tylko przechodzę. – Dał susa w czarną dziurę i wyskoczył po drugiej stronie.

ROZDZIAŁ 7

1

Zmiennicy Dona Petersa i Erica Blassa jeszcze nie dotarli na blokadę na West Lavin, kiedy od strony więzienia nadjechał mocno poobijany mercedes SL 600. Don stał w krzakach i wytrząsał ostatnie krople moczu. Pospiesznie zasunął rozporek i wrócił do pikapa, który zastępował im radiowóz. Eric stał na środku drogi z wyciągniętą bronią.

– Schowaj armatę, młody – polecił Don i Eric wsunął glocka do kabury.

Kierowca mercedesa, kędzierzawy, rumiany mężczyzna, posłusznie zatrzymał wóz, kiedy Don uniósł dłoń. Obok niego siedziała ładna kobieta. Zdumiewająco ładna, zwłaszcza w porównaniu z zombi-laskami, na które napatrzyli się z Erikiem w ostatnich dniach. Poza tym wyglądała znajomo.

– Prawo jazdy i dowód rejestracyjny – powiedział Don. Nie dostał polecenia, by legitymować kierowców, ale pomyślał, że gliny podczas kontroli samochodu zawsze tak mówią. Patrz i się ucz, młody, pomyślał. Zobacz, jak to robi mężczyzna.

Kierowca podał prawo jazdy; kobieta chwilę grzebała w schowku, aż znalazła dowód rejestracyjny. Facet nazywał się Garth Flickinger. Z Dooling, adres w najlepszej dzielnicy miasta, na Briar.

– Możecie wyjaśnić, co robiliście w więzieniu?

– To był mój pomysł, panie władzo – powiedziała kobieta. Boże, ale laska. Żadnych worów pod oczami ani nic. Don był ciekaw, co suka bierze, że jest taka żwawa. – Nazywam się Michaela Morgan. Z News America, kojarzy pan?

– Wiedziałem, że skądś panią znam! – krzyknął Eric.

Donowi to nic nie mówiło, nie oglądał wiadomości na głównych kanałach, a tym bardziej całodobowego bełkotu w stacjach informacyjnych, ale teraz już pamiętał, gdzie ją widział.

– No tak! Squeaky Wheel. Piłaś tam!

Obdarzyła go oślepiającym uśmiechem, eksponującym zęby z koronami i wydatne kości policzkowe.

– Rzeczywiście! Jakiś człowiek wygłosił mowę o tym, że Bóg karze kobiety za noszenie spodni. Bardzo to było zajmujące.

– Da mi pani autograf? – zapytał Eric. – To będzie fajna pamiątka, kiedy już pani… – Urwał, zmieszany.

– Kiedy zasnę? – dokończyła za niego. – Wygląda na to, że rynek autografów się załamał, przynajmniej tymczasowo, ale jeśli Garth… doktor Flickinger ma w schowku długopis, nie widzę powodu, żeby nie…

– Zapomnij – uciął ostro Don. Był zażenowany brakiem profesjonalizmu swojego młodego partnera. – Chcę wiedzieć, dlaczego byliście w więzieniu, i nie puszczę was, dopóki mi nie powiecie.

– Oczywiście, panie władzo. – Ponownie poraziła go blaskiem uśmiechu. – Chociaż w telewizji występuję pod nazwiskiem Morgan, naprawdę nazywam się Coates i jestem stąd. Tak się składa, że naczelnik to…

– Coates to twoja matka? – Don był w szoku. Ale pomijając nos tej kobiety, ostry jak strzała (nie to, co krzywy kinol starej Janice), rzeczywiście dostrzegał podobieństwo. – Cóż, przykro mi, ale twojej matki nie ma już z nami.

– Wiem. – Uśmiech zniknął. – Doktor Norcross mi powiedział. Rozmawialiśmy przez bramofon.

– Gość to skończony dupek – stwierdził ten Flickinger czy jak mu tam.

Don uśmiechnął się szeroko, nie mógł się powstrzymać.

– Podpisuję się pod tym obiema rękami. – Oddał papiery.

– Nie chciał jej wpuścić – dziwił się Flickinger. – Nie dał jej nawet pożegnać się z rodzoną matką.

– Cóż – odezwała się Michaela – prawda jest taka, że to nie był jedyny powód, dla którego namówiłam Gartha, żeby mnie tam zawiózł. Chciałam też zrobić wywiad z kobietą nazwiskiem Eve Black. Na pewno słyszeliście plotki, że zasypia i normalnie się budzi. To byłaby prawdziwa bomba, rozumiecie. W tych dniach mało co ludzi interesuje, ale to by ich zainteresowało. Tyle że Norcross powiedział, że ona jest w kokonie, tak jak reszta osadzonych.

Don poczuł się w obowiązku wyprowadzić ją z błędu. Kobiety – nawet reporterki, jak się okazuje – bywały boleśnie naiwne.

– Pic na wodę, każdy to wie. Ona jest inna, wyjątkowa, a on trzyma ją u siebie z jakiegoś chorego powodu. Ale to wkrótce się zmieni. – Puścił do niej oko tak ostentacyjnie, że Garth też to zauważył i odmrugnął w odpowiedzi. – Jak będziesz dla mnie miła, może załatwię ci ten wywiad, kiedy już ją odbijemy.

Michaela zachichotała.

– Lepiej zajrzę wam do bagażnika – stwierdził Don. – Tak tylko, żebym mógł powiedzieć, że to zrobiłem.

Garth wysiadł i szarpnięciem otworzył bagażnik. Klapa – ją też Geary mocno poobijał – uniosła się ze znużonym jękiem. Miał nadzieję, że ten błazen nie zajrzy pod koło zapasowe; tam zabunkrował torebkę fioletowej błyskawicy. Błazen nie zadał sobie tej fatygi – jeden rzut oka i kiwnął głową. Garth zamknął bagażnik. Tym razem jęk był jeszcze głośniejszy, jak skowyt kota, któremu ktoś przytrzasnął drzwiami łapę.

– Co się stało z pańskim samochodem? – spytał Eric, kiedy Garth wrócił za kierownicę.

Garth otworzył usta, żeby odpowiedzieć, że wyżył się na nim oszalały hycel, po czym przypomniał sobie, że oszalały hycel w tej chwili jest, według Norcrossa, tymczasowym szeryfem.

– Gówniarze – rzucił. – Wandale. Zobaczą coś ładnego i od razu chcą to zniszczyć, nie?

Błazen schylił się, żeby spojrzeć na śliczną pasażerkę.

– Po pracy idę do Squeaka. Jeśli do tego czasu nie zaśniesz, chętnie postawię ci drinka.

– Doskonały pomysł – odparła Michaela, jakby naprawdę tak uważała.

– Jedźcie ostrożnie. Miłego wieczoru.

Garth wrzucił bieg, ale zanim mógł zjechać na drogę, małolat zawołał:

– Chwilę!

Garth znieruchomiał. Chłopak stał pochylony, z dłońmi na kolanach, i patrzył na Michaelę.

– To co, da mi pani ten autograf?

Jak się okazało, w schowku jednak był długopis – ładny, z napisem „Dr Garth Flickinger", wybitym złotymi literami na obudowie. Michaela nagryzmoliła „Ericowi, z najlepszymi życzeniami" na odwrocie wizytówki jakiegoś przedstawiciela medycznego i podała chłopakowi kartonik. Zanim skończył dziękować, Garth już ruszył.

Jakiś kilometr dalej, na drodze numer 31 w kierunku miasta, napotkali kolejny radiowóz, pędzący z naprzeciwka.

– Zwolnij – powiedziała Michaela.

Kiedy tylko radiowóz zniknął za wzniesieniem z tyłu, kazała mu dodać gazu.

2

Lila dwa lata suszyła Clintowi głowę o to, żeby dodał jej listę kontaktów do swojej, w razie gdyby coś złego się działo w więzieniu. Pół roku temu w końcu to zrobił, głównie po to, żeby dała mu spokój, i teraz dziękował Bogu za jej upór. Najpierw zadzwonił do Jareda i polecił mu, by nigdzie się nie ruszał; jak dobrze pójdzie, powiedział synowi, zaraz po zmroku ktoś po niego przyjedzie. Prawdopodobnie kamperem. Potem zamknął oczy, zmówił krótką modlitwę o elokwencję i zadzwonił do adwokata, który pomógł zorganizować przeniesienie Eve Black do więzienia.

Po pięciu sygnałach, kiedy Clint już się oswajał z myślą, że będzie musiał zostawić wiadomość w poczcie głosowej, Barry Holden odebrał.

– Tu Holden. – Wydawał się znudzony i wyczerpany.

– Mówi Clint Norcross. Dzwonię z więzienia, Barry.

– Clint. – I ani słowa więcej.

– Chcę, żebyś mnie posłuchał. Bardzo uważnie. – Barry Holden milczał. – Jesteś tam?

Krótka pauza.

– Jestem. – Ten sam znudzony głos.

– Gdzie Clara i twoje córki? – Cztery dziewczynki w wieku od trzech do dwunastu lat. Coś strasznego dla kochającego je ojca, ale być może, choć okropnie tak myśleć, korzystnego dla Clinta; nie musiał mówić o losie świata, tylko o losie najbliższych Barry'ego, zdanych na łaskę i niełaskę fortuny.

– Na górze. Śpią. – Barry się zaśmiał. Nie był to jednak śmiech autentyczny, raczej ha-ha-ha z komiksowego dymka. – To znaczy… rozumiesz… zawinięte w te… nie wiem, jak to nazwać. Siedzę w salonie ze strzelbą. Jeśli ktoś się tu pojawi, choćby z zapaloną zapałką, rozwalę mu łeb.

– Sądzę, że jest sposób, żeby uratować twoją rodzinę. Że można je obudzić. Jesteś zainteresowany?

– Chodzi o tę kobietę? – W głosie Barry'ego zabrzmiała nowa nuta. Jakby nagle odżył. – To prawda, co mówią? Że zasypia i się budzi? Jeśli to tylko plotka, bądź ze mną szczery. Nie chcę się katować złudną nadzieją.

– To prawda. Teraz słuchaj. Jedzie do ciebie dwoje ludzi. Lekarz i córka naczelnik Coates.

– Michaela jeszcze nie śpi? Po tak długim czasie? – Barry zaczynał wracać do formy. – W sumie nie jest to niemożliwe; Gerda, moja najstarsza, wytrzymała do zeszłego wieczoru… ale to i tak nadzwyczajne.

– Mało, że nie śpi; jest całkowicie przytomna. W odróżnieniu od wszystkich innych kobiet w okolicy, które jeszcze mają otwarte oczy. To dzięki kobiecie, którą tu trzymamy. Wdmuchnęła jej powietrze do gardła i w ten sposób ją obudziła.

– Jeśli to żart, Norcross, to jest w wyjątkowo złym gu…

– Sam zobaczysz. Wszystko ci wyjaśnią, po czym poproszą cię, żebyś zrobił coś bardzo niebezpiecznego. Nie chcę powiedzieć, że jesteś naszą jedyną nadzieją, ale chyba tak się sprawy mają. – Clint zamknął oczy, wolną ręką potarł skroń. – I jest bardzo mało czasu.

– Zrobiłbym wszystko dla mojej żony i dziewczynek – powiedział Barry. – Wszystko.

Clint pozwolił sobie na głębokie westchnienie ulgi.

– Miałem nadzieję, że to powiesz, kolego.

3

Barry Holden rzeczywiście miał strzelbę. Nie była nowa, służyła trzem pokoleniom Holdenów, ale oczyścił ją i naoliwił, wyglądała więc względnie groźnie. Leżała na jego udach, kiedy słuchał Gartha i Michaeli. Obok, na stoliku ozdobionym jedną z koronkowych serwetek wydzierganych przez Clarę Holden, stało otwarte pudełko grubych czerwonych nabojów.

Mówiąc na zmianę, Michaela i Garth powtórzyli adwokatowi, co powiedział im Clint: że pojawienie się Eve Black zbiegło się w czasie z pierwszymi doniesieniami o zachorowaniach na aurorę; że zabiła dwóch mężczyzn gołymi rękami; że bez oporu pozwoliła się aresztować, bo, jak twierdziła, taki był jej cel; że waliła twarzą w kratę w radiowozie Lili; że jej sińce zagoiły się błyskawicznie, jak za sprawą magii.

– Oprócz tego, że mnie uleczyła, wiedziała o mnie rzeczy, których nie mogła wiedzieć – powiedziała Michaela. – Mówią też, że ma władzę nad szczurami. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale…

Garth jej przerwał:

– Inna więźniarka, Fitzroy, powiedziała nam, że Black z pomocą szczurów zabrała zastępcy naczelnika telefon komórkowy. I rzeczywiście ma telefon komórkowy. Widziałem go.

– To nie wszystko – powiedziała Michaela. – Twierdzi, że zabiła sędziego Silvera. Mówiła, że… – Zawiesiła głos, niepewna, czy ujawnić ten szczegół, ale Clint kazał im powiedzieć prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. „Pamiętajcie, że nawet jeśli jest pogrążony w rozpaczy, to wciąż pozostaje prawnikiem, i to cholernie dobrym”, tłumaczył. „Potrafi wyczuć kłamstwo z czterdziestu metrów, nawet kiedy wiatr wieje w przeciwną stronę”.

– Mówiła, że wykorzystała do tego ćmy. Bo Silver chciał ściągnąć do pomocy kogoś spoza miasta, a to zabronione.

Michaela wiedziała, że jeszcze tydzień temu Barry Holden uznałby, że albo coś im się uroiło, albo to jakiś kiepski żart, który mógł się zrodzić tylko w upalonym umyśle, i wyprosiłby ich z domu. Ale to było tydzień temu. Dziś, zamiast ich wyrzucić, podał Michaeli strzelbę dziadka.

– Proszę potrzymać. – Na stoliku leżał laptop. Barry usiadł na kanapie (też bogato ozdobionej robótkami żony) i zaczął stukać w klawisze. Po chwili podniósł wzrok. – Policja hrabstwa Bridger donosi o wypadku na Old Coughlin Road. Jedna ofiara śmiertelna. Nazwiska nie podali, ale samochód to land rover. Sędzia Silver jeździ land roverem.

Przyjrzał się Michaeli Coates. Z tego, co mu powiedzieli, wynikało, że los każdej kobiety na planecie Ziemia zależy od tego, co w najbliższych dniach wydarzy się tutaj, w Dooling. Obłęd, pomyślałby w innych okolicznościach, ale córka naczelnik Coates, siedząca w ulubionym giętym fotelu bujanym Clary i patrząca na niego z poważną miną, była najlepszym argumentem przemawiającym za tym, że to wszystko prawda. Może nawet argumentem niezbitym. Tego ranka CNN podało, że według ostatnich szacunków w piątym dniu aurory nie śpi jeszcze niespełna dziesięć procent kobiet na całym świecie. Barry nie mógł tego wiedzieć na pewno, ale założyłby się o flintę dziadka Holdena, że żadna z nich nie wyglądała jak Michaela.

– Wystarczyło, że panią… Co? Pocałowała? Jak książę królewnę Aurorę w kreskówce?

– Tak – odparła Michaela. – Właśnie tak. I wdmuchnęła mi powietrze do gardła. Myślę, że to tak na mnie podziałało… jej oddech.

Barry przeniósł wzrok na Gartha.

– Był pan przy tym?

– Tak. Niesamowita sprawa. Mickey wyglądała jak wampir świeżo po transfuzji. – Garth napotkał chmurne spojrzenie Michaeli i dodał: – Przepraszam, skarbie, może nie najlepsza przenośnia.

– Ściśle mówiąc, to było porównanie – rzuciła chłodno.

Barry wciąż próbował to zrozumieć.

– I mówi, że po nią przyjdą? Gliny? Ludzie z miasta? I że władzę przejął Frank Geary?

– Tak. – Michaela przemilczała wszystko, co Evie mówiła o decyzji, którą musiały podjąć uśpione kobiety; nawet jeśli to była prawda, nie mieli na to żadnego wpływu.

– Znam Geary'ego – powiedział Barry. – Nigdy go nie broniłem, ale parę razy był w sądzie okręgowym. Pamiętam, że jakaś kobieta złożyła na niego skargę, bo jej groził, kiedy nie trzymała swojego rottweilera na smyczy. Jest, delikatnie mówiąc, porywczy.

– Jakbym nie wiedział – mruknął Garth. Barry spojrzał na niego i uniósł brwi. – Mniejsza z tym – powiedział Garth. – Nieważne.

Holden wziął strzelbę od Michaeli.

– No dobrze, wchodzę w to. Po pierwsze, bez Clary i dziewczynek i tak nie mam nic innego do roboty. Po drugie… chcę zobaczyć tę tajemniczą kobietę na własne oczy. Co według Clinta miałbym zrobić?

– Mówił, że ma pan winnebago – powiedziała Michaela. – Że wozi nim pan żonę i córki na wakacje.

Barry się uśmiechnął.

– Nie winnebago, fiestę. Zżera masę paliwa, ale jest pojemna. Dziewczynki prawie na okrągło się kłócą, ale przeżyliśmy wiele pięknych chwil w tym starym gracie. – Jego oczy nagle zaszkliły się od łez. – Bardzo, bardzo pięknych chwil.

4

Barry Holden trzymał swojego fleetwooda fiestę na małym parkingu za staroświeckim klocowatym granitowym budynkiem, w którym mieściła się jego kancelaria. Monstrualnie wielki kamper pomalowany był w pasy zebry. Barry usiadł za kierownicą, Michaela zajęła miejsce pasażera. Czekali na meldunek Gartha, który poszedł na zwiad pod posterunek. Rodzinna strzelba Holdenów leżała na podłodze między nimi.

– Jak pani myśli, jest choć cień szansy, że się uda? – spytał Barry.

– Nie wiem – odparła Michaela. – Mam taką nadzieję, ale szczerze mówiąc, nie wiem.

– Cóż, to szaleństwo, bez wątpienia. Ale lepsze to, niż siedzieć w domu i snuć ponure wizje.

– Trzeba zobaczyć Evie Black, żeby to w pełni zrozumieć. Trzeba z nią porozmawiać. Trzeba… – Szukała właściwego słowa. – Trzeba jej… doświadczyć. Jest…

Zadzwoniła komórka Michaeli. Garth.

– Jakiś brodaty dziadek siedzi pod parasolem na jednej z ławek przed budynkiem, ale poza tym droga wolna. Na parkingu z boku żadnego radiowozu, tylko kilka prywatnych samochodów. Jeśli mamy to zrobić, trzeba się pospieszyć. Tego kampera raczej nie sposób nie zauważyć.

– Jedziemy – rzuciła Michaela i się rozłączyła.

Zaułek między budynkiem Barry'ego a sąsiednim był wąski – po bokach masywnego fleetwooda zostało może osiem centymetrów wolnego miejsca – jednak Barry pokonał go z wprawą zrodzoną z wieloletniego doświadczenia. U wylotu przystanął, ale Main Street była pusta. Zupełnie jakby wszyscy mężczyźni też zniknęli, pomyślała Michaela, kiedy skręcił szerokim łukiem w prawo i przejechał dwie przecznice dzielące ich od ratusza.

Zaparkował przed budynkiem, zajmując trzy miejsca oznakowane tabliczką „Tylko dla interesantów. Pojazdy nieupoważnione zostaną odholowane". Gdy wysiedli, dołączył do nich Garth. Brodaty mężczyzna wstał z ławki i podszedł niespiesznym krokiem, trzymając parasol nad głową. Z przedniej kieszeni jego ogrodniczek Oshkosh wystawał cybuch fajki.

– Dzień dobry, mecenasie. – Wyciągnął rękę do Barry'ego.

– Cześć, Willy. – Holden uścisnął jego dłoń. – Miło cię widzieć, ale nie mam czasu na pogawędkę. Trochę się spieszymy. Pilna sprawa.

Willy skinął głową.

– Czekam na Lilę – oznajmił. – Wiem, najpewniej zasnęła, ale mam nadzieję, że jednak nie. Chcę z nią pogadać. Pojechałem jeszcze raz obejrzeć przyczepę, w której zginęły te dwa ćpuny. Coś dziwnego się tam dzieje. Nie chodzi tylko o chusteczki wróżek. Na drzewach jest

pełno ciem. Chciałem z nią o tym porozmawiać, może ją tam zawieźć, żeby sama zobaczyła. A jeśli nie ją, to tego, kto tu rządzi.

– To Willy Burke – wyjaśnił Barry Garthowi i Michaeli. – Ochotnicza straż pożarna, Adoptuj Autostradę, trener juniorów, ogólnie dobra dusza. Ale czas nas nagli, Willy, więc…

– Jeśli przyjechaliście porozmawiać z Linny Mars, radzę się pospieszyć. – Spojrzenie Willy'ego przeskoczyło z Barry'ego na jego towarzyszy. Miał głęboko osadzone oczy, otoczone siateczką zmarszczek, ale bystre. – Kiedy ostatnio do niej zajrzałem, jeszcze nie spała, ale goni resztkami sił.

– Nie ma żadnych ludzi szeryfa? – spytał Garth.

– Nie, wszyscy są na patrolach. Może oprócz Terry'ego Coombsa. Słyszałem, że trochę niedomaga. Wóda go rozłożyła, rozumiecie.

Ruszyli we trójkę po schodach do potrójnych drzwi wejściowych, gdy Willy zawołał za nimi:

– Czyli nie widzieliście Lili?

– Nie – odparł Barry.

– Cóż… może jeszcze trochę poczekam. – Mężczyzna wrócił na ławkę. – Coś dziwnego się tam dzieje, mówię wam. Tyle tych ciem. A w powietrzu czuć jakieś takie… wibracje.

5

Linny Mars, należąca do dziesięciu procent kobiet na całym świecie, które w ten poniedziałek jeszcze nie spały, wciąż chodziła w kółko ze swoim laptopem, jej ruchy były jednak powolne, od czasu do czasu potykała się i wpadała na meble. Przypominała Michaeli nakręcaną dziecięcą zabawkę, której mechanizm powoli się zatrzymuje. Dwie godziny temu to byłam ja, pomyślała.

Dyspozytorka przeszła obok nich, wpatrzona przekrwionymi oczami w ekran; chyba nie była świadoma, że ma towarzystwo, dopóki Barry nie postukał jej w ramię. Wtedy podskoczyła, wyrzucając ręce w górę. Garth złapał laptopa, zanim spadł na podłogę. Na ekranie leciało zapętlone wideo, pokazujące, jak Londyńskie Oko przechyla

się i w zwolnionym tempie stacza do Tamizy. Trudno powiedzieć, po co niszczyć ten obiekt, najwyraźniej jednak ktoś poczuł taką potrzebę.

– Barry! Aleś mnie wystraszył!

– Przepraszam. Terry przysłał mnie po broń. Chyba chce ją zabrać do więzienia. Dasz mi klucz?

– Terry? – Linny zmarszczyła brwi. – Co jemu do… szeryfem jest Lila, nie Terry. Przecież wiesz.

– Lila, fakt – powiedział Barry. – Polecenie wydała Lila, ale przekazał mi je Terry.

Garth podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz, przekonany, że lada chwila nadjedzie radiowóz. Może nawet dwa lub trzy. Wsadzą ich do aresztu i ta zwariowana przygoda się skończy, zanim na dobre się zaczęła. Na razie nie było tam nikogo oprócz brodatego dziadka siedzącego pod parasolem jak posąg, ale ten stan rzeczy nie potrwa wiecznie.

– Pomożesz mi, Linny? Przez wzgląd na Lilę?

– Jasne. Ucieszę się, kiedy wróci. – Linny podeszła do biurka i położyła laptopa na blacie. Na ekranie Londyńskie Oko przewracało się i przewracało. – Do tego czasu rządzi ten, jak mu tam, Dave. A może Pete. Jest dwóch Pete'ów, trudno się połapać, który jest który. W każdym razie jakoś nie mam do niego przekonania. Jest strasznie poważny.

Pogrzebała w szerokiej górnej szufladzie i wyjęła ciężki pęk kluczy. Przyjrzała im się. Powieki jej opadły. Białe nitki natychmiast wysnuły się z jej rzęs i zafalowały w powietrzu.

– Linny! – rzucił Barry ostro. – Obudź się!

Otworzyła oczy. Nitki zniknęły.

– Przecież nie śpię. Nie drzyj się. – Przesunęła palcem po kluczach, pobrzękując nimi. – Wiem, że to jeden z tych…

Barry wziął od niej pęk.

– Sam znajdę. Pani Morgan, może niech pani wróci do kampera i tam poczeka.

– Nie, dzięki. Chcę pomóc. Tak będzie szybciej.

W głębi sali głównej znajdowały się nieoznakowane metalowe drzwi pomalowane na wybitnie nieapetyczny odcień zielonego. Były

w nich dwa zamki. Barry bez większego trudu znalazł klucz pasujący do górnego. Z dolnym nie poszło tak łatwo. Michaela pomyślała, że klucz do niego mogła wziąć Lila. Może teraz jest w jej kieszeni, uwięziony wewnątrz białego kokonu.

– Jedzie ktoś? – zawołała do Gartha.

– Jeszcze nie, ale pospieszcie się. Od tego wszystkiego chce mi się sikać.

Do sprawdzenia zostały już tylko trzy klucze, kiedy Barry znalazł właściwy. Pociągnął drzwi do siebie i Michaela zobaczyła pomieszczenie wielkości niedużej szafy, z karabinami na stojakach i pistoletami w wyłożonych styropianem schowkach. Półki były zastawione pudełkami z amunicją. Na jednej ścianie wisiał plakat przedstawiający teksańskiego rangera w kowbojskim kapeluszu; mierzył z rewolweru o długiej czarnej lufie. „Walczyłem z prawem i prawo wygrało”[7], głosił napis pod spodem.

– Niech pani weźmie tyle amunicji, ile się da – polecił Barry. – Ja zabiorę M4 i kilka glocków.

Michaela ruszyła w stronę półek z amunicją, ale rozmyśliła się i wróciła do dyspozytorni. Chwyciła kosz na śmieci, stojący obok biurka Linny, i odwróciła go dnem do góry, wysypując stertę zmiętych papierów i tekturowych kubków po kawie. Linny nie zwróciła na nią uwagi. Michaela włożyła do kosza tyle amunicji, ile, jak sądziła, zdoła udźwignąć; wyszła z magazynu, obejmując kosz ramionami. W drodze minęła się z Garthem, który szedł po broń. Holden, wychodząc przed nią, zostawił jedne z trojga drzwi posterunku otwarte. Michaela zeszła chwiejnym krokiem po szerokich kamiennych stopniach i w gęstniejącej mżawce zobaczyła, że adwokat jest już przy fleetwoodzie. Brodaty starzec wstał z ławki, wciąż trzymając nad głową parasol. Powiedział coś do Holdena, a ten odpowiedział. Brodacz, Willy, otworzył tylne drzwi kampera i Barry włożył broń do środka.

Zdyszana Michaela dołączyła do nich. Barry wziął od niej kosz i wysypał pudełka amunicji na stos broni, rozrzuconej jak patyczki do bierek.

Ruszyli z powrotem na posterunek; Willy stał pod parasolem i patrzył. Garth wyszedł z drugą partią uzbrojenia. Spodnie opadały mu pod ciężarem pudełek z amunicją, którymi wypchał kieszenie.

– Co panu powiedział ten staruszek? – spytała Michaela.

– Chciał wiedzieć, czy szeryf Norcross pochwaliłaby to, co robimy – odparł Barry. – Powiedziałem, że tak.

Pospieszyli z powrotem do zabezpieczonego magazynu. Zabrali już mniej więcej połowę uzbrojenia. Nagle Michaela zauważyła coś, co wyglądało jak chory na świnkę pistolet maszynowy.

– To też trzeba wziąć. Myślę, że to ta wyrzutnia gazu łzawiącego czy jak to zwał. Nie wiem, czy nam się przyda, ale nie chcę, żeby miał ją ktokolwiek inny.

W progu stanął Garth.

– Złe wieści, mecenasie Holden. Przyjechał radiowóz; stanął za pańskim kamperem.

Podbiegli do drzwi i wyjrzeli przez przydymione szkło. Z wozu patrolowego wysiadali dwaj mężczyźni, obaj znani Michaeli: błazen i jego partner, łowca autografów.

– O, Jezu – mruknął Barry. – To Don Peters, z więzienia. Co on, policjanta udaje? Facet ma móżdżek owada.

– Kiedy ostatnio widzieliśmy tego konkretnego owada, stał na blokadzie w pobliżu więzienia – stwierdził Garth.

Brodacz podszedł do nowo przybyłych, coś powiedział i wskazał w głąb Main Street. Peters z młodym partnerem pobiegli do wozu i pospiesznie wsiedli. Włączyli koguta i ruszyli na sygnale.

– Co się dzieje? – spytała Linny rozkojarzonym głosem. – Co się, do jasnej anielki, dzieje?

– Wszystko gra. – Garth obdarzył ją uśmiechem. – Nie ma powodu do niepokoju. – Potem zwrócił się do Barry'ego i Michaeli: – Proponuję się zwinąć, dopóki możemy.

– Co się dzieje? – zawyła Linny. – Och, to wszystko jeden wielki koszmar!

– Niech pani się trzyma – powiedział Garth. – Może przyjdą lepsze czasy.

Wyszli we trójkę; na betonowej ścieżce zerwali się do biegu. Michaela w jednej ręce niosła granatnik, w drugiej torbę pocisków

z gazem łzawiącym. Czuła się jak Bonnie Parker. Willy wciąż stał obok fleetwooda.

– Jak ich spławiłeś? – spytał Barry.

– Powiedziałem, że słyszałem strzały w sklepie z narzędziami. Długo im nie zejdzie, więc lepiej pryskajcie. – Willy złożył parasol. – Zabiorę się z wami. Kiedy ci dwaj wrócą, nie będą zadowoleni.

– Dlaczego nam pomagasz? – spytał Garth.

– Cóż, dziwne czasy nastały i człowiek musi ufać swojej intuicji. Moja przeważnie mnie nie zawodzi. Barry zawsze dobrze żył z Lilą, chociaż w sądzie grają w przeciwnych drużynach, a tę dziewczynę poznaję z wiadomości telewizyjnych. – Przyjrzał się Garthowi. – Ty niezbyt mi się podobasz, ale jesteś z nimi, więc pal to licho. Zresztą kości zostały rzucone, jak to mówią. Dokąd jedziemy?

– Najpierw po syna Lili – powiedział Barry. – Potem do więzienia. Chciałbyś wziąć udział w oblężeniu, Willy? Bo na to właśnie się zanosi.

Willy uśmiechnął się, obnażając zęby, pożółkłe od tytoniu.

– Cóż, za młodu miałem czapkę z szopa i zawsze lubiłem filmy o Alamo, więc dlaczego nie? Pomóżcie mi wsiąść do tej fury, co? W deszczu łamie mnie cholerny reumatyzm.

6

Jared, czekający przy drzwiach domu pokazowego, już miał znów zadzwonić do ojca, kiedy podjechał wielki kamper. Rozpoznał kierowcę; jak podkomendni jego matki i wielu innych urzędników miejskich, Barry Holden bywał na kolacjach u Norcrossów. Jared wyszedł do niego na ganek.

– Chodź – powiedział Barry. – Musimy jechać.

Chłopak się zawahał.

– Moja mama i cztery inne osoby leżą na strychu. Zanim zaczęło padać, było tam strasznie gorąco, a jutro znów będzie upał. Niech pan mi pomoże znieść je na dół.

– Wieczorem szybko się ochłodzi, Jared, a my nie mamy czasu.

Barry nie wiedział, czy kobiety w kokonach czują gorąco i chłód, wiedział za to, że czas błyskawicznie ucieka. Sądził też, że Lila i pozostałe uśpione będą bezpieczniejsze tutaj, ukryte w domu na tej cichej ulicy. Sam się uparł, żeby zabrać ze sobą żonę i córki, tylko ze względu na kampera. Całe Dooling wiedziało, że to jego samochód, nie chciał więc narażać ich na odwet.

– Moglibyśmy chociaż powiedzieć komuś…

– Twój ojciec o tym zdecyduje. Proszę cię.

Ostatecznie Jared dał się zaprowadzić do fleetwooda czekającego z zapalonym silnikiem. Tylne drzwi się otworzyły i na ziemię, z trudem, zszedł jego trener z czasów juniorskich.

– Trener Burke!

– No proszę, kogo ja widzę! – krzyknął Willy. – Mój jedyny rozgrywający, który nie gubił piłki w co drugiej akcji. Wsiadaj, synu.

Pierwszym, co rzuciło się Jaredowi w oczy, był arsenał rozsypany na podłodze.

– Kurde mol, po co to wszystko?

Przy samych drzwiach, na kanapie w szkocką kratę, siedziała kobieta. Była młoda, niesamowicie ładna i Jared miał wrażenie, że skądś ją zna, ale najbardziej zadziwiło go, że wyglądała na całkowicie przytomną.

– Tylko na wszelki wypadek, miejmy nadzieję – powiedziała.

Mężczyzna stojący przed nią parsknął śmiechem.

– Nie liczyłbym na to, Mickey. – Wyciągnął dłoń. – Garth Flickinger.

Za Flickingerem, na identycznej kanapie, leżało pięć ciał w kokonach, co jedno, to mniejsze, jak rozłożona matrioszka.

– Podobno to żona i córki mecenasa Holdena – powiedział trener Burke.

Kamper ruszył. Jared zachwiał się i upadłby, gdyby nie przytrzymał go Willy Burke. Chłopak uścisnął dłoń Flickingera, myśląc, że to wszystko mu się śni. Nawet nazwisko tego faceta było jak ze snu – kto w rzeczywistym świecie nazywa się Garth Flickinger?

– Miło pana poznać – powiedział. Kątem oka zobaczył, jak pani Holden i jej córki obijają się o siebie, kiedy kamper pokonywał zakręt. Powtarzał sobie w duchu, żeby na nie nie patrzeć, ale nie sposób było ich nie widzieć, przemienionych w zmumifikowane lalki.

– Jestem, hm, Jared Norcross. – Czy to sen, czy nie, czuł się w pewnym sensie dotknięty; Holden jakoś znalazł czas, żeby zabrać swoją rodzinę, tak? I niby z jakiej racji? Bo to jego kamper? Zostawili jego matkę, Molly, Mary, małe dziecko i panią Ransom na pastwę losu. To jakoś nie w porządku. Ale w sumie nic nie było w porządku, więc czemu w tym przypadku miałoby być inaczej?

Kiedy Barry zawrócił na końcu Tremaine Street, zadzwonił telefon Jareda. Dzwonił jego ojciec. Chwilę porozmawiali, po czym Clint poprosił, żeby oddał telefon Michaeli. Kiedy go wzięła, powiedział:

– Oto, co macie zrobić.

7

Zastępca szeryfa Reed Barrows postawił radiowóz numer trzy w poprzek drogi dojazdowej do więzienia. Wybrane przez niego miejsce leżało na wzniesieniu, mieli więc z Vernem wyraźny widok na co najmniej dziesięć kilometrów drogi numer 31. Reed przewidywał, że Peters będzie wściekły, że zmieniają go, ledwie zajął pozycję, zareagował jednak zadziwiająco potulnie. Pewnie nie mógł się doczekać, żeby zacząć pić. Może małolat, który z nim był, też. Reed wątpił, czy w tym tygodniu w Squeaky Wheel sprawdzają dokumenty, a gliny i tak miały ważniejsze sprawy od egzekwowania zakazu sprzedaży alkoholu nieletnim.

Peters zameldował, że zatrzymali tylko jeden samochód, wiozący dziennikarkę, która pojechała do więzienia w nadziei na uzyskanie wywiadu i została odprawiona z kwitkiem. Reed i Vern jak dotąd nie zatrzymali nikogo. Nawet na głównej drodze praktycznie nie było ruchu. Miasto jest w żałobie po swoich kobietach, pomyślał Reed. Kurczę, cały świat jest w żałobie.

Odwrócił się do partnera, który czytał coś na kindle'u i dłubał w nosie.

– Chyba nie wycierasz glutów w spód fotela, co?

– Jezu, nie. Nie bądź obrzydliwy. – Vern uniósł tyłek, wyciągnął chusteczkę z tylnej kieszeni, wytarł w nią swój mały zielony skarb

i schował ją z powrotem.

– Powiedz mi coś: co my właściwie tu robimy? Czy oni naprawdę myślą, że Norcross jest na tyle głupi, żeby zabrać tę kobietę w świat, skoro teraz ma ją za kratami?

– Nie wiem.

– Co zrobimy, jeśli przyjedzie barowóz lub coś takiego?

– Zatrzymamy go i poprosimy o instrukcje.

– Kogo poprosimy? Terry'ego czy Franka?

Tego Reed nie był już taki pewny.

– Najpierw trzeba by zadzwonić na komórkę Terry'ego, a jeśli nie odbierze, zostawić mu wiadomość, żeby potem nie było na nas. Będziemy się tym martwić, kiedy zajdzie taka potrzeba.

– Pewnie nie zajdzie, skoro wszędzie jest taki bajzel.

– Uhm. Infrastrukturę szlag trafił.

– Co to jest infrastruktura?

– Sprawdź se na kindle'u.

Vern kliknął w czytnik.

– „Podstawowe urządzenia i instytucje niezbędne do funkcjonowania społeczeństwa lub przedsiębiorstwa" – przeczytał. – Hm.

– Hm? Co to znaczy „hm"?

– Że masz rację. Szlag ją trafił. Rano przed służbą byłem w Shop-wellu. Wygląda jak po wybuchu bomby.

U stóp wzniesienia, w szarym świetle popołudnia, dostrzegli nadjeżdżający pojazd.

– Reed?

– Co?

– Skoro nie ma kobiet, to nie będzie dzieci.

– Prawdziwy z ciebie naukowiec.

– Jeśli to się nie skończy, co będzie z ludzkością za sześćdziesiąt czy sto lat?

Reed Barrows nie chciał o tym myśleć, zwłaszcza kiedy jego żona była w kokonie, a dzieckiem zajmował się (pewnie nieudolnie) stary Freeman, sąsiad z domu obok. I nie musiał. Pojazd był już na tyle blisko, by poznać, że to olbrzymi kamper w pasy zebry; zwalniał,

jakby zamierzał skręcić na drogę dojazdową do więzienia. Nie żeby mógł, skoro w poprzek niej stała ich trójka.

– To kamper Holdena – powiedział Vern. – Tego adwokata. Zawsze przywozi go na przegląd do warsztatu mojego brata w Maylock.

Fleetwood stanął. Drzwi kierowcy otworzyły się i z auta wysiadł Barry Holden. W tej samej chwili policjanci wyszli z radiowozu.

Holden powitał ich uśmiechem.

– Panowie, zwiastuję wam radość wielką.

Ani Reed, ani Vern nie odwzajemnili uśmiechu.

– Nikt nie ma wstępu do więzienia, panie Holden – powiedział Reed. – Polecenie szeryfa.

– To chyba nie całkiem prawda. – Barry wciąż się szczerzył. – Zdaje się, że polecenie to wydał dżentelmen nazwiskiem Frank Geary, który, jak chyba sami przyznacie, samowolnie objął to stanowisko. Mam rację? – Reed nie był pewien, co odpowiedzieć, więc milczał. – W każdym razie – ciągnął Barry – zadzwonił do mnie Clint Norcross. Uznał, że jednak powinien oddać tę kobietę w ręce lokalnych organów ścigania.

– No i dzięki Bogu! – krzyknął Vern. – Poszedł po rozum do głowy!

– Wezwał mnie do więzienia, żeby z moją pomocą uzgodnić warunki jej przekazania i podać do protokołu powody, dla których naruszył regulamin. Czysta formalność.

Mniejszą furą nie mogłeś przyjechać? Samochód ci nie zapalił czy co? – Reed miał te słowa na końcu języka, ale wtedy ryknęła radiostacja w radiowozie. To był Terry Coombs, wyraźnie wzburzony.

– Trójka, trójka, zgłoś się! Natychmiast! Natychmiast!

8

W tej samej chwili, kiedy Reed i Vern zauważyli nadjeżdżającego kampera Barry’ego Holdena, Terry Coombs wszedł do baru Olympia i skierował kroki do boksu, w którym siedzieli Frank i Pete Ordway. Frank niespecjalnie się ucieszył, że Coombs jest na nogach, ale ukrył niezadowolenie, najlepiej jak potrafił.

– Cześć, Terry.

Terry skinął głową. Ogolił się, włożył czystą koszulę. Wyglądał niewyraźnie, ale był trzeźwy.

– Jack Albertson powiedział mi, że was tu znajdę. – Albertson był jednym z emerytowanych zastępców szeryfa, których dwa dni temu ponownie wcielono do służby. – Przed kwadransem dostałem złą wiadomość z hrabstwa Bridger. – Od Terry'ego nie zalatywało gorzałą. Frank miał nadzieję zmienić ten stan rzeczy. Źle się czuł z tym, że zachęca do picia człowieka, który zapewne był w pierwszym stadium alkoholizmu, ale z Coombsem po kilku głębszych łatwiej się pracowało.

– Co się dzieje w Bridger? – spytał Pete.

– Wypadek na szosie. Sędzia Silver wpadł do Dorr's Hollow. Nie żyje.

– Co?! – Okrzyk Franka był tak głośny, że Gus Vereen wyjrzał z kuchni.

– To wielka strata – powiedział Terry. – Był porządnym człowiekiem. – Przysunął sobie krzesło. – Wiecie może, co tam robił?

– Pojechał pogadać ze znajomym, byłym pracownikiem FBI z Coughlin, poprosić, żeby pomógł przemówić Norcrossowi do rozumu – odparł Frank. To musiał być zawał. Sędzia wczoraj okropnie wyglądał, wydawał się zmęczony, ledwo stał na nogach. – Jeśli nie żyje… ta opcja odpada. – Z trudem wziął się w garść. Lubił sędziego Silvera i był skłonny pójść mu na rękę, przynajmniej przy zachowaniu pewnych granic. Teraz te granice zniknęły. – A ta kobieta nadal jest w więzieniu. – Frank wychylił się do przodu. – I nie śpi. Norcross kłamał, mówiąc, że jest w kokonie. Wiem to od Hicksa.

– Hicks ma kiepską reputację – stwierdził Terry.

Frank jakby go nie słyszał.

– Powiedział mi też inne dziwne rzeczy o niej. Ona jest kluczem.

– Jeśli suka to zaczęła, będzie wiedziała, jak to zakończyć – dodał Pete.

Terry'emu drgnęły usta.

– Nie ma na to dowodu, Pete. I trochę to chyba naciągane, skoro epidemia aurory wybuchła na drugim końcu świata. Myślę, że wszyscy powinniśmy ochłonąć i po prostu…

Walkie-talkie Franka obudziło się do życia. To był Don Peters.

– Frank! Frank, zgłoś się! Musimy porozmawiać! Lepiej odbierz, bo te skurwysyny…

Frank podniósł krótkofalówkę do ust.

– Mówi Frank. Słucham. I ostrożnie z bluzgami, wszystko idzie w eter…

– Skurwysyny ukradli broń! – wrzasnął Don. – Jakiś stary pierdziel posłał nas na poszukiwania wiatru w polu, a oni wtedy ukradli jebaną broń! Z posterunku!

Zanim Frank zdążył odpowiedzieć, Terry wyrwał mu walkie-talkie.

– Tu Coombs. Kto ukradł broń?

– Barry Holden, w wykurwiście wielkim kamperze! Twoja dyspozytorka powiedziała, że byli z nim inni, ale ledwo na oczy widzi i nie wie kto to!

– Całą broń? – zdumiał się Terry. – Ukradli całą broń z posterunku?

– Nie, całej chyba nie zdążyli, ale i tak nabrali tego od cholery! Jezu Chryste, ten kamper był ogromny!

Terry patrzył na krótkofalówkę, zastygły w bezruchu. Frank nakazał sobie milczeć i pozwolić Terry'emu samodzielnie wyciągnąć wnioski – ale nie wytrzymał. Jak zawsze, kiedy wpadał w złość.

– Nadal uważasz, że powinniśmy ochłonąć i wziąć Norcrossa na przeczekanie? Bo chyba wiesz, dokąd jadą z tymi giwerami, nie?

Terry spojrzał na niego; zaciskał usta tak mocno, że prawie zniknęły.

– Chyba zapomniałeś, kto tu dowodzi, Frank.

– Przepraszam, szeryfie. – Frank zaciskał schowane pod stołem pięści; ręce mu drżały, a paznokcie wbijały się w skórę, zostawiając łukowate ślady.

Terry wciąż na niego patrzył.

– Powiedz, proszę, że postawiłeś kogoś na drodze do więzienia.

Gdybym tego nie zrobił, mógłbyś winić za to tylko siebie, bo spałeś pijany. Tylko kto ci podsuwał gorzałę…

– Tak. Rangle'a i Barrowsa.

– Dobrze. To dobrze. W którym są wozie?

Frank nie wiedział, ale Pete Ordway owszem.

– W trójce.

Don jeszcze coś plótł, ale Terry przerwał mu i wcisnął przycisk nadawania.

– Trójka, trójka, zgłoś się! Natychmiast! Natychmiast!

7 *I Fought the Law*, słowa i muzyka Sonny Curtis © 1961.

ROZDZIAŁ 8

1

Kiedy radiostacja zatrzeszczała, Reed Barrows przykazał Barry’emu, żeby nigdzie się nie ruszał.

– Jasne – rzucił Barry.

A potem stuknął trzy razy w ścianę fleetwooda – znak dla Willy’ego Burke’a, przyczajonego za zasłoną oddzielającą przednią część kampera od tylnej, że przyszła pora na plan B. Plan B był dość prosty: dać dyla w czasie, kiedy Barry odwróci uwagę policji. Najważniejsze, żeby broń dotarła do więzienia, a jego dziewczyny były bezpieczne. Barry nie musiał o tym długo myśleć. Aresztują go, to pewne, ale przecież zna znakomitego adwokata.

Położył dłoń na ramieniu Verna Rangle'a i delikatnie odsunął go na bok.

– Wygląda na to, że ktoś na posterunku ma pełną pieluchę – zauważył Rangle wesoło, bezmyślnie dając się prowadzić. – Gdzie idziemy?

Szli możliwie najdalej od kampera – po pierwsze, żeby Rangle nie zobaczył Willy’ego Burke'a wsuwającego się właśnie na fotel kierowcy, a po drugie, żeby zostawić fleetwoodowi dość miejsca, by ruszając, nie musiał nikogo rozjechać. Barry nie mógł jednak tego powiedzieć policjantowi. Usiłował wpoić swoim dziewczynkom zasadę, że prawo jest bezstronne; na sali sądowej liczą się nie twoje odczucia, lecz siła argumentów. Wszelkie osobiste preferencje najlepiej w ogóle odłożyć na bok, jeśli to możliwe. Adwokat w gruncie rzeczy powinien wyjść ze swojej skóry i wejść w skórę klienta, zachowując przy tym własny mózg.

(Gerda, niedawno zaproszona na randkę przez licealistę – z dziesiątej klasy, ale i tak zdecydowanie dla niej za stary – próbowała namówić tatę, żeby został jej adwokatem pro bono i w tym charakterze przekonał mamę, że ona, Gerda, jest wystarczająco dojrzała, by pójść z tym chłopakiem do kina. Sprytnie to rozegrała, trzeba przyznać, ale Barry odmówił, powołując się na łączące ich więzy pokrewieństwa. A także dlatego że jako jej ojciec ani myślał puścić jej gdziekolwiek z łebkiem, który ma prawie piętnaście lat i pewnie dostaje wzwodu od mocniejszego podmuchu wiatru. Jeśli Cary'emu Bensonowi naprawdę aż tak zależy na tym, żeby spędzić z nią czas, powiedział, niech zaprosi ją na lody do Dairy Treet w mieście. W biały dzień).

Barry z premedytacją nie powiedział Gerdzie o jednym: co robić w trudnej sytuacji, kiedy staje przed tobą człowiek w oczywisty sposób winny. Czasem wchodzisz w skórę klienta po to tylko, żeby się przekonać, że jest – że ty jesteś – zdumiewająco, beznadziejnie, niezaprzeczalnie winny, tak winny, że nawet nie ma co udawać, że to nieprawda. W takich przypadkach jedyna rozsądna strategia polega na tym, żeby przeszkadzać i kluczyć, spierać się o drobiazgi, sypać piasek w tryby i grać na zwłokę. Przy odrobinie szczęścia tak zmęczysz drugą stronę, że w końcu zaproponują ci korzystną ugodę po to tylko, żeby mieć cię z głowy albo, co jeszcze lepsze, tak ich zirytujesz lub zbijesz z pantałyku, że zupełnie położą sprawę.

Mając na względzie tę naukę, wyskoczył z najbardziej osłupiającym scenariuszem, jaki przyszedł mu do głowy:

– Słuchaj, Vern. Chciałem cię o coś zapytać.

– No słucham…

Barry poufale nachylił się do niego.

– Czy jesteś obrzezany?

Krople deszczu rozlewały się po szkłach okularów Verna Rangle'a, zasłaniając jego oczy. Barry usłyszał odgłos zapalanego silnika kampera i szczęk wrzucanego biegu, ale policjant zupełnie na to nie zważał. Pytanie o stan jego napletka przeciążyło mu obwody w mózgu.

– O rany, panie Holden… – W roztargnieniu strzepnął chusteczkę i zaczął ją składać z powrotem. – To trochę osobiste pytanie, wie

pan…

Za ich plecami rozległ się głuchy łoskot i zgrzyt metalu o metal.

Tymczasem Reed Barrows wsunął się do radiowozu od strony pasażera, żeby odebrać wezwanie od Terry'ego, ale mikrofon wyśliznął się z jego wilgotnej dłoni. Sekundy, które upłynęły, zanim podniósł go z podłogi i rozplątał przewód, pozwoliły Willy'emu Burke'owi uruchomić kampera i ruszyć.

– Tu trójka, mówi Barrows, odbiór – powiedział Reed do mikrofonu.

Przez okno zobaczył, że kamper skręca obok maski radiowozu na żwirowe pobocze i trawiasty wał od strony pasa w kierunku południowym. Ten obraz nie zaniepokoił Reeda; raczej go zdumiał. Po co Barry Holden przestawia kampera? A może przestawiał go Vern, żeby kogoś przepuścić? To zupełnie bez sensu. Muszą skontrolować papugę i jego fleetwooda, zanim zajmą się następnymi chętnymi do przejazdu.

Wtedy z głośnika huknął głos Terry'ego Coombsa:

– Aresztujcie Barry'ego Holdena i skonfiskujcie jego wóz! Wiezie kradzioną broń do więzienia! Czy mnie słyszycie…

Kamper uderzył w maskę radiowozu. Mikrofon znów wypadł z dłoni Reeda. Widok za przednią szybą przekręcił się na bok jak na zawiasach.

– Ej!

2

Siedzący w tylnej części kampera Jared stracił równowagę. Spadł z kanapy prosto na stertę broni.

– Jesteś cały? – spytał Garth. Sam ustał na nogach dzięki temu, że przywarł plecami do blatu we wnęce kuchennej i chwycił się zlewu.

– Tak.

– Dzięki, że zapytałeś o mnie! – Michaela zdołała się utrzymać na kanapie, ale przewróciła się na bok.

Garth uświadomił sobie, że uwielbia tę kobietę. Miała ikrę, jak mawiają ludzie starej daty. Nie zmieniłby w niej nic a nic. Jej nos

i cała reszta były tak bliskie ideału, że bardziej nie można.

– Nie musiałem, Mickey – odparł. – Wiem, że sobie poradziłaś, bo ty zawsze sobie poradzisz.

3

Kamper toczył się naprzód po pochyłym poboczu z prędkością może dwudziestu kilometrów na godzinę, spychając radiowóz na bok. Metal zgrzytał o metal. Vern patrzył na to z rozdziawionymi ustami i wreszcie odwrócił się do Barry'ego. Adwokacina wydymał go na cacy. Przyłożył mu za to w oko, aż Holden wylądował na tyłku.

– Zatrzymaj kampera! – ryknął Reed z otwartych drzwi radiowozu. – Wal w opony!

Vern wyciągnął broń.

Wtedy kamper oderwał się od radiowozu i zaczął nabierać prędkości. Przechylony pod kątem sześćdziesięciu stopni, zjechał z pobocza, kierując się ku środkowi jezdni. Vern wymierzył w prawą tylną oponę, ale nacisnął spust za szybko – kula poszła górą, przebijając ścianę kampera. Pojazd był już kilkadziesiąt metrów od niego. Kiedy stanie wszystkimi kołami na szosie, ucieknie. Vern poczekał chwilę, żeby opanować nerwy, i znów wycelował, tym razem jak należy, skupiając wzrok na prawej tylnej oponie. Wypalił w powietrze, akurat gdy Barry Holden powalił go na ziemię.

4

Huk ogłuszył Jareda, leżącego na podłodze kampera. Celowniki i lufy wbijały mu się w plecy. Wyczuwał, że wokół niego krzyczą ludzie – ta kobieta, Michaela? Flickinger? – ale tego nie słyszał. Jego oczy odnalazły otwór w ścianie; pocisk zrobił dziurę w kształcie rozerwanej petardy. Pod dłońmi czuł ruch kół, nabierających rozpędu, dudniących na asfalcie.

Flickinger wciąż trzymał się na nogach. Stał w rozkroku przy blacie. Nie, to nie Flickinger krzyczał.

Jared podążył wzrokiem za spojrzeniem doktora.

Postacie w kokonach leżały na kanapie. Na wysokości mostka Gerdy ział krwawiący otwór. Podniosła się z kanapy i zatoczyła do przodu. To ona krzyczała. Jared zobaczył, jak idzie w stronę Michaeli, skulonej na końcu równolegle ustawionej kanapy. Ręce dziewczyny, wyrwane z krępującego je oprzędu, były podniesione, pod materiałem rysowały się szeroko otwarte, wyjące usta. Z dziury w mostku wyfruwały ćmy.

Flickinger złapał dziewczynę. Obróciła się i skoczyła mu do gardła; chwiejnie zakręcili się wkoło, potknęli o broń na podłodze i polecieli na tylne drzwi. Zatrzask puścił, drzwi rozwarły się szeroko i oboje wypadli na zewnątrz. W ślad za nimi wysypały się chmara ciem oraz kaskada karabinów i amunicji.

5

Evie jęknęła.

– Co? – spytała Angel. – Co się stało?

– Och. Nic.

– Kłamczucha – rzuciła Jeanette. Wciąż siedziała zgarbiona we wnęce prysznicowej. Angel musiała jej to oddać – była prawie tak uparta jak ona sama.

– Wydajesz taki dźwięk, kiedy ktoś umiera. – Jeanette wciągnęła powietrze. Przechyliła głowę na bok i zwróciła się do niewidzialnego rozmówcy: – Wydaje taki dźwięk, kiedy ktoś umiera, Damian.

– Może i masz rację, Jeanette – stwierdziła Evie. – Chyba rzeczywiście tak robię.

– To właśnie powiedziałam. Prawda, że to powiedziałam, Damian?

– Gówno tam widzisz, Jeanette – stwierdziła Angel.

Wzrok Jeanette pozostał utkwiony w pustce.

– Ćmy wyleciały z jej ust, Angel. Ma w sobie ćmy. A teraz daj mi spokój, rozmawiam z mężem.

Evie przeprosiła je na chwilę.
– Muszę zadzwonić.

6

Reed usłyszał strzał w chwili, kiedy rzucił się nad deską rozdzielczą radiowozu do bocznych drzwi. Zdążył dostrzec tył kampera znikający za szczytem wzniesienia – jego otwarte, rozkołysane tylne drzwi.

Na szosie leżały dwa ciała. Reed wyszarpnął z kabury broń i pobiegł w ich stronę. Za ciałami były trzy, może cztery karabiny szturmowe, jeden za drugim, a między nimi kilka garści rozsypanej amunicji.

Przystanął przy ciałach. Asfalt wokół czaszki mężczyzny, który leżał bliżej, był zbryzgany krwią i tkanką mózgową. Reed widział niejednego trupa, ale takiej jatki sobie nie przypominał. W czasie upadku okulary mężczyzny nasunęły się na jego kędzierzawe włosy. Nadawało mu to przewrotnie ciepły, luzacki, wręcz nauczycielski wygląd, kiedy tak leżał martwy, z mózgiem rozbryźniętym na asfalcie.

Kilka kroków dalej leżała kobieta, przewrócona na bok w pozycji, jaką Reed często przybierał na kanapie, oglądając telewizję. Jej maska z pajęczyn zdrapała się o nawierzchnię jezdni, odsłaniając poharataną skórę. Po tym, co się zachowało z twarzy i ciała, Reed poznał, że była młoda, ale niewiele ponadto. Kula zrobiła dużą ranę w jej piersi; krew ciurkała z niej na wilgotną nawierzchnię szosy.

Za plecami usłyszał plaśnięcia tenisówek o asfalt.

– Gerda! – wrzeszczał ktoś. – Gerda!

Odwrócił się. Barry Holden przebiegł obok niego i padł na kolana przy ciele córki.

Vern Rangle, z krwawiącym nosem, ruszył chwiejnym krokiem za Holdenem, wrzeszcząc, że już on go, skurwysyna, obrzeza.

Co za burdel: facet z rozwaloną czaszką, martwa dziewczyna, wyjący adwokat, rozjuszony Vern Rangle, broń i amunicja na jezdni.

Dobrze, że komendantem nie jest już Lila Norcross – Reed nie chciałby nawet próbować wytłumaczyć jej, jak to się stało.

Chciał przytrzymać Verna, ale spóźnił się o sekundę i złapał tylko fałdę materiału na jego ramieniu. Vern wyrwał się i rękojeścią pistoletu wyrżnął Barry'ego Holdena w potylicę. Rozległ się obrzydliwy trzask, jakby pękającej gałęzi, trysnęła krew. Barry Holden upadł twarzą na ziemię obok swojej córki. Vern kucnął przy nieprzytomnym adwokacie i raz po raz tłukł go rękojeścią spluwy.

– Pierdol się, pierdol się, pierdol się! Nos mi złamałeś, skur…

Młoda kobieta, która powinna być martwa, a nie była, złapała Verna za szczękę, objęła palcami jego dolne zęby i gwałtownym ruchem przyciągnęła do siebie. Potem uniosła głowę, szeroko rozwarła usta i wgryzła się w jego gardło. Partner Reeda okładał ją rękojeścią pistoletu. To jej nie powstrzymało. Tętnicza krew zalewała jej wargi.

Reed przypomniał sobie, że też ma pistolet. Uniósł go i strzelił. Kula przeszyła oko młodej kobiety; jej ciało zwiotczało, ale usta wciąż wpijały się w gardło Verna. Wyglądała, jakby chłeptała jego krew.

Klęcząc, Reed wetknął palce w gorącą, oślizłą masę w miejscu, gdzie zęby młodej kobiety wbijały się w gardło jego partnera. Wytężył siły i pociągnął, czując dotyk języka i szkliwa. Vern jeszcze raz zamierzył się na napastniczkę – nadaremnie; broń wypadła z jego dłoni i przekoziołkowała po asfalcie. Stracił przytomność.

7

Frank jechał sam na końcu kolumny trzech radiowozów. Wszyscy mieli włączone syreny. Na czele byli Ordway i Terry, za nimi Peters i przyboczny Petersa, Blass. Frank nie szukał z rozmysłem samotności, ale ta jakoś zawsze go znajdowała. Dlaczego? Elaine zabrała Nanę i zostawiła go samego. Oscar Silver wypadł z szosy i zostawił go samego. Ponure miał życie, co tu dużo mówić. I dlatego był ponury. Może tak jednak być musiało – może taki musiał być, żeby mógł zrobić to, co konieczne.

Tylko czy to się uda? Na razie nic się nie układało po jego myśli. Reed Barrows zameldował przez radio, że padły strzały i ma rannego. Frank sądził, że dla własnej córki byłby gotów zabić; na pewno gotów był za nią umrzeć. Teraz jednak dotarło do niego, że nie on jeden jest skłonny podjąć śmiertelne ryzyko. Ludzie Norcrossa ukradli policyjną broń i sforsowali blokadę. O cokolwiek im chodziło, byli zdecydowani na wszystko. Franka niepokoiło, że są tak zdeterminowani, a ich motywy tak niezrozumiałe. Co nimi kieruje? Co łączy Eve Black i Norcrossa?

Zadzwoniła jego komórka. Kolumna pędziła Ball's Hill na północ. Frank wyciągnął telefon z kieszeni.

– Geary.

– Frank, mówi Eve Black. – Jej głos, niewiele głośniejszy od szeptu, był chropawy, niemal uwodzicielski.

– Naprawdę? Miło panią poznać.

– Dzwonię do ciebie z mojej nowej komórki. Nie miałam własnej, więc Lore Hicks podarował mi swoją. Prawdziwy dżentelmen z niego, co? Nawiasem mówiąc, nie musicie tak gnać. Po co się narażać na wypadek. Kamper uciekł. Zostały tylko cztery trupy i Reed Barrows.

– Skąd pani to wie?

– Wiem i już, wierz mi. Clint był zaskoczony, że skok poszedł tak gładko. Ja też, szczerze mówiąc. Uśmialiśmy się setnie. Myślałam, że trochę lepiej panujesz nad sytuacją. Mój błąd.

– Powinna pani się poddać, pani Black. – Frank skupił się na tym, żeby ważyć każde słowo. Tłumić płomień gniewu, który chciał ogarnąć jego umysł. – Albo choć zaprzestać tego… tego, co pani robi. Zanim komuś stanie się krzywda.

– Och, krzywda już się stała. Na przykład sędziemu Silverowi. I doktorowi Flickingerowi, który w gruncie rzeczy był całkiem przyzwoitym człowiekiem, kiedy miał trzeźwy umysł. Teraz przeszliśmy do etapu masowej zagłady.

Frank z całej siły ścisnął kierownicę.

– Co z ciebie, kurwa, za jedna?

– Mogłabym zadać ci to samo pytanie, ale wiem, jaka byłaby odpowiedź: „Jestem dobrym ojcem". Bo w głowie ci tylko Nana, Nana i Nana, prawda? Opiekuńczy papcio. Pomyślałeś choć raz

o wszystkich pozostałych kobietach, o tym, co może je przez ciebie spotkać? Na co je narażasz?

– Skąd znasz moją córkę?

– W mojej sytuacji muszę wiedzieć takie rzeczy. Jest taka stara bluesowa piosenka z tekstem: „Zanim mnie oskarżysz, na siebie spójrz". Musisz zobaczyć sprawę w szerszej perspektywie, Frank.

Przede wszystkim, pomyślał Frank Geary, muszę złapać cię za gardło.

– Czego chcesz?

– Żebyś pokazał, że jesteś mężczyzną! Żebyś udowodnił, żeś, kurde, chłop z jajami, i zrobił coś, by było ciekawiej! Chcę, żeby twoja ukochana Nana mogła pójść do szkoły i powiedzieć: „Mój tatuś nie jest tylko pracownikiem miejskim, który odławia dzikie koty, ani brutalem, który wali pięściami w ściany, szarpie mnie za moją ulubioną koszulkę i wrzeszczy na mamę, kiedy coś się nie układa po jego myśli. Jest też człowiekiem, który powstrzymał tę wredną starą wiedźmę, która uśpiła wszystkie kobiety".

– Nie mieszaj do tego mojej córki, suko.

Przekorna nuta wyparowała z jej głosu.

– Kiedy chroniłeś ją w szpitalu, wykazałeś się odwagą. To mi zaimponowało. Ty mi zaimponowałeś. Autentycznie. Kochasz ją, a to nie byle co. Wiem, że na swój sposób chcesz dla niej jak najlepiej. I za to cię troszeczkę kocham, mimo że jesteś częścią problemu.

Z przodu pierwsze dwa samochody zatrzymały się obok wgniecionego radiowozu Reeda Barrowsa. Frank zobaczył, że Barrows idzie im na spotkanie. Kawałek dalej dostrzegł leżące na drodze ciała.

– Zakończ to – powiedział. – Uwolnij je. Uwolnij kobiety. Nie tylko moją żonę i córkę. Wszystkie.

– Najpierw będziesz musiał mnie zabić.

8

Angel zapytała, co to za Frank, z którym rozmawiała.

– Smokobójca – odparła Evie. – Musiałam dopilnować, żeby jego uwagi nie odwróciły jednorożce.

– Ależ ty jesteś, kurde, rąbnięta. – Angel gwizdnęła.

Nie miała racji, ale Evie nie zamierzała z nią o tym dyskutować. Zresztą Angel miała prawo do własnego zdania.

ROZDZIAŁ 9

1

Lis przychodzi do Lili we śnie. Lila wie, że to sen, bo lis mówi ludzkim głosem.

– Cześć, kochana – wita ją, wchodząc do sypialni domu na St. George Street, który Lila dzieli z Tiffany, Janice Coates i dwiema lekarkami z oddziału kobiecego, Erin Eisenberg i Jolie Suratt. (Erin i Jolie są niezamężne. Trzecia lekarka z oddziału, Georgia Peekins, mieszka na drugim końcu miasta z dwiema córkami, które do bólu tęsknią za starszym bratem). Jeszcze jedno przekonuje ją, że to sen: jest sama w pokoju. Drugie łóżko – dwuosobowe – w którym sypia Tiffany, stoi puste i starannie pościelone.

Lis stawia swoje chytre przednie łapy – białe, nie rude, jakby przeszedł po świeżo pomalowanej podłodze – na kołdrze, którą jest przykryta.

– Czego chcesz? – pyta Lila.

– Pokazać ci drogę powrotu – mówi lis. – Ale tylko jeśli chcesz wrócić.

2

Kiedy Lila otworzyła oczy, był poranek. Tiffany leżała w drugim łóżku, tam gdzie zawsze, z kocami zsuniętymi do kolan i półksiężycem brzucha sterczącym z bokserek. Była już w siódmym miesiącu ciąży.

Zamiast pójść do kuchni, żeby zaparzyć wstrętną lurę z cykorii, która w tej wersji Dooling zastępowała im kawę, Lila ruszyła w głąb korytarza i otworzyła frontowe drzwi. Jej oczom ukazał się ładny wiosenny poranek (czas biegł tu z tak nieuchwytną giętkością; według zegarków upływał normalnie, ale nie miał w sobie nic normalnego). Lis był przed domem, jak przewidywała; siedział na zarośniętej chwastami łupkowej ścieżce, z ogonem starannie owiniętym wokół łap. Patrzył na Lilę z żywym zainteresowaniem.

– Cześć, kochany – powiedziała.

Lis przekrzywił głowę i jakby się uśmiechnął. Potem podreptał ścieżką do zniszczonej ulicy i znów usiadł. Obserwował ją. Czekał.

Lila poszła obudzić Tiffany.

3

Siedemnaście mieszkanek Naszego Miejsca podążyło za lisem sześcioma wózkami golfowymi napędzanymi energią słoneczną. Kolumna powoli wytoczyła się z miasta i ruszyła dawną drogą numer 31 w stronę Ball's Hill. Tiffany jechała w pierwszym wózku, razem z Janice i Lilą, przez całą drogę marudząc, że nie pozwolono jej dosiąść konia. Zabroniły jej tego Erin i Jolie, zaniepokojone tym, że choć do porodu teoretycznie zostało sześć do ośmiu tygodni, Tiff już miała silne skurcze. Tyle powiedziały przyszłej mamie. Zataiły przed nią (ale nie przed Lilą i Janice) swoje obawy o jej dziecko, poczęte w okresie, kiedy Tiffany jeszcze codziennie – czasem co godzinę – brała narkotyki.

W wyprawie uczestniczyły Mary Pak, Magda Dubcek, cztery członkinie Klubu Książkowego „Pierwszy Czwartek" i pięć byłych więźniarek zakładu karnego w Dooling. Była też Elaine Nutting, dawniej Geary. Jechała z dwiema lekarkami. Nana, jej córka, chciała się z nią zabrać, ale Elaine postawiła stanowcze weto; nie zmiękła nawet, kiedy popłynęły łzy. Nana została więc ze starą panią Ransom i jej wnuczką. Dziewczynki zaprzyjaźniły się ze sobą, ale nawet perspektywa spędzenia całego dnia z Molly nie podniosła Nany na

duchu. Chciała pójść za lisem, powiedziała, bo był jak stworzenie z baśni. Chciała go narysować.

– Zostań z córeczką, jeśli chcesz, Elaine – powiedziała Lila. – Ludzi mamy dosyć.

– Przede wszystkim chcę zobaczyć, czego chce to zwierzę – odparła Elaine. Tak naprawdę wcale nie wiedziała, czy tego pragnie. Kiedy patrzyła na lisa, czekającego przed żałosnymi ruinami zakładu fryzjerskiego Pearson's, aż kobiety się zbiorą i ruszą w drogę, miała niejasne, ale silne złe przeczucia.

– Szybciej! – zawołała Tiffany zrzędliwie. – Zanim znów zachce mi się sikać!

Ruszyły więc za lisem, który wybiegł truchtem z miasta po wyblakłej białej linii pośrodku drogi. Co pewien czas oglądał się za siebie, żeby sprawdzić, czy jego świta wciąż tam jest. Wyglądał, jakby się uśmiechał. Jakby chciał powiedzieć: Ależ ładne panie mamy dziś na widowni.

To była wycieczka – owszem, dziwna wycieczka, ale mimo wszystko dzień wolny od obowiązków i pracy – i jako taka powinna upływać wśród rozmów i śmiechu, ale kobiety w powoli jadącej kolumnie wózków golfowych prawie się nie odzywały. Zapaliły przednie światła i kiedy mijały dżunglę, w którą zmienił się Skład Drzewny Adamsa, Lili przyszło do głowy, że przypominają bardziej kondukt pogrzebowy niż grupę dziewczyn, które zrobiły sobie wypad za miasto.

Kilkaset metrów za składem drzewnym lis zbiegł z szosy na zarośniętą ścieżkę. Tiffany zesztywniała i w obronnym geście położyła dłonie na brzuchu.

– Nie, nie, nie, stań tu, ja wysiadam. Nie wrócę do przyczepy Tru Mayweathera, choćby została z niej kupa złomu.

– Nie tam jedziemy – stwierdziła Lila.

– Skąd wiesz?

– Zostań z nami, to się przekonasz.

Jak się okazało, szczątki przyczepy mieszkalnej były ledwo widoczne; zwalona z pustaków w czasie burzy, leżała na boku w wybujałych chwastach i kolczastych krzakach niczym zardzewiały dinozaur. Trzydzieści, może czterdzieści metrów przed nią lis odbił

w lewo i wśliznął się do lasu. Kobiety w dwóch pierwszych wózkach zobaczyły tylko mignięcie rudej sierści i straciły go z oczu.

Lila wysiadła i ruszyła w kierunku miejsca, gdzie lis wbiegł do lasu. Ruiny pobliskiej szopy całkowicie zarosły, ale nawet po tak długim czasie w powietrzu wciąż wisiał mdły chemiczny zapach. Metamfetamina zniknęła, pomyślała Lila, ale wspomnienia pozostały. Nawet tutaj, gdzie czas galopuje naprzód, robi przerwę dla nabrania tchu i znów puszcza się galopem.

Po chwili dołączyły do niej Janice, Magda i Blanche McIntyre. Tiffany została w wózku golfowym. Trzymała się za brzuch. Wyglądała na chorą.

– Tu jest ścieżka wydeptana przez zwierzęta – pokazała jej Lila. – Da się iść bez większego trudu.

– Nie pójdę do lasu – oznajmiła Tiffany. – Nawet gdyby ten lis zaczął stepować. Znowu mam cholerne skurcze.

– Nie poszłabyś, nawet gdybyś ich nie miała – powiedziała Erin. – Zostanę z tobą. Jolie, możesz iść, jeśli chcesz.

Jolie poszła. Piętnaście kobiet ruszyło ścieżką jedna za drugą, Lila na czele, była żona Franka Geary'ego na końcu. Szły prawie dziesięć minut, gdy nagle Lila stanęła; podniosła ręce, wskazując na lewo i prawo jak niezdecydowany policjant kierujący ruchem.

– O cholera – sapnęła Celia Frode. – Czegoś takiego to ja jeszcze nie widziałam. Nigdy w życiu.

Gałęzie topól, brzóz i olch po bokach ścieżki obsiadły ćmy. Były ich miliony.

– A jeśli zaatakują? – szepnęła Elaine najciszej jak mogła, dziękując Bogu, że nie uległa żądaniom Nany, by zabrała ją ze sobą.

– Nie zaatakują – zapewniła Lila.

– Skąd możesz wiedzieć? – spytała Elaine.

– Wiem i już. Są jak lis. – Lila zawahała się, szukając właściwego słowa. – Są posłańcami.

– Od kogo? – spytała Blanche. – Albo czego?

To było kolejne pytanie, na które Lila postanowiła nie odpowiadać, choć mogła to zrobić.

– Chodźcie – powiedziała zamiast tego. – To już niedaleko.

4

Piętnaście kobiet stało w trawie po uda. Patrzyły na niezwykłe drzewo, jak Lila zwykła je nazywać. Przez jakieś pół minuty wszystkie milczały. Wreszcie Jolie Suratt powiedziała zdyszanym, cienkim głosem:

– Boże kochany.

Drzewo wznosiło się jak żywy słup wysokiego napięcia w słońcu, sękate pnie oplatały się wokół siebie, gdzieniegdzie skupiając snopy światła słonecznego wypełnione drobinami pyłku, gdzie indziej tworząc mroczne jamy. Tropikalne ptaki igrały na licznych gałęziach i plotkowały wśród pierzastych liści. Paw, którego Lila już kiedyś widziała, paradował pod drzewem jak najbardziej elegancki portier na świecie. Był i czerwony wąż; zwisał z gałęzi jak akrobata, kołysząc się leniwie na boki. Pod nim ziała ciemna szczelina, od której splecione pnie jakby się odsuwały. Tego szczegółu Lila nie pamiętała, ale jakoś jej to nie dziwiło. Nie była też zaskoczona, kiedy lis wyskoczył z tej szczeliny jak pajacyk z pudełka i dla zabawy kłapnął zębami na pawia, który dostojnie go zignorował.

Janice Coates wzięła ją za ramię.

– My to naprawdę widzimy?

– Tak – odparła Lila.

Celia, Magda i Jolie wrzasnęły piskliwym, przenikliwym trójgłosem. Ze szczeliny w złożonym z wielu pni drzewie wyłaniał się biały tygrys. Zielonymi ślepiami zlustrował kobiety na skraju polany, po czym opuścił łeb i przeciągnął grzbiet, prawie jakby im się kłaniał.

– Nie ruszajcie się! – krzyknęła Lila. – Niech nikt się nie rusza! Nie zrobi wam nic złego! – Z całego serca miała nadzieję, że to prawda.

Tygrys dotknął nosem nosa lisa. Ponownie odwrócił się w stronę kobiet i, jak się zdawało, ze szczególnym zainteresowaniem przyjrzał się Lili. Potem wszedł za drzewo i zniknął im z oczu.

– Mój Boże… – Kitty McDavid załkała. – Czy to nie było piękne? Kurde, czy to nie było piękne?

– To jest *svaté místo.* Święte miejsce – stwierdziła Magda Dubcek i się przeżegnała.

Janice patrzyła na Lilę.

– Mów.

– Myślę, że to jest wyjście – powiedziała Lila. – Droga powrotu. Gdybyśmy chciały wrócić.

Walkie-talkie u jej paska obudziło się do życia. Przez trzaski w głośniku nie mogła rozróżnić słów. Miała jednak wrażenie, że to głos Erin. Coś krzyczała.

5

Tiffany, wyciągnięta, zajmowała przednie siedzenie wózka golfowego. Stara koszulka St. Louis Rams, którą skądś wyszperała, leżała zmięta na ziemi. Jej piersi, kiedyś dwa małe wzgórki, sterczały w niebo, opięte prostym bawełnianym stanikiem w rozmiarze D (te z lycry już się nie nadawały). Erin pochylała się między jej nogami, trzymając rozpostarte dłonie na imponująco wydętym brzuchu Tiffany. Kiedy nadbiegły kobiety – część z nich, wytrzepując z włosów gałązki i pojedyncze ćmy – Erin nacisnęła na brzuch. Tiffany wrzasnęła:

– Przestań, proszę cię, na litość boską, przestań! – I jej nogi rozłożyły się w V.

– Co robisz? – Lila dopadła do nich, ale gdy tylko spojrzała w dół, od razu zrozumiała, co Erin robi i dlaczego. Na niebieskim materiale spodni i bawełnianych majtkach Tiff rozlała się wilgotna różowa plama.

– Dziecko wychodzi, a jego tyłek jest tam, gdzie powinna być głowa – odparła Erin.

– O Boże, poród pośladkowy? – zawołała Kitty.

– Muszę je obrócić – wyjaśniła Erin. – Zawieź nas do miasta, Lila.

– Trzeba ją posadzić prosto – powiedziała Lila. – Inaczej nie będę miała jak prowadzić.

Z pomocą Jolie i Blanche McIntyre Lila podniosła Tiffany do pozycji półsiedzącej. Erin wcisnęła się na miejsce obok niej. Tiffany znów wrzasnęła:

– Au, to boli!

Lila wsunęła się za kierownicę wózka, z prawym ramieniem przyciśniętym do lewego ramienia Tiffany. Erin musiała obrócić się bokiem, żeby się zmieścić.

– Jak szybko można tym jechać? – spytała.

– Nie wiem. Przekonamy się. – Lila wcisnęła pedał gazu; skrzywiła się, słysząc skowyt Tiffany, kiedy wózek gwałtownie ruszył. Ciężarna krzyczała przy każdym podskoku na nierówności, a tych było sporo.

W tej chwili Lila nie myślała już o niezwykłym drzewie obsiadłym przez egzotyczne ptaki.

W przeciwieństwie do Elaine Nutting, dawniej Geary.

6

Zatrzymały się przed barem Olympia. Tiffany cierpiała zbyt silne bóle, żeby jechać dalej. Erin wysłała Janice i Magdę do miasta po swoją torbę lekarską, a Lila i trzy inne kobiety wniosły Tiffany do środka.

– Zsuńcie dwa stoły – poleciła Erin. – Szybko. Muszę obrócić dziecko, a żeby to się udało, mama musi być w pozycji leżącej.

Lila i Mary przestawiły stoły. Margaret i Gail położyły na nich Tiffany, krzywiąc się i odwracając twarze, jakby rzucała w nie błotem, a nie okrzykami sprzeciwu.

Erin znów zajęła się brzuchem Tiffany, ugniatała go jak ciasto.

– Chyba zaczyna się ruszać, chwała Bogu. Hej, młody, może byś tak fiknął koziołka dla doktor E.?

Uciskała brzuch Tiff jedną ręką, a Jolie Suratt napierała na niego z boku.

– Dosyć! – wrzasnęła Tiffany. – Przestańcie, kurwa wasza mać!

– Odwraca się. – Erin nie zwracała uwagi na jej bluzgi. – Naprawdę się odwraca, dzięki Bogu. Ściągnij jej spodnie, Lila. Majtki też. Jolie, uciskaj dalej. Nie pozwól, żeby się odwróciło z powrotem.

Lila chwyciła jedną nogawkę dżinsów Tiffany, Celia Frode drugą. Pociągnęły i stare spodnie zjechały z nóg rodzącej. Majtki częściowo

zsunęły się razem z nimi, zostawiając na udach ślady krwi i płynu owodniowego. Lila ściągnęła je do końca. Były ciężkie od wilgoci, ciepłe i przesiąknięte na wylot. Żołądek podjechał jej do gardła, ale po chwili wrócił na miejsce.

Tiffany nie przestawała krzyczeć, rzucając głową na boki.

– Nie mogę czekać, aż przyniosą torbę – powiedziała Erin. – Dziecko jest w drodze. Tyle że… – Spojrzała porozumiewawczo na byłą koleżankę z gabinetu, a ta skinęła głową. – Niech ktoś przyniesie Jolie nóż. Ostry. Trzeba będzie trochę rozciąć.

– Muszę przeć… – wydyszała Tiffany.

– Nie – powiedziała Jolie. – Jeszcze nie. Drzwi są otwarte, ale musimy zdjąć zawiasy. Zrobić trochę więcej miejsca.

Lila znalazła nóż do steków i starą butelkę wody utlenionej. Obmyła nią ostrze, obejrzała zamontowany obok drzwi dozownik płynu do dezynfekcji rąk i sprawdziła, czy działa. Nic z tego. Zawartość dawno wyparowała. Pospieszyła z powrotem.

Kobiety otaczały Tiffany, Erin i Jolie półokręgiem. Wszystkie trzymały się za ręce, oprócz Elaine Geary, która mocno obejmowała się wpół. Zerkała to na blat barowy, to na puste boksy, to na otwarte drzwi. Wszędzie, byle nie na zdyszaną, wrzeszczącą kobietę na prowizorycznym stole operacyjnym, teraz już nagą jak ją Pan Bóg stworzył, nie licząc starego bawełnianego stanika.

Jolie wzięła nóż.

– Odkaziłaś go czymś?

– Wodą utlenio…

– Może być – powiedziała Erin. – Mary, poszukaj styropianowej lodówki turystycznej. I niech któraś pójdzie po ręczniki. Na pewno są w kuchni. Rozłóżcie je na…

Tiffany zawyła żałośnie, kiedy Jolie Suratt zrobiła jej nożem do steków epizjotomię bez znieczulenia.

– Rozłóżcie ręczniki na dachach wózków golfowych – dokończyła Erin.

– Ano tak, panele słoneczne! – powiedziała Kitty. – Tam się nagrzeją. Kurczę, dobry po…

– Mają być ciepłe, ale nie gorące – ucięła Erin. – Nie zamierzam żywcem usmażyć naszego nowego obywatela. Do roboty.

Elaine stała na miejscu jak głaz pośród strumienia omijających ją kobiet; w dalszym ciągu patrzyła wszędzie, tylko nie na Tiffany Jones. Jej oczy były błyszczące, spojrzenie płytkie.

– Ile czasu zostało? – spytała Lila.

– Rozwarcie siedem centymetrów – powiedziała Jolie. – Lada chwila będzie dziesięć. Mamy pełne skrócenie szyjki macicy, choć tyle dobrego. Teraz przyj, Tiffany. Ale zachowaj trochę sił na następny raz.

Tiffany parła. Tiffany krzyczała. Pochwa Tiffany naprężyła się, zwarła, znów się rozchyliła. Świeża krew popłynęła spomiędzy jej nóg.

– To krwawienie mi się nie podoba. – Lila usłyszała, jak Erin szepnęła to Jolie kącikiem ust, jakby sprzedawała swój typ na wyścigach. – Zbyt obfite. Zdecydowanie. Chryste, żebym chociaż miała mój fetoskop.

Po chwili Mary wróciła z twardą plastikową lodówką turystyczną, podobną do tej, którą Lila wiele razy taszczyła nad jezioro Maylock, gdzie z Clintem i Jaredem urządzali sobie pikniki. Nadruk z boku głosił „Budweiser! Król piw!”.

– Może być, doktor E.?

– Tak – odparła Erin, ale nie podniosła wzroku. – No dobra, Tiff, teraz przyj z całej siły.

– Plecy mnie strasznie bolą… – wysapała Tiffany; ostatnie słowo rozciągnęła jękliwie. Jej twarz się wykrzywiła, a pięści zaczęły walić w odrapany blat z laminatu.

– Widzę główkę! – krzyknęła Lila. – Widzę twa… Jezu, Erin, co… ?

Erin odepchnęła Jolie i chwyciła dziecko za ramię, zanim mogło się wycofać, tak mocno wbijając w nie opuszki palców, że Lili zrobiło się niedobrze. Wysuwająca się główka była mocno przekręcona w bok, jakby malec usiłował obejrzeć się za siebie, jakby chciał zobaczyć, skąd wyszedł. Oczy miał zamknięte, twarz ziemistą. Upstrzona krwią pępowina – jak czerwony wąż na niezwykłym drzewie, pomyślała Lila – oplatała jego szyję niczym stryczek i biegła po policzku w stronę ucha. Od piersi w dół dziecko wciąż tkwiło w ciele matki, ale jedna rączka wyśliznęła się na zewnątrz i opadła bezwładnie. Lila widziała każdy idealny palec, każdy idealny paznokieć.

– Przestań przeć – poleciła Erin. – Wiem, że chcesz mieć to z głowy, ale teraz nie przyj.

– Muszę… – wychrypiała Tiffany.

– Jeśli to zrobisz, udusisz dziecko. – Jolie znów stała ramię w ramię z Erin. – Poczekaj. Daj… daj mi sekundę…

Za późno, pomyślała Lila. Już się udusiło. Wystarczy spojrzeć na tę szarą buzię.

Jolie wsunęła pod pępowinę jeden, a potem drugi palec. Zgięła oba w przywołującym geście i najpierw uniosła duszący sznur, a potem zsunęła go przez głowę dziecka. Tiffany krzyczała, aż wszystkie ścięgna wystąpiły jej na szyi.

– Teraz przyj! – powiedziała Erin. – Ile sił! Na trzy! Jolie, pilnuj, żeby nie wylądowało twarzą na tej brudnej podłodze! Tiff! Raz, dwa, trzy!

Tiffany zaczęła przeć. Dziecko wyskoczyło prosto w ręce Jolie Suratt. Było oślizłe, piękne i martwe.

– Słomka! – krzyknęła Jolie. – Dajcie słomkę! Już!

Lila nawet nie zauważyła, kiedy podeszła do nich Elaine. W ręku miała wyjętą z papierka słomkę.

– Proszę.

Erin wzięła ją i poleciła:

– Lila, otwórz chłopcu usta. – Chłopcu. Lila dopiero teraz dostrzegła mały szary przecinek pod brzuchem dziecka. – Otwórz mu usta! – powtórzyła Erin.

Ostrożnie, dwoma palcami Lila wykonała polecenie. Erin włożyła jeden koniec słomki do swoich ust, a drugi w mały otwór, który zrobiła Lila.

– Teraz uciśnij podbródek – nakazała Jolie. – Trzeba to będzie wyssać.

Po co? Skoro umarł, to umarł. Lila jednak zrobiła, co jej kazano. Patrzyła, jak w policzkach wciągającej powietrze Erin Eisenberg powstają ciemne, półkoliste wgłębienia. Rozległ się głośny dźwięk – flup; Erin odwróciła się w bok i wypluła coś, co wyglądało jak flegma. Kiwnęła głową na Jolie, która podniosła dziecko do swojej twarzy i delikatnie wdmuchnęła powietrze do jego ust.

Chłopiec leżał bez ruchu, z głową zwieszoną do tyłu i kroplami krwi i piany na łysym ciemiączku. Jolie dmuchnęła jeszcze raz. I wtedy stał się cud. Drobna pierś zafalowała; niewidzące niebieskie oczy się otworzyły. Malec zaniósł się krzykiem. Celia Frode pierwsza zaczęła bić brawo, potem dołączyły do niej pozostałe kobiety… z wyjątkiem Elaine, która wróciła w miejsce, w którym stała przedtem, i znów objęła się wpół. Płacz dziecka nie cichł. Jego dłonie zacisnęły się w małe piąstki.

– Moje dziecko… – Tiffany podniosła ręce. – Mój synek płacze. Dajcie mi go.

Jolie zawiązała pępowinę gumką recepturką i otuliła malca pierwszą rzeczą, która wpadła jej w rękę – fartuchem kelnerki, zerwanym przez kogoś z wieszaka. Podała zawodzące zawiniątko Tiffany, która spojrzała synkowi w twarz, zaśmiała się i pocałowała jego lepki policzek.

– Gdzie te ręczniki? – rzuciła Erin. – Niech ktoś je natychmiast przyniesie.

– Jeszcze chyba nie dość się nagrzały – stwierdziła Kitty.

– Idź po nie.

Przyniesiono ręczniki i Mary wyłożyła nimi lodówkę turystyczną. W tej samej chwili Lila zauważyła, że spomiędzy nóg Tiffany nadal leje się krew. Dużo krwi. Może całe litry.

– To normalne? – spytał ktoś.

– Całkowicie. – Głos Erin był stanowczy i autorytatywny, wyrażał niezachwianą pewność: nie dzieje się absolutnie nic złego. To wtedy Lila zaczęła podejrzewać, że Tiffany umrze. – Ale niech ktoś przyniesie więcej ręczników.

Jolie Suratt wyciągnęła ręce, żeby wziąć dziecko od matki i położyć je w prowizorycznym łóżeczku. Erin jednak pokręciła głową.

– Niech jeszcze chwilę go potrzyma.

Teraz Lila była już pewna.

Zachód słońca w dawnym Dooling, dziś zwanym Naszym Miejscem.

Lila siedziała z plikiem papierów spiętych zszywaczem na ganku domu przy St. George Street, kiedy przyszła Janice Coates, rozsiewając słaby zapach jałowca. Była naczelnik więzienia usiadła obok, sięgnęła za pazuchę pikowanej kamizelki i wyjęła źródło zapachu: półlitrówkę dżinu Schenley's. Poczęstowała Lilę, ale ta pokręciła głową.

– Zatrzymanie łożyska – oznajmiła Janice. – Tak powiedziała Erin. Nie było jak go wyłyżeczkować, przynajmniej nie na tyle szybko, żeby zatamować krwawienie. I nie mamy leku, którego się używa w takich sytuacjach.

– Pitocyna – powiedziała Lila. – Podali mi ją, kiedy rodziłam Jareda.

Jakiś czas siedziały w milczeniu, patrząc na dogasające światło tego niezwykle ciężkiego dnia. Wreszcie Janice powiedziała:

– Pomyślałam, że przyda ci się pomoc w uprzątnięciu jej rzeczy.

– Już załatwione. Nie miała wiele.

– Jak my wszystkie. W sumie to dobrze, nie sądzisz? W szkole uczyliśmy się takiego wiersza; była w nim mowa o tym, że biorąc czy dając, tracimy coś z siebie. To chyba Keats.

Lila, która też uczyła się tego wiersza, wiedziała, że napisał go Wordsworth, ale zbyła ten fakt milczeniem. Janice schowała butelkę z powrotem do kieszeni i wyciągnęła względnie czystą chusteczkę. Otarła nią najpierw jeden, potem drugi policzek Lili, budząc w niej boleśnie słodkie wspomnienia o matce, która robiła to samo, ilekroć córka, samozwańcza chłopczyca, spadała ze swojego roweru albo deskorolki brata.

– Znalazłam to w komodzie, w której trzymała rzeczy dla dziecka. – Lila podała Janice cienki plik kartek. – Pod koszulami nocnymi i bucikami.

Na okładce Tiffany przykleiła zdjęcie, na którym roześmiana kobieta z idealną trwałą trzymała nad głową roześmiane dziecko, skąpane w złocistym świetle słońca. Janice była prawie pewna, że wycięła je z reklamy Gerber Baby Foods w starym czasopiśmie dla kobiet – może „Good Housekeeping". Pod zdjęciem Tiffany starannie wykaligrafowała: „Dla Andrew Jonesa: Jak dobrze żyć".

– Wiedziała, że to chłopiec – stwierdziła Lila. – Nie mam pojęcia skąd, ale to wiedziała.

– Magda jej powiedziała. Jakaś stara mądrość ludowa o wysoko ułożonym brzuchu.

– Musiała długo nad tym pracować, a nigdy tego nie widziałam. – Lila była ciekawa, czy to dlatego, że Tiffany krępowało jej towarzystwo. – Zajrzyj na pierwszą stronę, a zrozumiesz, czemu się rozkleiłam.

Janice otworzyła małą książkę domowej roboty. Lila nachyliła się ku niej i przeczytały razem.

10 ZASAD DOBREGO ŻYCIA

1. Bądź dobry dla innych, a inni będą dobrzy dla ciebie.
2. NIGDY, PRZENIGDY nie bierz narkotyków dla przyjemności.
3. Jeśli nie masz racji, przeproś.
4. Bóg widzi wszystkie twoje złe uczynki, ale jest miłosierny i wybacza.
5. Nie kłam, bo to wchodzi w krew.
6. Nigdy nie bij koni.
7. Ciało to twoja świątynia, więc NIE PAL.
8. Nie oszukuj, karzdego traktuj UCZCIWIE.
9. Ostrożnie dobieraj przyjaciół, nie tak jak ja.
10. Zawsze pamiętaj, że mama cię kocha, a ze WSZYSTKIM sobie w życiu poradzisz!

– Ostatni punkt zupełnie mnie rozwalił – powiedziała Lila. – Nadal mnie rozwala. Daj no tę flaszkę. Chyba jednak muszę się napić.

Janice podała jej butelkę. Lila wzięła łyk i skrzywiła się.

– Co z dzieckiem? Wszystko w porządku?

– Zważywszy, że urodziło się sześć tygodni przed terminem, i to w naszyjniku z pępowiny, trzyma się świetnie – powiedziała Janice. – Dzięki Bogu, że były z nami Erin i Jolie, inaczej straciłybyśmy ich oboje. Teraz jest z Lindą Bayer i jej dzieckiem. Linda jakiś czas temu odstawiła Alexa od piersi, ale kiedy tylko usłyszała płacz Andy’ego,

znów zaczęła wytwarzać mleko. Tak przynajmniej mówi. Tymczasem zdarzyła się kolejna tragedia…

Bo Tiffany to jeszcze za mało jak na jeden dzień. Lila spróbowała przybrać pokerową minę.

– Wal.

– Kojarzysz Gerdę Holden? Najstarszą z córek Clary? Zniknęła.

Co prawie na pewno znaczyło, że na drugim świecie spotkała ją śmierć. Teraz już wszystkie uważały to za niezbity fakt.

– Jak Clara to zniosła?

– W zasadzie tak, jak można się było spodziewać. Odchodzi od zmysłów. Ona i dziewczynki już prawie tydzień mają te dziwne zawroty głowy…

– Czyli ktoś przenosi je z miejsca na miejsce.

Janice wzruszyła ramionami.

– Może. Prawdopodobnie. Cokolwiek się stało, Clara boi się, że jedna z pozostałych córek też lada chwila zniknie. Może wszystkie naraz. Na jej miejscu też bym się bała. – Zaczęła przeglądać poradnik dla Andrew Jonesa. Każdą stronę wypełniało rozwinięcie jednej z dziesięciu naczelnych zasad.

– Chcesz porozmawiać o Drzewie? – spytała Lila.

Janice po krótkim namyśle pokręciła głową.

– Może jutro. Dzisiaj chcę już tylko się położyć.

Lila, niepewna, czy sama zdoła zasnąć, uścisnęła jej dłoń.

8

Nana zapytała matkę, czy może zostać na noc z Molly u pani Ransom. Elaine powiedziała, że owszem, najpierw jednak, na wszelki wypadek, upewni się, że staruszka nie będzie miała nic przeciwko.

– Oczywiście, że nie – usłyszała od pani Ransom. – Obie z Molly uwielbiamy Nanę.

To wystarczyło Elaine Nutting, dawniej Geary, która ten jeden raz ucieszyła się, że córeczki nie będzie w domu. Nana była jej ukochanym dzieckiem, jej klejnotem – to jedna z niewielu spraw,

w których zgadzała się z mężem, i powód, dla którego ich małżeństwo przetrwało dłużej, niż przetrwałoby w innych okolicznościach – tego wieczoru jednak Elaine miała coś ważnego do zrobienia. Ważniejszego dla Nany niż dla niej samej. Tak naprawdę ważnego dla wszystkich kobiet w Dooling. Niektóre (na przykład Lila Norcross) pewnie teraz tego nie zrozumieją, ale kiedyś przejrzą na oczy.

O ile, rzecz jasna, się na to zdobędzie.

Wózki golfowe, którymi pojechały na wyprawę do tego dziwnego drzewa w lesie, stały w równym rzędzie na parkingu za ruinami ratusza. Jedną z zalet kobiet, pomyślała – jedną z wielu zalet – jest to, że zwykle odkładają rzeczy na miejsce, kiedy kończą ich używać. Mężczyźni byli inni. Zostawiali swoje graty, gdzie popadnie. Ile razy powtarzała Frankowi, żeby wrzucił brudne ciuchy do kosza na pranie – nie dość, że je prała i prasowała, to jeszcze miała je po nim zbierać? I ile razy mimo to znajdowała je walające się w łazience dookoła prysznica albo rozrzucone na podłodze sypialni? A czy kiedykolwiek łaskawie raczył opłukać szklankę albo umyć naczynie po nocnej przekąsce? Gdzie tam! Zupełnie jakby naczynia i szklanki znikały, kiedy tylko spełniły swoje zadanie. (Takie postępowanie męża irytowało ją, tym bardziej że w swoim gabinecie i klatkach dla zwierząt jakoś potrafił utrzymywać nienaganny porządek).

Drobiazgi, można rzec, i jakże się z tym nie zgodzić? To były drobiazgi! Jednak w ciągu piętnastu lat te błahostki stały się dla niej domową wersją starej chińskiej tortury – czytała o niej w książce Time-Life, którą wzięła sobie z darów pozostawionych w sklepie dobroczynnym. Kara tysiąca cięć, tak się nazywała. Wybuchowy charakter Franka był najgorszym i najgłębszym z tych cięć. Och, czasem trafił się a to upominek, a to czuły pocałunek w kark, a to kolacja na mieście (przy świecach!), ale to wszystko było tylko lukrem na czerstwym, trudnym do przeżucia torcie. Torcie ich małżeństwa! Nie posunęłaby się do stwierdzenia, że wszyscy mężczyźni są tacy, ale większość owszem, bo instynkt dostawali w pakiecie standardowym. Razem z penisem. Dom mężczyzny to jego twierdza, jak głosiło stare powiedzenie, a w parze

chromosomów XY zapisane było głębokie przekonanie, że każdy facet jest królem, a każda kobieta jego służącą.

Kluczyki zostały w wózkach. Oczywiście, że tak – w Naszym Miejscu czasem ginęły drobiazgi, ale prawdziwych kradzieży nie było. To jedna z zalet tego świata. Jedna z wielu zalet, które jednak nie wszystkim wystarczały. Weźmy całe to biadolenie i marudzenie, jakie odchodziło na Spotkaniach. Nana uczestniczyła w kilku z nich. Nie zdawała sobie sprawy, że Elaine o tym wie, ale Elaine wiedziała. Dobra matka pilnuje dziecka i wie, kiedy wpada w towarzystwo niewłaściwych ludzi szerzących szkodliwe idee.

Przed dwoma dniami Molly była u nich w domu i dziewczynki świetnie się bawiły, najpierw na powietrzu (grały w klasy i skakały na skakankach), potem w środku (zrobiły remont w dużym domku dla lalek, który Elaine zabrała z domu handlowego w Dooling, bo uznała, że ma do tego prawo) i wreszcie znów na zewnątrz, aż do zachodu słońca. Zjadły obfitą kolację, a po niej Molly o zmierzchu przeszła dwie przecznice dzielące ją od domu. Sama. A dlaczego mogła to zrobić? Bo na tym świecie nie ma przestępców seksualnych. Nie ma pedofilów.

Szczęśliwy dzień. I dlatego Elaine była tak zaskoczona (i trochę wystraszona, co tu kryć), kiedy w drodze do łóżka przystanęła pod drzwiami córki i usłyszała, że Nana płacze.

Elaine wybrała wózek, przekręciła kluczyk i dużym palcem u nogi wcisnęła mały okrągły pedał gazu. Bezdźwięcznie wyjechała z parkingu i ruszyła w głąb Main Street, mijając wygasłe latarnie i ciemne witryny. Trzy kilometry za miastem dotarła do schludnego białego budynku, przed którym stały dwa bezużyteczne dystrybutory paliwa. Szyld na dachu głosił, że mieścił się tu sklep z wyrobami wiejskimi. Właściciel, Kabir Patel, zniknął, oczywiście, podobnie jak jego trzej grzeczni (przynajmniej przy ludziach) synowie. Jego żona była u rodziny w Indiach, kiedy wybuchła epidemia aurory, i zapewne teraz leżała owinięta kokonem w Bombaju, Lucknow czy gdzieś.

Pan Patel sprzedawał po trochu wszystkiego – tylko tak mógł konkurować z supermarketem – ale większość towarów już się

ulotniła z półek. Oczywiście najpierw zniknął alkohol; kobiety lubią pić, a kto je nauczył to lubić? Inne kobiety? W rzadkich przypadkach.

Nie zaglądając do ciemnego sklepu, Elaine pojechała wózkiem golfowym na tyły. Stał tam długi blaszany aneks z szyldem „Części samochodowe. U nas najtaniej!". Pan Patel utrzymywał tu porządek, to musiała mu przyznać. Ojciec Elaine naprawiał małe silniki, żeby dorobić do pensji hydraulika – to było w Clarksburgu – i w dwóch szopach za domem, w których pracował, zawsze walały się zbędne części zamienne, łyse opony, niszczejące kosiarki i glebogryzarki. „Patrzeć na ten bajzel nie można", żaliła się matka Elaine. „Gdyby nie ten bajzel, nie stać by cię było na piątkowe wizyty w salonie piękności", odgryzał się pan na zamku. I bałagan trwał.

Elaine musiała naprzeć całym swoim ciężarem na jedne z drzwi, zanim poruszyły się na brudnej szynie, w końcu jednak zdołała je przesunąć o półtora metra. To wystarczyło.

– Co się stało, słonko? – zapytała płaczącą córkę. Wtedy jeszcze nie wiedziała o istnieniu tego przeklętego drzewa i myślała, że łzy dziecka to jedyny jej problem i że przeminą szybko jak wiosenny deszcz. – Brzusio cię rozbolał po kolacji?

– Nie – wyszlochała Nana. – I nie musisz go nazywać brzusiem, mamo. Nie mam pięciu lat. – Ten rozdrażniony ton to było coś nowego i niemile zaskakującego, ale Elaine, choć lekko stropiona, dalej głaskała Nanę po włosach.

– O co więc chodzi?

Usta Nany zacisnęły się, zadrżały i nagle wybuchnęła:

– Tęsknię za tatusiem! I za Billym; czasem trzymał mnie za rękę, kiedy szliśmy do szkoły, i to było miłe, on był miły! Ale głównie tęsknię za tatusiem! Niech już te wakacje się skończą! Chcę do domu!

Zamiast przeminąć jak wiosenny deszcz, szloch przeszedł w istną ulewę łez. Kiedy Elaine próbowała pogłaskać córkę po policzku, Nana odtrąciła jej dłoń i usiadła prosto; wzburzone, naelektryzowane włosy okalały jej twarz. W tej chwili Elaine zobaczyła w niej Franka. Widziała go tak wyraźnie, że aż ją to zaniepokoiło.

– Nie pamiętasz, jak na nas krzyczał? – spytała. – I jak uderzył pięścią w ścianę? To było straszne, nie sądzisz?

– Krzyczał na ciebie! – odparowała Nana. – Na ciebie, bo zawsze chciałaś, żeby coś zrobił… coś przyniósł… albo był inny, niż jest… nie wiem… Ale na mnie nigdy nie krzyczał!

– Ciągnął cię za koszulę – przypomniała Elaine. Jej niepokój przeszedł w swoistą trwogę. Czy ona naprawdę myślała, że Nana zapomniała o Franku? Że wyrzuciła go do lamusa razem ze swoją niewidzialną przyjaciółką, panią Humpty-Dump? – Twoją ulubioną.

– Bo się bał człowieka w samochodzie! Tego, co rozjechał kota! Troszczył się o mnie!

– A pamiętasz, jak nakrzyczał na twoją nauczycielkę, jakiego wstydu ci wtedy narobił?

– Nic mnie to nie obchodzi! Chcę do taty!

– Nana, dość tego. Powiedziałaś swo…

– Chcę do taty!

– Zamknij oczy, śpij, słodkich sn…

– CHCĘ DO TATY!

Elaine wyszła, delikatnie zamykając za sobą drzwi. Ileż wysiłku kosztowało ją, żeby nie zniżyć się do poziomu dziecka i nimi nie trzasnąć! Nawet teraz, stojąc w cuchnącej olejem szopie pana Patela, nie chciała przyznać przed samą sobą, jak niewiele zabrakło, żeby wydarła się na córkę. Nie sprawił tego ostry ton Nany, jakże inny od jej normalnie cichego, niepewnego głosu, ani nawet jej fizyczne podobieństwo do Franka, które Elaine zazwyczaj potrafiła ignorować. Nie, przyczyną było to, że przedstawiając swoje nierozsądne, nierealne żądania, mówiła zupełnie jak on. Jakby Frank Geary jakimś cudem pokonał przepaść dzielącą tamten brutalny stary świat od tego nowego i opętał jej dziecko.

Rano Nana na pozór znów była sobą, ale Elaine nie mogła przestać myśleć o płaczu, który słyszała przez drzwi, o tym, jak córka odtrąciła dłoń, która tylko chciała dodać jej otuchy, o paskudnym, podniesionym głosie dobywającym się z jej dziecięcych ust: Chcę do taty! I to jeszcze nie wszystko. Chodziła za rękę z brzydkim Billym Beesonem z ich ulicy. Tęskniła za swoim małym narzeczonym, który pewnie chętnie zaciągnąłby ją w krzaki i pobawił się z nią w doktora. Łatwo było nawet sobie wyobrazić Nanę i obleśnego Billy'ego w wieku szesnastu lat, obłapiających się na pace club caba jego

ojca. Lizaliby się, przygotowując ją do roli pierwszej kucharki i zmywaczki butelek w jego gównianym małym zamku. Zapomnij o rysowaniu obrazków, Nana, wynocha do garów. Poskładaj moje ubrania. Wygódź mi jak trza, ja potem beknę, przewrócę się na drugi bok i pójdę spać.

Elaine zabrała ze sobą latarkę na korbkę; teraz w jej świetle obejrzała wnętrze aneksu z częściami samochodowymi. Nie został splądrowany. Skoro nie było paliwa do samochodów, nikt nie potrzebował pasków klinowych ani świec zapłonowych. Czyli to, czego szukała, mogło wciąż tu być. Ojciec przechowywał duże ilości w swoim warsztacie, a zapach oleju tutaj był identyczny, przywoływał zadziwiająco wyraziste (ale nie nostalgiczne – co to, to nie) wspomnienia o dziewczynce z mysimi ogonkami, którą kiedyś była. Podawała ojcu części i narzędzia, o które prosił, idiotycznie się cieszyła, gdy dziękował, wzdrygała się, kiedy ją ganił, że za bardzo się ociąga albo bierze nie to, co trzeba. Bo chciała go zadowolić. Był jej tatusiem, dużym i silnym, i chciała go we wszystkim zadowolić.

Ten świat wydawał się nieskończenie lepszy od starego, w którym rządzili mężczyźni. Tutaj nikt nie krzyczał na nią ani na Nanę. Nikt nie traktował ich jak obywateli drugiej kategorii. To był świat, w którym mała dziewczynka mogła sama wrócić do domu, nawet po zmroku, i czuć się bezpiecznie. Świat, w którym talent dziewczynki mógł się rozwijać razem z jej biodrami i piersiami. Nikt go nie zdusi w zarodku. Nana tego nie rozumiała – i nie była w tym odosobniona; wystarczyło posłuchać gadaniny na tych Spotkaniach, żeby się o tym przekonać.

„Myślę, że to jest wyjście", powiedziała Lila, kiedy kobiety stały w wysokiej trawie i patrzyły na to dziwne drzewo. I, o Boże, jeśli miała rację…

Elaine weszła głębiej do składu części samochodowych, kierując snop światła z latarki na podłogę. Była wylana betonem, a beton chłodzi. I wreszcie w przeciwległym kącie dostrzegła to, co miała nadzieję znaleźć: trzy dwudziestolitrowe, szczelnie zakręcone kanistry. Były proste, metalowe, nieoznakowane, ale jeden opasywała gruba czerwona gumka, a dwa pozostałe – gumki niebieskie. Jej ojciec w ten sam sposób oznaczał pojemniki z naftą.

„Myślę, że to jest wyjście. Droga powrotu. Gdybyśmy chciały wrócić”.

Niektóre na pewno chciałyby wrócić. Uczestniczki Spotkań, które nie mogły zrozumieć, jak dobrze im tu jest. Jak pięknie. Jak bezpiecznie. Tak się oswoiły z wpajaną im od pokoleń uległością, że ochoczo wróciłyby na łańcuchy. Te z więzienia, paradoksalnie, pewnie pierwsze rwałyby się do powrotu – do starego świata, do ciupy, z której tu zostały zwolnione. Tak wiele tych dziecinnych istot nie potrafiło, albo nie chciało, zrozumieć, że za uwięzienie praktycznie każdej z nich współodpowiedzialny był jakiś mężczyzna, którego ominęła kara. Mężczyzna, dla którego się poniżyły. Elaine widziała wiele takich przypadków przez lata pracy w schronisku dla kobiet i miliony razy słyszała te same usprawiedliwienia: „Ma dobre serce”. „Nie mówi tego poważnie”. „Obiecuje, że się zmieni”. Kurczę, sama była na to podatna. W trakcie tego niekończącego się dnia i nocy, zanim zasnęły i przeniosły się tutaj, prawie pozwoliła sobie uwierzyć, pomimo wszystkiego, co w przeszłości musiała znosić z jego strony, że Frank tym razem spełni jej prośbę, że zapanuje nad swoim wybuchowym temperamentem. Oczywiście tak się nie stało.

Elaine nie wierzyła, że Frank może się zmienić. Nie pozwoliłaby na to jego męska natura. Ona jednak się zmieniła pod jego wpływem. Czasem myślała, że doprowadził ją do obłędu. W jego mniemaniu była zrzędą, tyranem, drażniącym uszy dzwonkiem alarmowym, który dzień w dzień obwieszczał koniec przerwy. Nie do wiary, jak nikłe miał pojęcie o ciężarze obowiązków, jaki dźwigała. Czy naprawdę uważał, że ciągłe przypominanie mu, żeby opłacił rachunki, posprzątał po sobie, trzymał nerwy na wodzy, sprawiało jej przyjemność? Tak, właśnie tak myślał. Elaine nie była ślepa; widziała, że mąż nie jest szczęśliwym człowiekiem. On za to zupełnie jej nie zauważał.

Musiała działać – dla dobra Nany i całej reszty. To właśnie zrozumiała tego popołudnia, kiedy Tiffany Jones umierała w barze, oddając swoje nieszczęsne, zrujnowane życie za dziecko.

Część kobiet będzie chciała wrócić. Nie większość, Elaine musiała wierzyć, że nie ma wśród nich aż tylu wariatek i masochistek, ale czy mogła podjąć takie ryzyko? Czy mogła do tego dopuścić, kiedy jej

kochana Nana, ta sama Nana, która kurczyła się w sobie, ilekroć jej ojciec podnosił głos…

Przestań o tym myśleć, powiedziała sobie. Skup się na zadaniu.

Czerwona gumka oznaczała tanią naftę, z której pewnie byłoby nie więcej pożytku niż z benzyny przechowywanej w podziemnych zbiornikach na stacjach benzynowych w mieście. Kiedy tania nafta się zestarzeje, można w niej zgasić zapaloną zapałkę. Ale niebieskie gumki oznaczały naftę, do której dodano środek stabilizujący, czyli taką, która może zachować lotność przez dziesięć lat, nawet dłużej.

Drzewo, które znalazły tego dnia, może i jest nadzwyczajne, ale jest tylko drzewem, a drzewa się palą. Oczywiście będzie musiała uważać na tygrysa, ale miała pistolet. Przepłoszy go, zastrzeli, jeśli będzie trzeba. (Umiała strzelać; ojciec ją nauczył). W głębi ducha myślała, że to zbędny środek ostrożności. Lila nazwała tygrysa i lisa posłańcami, a Elaine czuła, że miała rację. Przypuszczała, że tygrys nie spróbuje jej powstrzymać, że Drzewo jest w gruncie rzeczy niestrzeżone.

Jeśli to drzwi, trzeba je zamknąć na dobre.

Pewnego dnia Nana to zrozumie i jej podziękuje.

9

Lila jednak zasnęła, ale obudziła się kilka minut po piątej, kiedy na wschodnim horyzoncie kładła się pierwsza smętna smuga światła. Wstała i wysikała się do nocnika. (Woda bieżąca była w Dooling dostępna, ale jeszcze nie dotarła do domu na St. George. „Kwestia jednego–dwóch tygodni”, zapewniła je Magda). Pomyślała, czy nie położyć się z powrotem, ale wiedziała, że tylko przewracałaby się z boku na bok i wspominała chwilę, kiedy Tiffany – pod koniec poszarzała na twarzy – po raz ostatni straciła przytomność, wciąż ze swoim nowo narodzonym dzieckiem w ramionach. Z Andrew Jonesem, który w spadku po matce dostanie tylko spiętą zszywaczem książeczkę o odręcznie zapisanych stronach.

Ubrała się i wyszła z domu. Nie miała określonego celu, ale nie była zbyt zaskoczona, kiedy zobaczyła przed sobą masywne ruiny ratusza; przepracowała tam większość dorosłego życia. Ten budynek pozostał dla niej swoistą magnetyczną północą, mimo że właściwie nie było już w nim czego oglądać. Strawił go pożar – wzniecony może uderzeniem pioruna, może awarią instalacji elektrycznej. Z części, w której kiedyś mieścił się gabinet Lili, zostały osmalone gruzy; reszta nosiła ślady działalności żywiołów, które długimi latami wdzierały się przez zniszczone mury i okna, rozmiękczając płytę gipsową na pożywkę dla pleśni, nanosząc śmieci, które zbierały się warstwami na podłogach.

Lila była więc zaskoczona, kiedy zobaczyła, że ktoś siedzi na granitowych schodach. Te schody to właściwie wszystko, co się zachowało w tej ruinie.

Kiedy podeszła bliżej, postać wstała i ruszyła jej naprzeciw.

– Lila? – Głos, choć niepewny i nabrzmiały świeżo przelanymi łzami, brzmiał znajomo. – Lila, to ty?

Nowe kobiety pojawiały się już z rzadka i jeśli ta miała być ostatnią, lepszej Lila nie mogłaby sobie wymarzyć. Pobiegła do niej, uściskała ją i wycałowała w oba policzki.

– Linny! Boże, jak się cieszę, że cię widzę!

Linny Mars odwzajemniła uścisk z rozpaczliwą siłą, po czym odsunęła Lilę od siebie, żeby spojrzeć jej w twarz. Upewnić się. Lila doskonale to rozumiała i stała bez ruchu. Dyspozytorka jednak była uśmiechnięta, a łzy na jej policzkach były łzami radości. Lila miała wrażenie, że wróciła jakaś kosmiczna równowaga – z jednej strony odejście Tiffany, z drugiej przybycie Linny.

– Długo tu siedzisz? – spytała wreszcie.

– Nie wiem – odparła Linny. – Godzinę, może dwie. Widziałam zachód księżyca. Nie… nie wiedziałam, dokąd pójść. Byłam w biurze, patrzyłam na laptopa i nagle… skąd się tu wzięłam? Gdzie jestem?

– To skomplikowane. – Lila prowadziła już Linny z powrotem do schodów; przyszło jej do głowy, że kobiety często tak mówią, a mężczyźni prawie wcale. – W pewnym sensie nadal jesteś w biurze, tylko owinięta kokonem. Przynajmniej tak uważamy.

– Umarłyśmy? Jesteśmy duchami? To chcesz powiedzieć?

– Nie. To prawdziwy świat. – Lila początkowo nie była tego pewna, ale teraz to się zmieniło. Przyzwyczajenie niekoniecznie musi rodzić pogardę, ale wiarę rodzi na pewno.

– Jak długo tu jesteś?

– Co najmniej osiem miesięcy. Może dłużej. Czas biegnie szybciej po tej stronie… cóż, tu, gdzie jesteśmy. Domyślam się, że tam, skąd przyszłaś, nie minął nawet tydzień od wybuchu aurory, mam rację?

– Pięć dni. Chyba. – Linny znów usiadła.

Lila czuła się jak po długim pobycie za granicą – spragniona wieści z kraju.

– Powiedz, co słychać w Dooling.

Linny spojrzała na nią zmrużonymi oczami i wskazała gestem ulicę.

– Przecież to jest Dooling, nie? Tylko w rozsypce.

– Pracujemy nad tym. Opowiadaj, co się działo, zanim odeszłaś. Masz jakieś wieści od Clinta? Słyszałaś coś o Jaredzie? – Mało prawdopodobne, ale Lila musiała zapytać.

– Za dużo ci nie powiem. Przez ostatnie dwa dni skupiałam się głównie na tym, żeby nie zasnąć. Brałam prochy z magazynu dowodów, wiesz, te zarekwirowane Grinerom, ale pod koniec już prawie nie działały. I działy się dziwne rzeczy. Ludzie wchodzili i wychodzili. Krzyczeli. Ktoś nowy przejął dowodzenie. Dave, chyba tak miał na imię…

– Dave i jak dalej? – Lila ledwo się powstrzymała, żeby nie potrząsnąć dyspozytorką.

Linny spojrzała ze zmarszczonymi brwiami na swoje dłonie, koncentrując się, wytężając pamięć.

– Nie Dave – powiedziała wreszcie. – Frank. Kawał chłopa. Nosił mundur, ale nie policyjny, w policyjny przebrał się później. Może Frank Gearhart?

– Mówisz o Franku Gearym? Tym, który odławia zwierzęta?

– Tak. Geary, zgadza się. Kurczę, zasadniczy facet. Człowiek z misją.

Lila nie wiedziała, co o tym sądzić. Pamiętała swoją rozmowę z Gearym, kiedy ubiegał się o posadę, którą ostatecznie dostał Dan Treat. Robił dobre wrażenie – bystry, pewny siebie – ale niepokoiły ją

jego statystyki z okresu pracy przy odławianiu bezpańskich zwierząt. Wypisywał zbyt wiele mandatów i za dużo było na niego skarg.

– Co z Terrym? Jest najwyższy stopniem, powinien był zająć moje miejsce.

– Pijany – odparła Linny. – Paru chłopaków śmiało się z tego.

– O czym ty…

Linny uniosła dłoń.

– Potem, na krótko nim zasnęłam, przyszli jacyś ludzie i powiedzieli, że Terry przysłał ich po broń. I że to w związku z tą kobietą w więzieniu. Tym, który ze mną rozmawiał, był obrońca publiczny, wiesz, zawsze ci przypominał Willa Gardnera z *Żony idealnej*.

– Barry Holden? – Lila nic z tego nie rozumiała. Kobietą, o której mowa, niewątpliwie była Evie Black, a Barry pomógł załatwić przeniesienie jej do więzienia, ale po co miałby…

– Tak, on. I były z nim jeszcze jakieś osoby. W tym kobieta. Córka naczelnik Coates, zdaje się.

– Niemożliwe – stwierdziła Lila. – Pracuje w Waszyngtonie.

– To może jakaś inna. Wtedy już czułam się jak w gęstej mgle. Ale zapamiętałam Dona Petersa, bo w ostatniego sylwestra dobierał się do mnie w Squeaky Wheel.

– Petersa? Tego z więzienia? Był z Barrym?

– Nie, przyszedł potem. Był wściekły, kiedy się dowiedział, że straciliśmy część uzbrojenia. „Zabrali wszystkie dobre giwery”, tak powiedział, pamiętam to. I był z nim jakiś chłopak, i ten chłopak powiedział… powiedział… – Linny spojrzała na Lilę okrągłymi oczami. – Powiedział: „A jeśli zawiozą je Norcrossowi do więzienia? Jak wtedy wyciągniemy stamtąd tę sukę?”.

Lila wyobraziła sobie przeciąganie liny – z Evie Black w roli węzła pośrodku, decydującego o zwycięstwie jednej bądź drugiej strony.

– Co jeszcze pamiętasz? Skup się, Linny, to ważne! – Zresztą, nawet jeśli coś sobie przypomni, co ona, Lila, będzie mogła z tym zrobić?

– Nic – odparła Linny. – Kiedy Peters i ten młody wybiegli, zasnęłam. I obudziłam się tutaj. – Rozejrzała się z powątpiewaniem, wciąż niepewna, czy rzeczywiście istnieje jakieś tutaj. – Lila?

– Mmm?

– Jest coś do jedzenia? Chyba jednak nie jestem martwa, bo umieram z głodu.

– Pewnie. – Lila pomogła jej wstać. – Może być jajecznica z grzankami?

– Już mi ślinka cieknie. Mogłabym wciąć pół tuzina jajek i jeszcze zostałoby miejsce na naleśniki.

Linnette Mars ostatecznie jednak nie dostała upragnionego śniadania; jak się okazało, swój ostatni posiłek zjadła poprzedniego dnia (dwa wiśniowe pop-tarty, podgrzane w mikrofalówce w pokoju socjalnym na posterunku). Kiedy dwie kobiety skręciły na St. George Street, Lila poczuła, że ręka Linny rozpływa się w jej dłoni. Zdążyła dostrzec kątem oka zdumioną minę towarzyszki. A potem została tylko chmura ciem, wzbijająca się w poranne niebo.

ROZDZIAŁ 10

1

Człowiek nigdy nie wie, jak mawiał Lowell Griner senior, gdzie natrafi na głęboko ukryte złoże węgla. „Czasem jedno uderzenie dłutem oddziela gówno od skarbu”, tak to ujął. Ta mądrość wyszła z ust starego pierdziela mniej więcej w tym samym czasie, kiedy większość najlepszych górników z okolicy maszerowała przez popieprzone i rozpieprzone zadupia Azji Południowo-Wschodniej, dostając wrzodów tropikalnych i popalając skręty doprawione heroiną. Nestora rodu Grinerów ten konflikt ominął, a to za sprawą braku dwu palców u prawej stopy i jednego palca u lewej dłoni.

Niewielu ludzi na tym bożym świecie plotło większe dyrdymały od świętej pamięci Lowella Grinera seniora – wierzył też w UFO, w mściwe leśne duszki i brał za dobrą monetę puste obietnice spółek węglowych. Duży Lowell Griner – tak go nazywano, może pod wpływem starej piosenki Jimmy’ego Deana o Dużym Johnie. Duży Low już dwadzieścia lat wygodnie leżał w trumnie, z pełną butelką Rebel Yell i płucami czarnymi jak bituminy, które wydobywał spod ziemi.

Jego syn, Lowell junior (naturalnie zwany Małym), z gorzką ironią wspomniał słowa ojca, kiedy szeryf Lila Norcross zgarnęła jego i jego starszego brata, Maynarda, z dziesięcioma kilogramami kokainy, całą apteką speedu i bronią. Wyglądało wtedy na to, że złoża ich szczęścia raptownie się wyczerpały, że skarb magicznie zamienił się w gówno, gdy ludzie szeryfa wyważyli taranem drzwi kuchenne starej rodzinnej posiadłości, chałupy nad strumieniem, dla której określenie „rudera” byłoby zbyt górnolotne.

Mały Low (który faktycznie miał nieco ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i ważył sto dwadzieścia kilo) nie żałował niczego, co w życiu zrobił. Żałował tylko, że nie dane mu było robić tego dłużej. W tygodniach, które spędzili z Maynardem w areszcie okręgowym w Coughlin, czekając na przeniesienie, większość wolnego czasu spędzał, wspominając to, jak dobrze się bawili: samochody sportowe, którymi się ścigali, ładne domy, w których waletowali, dziewczyny, które przelecieli, i licznych frajerów, których wzięli pod buty, intruzów, którzy próbowali się wczesać na terytorium Grinerów i skończyli pochowani wśród wzgórz. Przez prawie pięć lat byli ważnymi figurami w górach Blue Ridge. Jazda była niezła, ale wyglądało na to, że się skończyła.

Tak naprawdę byli w głębokiej dupie. Gliny miały ich narkotyki, ich broń i zeznanie Kitty McDavid, że wiele razy widziała, jak Lowell wymienia pliki banknotów na paczki koki od łącznika z kartelu, i że na jej oczach zastrzelił barana z Alabamy, który chciał im wcisnąć fałszywe pieniądze. W ręce policji wpadło nawet C4, które trzymali na Święto Niepodległości. (Zamysł był taki, żeby podłożyć je pod silos i zobaczyć, czy skurwiel poleci jak rakieta z Cape Carnival czy jak mu tam). I choć przeżył wiele dobrych chwil, Lowell nie był pewien, jak długo jeszcze te wspomnienia będą go podtrzymywały na duchu. Myśl, że pewnego dnia przyblakną, a potem rozsypią się w pył, była dołująca.

Kiedy znikną, pewnie będzie musiał po prostu się zabić. Nie myślał o tym ze strachem. Najbardziej bał się tego, że umrze z nudów w jakiejś celi – tak jak Duży Low, przez ostatnich kilka lat życia przykuty do wózka, sączący Yella i tlen z butli, udławił się na śmierć własnymi glutami. Maynard, jak na ćwierćgłówka przystało, zapewne z powodzeniem wytrzyma tych kilkadziesiąt lat za kratami. To jednak nie było w stylu Małego Lowella Grinera juniora. Nie miał ochoty grać kiepskimi kartami po to tylko, żeby zostać w grze.

I nagle, kiedy już czekali na pierwsze spotkanie przedprocesowe, gówno zmieniło się z powrotem w skarb. Boże, błogosław aurorę, narzędzie ich wybawienia.

Rzeczone wybawienie nastąpiło w zeszły czwartek po południu, tego dnia, kiedy kobieca śpiączka dotarła w Appalachy. Lowell

i Maynard byli przykuci do ławki pod salą konferencyjną w gmachu sądu w Coughlin. Prokurator i ich adwokat mieli już godzinę spóźnienia.

– Co jest, kurwa! – rzucił fiut z policji w Coughlin, który ich pilnował. – To jakieś kpiny. Za mało mi płacą, żebym cały dzień was niańczył, zbóje zafajdane. Idę zobaczyć, co sędzia na to.

Przez szybę ze zbrojonego szkła na wprost ławki Lowell widział, że sędzia Wainer, która jako jedyna z trzech funkcjonariuszy sądowych raczyła się stawić na spotkanie, położyła głowę między ramionami i ucięła sobie drzemkę. Bracia wtedy jeszcze nic nie wiedzieli o aurorze. Upierdliwy glina też nie.

– Oby mu łeb urwała za to, że ją obudził – stwierdził Maynard.

Nie całkiem tak to się rozegrało, kiedy przerażony policjant zerwał oprzęd z twarzy sędzi Reginy Alberty Wainer. Ale prawie.

Lowell i Maynard, przykuci do ławki, widzieli wszystko przez zbrojone szkło. To było niesamowite. Sędzia, może metr pięćdziesiąt wzrostu na wysokich obcasach, powstała dostojnie i, alleluja, wraziła glinie w pierś wieczne pióro ze złotą stalówką. Bydlak runął na dywan, a ona poszła za ciosem – chwyciła leżący nieopodal młotek sędziowski i rozwaliła mu łeb, zanim mógł choćby pierdnąć czy krzyknąć „Wysoki Sądzie, zgłaszam sprzeciw". Potem odrzuciła na bok zakrwawiony młotek, usiadła z powrotem, opuściła głowę na skrzyżowane ramiona i znów zasnęła.

– Braciszku, widziałeś to? – spytał Maynard.

– No.

Maynard pokręcił głową, rozrzucając brudne strąki długich włosów.

– Ale odjazd. Niech mnie diabli.

– Sąd, kurwa, zarządził przerwę – przytaknął Lowell.

Maynard – pierworodny, ale nazwany po wujku, bo kiedy przyszedł na świat, rodzice byli pewni, że nie dożyje zachodu słońca – miał brodę jaskiniowca i duże, tępo patrzące oczy. Nawet kiedy okładał pięściami jakiegoś nieszczęsnego sukinsyna, zwykle wyglądał jak osłupiały.

– Co teraz zrobimy?

Zrobili to, że szamotali się dotąd, aż ułamali poręcze ławki, do której byli przykuci, po czym weszli do sali konferencyjnej,

zostawiając za sobą szlak z drzazg. Uważając, żeby nie zakłócić spoczynku sędzi Wainer – pajęczyny na nowo osnuwały jej głowę gęstniejącą powłoką – zwędzili klucze gliny i uwolnili się z kajdanek. Zarekwirowali też kutasowi pistolet, paralizator i kluczyki do GMC.

– Obczaj ten pajęczy syf – szepnął Maynard, wskazując gestem nowe okrycie sędzi.

– Nie ma czasu – uciął Mały Low.

Drzwi na końcu korytarza – otwarte kartą martwego psa – prowadziły na drugi korytarz. Kiedy mijali pokój socjalny, ani jedna z kilkunastu osób w środku – glin, sekretarek, prawników – nie zwróciła na nich uwagi. Wszyscy w skupieniu oglądali News America, gdzie właśnie leciał dziwny, straszny materiał filmowy pokazujący, jak jakaś amiszka leżąca na stole zrywa się i odgryza nos pochylonemu nad nią facetowi.

Na końcu drugiego korytarza były drzwi na parking. Lowell i Maynard niespiesznie wyszli na jasne słońce i świeże powietrze, dumnie wyprężeni i szczęśliwi jak psy gończe na konkursie szczekania. GMC zabitego gliny stało nieopodal, w schowku znaleźli spory zapas niezłej muzy. Bracia Grinerowie uzgodnili, że najpierw puszczą Brooks and Dunn, a potem Alana Jacksona, który jest swój chłop, bez dwóch zdań.

Szurnęli na pobliski kemping i zaparkowali jimmy-maca za posterunkiem straży leśnej, zamkniętym w wyniku zeszłorocznych cięć budżetowych. Wystarczyło jedno pchnięcie i zamek w drzwiach puścił. W szafie wisiał kobiecy mundur. Na szczęście, właścicielka była słusznych rozmiarów – Maynard wcisnął się w niego na polecenie Lowella. Tak ubrany, bez trudu przekonał kierowcę chevroleta silverado, który stał na przykempingowym parkingu, żeby poszedł z nim na słówko.

– Coś nie tak z moim zezwoleniem na postój? – spytał człowiek z silverado. – Mówię panu, przez całe to gadanie o epidemii nie mam do niczego głowy. Słyszał kto kiedyś o czymś takim? – Zerknął na naszywkę na piersi Maynarda. – Hm, ma pan na imię Susan? Jak to się stało?

Mały Low udzielił jedynej odpowiedzi, na jaką zasługiwało to pytanie: wyszedł zza drzewa i rozłupał człowiekowi z silverado

czaszkę polanem. Świętej pamięci nieznajomy był mniej więcej budowy Lowella. Kiedy Low przebrał się w jego łachy, bracia zawinęli ciało w plandekę i wrzucili na tył ich nowego samochodu. Przenieśli do silverado płyty martwego gliny i pojechali do domku myśliwskiego, w którym dawno temu zostawili zapasy na czarną godzinę. Po drodze przesłuchali resztę kompaktów i zgodzili się, że James McMurtry to jakiś komuch, ale Hank III wymiata jak mało kto.

W domku słuchali na przemian radia i skanera częstotliwości policyjnych, który tam trzymali. Czekali na informacje o reakcji glin na ich ucieczkę.

Zupełny brak zainteresowania wspomnianą ucieczką początkowo niepokoił Lowella. Drugiego dnia jednak niepowstrzymana lawina wydarzeń i katastrof związanych z aurorą – teraz już rozumiał, dlaczego sędzia tak ostro obeszła się z gliną z Coughlin i skąd się wzięło to paskudztwo na jej twarzy – całkowicie rozproszyła jego obawy. Kogo obchodzi dwóch wiejskich opryszków, gdy uwagę świata zaprzątają masowe zamieszki, katastrofy lotnicze, awarie elektrowni jądrowych i podpalenia śpiących lasek?

2

W poniedziałek, kiedy Frank Geary przygotowywał plan natarcia na więzienie kobiece, Lowell siedział wygodnie na zbutwiałej kanapie w domku myśliwskim, przegryzał suszone mięso jelenia i obmyślał ich własne posunięcia. Władze na razie są zagubione, ale prędzej czy później się ogarną. Co więcej, jeśli sprawy dalej będą się toczyły tak, jak do tej pory, u sterów znajdą się sami faceci, a to oznacza, że zrobi się tu Dziki Zachód – najpierw wieszaj, potem pytaj. W końcu ktoś sobie przypomni o braciach Grinerach, wtedy pętla zaciśnie się wokół nich.

Wiadomości radiowe początkowo wpędziły Maynarda w ponury nastrój.

– To znaczy, że koniec z ruchaniem, Lowell? – spytał.

Sam trochę zasmucony tą perspektywą, Lowell odparł, że coś się wymyśli… jakby istniała jakaś alternatywa. Przypomniała mu się stara piosenka o tym, że robią to ptaki, robią to pszczoły, robią to nawet pchły z dobrej szkoły.

Jego starszemu bratu poprawił się humor, kiedy znalazł w szafce układankę. Teraz Maynard, w majtkach moro, klęczał przy stoliku i pracowicie ją układał, popijając schlitza. Przedstawiała rysunkowego kota z łapą w gniazdku elektrycznym, porażonego prądem. Maynard lubił puzzle, byle nie były za trudne. (To kolejny powód, dla którego Lowell sądził, że brat poradziłby sobie w więzieniu. Mieli tam od pioruna układanek). Kot pośrodku był prawie gotowy, ale otaczająca go jasnozielona ściana doprowadzała Maya do pasji. Narzekał, że każdy kawałek wygląda tak samo, a to jest oszukaństwo.

– Musimy posprzątać – oznajmił Lowell.

– Przecież już ci mówiłem: głowę faceta wsadziłem do wydrążonej kłody, a resztę wrzuciłem do jakiejś jamy. – Starszy brat Lowa rozczłonkowywał ciała z taką łatwością, z jaką zwykli ludzie rozbierali indyki. Ekscentryczne, ale miał z tego frajdę.

– Dobry początek, May, ale to jeszcze nie wystarczy. Musimy dokładnie posprzątać, dopóki panuje ogólna rozpierducha. Do czysta, że tak powiem.

Maynard dopił piwo, odrzucił puszkę.

– Jak to zrobimy?

– Najpierw spalimy posterunek w Dooling. Wtedy odpadnie problem dowodów – wyjaśnił Lowell. – To dla nas sprawa *numero uno.* – Tępa, zdumiona mina brata wskazywała, że bez szczegółowego wytłumaczenia się nie obejdzie. – Nasze dragi, May. W czasie nalotu zabrali wszystkie. Jeśli je spalimy, nie będą mieli na nas nic konkretnego. – Lowell już to sobie wyobrażał. Będzie super. Dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo chce zniszczyć posterunek policji. – A potem, żeby postawić kropkę nad i, wparujemy do więzienia i zajmiemy się Kitty McDavid. – Przeciągnął palcem po nieogolonej szyi, żeby pokazać bratu, co przez to rozumie.

– Oj tam, pewnie śpi.

Low uwzględnił tę możliwość.

– A jeśli naukowcy wymyślą, jak je wszystkie obudzić?

– Może nie będzie nic pamiętała. Będzie miała tę, no, amnezję, jak w *Dniach naszego życia.*

– A jeśli nie, May? Jak często się zdarza, że wszystko samo z siebie pomyślnie się układa? Przez tę pizdę McDavid możemy przekiblować resztę życia w pierdlu. I nawet nie to jest najważniejsze. Sypnęła, to się liczy. Musi za to zapłacić, czy śpi, czy nie.

– Naprawdę myślisz, że się do niej dostaniemy? – spytał Maynard.

Lowell tego nie wiedział, ale sądził, że mają sporą szansę. Odważnym szczęście sprzyja – słyszał to w jakimś filmie, a może serialu. Poza tym kiedy będzie lepsza okazja? Praktycznie pół świata śpi, a reszta miota się jak stado bezgłowych kur.

– Chodź. Czas ucieka, May. Co masz zrobić jutro, zrób dzisiaj. Zaraz będzie ciemno. Najlepsza pora, żeby działać.

– Gdzie jedziemy najpierw? – spytał Maynard.

Lowell nie wahał się ani chwili.

– Do Fritza.

Fritz Meshaum naprawiał i konserwował auta Lowella Grinera, rozprowadzał też jego kokę. Lowell w zamian spiknął szwaba z kilkoma handlarzami bronią. Fritz, oprócz tego, że był wybitnym mechanikiem i doskonałym konserwatorem samochodów, miał fioła na punkcie rządu federalnego, w związku z czym stale szukał okazji, żeby powiększyć swój prywatny arsenał broni ciężkiej. Kiedy przyjdzie nieuchronnie zbliżający się dzień, w którym FBI postanowi pojmać wszystkich porąbanych mechaników mieszkających w ruderach i posłać ich do Guantanamo, Fritz nie sprzeda tanio skóry – odda życie, jeśli to będzie konieczne. Ile razy Lowell go spotykał, Fritzie koniecznie musiał mu pokazać taką czy inną armatę i pochwalić się, jak skutecznie zmiotłaby kogoś z powierzchni ziemi. (Co zabawne, krążyły plotki, że Fritz kiedyś dostał ostry wpierdol od hycla. Twarda sztuka z naszego małego Fritza). Kiedy Lowell ostatnio się z nim widział, brodaty gnom radośnie zaprezentował mu swoją najnowszą zabawkę: prawdziwą, kurna, bazookę. Z rosyjskiego demobilu.

Low musiał się dostać do kobiecego więzienia, żeby rozwalić konfidentkę. Bazooka byłaby w sam raz na taką misję.

3

Jared nie za dobrze znał Gerdę Holden – ona dopiero zaczynała gimnazjum, on chodził do liceum – ale spotykał ją, kiedy ich rodziny jadły razem kolację. Czasem grali w piwnicy w gry wideo i czasem dawał jej wygrać. Wiele złego się wydarzyło od wybuchu aurory, ale dziś pierwszy raz ktoś zginął na jego oczach.

– Ona na pewno nie żyje, prawda, tato? – Byli z Clintem w łazience w skrzydle administracyjnym. Twarz i koszula Jareda były ochlapane krwią Gerdy. – Bo nie dość, że ją postrzelili, to jeszcze wypadła z samochodu na jezdnię, nie?

– Nie wiem. – Clint stał oparty o wyłożoną kafelkami ścianę. Jared, wycierający twarz papierowym ręcznikiem, napotkał spojrzenie ojca w lustrze nad umywalką. – Prawdopodobnie – powiedział Clint. – Tak. Z twojej relacji wynika, że prawie na pewno nie żyje.

– I ten facet też? Ten doktor? Flickinger?

– Tak. On pewnie też.

– I to wszystko z powodu tej kobiety? Tej Evie?

– Tak. Z jej powodu. Musimy ją chronić. Przed policją i wszystkimi innymi. Wiem, że to brzmi niedorzecznie. Ona może być kluczem do zrozumienia tego, co się stało, kluczem do uratowania sytuacji i… Po prostu mi zaufaj, dobrze, Jared?

– Dobrze, tato. Ale jeden ze strażników, Rand czy jak mu tam, powiedział, że ona jest… magiczna?

– Nie potrafię tego wyjaśnić, Jared – odparł Clint.

Chociaż starał się zachowywać spokojny ton, był wściekły – na siebie, na Geary'ego, na Evie. Ta kula mogła trafić Jareda. Mogła go oślepić. Wprowadzić w stan śpiączki. Zabić. Clint nie po to stłukł swojego starego przyjaciela, Jasona, w ogródku Burtellów, żeby jego syn umarł przed nim; nie po to spał w jednym łóżku z dzieciakami,

które się moczyły we śnie; nie po to zostawił Marcusa, Shannon i wszystkich pozostałych; nie po to w pocie czoła skończył studia.

Shannon powiedziała mu przed laty, że jeśli tylko da radę nikogo nie zabić, wyrwie się na wolność. Żeby jednak wyrwać się z obecnej sytuacji, być może będą musieli zabić ludzi. Być może on będzie musiał zabić ludzi. Ta myśl nie poruszyła go tak bardzo, jak mógł przypuszczać. Okoliczności się zmieniły, stawka też, ale układ w gruncie rzeczy pozostał ten sam: jeśli chcesz shake'a, musisz być gotów o niego walczyć.

– Co jest? – spytał Jared. Clint przechylił głowę na bok. – Wydajesz się… jakiś spięty.

– Zmęczony jestem, to wszystko. – Dotknął ramienia syna i przeprosił go na chwilę. Musiał sprawdzić, czy wszyscy są w wyznaczonych miejscach.

4

Nie było potrzeby przypominać, że mówił, że tak będzie.

Terry pochwycił spojrzenie Franka, kiedy odeszli od grupy otaczającej ciała.

– Miałeś rację. – Wyjął piersiówkę. Frank pomyślał, żeby go powstrzymać, ale tego nie zrobił. Tymczasowy szeryf pociągnął duży łyk. – Miałeś rację, od samego początku. Musimy ją zabrać.

– Jesteś pewien? – Frank zadał to pytanie takim tonem, jakby sam miał wątpliwości.

– Żartujesz sobie? Zobacz, co za bajzel! Vern martwy, dziewczyna, która go zabiła, poszatkowana kulami i też martwa. Prawnik z rozwaloną czaszką. Chyba jeszcze dychał, kiedy przyjechaliśmy, ale teraz to już na pewno nie żyje. Tamten gość, według prawa jazdy lekarz nazwiskiem Flickinger…

– On też? Serio? – Szkoda. Flickinger może i był łajzą, ale całej duszy nie zatracił, było nie było, próbował pomóc Nanie.

– I nie to jest najgorsze. Norcross, Black i reszta są teraz świetnie uzbrojeni, zabrali prawie całą broń o dużym zasięgu, którą

moglibyśmy zmusić ich do kapitulacji.

– Wiemy, kto z nimi był? – spytał Frank. – Kto prowadził kampera, kiedy nawiali?

Terry znów podniósł flaszkę do ust, ale była już pusta. Zaklął i kopnął odłupany kawałek makadamu.

Frank czekał.

– Stary piernik nazwiskiem Willy Burke. – Coombs wypuścił powietrze przez zęby. – W ostatnich piętnastu, może dwudziestu latach wrócił na prawą drogę, pomaga w mieście, ale nadal kłusuje. Za młodu pędził bimber. Może nadal to robi. Weteran. Nie da sobie w kaszę dmuchać. Lila nie wchodziła mu w drogę; uznała, że szkoda fatygi, żeby szukać na niego paragrafu. Chyba go lubiła. – Wciągnął powietrze. – Ja też.

– W porządku. – Frank postanowił zachować rozmowę telefoniczną z Black dla siebie. Zresztą wzbudziła w nim taką wściekłość, że ciężko byłoby mu nawet przypomnieć sobie jej szczegóły. Jedno utkwiło w jego pamięci, pociągało go za rękaw: pochwała za to, że chronił swoją córkę w szpitalu. Skąd ta kobieta mogła o tym wiedzieć? Tamtego ranka była w więzieniu. Ta myśl co rusz powracała, a on uparcie ją odpędzał. To było coś, czego nie mógł wytłumaczyć, jak te ćmy, które wyfrunęły z podpalonego skrawka kokonu Nany. Wiedział tylko, że Eve Black chciała mu dogryźć – i jej się udało. Chyba jednak nie zdawała sobie sprawy, jak się kończy dogryzanie Frankowi Geary'emu.

Dobrze przynajmniej, że Terry znów robił, co do niego należy – i to bez dodatkowej motywacji.

– Chcesz, żebym zaczął zbierać grupę ochotników? Chętnie się tym zajmę, jeśli takie masz życzenie.

Chociaż niekoniecznie nazwałby to swoim życzeniem, Terry przychylił się do wniosku.

Obrońcy więzienia pospiesznie zdjęli opony z samochodów i pikapów na parkingu. W sumie było około czterdziestu pojazdów, licząc więzienne furgonetki. Billy Wettermore i Rand Quigley wytoczyli opony, ułożyli je w piramidach po trzy w martwej przestrzeni między zewnętrznym a wewnętrznym ogrodzeniem i polali benzyną. Smród paliwa szybko wyparł wiszący w powietrzu swąd wilgotnego, zwęglonego drewna z wciąż tlącego się pożaru lasu. Nie zdjęli opon z pikapa Scotta Hughesa, ale zaparkowali go w poprzek tuż za bramą wewnętrzną, by służył za dodatkową przeszkodę.

– Scott kocha ten wóz – powiedział Rand.

– Wolałbyś, żeby stał tam twój? – spytał Tig.

– Za cholerę.

Jedynym wozem, który zostawili nietknięty, był kamper Barry'ego Holdena, który stał na miejscu dla niepełnosprawnych przy cementowej ścieżce prowadzącej do wejścia.

6

Po stracie Verna Rangle'a, Rogera Elwaya i policjantek, których zaśnięcie potwierdzono w trakcie spisu zarządzonego przez Franka, z załogi komendant Lili Norcross zostało siedmiu funkcjonariuszy: Terry Coombs, Pete Ordway, Elmore Pearl, Dan „Treater" Treat, Rupe Wittstock, Will Wittstock i Reed Barrows. Solidna ekipa, zdaniem Terry'ego. Wszyscy mieli za sobą co najmniej rok pracy w policji, a Pearl i Treat służyli w Afganistanie.

Kiedy dodać do tego trzech emerytowanych zastępców szeryfa – Jacka Albertsona, Micka Napolitano i Nate'a McGee – w sumie było ich dziesięciu.

Z Donem Petersem, Erikiem Blassem i Frankiem Gearym tworzyli już szczęśliwą trzynastkę.

Frank szybko zwerbował pół tuzina innych ochotników, w tym JT Wittstocka, ojca zastępców szeryfa noszących jego nazwisko i skupiającego się głównie na grze obronnej trenera futbolowej

drużyny szkoły średniej w Dooling; Pudge'a Marone’a, barmana ze Squeaky Wheel, który przyniósł ze sobą remingtona (na co dzień trzymał go pod kontuarem); Drew T. Barry’ego z Zakładu Ubezpieczeń Drew T. Barry’ego, ściśle trzymającego się przepisów agenta ubezpieczeniowego i wielokrotnie nagradzanego łowcę jeleni; Carsona „Country Strong” Struthersa, szwagra Pudge’a, który w turniejach Golden Gloves dorobił się bilansu 10–1, zanim lekarz doradził mu, żeby rzucił boks, dopóki jeszcze ma kawałek zdrowego mózgu; oraz dwóch radnych miejskich, Berta Millera i Steve'a Pickeringa, którzy, podobnie jak Drew T. Barry, pewnie się czuli na ambonie myśliwskiej. W sumie więc było ich dziewiętnastu i na wieść, że kobieta z więzienia może mieć informacje dotyczące kobiecej śpiączki, a nawet znać na nią lekarstwo, wszyscy rwali się do czynu.

7

Terry był zadowolony, ale chciał równą dwudziestkę. Nigdy nie zapomni widoku białej jak kreda twarzy i rozszarpanej szyi Verna Rangle’a. Czuł to tak, jak czuł przy sobie obecność Geary’ego, milczącego jak cień, śledzącego każdy jego ruch, oceniającego każdy dokonany przez niego wybór.

Ale mniejsza z tym. Żeby wyjść z tej sytuacji, musieli brnąć naprzód, pokonując wszelkie przeszkody: przez Norcrossa dotrzeć do Eve Black, przez Black – do zakończenia tego koszmaru. Terry nie wiedział, co się stanie, kiedy ją dorwą, wiedział jednak, że to będzie koniec. A wtedy będzie mógł się zająć zacieraniem wspomnienia pozbawionej kropli krwi twarzy Verna Rangle’a. I praktycznie już nieistniejących twarzy jego żony i córki. Innymi słowy: pić do nieprzytomności. Dobrze wiedział, że Frank przez cały ten czas z rozmysłem podsuwał mu gorzałę, ale co z tego? Co, kurwa, z tego?

Don Peters dostał polecenie, żeby obdzwonić wszystkich strażników z załogi zakładu karnego w Dooling; szybko ustalił, że Norcross ma na służbie góra czterech ludzi. Jeden z nich, Wettermore, był

parówą, drugi, Murphy, kiedyś uczył historii. Jeśli dodać Black i tego starego pierdziela Burke'a, może jeszcze trzech–czterech innych, o których nie wiedzieli – ostrożności nigdy za wiele – mieli przeciwko sobie nie więcej niż tuzin ludzi. I pewnie tylko nieliczni z nich nie spękają, kiedy zrobi się gorąco, bez względu na to, jak dobrze będą uzbrojeni.

Terry i Frank zatrzymali się przed sklepem z alkoholem na Main Street. Był otwarty i pełen ludzi.

– I tak mnie nie kochała! – obwieścił na całe gardło jakiś idiota, wymachując butelką dżinu. Śmierdział jak skunks.

Półki świeciły pustkami, ale Terry znalazł dwie półlitrówki dżinu; zapłacił pieniędzmi, które, jak mniemał, wkrótce staną się nic niewarte, jeśli ten potworny burdel się nie skończy. Zawartość jednej butelki przelał do piersiówki, drugą schował do papierowej torby, a później poszedł z Frankiem w pobliski zaułek. Prowadził na dziedziniec zawalony workami śmieci i tekturowymi pudłami, rozmiękłymi na deszczu. Odrapane drzwi mieszkania Johnny'ego Lee Kronsky'ego znajdowały się na parterze, między dwoma oknami z plastikowymi płachtami zamiast szyb.

Kronsky, legendarna postać w tej części Wirginii Zachodniej, otworzył i od razu zauważył butelkę w torbie.

– Kto przynosi dary, może wejść – powiedział i wyciągnął rękę po flaszkę.

W salonie było tylko jedno krzesło. Zajął je Kronsky. Ignorując gości, dwoma potężnymi łykami wypił pół butelki. Grdyka chodziła mu jak spławik na końcu żyłki z haczykiem. Na stoliku stał telewizor; grał ze ściszonym dźwiękiem. Na ekranie kilka kobiet w kokonach unosiło się na powierzchni Atlantyku. Wyglądały jak dziwne tratwy ratunkowe.

A gdyby tak rekin postanowił którąś ugryźć?, zastanawiał się Terry. Pewnie spotkałaby go niemiła niespodzianka.

Co to wszystko znaczy? Jaki jest tego sens?

Terry uznał, że zamiast o tym myśleć, lepiej się napić. Wyjął piersiówkę Franka i pociągnął łyk.

– To kobiety z tego dużego samolotu, który się rozbił – powiedział Johnny Lee. – Ciekawe, że tak pływają, nie? Ten materiał musi być

bardzo lekki. Jak kapok czy coś.

– To ci dopiero – zdziwił się Terry.

– Tak, tak, niesamowity widok. – Johnny Lee cmoknął z uznaniem. Był licencjonowanym prywatnym detektywem, ale nie takim, który śledzi niewiernych małżonków czy rozwiązuje zagadki kryminalne. Do roku dwa tysiące czternastego pozostawał na usługach spółki węglowej Ulysses Energy Solutions, infiltrował jej kopalnie w przebraniu górnika, nasłuchiwał plotek o działalności związkowej i podkopywał pozycję przywódców związków, którzy wydawali się szczególnie skuteczni. Innymi słowy: był bulterierem zarządu.

A potem zdarzył się kłopot. I to całkiem spory. Zawał w kopalni. To Kronsky tamtego dnia odpowiadał za założenie ładunków wybuchowych. Pod skałami zginęli trzej górnicy, którzy przed katastrofą nawoływali do zorganizowania referendum. Co niemal równie godne potępienia, jeden nosił koszulkę z wizerunkiem Woody'ego Guthriego. Prawnicy wynajęci przez Ulysses doprowadzili do oddalenia zarzutów – tragiczny wypadek, przekonali wielką ławę przysięgłych – ale Kronsky został zmuszony do przejścia na emeryturę.

Właśnie dlatego Johnny Lee wrócił do rodzinnego Dooling. Teraz, w swoim idealnie ulokowanym mieszkaniu – tuż za rogiem sklepu monopolowego – wytrwale zapijał się na śmierć. Federal Express co miesiąc doręczał mu czek od UES. Znajoma z banku powiedziała Terry'emu, że na odcinku każdego z czeków widnieje to samo słowo: „honorarium". Sądząc po wyglądzie jego podłej nory, honoraria nie były zawrotnymi sumami, ale Kronsky mógł z nich wyżyć. Terry znał tę historię, bo praktycznie nie było miesiąca, żeby policja nie przyjeżdżała tu na wezwanie sąsiadów, którzy usłyszeli brzęk tłuczonej szyby – rozbitej kamieniem lub cegłą rzuconą w jedno z okien Kronsky'ego, niewątpliwie przez związkowych bojówkarzy. Sam Johnny Lee nigdy nie dzwonił na policję. Otwarcie dawał do zrozumienia, że niezbyt go to rusza – JL Kronsky związki zawodowe miał głęboko w dupie.

Pewnego popołudnia, niedługo po wybuchu epidemii aurory, kiedy Terry jechał jedynką z Lilą, rozmowa zeszła na temat Kronsky'ego. Lila powiedziała wtedy:

– Kiedyś jakiś rozgoryczony górnik, może krewny jednej z ofiar Kronsky'ego, odstrzeli mu łeb, a nędznemu sukinsynowi pewnie ulży, że nie musi dłużej się męczyć.

8

– Mamy w więzieniu sytuację kryzysową – oznajmił Terry.

– Sytuacja kryzysowa jest wszędzie, szefuniu. – Kronsky miał sponiewieraną, obwisłą, wymizerowaną twarz i ciemne oczy.

– Nieważne, co jest wszędzie – odparł Frank. – My jesteśmy tutaj.

– Wisi mi, gdzie jesteście. – Johnny Lee wychylił butelkę do dna.

– Być może trzeba będzie coś wysadzić w powietrze – powiedział Terry. Barry Holden i jego kolesie zabrali dużo uzbrojenia, ale przeoczyli zapas C4 braci Grinerów. – Chyba potrafisz się obchodzić z plastikiem, nie?

– Może tak, może nie – rzucił Kronsky. – Co będę z tego miał, szefuniu?

Terry się zastanowił.

– Powiem krótko: Pudge Marone ze Squeaka jest z nami i myślę, że pozwoli ci pić na krechę do końca życia. – Na który to koniec, jak się domyślał Terry, nie trzeba będzie długo czekać.

– Hm – mruknął Johnny Lee.

– No i oczywiście masz okazję dobrze się przysłużyć swemu miastu.

– Dooling może mnie w dupę pocałować – stwierdził Johnny Lee Kronsky. – Ale z drugiej strony… czemu nie? Czemu, kurwa, nie?

A zatem mieli dwudziestu ludzi.

9

Zakład karny w Dooling nie miał wież strażniczych. Miał płaski dach z papy, najeżony wylotami przewodów wentylacyjnych, kominowych i spalinowych, praktycznie nieosłonięty, jeśli pominąć

kilkunastocentymetrowy murek na krawędzi. Willy Burke rozejrzał się i powiedział Clintowi, że widok na całą okolicę więzienia to dobra rzecz, ale bezpieczeństwo jego jajec jest ważniejsze.

– Widzi pan, tutaj nic nie zatrzyma kuli. Może ta szopa byłaby lepsza? – Staruszek wskazał w dół.

Chociaż na planach więzienia budynek ten opisany był jako „szopa z narzędziami", w rzeczywistości przechowywano w nim wszystko jak leci, w tym kosiarkę samojezdną, którą osadzone (te godne zaufania) strzygły boisko do softballa, a także sprzęt sportowy oraz przewiązane sznurkiem sterty pleśniejących gazet i czasopism. Co jednak najważniejsze – miał ściany z pustaków.

Obejrzeli szopę z bliska. Clint postawił krzesło za nią, pod okapem. Willy usiadł. W tym miejscu był osłonięty od strony ogrodzenia, ale znajdował się na linii strzału biegnącej od szopy do więzienia.

– Jeśli nadejdą tylko z jednej strony, nic mi nie grozi – stwierdził Willy. – Zobaczę ich kątem oka i się schowam.

– A jeśli z obu stron naraz? – spytał Clint.

– To będzie po mnie.

– Potrzeba ci pomocy. Wsparcia.

– Kiedy pan tak mówi, doktorze, żałuję, że za młodu nie bywałem częściej w kościele.

Staruszek patrzył na niego życzliwie. Po przyjeździe do więzienia zażądał od Clinta tylko jednego: ponownego zapewnienia, że Lila byłaby za tym, żeby stawili opór. Clint skwapliwie mu go udzielił, choć na tym etapie sam już nie wiedział, czego chciałaby Lila. Wydawało mu się, że nie ma jej od lat.

Próbował odpłacić mu tą samą życzliwością – szczyptą wesołego *savoir faire* w obliczu wroga – ale wyglądało na to, że resztki jego poczucia humoru wypadły z kampera Barry'ego Holdena razem z Gerdą Holden i Garthem Flickingerem.

– Byłeś w Wietnamie, prawda, Willy?

Willy uniósł lewą dłoń. Od spodu była zryta bliznami.

– I kilka kawałków mnie tam zostało.

– Jakie to było uczucie? Być tam? Musiałeś stracić wielu przyjaciół.

– O, tak. Straciłem przyjaciół. Co do tego, jak się czułem, to głównie byłem przerażony. Zagubiony. Dzień w dzień. Tak pan się

czuje teraz?

– Tak – przyznał Clint. – Nikt mnie na to nie przygotował.

Oblewało ich mętne światło popołudnia. Clint był ciekaw, czy Willy może dostrzec jego prawdziwe uczucia – strach i zagubienie, owszem, ale też ożywcze podniecenie. Przygotowania do obrony więzienia wzbudziły w nim swoistą euforię; oto wreszcie mógł przekuć w czyn całą swoją frustrację, przerażenie, poczucie straty i bezsilności. Zdawał sobie sprawę, co się z nim dzieje – to nic innego, jak przypływ agresywnej adrenaliny, spuścizna po małpich przodkach.

Upomniał się, że nie powinien tak myśleć, i może rzeczywiście nie powinien, ale co z tego, skoro poprawiało mu to nastrój. To było tak, jakby jego sobowtór, jadący coupé z opuszczonym dachem, zatrzymał się obok starego Clinta na czerwonym świetle, kiwnął mu głową na powitanie, po czym, gdy tylko zapłonęło zielone, wcisnął gaz do dechy, a stary Clint teraz tylko odprowadzał go wzrokiem. Nowy Clint musiał się spieszyć. Nowy Clint miał misję, a misja to dobra rzecz.

Kiedy szli na tyły więzienia, Willy powiedział mu o ćmach i obrośniętych pajęczynami śladach stóp, które widział w pobliżu przyczepy Trumana Mayweathera. O milionach ciem, zdawało się, obsiadających gałęzie, przeciągających rojami ponad sklepieniem drzew.

– One były od niej? – Willy słyszał plotki, jak każdy. – Od tej kobiety, którą pan tu trzyma?

– Tak – powiedział Clint. – I to jeszcze nie wszystko.

Willy odparł, że w to nie wątpi.

Wynieśli na zewnątrz drugie krzesło i dali Billy'emu Wettermore'owi pistolet maszynowy, przerobiony tak, żeby prowadził ogień ciągły (legalnie czy nie, Clint tego nie wiedział i nie obchodziło go to). Tym samym obie strony szopy mieli obstawione. Może nie idealne rozwiązanie, ale najlepsze, na jakie ich stać.

Owinięte kokonem ciało Linny Mars leżało na podłodze za biurkiem w recepcji biura szeryfa. Obok stał laptop, na którego ekranie wciąż leciał filmik pokazujący przewracające się Londyńskie Oko. Terry uznał, że musiała zsunąć się z krzesła, kiedy w końcu zapadła w sen. Bezwładnie rozwalona, częściowo blokowała korytarz prowadzący do pomieszczeń służbowych.

Kronsky przestąpił nad nią i ruszył w głąb korytarza, szukając magazynu dowodów. Terry'emu to się nie spodobało.

– E, nie widzisz, kurde, że ktoś tu leży? – zawołał za nim. – Na podłodze?

– Spokojnie, Terry – powiedział Frank. – Zajmiemy się nią.

Zanieśli Linny do celi i delikatnie położyli na materacu. Zasnęła niedawno. Narośl na jej oczach i ustach była jeszcze cienka. Wargi miała wykrzywione w wyrazie szalonej radości – kto wie czemu, może dlatego, że już nie musiała walczyć z sennością.

Terry upił jeszcze kilka łyków. Kiedy opuścił flaszkę, ściana celi nadciągnęła ku niemu. Wyciągnął rękę, żeby ją powstrzymać. Po chwili udało mu się stanąć prosto.

– Martwię się o ciebie – powiedział Frank. – Boję się, że… przedawkujesz.

– Wszystko git. – Terry odpędził ręką ćmę, która pętała mu się koło ucha. – I jak, Frank, zadowolony, że się zbroimy? Tego chciałeś, nie?

Frank spojrzał na niego. W jego oczach nie było groźby, tylko zupełna pustka. Patrzył na Terry'ego jak dziecko w ekran telewizora – jakby jego duch opuścił ciało.

– Nie – odparł. – Nie powiedziałbym, że jestem szczególnie zadowolony. Mamy robotę do wykonania i tyle.

– Zawsze to sobie wmawiasz, zanim skopiesz komuś tyłek? – spytał Terry z autentycznym zaciekawieniem; był zaskoczony, kiedy Frank drgnął, jakby dostał w twarz.

Kronsky czekał na nich w poczekalni. Miał plastik, po który przyszli, a oprócz tego wiązkę dynamitu, którą ktoś znalazł w żwirowni niedaleko posesji Grinerów i przyniósł na posterunek. Kręcił głową z dezaprobatą.

– Nie powinniście tu trzymać dynamitu, koleżkowie. Im dłużej leży, tym bardziej jest kapryśny. Za to C4… – Potrząsnął nim i Frank się

skrzywił. – Można rozjechać ciężarówką i nic się nie stanie.

– Czyli chcesz zostawić dynamit? – spytał Terry.

– Jezu, nie. – Kronsky zrobił urażoną minę. – Kocham dynamit. Miłością wieczną. Dynamit jest, że tak powiem, oldskulowy. Trzeba go tylko będzie zawinąć w koc. A może ta wasza śpiąca królewna ma w szafie porządny gruby sweter. Aha, i będę musiał skoczyć po parę rzeczy do sklepu z narzędziami. Ufam, że policja może wziąć, co chce, na krechę?

Przed wyjściem Terry i Frank zapakowali do marynarskiego worka ocalałe pistolety i amunicję, wzięli też wszystkie kamizelki kuloodporne i hełmy, jakie znaleźli. Nie było tego dużo, ale ich pospolite ruszenie – inaczej nie dało się tego nazwać – przyniesie pod dostatkiem własnego uzbrojenia z domów.

Linny nie zostawiła swetra w szafie, więc Johnny Lee zawinął dynamit w dwa ręczniki z łazienki. Tulił go do piersi, jakby niósł małe dziecko.

– Pora chyba za późna, żeby zaczynać szturm – zauważył Frank. – Jeśli tym to się ma skończyć.

– Wiem – powiedział Terry. – Dzisiaj tylko zawieziemy chłopaków na miejsce i dopilnujemy, żeby każdy wiedział, co robić i kto dowodzi. – Mówiąc to, patrzył wymownie na Franka. – Zarekwiruj dwa miejskie autobusy szkolne i zaparkuj je na skrzyżowaniu trzydziestkijedynki i West Lavin, tam, gdzie była blokada, żeby chłopaki nie musiały spać pod gołym niebem. Niech sześciu–ośmiu pełni wartę na… tym, no… – Wykreślił kółko w powietrzu.

– Na obwodzie – pomógł mu Frank.

– No właśnie. Jeśli będziemy musieli wkroczyć, ruszymy jutro rano, od wschodu. Potrzebne będą ze dwa buldożery, żeby przebić się przez ogrodzenie. Wyślij Pearla i Treatera do Zakładu Usług Komunalnych, niech jakieś wybiorą. Kluczyki są w kontenerze biurowym.

– Dobrze – powiedział Frank z uznaniem. Sam nie pomyślałby o buldożerach.

– Z samego rana staranujemy ogrodzenie i podejdziemy do głównego budynku od strony parkingu. Żeby słońce świeciło tamtym w oczy. Krok pierwszy: zepchnąć ich w głąb więzienia, z dala od

drzwi i okien. Krok drugi: Johnny Lee wysadza drzwi wejściowe i jesteśmy w środku. Wtedy każemy im rzucić broń. Nie sądzę, żeby w tej sytuacji odmówili. Poślemy kilku ludzi na tyły, żeby nikt nie mógł zwiać.

– Brzmi sensownie.

– Ale najpierw…

– Najpierw co?

– Porozmawiamy z Norcrossem. Jeszcze dzisiaj. Twarzą w twarz, jeśli starczy mu odwagi. Damy mu szansę, żeby wydał tę kobietę, zanim stanie się coś, czego nie będzie można cofnąć.

Oczy Franka dobitnie wyrażały, co o tym sądzi.

– Wiem, co myślisz, Frank, ale jeśli jest rozsądnym człowiekiem, zrozumie, że to jedyne słuszne rozwiązanie. W końcu odpowiada nie tylko za jej życie.

– A jeśli mimo wszystko odmówi?

Terry wzruszył ramionami.

– Wejdziemy i ją zabierzemy.

– Bez względu na wszystko?

– Bez względu na wszystko.

Wyszli. Terry zamknął na klucz szklane drzwi posterunku.

11

Rand Quigley przyniósł swoją skrzynkę z narzędziami i przez dwie godziny wybijał dłutem i młotkiem małe zbrojone okno osadzone w betonowej ścianie sali widzeń.

Tig Murphy siedział nieopodal – popijał colę i palił papierosa. Zakaz palenia został zniesiony.

– Gdybyś był więźniem, dołożyliby ci za to jakieś pięć lat do odsiadki – stwierdził.

– Dobrze więc, że nie jestem więźniem, nie? – rzucił Rand.

Tig strzepnął popiół na podłogę. Postanowił zachować dla siebie to, o czym myślał: że jeśli więźniem jest ten, kto przebywa w miejscu, którego nie może opuścić, to właśnie w tej chwili są więźniami.

– Kurczę, solidnie to cholerstwo zbudowali, co?

– Mhm. Jakby to było więzienie czy coś – powiedział Rand.

– Hue-hue-hue.

Kiedy szyba wreszcie wypadła, Tig zaczął bić brawo.

– Dziękuję, panie i panowie – powiedział Rand głosem Elvisa. – Bardzo państwu dziękuję.

Po wybiciu okna Rand mógł stanąć na stoliku, który pod nie przysunęli, jak na platformie strzelniczej, i wystawić lufę na zewnątrz. Miał stąd dobry widok na parking i bramę wjazdową.

– Uważają nas za cieniasów – powiedział. – Ale się mylą.

– A żebyś wiedział, Rand-o.

Zajrzał do nich Clint.

– Tig, ze mną.

Weszli po schodach na górną kondygnację Skrzydła B. To był najwyższy punkt więzienia, jedyna piętrowa część budynku. Okna w celach od strony West Lavin były jeszcze solidniejsze od tych w sali widzeń – grube, zbrojone i wciśnięte między warstwy betonu. Trudno przypuszczać, by Rand mógł je wybić jedynie przy użyciu ręcznych narzędzi.

– Od tej strony nie mamy jak się bronić – zauważył Tig.

– Fakt – przytaknął Clint. – Ale to cholernie dobry punkt obserwacyjny i nie musimy go bronić, zgodzisz się? Tędy nie wejdą.

To wydawało się bezsporne i Clintowi, i Scottowi Hughesowi, który odpoczywał kilka cel dalej i przysłuchiwał się ich rozmowie.

– Jestem pewien, że tak czy inaczej was wytłuką – zawołał. – Ja płakał nie będę. Ale pan psychiatra ma rację, bez bazooki nie przebiją się przez ten mur.

12

W dniu, kiedy dwie zwaśnione grupy mężczyzn z Dooling zbroiły się w przygotowaniu do wojny, na okolicznych terenach nie spało jeszcze niespełna sto kobiet. Jedną z nich była Eve Black; drugą Angel Fitzroy; trzecią Jeanette Sorley.

Czwartą była Vanessa Lampley. Wcześniej tego dnia jej mąż wreszcie zasnął w fotelu, co pozwoliło Van wcielić w życie swoje zamiary. Odkąd wróciła z więzienia po zastrzeleniu Ree Dempster, Tommy Lampley czuwał razem z nią, dopóki mógł. Van była zadowolona, że miała towarzystwo. Teleturniej kulinarny jednak okazał się ponad jego siły; lekcja gastronomii molekularnej skutecznie ukołysała go do snu. Van upewniła się, że Tommy twardo śpi, zanim wyszła. Nie zamierzała skazywać męża – dziesięć lat starszego od niej mężczyzny z tytanowymi biodrami, nękanego dusznicą – na opiekę nad nią do końca jego dni, których Bóg raczy wiedzieć, ile mu zostało. Nie miała też ochoty robić za najbardziej ponury mebel świata.

Chociaż zmęczona, nie zatraciła swej zwinności – wymknęła się z pokoju, nie zakłócając wątłego snu Tommy'ego. W garażu nabiła swoją strzelbę myśliwską. Pociągnęła drzwi szarpnięciem, odpaliła quada i ruszyła w drogę.

Miała prosty plan: pojechać przez las na grzbiet wzgórza nad drogą, zaczerpnąć świeżego powietrza, obejrzeć widok, napisać list do męża i podstawić sobie lufę pod brodę. Dobranoc. Szczęście w nieszczęściu, że nie miała dzieci. Jedno zmartwienie mniej.

Jechała powoli w obawie, że padnie ze zmęczenia. Ciężkie opony quada toczyły się po korzeniach i kamieniach; każdą nierówność czuła w swoich muskularnych ramionach i głęboko w kościach. Nie miała nic przeciwko temu. Drobny deszcz też jej nie przeszkadzał. Wyczerpana – jej myśli wlekły się ociężale – była jednak dojmująco świadoma każdego fizycznego doznania. Czy lepiej byłoby umrzeć nagłą śmiercią, jak Ree? Van mogła postawić sobie to pytanie, ale jej mózg nie potrafił przeanalizować go w sposób, który pozwoliłby znaleźć zadowalającą odpowiedź. Ledwo jakaś zaczynała się formować, a już rozpływała się w niebyt. Dlaczego tak źle jej z tym, że zastrzeliła więźniarkę, która w przeciwnym razie zabiłaby inną osadzoną? Czemu ma wyrzuty sumienia z powodu spełnienia swojego obowiązku? Odpowiedzi na te pytania też nie chciały się wykrystalizować, nawet nie próbowały.

Wjechała na szczyt. Wyłączyła silnik i zsiadła z quada. Daleko, w kierunku więzienia, gasnące światło dnia przesłaniały czarne

opary, wilgotna pozostałość wygasłego pożaru lasu. Teren u jej stóp opadał długim, łagodnym stokiem. U jego podnóża płynął zamulony strumień wezbrany deszczem. Na brzegu, jakieś dwieście metrów dalej, stał domek myśliwski z omszałym dachem. Zawijasy dymu wypływały z blaszanego komina.

Poklepała kieszenie i uświadomiła sobie, że zapomniała papieru i czegoś do pisania. Zachciało się jej śmiać – chyba samobójstwo to nie aż tak skomplikowane przedsięwzięcie? – ale zdobyła się tylko na westchnienie.

Nic się na to nie poradzi. Zresztą pewnie nietrudno będzie odgadnąć powód jej decyzji. O ile ją znajdą, oczywiście. I o ile kogokolwiek to będzie obchodziło. Van zdjęła strzelbę z pleców.

W chwili, kiedy podstawiła sobie lufę pod brodę, drzwi domku otworzyły się z łoskotem.

– Lepiej dla niego, kurwa, żeby jeszcze miał tę armatę. – Męski głos niósł się głośno i czysto po okolicy. – Inaczej pożałuje, że hycel go nie wykończył. Aha, i weź skaner. Chcę wiedzieć na bieżąco, co robią gliny.

Van opuściła strzelbę; patrzyła, jak dwaj mężczyźni wsiadają do lśniącego pikapa silverado i odjeżdżają. Skądś ich znała, a sądząc z tego, jak wyglądali – niczym dwa mocno nieświeże leśne szczury – raczej nie spotkała ich na rozdaniu nagród Izby Handlowej. Gdyby nie była tak niewyspana, od razu przypomniałaby sobie ich nazwiska, cóż, kiedy mózg miała pełen mułu. Wciąż czuła każdy podskok quada, choć już nim nie jechała. Jasne punkciki latały jej przed oczami.

Kiedy pikap zniknął, postanowiła zajrzeć do domku. W środku na pewno będzie coś, na czym można by napisać list, choćby tylna strona nieaktualnego kalendarza.

– I będę musiała czymś go sobie przypiąć do koszuli – mruknęła pod nosem.

Jej głos brzmiał mętnie, obco. Jakby należał do kogoś innego. I rzeczywiście ktoś z nią był, stał u jej boku. Tyle że kiedy obróciła głowę, zniknął. Coraz częściej jej się to zdarzało: wyczuwała obserwatorów, przyczajonych gdzieś na skraju pola widzenia.

Halucynacje. Ile można wytrzymać bez snu, zanim człowiek straci zdolność racjonalnego myślenia, a wraz z nią rozum?

Wsiadła z powrotem na quada i ruszyła grzbietem wzgórza w miejsce, gdzie teren zaczynał opadać. Tam zjechała na krętą, wyboistą ścieżkę prowadzącą do domku.

W środku śmierdziało fasolą, piwem, smażoną jeleniną i męskimi pierdami. Stół był zawalony naczyniami, jeszcze więcej leżało ich w zlewie; na opalanej drewnem kuchence stały garnki pokryte skorupą brudu. Na kominku Van zobaczyła sepiowe zdjęcie drapieżnie uśmiechniętego mężczyzny z kilofem na ramieniu i wygniecioną fedorą, naciągniętą na głowę tak głęboko, że rondo przyginało czubki jego uszu. Wiedziała, kto to; tata pokazał jej tego człowieka, kiedy miała nie więcej niż dwanaście lat. Wchodził do Squeaky Wheel, gdy go zobaczyli. „To Duży Lowell Griner", powiedział tata. „Masz się trzymać od niego z daleka, kochanie. Jeśli kiedyś powie ci »dzień dobry«, odpowiedz »dzień dobry, ładny dziś dzień« i idź dalej".

A zatem ci dwaj, których widziała na zewnątrz, to niecni synalkowie Dużego Lowella, Maynard i Mały Low Griner we własnych osobach. Wożą się nowym pikapem, gdy powinni siedzieć w Coughlin i czekać na proces w sprawie, między innymi, morderstwa, którego Kitty McDavid była świadkiem i na którego temat zgodziła się zeznawać.

Na wyłożonej sosnową boazerią ścianie krótkiego korytarza, który zapewne prowadził do sypialni, Van zobaczyła sfatygowany notes zawieszony na sznurku. Kartka z niego byłaby w sam raz na list pożegnalny, pomyślała, nagle jednak stwierdziła, że chce jeszcze przynajmniej jakiś czas pozostać przytomna, jeszcze trochę pożyć.

Wyszła z domku i odetchnęła z ulgą, że nie musi dłużej wdychać tego smrodu. Odjechała quadem najszybciej, jak umiała. Jakieś półtora kilometra dalej ścieżka zbiegała się z jedną z licznych w hrabstwie Dooling dróg gruntowych. Po lewej stronie wisiał kurz – przy padającej mżawce nie było go dużo, ale dość, by poznać, w którą stronę skręcili zbiegowie. Kiedy dotarła do drogi numer 7, mieli już nad nią sporą przewagę, ale na opadającym otwartym terenie bez trudu widziała pikapa, wyraźnie kierującego się do miasta.

Van plasnęła się mocno w policzki i ruszyła za nim. Była przemoknięta do suchej nitki, ale to dobrze – chłód odpędzi senność. Gdyby to ona chciała uniknąć procesu o zabójstwo, teraz byłaby w połowie drogi do Georgii. Ale nie ci dwaj; oni wracali do miasta niewątpliwie po to, żeby zrobić coś złego, jak to mieli w zwyczaju. Chciała wiedzieć, co knują, i ewentualnie przeszkodzić im w tym.

A przy okazji może odpokutuje za to, co musiała zrobić Ree.

ROZDZIAŁ 11

1

Fritz Meshaum nie chciał się rozstać ze swoją bazooką, przynajmniej nie za darmo. Kiedy jednak May mocno chwycił go za ramiona, a Low wykręcił mu prawą rękę prawie do łopatek, zmienił zdanie. Podniósł klapę w podłodze swej rozwalającej się chałupy, ukazując skarb, po który przyjechali bracia Grinerowie.

Mały Low spodziewał się, że będzie zielona jak w filmach o drugiej wojnie światowej, jednak bazooka Fritza pomalowana była na popielatą czerń, z długim numerem seryjnym z boku i tymi śmiesznymi rosyjskimi literami pod nim. Wylot lufy otaczał pierścień rdzy. Obok wyrzutni leżał worek marynarski zawierający tuzin pocisków z wymalowanymi od szablonu rosyjskimi słowami. W schowku było też osiem–dziesięć karabinów i chyba ze dwadzieścia pistoletów, prawie wszystkie samopowtarzalne. Wzięli po dwa i zatknęli je za pas. Nic tak nie daje człowiekowi poczucia wyższości, jak gnat za pasem.

– Co to? – May wskazał błyszczący czarny plastikowy kwadrat nad osłoną cyngla bazooki.

– Nie wiem – odparł Fritz, przyglądając się. – Pewnie etykieta inwentaryzacyjna czy coś.

– Jest na tym napis po angielsku – zauważył May.

Fritz wzruszył ramionami.

– No to co? Ja mam czapkę John Deere z chińskim tekstem na metce. Wszyscy sprzedają wszystko wszystkim. To przez Żydów ten świat jest tak urządzony. Żydzi…

– Mniejsza z cholernymi Żydami – uciął Mały Low. Gdyby pozwolić Fritzowi wejść na temat Żydów, zaraz przeszedłby do wyrzekania na rząd federalny i siedzieliby wokół tej zasranej dziury w podłodze do końca wiosny. – Interesuje mnie tylko, czy to działa. Jeśli nie, mów od razu, inaczej wrócimy tu i urwiemy ci kutasa.

– I tak powinniśmy mu go urwać, Low – zasugerował May. – Tak myślę. Założę się, że ma małego.

– Działa, działa – powiedział Fritz, przypuszczalnie mając na myśli bazookę, nie swojego kutasa. – No już, puść mnie, łachudro.

– Pyskaty, co, braciszku? – zauważył Maynard.

– Tak – przyznał Mały Low. – To prawda. Ale tym razem mu darujemy. Weź parę tych smarownic.

– To nie smarownice – obruszył się Fritz. – To wojskowe automaty…

– Najbardziej by mi pasowało, żebyś się zamknął – uciął Low. – I radzę, żeby tobie pasowało to, co pasuje mnie. Na razie cię pożegnamy, ale jeśli bazooka okaże się niesprawna, wrócimy i wsadzimy ci ją w ten twój obwisły tyłek. Do samej osłony cyngla.

– Tak jest! – krzyknął May. – I spróbuj potem się wysrać!

– Co zrobicie z moją armatą?

Mały Low Griner uśmiechnął się dobrotliwie.

– Ani słowa więcej. Nie przejmuj się sprawami, które cię nie dotyczą.

2

Van Lampley patrzyła ze szczytu oddalonego o kilkaset metrów wzgórza, jak silverado wjeżdża na zapuszczone podwórko Fritza Meshauma. Widziała, jak Grinerowie wysiedli i po kilku minutach wrócili do kradzionego pikapa, niosąc coś – niewątpliwie też ukradzionego – co wrzucili na pakę. Potem odjechali, znów w kierunku Dooling. Przeszło jej przez myśl, żeby zajrzeć do Meshauma, ale w swoim obecnym stanie czuła się niezdolna do zadawania sensownych pytań. Poza tym czy to konieczne? Całe

Dooling wiedziało, że Fritz Meshaum kocha wszystko, co ma cyngiel i robi dużo huku. Grinerowie wpadli do niego, żeby się uzbroić. To było pewne jak dwa a dwa cztery.

Cóż, sama też miała broń, starą dobrą strzelbę. Pewnie nic nadzwyczajnego w porównaniu z tym, co teraz leżało na skrzyni tego pikapa, ale co z tego? Czy naprawdę miała do stracenia coś, czego przed zaledwie godziną nie planowała dobrowolnie oddać wszechświatowi?

– Chcecie ze mną igrać, chłopaki? – Uruchomiła quada i zwiększyła obroty silnika (błąd, bo przed wyjazdem nie zadała sobie trudu, żeby sprawdzić, ile paliwa zostało w baku suzuki). – Cóż, zobaczymy, kto poigra z kim.

3

Przez kilka dni spędzonych w domku Grinerowie słuchali skanera tylko od czasu do czasu, w drodze do miasta jednak nie wyłączali go ani na chwilę, bo na częstotliwościach policyjnych zapanował istny obłęd. Podsłuchane meldunki i rozmowy niewiele znaczyły dla Maynarda, którego mózg z reguły pracował najwyżej na pierwszym biegu, ale Lowell mniej więcej rozumiał, co się dzieje.

Ktoś, a właściwie banda ktosiów, zwinął całą masę broni z posterunku i gliny były wściekłe jak szerszenie w potrząśniętym gnieździe. Zginęło co najmniej dwóch złodziei i jeden policjant, reszta gangu uciekła dużym kamperem. Skradzione giwery zawieźli do kobiecego więzienia. Gliny w kółko mówiły też o jakiejś kobiecie, którą chciały wyciągnąć z babskiej ciupy, a którą złodzieje broni chcieli zatrzymać dla siebie. Low nie bardzo rozumiał, o co chodzi. I niezbyt go to obchodziło. Liczyło się jedno: gliny skrzyknęły grupę ochotników, szykowały się do dużej bitwy, która być może zacznie się jutro rano, i cała załoga ma się spotkać na skrzyżowaniu drogi numer 31 i West Lavin Road. A to znaczyło, że nikt nie będzie pilnował biura szeryfa. I nasunęło Lowellowi genialny pomysł, jak dorwać Kitty McDavid.

– Low?

– Tak, braciszku?

– Nie mogę zrozumieć z tego bełkotu, kto tu właściwie rządzi. Niektórzy mówią, że Coombs przejął dowodzenie po tej suce Norcross, inni, że jakiś Frank. Kto to jest Frank?

– Nie wiem i wisi mi to. Ale jak już będziemy w mieście, wypatruj samotnego małolata.

– Jakiego małolata, braciszku?

– Na tyle dużego, żeby umiał jeździć na rowerze i powtarzać bajeczki – powiedział Mały Low, kiedy skradziony silverado minął tablicę z napisem: „Witamy w Dooling, wymarzonym miejscu dla każdej rodziny".

4

Quad suzuki na prostej drodze mógł się rozpędzić do dziewięćdziesiątki, ale ponieważ zapadał zmrok, a Van zupełnie zatraciła refleks, nie ośmielała się przekroczyć sześćdziesięciu na godzinę. Kiedy minęła tablicę „Witamy w Dooling", silverado braci Grinerów już zniknęło. Może ich zgubiła, a może nie. Miała nadzieję, że prędzej czy później wypatrzy ich na opustoszałej Main Street albo w zaparkowanym wozie, albo powoli jadących przez miasto i rozglądających się, co by tu obrobić. Jeśli nie, zawsze może wpaść do biura szeryfa i złożyć doniesienie dyżurnemu. Nie byłoby to satysfakcjonującym rozwiązaniem, zważywszy, że koniecznie chciała zrobić coś dobrego, żeby zadośćuczynić za zabójstwo, wciąż ciążące jej na sumieniu, ale jak zawsze mawiał jej tata: Czasem dostajesz to, czego chcesz, przeważnie jednak dostajesz to, co dostajesz.

Początek właściwego centrum wyznaczały Salon Piękności i Manicure Barb's po jednej stronie i sklep Ace Hardware (niedawno odwiedzony przez Johnny'ego Lee Kronsky'ego w poszukiwaniu narzędzi, kabli i baterii) po drugiej. To właśnie między tymi dwiema solidnymi firmami silnik quada zakrztusił się, strzelił i zgasł. Van

sprawdziła poziom paliwa i zobaczyła, że wskazówka spoczywa na E. Idealny koniec kurewsko idealnego dnia.

Przecznicę dalej był Zoney's, w którym mogła kupić paliwo, o ile właścicielom jeszcze się chciało prowadzić interes. Robiło się jednak ciemno, cholerni Grinerowie mogli być wszędzie, i nawet tych kilkaset metrów w jej obecnym stanie wydawało się morderczą wyprawą. Może lepiej ze sobą skończyć, jak planowała… Tyle że nie zostałaby mistrzynią stanu w siłowaniu na rękę, gdyby poddawała się w trudnych chwilach, prawda? A czy nie to właśnie rozważała? Kapitulację?

– Nie ma mowy, dopóki moja dłoń nie opadnie na cholerny stół – powiedziała do unieruchomionego quada i ruszyła opustoszałym chodnikiem w stronę posterunku szeryfa.

5

Dokładnie na wprost posterunku znajdowała się siedziba Zakładu Ubezpieczeń Drew T. Barry'ego, którego właściciel aktualnie przebywał na West Lavin Road z resztą ochotników. Low zaparkował silverado za budynkiem, na miejscu oznakowanym tabliczką „Zarezerwowane dla pracowników zakładu ubezpieczeń, pojazdy nieuprawnione zostaną odholowane". Tylne drzwi były zamknięte na klucz, ale dwa uderzenia barczystym ramieniem Maya rozwiązały problem. Low wszedł za bratem, ciągnąc do środka małolata, którego znaleźli, kiedy jeździł na rowerze koło kręgielni. Traf chciał, że małolatem był Kent Daley, członek szkolnej drużyny tenisowej i serdeczny przyjaciel Erica Blassa. Jego rower w tej chwili leżał na skrzyni silverado. Kent pochlipywał cicho, choć takiemu dużemu chłopu to nie przystoi; zdaniem Lowa, mazać to się mogą nastoletnie dziewuchy, ale każdy chłopak w wieku dziesięciu lat powinien zacząć się tego oduczać, a po dwunastych urodzinach zupełnie z tym skończyć. W tej sytuacji jednak gotów był puścić mu to płazem. Było nie było, małolat pewnie myślał, że go zgwałcą i zabiją.

– Przymknijże się, młody – rzucił. – Będziesz grzeczny, to nic ci się nie stanie.

Zaprowadził Kenta do dużego pomieszczenia od frontu, pełnego biurek i plakatów zapewniających, że odpowiednia polisa ubezpieczeniowa uchroni twoją rodzinę od życia w nędzy. Na witrynie wychodzącej na opustoszałą dzielnicę handlową widniało odwrócone nazwisko Drew T. Barry'ego, wypisane wysokimi, pozłacanymi literami. Kiedy Low wyjrzał na zewnątrz, zobaczył kobietę – powoli szła chodnikiem po drugiej stronie ulicy. Nie za ładna, masywna, obcięta na lesbijkę, ale baba na nogach to dziś rzadkość. Zerknęła na biuro Barry'ego, ale że w środku nie paliły się światła, zobaczyła tylko odbicie latarni, które właśnie się włączyły. Wdrapała się po schodach pod drzwi posterunku i spróbowała wejść. Zamknięte na klucz, proszę bardzo, małomiasteczkowa policja w pigułce, pomyślał Low. Zamykają drzwi, dopiero kiedy ukradną im broń. Kobieta wcisnęła guzik domofonu.

– Proszę pana? – zaskomlał Kent. – Ja chcę do domu. Możecie sobie wziąć mój rower.

– Możemy sobie wziąć wszystko, co chcemy, pryszczaty szczylu – powiedział May.

Low wykręcił chłopakowi nadgarstek, aż z ust młodego wydarł się krzyk.

– Powiedziałem, żebyś się przymknął! Tak trudno to zrozumieć? Braciszku, idź po pana Bazookę. I pociski.

May wyszedł, a Low odwrócił się do małolata.

– Według legitymacji w twoim portfelu nazywasz się Kent Daley i mieszkasz na Juniper Street 15. To się zgadza?

– Tak, proszę pana. – Chłopak wytarł gluty z nosa nasadą dłoni, od policzka w górę. – Kent Daley i nie chcę żadnych kłopotów. Chcę wrócić do domu.

– Wpakowałeś się w niezłą kabałę, Kent. Mój brat to paskudnie chory człowiek. Nic mu nie sprawia większej przyjemności niż rozwalanie ludzi. Jak myślisz, co takiego zrobiłeś, że los tak się na tobie mści? – Kent oblizał wargi i szybko zamrugał. Otworzył i zamknął usta. – Coś masz na sumieniu, pewnie, że tak. – Low

zaśmiał się; cudze poczucie winy jest takie zabawne. – Kto jest u ciebie w domu?

– Tata z mamą. Tylko że mama, wie pan…

– Kima sobie, co? Zmrużyła oczka i już nie otworzyła?

– Tak, proszę pana.

– Ale tatulo jest cały i zdrowy?

– Tak, proszę pana.

– Chciałbyś, żebym pojechał na Juniper Street 15 i odstrzelił łeb twojemu tatusiowi?

– Nie, proszę pana – szepnął Kent. Łzy stoczyły się po jego bladych policzkach.

– Nie, oczywiście, że nie chcesz. Ale tak właśnie postąpię, jeśli nie zrobisz tego, co ci każę. Zrobisz, co ci każę?

– Tak, proszę pana. – To już nawet nie był szept, tylko leciuteńki szmer wypuszczonego ustami powietrza.

– Ile masz lat, Kent?

– Sie-sie-siedemnaście.

– Jezu, tylko patrzeć, kiedy będziesz mógł głosować, a mażesz się jak dzieciuch. Przestańże wreszcie. – Kent postarał się, jak mógł. – Szybko popylasz na tym rowerze, co?

– Można tak powiedzieć. W zeszłym roku wygrałem memoriał kolarski.

Mały Low nie odróżniłby memoriału od futerału i miał to gdzieś.

– Wiesz, gdzie trzydziestkajedynka zbiega się z West Lavin Road? Drogą do więzienia?

Maynard wrócił z bazooką i workiem pocisków. Po drugiej stronie ulicy masywna kobieta zostawiła domofon w spokoju i ze zwieszoną głową ruszyła z powrotem tam, skąd przyszła. Nareszcie przestało mżyć.

Low potrząsnął Kentem, który patrzył na bazookę z podszytą lękiem fascynacją.

– To co, wiesz, o którym miejscu mówię?

– Tak, proszę pana.

– Cieszę się. Jest tam grupa ludzi; przekażesz im pewną wiadomość. To, co powiem, powtórzysz temu, który ma na imię Terry, albo temu, który ma na imię Frank. Teraz słuchaj.

6

Terry i Frank wysiedli z jedynki i podeszli do podwójnej bramy zakładu karnego w Dooling, za którą czekał Clint z drugim facetem. Dziesięciu członków oddziału ochotniczego zostało na skrzyżowaniu; reszta zajęła stanowiska dookoła więzienia na, jak określił to Terry, róży wiatrów: północy, północnym wschodzie, wschodzie, południowym wschodzie, południu, południowym zachodzie, zachodzie i północnym zachodzie. W lesie było mokro, ale nikomu to nie przeszkadzało. Byli nabuzowani adrenaliną.

I tak pozostanie, dopóki pierwszy nie dostanie kulki i nie zacznie wrzeszczeć, pomyślał Terry.

Czyjś wypasiony pikap blokował bramę wewnętrzną. Martwą przestrzeń między ogrodzeniami wypełniały opony. Sądząc z zapachu – polane benzyną. Niegłupi pomysł. Prawie godny uznania. Terry poświecił latarką na Norcrossa, a potem na brodatego mężczyznę obok niego.

– Willy Burke – powiedział. – Przykro mi, że cię tu widzę.

– A mnie jest przykro, że widzę ciebie – odparł Willy. – Łamiesz prawo. Nadużywasz władzy. Bawisz się w mściciela. – Wyjął fajkę z kieszeni ogrodniczek i zaczął ją nabijać.

Terry nigdy nie był pewien, czy Norcross to „pan doktor”, czy tylko „pan”, więc zwrócił się do niego po imieniu:

– Clint, to zaszło za daleko. Czas rozmów się kończy. Zginął jeden z moich ludzi. Vern Rangle. Chyba go znałeś.

Clint westchnął i pokręcił głową.

– Tak, i przykro mi, że tak się stało. Był porządnym człowiekiem. Mam nadzieję, że tobie jest równie przykro z powodu śmierci Gartha Flickingera i Grety Holden.

– Śmierć małej Holden to był akt samoobrony – powiedział Frank. – Rozszarpała w cholerę gardło Rangle’owi.

– Chcę porozmawiać z Barrym Holdenem – zażądał Clint.

– Nie żyje. Przez ciebie.

Terry odwrócił się do Franka.

– Proszę cię, zostaw to mnie.

Frank uniósł dłonie i cofnął się o krok. Wiedział, że Coombs ma rację – znów puszczały mu nerwy – ale i tak go za to nienawidził. Tak naprawdę miał ochotę przeleźć przez to ogrodzenie, czort ze zwojami drutu kolczastego na szczycie, i rąbnąć łbami tych dwóch zarozumiałych sukinsynów jednym o drugi. W głowie wciąż słyszał prowokujący głos Evie Black.

– Clint, posłuchaj mnie – powiedział Terry. – Gotów jestem przyznać, że wina leży po obu stronach, i zagwarantować, że jeśli oddacie tę kobietę w nasze ręce, żadnemu z was nie zostaną postawione zarzuty.

– Barry naprawdę nie żyje? – spytał Clint.

– Tak. On też zaatakował Verna.

Willy Burke wyciągnął rękę i ścisnął ramię Clinta.

– Pomówmy o Evie – powiedział Clint. – Co planujecie z nią zrobić? Co możecie zrobić?

Terry jakby zapomniał języka w gębie, ale Frank był gotowy.

– Zabierzemy ją do biura szeryfa – powiedział pewnym głosem. – Terry ją przesłucha, a ja w tym czasie ściągnę lekarzy ze szpitala stanowego. Wspólnie z nimi ustalimy, kim jest, co zrobiła kobietom i czy może to naprawić.

– Twierdzi, że nic nie zrobiła. – Clint patrzył w dal. – Że jest tylko posłańcem.

Frank zerknął na Terry'ego.

– Myślę, że facet ściemnia jak z nut.

Terry posłał mu pełne wyrzutu (i cokolwiek przekrwione) spojrzenie; Frank znów uniósł dłonie i się cofnął.

– Nie macie tam ani jednego lekarza – powiedział Terry. – Nie wezwiecie też asystentek lekarza, bo są kobietami, więc zapewne leżą już w kokonach. Dlatego, krótko mówiąc, nie badacie jej, tylko ją przetrzymujecie…

– Przechowujecie – warknął Frank.

– …i słuchacie, co wam wmawia…

– Łykają jak pelikany! – krzyknął Frank.

– Cicho, Frank. – Terry mówił łagodnym tonem, ale kiedy odwrócił się z powrotem do Clinta i Willy'ego, jego policzki płonęły

rumieńcem. – Chociaż to w sumie prawda. Łykacie to. Sączycie truciznę, którą was karmi.

– Nie rozumiesz. – W głosie Clinta zabrzmiało znużenie. – Ona w ogóle nie jest kobietą, przynajmniej nie w zrozumiałym dla nas sensie. Może nawet nie jest do końca człowiekiem. Ma pewne zdolności. Potrafi wzywać szczury, tyle wiem na pewno. Robią, co im każe. W ten sposób zabrała Hicksowi telefon. Wszystkie te ćmy, których ostatnio pełno w mieście, też mają z nią jakiś związek. Ona dużo wie. W tym rzeczy, których teoretycznie nie może wiedzieć.

– Twierdzisz, że jest czarownicą? – Terry wyjął piersiówkę i wziął łyk. Pewnie nie najlepsza technika prowadzenia negocjacji, ale musiał się napić, i to już. – Daj spokój, Clint. Zaraz zaczniesz mi wmawiać, że potrafi chodzić po wodzie.

Frank pomyślał o ogniu, który wirował w jego salonie i eksplodował chmurą ciem; pomyślał o rozmowie telefonicznej, podczas której Evie Black powiedziała mu, że widziała, jak chronił Nanę. Przycisnął skrzyżowane ramiona do piersi, tłumiąc gniew. Czy to ważne, czym albo kim jest Eve Black? Liczy się to, co się stało, co wciąż trwa – i to, jak temu zaradzić.

– Otwórz oczy, synu – powiedział Willy. – Zobacz, co od tygodnia dzieje się na świecie. Tyle kobiet śpi w kokonach, a tobie się nie chce wierzyć, że ta Black może być nadprzyrodzoną istotą? Musicie się, chłopaki, lepiej postarać. Przestańcie pchać paluchy, gdzie nie trzeba, i pozwólcie, żeby to się rozegrało tak, jak według doktora chce ta kobieta.

Ponieważ Terry nie miał na podorędziu dobrej odpowiedzi, pociągnął następny łyk. I kolejny, widząc, jak Clint na niego patrzy – na złość bydlakowi. Za kogo on się ma, żeby go osądzać? Sam siedzi schowany za murami więzienia, podczas gdy on, Terry, robi wszystko, by świat się nie zawalił.

– Prosi tylko o kilka dni zwłoki – powiedział Clint. – I chcę, żebyście to życzenie spełnili. – Przygwoździł Terry'ego spojrzeniem. – Spodziewa się rozlewu krwi, jasno dała to do zrozumienia. Uważa, że mężczyźni tylko tak potrafią rozwiązywać swoje problemy. Pokażmy jej, że nie ma racji. Wycofajcie się. Zaczekajcie siedemdziesiąt dwie godziny. Potem wrócimy do sprawy.

– Poważnie? I co, według ciebie, się zmieni w tym czasie? – Alkohol jeszcze nie zawładnął jego umysłem, na razie tylko wpadł z wizytą, i Terry pomyślał, prawie błagalnie: Daj mi odpowiedź, w którą będę mógł uwierzyć.

Clint jednak pokręcił głową.

– Nie wiem. Mówi, że to nie zależy tylko od niej. Ale siedemdziesiąt dwie godziny spokoju to byłby dobry pierwszy krok, jestem tego pewien. Aha, powiedziała też, że kobiety muszą przeprowadzić głosowanie.

Terry omal nie wybuchnął śmiechem.

– Niby jak, kurde, skoro śpią?

– Nie wiem.

Gra na zwłokę, pomyślał Frank. Plecie, co mu ślina na ten bałamutny jęzor przyniesie. Chyba jesteś na tyle trzeźwy, żeby to zauważyć, co, Terry?

– Muszę to przemyśleć – powiedział Terry.

– Zgoda. Ale musisz myśleć jasno, więc dla własnego dobra wylej resztę gorzały. – Clint przeniósł spojrzenie na Franka. Jego oczy były zimnymi oczami sieroty, który bił się o shake'i. – Twój nowy znajomy Frank uważa siebie za rozwiązanie problemu, ale ja sądzę, że jest problemem. Myślę, że ona wiedziała, że ktoś taki jak on się pojawi. Myślę, że w jej przekonaniu ktoś taki zawsze się pojawia.

Wtedy Frank skoczył naprzód, przecisnął ręce na drugą stronę ogrodzenia, złapał Norcrossa za gardło i dusił, aż gały wyszły bydlakowi na wierzch, wypadły z oczodołów i zawisły na policzkach… Ale tylko w swojej wyobraźni. Czekał.

Terry pomyślał i splunął na ziemię.

– Pierdol się, Clint. Nie jesteś prawdziwym lekarzem.

Kiedy podniósł flaszkę do ust i pociągnął długi, wyzywający łyk, Frank w duchu wydał triumfalny okrzyk. Jutro tymczasowy szeryf Coombs będzie zalany w pestkę. Wtedy on, Frank, przejmie dowodzenie. Nie będzie siedemdziesięciu dwóch godzin zwłoki i w dupie miał to, czy Eve Black jest czarownicą, księżniczką z bajki czy Czerwoną Królową z Krainy Czarów. Wszystko, co potrzebował o niej wiedzieć, było zawarte w tej jednej krótkiej rozmowie telefonicznej.

„Zakończ to”, powiedział jej – prawie ją błagał – kiedy zadzwoniła do niego ze swojej kradzionej komórki. „Uwolnij kobiety”.

„Najpierw będziesz mnie musiał zabić”, odparła.

I Frank właśnie to zamierzał zrobić. Jeśli dzięki temu kobiety wrócą. Happy end. A jeśli nie? Zemsta za odebranie mu jedynej osoby w jego życiu, która była dla niego ważna. Tak czy owak – problem rozwiązany.

7

Kiedy Van Lampley dotarła do swojego unieruchomionego quada – nie mając pojęcia, co zrobi potem – obok niej przemknął jakiś małolat na rowerze z wysoką kierownicą. Gnał, aż pęd powietrza zwiewał mu włosy z czoła, jego oczy były wybałuszone, twarz wyrażała czyste przerażenie. Przyczyn mogło być wiele, biorąc pod uwagę, co się działo na świecie, ale Van nie miała wątpliwości, co zmobilizowało chłopaka do takiego wysiłku. To nie było przeczucie; to była niezachwiana pewność.

– Młody! – zawołała za nim. – Młody, gdzie oni są?

Kent Daley zignorował ją i mocniej nacisnął na pedały. Myślał o starej bezdomnej kobiecie, z której się nabijali. Nie powinni byli tego robić. Teraz Bóg ich za to pokarał. Pokarał jego.

Pedałował szybciej i szybciej.

8

Chociaż Maynard Griner opuścił szkolne mury w ósmej klasie (mury te pożegnały go z ulgą), zawsze miał smykałkę do maszyn; kiedy młodszy brat podał mu bazookę i jeden z pocisków, May obchodził się z nimi, jakby robił to całe życie. Obejrzał głowicę z materiałem wybuchowym, przewód poprowadzony z boku i stateczniki u podstawy. Mruknął, kiwnął głową i wsunął stateczniki do rowków

wewnątrz lufy. Weszły gładko. Wskazał na dźwignię nad cynglem i pod czarną etykietą inwentaryzacyjną.

– Odciągnij to. To chyba zamek.

Low zrobił to i rozległ się trzask.

– To wszystko, May?

– Chyba tak, o ile Fritz nie zapomniał włożyć nowej baterii. Zdaje się, że rakietę odpala ładunek elektryczny.

– Jeśli zapomniał, wrócę do niego i wsadzę mu to w gardziel – powiedział Low. Oczy mu lśniły. Odwrócił się twarzą do witryny zakładu ubezpieczeniowego i wziął bazookę na ramię tak, jak to widział w filmach wojennych. – Odsuń się, braciszku!

Bateria w osłonie cyngla okazała się sprawna. Rozległ się głuchy świst. Spaliny buchnęły z wyrzutni. Witryna wypadła na ulicę i zanim bracia mogli zaczerpnąć tchu, fasada posterunku wyleciała w powietrze. Na ulicę posypał się grad fragmentów cegieł w kolorze piasku i odłamków szkła.

– O jeee-nyyy! – May klepnął brata w plecy. – Widziałeś, braciszku?

– Tak – odparł Low. Gdzieś wewnątrz posterunku wył alarm. Nadbiegali ludzie, żeby zobaczyć, co się stało. Fasada budynku zmieniła się w rozdziawione usta pełne połamanych zębów. W środku widać było płomienie i papiery fruwające jak osmalone ptaki. – Przeładuj.

May wsunął stateczniki drugiego pocisku do rowków, zaryglował zamek.

– Gotowe! – Aż podskakiwał z emocji. Ubaw był większy niż wtedy, kiedy wrzucili wiązkę dynamitu do stawu z pstrągami w Tupelo Crossing.

– Ognia! – krzyknął Low i nacisnął spust.

Pocisk przeleciał przez ulicę, ciągnąc za sobą smugę dymu. Część gapiów dała nogę, reszta padła na ziemię. Druga eksplozja rozbebeszyła środkową część budynku. Kokon Linny przetrwał pierwszy wybuch, drugiego już nie. Ćmy wzleciały z miejsca, w którym leżała, i stanęły w ogniu.

– Teraz ja! – May wyciągnął ręce po bazookę.

– Nie, pryskamy stąd – zarządził Low. – Ale dostaniesz swoją szansę, braciszku. Obiecuję.

– Kiedy? Gdzie?
– W więzieniu.

9

Van Lampley stała oszołomiona obok swojego quada. Zobaczyła pierwszą smugę kondensacyjną nad Main Street i jeszcze przed wybuchem zrozumiała, co to znaczy. Te sukinsyny, bracia Grinerowie, wzięli od Fritza Meshauma granatnik albo coś takiego. Kiedy dym po drugim wybuchu zaczął się przerzedzać, dostrzegła języki płomieni strzelające z otworów po oknach. Jedne z trojga drzwi wejściowych leżały na ulicy, wykręcone w korkociąg z chromowanej stali. Pozostałe zniknęły.

Biada każdemu, kto był w środku, pomyślała.

Red Platt, sprzedawca w salonie Kii w Dooling, podszedł do niej, słaniając się na nogach. Krew obficie spływała po jego prawym policzku, dolna warga wyglądała na częściowo oderwaną – chociaż krwi było za dużo, żeby dostrzec szczegóły.

– Co to było? – zawołał łamiącym się głosem. Odłamki szkła lśniły w jego przerzedzonych włosach. – Co to, kurwa, było?!

– Robota dwóch kutasów, którym trzeba wsadzić w szprychy kij od miotły, zanim znów zrobią komuś krzywdę – powiedziała Van. – Ktoś musi cię opatrzyć, Red.

Ruszyła w stronę stacji Shella. Pierwszy raz od kilku dni czuła się sobą i choć wiedziała, że to chwilowe, zamierzała jechać na adrenalinie, dopóki mogła. Stacja benzynowa była otwarta, ale nikt nie pilnował interesu. Van znalazła w warsztacie czterdziestolitrowy kanister, napełniła go przy jednym z dystrybutorów i zostawiła banknot dwudziestodolarowy na ladzie obok kasy. Może świat się kończył, ale ją od dziecka uczono, że rachunki się reguluje.

Zataszczyła kanister do quada, wlała paliwo do baku i wyjechała z miasta śladem braci Grinerów.

10

Kent Daley miał bardzo zły wieczór, a jeszcze nie było ósmej. Ledwie skręcił z drogi numer 31 i pognał w stronę autobusów blokujących West Lavin Road, czyjaś ręka strąciła go z roweru i rzuciła na ziemię. Głowa Kenta uderzyła w asfalt, przed oczami rozbłysły mu gwiazdy. Kiedy przygasły, zobaczył lufę karabinu o centymetry od swojej twarzy.

– Cholerny świat! – krzyknął Reed Barrows, zastępca szeryfa, który go przewrócił. Reed pełnił straż na południowo-zachodnim krańcu róży wiatrów Terry'ego. Odłożył broń, złapał Kenta za bety i postawił na nogi. – Znam cię! W zeszłym roku podkładałeś petardy do skrzynek pocztowych.

Mężczyźni nadbiegali od strony nowej, ulepszonej blokady, Frank Geary na czele, Terry Coombs, lekkim wężykiem, na końcu. Wiedzieli, co się wydarzyło w mieście; odebrali już kilkanaście telefonów i ze swej pozycji na wzniesieniu wyraźnie widzieli pożar w centrum Dooling. Większość w pierwszym odruchu chciała wrócić, ale Terry, w obawie, że to zmyłka mająca umożliwić wywiezienie tej kobiety z więzienia, kazał im zostać na miejscach.

– Co tu robisz, Daley? – spytał Reed. – Mogłeś dostać kulkę.

– Mam wiadomość – powiedział Kent, pocierając tył głowy. Krew nie leciała, ale rósł duży guz. – Dla Terry'ego, Franka albo ich obu.

– Co jest, kurwa, grane? – spytał Don Peters. Na głowie miał wyszperany skądś kask futbolowy; jego blisko osadzone oczy, schowane w cieniu wysuniętego czoła, wyglądały jak ślepia małego głodnego ptaka. – Kto to?

Frank odepchnął Dona i padł na jedno kolano obok chłopaka.

– Ja jestem Frank – powiedział. – Co to za wiadomość?

Terry też przykląkł. Z ust waliło mu gorzałą.

– Dawaj, synu. O… odetchnij głę… głęboko… i… i… weź się w garść.

Kent usiłował zebrać rozproszone myśli.

– Ta kobieta w więzieniu, ta niezwykła, ma przyjaciół w mieście. I to wielu. Dwaj mnie złapali. Kazali wam przekazać, że macie

przerwać to, co robicie, i się wycofać, inaczej na biurze szeryfa się nie skończy.

Frank rozciągnął usta w uśmiechu, który jednak nie sięgnął jego oczu. Odwrócił się do Terry'ego.

– I co ty na to, szeryfie? Wycofamy się grzecznie?

Mały Low sam nie był kandydatem do Mensy, ale miał pewną dozę sprytu; to dzięki temu interes Grinerów kręcił się prawie sześć lat, zanim obaj z bratem wpadli. (Low winił za to swoją wrodzoną szlachetność; pozwolili tej piździe McDavid, która dziesiątką raczej nie była, pętać się przy nich, a ona podziękowała im, zostając kapusiem). Intuicyjnie rozumiał ludzką psychikę w ogóle i męską w szczególności. Kiedy zabraniasz mężczyznom coś zrobić, jak amen w pacierzu właśnie to zrobią.

Terry nie wahał się ani chwili.

– Nigdzie się nie ruszymy. O wschodzie słońca wkraczamy. Chcą, to niech wysadzą całe cholerne miasto.

Zebrani wokół mężczyźni wznieśli triumfalny okrzyk, tak ochrypły i dziki, że Kent Daley się wzdrygnął. Nade wszystko chciał teraz wrócić ze swoją obolałą głową do domu, pozamykać wszystkie drzwi i pójść spać.

11

Adrenalina na razie trzymała; Van łomotała w drzwi Fritza Meshauma, aż drżały w futrynie. Ręka o długich palcach, które wyglądały, jakby miały za dużo knykci, odciągnęła brudną zasłonę. Wyjrzała obsypana zarostem twarz. Po chwili drzwi się uchyliły. Fritz otworzył usta, ale zanim zdążył się odezwać, Van pochwyciła go i zaczęła nim potrząsać jak terier szczurem.

– Coś im sprzedał, chudy obsrańcu? Wyrzutnię rakiet? Mam rację, prawda? Ile zapłaciły ci te skurwysyny? Ile dali za to, żeby móc wywalić dziurę w centrum miasta?

Byli już w środku, Van pchała Fritza przez zagracony salon. Lewą ręką słabo bił ją w ramię; prawą miał na prowizorycznym temblaku,

chyba z prześcieradła.

– Przestań! – krzyknął. – Przestań, kobieto, ci dwaj kretyni już mi zwichnęli rękę!

Van rzuciła go na brudny fotel, obok którego leżała sterta starych świerszczyków.

– Mów.

– Nie wyrzutnię rakiet, tylko starą rosyjską bazookę, poszłaby za sześć–siedem tysiaków na bazarze w Wheeling, a te dwa zasrane buraki ją ukradły!

– Cóż innego miałbyś powiedzieć. – Van ciężko dyszała.

– Taka jest prawda. – Fritz przyjrzał się jej uważniej, jego wzrok zsunął się z twarzy Van najpierw na jej duże piersi, potem na szerokie biodra i powędrował z powrotem do góry. – Jesteś pierwszą kobietą, jaką widzę od dwóch dni. Jak długo trzymasz się na nogach?

– Od czwartku rano.

– Kurczę, to pewnie rekord.

– Gdzie tam. – Van już sprawdziła to w Google'u. – Nieważne. Ci dwaj właśnie wysadzili w powietrze biuro szeryfa.

– Słyszałem, jak pieprznęło – przyznał Fritz. – Czyli bazooka jest sprawna.

– Och, działa jak trzeba. Domyślam się, że nie wiesz, dokąd teraz pojadą.

– Nie, nie mam pojęcia. – Fritz uśmiechnął się szeroko, obnażając zęby, które dawno nie widziały dentysty, jeśli w ogóle. – Ale mogę się dowiedzieć.

– Jak?

– Głupole nawet na to patrzyli, a kiedy im powiedziałem, że to etykieta inwentaryzacyjna, uwierzyli! – Jego śmiech brzmiał jak zgrzyt pilnika o zardzewiały zawias.

– O czym ty mówisz?

– O lokalizatorze GPS. Przyczepiam je do wszystkich moich towarów luksusowych, na wypadek kradzieży. Bazooka była jednym z nich. Mogę ją namierzyć moim telefonem.

– Który teraz mi dasz. – Van wyciągnęła rękę.

Fritz podniósł na nią chytre, bladobłękitne oczy, przysłonięte pomarszczonymi powiekami.

– Jeśli znajdziesz moją bazookę, oddasz mi ją, zanim pójdziesz spać?

– Nie – odparła Van. – Ale za to nie złamię ci zdrowej ręki. Pasuje?

Kurdupel zachichotał.

– Zgoda, ale tylko dlatego, że mam słabość do dorodnych kobiet.

Gdyby Van była w lepszej formie, pewnie stłukłaby go na kwaśne jabłko za ten tekst – nie byłoby to trudne i oddałaby światu przysługę – ale nie miała nawet siły o tym myśleć.

– Dawaj ten telefon.

Fritz dźwignął się z fotela.

– Jest na stole w kuchni.

Van cofała się, mierząc do niego ze strzelby, gdy prowadził ją krótkim, ciemnym korytarzem do kuchni. W powietrzu wisiał swąd, od którego zrobiło się jej niedobrze.

– Coś ty tu pichcił?

– Candy – powiedział Fritz. Klapnął przy stole nakrytym blatem z linoleum.

– Candy? – Na podłodze walały się szare strzępki, jakby kawałki spalonej gazety.

– Candy to moja żona. Teraz już nieżyjąca. Podpaliłem starą jędzę zapałką. Nie wiedziałem, że miała w sobie tyle ognia. – Drapieżny uśmiech obnażył czarne i brązowe zęby Fritza. – Jarzysz? Ognia?

To przesądziło sprawę. Zmęczona czy nie, spierze tego parszywca. Taka była pierwsza myśl Van. Druga: na blacie z linoleum nie ma telefonu komórkowego.

Huknął pistolet i powietrze uciekło z jej płuc. Uderzyła plecami w lodówkę i osunęła się na podłogę. Krew lała się z rany w biodrze. Strzelba wypadła jej z rąk. Zza krawędzi stołu przed nią wypływała smuga dymu. Van dopiero teraz dostrzegła lufę; pod blatem był pistolet, przyklejony taśmą.

Fritz odczepił go, wstał i obszedł stół dookoła.

– Ostrożności nigdy za wiele. Trzymam nabitą spluwę w każdym pokoju. – Kucnął przy Van i wcisnął lufę w jej czoło. Jego oddech

śmierdział tytoniem i mięsem. – Tę mam po dziadku. I co teraz powiesz, tłusta świnio?

Nie powiedziała nic, nie musiała. Prawa ręka Van Lampley – ta sama, którą w dwa tysiące dziesiątym roku pokonała Hallie „Niszczycielkę" O'Meara w finale mistrzostw Ohio Valley w kategorii trzydzieści pięć – czterdzieści pięć lat, a rok później, broniąc tytułu, zerwała jedno z więzadeł w łokciu Erin Makepeace – była jak samozatrzaskująca się pułapka. Teraz poszła w górę, chwyciła nadgarstek Fritza Meshauma, ścisnęła go stalowymi palcami i pociągnęła w dół.

Meshaum upadł, zabytkowy pistolet wypalił, pocisk przeszył podłogę między ramieniem a tułowiem Van. Poczuła smak żółci w gardle, kiedy ten gnojek przygniótł całym ciężarem jej ranne biodro, nie przestawała jednak wykręcać mu nadgarstka; z ręką wykrzywioną pod takim kątem mógł tylko strzelić jeszcze raz w podłogę, zanim broń wypadła mu z dłoni. Trzeszczały kości. Pękały więzadła. Fritz krzyczał. Ugryzł Van w rękę, ale w odpowiedzi tylko jeszcze mocniej obróciła jego nadgarstek i zaczęła metodycznie tłuc go w tył głowy lewą pięścią, z której sterczał brylant pierścionka zaręczynowego.

– Dobrze, już dobrze! Poddaję się! Kurwa, poddaję się! – wrzeszczał Fritz Meshaum. – Wystarczy!

Van była innego zdania. Jej biceps naprężył się, rozdymając wytatuowany nagrobek z napisem „Twoja duma".

Dalej wykręcała jedną ręką i biła drugą.

ROZDZIAŁ 12

1

Nadeszła ostatnia noc więzienia. Rozpogodziło się; jednostajny wiatr przegnał deszczowe chmury na południe, zostawiając niebo gwiazdom i zachęcając zwierzęta, by podniosły głowy, powęszyły i wdały się w rozmowy. Nie będzie siedemdziesięciu dwóch godzin. Nie będzie wahania. Jutro wszystko się zmieni. Zwierzęta wyczuwały to, tak jak wyczuwają nadchodzącą burzę.

2

Eric Blass, skulony obok partnera w ostatnim rzędzie siedzeń jednego z autobusów szkolnych, zarekwirowanych na blokadę drogi numer 31, słuchał chrapania Dona Petersa. Nadejście nocy uśmierzyło niejasne wyrzuty sumienia, jakie czuł po spaleniu Starej Essie. Skoro nikt nie zauważył jej braku, co tak naprawdę była warta?

Rand Quigley, człowiek znacznie rozważniejszy, niż większości się wydawało, też był skulony. Siedział na plastikowym krześle w sali widzeń. Na kolanach trzymał odwrócony do góry nogami zabawkowy samochód z kącika rodzinnego. Odkąd sięgał pamięcią, samochód ten był źródłem niezliczonych rozczarowań; dzieci osadzonych wsiadały do niego i odpychały się od podłogi, ale szybko się zniechęcały, kiedy nie mogły skręcić. Przyczyną niepowodzeń była złamana oś. Rand wyjął ze skrzynki z narzędziami tubkę kleju epoksydowego, skleił złamanie, a na czas, dopóki klej nie zastygnie,

połączył obie części sznurkiem zawiązanym w węzeł ratowniczy. Nie zapomniał, że to być może ostatnie godziny jego życia. Poświęcenie czasu, który mu pozostał, na zrobienie czegoś pożytecznego podnosiło go na duchu.

Na zalesionym pagórku nad więzieniem Maynard Griner patrzył w gwiazdy i wyobrażał sobie, że strąca je bazooką Fritza. Gdyby dało się tak zrobić, czy trzaskałyby jak przepalające się żarówki? Czy ktoś – może naukowcy – kiedyś zrobił dziurę w kosmosie? Czy obcy na innych planetach myśleli o zestrzeliwaniu gwiazd bazookami albo promieniami śmierci?

Lowell, oparty o pień jałowca, polecił leżącemu na plecach bratu, żeby wytarł sobie usta; ściekająca z nich ślina połyskiwała w świetle gwiazd, wysłanym miliony lat temu. Low był w kwaśnym nastroju. Nie lubił czekać, ale dopóki policja nie ruszy, walenie z artylerii nie przyniosłoby im żadnej korzyści. Cięły ich komary, jakaś upierdliwa sowa darła się nieprzerwanie od zachodu słońca. Valium zdecydowanie poprawiłoby mu humor. Nawet Nyquil by pomógł. Gdyby grób Dużego Lowella był w pobliżu, Mały Lowell bez wahania wykopałby jego gnijącego trupa i zabrał mu butelkę Rebel Yell.

Daleko w dole rozciągało się zbudowane na planie litery T więzienie, przygwożdżone ostrym blaskiem z wież oświetleniowych. Las z trzech stron otaczał dolinę, w której stał budynek. Od wschodu była otwarta łąka, sięgająca do stóp wzgórza, na którym przyczaili się Low i May. Ta łąka, pomyślał Low, to idealny tor strzelniczy. Żadnych przeszkód na trasie przelotu pocisku. Kiedy przyjdzie czas, będzie bombowo.

3

Dwaj mężczyźni ukucnęli w szczelinie między maską fleetwooda Barry’ego Holdena i drzwiami więzienia.

– Uczynisz honory, Clint? – spytał Tig.

Clint nie był pewien, czy to rzeczywiście honor, ale zapalił zapałkę. Przysunął ją do strugi benzyny, którą wcześniej wylali Tig i Rand.

Struga zapłonęła, ogień popełzł od drzwi więzienia przez parking pod ogrodzenie wewnętrzne. Na pasie trawy oddzielającym je od drugiego, zewnętrznego, stosy opon zaczęły się tlić; wkrótce stanęły w płomieniach. Blask ognia rozproszył ciemność na obwodzie więzienia. W górę poszły kłęby brudnego dymu.

Clint i Tig wrócili do środka.

4

W ciemnym pokoju socjalnym Michaela przeszukiwała szuflady w świetle latarki. Znalazła talię kart i poprosiła Jareda, żeby zagrał z nią w wojnę. Wszyscy pozostali, nie licząc trzech jeszcze przytomnych więźniarek, pełnili wartę. Michaela czuła potrzebę, żeby się czymś zająć. Dochodziła dziesiąta, był poniedziałkowy wieczór. Nie do wiary, że raptem w czwartek obudziła się punkt szósta i poszła pobiegać. Była wtedy pełna energii, czuła się świetnie.

– Nie mogę – powiedział Jared.

– Słucham? – spytała Michaela.

– Jestem szalenie zajęty. – Uśmiechnął się nerwowo. – Rozmyślam o wszystkim, co powinienem był zrobić, a nie zrobiłem. I o tym, że moi rodzice powinni byli się wstrzymać z gniewaniem się na siebie. I o tym, jak moja dziewczyna, to znaczy, nie była moją dziewczyną, ale mało brakowało, zasnęła w moich ramionach. – Powtórzył: – Szalenie zajęty.

Jeśli Jared Norcross potrzebował kogoś, kto by mu matkował, Michaela się do tego nie nadawała. Od czwartku wszystko się przewróciło do góry nogami, ale dopóki była w towarzystwie Gartha Flickingera, potrafiła całe to zamieszanie traktować prawie jak niezłą zabawę, dobrą, kilkudniową imprezę. Nie przypuszczała, że aż tak będzie jej brakowało Gartha. Jego chemicznie wspomagana pogoda ducha była jedyną sensowną reakcją na to, że świat zwariował.

– Ja też się boję – przyznała. – Musiałabym mieć niedobrze w głowie, żeby się nie bać.

– Ja po prostu… – Jared zawiesił głos. Nie rozumiał tego, co wszyscy w więzieniu mówili o tej kobiecie: że niby miała jakieś moce i że ta Michaela, córka naczelnik, dziennikarka, pod wpływem magicznego pocałunku niezwykłej więźniarki odzyskała siły. Nie pojmował też, co opętało jego ojca. Wiedział jedno: ginęli ludzie. Tak jak przypuszczała Michaela, tęsknił za matką, ale nie szukał kogoś na jej miejsce. Lili nie sposób było zastąpić. – My jesteśmy ci dobrzy, prawda? – upewnił się.

– Nie wiem – odparła. – Ale na pewno nie jesteśmy tymi złymi.

– To już coś.

– Dawaj, zagrajmy w karty.

Przesunął dłonią po oczach.

– A co tam, niech będzie. W wojnę jestem mistrz. – Podszedł do stolika na środku pokoju socjalnego.

– Chcesz colę czy coś? – zapytała Michaela.

Kiwnął głową, ale żadne z nich nie miało drobnych do automatu. Poszli więc do gabinetu naczelnika, opróżnili wielką dzierganą torebkę Janice Coates i usiedli w kucki na podłodze, szukając monet wśród paragonów, notatek, sztyftów i papierosów. W pewnym momencie Jared spytał Michaelę, dlaczego się uśmiecha.

– Spójrz na tę torebkę – powiedziała. – Mama jest naczelnikiem więzienia, a nosi to hipisowskie paskudztwo.

– Aha. – Jared parsknął śmiechem. – A jaką torebkę powinna mieć naczelnik więzienia?

– Taką, która się trzyma na łańcuchach albo kajdankach.

– Uuu, perwersyjne!

– Nie bądź dzieciak.

Było dość drobniaków na dwie cole i nie tylko. Zanim wrócili do pokoju socjalnego, Michaela pocałowała kokon okrywający jej matkę.

Gra w wojnę zazwyczaj ciągnie się w nieskończoność, ale Michaela wygrała pierwszą partię już po niespełna dziesięciu minutach.

– Kurczę. Wojna jest piekłem – skwitował Jared.

Zagrali znowu, potem jeszcze raz, drugi, trzeci; niewiele mówili, tylko odwracali kartę za kartą w mroku. Michaela ciągle wygrywała.

5

Terry drzemał na krześle turystycznym kilka metrów za blokadą. Śniła mu się żona. Otworzyła własny bar, w którym serwowano puste talerze. „Rita, ale tu nic nie ma”, powiedział i oddał jej swój. Rita znów mu go podała i tak w kółko, wydawało się całą wieczność. On do niej, ona do niego, pusty talerz przechodził z ręki do ręki. Terry był coraz bardziej poirytowany. Rita milczała i patrzyła na niego z uśmiechem, jakby skrywała jakąś tajemnicę. Za oknami baru pory roku zmieniały się jak slajdy w starej przeglądarce – zima, wiosna, lato, jesień, zima, wiosna…

Otworzył oczy. Stał nad nim Bert Miller.

Po przebudzeniu Terry’ego pomyślał o tym, jak przy bramie więzienia Clint Norcross przyczepił się do niego o to, że pije, jak upokorzył go przy pozostałych. Irytacja wywołana dziwnym snem zmieszała się ze wstydem i wtedy w pełni do niego dotarło, że nie nadaje się na szeryfa. Niech Frank Geary weźmie tę fuchę, jeśli tak mu na tym zależy. A Clint Norcross niech się z nim użera, skoro woli mieć do czynienia z trzeźwym człowiekiem.

Wszędzie porozstawiane były turystyczne lampy. Mężczyźni stali w grupkach z karabinami przewieszonymi przez ramię, palili papierosy, śmiali się, zajadali wojskowe racje żywnościowe z wygniecionych plastikowych pojemników. Bóg raczy wiedzieć, skąd je wzięli. Kilku grało w kości na jezdni. Jack Albertson wiercił dziurę w buldożerze, żeby zamocować żelazną płytę na szybie.

Radny Bert Miller chciał wiedzieć, czy gdzieś jest gaśnica.

– Trener Wittstock ma astmę, a leci tu dym z opon, które podpaliły te bydlaki.

– Jasne. – Terry wskazał na stojący nieopodal radiowóz. – W bagażniku.

– Dzięki, komendancie. – Radny poszedł po gaśnicę. Grający w kości wznieśli radosne okrzyki, bo ktoś właśnie wyrzucił parę.

Terry dźwignął się z krzesła i obrał kurs na zaparkowane radiowozy. Idąc, odpiął pas z bronią i upuścił go w trawę. Jebać ten burdel, pomyślał. Jebać i tyle.

W kieszeni miał kluczyki do radiowozu numer jeden.

6

Frank siedział za kierownicą służbowego pikapa i obserwował milczącego, zrezygnowanego tymczasowego komendanta.

Twoja robota, Frank, powiedziała Elaine, siedząca obok niego. Jesteś z siebie dumny?

– Sam jest sobie winien – odparł. – Nie związałem go, nie wsadziłem mu lejka w gardło. Gardzę nim, bo okazał się za wielkim tchórzem na to stanowisko, ale też mu zazdroszczę, bo może odejść.

A ty nie, powiedziała Elaine.

– A ja nie – przytaknął. – Doprowadzę to do końca. Dla Nany.

Masz obsesję na jej punkcie, Frank. Nic tylko Nana, Nana i Nana. Nie chciałeś słuchać Norcrossa, bo myślisz jedynie o niej. Nie możesz przynajmniej jeszcze trochę zaczekać?

– Nie. – Bo już zebrał ludzi i rwali się do czynu.

A jeśli ta kobieta wodzi cię za nos?

Tłusta ćma usiadła na jednej z wycieraczek pikapa. Uruchomił je, żeby ją przegnać. Zapalił silnik i ruszył, ale w przeciwieństwie do Terry'ego zamierzał wrócić.

Najpierw wpadł do domu na Smith, żeby sprawdzić, czy z Elaine i Naną wszystko w porządku. Były tam, gdzie je zostawił – za regałem w piwnicy, przykryte prześcieradłami. Powiedział ciału Nany, że ją kocha. Powiedział ciału Elaine, że przykro mu, że jakoś nigdy nie mogli się dogadać. I mówił szczerze, chociaż fakt, że nawet pogrążona w nienaturalnym śnie nadal go rugała, potwornie działał mu na nerwy.

Potem zamknął piwnicę na klucz. Przed domem, w świetle przednich reflektorów pikapa, zauważył, że na podjeździe – w dużej dziurze, którą planował wkrótce załatać – powstała kałuża. Unosiła się w niej wielobarwna, zielono-brązowo-biało-niebieska zawiesina. Tyle zostało z drzewa narysowanego kredą przez Nanę. Zmył je deszcz.

Kiedy Frank wjechał do centrum Dooling, zegar na banku pokazywał 0:04. Zaczął się wtorek.

Mijając sklep spożywczy Zoney's, Frank zauważył, że ktoś wybił w nim szyby.

Ratusz jeszcze dymił. Frank był zaskoczony, że Norcross pozwolił swoim kamratom wysadzić w powietrze miejsce pracy jego żony. Cóż, jak widać, ludzie ostatnio się zmienili – nawet lekarze, jak Norcross. A może stali się tacy, jacy byli dawniej?

W parku po drugiej stronie ulicy jakiś facet bez widocznego powodu ciął palnikiem acetylenowym zaśniedziałe spodnie zwieńczonego cylindrem posągu pierwszego burmistrza miasta. Iskry strzelały w górę, odbijając się w przyciemnionej szybce kasku spawalniczego mężczyzny. Kawałek dalej inny mężczyzna uczepił się latarni jak Gene Kelly w *Deszczowej piosence,* trzymał kutasa w dłoni, szczał na chodnik i wyrykiwał jakąś porąbaną szantę: „Gdzie kapitan? Brandy i piwo żłopie całą noc! Gdzie załoga? W portowym zamtuzie, gdzie kurew jest moc! Do lin, bracia, do lin, wszyscy razem do lin!".

Porządek, który Frank i Terry usiłowali utrzymywać w ostatnich chaotycznych dniach, rozpadał się na jego oczach. To dzika odmiana żałoby, pomyślał. Może z czasem się skończy, może przerodzi w ogólnoświatowy kataklizm. Kto to mógł wiedzieć?

Tutaj właśnie powinieneś być, Frank, powiedziała Elaine.

– Nie – odparł.

Zaparkował za swoim biurem. Codziennie znajdował pół godziny na to, żeby tu zajrzeć. Karmił bezpańskie zwierzaki w klatkach i zostawiał karmę w misce dla swojego ulubionego biurowego psiaka. Ile razy przyjeżdżał, klatki były zapaskudzone, ich lokatorzy miotali się, drżeli, skamleli i wyli, bo zwykle mógł ich wyprowadzać na spacer tylko raz dziennie, jeśli w ogóle, a poza tym z ósemki zwierząt może ze dwa były nauczone czystości.

Myślał, czy ich nie uśpić. Gdyby coś mu się stało, prawie na pewno zdechłyby z głodu; mało prawdopodobne, by zajął się nimi jakiś dobry samarytanin. Do głowy mu nie przyszło, żeby je po prostu uwolnić. Bezpańskie psy nie mogą swobodnie biegać po mieście.

W jego wyobraźni zrodziła się wizja: nazajutrz rano wchodzi do biura z Naną, pozwala jej nakarmić zwierzęta i zabrać je na spacer. Zawsze lubiła to robić. Wiedział, że pokochałaby jego biurowego psa, stoickiego kundla o sennych ślepiach, mieszańca beagle'a z cocker spanielem. Byłaby zachwycona tym, jak kładzie łeb na łapach, jakby był znudzonym uczniem w szkolnej ławce, zmuszonym słuchać niekończącego się wykładu. Elaine nie lubiła psów, ale to już nie miało znaczenia. Cokolwiek się wydarzy, między nimi wszystko skończone. Jeśli Nana zechce psa, Frank będzie mógł go trzymać u siebie.

Wyprowadził zwierzęta na potrójnych smyczach. Po powrocie napisał list: „Proszę sprawdzić, co ze zwierzętami, proszę je nakarmić i napoić. Siwobiały mieszaniec pitbulla w klatce #7 jest płochliwy, podchodzić do niego ostrożnie. Proszę niczego nie kraść, to urząd państwowy". Przylepił kartkę taśmą klejącą do drzwi wejściowych. Przez parę minut drapał biurowego psiaka za uszami.

– Jakiś ty kochany. Patrzcie państwo, jakiś ty kochany.

Kiedy wrócił do pikapa i pojechał na blokadę, zegar na banku pokazywał 1:11. O wpół do piątej zarządzi początek przygotowań do szturmu. Dwie godziny później wzejdzie słońce.

7

Po drugiej stronie więziennych boisk, za ogrodzeniem, dwaj mężczyźni, z chustami chroniącymi usta, spryskiwali gaśnicami płonące opony. Piana gaśnicza jaśniała w noktowizorze fluorescencyjnym blaskiem, mężczyzn oblewała żółta poświata. Billy Wettermore nie wiedział, kim jest ten większy, ale mniejszego dobrze znał.

– Ten pacan w słomkowym kapeluszu to radny Miller. Bert Miller – powiedział do Willy'ego Burke'a.

Zakrawało na paradoks, że los w ogóle zetknął ich ze sobą. Kiedy Billy Wettermore chodził do szkoły średniej w Dooling, jako wzorowy uczeń załapał się na staż w biurze radnego. Tam zmuszony był

w milczeniu wysłuchiwać częstych przemyśleń Berta Millera na temat homoseksualizmu. „To mutacja”, wyjaśniał radny Miller i tłumaczył, że marzy o tym, by ją zwalczyć. „Gdyby można było za jednym zamachem zlikwidować wszystkich gejów, Billy, może wyeliminowałoby się tę mutację, ale z drugiej strony, choć niełatwo to przyznać, oni też są ludźmi, nie?”.

Wiele się wydarzyło w ciągu kilkunastu lat, które upłynęły od tamtego czasu. Billy był upartym chłopakiem ze wsi i kiedy rzucił studia, wrócił w rodzinne Appalachy, nie bacząc na dominujące w tych stronach poglądy. Wydawało się, że wszystkich tu interesował tylko jego pociąg do mężczyzn. Billy’ego cholernie irytowało, że musi znosić takie rzeczy w drugiej dekadzie dwudziestego pierwszego wieku – nie żeby to okazywał, bo tylko dawałby ludziom coś, na co nie zasługiwali.

Jednak myśl, żeby strzelić w ziemię pod nogami Berta Millera – niech świętoszek się posra w gacie – była nad wyraz kusząca.

– Nastraszę go, żeby się odsunął od opon, Willy.

– Nie. – To słowo padło nie z ust Willy’ego Burke’a, tylko zza jego pleców.

Norcross zmaterializował się w niedomkniętych tylnych drzwiach więzienia. Twarz doktora ginęła w półmroku, widoczny był tylko błysk oprawek jego okularów.

– Nie? – powtórzył za nim Billy.

– Nie. – Clint pocierał lewym kciukiem knykcie prawej dłoni. – Strzel mu w nogę. Powal go.

– Serio? – Billy strzelał do dzikiej zwierzyny, ale do człowieka jeszcze nigdy.

Willy Burke zamruczał przez nos:

– Kula w nodze może zabić, doktorze.

Clint kiwnął głową na znak, że rozumie.

– Musimy obronić więzienie. Zrób to, Billy. Strzel mu w nogę. Będzie jednego mniej i zrozumieją, że nie ma z nami żartów. Pokażemy, że nie sprzedamy tanio skóry.

– Dobra.

Billy opuścił oko do celownika z noktowizorem. Radny Miller, wielki jak billboard, przesłonięty dwiema warstwami drucianej siatki,

wachlował się słomkowym kapeluszem; gaśnica leżała w trawie obok niego. Krzyż celowniczy spoczął na lewym kolanie Millera. Billy był zadowolony, że jego cel jest takim dupkiem, ale i tak nie chciał tego robić.

Pociągnął za spust.

8

Zasady Evie były następujące:

1) Ukryj się i żadnego zabijania przed świtem!

2) Rozetnij kokony Kayleigh i Maury!

3) Ciesz się życiem!

– Niech ci będzie – powiedziała Angel. – Jesteś pewna, że Maura i Kay mnie nie zarżną, kiedy będę się cieszyła życiem?

– Prawie pewna.

– Dobre i to.

– Otwórzcie jej celę – zakomenderowała Evie.

Z dziury przy wnęce prysznicowej wyłoniły się szczury, jeden za drugim. Pierwszy zatrzymał się pod drzwiami celi Angel. Drugi wdrapał się na pierwszego, trzeci na drugiego. Powstała wieża szarych szczurzych ciał, przypominających ohydne gałki lodów. Evie gwałtownie wciągnęła powietrze, kiedy poczuła, że szczur na dole się dusi.

– Och, matko… Tak bardzo, bardzo mi przykro – powiedziała.

– Normalnie, kurna, jak w cyrku! – Angel była urzeczona. – Mogłabyś zbić na tym niezłą kasę, siostro, wiesz?

Młody szczur na górze był najmniejszy z całej trójki. Wcisnął się do dziurki od klucza – teraz Evie dłubała jego łapkami w mechanizmach zamka, dała mu siłę, jakiej nie miał jeszcze żaden szczur. W końcu drzwi celi stanęły otworem.

Angel wzięła dwa ręczniki z prysznica, zwinęła je, położyła na pryczy i przykryła kocem. Zamknęła za sobą drzwi. Jeśli ktoś zajrzy do środka, pomyśli, że w końcu skapitulowała i zasnęła.

Ruszyła korytarzem w stronę Skrzydła C, gdzie przebywała większość uśpionych w kokonach.

– Do widzenia, Angel – zawołała za nią Evie.

– Taa – rzuciła Angel. – Na razie. – Zawahała się z ręką na drzwiach. – Słyszysz te krzyki w oddali?

Evie słyszała. Wiedziała, że to radny Bert Miller lamentuje nad swoją ranną nogą. Jego wycie wdzierało się do więzienia przez przewody wentylacyjne. Angel nie musiała się tym przejmować.

– Nie martw się – powiedziała Evie. – To tylko mężczyzna.

– Aha – odparła Angel. I poszła.

9

W czasie rozmowy Angel i Evie Jeanette siedziała pod ścianą naprzeciwko cel, słuchała i patrzyła. Teraz odwróciła się do Damiana, nieżyjącego od lat i pochowanego ponad sto kilometrów stąd, a mimo to będącego tutaj, obok niej. Miał wbity w udo śrubokręt i wykrwawiał się na podłogę, Jeanette jednak nie czuła jego krwi, nawet odrobiny wilgoci, co było dziwne, bo siedziała w czerwonej kałuży.

– Widziałeś to? – spytała. – Te szczury?

– Uhm. – Damian przybrał wysoki, piskliwy ton, przedrzeźniając Jeanette: – Widzę te szczurusie, Jeanie kochana.

No nie, pomyślała Jeanette. Kiedy na nowo pojawił się w jej życiu, zachowywał się normalnie, ale teraz robił się jakiś drażliwy.

– Takie same szczury ogryzają mojego trupa, bo mnie zabiłaś, Jeanie kochana.

– Przykro mi. – Dotknęła swojej twarzy. Miała wrażenie, że płacze, ale jej policzki były suche. Podrapała się w czoło, mocno wbijając paznokcie; pragnęła poczuć ból. Utrata rozumu to nic przyjemnego, stwierdziła.

– Sama zobacz. – Damian przysunął się i zbliżył twarz do jej twarzy. – Ogryzły mnie do szpiku kości. – W jego głowie ziały puste czarne oczodoły; szczury wyżarły mu gałki oczne. Jeanette nie

chciała patrzeć, chciała zamknąć oczy, ale wiedziała, że wtedy dopadłby ją sen.

– Jaka matka tak traktuje ojca swojego dziecka? Zabija go i pozwala, żeby szczury go ogryzały jak cholernego batona?

– Jeanette – zawołała Evie. – Hej. Tutaj jestem.

– Olej tę sukę, Jeanie – powiedział Damian. Młody szczur wypadł z jego ust prosto na kolana Jeanette. Krzyknęła i zamierzyła się na niego, ale zniknął. – Masz słuchać, co do ciebie mówię. Patrz na mnie, kretynko.

Evie znów się odezwała:

– Dobrze się stało, że mnie nie posłuchałaś i nie zasnęłaś, Jeanette. Coś się dzieje po drugiej stronie i… cóż, myślałam, że będę z tego zadowolona, ale może na stare lata mięknę. Na wypadek gdyby miało jednak wystarczyć czasu, chciałabym, żeby wszystkie zainteresowane osoby mogły otwarcie wyrazić swoje zdanie.

– Co ty gadasz? – Jeanette bolało gardło. Wszystko ją bolało.

– Chcesz jeszcze kiedyś zobaczyć Bobby'ego?

– Oczywiście, że tak – powiedziała Jeanette, ignorując Damiana. Przychodziło jej to coraz łatwiej. – Oczywiście, że chcę zobaczyć mojego synka.

– Dobrze. Słuchaj więc uważnie. Między tym a tamtym światem istnieją tajne przejścia, takie, powiedzmy, tunele. Każda kobieta, która zasypia, przechodzi przez jeden z nich. Ale jest też pewien wyjątkowy tunel, który ma swój początek przy pewnym wyjątkowym drzewie. To jedyne przejście otwarte w obie strony. Rozumiesz?

– Nie.

– Z czasem zrozumiesz. Na drugim końcu tego tunelu jest kobieta, która go zamknie, jeśli nikt jej w tym nie przeszkodzi. Szanuję jej stanowisko, myślę, że jest ze wszech miar uzasadnione, rodzaj męski fatalnie się spisał po tej stronie Drzewa, żadne sztucznie zawyżone oceny nie zmienią tego faktu, ale w sprawie tak ważnej każdy powinien mieć prawo wyrazić swoje zdanie. Jedna kobieta, jeden głos. Elaine Nutting nie może podjąć takiej decyzji w imieniu wszystkich.

Twarz Evie znajdowała się przy kratach celi. Soczyście zielone pędy obrosły jej skronie. Oczy zmieniły się w kasztanowe ślepia tygrysa.

Ćmy obsiadły jej włosy trzepoczącą przepaską. Jest potworem, pomyślała Jeanette. Pięknym potworem.

– Co to ma wspólnego z moim Bobbym?

– Jeśli Drzewo spłonie, tunel się zamknie. Nikt nigdy nie będzie mógł wrócić. Ani ty, ani żadna inna kobieta, Jeanette. Koniec stanie się nieunikniony.

– Nie, nie, nie. On już jest nieunikniony – wtrącił się Damian. – Idź spać, Jeanie.

– Weźże w końcu się zamknij! Ty nie żyjesz! – krzyknęła Jeanette. – Przepraszam, że cię zabiłam, zrobiłabym wszystko, żeby to cofnąć, ale byłeś wrednym bydlakiem i co się stało, to się nie odstanie, więc stulże wreszcie pysk!

Jej słowa poniosły się echem po ciasnym Skrzydle A. Damian zniknął.

– Ładnie powiedziane – stwierdziła Evie. – Co za odwaga! A teraz posłuchaj mnie, Jeanette: chcę, żebyś zamknęła oczy. Przejdziesz przez tunel… twój tunel… ale nie będziesz tego pamiętała.

Jeanette miała wrażenie, że akurat to rozumie.

– Bo będę spała?

– Otóż to! Kiedy już będziesz po drugiej stronie, poczujesz się bez porównania lepiej niż tutaj. Chcę, żebyś wtedy poszła za lisem. On zaprowadzi cię, gdzie trzeba. Pamiętaj: Bobby i Drzewo. Jedno zależy od drugiego.

Jeanette pozwoliła, żeby powieki jej opadły. Bobby, przypomniała sobie. Bobby, Drzewo i tunel otwarty w obie strony. Tunel, który kobieta imieniem Elaine chce podpalić, żeby go zamknąć. Mam iść za lisem. Policzyła raz-dwa-trzy-cztery-pięć i wszystko było jak przedtem. Oprócz Evie, która zmieniła się w Zieloną Panią. Jakby sama była drzewem.

Poczuła łaskotanie w policzek, muśnięcie najlżejszej koronki.

Kiedy przebrzmiał huk wystrzału, usłyszeli najpierw ryk, a potem przeciągły, niemilknący skowyt Berta Millera. Clint pożyczył celownik optyczny Willy'ego Burke'a, żeby zobaczyć, co się dzieje. Jedna ubrana na żółto postać leżała na ziemi i trzymała się za udo, druga chwyciła ją pod pachami i odciągała do tyłu.

– Dobrze. Dzięki. – Clint oddał karabin Wettermore'owi.

Willy Burke przyglądał się im obu, po trosze z uznaniem, po trosze z nieufnością.

Clint wrócił do środka. Tylne drzwi prowadzące do małej sali gimnastycznej były podparte cegłą, żeby się nie zamknęły.

Aby ograniczyć widoczność z zewnątrz, pogasili wszystkie światła oprócz czerwonych lamp awaryjnych, rzucających małe szkarłatne plamy na obrzeża drewnianej posadzki, na której jeszcze niedawno więźniarki grały w koszykówkę na jeden kosz. Clint stanął pod tablicą i oparł się o wyścielaną ścianę. Serce mocno mu waliło. Nie był przerażony, nie był zadowolony, ale ważne, że był. Jeszcze tu był.

Przestrzegł samego siebie przed ogarniającą go euforią, ale to nie stłumiło przyjemnego mrowienia w rękach i nogach. Albo odgradzał się murem od samego siebie, albo do siebie wracał. Pojęcia nie miał, która wersja jest prawdziwa. Wiedział jedno: ma shake'a i Geary mu go nie odbierze. To, że Geary stał po niewłaściwej stronie barykady, praktycznie nie miało znaczenia.

Aurora nie była wirusem, tylko czarem, a drugiej takiej kobiety, takiego człowieka jak Evie Black, świat jeszcze nie widział. Nie da się naprawić młotkiem czegoś, co wykracza poza ludzkie rozumienie, a tak właśnie ten problem chcieli rozwiązać Frank Geary, Terry Coombs i reszta mężczyzn z drugiej strony murów. Tutaj potrzeba innego podejścia. To było dla Clinta oczywiste i tamci też powinni to zrozumieć, przecież nie wszyscy byli głupi. A jednak z jakiegoś powodu tego nie rozumieli, co znaczyło, że będzie musiał swoim młotkiem zablokować ich młotek.

Oni zaczęli! Jakie dziecinne! I jakie prawdziwe!

Jedno wielkie zardzewiałe, skrzypiące, błędne koło. Kilka razy uderzył pięścią w wyścielaną ścianę, żałując, że to nie czyjaś gęba. Pomyślał o piroterapii: leczeniu gorączką. Przez pewien czas uchodziła za nowatorską kurację, tyle że zarażanie pacjentów

malarią to paskudnie drastyczna interwencja. Niektórych to ratowało, innych wykańczało. Czy Evie jest piroterapeutką czy piroterapią? Czy może być jednocześnie lekarzem i lekarstwem?

I czy każąc Billy'emu Wettermore'owi strzelić w nogę radnego Berta Millera, sam zaaplikował pierwszą dawkę?

11

Stukot kroków nadciągał od strony sali gimnastycznej. Angel właśnie wychodziła z opuszczonej Kabiny z pękiem kluczy do cel. Ściskała je w prawej dłoni, tak że najdłuższy wystawał spomiędzy knykci jej palców – wskazującego i środkowego. Raz, na parkingu w Ohio, dźgnęła starego flejowatego kowboja w ucho zaostrzonym kluczem. Nie zabiła go, ale zadowolony nie był. Ulitowała się nad nim i zabrała mu tylko portfel, ślubną obrączkę z taniego sklepu, zdrapki i srebrną sprzączkę paska; życie pozwoliła mu zachować.

Doktor Norcross przeszedł obok szklanej ściany Kabiny, nie zatrzymując się. Angel pomyślała, czy nie zajść od tyłu tego dwulicowego szarlatana. Mogłaby wbić klucz w jego żyłę szyjną. Bardzo jej się spodobał ten pomysł. Niestety, obiecała Evie, że do świtu nikogo nie zabije, a zdecydowanie wolała się nie narażać tej czarownicy.

Dlatego pozwoliła doktorowi odejść.

Skierowała kroki do Skrzydła C i celi, która stała się domem Maury i Kayleigh. Niska, tęga postać – ani chybi Maura – leżała z brzegu dolnej pryczy, gdzie ktoś położył ją po tym, jak poszła lulu w Skrzydle A. Kayleigh była od strony ściany. Angel nie miała pojęcia, jak rozumieć słowa Evie, że „ich dusze są martwe", ale na pewno wynikało z tego, że musi zachować ostrożność.

Przecięła czubkiem klucza pierwszy kokon. Materiał rozpruł się z cichym mruczeniem i oczom Angel ukazały się pulchne, rumiane policzki Maury. Mogłaby pozować do ilustracji na opakowaniu jakichś „swojskich" produktów sprzedawanych w małych wiejskich sklepach – „Chleba kukurydzianego mamy Maury" czy „Kojącego syropu

Dunbarton”. Angel wyskoczyła na korytarz, gotowa uciec, jeśli Maura się na nią rzuci.

Kobieta na pryczy powoli się podniosła i usiadła.

– Maura?

Maura Dunbarton zamrugała. Wbiła wzrok w Angel. Jej oczy składały się z samych źrenic. Wyszarpnęła z kokonu prawą, potem lewą rękę, i złożyła dłonie na pomarszczonym podołku.

Kiedy Maura przesiedziała kilka minut w tej pozycji, Angel wsunęła się z powrotem do celi.

– Mo-Mo, jak mnie tkniesz palcem, nie zrobię ci krzywdy, tylko od razu cię zabiję.

Kobieta siedziała cicho, z czarnymi oczami utkwionymi w ścianie.

Angel rozcięła kluczem oprzęd na twarzy Kayleigh. I równie szybko, jak przedtem, wyskoczyła na korytarz.

Proces się powtórzył: Kayleigh zsunęła z siebie górną część kokonu niczym sukienkę, patrząc przed siebie oczami, które były całe czarne. Dwie kobiety siedziały ramię w ramię, z poszarpanymi pajęczynami zwisającymi z włosów, podbródków, szyj. Wyglądały jak duchy w domu strachów z podrzędnego wesołego miasteczka.

– Wszystko gra, dziewczyny? – spytała Angel.

Nie odpowiedziały. Wydawało się, że w ogóle nie oddychają.

– Wiecie, co macie robić? – Angel była już mniej spięta, ale zaciekawiona.

Milczały. Z ich czarnych oczu zionęła pustka. Od obu kobiet bił słaby zapach wzruszonej wilgotnej ziemi. Angel pomyślała (choć wolałaby takich myśli nie mieć): Tak się pocą umarli.

– No dobra. Okej. – Albo coś zrobią, albo nie. – To ja was zostawię, dziewczyny. – Zastanowiła się, czy dodać coś na zachętę, na przykład „do boju”, ale uznała, że lepiej nie.

Poszła do stolarni i zdobycznymi kluczami otworzyła szafy z narzędziami. Wsunęła małą ręczną wiertarkę za pas, dłuto do jednej skarpetki, śrubokręt do drugiej.

Potem położyła się na plecach pod stołem i spojrzała w ciemne okno. Wypatrywała pierwszych promieni świtu. Ani trochę nie chciało się jej spać.

12

Włókienka wysnuwały się i wirowały wokół twarzy Jeanette, rozdzielały się, podnosiły i opadały, przesłaniając jej rysy. Clint ukląkł przy niej, chciał wziąć ją za rękę, ale nie śmiał.

– Byłaś dobrym człowiekiem – powiedział. – Twój syn cię kochał.

– Nadal jest dobrym człowiekiem. Jej syn nadal ją kocha. Nie umarła, tylko śpi.

Clint podszedł do krat celi Evie.

– To ty tak twierdzisz.

Usiadła na pryczy.

– Wyglądasz, jakbyś złapał drugi oddech, Clint. – Cała jej postać – spuszczona głowa, lśniące czarne włosy, opadające na policzek – wyrażała melancholię. – Nadal możesz mnie wydać. Ale niebawem będzie za późno.

– Nie – powiedział.

– Ależ mocny głos ma facet, którego kazałeś Wettermore'owi postrzelić! Słyszałam go aż tutaj. – Jej ton nie był prowokujący. Był refleksyjny.

– Ludzie nie lubią, kiedy się do nich strzela. To boli. Może tego nie wiedziałaś.

– Dzisiaj zniszczono ratusz. Ci, którzy to zrobili, zrzucili winę na ciebie. Szeryf Coombs sobie poszedł. Frank Geary rano przyprowadzi tu swoich ludzi. Czy coś z tego cię zaskakuje, Clint?

Nie.

– Potrafisz dopiąć swego, Evie. Świetnie. Nie zamierzam ci jednak gratulować.

– Teraz pomyśl o Lili i pozostałych żyjących na świecie po drugiej stronie Drzewa. Uwierz mi, proszę; dobrze im się tam powodzi. Budują coś nowego, coś pięknego. I kiedyś będą wśród nich mężczyźni. Lepsi mężczyźni, wychowywani od małego przez kobiety w kobiecej społeczności, mężczyźni, którzy pod ich kierunkiem nauczą się poznawać samych siebie i swój świat.

– Z czasem górę weźmie ich wrodzona natura – powiedział Clint. – Ich męskość. Jeden podniesie rękę na drugiego. Wierz mi, Evie.

Masz przed sobą mężczyznę, który to wie.

– W istocie – przytaknęła. – Ale agresja nie leży w naturze płci, tylko w naturze człowieka. Jeśli kiedyś będziesz miał wątpliwości, czy kobiety są zdolne do agresji, zapytaj twoją dobrą znajomą, oficer Lampley.

– Teraz już pewnie gdzieś śpi.

Evie uśmiechnęła się, jakby wiedziała coś, czego on nie wiedział.

– Nie jestem na tyle naiwna, żeby ci wmawiać, że kobiety po drugiej stronie Drzewa stworzyły utopię. To, co mają, to lepszy początek i szansa na lepszy koniec. Ty możesz je tej szansy pozbawić. Ty i tylko ty, ze wszystkich mężczyzn na ziemi. Chcę, żebyś to wiedział. Jeśli pozwolisz mi umrzeć, te kobiety będą mogły ułożyć sobie życie wedle własnego wyboru.

– Wedle twojego wyboru, Evie. – Jego głos brzmiał jakoś sucho.

Istota w celi wystukała opuszkami palców rytm o ramę pryczy.

– Linny Mars była na posterunku, kiedy został zniszczony. Odeszła na zawsze. Nie dostała wyboru.

– Ty jej go nie dałaś – powiedział Clint.

– Moglibyśmy to ciągnąć w nieskończoność. On powiedział, ona powiedziała. Ta sama śpiewka od zarania dziejów. Idź, tocz swoją wojnę, Clint. To jedno, co mężczyźni potrafią. Spraw, żebym zobaczyła następny zachód słońca.

ROZDZIAŁ 13

1

Kiedy rąbek słońca wyłonił się znad lasu za zakładem karnym w Dooling, kolumna buldożerów potoczyła się West Lavin Road, jeden za drugim. Wszystkie trzy były marki Caterpillar; dwa D-9 i duży D-11. Oddział szturmowy składał się w sumie z osiemnastu ludzi. Piętnastu pod osłoną buldożerów zmierzało do głównej bramy więzienia; trzej posuwali się naprzód wzdłuż ogrodzenia. (Radnego Millera zostawili na blokadzie z buteleczką vicodinu i obandażowaną nogą spoczywającą na krześle turystycznym).

Frank podzielił dwunastu członków grupy uderzeniowej – swoją parszywą dwunastkę – na trzy kwartety. Każdy kwartet, w kamizelkach i maskach, czaił się za jednym z buldożerów. Szyby i kratownice wlotu powietrza ciężkich pojazdów zostały osłonięte złomem. Pierwszy prowadził emerytowany zastępca szeryfa Jack Albertson, za kierownicą drugiego siedział trener JT Wittstock, trzecim jechał były uczestnik turniejów bokserskich z cyklu Golden Gloves, Carson Struthers. Frank był przy buldożerze Albertsona.

Pozycje w lesie zajęli zastępca szeryfa Elmore Pearl, łowca jeleni Drew T. Barry (którego biuro leżało w ruinie) i Don Peters.

2

Clint dostrzegł buldożery z wysokiego okna w Skrzydle B i rzucił się biegiem do schodów, po drodze nakładając kamizelkę kuloodporną.

– Miłego ruchania w dupę, doktorze – zawołał wesoło Scott Hughes, kiedy Clint go mijał.

– Myślisz, że tobie odpuszczą, kiedy się tu wedrą? – Uśmiech zniknął z twarzy Scotta.

Clint pospieszył w głąb Broadwayu. Po drodze przystanął i wsadził głowę do sali widzeń.

– Rand, ruszyli. Wal gazem łzawiącym.

– Robi się – odparł Rand z kącika rodzinnego na końcu pomieszczenia i spokojnie założył uprzednio przygotowaną maskę przeciwgazową.

Clint pobiegł dalej, do dyżurki przy głównym wejściu.

Była to w gruncie rzeczy zwyczajna kuloodporna budka jak w punkcie poboru opłat na autostradzie, mały pokoik z długim oknem i szczeliną, przez którą odwiedzający podawali dyżurnemu dokumenty i kosztowności. W środku znajdowała się taka sama konsola jak w Kabinie i wartowni, z monitorami obserwującymi różne części więzienia i jego okolicy. Siedział przy niej Tig.

Clint zapukał i Tig otworzył drzwi.

– Co masz na monitorach?

– Słońce świeci prosto w kamery. Jeśli za buldożerami są ludzie, na razie ich nie widzę.

Mieli osiem–dziewięć granatów gazowych do granatnika. Na monitorze centralnym, pod spiralami odblasków, Clint widział, jak kilka rozrywa się na parkingu, wypuszczając białe kłęby, które mieszały się ze smolistym dymem wciąż wypływającym z opon. Kazał Tigowi obserwować sytuację, a sam pobiegł dalej.

Jego następnym celem był pokój socjalny. Jared i Michaela siedzieli przy stoliku z talią kart i kubkami kawy.

– Spadajcie stąd. Zaczyna się.

Michaela wzniosła kubek w toaście.

– Przykro mi, doktorze. Jestem pełnoletnia, mam prawo głosować i w ogóle. Sądzę, że zostanę. Kto wie, może będzie z tego Pulitzer.

Jared, biały jak kreda, wodził wzrokiem od Michaeli do swojego ojca i z powrotem.

– Niech ci będzie – powiedział Clint. – Gdzież bym śmiał ograniczać wolność prasy. Jared, schowaj się i nie mów mi gdzie.

Potruchtał dalej, zanim syn zdążył odpowiedzieć. Kiedy dotarł do tylnych drzwi, za którymi była szopa i łąki, miał już zadyszkę. Aż do pierwszego poranka aurory nigdy nie zasugerował Lili, żeby biegali razem, dlatego że nie chciał, by ze względu na niego musiała zwalniać swoje normalne tempo – to byłaby żenada. Z czego to się brało, z próżności czy lenistwa? Obiecał sobie, że w wolnej chwili dogłębnie rozważy tę kwestię, a jeśli będzie miał szczęście – dożyje poranka i dane mu będzie jeszcze kiedyś porozmawiać z żoną – ponownie złoży propozycję wspólnego joggingu.

– Jadą trzy buldożery – oznajmił, wychodząc na zewnątrz.

– Wiemy. – Willy Burke wyszedł do Clinta ze swojej kryjówki za szopą. Jego kamizelka kuloodporna dziwnie kontrastowała z radośnie czerwonymi szelkami zwisającymi mu u bioder. – Tig zameldował przez radio. Billy zostanie tutaj, będzie obserwował ogrodzenie od północnej strony. Ja spróbuję zdjąć kilku zza węgła. Może pan mi towarzyszyć, ale potrzebne panu będzie to. – Podał Clintowi maskę przeciwgazową, po czym sam założył własną.

3

Przed skrętem na odchodzący pod kątem prostym dojazd do bramy więzienia Frank uderzył pięścią w metalową płytę nad drzwiami – znak dla Albertsona, żeby odbił w prawo. Jack zrobił to, powoli i ostrożnie. Ludzie cofnęli się, przez cały czas pozostając pod osłoną zakręcającej masy metalu. Frank miał na sobie kamizelkę kuloodporną, w prawej dłoni trzymał glocka. Widział smugi dymu snujące się nad drogą. Spodziewał się tego: słyszał trzask wystrzeliwanych granatów gazowych. Na pewno nie mieli ich dużo. W magazynie broni na posterunku było znacznie więcej masek niż granatów.

Pierwszy buldożer obrał właściwy kurs i czterej mężczyźni wdrapali się na jego tył, ściśnięci ramię w ramię.

W kabinie buldożera Jack Albertson, bezpiecznie schowany za podniesionym stalowym lemieszem zasłaniającym przednią szybę,

wcisnął gaz do dechy i ruszył prosto na bramę.

Frank wydał rozkaz przez walkie-talkie, choć nie wszyscy w oddziale szturmowym je mieli; przygotowania odbywały się w biegu.

– Szykujcie się. Ruszamy. – I proszę, pomyślał, oby był jak najmniejszy rozlew krwi. Stracił już dwóch ludzi, a atak jeszcze się nie zaczął.

4

– Co o tym myślisz, Willy? – spytał Clint.

Za podwójnym ogrodzeniem pierwszy buldożer toczył się naprzód z podniesionym lemieszem. Przed oczami mignęła im wbiegająca za maszynę postać.

Willy milczał. Stary bimbrownik wrócił pamięcią na nienazwany metr kwadratowy piekła w Azji Południowo-Wschodniej w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym. Bagienna woda sięgała mu do jabłka Adama, niebo przesłaniała warstwa dymu; dookoła panowały cisza i bezruch, gdy nagle obok niego na powierzchnię wypłynął ptak, czerwono-niebiesko-żółty, masywny, wielkości orła, martwy, z zamglonym ślepiem. Jego jaskrawe upierzenie raziło w tym dziwnym świetle. Piękne pióra musnęły ramię Willy'ego i słaby nurt poniósł truchło w kłęby dymu. (Kiedyś opowiedział o tym siostrze. „Przedtem ani razu nie widziałem takiego ptaka. Przez cały czas, kiedy tam byłem. Potem zresztą też nie. Czasem myślę sobie, że może był ostatni w swoim gatunku". Wtedy alzheimer zabrał już większość ja jego siostry, ale mały fragment jeszcze został, i powiedziała: „Może był tylko… ranny, Willy". „Wiesz, bardzo cię kocham", powiedział na to. Siostra się zarumieniła).

Lemiesz buldożera z głośnym zgrzytem uderzył w środek bramy. Siatka wgięła się pod naporem, po czym wyrwała się z ziemi i opadła na drugie ogrodzenie za pasem trawy. Widma gazu łzawiącego rozsnuwały się wokół prącej naprzód machiny, taranującej drugie ogrodzenie zaplątanym fragmentem pierwszego. Ogrodzenie

wewnętrzne ugięło się i przewaliło, gąsienice buldożera przetoczyły się po szczątkach. Jechał dalej przez zadymiony parking, ze zgrzytającą o nawierzchnię drucianą siatką uwięzioną pod lemieszem.

Dwa następne buldożery wjechały w wyrwę powstałą za pierwszym.

Willy zauważył brązowy but wystający zza tylnego lewego rogu pierwszego buldożera. Strzelił. Mężczyzna krzyknął i wypadł zza osłony, wypuszczając strzelbę z młócącej powietrze ręki. To był drobny facet o pałąkowatych nogach, w masce przeciwgazowej i kuloodpornej kamizelce. (Willy nie poznałby, że to Pudge Marone, właściciel Squeaky Wheel, nawet gdyby twarz Pudge'a była widoczna. Od lat nie pijał w barach). Mężczyzna miał osłonięty tors, ale jego ręce i nogi były odkryte – to akurat Willy'emu odpowiadało, bo nie chciał nikogo zabić, jeśli nie musiał. Strzelił raz jeszcze, nie całkiem tam, gdzie celował, ale prawie, i kula kalibru .223, wyrzucona z lufy karabinu szturmowego M4, który do wczoraj był własnością wydziału szeryfa Dooling, urwała Pudge'owi Marone'owi kciuk.

Ręka wysunęła się zza buldożera, żeby pomóc rannemu – zrozumiały i może nawet chwalebny odruch, choć w tych okolicznościach zdecydowanie niemądry. Wspomniana ręka należała do emerytowanego zastępcy szeryfa, Nate'a McGee, który po tym, jak zeszłego wieczoru przegrał ponad stówę w kości na asfalcie drogi numer 31, pocieszał się dwiema złudnymi myślami – raz: gdyby wiedział na pewno, że pani McGee pewnego dnia się obudzi, nie grałby na pieniądze, i dwa: wyczerpał limit pecha na ten tydzień. Mylił się. Willy strzelił trzeci raz, trafiając w łokieć wyciągniętej ręki. Rozległ się kolejny okrzyk i McGee wytoczył się zza buldożera. Willy puścił cztery szybkie strzały, sprawdzając wytrzymałość stalowej płyty zamontowanej na kratownicy wlotu powietrza buldożera, i usłyszał brzęk odbijających się bezużytecznie kul.

Frank wychylił się z pierwszego buldożera i wygarnął do Willy'ego. W sześćdziesiątym ósmym Willy może poznałby po ułożeniu ręki Geary'ego, że nie ma szans trafić, i zostałby na stanowisku, żeby go rąbnąć, ale od tamtego czasu minęło pięćdziesiąt lat, a człowiek

dość szybko wyzbywa się luzu w momencie, gdy do niego strzelają. Obaj z Clintem uciekli więc w osłonięte miejsce.

Kiedy buldożer Jacka Albertsona toczył się przez kłęby gazu łzawiącego i czarnego dymu w stronę kampera i drzwi więzienia, pchając przed sobą szczątki siatki, drugi, prowadzony przez trenera Wittstocka, przejechał przez wyrwę w ogrodzeniu.

Podobnie jak Albertson przed nim i Carson Struthers za nim, trener Wittstock podniósł lemiesz dla własnego bezpieczeństwa. Słyszał strzały, słyszał krzyki, ale nie widział przed sobą Nate'a McGee, który leżał, trzymając się za łokieć. Kiedy więc buldożer przetoczył się po rannym, trener Wittstock uznał, że to tylko gąsienice wspięły się na jedną ze spalonych opon.

Wydał triumfalny okrzyk. Przebijał się przez obronę przeciwnika tak, jak tego uczył napastników swojej drużyny – brawurowo i niepowstrzymanie!

Na swoim stanowisku w oknie sali widzeń Rand zaczekał, aż pierwszy buldożer znajdzie się w połowie drogi między wartownią a drzwiami więzienia. Wtedy otworzył ogień. Pociski nieszkodliwie odbijały się od opancerzenia.

Pete Ordway, młodzi Wittstockowie i Dan „Treater" Treat, schowani za drugim buldożerem, nagle zobaczyli przed sobą zmiażdżonego trupa Nate'a McGee. Jego maska przeciwgazowa była pełna krwi, paski kamizelki werżnęły się w tors. Krwawe ochłapy tryskały z gąsienic buldożera; strzępy skóry falowały w powietrzu jak serpentyny. Rupe Wittstock krzyknął i odskoczył od tej makabry. Od flaków może i się oddalił, za to znalazł się na linii ognia Randa.

Pierwszy strzał przeszedł parę centymetrów od głowy celu, drugi chybił może o centymetr. Rand sklął się pod nosem i za trzecim razem wymierzył w sam środek pleców mężczyzny. Pocisk utkwił w kamizelce kuloodpornej, którą cel miał na sobie, i zgiął go wpół. Rupe wyrzucił ręce w górę jak kibic na stadionie podczas meksykańskiej fali. Wtedy Rand strzelił czwarty raz. Cel dostał w tyłek i runął jak długi.

Zastępca szeryfa Treat pozostał nieporuszony. Raptem przed rokiem zakończył służbę w 82. dywizji powietrznodesantowej i wciąż miał zdolność do zachowania względnego spokoju pod ostrzałem,

którą Willy Burke stracił dawno temu. Bez namysłu zeskoczył z buldożera numer dwa. (Tak naprawdę wręcz mu ulżyło, że może powrócić do żołnierskich nawyków. Walka pozwalała zapomnieć o nieznośnej rzeczywistości: o tym, że jego córka, Alice, w tej chwili siedzi przy stoliku do zabawy w ich mieszkaniu, owinięta białymi włóknami, a przecież powinna szykować się na kolejny dzień nauki w drugiej klasie; a także o tym, że jego syn obecnie jest w prowizorycznym żłobku prowadzonym przez mężczyzn). Treat wyszedł z ukrycia i odpowiedział ogniem z M4 znalezionego na drodze numer 31.

Stojący w oknie Rand przykląkł na stoliku. Kawałki betonu sypnęły się na jego szyję i plecy.

Treater podniósł z ziemi Rupe'a Wittstocka i zaciągnął w bezpieczne miejsce, za stos tlących się opon.

Pierwszy buldożer wpadł na tył kampera, wbijając jego maskę w drzwi więzienia. Szkło wyleciało z hukiem.

5

Jared siedział na podłodze pralni, a Michaela układała wokół niego kopiec z prześcieradeł, w którym miał się ukryć.

– Głupio się czuję – powiedział.

– Nie wyglądasz głupio – odparła niezgodnie z prawdą. Rozpostarła prześcieradło nad jego głową.

– Czuję się jak cipa.

Michaela nienawidziła tego słowa. Trafiło ją w czuły punkt nawet teraz, wśród huku wystrzałów. Cipa to z założenia coś miękkiego i choć Michaela takową miała, poza tym nie była szczególnie miękka pod żadnym względem. Janice Coates nie wychowała córki na mięczaka. Poderwała prześcieradło i wymierzyła Jaredowi mocny – ale nie za mocny – policzek.

– Hej! – Podniósł dłoń do twarzy.

– Nie mów tak.

– Jak?

– Nie mów „cipa”, kiedy masz na myśli „słaby”. Matka powinna cię była tego oduczyć.

Prześcieradło znów opadło na jego twarz.

6

– Toż to, kurwa, zbrodnia, że nikt tego nie filmuje do reality show – powiedział Low. Przez celownik bazooki widział, jak drugi buldożer zmiażdżył pechowego frajera, który wpadł pod gąsienice; widział, jak jakiś rambo wyskoczył zza buldożera, dał ognia i uratował innego gościa. Potem zobaczył – nie bez zdumienia i złośliwej radości – że pierwszy buldożer zgniótł kampera w harmonijkę przed drzwiami więzienia. Bitwa była pierwszorzędna, a będzie jeszcze lepsza, jak dorzucą do tego kotła parę pocisków z bazooki.

– Kiedy zaczynamy? – spytał May.

– Jak tylko gliny trochę się zmęczą.

– Po czym poznamy, że dopadliśmy Kitty, Low? W środku musi być pełno zdzir w kokonach.

– Całkowitej pewności zapewne mieć nie będziemy, May, ale odpalimy wszystkie pociski i wysadzimy cały budynek w chuj, więc szanse powodzenia są spore. Powiem tak: musimy być dobrej myśli. – Lowowi nie podobało się, że brat w ostatniej chwili zgłasza jakieś ale. – To co, będziemy się dobrze bawić? A może wolisz, żebym tylko ja strzelał?

– Nie no, Low, przecież nic nie mówię – zaprotestował May. – Nie bądź taki.

7

Na poziomie 32 Boom Town do gwiazdek, trójkątów i płonących kul dołączyły małe różowe pająki. Pająki gasiły kule i zmieniały je w irytujące migoczące niebieskie gwiazdki, które wszystko

komplikowały – paskudztwo. Huk wystrzałów niósł się przenikliwym echem po Skrzydle A. Evie to nie ruszało; nieraz widziała i słyszała, jak mężczyźni zabijają. Różowe pająki jednak ją drażniły.

– Co za podłość – mruknęła, przesuwając kolorowe kształty, szukając połączeń. Była całkowicie zrelaksowana; grała na telefonie, leżąc na plecach w powietrzu parę centymetrów nad pryczą.

8

Coś drgnęło w krzakach za ogrodzeniem od północnej strony, dokładnie na wprost stanowiska Billy'ego Wettermore'a w przejściu za szopą ogrodową. Wystrzelił tuzin pocisków w kępę zieleni, w której dostrzegł drgnienie. Krzaki zadrżały.

Drew T. Barry, cwany agent ubezpieczeniowy, który zawsze starał się minimalizować ryzyko, był z dala od linii ognia Billy'ego. Z przezornością, dzięki której stał się nie tylko ubezpieczycielem numer jeden w Dooling, ale i doskonałym łowcą jeleni, gotowym cierpliwie czekać na idealny strzał, kazał swoim towarzyszom – Pearlowi i Petersowi – zatrzymać się w lesie za salą gimnastyczną więzienia. Peters powiedział mu, że w zachodniej ścianie sali gimnastycznej jest tylne wejście. Reakcja na kamień rzucony przez Drew w krzaki blisko tego miejsca wiele im powiedziała: tak, muszą tam być drzwi, i tak, są strzeżone.

– Zastępco szeryfa? – odezwał się Drew T. Barry.

Siedzieli w kucki za dębem. Może pięć metrów przed nimi strzępki liści rozerwanych kulami wciąż opadały na ziemię. Sądząc po dźwięku wystrzałów, strzelec był trzydzieści, może czterdzieści metrów za wewnętrznym ogrodzeniem, pod ścianą więzienia.

– Co? – Don Peters z czerwoną, spoconą twarzą taszczył worek marynarski z maskami przeciwgazowymi i nożycami do cięcia prętów.

– Nie do ciebie mówię, tylko do prawdziwego zastępcy szeryfa – odpalił Drew.

– Tak? – Pearl kiwnął mu głową.

– Jeśli zabiję gościa, który do nas strzela, nikt mnie potem nie będzie za to ścigał? Jesteś pewien, że Geary i Coombs przysięgną, że działaliśmy w granicach prawa?

– Mhm. Słowo harcerza. – Elmore Pearl uniósł dłoń w salucie z lat dzieciństwa, trzy środkowe palce podniesione, mały przygięty kciukiem.

Peters splunął flegmą.

– Mam skoczyć do miasta po notariusza, Drew?

Drew T. Barry puścił marny dowcip mimo uszu, kazał im zostać na miejscu, po czym wycofał się w głąb lasu. Szybkimi, cichymi krokami wspinał się na północny stok, z karabinem weatherby na plecach.

9

Kiedy buldożer utknął, Frank dalej mierzył w południowo-zachodni róg więzienia, gotów zdjąć faceta z karabinem, jeśli ten choć wyjrzy z ukrycia. Wymiana ognia wstrząsnęła nim; z chwilą, gdy padł pierwszy strzał, to wszystko nagle stało się rzeczywiste. Niedobrze mu się robiło na widok krwi i ciał na ziemi, pojawiających się i znikających pod poruszanymi wiatrem kłębami gazu łzawiącego, nie tracił jednak determinacji. Czuł przerażenie, ale nie skrupuły. Jego życie było życiem Nany, a zatem podejmował dopuszczalne ryzyko. Tak sobie wmawiał.

Dołączył do niego Kronsky.

– Pospiesz się – powiedział Frank. – Im szybciej to się skończy, tym lepiej.

– Święte słowa, szefuniu. – Kronsky przyklęknął na jednym kolanie obok swojego plecaka. Rozpiął suwak, wyjął wiązkę dynamitu i obciął trzy czwarte lontu.

Opancerzone drzwi buldożera otworzyły się. Z maszyny wysiadł Jack Albertson ze swoją starą służbową trzydziestkąósemką w ręku.

– Osłaniaj nas przed tym sukinkotem – powiedział Kronsky do Albertsona, wskazując palcem kryjówkę Willy'ego Burke'a. Potem odwrócił się do Franka. – Chodź ze mną, tylko pędem.

Dwaj mężczyźni schylili głowy i pospieszyli wzdłuż północno-zachodniej ściany więzienia. Kronsky zatrzymał się pod wybitym oknem, jednym ze stanowisk ogniowych obrońców. W prawej dłoni miał dynamit, w lewej niebieską plastikową zapalniczkę. Przez okno znów wysunęła się lufa karabinu.

– Wyrwij mu to – powiedział do Franka.

Frank bez sprzeciwu podniósł lewą rękę i objął dłonią metalową rurę. Wyszarpnął ją z uchwytu mężczyzny w oknie. Usłyszał stłumione przekleństwo. Kronsky pstryknął zapalniczką, podpalił skrócony lont i niedbale, jakby rzucał hakiem do kosza, posłał w otwór wiązkę dynamitu. Frank puścił karabin i padł na ziemię.

Po trzech sekundach rozległ się ogłuszający grzmot. Z okna wyleciał dym, a w nim krwawe strzępy.

10

Ziemia zadrżała i ryknęła z oburzeniem.

Clint, stojący ramię w ramię z Willym pod zachodnią ścianą, zobaczył nadciągające opary gazu łzawiącego, niesione falą uderzeniową. Dzwoniło mu w głowie, stawy mu drżały. Pośród tego hałasu myślał tylko o jednym: jest gorzej, niż się spodziewał. Ci ludzie zabiją Evie i całą resztę. Jego wina, skutek jego nieudolności. Pistolet, który nie wiadomo po co ze sobą nosił – w ciągu piętnastu lat małżeństwa ani razu nie przyjął zaproszenia Lili na strzelnicę – wsunął się w jego dłoń i aż się prosił, żeby pociągnąć za spust.

Wychylił się zza Willy'ego, obejrzał miejsce karambolu przed drzwiami więzienia i skupił wzrok na postaci stojącej za pierwszym buldożerem. Mężczyzna wpatrywał się w kłąb kurzu buchający z okna Randa Quigleya, które – jak wszystko tego poranka – było bezpowrotnie zniszczone.

(Jack Albertson nie spodziewał się wybuchu. Zaskoczony, zapomniał o czujności i patrzył, co się stało. Chociaż chaos sam w sobie nie robił na nim wrażenia – za młodu był górnikiem i ziemia nie raz, nie dwa zadudniła mu pod nogami, więc nerwy miał ze stali

– był mocno zdumiony. Co tym ludziom odbiło, że wolą sięgnąć po broń, niż oddać jakąś cholerną dzikuskę w ręce sprawiedliwości? Słowo honoru, świat z roku na rok coraz bardziej wariuje. Jego osobistym Waterloo był wybór Lili Norcross na szefa policji w Dooling. Baba komendantem! Trudno o większy absurd. Od razu złożył podanie o przejście na emeryturę i wrócił do domu, by w spokoju cieszyć się swoim starokawalerstwem).

Ręka Clinta podniosła pistolet, celownik odnalazł mężczyznę za buldożerem, palec nacisnął cyngiel. Najpierw rozbrzmiał huk wystrzału, potem soczysty trzask kuli przebijającej osłonę na twarz maski przeciwgazowej. Clint zobaczył, jak głowa mężczyzny odskakuje do tyłu, a ciało osuwa się na ziemię.

O, Jezu, pomyślał. To pewnie był ktoś, kogo znam.

– Chodź pan! – krzyknął Willy i pociągnął go do tylnych drzwi.

Nogi same poniosły Clinta. Zabić człowieka było łatwiej, niż przypuszczał. A to tylko pogarszało sprawę.

ROZDZIAŁ 14

1

Kiedy Jeanette otworzyła oczy, przed drzwiami celi Evie leżał lis. Jego pysk spoczywał na popękanej cementowej podłodze, z której wyrastały pasma zielonego mchu.

– Tunel – powiedziała do siebie. Było coś o tunelu. Zwróciła się do lisa: – Przeszłam przez jakiś tunel? Jeśli tak, nie pamiętam tego. Przysłała cię Evie?

Nie odpowiedział, choć była prawie pewna, że to zrobi (w snach zwierzęta potrafią mówić ludzkim głosem, to zaś było jak sen… a zarazem wydawało się całkowicie rzeczywiste). Ziewnął tylko, spojrzał na nią chytrze i podźwignął się na łapy.

Skrzydło A było puste, w ścianie zionęła dziura. Wlewały się przez nią promienie porannego słońca. Na pokruszonym cemencie perlił się szron, topniejący ze wzrostem temperatury.

Jeanette pomyślała: Znowu czuję się rozbudzona. Bo i chyba jestem rozbudzona.

Lis zaskomlał cicho i podreptał do otworu. Zerknął na Jeanette, zaskomlał raz jeszcze, przeszedł na drugą stronę i zniknął w świetle.

2

Ostrożnie przeszła przez otwór, schylając się pod ostrymi krawędziami rozprutego cementu. Znalazła się na łące porośniętej chwastami do kolan i uschłymi słonecznikami. Zmrużyła oczy przed porannym słońcem. Zamarznięte poszycie chrzęściło jej pod nogami,

chłodne powietrze wywoływało gęsią skórkę pod cienkim materiałem więziennego stroju.

Świeże powietrze i słońce rozbudziły ją całkowicie. Jej dawne ciało, wyczerpane traumą, stresem i brakiem snu, było skórą, którą z siebie zrzuciła. Czuła się jak nowo narodzona.

Lis zwinnie śmigał w trawie, prowadząc Jeanette obok wschodniej części więzienia w stronę drogi numer 31. Musiała przyspieszyć kroku, żeby za nim nadążyć. Jej oczy oswajały się z ostrym blaskiem słońca. Zerknęła na budynek więzienia: nagie kolczaste pędy oplatały mury; zardzewiałe wraki buldożera i kampera tkwiły wbite w fasadę, też gęsto obrośniętą kolczastymi gałęziami; bujne kępy żółtej trawy sterczały z pęknięć i szczelin na parkingu; na asfalcie stały porzucone zardzewiałe pojazdy. Spojrzała w przeciwnym kierunku. Ogrodzenia leżały przewrócone – zgnieciona druciana siatka lśniła wśród chwastów. Jeanette od razu zrozumiała, co się stało, choć nie miała pojęcia, jak i dlaczego: to wciąż był zakład karny w Dooling, ale świat o nim zapomniał i poszedł naprzód, może o całe lata.

Jej przewodnik wygramolił się z rowu ciągnącego się wzdłuż drogi numer 31, przeciął popękaną, niszczejącą jezdnię i wszedł w niebieskozielony mrok lasu po drugiej stronie. Jego ruda kita podskakiwała, połyskując w ciemności.

Jeanette przebiegła przez drogę, nie odrywając wzroku od rozkołysanego ogona. Straciła równowagę – jej tenisówka pośliznęła się na wilgotnej ziemi – i musiała złapać się gałęzi, żeby nie upaść. Świeże powietrze, przesycone zapachem soków drzewnych, gnijących liści i mokrej ziemi, paliło jej gardło i płuca. Odzyskała wolność i powróciły wspomnienia gry w monopol w latach dzieciństwa; jakby znów wylosowała kartę „Wychodzisz z więzienia". Cudowna nowa rzeczywistość wyzwoliła ten las spod władzy czasu, zmieniła go w wyspę poza zasięgiem mocnych środków czystości, rozkazów, brzęku kluczy, chrapania i pierdzenia więźniarek, ich płaczu i seksu, szczęku zamykanych cel – wyspę, którą rządziła ona i tylko ona, królowa Jeanette, na wieki wieków amen. Wolność była słodka, jeszcze słodsza, niż to sobie zawsze wyobrażała.

Potem jednak:

– Bobby – szepnęła do siebie. To jest imię, które musi pamiętać, zabrać ze sobą, żeby nie uległa pokusie, by tu zostać.

3

Jeanette trudno było oszacować odległość, przywykła bowiem do chodzenia po równej gumowej bieżni okalającej spacerniak zakładu karnego, której jedno okrążenie mierzyło około ośmiuset metrów. Stała wspinaczka w kierunku północno-zachodnim wymagała więcej wysiłku; musiała wydłużyć krok, przez co odzywały się jej mięśnie ud, boleśnie i przyjemnie zarazem. Lis od czasu do czasu przystawał i pozwalał, żeby trochę go dogoniła, zanim ruszy dalej. Mimo chłodu oblewała się potem. W powietrzu czuć było ten chwiejny stan zawieszenia między zimą a wiosną. Nieliczne zielone główki pączków połyskiwały w szarobrązowym leśnym półmroku, w miejscach wystawionych na słońce ziemia rozmiękła od roztopów.

Trzy, może cztery kilometry dalej lis poprowadził Jeanette dookoła przewróconej przyczepy mieszkalnej, zalanej morzem chwastów. Stara żółta taśma policyjna trzepotała na ziemi. Jeanette domyślała się, że jest blisko celu. Słyszała ciche brzęczenie w powietrzu. Słońce było coraz wyżej, zbliżało się południe. Zaczynała odczuwać głód i pragnienie; może na miejscu będzie coś do jedzenia i picia – czego by nie dała za łyk zimnej coli! Nieważne. Teraz musi myśleć przede wszystkim o Bobbym. O tym, żeby znów go zobaczyć. Biegnący przodem lis zniknął pod łukiem połamanych drzew.

Pospieszyła za nim, mijając stertę gruzów nakrytą peruką chwastów. Kiedyś mogła to być mała chatka albo szopa. Gałęzie pobliskich drzew obsiadły ćmy; niezliczone jasnobrązowe ciała tłoczyły się jedno przy drugim jak dziwne pąkle. Jeanette intuicyjnie rozumiała, że świat, w którym się znalazła, leży poza granicami znanej jej rzeczywistości, niczym kraina na dnie morza. Ćmy siedziały bez ruchu, ale słyszała ich ciche cykanie, jakby ze sobą rozmawiały.

Bobby, zdawały się mówić. Jeszcze nie za późno, żeby zacząć od nowa.

Wreszcie dotarła na szczyt zbocza. Przez rzedniejące drzewa dostrzegła lisa stojącego w wyblakłej, zmarzniętej trawie. Wciągnęła powietrze. Jej nos i usta połaskotał zapach nafty, zupełnie niespodziewany i na pozór z niczym tu niezwiązany.

Wyszła na otwarty teren i zobaczyła coś, co nie miało prawa istnieć. Coś, co dało jej pewność, że nie jest już w appalaskim regionie, który znała.

4

To był tygrys – o białej sierści w czarne trójkątne cętki. Zatoczył łbem i zaryczał jak lew z logo MGM. Za nim wznosiło się drzewo – Drzewo – buchające z ziemi setką splątanych pni, które wyginały się w wielką, rozłożystą fontannę gałęzi, ociekających liśćmi i warkoczami mchu. Wśród zieleni śmigały ciała tropikalnych ptaków. Potężny czerwony wąż, lśniący i skrzący się w świetle, pełzł w górę pnia.

Lis podreptał do głębokiej szczeliny w drzewie, rzucił Jeanette jakby łobuzerskie spojrzenie i zniknął w środku. A zatem to tutaj; to jest ten tunel otwarty w obie strony. Tunel prowadzący z powrotem do świata, który opuściła, świata, gdzie czekał na nią Bobby. Ruszyła w jego stronę.

– Ani kroku dalej. I ręce do góry. – Kobieta w żółtej koszuli w kratę i niebieskich dżinsach stała w trawie do kolan i mierzyła z pistoletu do Jeanette. Wyszła zza drzewa, które u podstawy było mniej więcej wielkości bloku mieszkalnego. W drugiej dłoni trzymała kanister obwiązany niebieską gumką. – Nie zbliżaj się. Jesteś nowa, co? Sądząc ze stroju, przyszłaś z więzienia. Pewnie czujesz się zagubiona. – Po ustach kobiety w żółtej koszuli przemknął osobliwy uśmiech, daremna próba rozładowania dziwnej sytuacji, pokazania, że dziwne drzewo, tygrys, pistolet to w sumie nic nadzwyczajnego. – Chcę ci pomóc. I pomogę. Wszyscy tu jesteśmy przyjaciółmi. Mam

na imię Elaine. Elaine Nutting. Pozwól mi tylko zrobić to, co mam do zrobienia, i porozmawiamy, okej?

– A co masz do zrobienia? – spytała Jeanette, choć była prawie pewna, że wie; inaczej skąd by się wziął smród nafty? Ta kobieta chciała podpalić Drzewo. Jeśli ono spłonie, zamknie się jedyna droga powrotu do Bobby'ego. Tak wynikało z tego, co powiedziała Evie. Nie mogła na to pozwolić, ale jak miała powstrzymać tę kobietę? Była co najmniej sześć metrów od niej, za daleko, żeby się na nią rzucić.

Nie spuszczając Jeanette z oka, Elaine uklękła na jedno kolano, położyła pistolet na ziemi (ale w zasięgu ręki) i szybko zdjęła zakrętkę z kanistra nafty.

– Dwa już rozlałam. Muszę dokończyć okrąg. Dla pewności, że się zajmie. – Gdy Jeanette zrobiła dwa kroki do przodu, Elaine chwyciła pistolet i zerwała się na nogi. – Nie podchodź!

– Nie możesz tego zrobić. Nie masz prawa.

Biały tygrys siedział w pobliżu szczeliny, która niedawno wchłonęła lisa. Machał ogonem na boki i patrzył przymkniętymi jasnobursztynowymi ślepiami.

Elaine chlusnęła naftą na drzewo; kora przybrała ciemniejszy odcień brązu.

– Muszę to zrobić. Tak będzie lepiej. To rozwiąże wszystkie problemy. Ilu mężczyzn cię skrzywdziło? Wielu, jak się domyślam. Pracowałam z takimi jak ty przez całe dorosłe życie. Wiem, że nie poszłaś do więzienia z własnej woli. Doprowadził do tego jakiś mężczyzna.

– Paniusiu – Jeanette była urażona sugestią, że jeden rzut oka wystarczy, by przejrzeć ją na wylot – nie znasz mnie.

– Może nie osobiście, ale mam rację, prawda? – Elaine wylała resztę nafty na korzenie i odrzuciła kanister.

Jesteś wariatką, Elaine Nutting, pomyślała Jeanette.

– Owszem, skrzywdził mnie mężczyzna – powiedziała. – Ale ja jego skrzywdziłam bardziej. – Postąpiła krok w stronę Elaine. Dzieliło je może pięć metrów. – Zabiłam go.

– I dobrze, ale bliżej nie podchodź. – Elaine machnęła pistoletem, jakby chciała odtrącić nim Jeanette. Albo ją wymazać.

Jeanette jednak zrobiła następny krok.

– Niektórzy, nawet paru jego dawnych przyjaciół, mówią, że dostał, na co zasłużył. I mogą sobie w to wierzyć. Tyle tylko, że nie uwierzył w to prokurator okręgowy. Co ważniejsze, ja w to nie wierzę, choć prawda jest taka, że nie byłam przy zdrowych zmysłach, kiedy to się stało. I że nikt mi nie pomógł, kiedy potrzebowałam pomocy. Dlatego go zabiłam i tego żałuję. To moja, nie jego, wina. Muszę z tym żyć. I żyję. – Następny mały krok. – Jestem dość silna, żeby uznać swoją winę, nie? Ale mam syna, który mnie potrzebuje. Musi wiedzieć, co robić, żeby wyjść na ludzi, a ja mogę go tego nauczyć. Już nikt nigdy nie będzie mną pomiatał, mężczyzna ani kobieta. Kiedy Don Peters następnym razem spróbuje mnie zmusić, żebym zwaliła mu konia, nie zabiję go, ale… ale wydrapię mu oczy, a jeśli mnie uderzy, będę drapała dalej. Więcej nie dam z siebie zrobić worka treningowego. Dlatego możesz wziąć to, co myślisz, że o mnie wiesz, i wsadzić sobie tam, gdzie słońce nie dochodzi.

– W głowie ci się pomieszało – skwitowała Elaine.

– Nie ma tu kobiet, które chcą wrócić?

– Nie wiem. – Uciekła wzrokiem. – Pewnie są. Ale się mylą.

– I niby ty masz prawo podjąć tę decyzję w ich imieniu?

– Skoro nikt inny nie ma dość odwagi – odparła Elaine (zupełnie nieświadoma, że w tej chwili mówi zupełnie jak jej mąż) – to tak. W takim przypadku ten obowiązek spoczywa na mnie. – Z kieszeni dżinsów wyjęła długą zapalarkę, taką, jakimi dawniej podpalało się węgle na grillu.

Biały tygrys patrzył, wydając głęboki pomruk niczym silnik pracujący na biegu jałowym.

Jeanette doszła do wniosku, że na jego pomoc nie ma co liczyć.

– Pewnie nie masz dzieci, co? – zwróciła się do Elaine.

Kobieta zrobiła urażoną minę.

– Mam córkę. Jest światłem mojego życia.

– I jest tutaj?

– Oczywiście, że tak. Tutaj jest bezpieczna. I zamierzam dopilnować, żeby tak pozostało.

– A co ona o tym sądzi?

– To bez znaczenia. Jest jeszcze dzieckiem.

– No dobra, a co z kobietami, które musiały zostawić synów? Czy nie mają prawa ich wychować i zapewnić im bezpieczeństwa? Czy to nie jest ich obowiązek, nawet jeśli rzeczywiście dobrze się tu czują?

– Widzisz – Elaine uśmiechnęła się złośliwie – i tymi słowami przekonałaś mnie, że jesteś naiwna. Chłopcy wyrastają na mężczyzn. A mężczyźni są źródłem wszystkich kłopotów. To oni przelewają krew i zatruwają ziemię. Tutaj jest nam lepiej. Owszem, rodzą się chłopcy, ale oni będą inni. Nauczymy ich, żeby byli inni. – Wzięła głęboki oddech. Jej uśmiech stał się szerszy, jakby pompowała go gazem ogłupiającym. – To będzie świat pełen dobroci.

– Zapytam raz jeszcze: czy chcesz zamknąć tym kobietom drzwi do dawnego życia, nawet nie pytając ich o zgodę?

Uśmiech Elaine przygasł.

– Mogłyby nie zrozumieć, więc… więc muszę… muszę…

– Co musisz, paniusiu? Wszystko zepsuć? – Jeanette wsunęła dłoń do kieszeni.

Wtedy wrócił lis; usiadł obok tygrysa. Czerwony wąż przepełzł ociężale po jednej z tenisówek Jeanette, ale nawet nie spojrzała w dół. Rozumiała już, że te zwierzęta nie atakują; były przybyszami z Królestwa Pokoju, jak nazywał je jakiś kaznodzieja w mgliście zapamiętanych latach jej optymistycznego, pobożnego dzieciństwa.

Elaine pstryknęła włącznikiem zapalarki. U wylotu zapełgał płomyk.

– Muszę podjąć męską decyzję!

Jeanette wyjęła rękę z kieszeni i cisnęła w kobietę garścią grochu. Elaine drgnęła, odruchowo poderwała dłoń z pistoletem w obronnym geście i cofnęła się. Jeanette przypadła do niej i objęła ją wpół. Pistolet wysunął się z ręki Elaine i wylądował na ziemi, zapalarki jednak nie puściła. Wyciągnęła się do przodu i przysunęła płomyk do splotu korzeni oblanych naftą. Jeanette uderzyła nadgarstkiem Elaine o ziemię. Zapalarka wypadła z jej dłoni i zgasła, za późno jednak – niebieskie płomyki pomknęły po jednym z korzeni w stronę pnia.

Czerwony wąż wpełzł na drzewo, uciekając przed ogniem. Tygrys leniwie wstał, podszedł do płonącego korzenia i przydepnął go. Dym buchnął spod jego łapy i Jeanette poczuła swąd palonej sierści, ale zwierzę nie ruszało się z miejsca. Kiedy wreszcie podniosło nogę, niebieskie płomyki zniknęły.

Jeanette sturlała się z płaczącej kobiety.

– Chcę tylko, żeby Nana była bezpieczna… żeby dorastała w bezpiecznych warunkach…

– Wiem. – Nie znała córki tej kobiety i pewnie nigdy nie pozna, ale słyszała w jej głosie prawdziwy ból, ból duchowy. Sama nieraz go doświadczyła.

Podniosła zapalarkę do grilla. Obejrzała ją. Takie małe narzędzie, a mogło zamknąć drzwi między światami. I tak pewnie by się stało, gdyby nie tygrys. Czy wolno mu było zrobić to, co zrobił, zastanawiała się Jeanette, czy przekroczył swoje uprawnienia? A jeśli tak, czy spotka go kara?

Tak wiele pytań. Tak mało odpowiedzi. Nieważne. Wzięła zamach i rzuciła. Patrzyła, jak zapalarka, wirując, leci i spada w trawę kilkanaście metrów od niej. Elaine podążyła za nią wzrokiem i krzyknęła z rozpaczą. Jeanette schyliła się i podniosła pistolet. Chciała wsunąć go za pasek, ale była w więziennych drelichach, więc paska nie miała. Paski były zakazane. Więźniarki czasem się na nich wieszały. W swoich ściąganych gumką spodniach miała kieszeń, była jednak płytka i wciąż w połowie wypełniona grochem; pistolet wypadłby z niej od razu. Co z nim zrobić? Najmądrzej chyba byłoby go wyrzucić.

Zanim zdążyła wziąć kolejny zamach, liście zaszeleściły za jej plecami. Jeanette obróciła się z pistoletem w dłoni.

– Hej! Rzuć to! Rzuć broń!

Na skraju lasu pojawiła się kolejna uzbrojona kobieta; mierzyła z pistoletu w Jeanette. W odróżnieniu od Elaine trzymała broń oburącz i stała na szeroko rozstawionych nogach, widać było, że wie, co robi. Jeanette, nawykła do wykonywania poleceń, zaczęła opuszczać broń, zamierzając położyć ją w trawie obok drzewa… ale w rozsądnej odległości od wariatki Elaine, która mogłaby się po nią rzucić. Już się schylała, gdy nagle po gałęzi nad nią przemknął wąż. Dostrzegając kątem oka spadający kształt, Jeanette drgnęła i podniosła dłoń z pistoletem, żeby osłonić głowę. Rozbrzmiał trzask, potem cichy brzęk, odgłos dwóch kubków do kawy stukających o siebie w kredensie, i miała wrażenie, że usłyszała w głowie głos Evie – nieartykułowany okrzyk bólu zmieszanego z zaskoczeniem.

A potem nastąpił przeskok w czasie. Jeanette leżała na ziemi, liście przesłaniały niebo, w ustach miała krew.

Kobieta z pistoletem zrobiła krok do przodu. Z lufy wypływał dym i Jeanette zrozumiała, że to jednak nie był przeskok w czasie. Została postrzelona.

– Odłóż to! – nakazała kobieta.

Jeanette otworzyła dłoń; nawet nie zdawała sobie sprawy, że wciąż trzyma w niej pistolet, dopóki nie sturlał się na ziemię.

– Znam cię – szepnęła. Wielki ciepły ciężar przygniatał jej pierś. Trudno było oddychać, ale nie bolało. – To ty przywiozłaś Evie do więzienia. Jesteś gliną. Widziałam cię przez okno.

– Czuć tu naftą. – Lila podniosła przewrócony kanister, powąchała go i upuściła.

Po porannym spotkaniu w Shopwellu któraś z kobiet wspomniała, że zniknął jeden z wózków golfowych, a nikt się nie wpisał do rejestru wypożyczeń. Dziewczyna nazwiskiem Maisie Wettermore zgłosiła, że kilka minut wcześniej widziała Elaine Nutting, jak jechała w stronę Składu Drzewnego Adamsa. Lila wymieniła spojrzenia z towarzyszącą jej Janice Coates. W tamtym kierunku były tylko dwa obiekty godne uwagi: wymarłe ruiny wytwórni mety i Drzewo. Obie zaniepokoiło to, że Elaine Nutting pojechała sama. Lila pamiętała, jaką nieufność obudziły w Elaine spotkane pod Drzewem zwierzęta – zwłaszcza tygrys – i przyszło jej do głowy, że może chcieć go zabić. To byłoby niemądre, Lila była tego pewna. Dlatego wsiadły z Janice do wózka golfowego i ruszyły za nią.

A teraz, pierwszy raz w życiu, Lila postrzeliła człowieka, kobietę, której nigdy przedtem nie widziała, a która właśnie leżała zakrwawiona na ziemi.

– Co ty, do cholery, chciałaś zrobić? – spytała.

– Nie ja. – Jeanette spojrzała na płaczącą kobietę. – Ona. To wszystko ona. Jej nafta. Jej pistolet. Powstrzymałam ją.

Jeanette umierała, wiedziała o tym, ale właściwie nie bolało. Zimno ogarniało ją jak woda wzbierająca w studni, najpierw objęło jej palce u nóg, potem stopy i kolana, nieuchronnie zbliżając się do serca. Bobby bał się wody, kiedy był mały.

Bobby bał się też, że ktoś zabierze mu colę i czapkę z uszami Myszki Miki. Tę właśnie chwilę uwieczniono na zdjęciu, które wisiało na małym namalowanym kwadracie w jej celi. „Nie, kochanie, nie", powiedziała mu wtedy. „Nie bój się. To twoje rzeczy. Mama nie pozwoli, żeby ktoś ci je zabrał".

A gdyby Bobby był tu teraz i zapytał o tę wodę? Tę, w której powoli pogrążała się jego matka? Och, powiedziałaby mu, że to też żaden powód do zmartwienia. „Na początku jest szok, ale potem się przyzwyczajasz".

Jeanette jednak nie potrafiła kłamać dla nagród. Nie miałaby szans w takim teleturnieju. Bobby'ego może by nabrała, ale nie Ree. Gdyby była tu Ree, musiałaby jej wyznać, że choć woda ze studni nie sprawia bólu, to przyjemna też nie jest.

Słyszała bezcielesny głos prowadzącego: „Niestety, na tym udział Jeanette Sorley w programie się kończy, ale żeby nie wróciła do domu z pustymi rękami, na pożegnanie wręczymy jej kilka pięknych nagród pocieszenia. Ken, powiedz Jeanette, czym ją dziś obdarujemy". Prowadzący brzmiał jak Warner Wolf, Pan Prosimy o Materiał z Magnetowidu we własnej osobie. W sumie, kurczę, jak już mieli ją odesłać do domu, to nie mogli wybrać lepszego człowieka do zakomunikowania tej nowiny.

Niebo zasłoniła naczelnik Coates o włosach białych jak kreda. Było jej w nich całkiem do twarzy. Tyle że strasznie schudła, miała głębokie doły pod oczami, zapadnięte policzki. Podniosła zapalarkę.

– Sorley? – Coates uklękła na jedno kolano i wzięła ją za rękę. – Jeanette?

– O cholera – powiedziała policjantka. – Chyba popełniłam duży błąd. – Padła na kolana i przycisnęła dłonie do rany Jeanette; usiłowała zatamować krew, choć wiedziała, że to próżny trud. – Chciałam ją tylko drasnąć, ale z tej odległości… i tak bardzo się bałam o Drzewo… przykro mi.

Jeanette czuła smak krwi wypływającej z kącików ust. Zaczęła rozpaczliwie łapać powietrze.

– Mam syna… na imię ma Bobby… mam syna… – Jej ostatnie słowa były skierowane do Elaine; ostatnim, co zobaczyła, była twarz

tej kobiety, jej szeroko otwarte, przerażone oczy. – Proszę… mam syna…

ROZDZIAŁ 15

Później, kiedy rozejdą się kłęby dymu i gazu łzawiącego, powstaną dziesiątki najprzeróżniejszych opowieści o bitwie o Zakład Karny dla Kobiet w Dooling, wiele wykluczających się nawzajem, jedne bardziej, inne mniej zgodne z prawdą. Kiedy wybucha poważny konflikt – walka na śmierć i życie – obiektywna rzeczywistość szybko ginie wśród dymu i hałasu.

Tym bardziej że poległo wielu z tych, którzy mogliby przedstawić relacje z pierwszej ręki.

1

Kiedy Van Lampley – postrzelona w biodro, krwawiąca i zmęczona – powoli jechała quadem gruntową drogą, która być może nazywała się Allen Lane (trudno to stwierdzić na pewno; po tych wzgórzach wiło się tak wiele dróg gruntowych), usłyszała odległy wybuch od strony więzienia. Podniosła oczy znad wyposażonego w lokalizator telefonu komórkowego, który zarekwirowała Fritzowi Meshaumowi. Czerwona kropka na ekranie oznaczała telefon w jej dłoni. Kropka zielona – ustrojstwo z GPS-em na bazooce. Obie kropki były już bardzo blisko siebie i uznała, że jeśli pojedzie quadem choćby kawałek dalej, Grinerowie ją usłyszą.

Może ten huk oznaczał, że odpalili kolejny pocisk z bazooki, pomyślała. Mogło tak być, ale jako dziewczyna z zagłębia węglowego, która dorastała przy hałaśliwej muzyce dynamitu, sądziła, że to jednak coś innego. Wybuch w więzieniu był ostrzejszy, mocniejszy. To dynamit, na pewno. Najwyraźniej bracia Grinerowie

to niejedyne kanalie, które pętają się dziś po okolicy z materiałami wybuchowymi.

Zatrzymała quada, zsiadła i zachwiała się na nogach. Lewa nogawka jej spodni była przesiąknięta krwią od biodra do kolana; adrenalina, która do tej pory ją niosła, zaczynała się wyczerpywać. Bolało ją całe ciało, ale biodro, w które dostała od Meshauma, paliło żywym ogniem. Coś tam się zgruchotało, przy każdym kroku czuła, jak kości ocierają się o siebie, a teraz miała jeszcze zawroty głowy, spowodowane upływem krwi i wieloma dniami bez snu. Wszystko w niej krzyczało, żeby się poddała, porzuciła to szaleństwo i poszła spać.

Tak zrobię, pomyślała, chwytając strzelbę i zabytkowy pistolet, z którego postrzelił ją Meshaum, ale jeszcze nie teraz. Może nie jestem w stanie nic poradzić na to, co się dzieje w więzieniu, ale mogę dać tym dwu bydlakom popalić, zanim narobią więcej szkód. A potem spokojnie uderzę w kimono.

W bok, między młodymi, karłowatymi drzewami, odchodziły ukosem pod górę dwie zachwaszczone koleiny, które być może kiedyś były drogą. Dwadzieścia metrów dalej znalazła pikapa, którego ukradli Grinerowie. Zajrzała do środka, ale nie zobaczyła nic ciekawego. Ruszyła dalej, ciągnąc za sobą ranną nogę jak grabie. Nie potrzebowała już lokalizatora, bo wiedziała, gdzie jest, choć nie zaglądała tu od czasów liceum: zbliżała się do nieszczególnie popularnego miejsca schadzek. Kilkaset metrów stąd, może trochę więcej, zarośnięta droga kończyła się na pagórku, na którym stało kilka przechylonych nagrobków: rodzinny cmentarz familii, która dawno opuściła te strony – pewnie Allenów, jeśli to rzeczywiście Allen Lane. Dla napalonych małolatów było to miejsce trzeciego–czwartego wyboru, bo z pagórka roztaczał się widok na zakład karny w Dooling. Niezbyt to sprzyjało romantycznym uniesieniom.

Dam radę, powiedziała sobie. Jeszcze pięćdziesiąt metrów.

Kiedy pokonała ten dystans, powiedziała sobie, że następne pięćdziesiąt też przejdzie, i szła dalej, aż usłyszała głosy. Rozległ się donośny świst. A potem Mały Lowell Griner i jego brat Maynard wznieśli radosne okrzyki i zaczęli się klepać po plecach.

– Nie byłem pewien, czy ma wystarczający zasięg, braciszku, ale popatrz tylko! – ryknął jeden z nich.

Odpowiedzią był okrzyk bojowy.

Van odbezpieczyła pistolet Meshauma i ruszyła w stronę wiwatujących buraków.

2

Clint był święcie przekonany, że wyrażenie „serce w nim upadło” to tylko taka poetycka przenośnia, do chwili, gdy jego własne serce tak właśnie zrobiło. Nieświadom, że wyszedł z ukrycia za południowo-zachodnim rogiem budynku, patrzył z rozdziawionymi ustami na beton sypiący się deszczem ze Skrzydła C. Ile kobiet śpiących w tym pawilonie zginęło w wybuchu, spalonych żywcem albo rozerwanych na strzępy w swoich kokonach? Ledwo usłyszał świst koło lewego ucha; nie poczuł szarpnięcia, kiedy następna kula, wypuszczona przez Micka Napolitano zza drugiego buldożera, rozerwała mu kieszeń spodni. Monety wypadły po jego nodze na ziemię.

Willy Burke złapał go za ramiona i pociągnął w tył tak mocno, że Clint omal się nie przewrócił.

– Pan oszalał, doktorze? Życie panu zbrzydło?

– Kobiety – powiedział Clint. – Tam były kobiety. – Otarł oczy, piekące od gryzącego gazu i wzbierające łzami. – Sukinsyn Geary posłał na pagórek z cmentarzykiem kogoś z wyrzutnią rakiet czy cholera wie czym!

– Teraz i tak nic na to nie poradzimy. – Willy zgiął się i oparł ręce na kolanach. – Ważne, że jednego bydlaka pan rozwalił, to już jakiś początek. Musimy wrócić do środka. Chodźmy do tylnych drzwi, zabierzemy Billy’ego ze sobą.

Miał rację. Przed budynkiem wytworzyła się strefa wolnego ognia.

– Willy, dobrze się czujesz?

Burke wyprostował się i posłał mu wymuszony uśmiech. Jego twarz była blada, na czole perlił się pot.

– Cóż, chorobcia. Chyba serducho nawala. Po ostatnim badaniu lekarz kazał mi odstawić fajkę. Powinienem był go posłuchać.

O nie, pomyślał Clint. O, kurwa, nie.

Willy wyczytał tę myśl z jego twarzy – oczy miał sprawne – i klepnął go w ramię.

– Jeszcze dycham, doktorze. Chodźmy.

3

Ze swojego stanowiska na zewnątrz sali widzeń, teraz zapewne rozbebeszonej przez dynamit (wraz z tym, kto był w środku), Frank zobaczył, jak Jack Albertson upada z rozerwaną maską przeciwgazową. Jego twarz była cała we krwi. Rodzona matka by go nie poznała, pomyślał.

Podniósł do ust walkie-talkie.

– Meldować się! Wszyscy się meldować!

Zgłosiło się tylko ośmiu, głównie ci schowani za buldożerami. Oczywiście nie wszyscy mieli krótkofalówki, ale powinien dostać jeszcze co najmniej kilka odpowiedzi. Najbardziej optymistyczny wariant był taki, że stracił czterech ludzi, w tym Jacka, niewątpliwie martwego jak kłoda. W głębi ducha domyślał się, że oberwało pięciu lub sześciu, a rannych trzeba będzie zabrać do szpitala. Może ten młody, Blass, którego zostawili na blokadzie z Millerem, zawiezie ich do Świętej Teresy jednym z autobusów, choć Bóg raczy wiedzieć, czy u Tereski ktoś jeszcze dyżuruje. Jak do tego doszło? Mieli buldożery, na litość boską. Z buldożerami miało pójść szybko i łatwo!

Johnny Lee Kronsky chwycił go za ramię.

– Musimy dostać się do środka, koleżko. Wykończyć ich. Tym. – Jego plecak wciąż był rozpięty. Odsunął na bok ręcznik, w który wcześniej zawinął dynamit, i pokazał Frankowi C4 braci Grinerów. Przed zapakowaniem uformował je w kształt zabawkowej piłki do futbolu amerykańskiego. W materiale wybuchowym tkwił android. – To mój telefon. Poświęcę go dla sprawy. I tak był do dupy.

– Którędy wejdziemy? – spytał Frank. Opary gazu łzawiącego rozwiewały się, a jednak miał wrażenie, że wypełniają mu głowę, zaćmiewają myśli. Światło dnia było coraz mocniejsze, czerwone słońce pięło się po niebie.

– Najprostszą drogą. – Kronsky wskazał na zgnieciony kamper. Przechylony wóz opierał się o budynek, ale szczelina między nim a ścianą była dość szeroka, żeby przecisnąć się do głównych drzwi, roztrzaskanych i zerwanych z zawiasów. – Struthers i ci za buldożerami będą nas osłaniać. Wpadniemy do środka i nie zatrzymamy się, dopóki nie dorwiemy suki, która za to wszystko odpowiada. – Frank sam już nie był pewien, kto za to wszystko odpowiada i kto tu dowodzi, ale kiwnął głową. Nic innego nie mógł zrobić. – Muszę ustawić zegar. – Kronsky włączył telefon osadzony w C4. Z gniazdka słuchawkowego wychodził kabel. Jego drugi koniec był podłączony do zestawu baterii wbitych w materiał wybuchowy. Frankowi przypomniało się, jak Elaine, szykując niedzielną kolację, wyciągała z kuchenki pieczeń i wsadzała w nią termometr do mięsa. Kronsky trzepnął go w ramię, i to niezbyt delikatnie. – Na ile ustawić? Tylko dobrze się zastanów, bo jak zostanie mniej niż dziesięć sekund, rzucę to, gdziekolwiek będziemy.

– Może… – Frank potrząsnął głową, usiłując zebrać myśli. Nigdy nie był w tym więzieniu i spodziewał się, że Don Peters przedstawi im rozkład pomieszczeń. Nie wiedział wtedy, że na Petersa nie można liczyć. Teraz, za późno, zrozumiał, że to było oczywiste niedopatrzenie. Ile innych szczegółów przeoczył? – Cztery minuty?

– To pytanie czy polecenie? – Kronsky mówił tonem zrzędliwego nauczyciela zwracającego się do tępego ucznia.

Wciąż padały pojedyncze strzały, poza tym jednak wyglądało na to, że nastąpiła przerwa w walce. Jego ludzie lada chwila mogli postanowić się wycofać. Nie wolno było do tego dopuścić.

Nana, pomyślał Frank.

– Cztery minuty – powiedział. – Jestem pewien.

Za cztery minuty albo będę martwy, albo będzie prawie po wszystkim.

Oczywiście, niewykluczone, że ta kobieta zginie podczas ostatniego natarcia, ale musiał zaryzykować. To nasunęło mu myśl o jego

bezpańskich podopiecznych w klatkach, zdanych na łaskę i niełaskę niezrozumiałych dla nich sił.

Kronsky otworzył aplikację, stuknął palcem w ekran i pojawiło się 4:00. Stuknął jeszcze raz, rozpoczynając odliczanie. Frank patrzył zafascynowany, jak 3:59 przechodzi w 3:58, a potem 3:57.

– Gotowy, Geary? – spytał Kronsky. Złoty ząb błysnął w jego szaleńczym uśmiechu.

(„Co robisz?", zawołał ten sukinsyn agitator do Kronsky'ego tamtego dnia w kopalni Graystone #7 należącej do Ulysses Energy. „Nie ociągaj się". Byli w sztolni, sukinsyn agitator co najmniej dwadzieścia metrów przed nim. W głębokich podziemnych ciemnościach Kronsky nie widział twarzy tego durnia ani tym bardziej koszulki z Woodym Guthriem, widział tylko światło jego lampki czołowej. „Związek zawodowy to siła", mawiał sukinsyn agitator. Dolar to większa siła, a człowiek z Ulysses Energy dał Johnny'emu Lee Kronsky'emu garść nowiutkich banknotów, żeby rozwiązał problem zarządu. „Jebać ciebie, twój związek i pchły twoje", powiedział Kronsky do sukinsyna agitatora, zanim rzucił dynamit i uciekł, ile sił w nogach).

– Myślę, że powinniśmy… – zaczął Frank i w tej właśnie chwili Lowell Griner pierwszy raz strzelił z bazooki. Coś świsnęło niemal bezpośrednio nad ich głowami. Kątem oka Frank dostrzegł lecący obiekt. Pocisk.

– Na ziemię! – wrzasnął Kronsky. Nie czekał, aż Frank wykona polecenie; złapał go za szyję i pociągnął w dół.

Pocisk z bazooki trafił w Skrzydło C i eksplodował. W świecie po drugiej stronie Drzewa zniknęło czternaście byłych więźniarek zakładu karnego w Dooling. Jeden błysk i w miejscach, w których stały, wzbiły się w powietrze chmury ciem.

4

Chociaż Drew T. Barry miał walkie-talkie, był jednym z tych, którzy nie zameldowali się na wezwanie Franka. Nawet go nie usłyszał, bo

wyłączył krótkofalówkę. Wszedł najwyżej, jak mógł, pozostając w ukryciu, i zdjął z pleców weatherby'ego. Kąt nie był tak dobry, jak na to liczył. Przez celownik widział szopę z blachy falistej. Tylne drzwi więzienia były otwarte – wylewał się z nich prostokąt światła – ale za szopą czaił się facet, który pilnował wejścia. Barry dostrzegł łokieć… ramię… część głowy, która jednak szybko się cofnęła, rzuciwszy tylko okiem w miejsce, gdzie czaili się Elmore Pearl i Don Peters. Drew T. Barry musiał gościa zdjąć i palec go świerzbił, żeby pociągnąć za spust – tak, dosłownie swędział – rozum jednak podpowiadał mu, że lepiej nie strzelić w ogóle, niż chybić. Musiał zaczekać. Gdyby Pearl albo Peters rzucili jeszcze jednym kamieniem, facet może wychyliłby całą głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje, ale Drew nie liczył, że tak się stanie. Pearl był zbyt ostrożny, a ten tłuścioch Peters – ciemny jak tabaka w rogu.

Rusz się, frajerze, pomyślał Drew T. Barry. Wystarczyłyby dwa kroki. Może nawet jeden.

Ale choć Billy Wettermore się skulił i przykucnął na huk dynamitu, trwał na swojej pozycji. Dopiero wybuch pocisku z bazooki poderwał go na nogi. Wyszedł zza szopy, spojrzał w stronę źródła dźwięku i to dało Drew szansę, na którą czekał.

Dym kłębił się nad więzieniem. Ludzie krzyczeli. Karabiny strzelały – pewnie gdzie popadnie. Drew T. Barry nie zwykł marnować kul. Wstrzymał oddech i nacisnął cyngiel. Rezultat był całkowicie zadowalający. W celowniku zobaczył, jak obrońca więzienia pada na twarz w rozerwanej, rozwianej wiatrem koszuli.

– Dopadłem go, na Boga – powiedział Drew T. Barry, patrząc na szczątki Billy'ego Wettermore'a z podszytą smutkiem satysfakcją. – Dobry strzał, nie chwaląc…

Spośród drzew na dole dobiegł kolejny strzał, a po nim charakterystyczny głos zastępcy szeryfa Elmore'a Pearla:

– Coś ty zrobił, idioto cholerny? COŚ TY ZROBIŁ?

Drew T. Barry pobiegł do towarzyszy, nisko pochylony, ciekawy, co znów się stało.

5

Clint i Willy widzieli, jak Billy’ego Wettermore'a wyrzuciło w powietrze. Upadł bezwładnie jak szmaciana lalka. But zleciał mu z nogi, pokoziołkował w górę i uderzył w krawędź dachu szopy. Clint ruszył do Billy’ego. Zatrzymała go zaskakująco silna dłoń Willy’ego Burke’a.

– Nie, nie – powiedział Willy. – W tył zwrot, doktorze. Tam już nie ma przejścia.

Clint próbował zebrać myśli.

– Możemy się dostać do mojego gabinetu przez okno. Szyba jest zbrojona, ale nieokratowana.

– Zajmę się oknem – powiedział Willy. – Chodźmy. – Zamiast jednak ruszyć, zgiął się wpół i znów oparł dłonie na kolanach.

6

Don Peters ledwo słyszał, jak Elmore Pearl na niego krzyczy. Otępiały z szoku, na kolanach, patrzył na swojego partnera z Zombi Patrolu, leżącego na ziemi z rozrzuconymi rękami i krwawą dziurą pod gardłem. Eric Blass podniósł na niego wzrok, krztusząc się krwią.

– Partnerze! – krzyknął Don. Kask futbolowy opadł mu na oczy; podsunął go z powrotem wierzchem dłoni. – Partnerze, nie chciałem!

Pearl poderwał go na nogi.

– Dupku zasrany, nie nauczyli cię patrzeć, na co strzelasz, zanim naciśniesz spust?

Eric zabulgotał głośno i wykrztusił mgiełkę krwi, drapiąc ręką rozerwaną szyję.

Don chciał się wytłumaczyć. Najpierw huk dynamitu, potem drugi wybuch, potem szelest w krzakach za jego plecami. Był pewien, że to ludzie tego jebanego psychiatry. Skąd miał wiedzieć, że to Blass? Strzelił bez namysłu, nawet nie wycelował. Jaka zła opatrzność

sprawiła, że pocisk trafił Blassa w chwili, kiedy przyszedł się do nich przyłączyć?

– Ja… ja…

Dołączył do nich Drew T. Barry, z weatherbym przewieszonym przez ramię.

– Co u licha…

– Ten Dziki Bill Hickok od siedmiu boleści rąbnął jednego z naszych – powiedział Pearl. Zdzielił Dona w brzuch, powalając go na ziemię obok Erica. – Młody przyszedł pomóc, domyślam się.

– Myślałem, że czeka przy autobusach! – wysapał Don. – Frank kazał mu tam zostać, w razie gdyby byli ranni, sam słyszałem! – Akurat to było prawdą.

Drew T. Barry podniósł Dona na nogi. Kiedy Pearl zacisnął pięść, żeby znów uderzyć zapłakanego, bladego mężczyznę, Barry go przytrzymał.

– Potem się z nim porachujesz. Będziesz chciał, to zlejesz go jak ryżego pasierba, mnie to wisi. Na razie może się przydać; zna teren, my nie.

– Rąbnąłeś go? – spytał Pearl. – Tego obok szopy?

– Tak – odparł Drew T. Barry. – I jeśli sprawa kiedyś trafi do sądu, pamiętaj, że dałeś mi zielone światło. A teraz zakończmy to.

Zobaczyli jasny błysk na pagórku nad więzieniem i smugę białego dymu. Drugą stroną budynku wstrząsnął kolejny wybuch.

– Kto, do cholery, wali rakietami z tamtego wzgórza? – spytał Pearl.

– Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi – powiedział Barry. – Jesteśmy na tyłach więzienia, więc dzieli nas od tego kogoś jakieś tysiąc ton betonu. – Wskazał w dół, na drugą stronę bieżni. – Peters, co jest za tymi drzwiami?

– Sala gimnastyczna. – Don pragnął zadośćuczynić za swój błąd, choć teraz uważał, że był zrozumiały i mógł się przytrafić każdemu. Próbowałem chronić nie tylko siebie, ale i Pearla, pomyślał. Elmore zda sobie z tego sprawę, kiedy ten obłęd się skończy. Pewnie nawet mi podziękuje i postawi drinka w Squeaku. Poza tym, kurczę, przecież to tylko Blass, szurnięty młodociany bandzior, jakich mało; podpalił tę biedną bezdomną staruchę, zanim Don mógł go powstrzymać. – Pizdy grają tam w kosza i siatkę – dodał. – Po

drugiej stronie zaczyna się główny korytarz, nazywamy go Broadway. Ta kobieta siedzi w Skrzydle A, po lewej. Niedaleko.

– Chodźmy – zarządził Pearl. – Ty prowadź, strzelcu wyborowy. Ja wezmę nożyce do drutu i przetnę ogrodzenie.

Don nie chciał iść na czele.

– Może powinienem zostać tu z Erikiem? W końcu był moim partnerem.

– Nie trzeba – powiedział Drew T. Barry. – On już wyzionął ducha.

7

Rok przed aurorą, kiedy Michaela jeszcze kręciła dla News America wypełniacze czasu antenowego – na przykład o psach, które potrafią liczyć, czy o przypadkowym spotkaniu bliźniaków po pięćdziesięciu latach rozłąki – zrobiła krótki materiał dowodzący, że ludzie z dużymi księgozbiorami płacą za ogrzewanie mniej niż ci, którzy nie czytają w ogóle, bo książki dobrze zastępują izolację cieplną. Mając to na uwadze, gdy tylko padły pierwsze strzały, pomknęła z pochyloną głową do więziennej biblioteki. Tam zastała regały pełne sfatygowanych książek w miękkiej oprawie – raczej nie o taką izolację jej chodziło. Kiedy w sąsiednim pomieszczeniu eksplodował dynamit, ściana się wygięła i Michaelę obsypały powieści Nory Roberts i Jamesa Pattersona.

Wybiegła z powrotem na Broadway, tym razem już nie schylając głowy, i przerażona zajrzała do sali widzeń; szczątki Randa Quigleya leżały w kałuży na podłodze i ściekały z sufitu.

Była zupełnie zdezorientowana i bliska paniki. Kiedy pocisk z bazooki uderzył w Skrzydło C, posyłając ku niej kłąb kurzu (widok, który przypomniał Michaeli sceny oglądane w telewizji po zawaleniu się World Trade Center), zrobiła zwrot w tył. Nie uszła trzech kroków, kiedy silne ramię objęło ją za szyję i poczuła na skroni dotyk zimnego stalowego ostrza.

– Siemano, kochaniutka – powiedziała Angel Fitzroy. Kiedy Michaela nie zareagowała na powitanie, Angel mocniej docisnęła

dłuto, które pożyczyła ze stolarni. – Co tam się, kurna, dzieje?

– Armagedon… – wyrzęziła Michaela głosem, który w niczym nie przypominał jej radosnego telewizyjnego szczebiotu. – Proszę, nie duś mnie… – Angel puściła ją i obróciła ku sobie. Dym płynący korytarzem niósł ze sobą ostry, gorzki zapach gazu łzawiącego, od którego obie dostały ataku kaszlu. Widziały się jednak względnie wyraźnie. Kobieta z dłutem miała ładną, wąską twarz, choć jej uroda wydawała się groźna, drapieżna. – Wyglądasz inaczej – zauważyła Michaela. Pewnie trudno o głupszą uwagę w chwili, kiedy trwa szturm na więzienie, a przed tobą stoi więźniarka uzbrojona w dłuto, ale nic innego nie przyszło jej do głowy. – Jakbyś była przytomna. Zupełnie przytomna.

– Ona mnie przebudziła – oznajmiła Angel z dumą. – Evie. Tak samo jak ciebie. Bo dała mi misję.

– Jaką misję?

Angel pokazała palcem dwie kobiety, które ociężale nadchodziły korytarzem, wyraźnie nieprzejęte dymem i hukiem wystrzałów. Z Maury Dunbarton i Kayleigh Rawlings zwisały strzępy kokonów. Jak podarte, przegniłe całuny z jakiegoś horroru, pomyślała Michaela. Kobiety przeszły obok, nie patrząc na nią ani na Angel.

– Jak to możliwe, że… – zaczęła Michaela, ale zanim zdążyła dokończyć, drugi pocisk z bazooki rozerwał się przed budynkiem. Podłoga zadrżała i napłynął następny kłąb dymu, czarnego i cuchnącego paliwem dieslowskim.

– Nie wiem, jak w ogóle mogą cokolwiek robić, i nic mnie to nie obchodzi – powiedziała Angel. – One mają swoje zadanie, ja swoje. Albo pomożesz, albo wbiję ci to dłuto w gardziel. Co wybierasz?

– Pomogę – odparła Michaela. (Mniejsza o etykę dziennikarską; trudno byłoby jej potem zrelacjonować te wydarzenia, gdyby była martwa). Ruszyła za więźniarką, która przynajmniej zdawała się wiedzieć, dokąd iść. – Jakie to zadanie?

– Chronić wiedźmę – oświadczyła Angel. – Choćbym miała zginąć.

W tym momencie z kuchni sąsiadującej z pralnią więzienną wyszedł Jared Norcross. Angel uniosła dłuto, ale Michaela złapała ją za nadgarstek.

– Nie! On jest z nami!

Angel posłała Jaredowi swoje najlepsze Spojrzenie Śmierci.

– Na pewno? Jesteś z nami? Pomożesz chronić wiedźmę?

– Cóż, miałem wyskoczyć do klubu i walnąć ekstazkę, ale zawsze mogę zmienić plany – odparł Jared.

– Obiecałam Clintowi, że będę cię chroniła – powiedziała Michaela z wyrzutem.

Angel wciąż wywijała dłutem, obnażając zęby.

– Dzisiaj nie chronimy nikogo oprócz wiedźmy. Nie chronimy nikogo oprócz Evie!

– Niech będzie – rzucił chłopak. – Jeśli to pomoże mojemu tacie i sprawi, że mama i Mary wrócą, jestem z wami.

– Mary to twoja dziewczyna? – Angel opuściła dłuto.

– Nie wiem. Nie całkiem.

– Nie całkiem. – Angel jakby ważyła w myślach jego słowa. – Dobrze ją traktujesz? Nie popychasz, nie bijesz, nie krzyczysz?

– Chodźmy, zanim się udusimy – wtrąciła Michaela.

– Tak, traktuję ją dobrze – odparł Jared.

– I oby tak, kurde, dalej – rzuciła Angel. – No dobra, dupy w troki. Evie jest w wyścielanej celi w pawilonie A. Cela wyścielana, ale kraty twarde. Musicie stanąć przed nią, tak żeby każdy, kto chce się do niej dostać, musiał najpierw uporać się z wami.

Michaela pomyślała, że to fatalny plan, co mogło tłumaczyć, dlaczego Angel powiedziała „musicie”, a nie „musimy”.

– A ty gdzie będziesz?

– Na desancie – odparła Angel. – Może uda mi się kilku skasować, zanim tu dotrą. – Pomachała dłutem. – Niebawem do was dołączę, bez obaw.

– Przydałoby się parę pistoletów, jeśli naprawdę… – Słowa Jareda zagłuszył najgłośniejszy do tej pory wybuch. Tym razem obsypały ich kawałki ściany i sufitu.

Kiedy on i Michaela się wyprostowali, Angel już nie było.

– Co to, kurwa? – spytał Frank chwilę po tym, kiedy pierwszy pocisk z bazooki trafił w Skrzydło C. Podniósł się, wytrzepując z włosów kurz, ziemię i kilka bryłek cementu. Właściwie nie dzwoniło mu w uszach; słyszał taki sam przenikliwy, metaliczny pisk, jaki czasem miał w głowie po przedawkowaniu aspiryny.

– Ktoś wali z tamtego pagórka – powiedział Kronsky. – Pewnie ci sami, co zniszczyli biuro szeryfa. Chodźmy, tymczasowy szeryfie. Szkoda czasu. – Raz jeszcze obnażył zęby w połyskującym złotem uśmiechu, tak wesołym, że aż surrealistycznym. Wskazał na wyświetlacz telefonu tkwiącego w plastikowym materiale wybuchowym. 3:07 przeszło w 3:06, a potem w 3:05…

– Dobra – powiedział Frank.

– Pamiętaj, żadnego wahania. Kto się zawaha, będzie wydymany.

Ruszyli do zniszczonych drzwi wejściowych. Frank kątem oka widział ludzi, którzy przyszli pod osłoną buldożerów, widział, jak patrzą na niego i Kronsky'ego. Żaden nie kwapił się do wzięcia udziału w tym natarciu i Frank wcale im się nie dziwił. Niektórzy pewnie żałowali, że nie odeszli razem z Terrym Coombsem.

9

Kiedy bitwa o zakład karny w Dooling zbliżała się do punktu kulminacyjnego, Terry siedział w samochodzie w swoim garażu. Garaż był mały i zamknięty, okna radiowozu numer jeden pootwierane, potężny silnik V8 pracował. Terry wdychał spaliny pełną piersią. Początkowo smakowały podle, ale szybko się przyzwyczaił.

Jeszcze nie za późno, żeby się rozmyślić, powiedziała Rita, biorąc go za rękę. Siedziała obok, na miejscu pasażera. Jeszcze możesz przejąć kontrolę nad tym, co się tam dzieje. Przywrócić trochę rozsądku.

– Za późno na to, kochanie – powiedział Terry. Wnętrze garażu było sine od trujących oparów. Terry wziął kolejny głęboki wdech,

stłumił kaszel i znów nabrał powietrza. – Nie wiem, jak to się skończy, ale na pewno niedobrze. Tak będzie lepiej.

Rita ścisnęła jego dłoń ze współczuciem.

– Ciągle myślę o tych wszystkich wypadkach, po których musiałem sprzątać szosę. I o głowie faceta wbitej w ścianę przyczepy tego producenta mety.

Z oddali, od strony więzienia, dobiegł ledwo słyszalny grzmot wybuchów.

Terry powtórzył:

– Tak będzie lepiej.

A później zamknął oczy. Chociaż wiedział, że jest w jedynce sam, czuł, jak żona ściska jego rękę, kiedy odpływał od Dooling i całej reszty.

10

Frank i Johnny Lee Kronsky przeciskali się między wrakiem kampera Barry'ego Holdena a ścianą więzienia. Byli już prawie przy rozbitych głównych drzwiach, kiedy usłyszeli drugi pocisk z bazooki.

– Kryj się! – krzyknął Kronsky.

Frank obejrzał się przez ramię i zobaczył coś niesamowitego: pocisk uderzył tylnym statecznikiem w parking, zamiast wybuchnąć, odbił się wysoko w górę, a potem runął dziobem na buldożer, którym kierował świętej pamięci Jack Albertson. Huk detonacji był ogłuszający. Fotel kierowcy wyleciał przez cienki dach kabiny. Rozerwane gąsienice wzniosły się w powietrze jak stalowe klawisze fortepianu. Jedna z żelaznych osłon drzwi kabiny, wyrzucona wybuchem, przebiła stojący z przodu kamper jak obuch młota olbrzyma.

Frank potknął się o wygiętą podstawę drzwi wejściowych i to uratowało mu życie. Johnny Lee Kronsky stał wyprostowany; lecący trójkątny kawałek okładziny fleetwooda obciął mu głowę razem z ramionami. Przeszedł mimo to jeszcze dwa–trzy kroki; jego serce biło nadal, dość długo, by wypuścić w powietrze dwa jaskrawe

strumienie krwi. Wreszcie runął. Piłka z C4 wypadła mu z dłoni i potoczyła się w stronę dyżurki. Zatrzymała się z osadzonym w niej telefonem na wierzchu i Frank zobaczył, jak 1:49 przechodzi w 1:48, a potem w 1:47.

Podczołgał się do niej, mrugając, żeby usunąć z oczu betonowy pył, i przeturlał się w bok, za połamane biurko. W tej samej chwili za kuloodporną szybą dyżurki wyrósł Tig Murphy i strzelił przez szczelinę, w której odwiedzający zostawiali dokumenty i telefony. Pod tym kątem jednak nie mógł trafić; pocisk poszedł górą. Frankowi nic nie groziło, dopóki się nie podniesie, ale gdyby spróbował ruszyć naprzód, do drzwi właściwego więzienia, facet miałby go jak na dłoni. To samo, gdyby chciał się wycofać.

Hol wypełniał się dymem z dieslowskiego silnika płonącego buldożera. Jego swąd mieszał się z ostrym, mdlącym fetorem rozlanej krwi Kronsky'ego – całych hektolitrów krwi na pierwszy rzut oka. Pod sobą Frank miał jedną z nóg biurka, najeżony drzazgami koniec wbijał mu się między łopatki. C4 leżało tuż poza zasięgiem jego ręki. 1:29 przeszło w 1:28, a potem w 1:27.

– Więzienie jest otoczone! – krzyknął Frank. – Poddaj się, a nic ci się nie stanie!

– Spierdalaj! To nasze więzienie! Wtargnęliście na cudzy teren i nie macie prawa tu przebywać! – Tig strzelił jeszcze raz.

– Mam tu materiał wybuchowy! C4! Rozerwie cię na strzępy!

– Jasne, a ja jestem Superman!

– Wyjrzyj na zewnątrz! Spójrz w dół! Sam zobaczysz!

– Żebyś strzelił mi w bebechy przez szczelinę? Niedoczekanie!

Frank w desperacji spojrzał w stronę drzwi, którymi wszedł, częściowo zablokowanych szczątkami kampera.

– Hej, wy tam, na zewnątrz! – krzyknął. – Niech ktoś mnie osłania!

Nikt go nie wsparł. Posiłki nie nadeszły. Dwaj jego ludzie – Steve Pickering i Will Wittstock – wycofywali się, niosąc między sobą rannego Rupe'a Wittstocka.

Na zaśmieconej podłodze holu, prawie u samej podstawy dyżurki zajętej przez Tiga Murphy'ego, telefon komórkowy dalej odliczał do zera.

11

Don Peters poczuł się trochę lepiej, kiedy zobaczył bezsprzecznie martwego Billy'ego Wettermore'a. Raz był z nim na kręglach. Mały picuś zdobył 252 punkty i wygrał od Dona dwie dychy. Było raczej oczywiste, że miał w jakiś sposób spreparowaną kulę, ale Don przymknął na to oko, tak jak przymykał oko na jakże wiele innych spraw, bo przecież taki wyrozumiały z niego gość. Cóż, czasem los się do ciebie uśmiecha, taka jest prawda. Jednego pedryla mniej na świecie. Hip, hip, hura.

Pospieszył w stronę sali gimnastycznej. Może to ja ją dopadnę, pomyślał. Strzelę Evie Black prosto w jej rozkwakaną gębę i zakończę to na dobre. Zapomną o wtopie z młodym, a ja do końca życia nie będę musiał płacić za drinki w Squeaku.

Ruszył do drzwi, wyobrażając sobie, jak trzyma Evie Black na muszce, ale Elmore Pearl go odepchnął.

– Zostań tu, strzelcu wyborowy.

– Hej! – kwęknął Don. – Nie wiesz, gdzie iść!

Wyrwał się naprzód, ale złapał go Drew T. Barry. Sam nie miał zamiaru wchodzić pierwszy w sytuacji, kiedy nie wiedział, co czeka w środku. Ten, którego zastrzelił, zapewne był całą tylną strażą obrońców, ale w razie gdyby czaił się tam ktoś jeszcze, Pearl będzie miał z nim większe szanse niż Peters, który tego ranka zabił tylko jednego ze swoich.

Pearl wszedł do sali gimnastycznej i obejrzał się na Dona z szerokim uśmiechem.

– Spokojnie, prawdziwy mężczyzna ma pierw…

Tyle zdołał powiedzieć, zanim chwyciły go zimne dłonie Maury Dunbarton – jedna za szyję, druga za potylicę. Elmore Pearl spojrzał prosto w nieludzkie oczy i zaczął wrzeszczeć. Długo się nie nawrzeszczał; obudzona do życia istota, która kiedyś była Maurą, włożyła mu rękę do ust, nie bacząc na jego kąsające zęby, i mocno szarpnęła w dół. Trzask rozstających się ze sobą szczęk przypominał odgłos, z jakim odrywa się udka od reszty indyka upieczonego na Święto Dziękczynienia.

12

– Kurczę, ale mamy fuksa! – zachwycał się Maynard Griner. – Gdybyśmy byli kawałek dalej, pociski doleciałyby tylko na parking. Widziałeś, Low, jak ten ostatni podskoczył?

– Pewnie, że widziałem – przytaknął Low. – Odbił się jak kamyk puszczony kaczką i rozwalił buldożer. Nieźle, ale ja zrobię to jeszcze lepiej. Przeładuj.

W dole dym buchał z dziury w zachodniej ścianie więzienia. Cudny widok, jak po odpaleniu dynamitu w kopalni, tyle że dużo lepszy, bo nie rozwalali skał – rozwalali cholerne więzienie stanowe. Byłoby warto, nawet gdyby nie musieli zamknąć kapusiowatej gęby Kitty McDavid.

May włożył rękę do worka z amunicją, kiedy usłyszał trzask łamanej gałęzi. Obrócił się na pięcie, sięgając po spluwę, którą nosił za pasem na krzyżu.

Van strzeliła z tego samego pistoletu, którym próbował ją zabić Fritz Meshaum. Stała dość blisko Maynarda, ale była zmęczona i kula, zamiast przeszyć mu pierś, tylko drasnęła jego ramię, odrzucając go na częściowo opróżniony worek z pociskami do bazooki. Nie zdążył pociągnąć za spust; jego pistolet upadł w krzaki i zawisł na osłonie cyngla.

– Braciszku! – krzyknął Maynard. – Dostałem! Postrzeliła mnie!

Low upuścił bazookę i porwał leżący obok karabin. Teraz, kiedy jeden z nich był unieszkodliwiony, Van mogła sobie pozwolić na większe skupienie. Ustawiła rękojeść pistoletu pośrodku swego pokaźnego biustu i nacisnęła cyngiel. Usta Małego Lowa eksplodowały, mózg wyleciał przez potylicę, zęby wpadły do gardła, wciągnięte ostatnim tchnieniem.

– Nie! – wrzasnął Maynard. – Braciszku!

Pochwycił pistolet wiszący na krzaku, ale zanim mógł wycelować, jego nadgarstek ścisnęło coś, co bardziej przypominało żelazną obręcz kajdan niż ludzką dłoń.

– Powinieneś wiedzieć, że nie grozi się bronią mistrzyni siłowania na rękę, nawet takiej, która tydzień nie spała – powiedziała Van

dziwnie łagodnym głosem. A potem wykręciła mu nadgarstek, aż coś trzasnęło, jakby pękające gałązki.

Pisnął przeraźliwie. Pistolet wypadł mu z dłoni i Van natychmiast odkopnęła go na bok.

– Zastrzeliłaś go! – wychlipał Maynard. – Zabiłaś mojego braciszka!

– W rzeczy samej. – Van dzwoniło w głowie; biodro pulsowało bólem; czuła się tak, jakby stała na pokładzie łodzi miotanej falami. Była u kresu swej nadzwyczajnej wytrzymałości, wiedziała o tym. Dobrze choć, że zdążyła zrobić coś odrobinę bardziej pożytecznego od samobójstwa. Tylko co dalej?

Wyglądało na to, że Mayowi chodziło po głowie to samo pytanie.

– Co ze mną zrobisz?

Związać go nie związę, pomyślała Van. Nie mam czym. W takim razie co? Zasnę i dam mu uciec? Żeby mógł wpakować we mnie kilka kulek, kiedy będę przędła kokon?

Spojrzała w dół, na więzienie, którego główne wejście blokowały zgnieciony kamper i płonący buldożer. Chwilę kontemplowała dziurę, którą pierwszy pocisk z bazooki zrobił w Skrzydle C, gdzie spały dziesiątki kobiet, bezbronnych w swoich kokonach. Ile zginęło z ręki tych dwóch zwyrodnialców?

– Ty to który? Lowell czy Maynard?

– Maynard, psze pani. – Próbował się uśmiechnąć.

– Jesteś ten głupi czy ten mądry, Maynard?

Uśmiechnął się szerzej.

– Ten głupi, bez dwóch zdań. W siódmej klasie wyleciałem ze szkoły. Robię, co Lowell każe.

Van odwzajemniła uśmiech.

– Cóż, myślę, że puszczę cię wolno, Maynard. Powiedzmy, że jesteśmy kwita. Kawałek stąd czeka wasz pikap. Zajrzałam do środka, kluczyki są w stacyjce. W południe możesz być już prawie w Pedro's South of the Border, jeśli nie będziesz oszczędzał koni. Rusz się, zanim zmienię zdanie.

– Dziękuję szanownej pani.

May potruchtał między nagrobkami na małym wiejskim cmentarzu. Van przez chwilę zastanawiała się, czy nie dotrzymać danego słowa, ale wtedy mógłby wrócić i znaleźć ją śpiącą u boku jego martwego

brata. Nie ośmieliła się dać mu uciec daleko, bo bała się, że w tym stanie nie trafi.

Przynajmniej niczego nie poczuje, pomyślała.

Podniosła pistolet Meshauma i – nie bez żalu – strzeliła Mayowi w plecy.

„Uch”, taki był jego ostatni odgłos wydany na Matce Ziemi, kiedy padał jak długi w stos suchych liści.

Van usiadła, oparła się o przechylony nagrobek – tak stary, że wyryte na nim nazwisko zupełnie się zatarło – i zamknęła oczy. Źle się czuła z tym, że strzeliła człowiekowi w plecy, ale fala senności szybko stłumiła wyrzuty sumienia.

Och, ależ przyjemnie było się poddać.

Nitki zaczęły się wysnuwać z jej skóry. Falowały uroczo na porannym wietrze. Zapowiadał się kolejny piękny dzień w górach.

13

Szyba podobno była kuloodporna, ale dwa oddane z bliska strzały z M4 Willy’ego wyrwały okno gabinetu Clinta z futryny. Clint podciągnął się, wsunął do środka i wylądował na swoim biurku (miał wrażenie, że całe wieki upłynęły od czasu, kiedy siedział za nim, pisząc raporty i oceny). Usłyszał krzyki i wrzaski od strony sali gimnastycznej, ale w tej chwili i tak nie mógł nic z tym zrobić.

Odwrócił się, żeby pomóc Willy’emu, i zobaczył, że staruszek stoi oparty o budynek. Miał zwieszoną głowę, jego oddech był przyspieszony i chrapliwy.

– Oby miał pan dość krzepy, żeby mnie dźwignąć, bo ja raczej nie pomogę. – Podniósł ręce.

– Najpierw daj broń.

Willy podał mu M4. Clint położył karabin na biurku razem ze swoim pistoletem, na stercie formularzy pochwał za dobre zachowanie. Potem złapał Willy’ego za ręce i pociągnął. Staruszek jednak zdołał mu pomóc – wytrwale pedałował butami roboczymi o ścianę

budynku pod oknem, aż praktycznie wleciał do środka. Clint przewrócił się na plecy. Willy wylądował na nim.

– To się, kurczę, nazywa nadmierna poufałość – rzucił Willy. Miał napięty głos, wyglądał fatalnie jak nigdy, ale uśmiechał się szeroko.

– W takim razie mów mi Clint. – Norcross podniósł Willy'ego na nogi, podał mu M4 i chwycił swój pistolet. – Ruszmy tyłki i chodźmy do celi Evie.

– A co zrobimy, kiedy już tam dotrzemy?

– Nie mam pojęcia.

14

Drew T. Barry nie wierzył własnym oczom: dwie kobiety, które wyglądały jak trupy, i Elmore Pearl z ustami rozwartymi w ziejącą jamę; dolna szczęka zdawała się leżeć na jego piersi.

Pearl chwiejnie odszedł od istoty, która go trzymała. Zrobił prawie tuzin kroków, zanim Maura złapała go za przepocony kołnierz. Przyciągnęła go do siebie i wbiła kciuk w jego prawe oko. Trzasnęło, jakby korek wyskoczył z butelki szampana. Kleista ciecz spłynęła po policzku Pearla i zastępca szeryfa zwisł bezwładnie.

Kayleigh odwróciła się rwanymi ruchami w stronę Dona Petersa, jak nakręcana zabawka z nadwerężoną sprężyną. Don wiedział, że powinien uciekać, ale ogarnęło go niewiarygodne znużenie. Zasnąłem, rozumował, a to jest najgorszy koszmar świata. Musi tak być, bo przecież ta kobieta to Kayleigh Rawlings. Raptem w zeszłym miesiącu wlepiłem suce naganę. Pozwolę, żeby mnie dopadła, i wtedy się obudzę.

Drew T. Barry, który żył z wyobrażania sobie najgorszych katastrof, jakie mogą spotkać ludzi, nawet nie wziął pod uwagę starego dobrego wytłumaczenia: „To musi być sen". To działo się naprawdę, choć wydawało się żywcem przeniesione z tego serialu, w którym ożywały gnijące trupy. Stanowczo zamierzał przetrwać.

– Schyl się! – krzyknął.

Kto wie, czy Don zrobiłby to, gdyby w tej samej chwili z drugiego końca więzienia nie dobiegł huk wybuchającego plastiku. Właściwie nie tyle się schylił, ile upadł, ale grunt, że poskutkowało; zamiast złapać go za twarz, blade palce Kayleigh odbiły się od twardej plastikowej skorupy futbolowego kasku. Gruchnął strzał, potwornie głośny w pustej sali gimnastycznej, i posłany z bliska w Kayleigh nabój z weatherby'ego – broni, która mogłaby powalić słonia – zrobił swoje. Jej gardło rozerwało się na strzępy, głowa opadła na plecy, ciało osunęło się na podłogę.

Maura odrzuciła Elmore'a na bok i ruszyła w stronę Dona. Nogi straszydła sunęły po posadzce, ręce chwytały powietrze.

– Zastrzel ją! – krzyknął Don. Jego pęcherz nie wytrzymał, ciepłe szczyny ściekały mu po nogach, wsiąkając w skarpety.

Drew T. Barry zawahał się. Peters był nieobliczalnym idiotą i bez niego może byłoby im lepiej. No cóż, stwierdził w końcu, niech mu będzie. Ale od tej chwili, panie więzienny klawiszu, jesteś zdany na siebie.

Strzelił Maurze Dunbarton w pierś. Zatoczyła się w tył, na środek boiska, i upadła obok świętej pamięci Elmore'a Pearla. Chwilę leżała nieruchomo, po czym dźwignęła się i znów zaczęła iść w stronę Dona, choć ruchy górnej i dolnej połowy jej ciała już nie były ze sobą skoordynowane.

– Strzel jej w łeb! – wrzasnął Don (chyba zapomniał, że sam też ma broń). – Strzel jej w łeb jak tamtej!

– Zamknąłbyś się wreszcie – mruknął Drew. Wymierzył i strzelił Maurze Dunbarton w głowę. Górna lewa ćwiartka jej czaszki zniknęła.

– O, Boże… – wydyszał Don. – Boże, Boże, Boże… Zwijajmy się stąd. Wracajmy do miasta.

Chociaż Drew T. Barry nie przepadał za pulchnym byłym strażnikiem, rozumiał jego instynktowne pragnienie ucieczki, poniekąd nawet się z nim solidaryzował. Nie zostałby jednak najbardziej wziętym ubezpieczycielem w okolicy, gdyby miał w zwyczaju rzucać robotę przed jej zakończeniem. Złapał Dona za ramię.

– Drew, one nie żyły! A jeśli jest ich więcej?

– Ja już żadnych nie widzę, a ty?

– Ale…

– Prowadź. Znajdziemy kobietę, po którą przyszliśmy. – I nagle, nie wiedzieć czemu, przypomniało mu się coś, czego się nauczył w liceum na lekcjach francuskiego. – *Cherchez la femme.*

– Szerszela co?

– Nieważne. – Drew T. Barry machnął swoim potężnym karabinem. Nie na Dona, ale mniej więcej w jego kierunku. – Idź pierwszy. Dziesięć metrów przede mną, tyle powinno wystarczyć.

– Dlaczego?

– Przezorny zawsze ubezpieczony.

15

W czasie, kiedy Vanessa Lampley wykańczała Maynarda Grinera, a ożywiony trup Maury Dunbarton poddawał Elmore'a Pearla doraźnemu zabiegowi stomatologicznemu, schowany za połamanym biurkiem Frank Geary patrzył, jak 0:46 przechodzi w 0:45, a potem w 0:44. Nie będzie pomocy z zewnątrz, teraz już to wiedział. Wszyscy, którzy przeżyli, albo trzymali się na dystans, albo sobie poszli. Jeśli miał się przedostać obok tej cholernej dyżurki do właściwego więzienia, był zdany na siebie. W przeciwnym razie mógł co najwyżej czmychnąć na czworakach i liczyć, że facet za kuloodporną szybą nie strzeli mu w tyłek.

Żałował, że to wszystko tak się potoczyło. Wolałby w tej chwili jeździć swoim małym pikapem po jednej z malowniczych dróg hrabstwa Dooling i wypatrywać czyjegoś zaginionego szopa. Kiedy oswojony szop zgłodniał, można było przywabić go na tyle blisko, żeby złapać go w siatkę z kawałkiem sera lub hamburgera na końcu długiego kija. Przysmak na patyku. To przypomniało mu o urwanej nodze biurka wbijającej się w jego plecy. Przewrócił się na bok, chwycił ją i wysunął do przodu po podłodze. Była na tyle długa, żeby dosięgnąć śmiercionośnej piłki. Miło, że wreszcie coś poszło po jego myśli.

– Co robisz? – spytał Tig zza szyby.

Frank nie tracił czasu na odpowiedź. Jeśli się nie uda, będzie po nim. Wbił w piłkę poszarpany koniec nogi od biurka. Johnny Lee zapewniał, że C4 nie wybuchnie, nawet gdyby po nim przejechać, i ten kawał drewna też nie spowodował wybuchu. Frank podniósł nogę od biurka i oparł ją o ścianę dyżurki, tuż pod okienkiem ze szczeliną. 0:17 przeszło w 0:16, a potem w 0:15. Tig strzelił. Frank poczuł, że kula przeszła tuż nad jego knykciami.

– Ty tam, w środku, kimkolwiek jesteś, lepiej uciekaj – powiedział. – Póki możesz.

Stosując się do własnej rady, Frank pognał do drzwi więzienia, spodziewając się, że lada chwila dostanie kulkę. Tig jednak więcej nie strzelił.

Patrzył przez szybę na białą piłkę do futbolu amerykańskiego nabitą na koniec nogi od biurka niczym wielki lizak. Dopiero teraz mógł się dobrze przyjrzeć telefonowi, na którego ekranie 0:04 przeszło w 0:03. Wtedy zrozumiał, co to takiego i co zaraz się wydarzy. Rzucił się do drzwi wychodzących na główny korytarz więzienia. Jego ręka chwyciła gałkę, kiedy świat zniknął w białym błysku.

16

Za głównymi drzwiami, osłonięty od coraz jaśniejszego słońca wrakiem fleetwooda – który już nigdy nie zabierze Barry’ego Holdena z rodziną na wakacje – Frank poczuł, jak wybuch wstrząsnął mocno sponiewieranym budynkiem. Zbrojone szyby, które przetrwały wcześniejsze eksplozje, wyleciały deszczem rozmigotanych odłamków.

– Chodźcie! – zawołał. – Kto został, ze mną! Zabieramy ją!

Przez chwilę nic się nie działo. Wreszcie czterej mężczyźni – Carson Struthers, zastępca szeryfa Treat, zastępca szeryfa Ordway i zastępca szeryfa Barrows – wybiegli z ukrycia i popędzili do wysadzonych frontowych drzwi więzienia.

Razem z Frankiem zniknęli w kłębach dymu.

17

– O… ja… pierdolę… – wydyszał Jared Norcross.

Michaela chwilowo zaniemówiła. Z całego serca żałowała, że nie ma z nią ekipy filmowej. Tyle że nawet ekipa filmowa na nic by się nie zdała, nie? Gdyby puścić w telewizji to, co widziała, publika uznałaby, że to efekty specjalne. Trzeba było tu być, żeby uwierzyć. Trzeba było na własne oczy zobaczyć nagą kobietę z telefonem komórkowym w rękach unoszącą się pół metra nad pryczą; zobaczyć zielone pędy wplecione w jej czarne włosy.

– Cześć, ludzie! – zawołała Evie wesoło, ale się nie odwróciła. Była skupiona na telefonie. – Za minutkę będę z wami, ale najpierw muszę dokończyć coś ważnego.

Jej palce śmigały po ekranie.

– Jared? – To był Clint. Wydawał się zdumiony i przerażony jednocześnie. – Co ty tu robisz?

18

Idący przodem (bardzo niechętnie) Don Peters był już w połowie korytarza prowadzącego na Broadway, kiedy z kłębów dymu wyłonili się Norcross i brodaty dziadek w czerwonych szelkach. Norcross podtrzymywał swojego towarzysza. Czerwone Szelki wlókł się noga za nogą, zgarbiony. Pewnie ranny, choć nie było widać krwi. No to po was, pomyślał Don i podniósł karabin.

Dziesięć metrów za nim Drew T. Barry też podniósł karabin, choć nie miał pojęcia, co takiego zobaczył Peters; dym był za gęsty, a na domiar złego Peters zasłaniał mu widok. Nagle – kiedy Clint i Willy minęli Kabinę i ruszyli w głąb krótkiego korytarza Skrzydła A prowadzącego do wyścielanej celi – z izby chorych wysunęła się

para długich białych rąk, które złapały Dona za gardło. Drew T. Barry patrzył ze zdumieniem, jak Peters znika niczym w magicznej sztuczce. Drzwi izby chorych zatrzasnęły się. Barry pospieszył w miejsce, gdzie przed chwilą stał jego towarzysz, i spróbował przekręcić gałkę. Zamknięte. Zajrzał przez zbrojoną szybę i zobaczył kobietę, z wyglądu naćpaną, trzymającą dłuto przy gardle Petersa. Ściągnęła mu ten idiotyczny kask futbolowy; leżał teraz do góry nogami na podłodze, obok swojej broni. Rzedniejące czarne włosy lepiły się do ciemienia spoconymi strąkami.

Kobieta – więźniarka w drelichach – zauważyła Barry'ego zaglądającego do środka. Podniosła dłuto i machnęła nim. Gest był jednoznaczny: Wynocha.

Drew T. Barry pomyślał, że mógłby strzelić przez szybę, ale wtedy ściągnąłby na siebie ocalałych obrońców. Przypomniała mu się też obietnica, którą złożył samemu sobie, zanim zabił drugie straszydło w sali gimnastycznej: Od tej chwili, panie więzienny klawiszu, jesteś zdany na siebie.

Niedbale zasalutował szurniętej więźniarce i na dokładkę podniósł kciuk. Potem ruszył w głąb korytarza. Zachowywał czujność. Peters, zanim wpadł w ręce tej kobiety, coś zobaczył.

19

– No proszę, kogo my tu mamy – powiedziała Angel. – Toż to ten, co lubi łapać za cycki, wykręcać sutki i ocierać się o pupcie, aż spuści się w majtasy.

Kiedy podniosła rękę, żeby przegonić agenta ubezpieczeniowego, Don wyrwał się i odsunął na bezpieczną odległość.

– Odłóż dłuto, osadzona – rozkazał. – Odłóż je natychmiast, a nie udzielę ci nagany.

– Tym razem ta plama na twoich gaciach to nie sperma – zauważyła Angel. – Za dużo tego, nawet jak na takiego napaleńca. Zlałeś się, co? Mamusia chyba nie byłaby zadowolona?

Na wzmiankę o jego anielskiej dobroci matce Don zapomniał o ostrożności i rzucił się do ataku. Angel cięła dłutem i to może zakończyłoby sprawę, gdyby nie potknął się o swój kask futbolowy; a tak, zamiast poderżnąć gardło, ostrze dłuta rozorało mu czoło. Upadł na kolana, z twarzą zalaną krwią.

– Au! Au! Przestań, to boli!

– Co ty powiesz? A to? – Angel kopnęła go w brzuch.

Usiłując mruganiem usunąć krew z oczu, Don złapał Angel za nogę i pociągnął. Jej łokieć uderzył w podłogę, dłuto wypadło z dłoni. Don wsunął się na nią i sięgnął do jej gardła.

– Martwej cię nie wyrucham – wysyczał. – To byłoby obleśne. Po prostu będę cię dusił, aż zemdlejesz. Zabiję cię, dopiero kiedy skoń…

Angel złapała kask futbolowy, wzięła szeroki zamach i wyrżnęła Dona prosto w krwawiące czoło. Sturlał się z niej, trzymając się za twarz.

– Au, przestań, osadzona!

W futbolu amerykańskim nie wolno bić przeciwnika kaskiem, pomyślała Angel, ale skoro nikt tego nie transmituje, pewnie tym razem obejdzie się bez kary.

Jeszcze dwa razy przyłożyła Donowi kaskiem, za drugim razem chyba łamiąc mu nos. Mocno się przekrzywił, to na pewno. Peters zdołał paść na kolana, z tyłkiem wypiętym do góry. Krzyczał coś, chyba: „Przestań, osadzona!", ale trudno go było zrozumieć, bo wieprz ciężko dyszał. Do tego miał rozwalone wargi i usta pełne krwi. Czerwone krople tryskały przy każdym słowie i Angel przypomniało się coś, co nieraz słyszała w latach dzieciństwa: Jak już masz mi zrobić prysznic, to daj chociaż ręcznik.

– Wystarczy – powiedział Don. – Proszę, wystarczy. Twarz mi rozbiłaś.

Odrzuciła kask i podniosła dłuto.

– A teraz wymasuję ci cycuszki, oficerze Peters!

Wbiła mu dłuto między łopatki aż po drewnianą rękojeść.

– Mamo! – krzyknął.

– Zgoda, oficerze Peters. Jeszcze raz, z pozdrowieniami dla twojej mamuśki! – Angel wyszarpnęła dłuto i wbiła w jego szyję. Upadł bezwładnie.

Kopnęła go kilka razy, po czym usiadła na nim okrakiem i znów zaczęła dźgać. Przestała, dopiero kiedy nie miała już siły podnieść ręki.

ROZDZIAŁ 16

1

Drew T. Barry dotarł do Kabiny i zobaczył, co zatrzymało Petersa, zanim capnęła go ta kobieta: dwaj mężczyźni; jednym z nich prawdopodobnie był Norcross, arogancki drań, który rozpętał cały ten bajzel. Obejmował drugiego ramieniem. To dobrze. Nie mieli pojęcia, że Drew tu jest, i pewnie szli do tej kobiety. Żeby ją chronić. Szaleństwo, zważywszy na to, jak liczny oddział zebrał Geary, ale z drugiej strony proszę bardzo, ile szkód zdołali już wyrządzić. Tylu porządnych ludzi zabitych i rannych! Za samo to zasłużyli na śmierć.

I wtedy z dymu wyszły jeszcze dwie osoby: kobieta i młody mężczyzna. Wszyscy odwróceni plecami do niego.

Coraz lepiej.

2

– Jezu Chryste, miałeś się ukryć, Jere – powiedział Clint i spojrzał z wyrzutem na Michaelę. – A ty miałaś tego dopilnować.

Jared ubiegł ją z odpowiedzią.

– Zrobiła, co kazałeś, ale nie mogłem tak po prostu siedzieć w kryjówce, skoro jest szansa, że odzyskamy mamę. I Mary. I Molly. – Wskazał na kobietę w celi na końcu korytarza. – Tato, spójrz na nią! Unosi się w powietrzu! Kim ona jest? Czy w ogóle jest człowiekiem?

Zanim Clint zdążył odpowiedzieć, telefon Hicksa w celi zagrał głośną melodię, po czym cichy elektroniczny głos oznajmił: „Brawo,

graczu Evie! Przetrwałaś! Boom Town jest twoje!”.

Evie opadła na pryczę, spuściła nogi na podłogę, a potem wstała i podeszła do krat. Clint sądził, że na tym etapie nic już nie może go zaskoczyć, a jednak był w szoku, kiedy zobaczył, że jej włosy łonowe są prawie całe zielone. Właściwie to nie były włosy, tylko jakieś rośliny.

– Wygrałam! – krzyknęła radośnie. – I w samą porę! Zostało dwa procent pojemności baterii. Teraz mogę umrzeć szczęśliwa!

– Nie umrzesz – powiedział Clint. Chociaż sam już w to nie wierzył. Evie umrze, a kiedy dotrze tu resztka oddziału Geary’ego, co nastąpi wkrótce, oni najprawdopodobniej umrą razem z nią. Zbyt wielu zabili. Ludzie Franka im nie odpuszczą.

3

Drew T. Barry prześliznął się wzdłuż bocznej ściany Kabiny. To, co widział, coraz bardziej mu się podobało. Jeśli część obrońców nie schowała się w celach, ocalała garstka ludzi Norcrossa była w komplecie na końcu tego korytarza – stali skupieni blisko siebie jak kręgle na końcu toru. Nie mieli gdzie się ukryć ani dokąd uciec. Doskonale.

Podniósł weatherby’ego… I wtedy dłuto wcisnęło się w jego gardło, tuż pod linią szczęki.

– Nie-nie-nie – powiedziała Angel tonem wesołej nauczycielki. Jej twarz, koszula i obszerne spodnie upstrzone były plamkami krwi. – Jeden ruch i przetnę ci żyłę szyjną, trzymam na niej ostrze. Jeszcze żyjesz tylko dlatego, że pozwoliłeś mi dokończyć moje porachunki z oficerem Petersem. Odłóż tę flintę na słonie. Nie pochylaj się, tylko ją upuść.

– To bardzo kosztowna broń, proszę pani – powiedział Drew T. Barry.

– Sram na to.

– Może wystrzelić.

– Zaryzykuję.

Drew T. Barry upuścił broń.

– A teraz oddaj giwerę, którą masz na ramieniu. Tylko bez wygłupów.

– Proszę odłożyć to, co mu pani przystawiła do gardła – padł głos zza pleców Angel.

Angel rzuciła okiem przez ramię i zobaczyła czterech, może pięciu mężczyzn z wymierzonymi w nią karabinami. Uśmiechnęła się do nich.

– Możecie mnie zastrzelić, ale wtedy ten tu umrze razem ze mną. Macie to jak w banku.

Frank stał niezdecydowany. Drew T. Barry, pragnąc choć trochę przedłużyć swoje życie, oddał M4 Dona.

– Dziękuję. – Angel przewiesiła zdobyczny karabin przez ramię. Zrobiła krok do tyłu, upuściła dłuto i podniosła ręce na wysokość twarzy, pokazując Frankowi i pozostałym, że są puste. Potem powoli wycofała się w głąb krótkiego korytarza, gdzie Clint wciąż podtrzymywał Willy'ego ramieniem. Nie opuszczała rąk.

Drew T. Barry, zaskoczony, że żyje (ale wdzięczny losowi), podniósł weatherby'ego. Kręciło mu się w głowie. Każdy, kurczę, każdy byłby oszołomiony, gdyby stuknięta więźniarka przystawiła mu dłuto do gardła. Kazała mu odłożyć broń… a potem pozwoliła, żeby ją podniósł. I po co? Żeby mogła stanąć na placu boju ramię w ramię z przyjaciółmi? Innego wytłumaczenia nie widział. Zwariowane, ale przecież to wariatka. Jak oni wszyscy.

Drew T. Barry uznał, że następny ruch należy do Franka Geary'ego. To on zainaugurował tę kolosalną rozpierduchę, niech więc teraz myśli, jak uprzątnąć jej skutki. Tak będzie najlepiej, bo w oczach świata zewnętrznego to, co zrobili przez ostatnie pół godziny, będzie zakrawało na samosąd. Nie mówiąc o tym, że były pewne szczegóły – na przykład chodzące trupy w sali gimnastycznej czy naga zielona kobieta, którą zauważył stojącą u krat celi, kilka kroków za Norcrossem – w które, aurora nie aurora, świat zewnętrzny nie uwierzy. Drew T. Barry wiedział, że ma szczęście, że żyje, i teraz najchętniej usunąłby się na drugi plan. Przy odrobinie szczęścia nikt nigdy się nie dowie, że w ogóle tu był.

– Co jest, kurwa? – zawołał Carson Struthers na widok zielonej kobiety w głębi korytarza. – Widział kto kiedy takie dziwo? Co chcesz z nią zrobić, Geary?

– Zabrać ją. Żywcem – powiedział Frank. Był zmęczony jak nigdy, ale postanowił, że doprowadzi to do końca. – Jeśli naprawdę jest kluczem do aurory, niech lekarze jej się przyjrzą. Zawieziemy ją do Atlanty i oddamy w ich ręce.

Willy zaczął podnosić M4, pomału, jakby ważył kilkaset kilogramów. W Skrzydle A nie było gorąco, ale pot zalewał jego okrągłą twarz, nadawał siwej brodzie ciemny odcień. Clint wyrwał mu karabin. Na drugim końcu korytarza Carson Struthers, Treat, Ordway i Barrows podnieśli broń.

– I o to chodziło! – krzyknęła Evie. – Jedziemy! Strzelanina w O.K. Corral! Bonnie i Clyde! *Szklana pułapka* w kobiecym więzieniu!

Zanim jednak krótki korytarz Skrzydła A mógł się zmienić w pole bitwy, Clint rzucił karabin Willy'ego na podłogę i zerwał M4 z ramienia Angel. Podniósł broń nad głowę, wysoko, żeby zobaczyli ją ludzie Franka. Powoli, z ociąganiem opuścili lufy.

– Nie, nie – zaprotestowała Evie. – Nikt grosza nie zapłaci, żeby obejrzeć taki marny punkt kulminacyjny. Trzeba przerobić scenariusz.

Clint nie zważał na nią; był skupiony na Franku.

– Nie mogę panu pozwolić jej zabrać, panie Geary.

– Jeśli młodej damie włos z głowy spadnie, policzę się z tobą, łotrze – wycedziła Evie, zadziwiająco dobrze naśladując Johna Wayne'a.

Frank też ją zignorował.

– Doceniam twoje poświęcenie, Norcross, choć za cholerę go nie rozumiem.

– Może nie chcesz – powiedział Clint.

– Och, myślę, że mam pełny obraz sytuacji – stwierdził Frank. – To ty jakoś nie możesz przejrzeć na oczy.

– Za dużo psychobełkotu ma we łbie – wtrącił Struthers, co wywołało kilka parsknięć nerwowego śmiechu.

Frank mówił cierpliwie, jak do niezbyt lotnego ucznia:

– Z tego, co wiemy, jest jedyną kobietą na ziemi, która może zasypiać i się budzić. Bądź rozsądny. Zabiorę ją do lekarzy, niech

zrobią jej badania i poszukają sposobu, jak odwrócić to, co się stało. Ludzie chcą odzyskać żony i córki.

Z gardeł najeźdźców dobyły się potakujące pomruki.

– Zejdź mi więc z drogi, żółtodziobie – powiedziała Evie, wciąż w roli Wayne'a. – Myślę, że…

– Och, zamknij się! – rzuciła Michaela. Oczy Evie otworzyły się szeroko, jakby niespodziewanie dostała w twarz. Michaela zrobiła krok do przodu, przeszywając Franka palącym spojrzeniem. – Wyglądam na śpiącą, panie Geary?

– Nie obchodzi mnie, jak wyglądasz – odparł Frank. – Nie po ciebie przyszliśmy. – Znowu rozległ się chór potakujących głosów.

– A powinno obchodzić. Jestem całkowicie przytomna. Tak jak Angel. Ta kobieta nas obudziła. Swoim oddechem.

– I tego samego chcemy dla wszystkich kobiet – powiedział Frank, co wywołało jeszcze głośniejsze potakujące pomruki. Zniecierpliwienie, które Michaela wyczytała z twarzy zebranych przed nią mężczyzn, było bliskie nienawiści. – Jeśli naprawdę jesteś przytomna, powinnaś to rozumieć. To żadna filozofia.

– To pan nic nie rozumie, pani Geary. Mogła to zrobić Angel i mnie, bo nie byłyśmy w kokonach. A wasze żony i córki w nich są. To też żadna filozofia.

Cisza. Wreszcie zaczęli słuchać uważnie. Clint pozwolił sobie na odrobinę nadziei.

Wtedy Carson Struthers rzucił bezbarwnym tonem:

– Gówno prawda.

Michaela pokręciła głową.

– Ty głupi, uparty człowieku. Wszyscy jesteście głupi i uparci. Evie Black nie jest kobietą, tylko istotą nadprzyrodzoną. Jeszcze to do was nie dotarło? Po tym wszystkim, co się wydarzyło? Myślicie, że lekarze mogą pobrać DNA od istoty nadprzyrodzonej? Zrobić jej rezonans magnetyczny i zobaczyć, co w niej siedzi? Wszyscy, którzy tu zginęli, oddali życie na darmo!

Pete Ordway podniósł karabin garand.

– Mógłbym wpakować pani kulkę i panią uciszyć. Kusi mnie, żeby to zrobić.

– Odłóż to, Pete – rozkazał Frank. Czuł, że sytuacja lada chwila może się wymknąć spod kontroli. Oto grupa uzbrojonych mężczyzn stoi w obliczu z pozoru niedającego się rozwiązać problemu. A jak nie wiesz, co robić, najłatwiej po prostu pociągnąć za spust. Tak na pewno myślą. Wiedział to, bo sam miał ochotę tak postąpić.

– Norcross? Każ swoim ludziom mnie przepuścić. Chcę jej się dobrze przyjrzeć.

Clint cofnął się, jedną ręką wciąż podtrzymując Willy'ego Burke'a, a palce drugiej splatając z palcami Jareda. Michaela stała po przeciwnej stronie jego syna. Angel przez chwilę nie ruszała się sprzed celi, twardo osłaniając Evie swoim ciałem, kiedy jednak Michaela wzięła ją za rękę i delikatnie pociągnęła, więźniarka ustąpiła i stanęła obok niej.

– Nie ważcie się jej skrzywdzić – powiedziała jednak. Głos jej drżał; w oczach stały łzy. – Nie ważcie się, dranie. Jest, kurwa, boginią.

Frank zrobił trzy kroki do przodu. Nie wiedział, czy jego ludzie ruszyli za nim, i o to nie dbał. Patrzył na Evie tak długo, w takim skupieniu, że Clint odwrócił się, żeby też na nią spojrzeć.

Zniknęła zieleń wpleciona w jej włosy. Jej nagie ciało było piękne, ale nie miało już w sobie nic nadzwyczajnego. Włosy łonowe były po prostu ciemnym trójkątem u zbiegu ud.

– Co jest, kurwa… – zdumiał się Carson Struthers. – Przecież dopiero co była… zielona, nie?

– Miło… miło nareszcie poznać panią osobiście – powiedział Frank.

– Dziękuję – odparła Evie. Pomimo swej nieskrępowanej nagości mówiła nieśmiało jak pensjonarka. Miała spuszczone oczy. – Frank, lubisz zamykać zwierzęta w klatkach?

– Zamykam je, tylko kiedy to konieczne. – Po raz pierwszy od wielu dni Frank szczerze się uśmiechnął. Jedno, co wiedział na pewno, to to, że dzikość ma dwie strony: zagrożenie, jakie dzikie zwierzę stanowi dla innych, i zagrożenie, jakie inni stanowią dla dzikiego zwierzęcia. Ogólnie rzecz biorąc, bardziej zależało mu na tym, żeby chronić zwierzęta przed ludźmi. – Ale przyszedłem tu po to, żeby panią wypuścić z klatki. Chcę zabrać panią do lekarzy, którzy panią przebadają. Pozwoli mi pani na to?

– Oj, chyba nie – odparła Evie. – Niczego by nie znaleźli ani nie zmienili. Pamiętasz baśń o złotej gęsi? Kiedy ludzie ją rozkroili, w środku były tylko flaki.

Frank westchnął i pokręcił głową.

Nie wierzy jej, bo nie chce jej wierzyć, pomyślał Clint. Bo nie może sobie pozwolić na to, żeby jej uwierzyć. Nie po wszystkim, co zrobił.

– Proszę pani…

– Mów mi Evie. Nie lubię całego tego ceremoniału. Miałam wrażenie, że dobrze nam się rozmawiało przez telefon, Frank. – Wciąż nie podnosiła oczu. Clint był ciekaw, co takiego zdradzają, że musiała to ukryć. Wątpliwości co do sensu jej misji? Pewnie pobożne życzenie, ale w sumie nie mógł tego wykluczyć; czy sam Jezus Chrystus nie modlił się o to, żeby zabrano od niego ten kielich? Tak samo, domyślał się, Frank pragnie, żeby Centrum Zwalczania i Prewencji Chorób zabrało ten kielich od niego. Żeby spojrzeli na wyniki tomografii, USG, badań krwi i DNA Evie i powiedzieli „aha".

– Niech będzie Evie – odezwał się Frank. – Ta osadzona – wskazał ruchem głowy Angel, która patrzyła na niego z furią – twierdzi, że jesteś boginią. Czy to prawda?

– Nie – odparła Evie.

U boku Clinta Willy zaczął kasłać i pocierać lewą pierś.

– Z kolei ta kobieta – tym razem Frank przechylił głowę w stronę Michaeli – twierdzi, że jesteś istotą nadprzyrodzoną. No i… – Nie chciał powiedzieć tego na głos, przybliżać wybuchu wściekłości, który to mogło spowodować, ale nie miał wyjścia. – Wiedziałaś o mnie rzeczy, których wiedzieć nie mogłaś.

– A do tego potrafi się unosić w powietrzu! – wypalił Jared. – Może zauważyłeś? Lewitowała! Sam widziałem! Wszyscy widzieliśmy!

Evie spojrzała na Michaelę.

– Mylisz się co do mnie. Jestem kobietą, pod wieloma względami taką samą jak wszystkie. Jak te, które kochają ci mężczyźni. Chociaż „miłość" to w ustach mężczyzny niebezpieczne słowo. Dla wielu z nich nie oznacza tego samego, co dla kobiet. Kiedy mężczyzna mówi, że kocha, czasem rozumie przez to, że jest gotów zabić z miłości. A czasem nie rozumie przez to nic. O czym, oczywiście,

większość kobiet prędzej czy później się przekonuje. Niektóre z rezygnacją, wiele z żalem.

– Kiedy facet mówi, że cię kocha, to znaczy, że chce ci wjechać fiutem pod majtki – dorzuciła Angel uczynnie.

Evie skierowała spojrzenie na Franka i stojących za nim mężczyzn.

– Kobiety, które chcecie uratować, w tej chwili żyją swoim życiem na innym świecie. Ogólnie są szczęśliwe, choć oczywiście większość tęskni za synkami, a niektóre za mężami i ojcami. Nie powiem, że nigdy nie rozrabiają, daleko im do świętości, ale przeważnie żyją w zgodzie. Na tamtym świecie, Frank, nikt nie ciągnie twojej córki za jej ulubioną koszulkę, nie krzyczy jej w twarz, nie robi jej wstydu ani nie przeraża jej, przebijając pięścią ścianę.

Frankowi opadła szczęka. Jego policzki oblały się rumieńcem.

– Żyją? – spytał Carson Struthers. – Przysięgasz, kobieto? Przysięgasz na Boga?

– Tak – powiedziała Evie. – Przysięgam na waszego i każdego innego boga.

– Jak więc mamy je odzyskać?

– Na pewno nie kłując mnie strzykawkami, obmacując czy pobierając mi krew. To nic by nie dało, nawet gdybym do tego dopuściła.

– W takim razie jak?

Evie szeroko rozłożyła ramiona. Jej oczy rozbłysły, źrenice rozszerzyły się i zmieniły w dwa czarne klejnoty, jasna zieleń tęczówek zmąciła się i przeszła w jaskrawy złocisty kolor; oczy człowieka przeobraziły się w kocie ślepia.

– Zabijając mnie – powiedziała. – Zabijcie mnie, a się przebudzą. Każda kobieta na ziemi. Przysięgam, że to prawda.

Frank podniósł karabin jak we śnie.

4

Clint wszedł przed Evie.

– Nie, tato, nie! – krzyknął Jared.

Nie zważał na niego.

– Geary, ona kłamie. Chce, żebyś ją zabił. Może nie całym sercem… myślę, że częściowo zmieniła zdanie… ale po to właśnie się tu zjawiła. Po to została przysłana.

– Zaraz powiesz, że chce, żebyśmy ją ukrzyżowali – rzucił Pete Ordway. – Odsuń się.

Clint nie ruszył się z miejsca.

– To próba. Jeśli przejdziemy ją pomyślnie, wciąż będzie szansa. Jeśli nie, jeśli zrobicie to, czego od was oczekuje, drzwi się zamkną. Ten świat pozostanie światem mężczyzn, dopóki wszyscy nie wymrą.

Pomyślał o bójkach, które staczał w latach dzieciństwa, walkach nie o shake'i, nie całkiem, lecz przede wszystkim o odrobinę słońca i przestrzeni – o szansę, by w cholerę odetchnąć pełną piersią. Rozwinąć skrzydła. Pomyślał o Shannon, starej przyjaciółce, która pokładała w nim nadzieję, że wyciągnie ją z tego czyśćca, tę samą nadzieję, jaką on pokładał w niej. Pomógł jej na tyle, na ile potrafił, i to zapamiętała. Inaczej dlaczego dałaby swojej córce jego nazwisko? Wciąż jednak miał dług do spłacenia. Wobec Shannon – za to, że była mu przyjacielem. Wobec Lili za to, że była mu przyjacielem, żoną i matką jego syna. A ci, którzy byli z nim tutaj, przed celą Evie? Oni też mieli kobiety, którym byli coś winni – tak, nawet Angel. Przyszedł czas, żeby spłacić ten dług.

Walka, której chciał, dobiegła końca. Clint zrozumiał, że leży na deskach i niczego nie wygrał.

Jeszcze nie.

Wyciągnął ręce na boki i skinął dłońmi na pozostałych, przywołując ich do siebie. Ostatni obrońcy Evie podeszli i ustawili się w rzędzie przed jej celą, nawet Willy, który wyglądał na bliskiego omdlenia. Jared stanął obok ojca. Clint położył dłoń na jego karku. Potem, bardzo powoli, podniósł z podłogi M4. Podał go Michaeli, której matka spała w kokonie niedaleko miejsca, w którym stali.

– Posłuchaj mnie, Frank. Evie powiedziała nam, że jeśli jej nie zabijesz, jeśli puścisz ją wolno, jest szansa, że kobiety wrócą.

– Kłamie – powiedziała Evie. Teraz, kiedy jej nie widział, Frank usłyszał w jej głosie coś zaskakującego. To chyba była udręka.

– Dość tego pieprzenia – rzucił Pete Ordway i splunął na podłogę. – Straciliśmy wielu porządnych ludzi, żeby tu dotrzeć. Bierzemy ją. Potem zdecydujemy, co dalej.

Clint uniósł karabin Willy'ego. Niechętnie bo niechętnie, ale to zrobił.

Michaela odwróciła się do Evie.

– Ktokolwiek cię tu przysłał, uważa, że tak właśnie mężczyźni rozwiązują wszystkie problemy. Mam rację?

Evie nie odpowiedziała. Michaela czuła, że nadzwyczajną istotą w wyścielanej celi targają rozterki, jakich nie oczekiwała, kiedy pojawiła się w lesie nad zardzewiałą przyczepą. Bo tam wszystko się zaczęło. Michaela widziała to miejsce i była tego pewna.

Odwróciła się z powrotem do uzbrojonych mężczyzn, którzy byli już w połowie korytarza. Mierzyli z karabinów. Przy tej odległości kule rozerwą na strzępy małą grupkę osłaniającą dziwną kobietę.

Michaela uniosła broń.

– To nie musi się tak skończyć. Pokażcie jej, że może być inaczej.

– Czyli co niby mielibyśmy zrobić? – spytał Frank.

– Pozwolić jej odejść tam, skąd przyszła – powiedział Clint.

– Za nic w świecie – rzucił Drew T. Barry.

Wtedy pod Willym Burkiem ugięły się kolana. Upadł na podłogę. Nie oddychał.

5

Frank oddał swój karabin Ordwayowi.

– Trzeba mu zrobić masaż serca. Zeszłego lata skończyłem kurs…

Clint wymierzył broń w pierś Geary'ego.

– Nie.

Frank wybałuszył na niego oczy.

– Oszalałeś, człowieku?!

– Cofnij się. – Michaela też w niego wycelowała. Nie wiedziała, co robi Clint, ale domyślała się, że wyłożył na stół ostatni atut, jaki miał w ręku. Jaki mieliśmy w ręku, pomyślała.

– Rozwalmy wszystkich – powiedział Carson Struthers głosem bliskim histerii. – Tę diablicę też.

– Nie strzelać – rozkazał Frank. A potem zwrócił się do Clinta: – Ot tak pozwolisz mu umrzeć? Co w ten sposób udowodnisz?

– Evie może go uratować – odparł Clint. – Prawda, Evie? – Kobieta w celi milczała. Jej głowa była zwieszona, włosy zasłaniały twarz. – Geary… jeśli ona go ocali, puścisz ją wolno?

– Stary piździel udaje! – krzyknął Carson Struthers. – To wszystko szopka, którą zaplanowali!

– Mogę sprawdzić, czy…? – zaczął Frank.

– Zgoda. – Clint bez wahania wszedł mu w słowo. – Tylko szybko. Po trzech minutach powstają uszkodzenia mózgu i nie wiem, czy nawet istota nadprzyrodzona może je odwrócić.

Frank pospieszył do Willy'ego, przykląkł na jedno kolano i przyłożył palce do gardła staruszka. Po chwili podniósł oczy na Clinta.

– Brak tętna. Trzeba go reanimować.

– Przed minutą chciałeś go zabić – gderał Reed Barrows.

Zastępca szeryfa Treat, który niejedno widział w Afganistanie, jęknął głośno.

– Nic z tego nie rozumiem. Powiedzcie, co mam zrobić, żeby dzieci do mnie wróciły, a to zrobię. – Nie było jasne, do kogo właściwie skierował te słowa.

– Żadnej reanimacji. – Clint odwrócił się do Evie, która wciąż stała ze spuszczoną głową. To dobrze, pomyślał. Przynajmniej widzi mężczyznę na podłodze. – To jest Willy Burke – powiedział. – Służył swojej ojczyźnie, kiedy go wezwała. W ostatnich latach wiosną gasi pożary lasu razem z ochotniczą strażą pożarną. Nikt im za to nie płaci. Pomaga Kobiecemu Towarzystwu Dobroczynnemu organizować posiłki dla ubogich rodzin, pozostawionych bez wsparcia przez skąpe władze stanu. Jesienią trenuje juniorską drużynę futbolową…

– I był dobrym trenerem – wtrącił Jared przez łzy.

Clint mówił dalej:

– Przez dziesięć lat opiekował się siostrą, u której wykryto alzheimera we wczesnym stadium. Karmił ją, przywoził do domu, kiedy wypuszczała się na wędrówki, zmieniał jej osrane pampersy. Przyszedł tu, żeby cię bronić, bo chciał być w porządku wobec ciebie

i własnego sumienia. Nigdy w życiu nie skrzywdził kobiety. Teraz umiera. Może mu na to pozwolisz. W końcu to tylko jeszcze jeden mężczyzna, zgadza się?

Ktoś krztusił się dymem napływającym z Broadwayu. Na chwilę zapadła głucha cisza. I nagle Evie Black wrzasnęła. Okratowane lampy roztrzaskały się pod sufitem. Drzwi zamkniętych cel otworzyły się gwałtownie i zamknęły z hukiem, jakby klasnęły żelazne dłonie. Kilku mężczyzn z oddziału Franka krzyknęło, jeden piskliwym głosem małej dziewczynki.

Ordway odwrócił się i uciekł. Jego kroki odbijały się echem od ścian z pustaków.

– Podnieście go – powiedziała Evie. Drzwi jej celi otworzyły się razem z pozostałymi. O ile w ogóle były zamknięte. Clint nie wątpił, że przez cały ten czas w każdej chwili mogła stąd wyjść. Szczury były tylko elementem jej teatrzyku.

Clint i Jared podnieśli bezwładne ciało Willy'ego. Był ciężki, ale Evie wzięła go, jakby ważył nie więcej niż wór gęsiego pierza.

– Zagrałeś na moich uczuciach – powiedziała do Clinta. – To było okrutne, doktorze Norcross.

Miała śmiertelnie poważną minę, ale w jej oczach dostrzegł coś jakby błysk rozbawienia. Może nawet wesołości. Objęła lewą ręką pokaźną talię Willy'ego, a prawą dłoń położyła na pozlepianych potem włosach na jego potylicy. Przycisnęła usta do jego ust.

Willy zadrżał na całym ciele. Jego ręce podniosły się i otoczyły plecy Evie. Starzec i młoda kobieta przez chwilę trwali w czułym uścisku. Wreszcie puściła go i cofnęła się.

– Jak się czujesz, Willy?

– Rewelacyjnie! – Willy Burke usiadł prosto.

– Boże… – westchnął Reed Barrows. – Wygląda, jakby ubyło mu ze dwadzieścia lat.

– Od liceum nikt mnie tak nie całował – stwierdził Willy. – A może i wtedy nie. Szanowna pani uratowała mi życie. Dziękuję za to, ale jeszcze bardziej za ten pocałunek.

Uśmiech wypłynął na twarz Evie.

– Cieszę się, że ci się podobało. Mnie też było całkiem przyjemnie, choć nie aż tak, jak wtedy, kiedy skończyłam Boom Town.

Krew już nie wrzała w żyłach Clinta; ostudziły ją wyczerpanie i najnowszy cud Evie. Postrzegał swą niedawną wściekłość jak intruza, który włamał się do jego domu i nabałaganił w kuchni, przyrządzając sobie wymyślne i obfite śniadanie. Czuł smutek, żal i potworne zmęczenie. Pragnął tylko wrócić do domu, usiąść obok żony, dzielić z nią przestrzeń i nie musieć nic mówić.

– Geary? – Frank odwrócił się do niego, powoli, jak przebudzony z letargu. – Puść ją wolno. To jedyne wyjście.

– Może tak, może nie, nawet to nie jest pewne, prawda?

– Prawda – przytaknął Clint. – A co jest pewnego w tym pojebanym życiu?

Wtedy odezwała się Angel:

– Dobre chwile i złe chwile. Dobre i złe chwile. Resztę można o kant dupy potłuc.

– Myślałam, że to się przeciągnie co najmniej do czwartku, ale… – Evie się zaśmiała; jej śmiech brzmiał jak melodyjny brzęk dzwoneczków. – Zapomniałam, jak szybko mężczyźni potrafią działać, kiedy coś sobie postawią za punkt honoru.

– Pewnie że tak – przyznała Michaela. – Weźmy taki Projekt Manhattan.

6

Dziesięć po ósmej tego pięknego poranka kolumna sześciu pojazdów ruszyła West Lavin Road, podczas gdy więzienie za nimi tliło się jak niedopałek cygara w popielniczce. Skręcili na Ball's Hill Road. Na czele jechał radiowóz numer dwa, z pomału obracającym się kogutem. Prowadził Frank. Clint był obok niego. Z tyłu siedziała Evie Black, dokładnie w tym samym miejscu, które zajmowała, gdy aresztowała ją Lila. Wówczas była półnaga. Teraz, w drodze powrotnej, miała na sobie czerwone drelichy z zakładu karnego w Dooling.

– Pojęcia nie mam, jak to wytłumaczymy policji stanowej – powiedział Frank. – Tylu zabitych, tylu rannych.

– Na razie wszyscy są zajęci aurorą – odparł Clint. – A połowa pewnie w ogóle nie przyszła do pracy. Potem, kiedy wrócą wszystkie kobiety… o ile wrócą… nikogo to nie będzie obchodziło.

Evie przemówiła cicho za ich plecami:

– Będzie obchodziło matki. Żony. Córki. Jak myślicie, kto sprząta pola bitew, kiedy cichną armaty?

7

Radiowóz numer dwa zatrzymał się na drodze prowadzącej do przyczepy mieszkalnej Trumana Mayweathera, przy której trzepotała żółta taśma z napisem „Miejsce zbrodni”. Pozostałe pojazdy – dwa kolejne radiowozy, dwa auta cywilne i pikap Carsona Struthersa – stanęły za nim.

– Co teraz? – spytał Clint.

– Teraz zobaczymy, czy jeden z mężczyzn nie zmieni zdania i nie postanowi mimo wszystko mnie zastrzelić – odparła Evie.

– Nie ma takiego zagrożenia – powiedział Clint z przekonaniem, którego wcale nie miał.

Trzasnęły drzwi. Trójka w radiowozie numer dwa na razie nie ruszała się z miejsc.

– Powiedz mi coś, Evie – zagaił Frank. – Jeśli jesteś tylko posłańcem, kto kieruje całym tym rodeo? Jakaś… nie wiem… siła życiowa? Mamuśka Ziemia postanowiła wcisnąć reset?

– Mówisz o Wielkiej Lesbie w niebiosach? – spytała Evie. – Niskiej, krępej bogini w fioletoworóżowym spodnium i praktycznych butach? Czy nie tak mężczyźni z reguły wyobrażają sobie kobiety, które w ich przekonaniu próbują nimi rządzić?

– Nie wiem. – Frank był osowiały, znużony. Tęsknił za Naną. Tęsknił nawet za Elaine. Nie wiedział, gdzie się podział jego gniew. Zupełnie jakby w którymś momencie wypadł przez dziurę w kieszeni. – A z czym tobie kojarzą się mężczyźni, mądralo?

– Z pistoletami – powiedziała Evie i zwróciła się do Clinta: – Te drzwi są bez klamek.

– To dla ciebie przeszkoda?

Nie, to nie było dla niej przeszkodą. Tylne drzwi się otworzyły i Evie Black wysiadła. Clint i Frank dołączyli do niej, jeden z jednej, drugi z drugiej strony. Clintowi przypomniała się scena z Biblii omawiana w szkółce niedzielnej, do której goniła go taka czy inna rodzina zastępcza: Jezus na krzyżu, ze sceptycznym łotrem po jednej stronie i dobrym złodziejem po drugiej – tym, który, według konającego Mesjasza, wkrótce miał się z nim spotkać w raju. Pamiętał, że słuchając tej historii, pomyślał, że biedak pewnie wolałby zwolnienie warunkowe i kurczaka na kolację.

– Nie wiem, jaka siła mnie tu przysłała – powiedziała Evie, uśmiechając się. – Wiem tylko, że dostałam wezwanie i…

– Przybyłaś – dokończył Clint.

– Tak. A teraz wrócę.

– Co my mamy robić? – spytał Frank.

Evie odwróciła się do niego. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– To, co zwykle jest zastrzeżone dla kobiet. Czekać. – Wzięła głęboki wdech. – Och, po wyjściu z więzienia powietrze pachnie tak świeżo.

Minęła grupę mężczyzn, jakby ich nie zauważyła, i chwyciła Angel za ramiona. Angel podniosła na nią lśniące oczy.

– Dobrze się spisałaś – pochwaliła ją Evie. – Dziękuję ci z całego serca.

– Kocham cię, Evie! – wykrztusiła Angel.

– Ja ciebie też kocham. – Evie pocałowała ją w usta i ruszyła w stronę zniszczonej wytwórni metamfetaminy.

Za ruinami siedział lis, z kitą owiniętą wokół łap. Sapał i patrzył na Evie błyszczącymi ślepiami. Poszła za nim, a mężczyźni za nią.

8

– Tato – głos Jareda był niewiele głośniejszy od szeptu – widzisz to? Powiedz, że tak.

– O, mój Boże… – jęknął zastępca szeryfa Treat. – Co to jest?

Patrzyli na drzewo o licznych powykręcanych pniach, obsiadłe przez stada egzotycznych ptaków. Pięło się tak wysoko, że nie było widać czubka. Clint czuł promieniującą z niego moc, jakby silny prąd elektryczny. Paw dumnie rozpostarł ogon. Zza drzewa wyłonił się biały tygrys, szurając brzuchem o wysoką trawę. Kilka karabinów natychmiast skierowało się ku niemu.

– Opuścić broń! – krzyknął Frank.

Tygrys się położył. Jego niezwykłe ślepia obserwowały ich z wysokiej trawy. Lufy karabinów opadły. Wszystkie oprócz jednej.

– Poczekajcie tutaj – powiedziała Evie.

– Czyli jeśli wrócą kobiety z Dooling, to wrócą też wszystkie kobiety na świecie? – spytał Clint. – Dobrze zrozumiałem?

– Tak. Kobiety z tego miasta reprezentują wszystkie kobiety, i to one najpierw muszą wrócić. W komplecie. Tędy. – Evie wskazała na szczelinę w Drzewie. – Jeśli choć jedna odmówi… – Nie musiała kończyć. Ćmy trzepotały skrzydłami wokół jej głowy, tworząc unikalny diadem.

– Dlaczego miałyby chcieć zostać? – spytał Reed Barrows ze szczerym zdziwieniem.

Śmiech Angel był ostry jak krakanie wrony.

– Mam lepsze pytanie: jeśli, jak mówi Evie, dobrze się tam urządziły, czemu miałyby chcieć wrócić?

Evie ruszyła do Drzewa przez wysoką trawę, muskającą jej czerwone spodnie; zatrzymała się na trzask naboju wprowadzanego do komory karabinu. Marki Weatherby, jak się okazało.

Drew T. Barry jako jedyny nie opuścił broni na polecenie Franka, nie mierzył jednak w Evie. Trzymał na muszce Michaelę.

– Idź z nią – rzucił.

– Odłóż to, Drew – powiedział Frank.

– Nie.

Michaela spojrzała na Evie.

– Mogę tam z tobą pójść, gdziekolwiek to jest? Chociaż nie jestem w kokonie?

– Oczywiście – odparła Evie.

Michaela przeniosła wzrok na Barry’ego. Nie wyglądała już na wystraszoną; czoło miała zmarszczone ze zdumienia.

– Ale dlaczego?

– Powiedzmy, że to takie zabezpieczenie – odparł Drew T. Barry. – Jeśli ona mówi prawdę, może dasz radę przekonać swoją matkę, a twoja matka całą resztę. Przezorny zawsze ubezpieczony.

Clint zobaczył, że Frank podnosi pistolet. Barry, skupiony na kobietach, był teraz łatwym celem, ale Clint pokręcił głową.

– Dość zabijania – powiedział zniżonym głosem.

Poza tym, pomyślał, może pan Podwójne Ubezpieczenie ma rację.

Evie i Michaela minęły białego tygrysa i skierowały się do szczeliny w drzewie, przy której czekał lis. Evie pewnym krokiem weszła do środka. Zniknęła. Michaela z wahaniem podążyła za nią.

Ocalali uczestnicy szturmu na więzienie i jego obrońcy czekali. Początkowo chodzili nerwowo w tę i we w tę, jednak kiedy czas mijał i nic się nie działo, większość usiadła w wysokiej trawie.

Ale nie Angel. Ona dalej paradowała wielkimi krokami to tu, to tam, jakby nie mogła się nacieszyć tym, że jest poza murami więzienia – swej celi, stolarni, Kabiny i Broadwayu. W pewnym momencie podeszła do drzemiącego tygrysa. Clint wstrzymał oddech. Ona naprawdę była szalona.

Odważyła się pogłaskać tygrysa po grzbiecie. Podniósł łeb, zaraz jednak opuścił go z powrotem na łapy i zamknął swoje niesamowite ślepia.

– Mruczy! – zawołała Angel w euforii.

Słońce wspięło się na szczyt nieba i jakby się tam zatrzymało.

– Pewnie nic z tego nie będzie – powiedział Frank. – A jeśli nie wrócą, do końca życia będę żałował, że jej nie zabiłem.

– Myślę, że decyzja jeszcze nie zapadła – odparł Clint.

– Tak? Skąd wiesz?

Jared wskazał na Drzewo i odpowiedział:

– Bo ono nadal stoi. Jeśli zniknie albo zmieni się w dąb czy wierzbę płaczącą, wtedy możesz porzucić nadzieję.

Czekali.

ROZDZIAŁ 17

1

W supermarkecie Shopwell, tradycyjnym miejscu Spotkań, Evie przemówiła do dużego grona mieszkanek Naszego Miejsca. Szybko powiedziała, co miała do powiedzenia, a co sprowadzało się do jednej prostej prawdy: wybór należy do nich.

– Jeżeli tu zostaniecie, wszystkie kobiety, od Dooling do Marrakeszu, pojawią się na tym świecie, w tych samych miejscach, gdzie zasnęły. Będą mogły zacząć od nowa. Wychowywać dzieci tak, jak chcą. Zawrzeć pokój. To dobry układ, przynajmniej ja tak uważam. Możecie też zdecydować się odejść. Wtedy każda kobieta obudzi się tam, gdzie zasnęła w świecie mężczyzn. Musicie jednak odejść wszystkie.

– Kim jesteś? – Janice Coates, mocno tuląca Michaelę, mówiła do Evie znad ramienia córki. – Kto ci dał tę moc?

Evie uśmiechnęła się. Otaczała ją zielona poświata.

– Jestem tylko starą kobietą, która chwilowo wygląda młodo. I nie mam żadnej mocy. Jak lis, jestem wyłącznie posłańcem. To wy, wszystkie razem, macie moc.

– Cóż – odezwała się Blanche McIntyre – omówmy to. Jak ława przysięgłych. Bo wychodzi na to, że tym właśnie jesteśmy.

– Tak – odparła Lila. – Ale nie tutaj.

2

Dopiero po południu mieszkanki nowego świata zebrały się w komplecie. Tyle czasu minęło, zanim udało się ściągnąć ze wszystkich zakątków miasta kobiety nieobecne na spotkaniu w supermarkecie.

Przeszły Main Street milczącą kolumną i wdrapały się na Ball's Hill. Blanche McIntyre pobolewały stopy, więc Mary Pak wiozła ją wózkiem golfowym. Blanche trzymała w ramionach Andy'ego Jonesa, sierotę opatulonego niebieskim kocykiem. Opowiedziała mu bardzo krótką bajkę: „Dawno, dawno temu żył sobie chłopczyk, który wędrował to tu, to tam, i wszystkie kobiety go kochały".

Pojawiły się pierwsze kępy zieleni. Było zimno, ale wiosna już wisiała w powietrzu. Mniej więcej o tej samej porze roku opuściły stary świat. Blanche była zaskoczona, kiedy to sobie uświadomiła. Miała wrażenie, że upłynęło znacznie więcej czasu.

Zeszły z jezdni i ruszyły okoloną ćmami ścieżką przez las. Lis zdawał się wskazywać im drogę.

3

Kiedy Evie raz jeszcze przedstawiła swoje warunki tym, które nie znały sytuacji, Michaela Coates stanęła na skrzynce po mleku – wcieliła się w rolę reporterki (może po raz ostatni, może nie) – i opowiedziała, co się wydarzyło po drugiej stronie.

– Doktor Norcross przekonał ochotników, żeby wstrzymali ogień – powiedziała. – Wielu mężczyzn oddało życie, zanim zatriumfował rozsądek.

– Kto zginął? – krzyknęła jakaś kobieta. – Tylko nie mój Micah!

– Co z Lawrence'em Hicksem? – zapytała inna.

Rozbrzmiał gwar pytających głosów.

Lila podniosła dłonie.

– Drogie panie, drogie panie!

– Nie jestem droga – burknęła była więźniarka Freida Elkins. – Pani mówi za siebie, pani komendant.

– Nie mogę wam powiedzieć, kto zginął – ciągnęła Michaela – bo w czasie walk byłam w więzieniu i wolałam się nie wychylać. Wiem, że nie żyje Garth Flickinger i… – Miała wspomnieć o Barrym Holdenie, ale zobaczyła, że jego żona i córki patrzą na nią wyczekująco, i zabrakło jej odwagi. – …i właściwie nic poza tym. Mogę was jednak zapewnić, że wszystkie dzieci płci męskiej w Dooling są całe i zdrowe. – Modliła się, żeby to była prawda.

Odpowiedziała jej burza owacji.

Kiedy Michaela skończyła, jej miejsce zajęła Janice Coates. Wyjaśniła zebranym, że każda z kobiet będzie mogła przedstawić swoje zdanie.

– Jeśli o mnie chodzi – powiedziała – głosuję, choć nie bez żalu, za powrotem. Tutaj jest nam znacznie lepiej niż na świecie, który opuściłyśmy, i sądzę, że nasze możliwości są praktycznie nieograniczone. Bez mężczyzn podejmujemy decyzje uczciwie, nie robimy wokół nich tyle zamieszania. Zgodnie dzielimy się wszystkim, co mamy. W naszej społeczności praktycznie nie dochodzi do przemocy. Kobiety irytowały mnie przez całe życie, ale nie umywają się pod tym względem do mężczyzn. – Nie wspomniała o tym, że, jak na ironię, jej własny mąż, biedny Archie, którego życie w tak młodym wieku przerwał atak serca, był spokojnym, rozważnym człowiekiem. Nie pora mówić o wyjątkach. Teraz chodziło o to, by przedstawić ogólną regułę. Tło historyczne. Twarz Janice, kiedyś szczupła, teraz wychudła do kości. Białe włosy spływały jej na plecy. Oczy, zatopione w przepastnych oczodołach, świeciły przygasłym blaskiem. Michaela zrozumiała, że jej matka, bez względu na to, jak prosto stoi i jak wyraźnie mówi, jest chora. Musisz iść do lekarza, mamo, pomyślała. – Jednak – ciągnęła Janice – uważam, że powinnam wrócić, bo jestem to winna doktorowi Norcrossowi. On i inni mężczyźni narazili życie dla kobiet z więzienia; niewielu mogłoby się na to zdobyć. A skoro już o tym mowa, pragnę zapewnić wszystkie moje dawne podopieczne, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wyjednać dla was amnestię, a co najmniej złagodzenie wyroków. Jeśli zaś wolicie uciec w siną dal, zawiadomię władze w Charlestonie i Wheeling, że wedle mojej wiedzy zginęłyście w czasie walk o więzienie.

Byłe więźniarki grupą wystąpiły naprzód. Od rana ubyło ich dwanaście. Kitty McDavid była jedną z tych, które zniknęły bez śladu (nie licząc pojawiających się na ich miejscu kłębów ciem). Nikt nie miał wątpliwości, co to oznaczało – te kobiety umarły w obu światach. Zabili je mężczyźni.

A mimo to więźniarki zgodnie zagłosowały za powrotem. Mężczyzna może by się zdziwił, ale naczelnik Coates wcale to nie zaskoczyło, znała bowiem wielce wymowny fakt statystyczny: kobiety uciekające z więzienia przeważnie szybko wpadają w ręce policji, bo – w przeciwieństwie do mężczyzn – nie szukają schronienia na jakimś odludziu. Nie, one wracają do domu. Byłe więźniarki, które zabrały głos na tym ostatnim spotkaniu, myślały przede wszystkim o swoich synach pozostawionych na tamtym świecie.

Na przykład Celia Frode, która stwierdziła, że ktoś musi się zająć wychowaniem synków Nell i że nawet jeśli ona będzie musiała wrócić za kraty, to siostra Nell na pewno ich przygarnie.

– Ale z siostry Nell niewielki pożytek, jeśli będzie spała, nie?

Claudia Stephenson mówiła coś ze spuszczoną głową, tak cicho, że tłum zażądał, żeby powtórzyła.

– Nie chcę nikomu zawadzać – oznajmiła głośniej. – Zrobię to, co zdecyduje większość.

Klub „Pierwszy Czwartek" też zagłosował za powrotem.

– Tutaj jest lepiej – Gail przemówiła w imieniu wszystkich członkiń. – Janice ma co do tego rację. Tyle że to tak naprawdę nie jest Nasze Miejsce. To inny świat. I kto wie, może wszystko, co się wydarzyło po tamtej stronie, sprawi, że sytuacja tam zmieni się na lepsze?

Michaela pomyślała, że nawet jeśli tak się stanie, to tylko na krótką metę. Mężczyźni co rusz obiecywali, że więcej nie podniosą ręki na swoje żony i dzieci, i przeważnie mówili to szczerze, dotrzymywali jednak słowa nie dłużej niż przez miesiąc, góra dwa. Furia powracała jak ataki malarii. Dlaczego tym razem miałoby być inaczej?

Silne, chłodne podmuchy poruszały wysoką trawą. Błękitną taflę nieba przecinały klucze gęsi wracających z niezamieszkanego południa.

Jak na pogrzebie, pomyślała Mary Pak. To było niezaprzeczalne jak śmierć, tak jaskrawe, że paliło oczy, tak mrożące, że przenikało jej kurtkę i sweter, przyprawiając ją o gęsią skórkę.

Kiedy przyszła kolej na nią, powiedziała:

– Chcę się przekonać, jak to jest naprawdę zakochać się w chłopaku. – To wyznanie z pewnością rozdarłoby serce Jareda Norcrossa, gdyby je usłyszał. – Wiem, że mężczyznom łatwiej się żyje, to niesprawiedliwe i chore, ale chcę dostać szansę na zwyczajne życie, na jakie zawsze liczyłam. Może jestem samolubna, ale właśnie tego pragnę, rozumiecie? Może nawet kiedyś zechcę mieć dziecko. I… to tyle. – Ostatnie słowa przeszły w szloch. Mary zeszła ze skrzynki, odpędzając rękami kobiety, które próbowały ją pocieszać.

Magda Dubcek oświadczyła, że to oczywiste, że musi wrócić.

– Anton mnie potrzebuje. – Jej uśmiech przerażał swoją niewinnością. Na jego widok Evie pękło serce.

(Kilka metrów dalej lis ocierał się grzbietem o dąb błotny i obserwował niebieskie zawiniątko z Andym Jonesem w środku, leżące z tyłu wózka golfowego. Dziecko twardo spało i nikt go nie pilnował. Spełnienie najśmielszych marzeń. Chrzanić kurę, chrzanić cały kurnik, chrzanić wszystkie kurniki na świecie. Oto najsmakowitszy ze wszystkich przysmaków, ludzkie dziecko. Czy się odważy? Niestety, nie. Mógł tylko pomarzyć – ale och, cóż to za marzenie! Różowe, miękkie, aromatyczne!).

Jedna z kobiet opowiedziała o swoim mężu. Był wspaniałym człowiekiem, naprawdę, słowo honoru, pomagał we wszystkim i w ogóle. Inna mówiła o współkompozytorze. Lekko z nim nie miała, ale łączyła ich szczególna więź, nadawali na tych samych falach. On był tekstem; ona muzyką.

Niektóre po prostu tęskniły za domem.

Carol Leighton, nauczycielka wiedzy o społeczeństwie w liceum, stwierdziła, że chce zjeść kit kata, który nie zeschnął się na kamień, obejrzeć film na Netfliksie i pogłaskać swojego kota.

– Moje doświadczenia z mężczyznami były w stu procentach koszmarne, ale nie nadaję się do tego, żeby zaczynać wszystko od początku w nowym świecie. Może to znaczy, że jestem tchórzem, ale

nie mogę udawać. – Nie tylko ona stęskniła się za codziennymi wygodami.

Głównie jednak chciały wrócić ze względu na synów. Nowy początek dla każdej kobiety na świecie oznaczał ostateczne rozstanie z ukochanymi synami, a na to nie mogły się zdobyć. To też złamało Evie serce. Synowie zabijali synów. Synowie zabijali córki. Synowie zostawiali broń w miejscach, gdzie mogli ją znaleźć inni synowie, by następnie przypadkiem postrzelić samych siebie lub swoje siostry. Synowie palili lasy, synowie wylewali chemikalia do ziemi, kiedy tylko inspektorzy ochrony środowiska odjeżdżali. Synowie nie dzwonili w urodziny. Synowie nie lubili się z nikim dzielić. Synowie bili dzieci, dusili swoje dziewczyny. Synowie zauważali, że są od ciebie więksi, i nigdy o tym nie zapominali. Synowie nie dbali o to, jaki świat zostawią swoim synom i córkom, choć tak twierdzili, kiedy startowali w wyborach.

Wąż zsunął się po drzewie i zawisł w mroku, kołysząc się przed Evie.

– Widziałam, co zrobiłeś – powiedziała do niego. – Widziałam, jak odwróciłeś uwagę Jeanette. I nienawidzę cię za to.

Nie odpowiedział. Węże nie muszą usprawiedliwiać swojego postępowania.

Elaine Nutting stała obok swojej córki, ale była nieobecna duchem. W wyobraźni wciąż widziała mokre oczy martwej kobiety. Te oczy były prawie złote i bardzo głębokie. Nie było w nich złości, tylko błaganie. Tym oczom nie mogła odmówić. „Syn, mam syna”, powiedziała ta kobieta.

– Elaine? – zapytał ktoś. Przyszedł czas, by podjęła decyzję.

– Jest coś, co muszę zrobić – oznajmiła i objęła Nanę ramieniem. – I mam córkę, która kocha swojego ojca.

Nana odwzajemniła uścisk.

– Lila? – spytała Janice. – A ty?

Wszystkie odwróciły się do niej i Lila zrozumiała, że gdyby chciała, mogłaby im to wyperswadować. Mogła zapewnić bezpieczeństwo nowemu światu i zniszczyć stary. Wystarczyłoby kilka słów. Mogła powiedzieć: Kocham was wszystkie i kocham to, co tu stworzyłyśmy. Nie przekreślajmy tego. Mogła powiedzieć: Stracę męża bez względu

na to, jakim bohaterstwem się wykazał, a nie chcę stracić tego, co mamy tutaj. Mogła powiedzieć: Już nigdy nie będziecie takie jak dawniej, takie, jak oni oczekują, że będziecie, bo jakaś cząstka was na zawsze zostanie tutaj, gdzie byłyście prawdziwie wolne. Od tej chwili będziecie nosiły Nasze Miejsce w sercach i z tego powodu zawsze będziecie dla nich zagadką.

Tyle że, bądźmy szczerzy, czy kobiety kiedykolwiek nie były zagadką dla mężczyzn? Były magią, o której śnili, czasem w koszmarach.

Błękitny przestwór nieba przygasł. Ostatnie promienie słońca płonęły jak flary magnezowe nad wzgórzami. Evie patrzyła na Lilę, świadoma, że teraz wszystko zależy od niej.

– Tak – powiedziała Lila. – Tak. Wróćmy i postawmy facetów do pionu.

Zgotowały jej owację.

Evie zapłakała.

4

Wyruszyły dwójkami, jakby schodziły na suchy ląd z arki osiadłej na szczycie Araratu. Blanche i mały Andy, Claudia i Celia, Elaine i Nana, pani Ransom i Platinum Elway. Szły, trzymając się za ręce; ostrożnie przestępowały przez ogromny sękaty korzeń i znikały w ciemnej nocy wewnątrz Drzewa. Między jednym a drugim światem pojawiało się migotliwe światełko, ale było rozproszone, jakby płynęło zza rogu – ale rogu czego? Tylko pogłębiało ciemność, właściwie niczego nie ukazując. Każda kobieta zapamiętała dźwięk i uczucie ciepła. W słabo oświetlonym przejściu rozbrzmiewał głośny szelest, po skórze przebiegały łaskotki, jakby muskały ją skrzydła ciem…

…a potem budziły się po drugiej stronie Drzewa, w świecie mężczyzn. Ich kokony rozpuszczały się – ale nie było ciem. Nie tym razem.

Magda Dubcek usiadła prosto w sali szpitalnej, do której policja zaniosła jej ciało, kiedy znaleźli ją w domu u boku martwego syna. Starła oprzęd z oczu, zdumiona widokiem oddziału pełnego kobiet podnoszących się z łóżek, zdzierających strzępy kokonów w ekstazie zmartwychwstania.

5

Lila patrzyła, jak Drzewo zrzuca swoje lśniące liście, jakby płakało. Opadały na ziemię, tworząc błyszczące stosy. Warkocze mchu zsuwały się z szelestem z gałęzi. Patrzyła, jak papuga, o pięknych zielonych skrzydłach naznaczonych srebrnymi prążkami, podrywa się z Drzewa i przeszywa niebo – wleciała prosto w ciemność i przestała istnieć. Plamy, prawie takie jak w grafiozie, przed którą przestrzegał ją Anton, szybko rozchodziły się krętymi smugami po korzeniach Drzewa. W powietrzu wisiał niezdrowy fetor zgnilizny. Lila wiedziała, że Drzewo zaatakowała choroba, że coś trawi je od środka, podczas gdy jego zewnętrzna powłoka obumiera.

– Do zobaczenia po drugiej stronie, pani Norcross – powiedziała Mary Pak i pomachała jej jedną ręką. Drugą trzymała dłoń Molly.

– Mów mi Lila – zawołała Lila, ale Mary już zniknęła w Drzewie.

Lis podreptał za nimi.

Zostały już tylko Janice, Michaela, Lila i ciało Jeanette. Janice przyniosła łopatę z jednego z wózków golfowych. Grób, który wykopały, nie miał nawet metra głębokości, ale Lila sądziła, że to bez znaczenia. Kiedy odejdą, ten świat przestanie istnieć; nie będzie zwierząt, które mogłyby się dobrać do ciała. Zawinęły Jeanette w kilka płaszczy i zasłoniły jej twarz dziecięcym kocykiem.

– To był wypadek – powiedziała Janice.

Lila schyliła się, wzięła garść ziemi i rzuciła ją na okrytą postać na dnie dołu.

– Tak mówi każdy glina, kiedy zastrzeli Bogu ducha winnego czarnego mężczyznę, kobietę lub dziecko.

– Miała broń.

– Nie zamierzała jej użyć. Przyszła ocalić Drzewo.

– Wiem. – Janice poklepała Lilę po ramieniu.

Gruby konar Drzewa jęknął, pękł i zwalił się na ziemię w burzy liści.

– Oddałabym wszystko, żeby to cofnąć – powiedziała Lila. Nie płakała. Jeszcze nie miała siły na łzy. – Oddałabym duszę.

– Chyba pora na nas – zauważyła Michaela. – Dopóki jeszcze możemy. – Wzięła matkę za rękę i wciągnęła ją do Drzewa.

6

Przez parę minut Lila była ostatnią kobietą w Naszym Miejscu. Nie rozmyślała jednak nad niezwykłością tej sytuacji. Postanowiła, że od tej chwili będzie praktyczna. Skupiła się na ziemi, łopacie i zasypywaniu mogiły. Dopiero kiedy skończyła, weszła w mrok Drzewa i przekroczyła granicę między światami. Nie obejrzała się za siebie. Czuła, że gdyby to zrobiła, jej kruche serce pękłoby na pół.

CZĘŚĆ III:
PORANEK

Dziewczynka nie umarła, tylko śpi[8].
Ewangelia wg świętego Mateusza 9:24

8 Cytat za Biblią Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań–Warszawa 1988.

*

1

W pierwszych tygodniach po przebudzeniu kobiet świat, zdaniem większości ludzi, nieco przypominał smętną grę planszową ze sklepu charytatywnego: brakowało części elementów, niekoniecznie tych najważniejszych, ale takich, które zdecydowanie warto by mieć. Czuło się, że gdzieś przepadły przynajmniej pewne karty, które mogłyby pomóc ci wygrać.

Rozpacz była wszędzie, jak szpecąca blizna. Cóż jednak możesz począć, kiedy tracisz żonę, córkę lub męża? Jeśli nie jesteś taki jak Terry Coombs – a niektórzy tacy byli – żyjesz z poczuciem pustki i dalej bierzesz udział w grze.

Pudge Marone, barman i właściciel Squeaka, stracił część samego siebie i nauczył się z tym żyć. Jego prawy kciuk teraz kończył się pod knykciem. Minęło trochę czasu, zanim wyzbył się nawyku sięgania tą ręką do kranów z piwem, ale jakoś sobie radził. Pewnego dnia gość, który chciał otworzyć TGI Friday's, zaproponował, że odkupi od niego bar. Pudge powiedział sobie, że po aurorze Squeaky Wheel i tak nigdy nie stanęłoby na nogi, a oferta była całkiem korzystna.

Pewnych ludzi – na przykład Dona Petersa – nikomu szczególnie nie brakowało. Zapomniano o nich tak dokumentnie, jakby nigdy nie istnieli. Ruiny domu Petersa sprzedano na licytacji.

Skromny dobytek Johnny'ego Lee Kronsky'ego wylądował w śmieciach, ale jego ponure mieszkanie stoi puste po dziś dzień.

Van zostawiła drzwi otwarte, kiedy ostatniego dnia aurory wyszła z domu Fritza Meshauma. Dzień, może dwa po jego śmierci do środka dostały się sępniki i miały darmowy bufet. Mniejsze ptaki

wyskubywały sztywne rude włosy z brody Fritza i wykorzystywały je do budowy gniazd. Ostatecznie przedsiębiorczy niedźwiedź wywlókł trupa na zewnątrz. Z czasem owady oczyściły szkielet Meshauma do połysku, a jego ogrodniczki wyblakły na słońcu. Natura wykorzystała go w pełni i, jak to ma w zwyczaju, przekuła go w coś pięknego: rzeźbę z kości.

Kiedy Magda Dubcek dowiedziała się, co spotkało Antona – krew na wykładzinie w jej sypialni mówiła sama za siebie – gorzko pożałowała decyzji o powrocie. „Ależ to był błąd", powtarzała sobie niezliczoną ilość razy, przy niezliczonej ilości wódek z tonikiem. Dla Magdy jej Anton nie był jednym, dwoma czy nawet trzema elementami gry; był całą grą. Blanche McIntyre zachęcała Magdę, żeby została wolontariuszką – wiele dzieci straciło jedno z rodziców i teraz potrzebowały pomocy – zapraszała ją też na spotkania klubu książkowego, jednak Magda nie była zainteresowana. „Nie ma tu dla mnie szczęśliwego zakończenia", powiedziała. W długie, bezsenne noce piła i oglądała *Zakazane imperium.* Kiedy skończyła ten serial, przerzuciła się na *Rodzinę Soprano.* Puste godziny wypełniała historiami złych mężczyzn czyniących zło.

2

Dla Blanche, owszem, było szczęśliwe zakończenie.

Przebudziła się na podłodze mieszkania Dorothy, tam, gdzie kilka dni wcześniej zasnęła, i wygrzebała się ze szczątków gnijącego kokonu. Były z nią przyjaciółki, też powracające do przytomności, też wyrywające się na wolność. I coś nowego: Andy Jones. Nie trzymała go w ramionach jak wtedy, kiedy wchodziła do Drzewa. Malec spał w prostym łóżeczku uplecionym z gałązek.

– Kurde mol! – zawołała Dorothy. – Dzieciak! Hura!

Blanche uznała to za znak od losu. W miejscu jednego z domów, które spłonęły w czasie aurory, stanął żłobek imienia Tiffany Jones. Przedsięwzięcie zostało sfinansowane z oszczędności emerytalnych Blanche i jej nowego chłopaka (w przypadku Willy'ego Burke'a

oszczędności te, niepowiększane o odsetki, od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku tkwiły w wyściółce pożółkłego materaca), a także z datków od całej społeczności. Po aurorze ludzie jakby chętniej udzielali się dobroczynnie niż kiedyś. Szczególną hojnością wykazała się rodzina Norcrossów, mimo że mieli własne kłopoty. Na tablicy przed budynkiem, pod nazwiskiem Tiffany, widniał rysunek dziecięcego łóżeczka uplecionego z gałązek.

Blanche i personel żłobka przyjmowali wszystkie dzieci w wieku od jednego miesiąca do czterech lat, nawet te, których rodzica (lub rodziców) nie było stać na opłaty. Po aurorze takie małe społeczne placówki jak ta, w dużej mierze finansowane przez mężczyzn i ich zatrudniające, stały się początkiem ruchu, który doprowadził do ustanowienia powszechnego systemu opieki nad dziećmi. Wielu mężczyzn zdawało się rozumieć, że konieczna jest zmiana dotychczasowego kursu.

Bądź co bądź dostali ostrzeżenie.

Blanche czasem myślała o powieści, którą omawiały tamtego ostatniego wieczoru, zanim wszystko się zmieniło: o historii dziewczynki, której kłamstwo zaważyło na losach wielu ludzi. Często snuła rozważania nad pokutą, która tak ciążyła bohaterce przez całe życie. Sama uważała, że na taką pokutę nie zasługuje. Była porządnym człowiekiem, teraz i zawsze, ciężko pracowała, była wierną przyjaciółką. Dobrze traktowała więźniarki. Nie po to założyła ten żłobek, żeby za coś odpokutować. Zrobiła to z przyzwoitości. Było to dla niej czymś naturalnym, oczywistym i koniecznym. Kiedy w grze brakuje pewnych elementów, czasem – a nawet często – można samemu zrobić nowe.

Blanche poznała Willy'ego, kiedy stanął pod drzwiami żłobka, wtedy jeszcze remontowanego, z plikiem pięćdziesięciodolarowych banknotów.

– A to co? – zapytała.

– Mój wkład – odparł.

To jej jednak nie wystarczyło. Same pieniądze to za mało. Jeśli rzeczywiście chciał mieć swój udział w tym dziele, musiał zakasać rękawy i wziąć się do roboty.

– Ileż te dzieci srają – powiedział do Blanche pewnego wieczoru, kiedy już przez jakiś czas się spotykali.

Stała wtedy przy swoim priusie i czekała, aż Willy zataszczy dwa prześwitujące wory wypchane używanymi pieluchami na skrzynię swojego pikapa. Wozili je do Pralni Maluchów w Maylock. Blanche ani myślała zawalać składowisko odpadów brudnymi pampersami. Willy wyszczuplał i sprawił sobie nowe szelki. Blanche uważała, że już przedtem był słodki, ale teraz, z przystrzyżoną brodą (i tymi niesfornymi brwiami), stał się wręcz przystojny.

– Jeśli mi tu umrzesz, Willy, będzie zabawa przy pisaniu nekrologu. „Willy Burke umarł, robiąc to, co kochał. Tachając osrane pieluchy po parkingu” – powiedziała i posłała mu całusa.

3

Następnego lata Jared Norcross pracował jako wolontariusz w żłobku imienia Tiffany Jones, a w ostatniej klasie liceum zatrudnił się tam na pół etatu. Lubił pomagać. Maluchy były trochę stuknięte – budowały zamki z gliny, lizały ściany i taplały się w kałużach, kiedy miały dobry humor – ale, jak wielu przed nim, był niezmiernie zafascynowany tym, że chłopcy i dziewczęta tak swobodnie się ze sobą bawią. Co więc zmienia się później? Dlaczego prawie od razu po rozpoczęciu zorganizowanej nauki w szkole dzieci dzielą się na dwie praktycznie całkowicie odseparowane grupy? Co o tym decyduje? Chemia? Genetyka? Jared nie chciał w to wierzyć. Ludzie są bardziej złożonymi istotami; mają systemy korzeniowe, a ich systemy korzeniowe mają własne systemy korzeniowe. Nabierał ochoty, by zrobić studia z psychologii dziecięcej i wzorem ojca zostać psychiatrą.

Te myśli pocieszały Jareda i pozwalały na chwilę zapomnieć o sprawach, które w tym okresie nurtowały go prawie na okrągło. Małżeństwo jego rodziców było w rozsypce, a Mary chodziła ze starszym kuzynem Molly Ransom, gwiazdą lacrosse z liceum w sąsiednim hrabstwie. Raz widział ich razem. Siedzieli przy stoliku

piknikowym przed lodziarnią i karmili się nawzajem lodami w rożku. Gorzej byłoby tylko, gdyby uprawiali seks na jego oczach.

Molly raz poleciała za nim, kiedy wyszedł z domu.

– Co tam, kolego? Mary i Jeff mają do mnie przyjść. Posiedzisz z nami? – Dziewczynka nosiła aparat na zębach i urosła chyba ze dwa metry. Wkrótce chłopaki, które nie chciały się z nią bawić po szkole, będą się za nią uganiać w nadziei na choćby buziaka.

– Chciałbym, ale nie mogę – powiedział Jared.

– Dlaczego? – spytała Molly.

– Złamane serce. – Mrugnął do niej. – Wiem, że nigdy mnie nie pokochasz, Molly.

– Proszę cię. – Przewróciła oczami.

Nogi czasem niosły Jareda obok pustego domu, w którym kiedyś schował Mary, Molly i swoją mamę. Tworzyli z Mary zgrany duet, ale dla niej to już była przeszłość.

– Wiesz, teraz to zupełnie inny świat – powiedziała mu, jakby to miało być pociechą albo cokolwiek tłumaczyć. Jared wmawiał sobie, że nie wie, co traci, ale w głębi ducha musiał przyznać, że raczej nie traciła nic.

4

Kokony, jak się okazało, utrzymywały się na powierzchni wody.

Trzy pasażerki samolotu, który wpadł do Oceanu Atlantyckiego, obudziły się w swoich pajęczynach na kamienistej plaży w Nowej Szkocji. Kokony nasiąkły wodą, ale kobiety w nich były suche. Udały się do pustej stacji ratowniczej i zadzwoniły na informację z prośbą o pomoc.

Cześć gazet i serwisów internetowych zamieściła tę wiadomość na ostatnich stronach, inne ją przemilczały. W porównaniu z największym cudem tego roku te mniejsze praktycznie straciły znaczenie.

5

Strasznie jest wrócić do domu i znaleźć martwego męża w wypełnionym spalinami garażu.

Rita Coombs przeżywała potem wiele trudnych chwil: rozpacz, strach przed samotnością i, oczywiście, bezsenne noce, kiedy wydawało się, że nowy dzień nigdy nie nastanie. Terry był solidny, mądry, dobroduszny. Trudno jej było uwierzyć, że człowiek, którego tak dobrze znała, jej partner, ojciec jej dziecka, mógł popaść w tak straszliwą i wszechogarniającą depresję, że odebrał sobie życie. Płakała, aż zabrakło jej łez… Zaraz jednak płynęły nowe.

Pewnego popołudnia przyszedł do niej jegomość nazwiskiem Geary, żeby złożyć kondolencje. Rita wiedziała – choć krążyły na ten temat sprzeczne plotki, a szczegóły trzymano w tajemnicy, żeby chronić uczestników zdarzenia – że to właśnie on dowodził szturmem na więzienie. Geary jednak okazał się łagodnym, sympatycznym człowiekiem. Nalegał, żeby mówiła mu po imieniu.

– Co się stało z moim mężem, Frank? – zapytała.

Odparł, że jego zdaniem Terry po prostu nie mógł dłużej tego znieść.

– Wiedział, że wszystko wymknęło się spod kontroli. I nie mógł tego powstrzymać. Powstrzymać mógł tylko siebie.

Wtedy zebrała się w sobie i zadała mu jedno z pytań, które dręczyły ją w bezsenne noce.

– Panie Geary… Frank… mój mąż… trochę za często zaglądał do kieliszka. Czy… czy wtedy…

– Przez cały czas był trzeźwy. – Frank uniósł lewą dłoń, na której nie nosił już obrączki. – Słowo honoru. Z ręką na sercu.

6

W wyniku masowych aktów agresji i wandalizmu podczas aurory, a także zniknięcia wielu kobiet, branża ubezpieczeniowa w kraju

i na świecie musiała przejść głęboką restrukturyzację. Drew T. Barry i jego pracownicy przetrwali ten proces w podobnie przyzwoitej kondycji jak wszystkie amerykańskie firmy i zdołali załatwić pieniądze z ubezpieczenia na życie dla wdowy po Nacie McGee i rodziców Erica Blassa. Ponieważ obaj zginęli podczas bezprawnego ataku na zakład karny, było to nie lada osiągnięcie, ale Drew T. Barry był nie lada agentem ubezpieczeniowym.

Łatwiej było wywalczyć odszkodowania dla bliższych i dalszych krewnych sędziego Oscara Silvera, Barry'ego i Gerdy Holdenów, Linny Mars, Verna Rangle'a, doktora Gartha Flickingera, Randa Quigleya, Tiga Murphy'ego i Billy'ego Wettermore'a, bo na dobrą sprawę zginęli w okolicznościach, które obejmowały ich polisy ubezpieczeniowe. Co nie znaczy, że przyszło to łatwo i szybko. Dochodzenie roszczeń trwało latami i zanim udało się uzyskać pomyślne rozstrzygnięcia, włosy Drew T. Barry'ego przyprószyła siwizna, jego cera poszarzała, a on sam w którymś momencie, między porankami spędzonymi na wysyłaniu maili a wieczorami poświęconymi składaniu kolejnych wniosków, stracił upodobanie do polowań. Wydawało się to dekadencką rozrywką w zestawieniu z powagą pracy, jaką wykonywał na rzecz opuszczonych i skrzywdzonych. Bywało, że siedział na ambonie, patrzył przez celownik na jelenia dziesiątaka kroczącego wśród mgły i myślał: Ubezpieczenie od wypadków losowych. Czy ten byk je ma? Bo przecież postrzał to dla jelenia wypadek losowy, prawda? Czy ktoś się zaopiekuje jego dziećmi? Czy martwy byk z dobrą polisą ubezpieczeniową nachapałby się siana? Oczywiście, że nie, głupi żart, myśl jeszcze głupsza. Sprzedał więc weatherby'ego i nawet próbował zostać wegetarianinem, choć z nie najlepszym skutkiem. Po całym dniu egzystencjalnych trudów pracy w branży ubezpieczeniowej człowiek czasem musi wciąć schaboszczaka.

Strata cię zmienia. Czasami na gorsze. Czasami na lepsze. Tak czy owak, wcinasz cholernego schaboszczaka i żyjesz dalej.

Z uwagi na to, że nie mieli dokumentów, Lowell i Maynard Grinerowie spoczęli w nieoznakowanych mogiłach. Dużo później, kiedy szaleństwo spowodowane aurorą zaczęło przemijać (nie żeby kiedykolwiek całkowicie ustało), porównano ich odciski palców z liniami papilarnymi w ich obszernej kartotece i na tej podstawie oficjalnie uznano braci za zmarłych. Wielu jednak, zwłaszcza na zapadłej prowincji, wątpiło w ten werdykt. Krążyły słuchy, że Mały Low i Maynard zamieszkali w szybie porzuconej dzikiej kopalni, że pod przybranymi nazwiskami przerzucali trawę Acapulco Gold na południe, że jeździli po wzgórzach podrasowanym czarnym jak noc fordem F150 z odrąbanym łbem dzika przykutym łańcuchem do kratownicy i muzyką Hanka Williamsa juniora huczącą z głośników. Uznany pisarz, który spędził lata młodości w Appalachach i uciekł, kiedy tylko skończył osiemnaście lat, usłyszał niektóre z tych legend od swoich krewnych i na ich kanwie napisał książkę dla dzieci pod tytułem *Źli bracia Głupole.* W książce kończą jako ponure ropuchy w Bagnie Sru-Sru.

8

Strumień, który Oświeceni przegrodzili opodal swej siedziby w Hatch w stanie Nowy Meksyk, przerwał tamę i zmył budynki sekty z fundamentów. Kiedy wody opadły, na ich miejsce wdarła się pustynia; piach przysypał nieliczne sztuki broni przeoczone przez FBI; kilka kartek konstytucji nowego narodu Oświeconych, przyznającej im władzę nad ziemiami i wodami, które zajęli, i prawo do noszenia broni, a także odmawiającej rządowi federalnemu Stanów Zjednoczonych uprawnień do pobierania od nich podatków, nadziało się na kolce kaktusów. Studentka botaniki, zbierająca w okolicy okazy roślin pustynnych, znalazła część tych kartek.

– Dzięki ci, Boże! – krzyknęła i zerwała je z kaktusa. Miała kłopoty z żołądkiem. Zbiegła z górskiej ścieżki, wypróżniła się i podtarła zesłanymi przez opatrzność kartkami.

9

Żeby dociągnąć do trzydziestu lat wysługi – potem zyska prawo do emerytury – Van Lampley zatrudniła się w kobiecym więzieniu w Curly, do którego przeniesiono przeważającą większość ocalałych więźniarek z Dooling. Trafiły tam też Celia Frode, choć nie na długo (zwolniona warunkowo), i Claudia Stephenson.

W zakładzie karnym w Curly przebywało dość trudne towarzystwo – wiele zadziornych dziewczyn, wiele twardych kobiet z ciężkimi przestępstwami na koncie – ale Van dawała sobie radę. Pewnego dnia młoda biała więźniarka z zębami ze sztucznego złota, ciasno zaplecionymi warkoczykami i tatuażem na czole (słowo „pustka" napisane ociekającymi krwią literami) zapytała Van, dlaczego kuleje. Jej uśmieszek był wulgarny i jowialny jednocześnie.

– Skopałam o kilka tyłków za dużo – odparła Van. To było nieszkodliwe kłamstwo. Skopała dokładnie tyle tyłków, ile trzeba. Podwinęła rękaw, odsłaniając tatuaż na potężnym lewym bicepsie: „Twoja duma" wyryte na nagrobku z małą ręką. Odwróciła się w drugą stronę i podkasała drugi rękaw. Na równie imponującym prawym bicepsie miała wydziergany drugi nagrobek. Napis na nim głosił „Cała twoja pierdolona duma".

– Nieźle – oceniła twarda dziewczyna i złośliwy uśmiech zniknął z jej twarzy. – Jest pani w porzo.

– Zapamiętaj to sobie – rzuciła Van. – No już, wynocha.

Van czasem modliła się z Claudią, wyświęconą na wielebną Stephenson. Modliły się o przebaczenie za grzechy. Modliły się za duszę Ree. Modliły się za duszę Jeanette. Modliły się za dzieci i za matki. Modliły się za wszystko, za co trzeba było się pomodlić.

– Kim ona była, Claudia? – spytała raz Van.

– To nie jest ważne, Vanessa – odparła wielebna Stephenson. – Ważne jest to, kim my jesteśmy.

– To znaczy?

Wielebna była surowa – w odróżnieniu od dawnej Claudii, potulnej jak baranek.

– Ludźmi, którzy postanowili być lepsi. Silniejsi. Ludźmi gotowymi zrobić wszystko, co trzeba.

10

Rak jajnika, który rósł w ciele Janice Coates, normalnie by ją zabił, ale bieg czasu po drugiej stronie Drzewa w jakiś sposób zahamował jego rozwój. Poza tym jej córka w porę, jeszcze po tamtej stronie, zauważyła, że coś jest nie tak. Dwa dni po przebudzeniu zabrała matkę do onkologa i kolejne dwa dni później naczelnik zaczęła chemioterapię. Janice przystała na żądanie córki, by natychmiast ustąpiła ze swojego stanowiska, i od tej pory Michaela załatwiała wszystko, co trzeba – opiekowała się nią, goniła do lekarza i do łóżka, przypominała o regularnym braniu leków. Dopilnowała też, by matka rzuciła palenie.

Skromnym zdaniem Michaeli rak to szajs. W młodym wieku straciła ojca i do tej pory nie całkiem uporała się z całym emocjonalnym szajsem, który się z tym wiązał. Ale szajsu wszędzie jest pełno. Jeśli jesteś kobietą, musisz praktycznie non stop wywijać łopatą, żeby w nim nie utonąć, dwa razy szybciej, jeżeli do tego pracujesz w telewizji. Nawet gdyby musiała to robić trzy razy szybciej, Michaela nie dałaby za wygraną. Nie po to przyjechała z Waszyngtonu, przewróciła zabytkowy motocykl wrednego harleyowca, odpędzała sen metamfetaminą Gartha Flickingera i przetrwała koszmarny konflikt zbrojny, żeby wymiękać z powodu jakiegoś szajsu, nawet jeśli ten szajs był chorobą, która dotknęła jej matkę.

Po cyklu chemioterapii, kiedy badania wykazały, że rak jest w remisji, Michaela powiedziała:

– No dobrze. Co teraz będziesz robić, mamo? Musisz prowadzić aktywny tryb życia.

Janice powiedziała, że Mickey ma absolutną rację. Pierwszy punkt planu: zawieźć Michaelę do Waszyngtonu. Córka musi wrócić do pracy.

– Spróbujesz kiedyś opowiedzieć przed kamerą o tym, co się stało? No wiesz, jako naoczny świadek?

– Myślałam o tym, ale…

– Ale?

To nie takie proste, oto całe ale. Po pierwsze, większość ludzi stwierdziłaby, że przygody kobiet po drugiej stronie Drzewa to gówno prawda. Po drugie, powiedzieliby, że nie istniała żadna nadprzyrodzona Evie Black i że aurora miała całkowicie naturalne (choć jeszcze nieustalone) przyczyny. Po trzecie, gdyby określone czynniki państwowe doszły do wniosku, że Michaela jednak nie plecie bzdur, padłyby pytania, na które władze Dooling, zwłaszcza była komendant Lila Norcross, nie mogły odpowiedzieć.

Janice spędziła parę dni z córką w stolicy. Drzewa wiśni dawno przekwitły. Było gorąco, ale i tak dużo spacerowały. Raz na Pennsylvania Avenue napotkały prezydencką kolumnę, orszak błyszczących czarnych limuzyn i SUV-ów. Przemknęła obok, nie zatrzymując się.

– Zobacz – Michaela pokazała palcem.

– Kogo to obchodzi? – rzuciła Janice. – Jeszcze jeden kutas.

11

Do mieszkania w Akron w stanie Ohio, gdzie Robert Sorley mieszkał ze swoją ciotką, Nancy, zaczęły przychodzić czeki wystawione na jego nazwisko. Kwoty nie były duże – raz dwadzieścia dwa dolary, raz szesnaście – ale w sumie trochę się tego uskładało. Pieniądze pochodziły z konta kobiety nazwiskiem Elaine Nutting. W kartkach i listach, które towarzyszyły czekom, Elaine pisała Bobby’emu o jego nieżyjącej matce, o jej marzeniach, by wyrósł na porządnego, szczodrego i odnoszącego sukcesy człowieka.

Chociaż Bobby nie znał jej tak dobrze, jak by chciał, i z powodu popełnionej przez nią zbrodni nigdy do końca jej nie ufał, kiedy żyła – kochał swoją matkę. Wrażenie, jakie najwyraźniej zrobiła na Elaine Nutting, przekonało go, że miała w sobie dobroć.

Córka Elaine, Nana, do niektórych listów matki dołączała rysunki. Miała prawdziwy talent. Bobby raz poprosił, żeby narysowała mu szczyt górski – chciałby na niego patrzeć i rozmyślać o świecie poza granicami Akron, które w sumie nie jest takie złe, „no ale wiesz, Akron to Akron".

Spełniła prośbę. Rysunek był piękny – strumyki, klasztor na zakręcie doliny, kołujące ptaki, chmury podświetlone od góry, wijąca się ścieżka, prowadząca na niewidoczne tylne zbocze.

„Bo ładnie poprosiłeś", napisała Nana.

„To chyba normalne, że ładnie poprosiłem", odpisał. „Jak się czegoś chce, trzeba ładnie poprosić".

W następnym liście napisała: „Znam wielu chłopaków, którzy nigdy nie mówią »proszę«. Gdybym chciała wypisać ich nazwiska, zabrakłoby miejsca na kartce".

Odpisał: „Ja taki nie jestem".

Zaczęli regularnie korespondować i planowali, że kiedyś się spotkają.

Tak też się stało.

12

Lila nigdy nie usłyszała od Clinta pytania, czy po tamtej stronie Drzewa miała kochankę. Wydawało się, że jej mąż skrywa w sobie cały wszechświat, układ dopracowanych do ostatniego szczegółu i wypielęgnowanych planet zawieszonych na drutach. Planetami tymi były idee i ludzie. Badał je, studiował i poznawał na wylot. Tyle że jego planety nie poruszały się, nie obracały, nie zmieniały z upływem czasu – w odróżnieniu od prawdziwych ciał niebieskich i wszystkich innych. Lila poniekąd to rozumiała, świadoma, że kiedyś wiódł życie, w którym zmiany i niepewność były na porządku dziennym, nie znaczyło to jednak, że musiało jej się to podobać. Ani że musiała się z tym pogodzić.

A jakie to było uczucie zabić Jeanette Sorley, cóż, że niechcący? Nie był w stanie tego zrozumieć; kiedy próbował, odwracała się

i odchodziła z zaciśniętymi pięściami, pełna nienawiści do niego. Sama nie wiedziała, czego właściwie chce, ale na pewno nie tego, by ją zrozumiano.

Pierwszego popołudnia po przebudzeniu Lila pojechała radiowozem sprzed domu pani Ransom prosto do dopalającego się więzienia. Do skóry wciąż miała przylepione małe kawałki rozpuszczającej się waty. Na jej polecenie usunięto ciała napastników, broń i sprzęt policyjny. Do pomocy zwerbowała głównie osadzone z zakładu karnego w Dooling. Te kobiety, odsiadujące wyroki kryminalistki, które wyrzekły się wolności – głównie ofiary przemocy domowej, nałogów, nędzy, chorób psychicznych albo wszystkiego po trochu – były przyzwyczajone do nieprzyjemnej pracy. Zrobiły, co trzeba. Evie dała im wybór, a one go dokonały.

Kiedy władze stanu wreszcie zainteresowały się zakładem karnym w Dooling, ludzie z miasta i więzienia znali już na pamięć wersję oficjalną. Ciężko uzbrojona brygada zapalająca przypuściła szturm na budynek, a doktor Clinton Norcross i strażnicy heroicznie odparli atak z pomocą policji i ochotników, w tym Barry'ego Holdena, Erica Blassa, Jacka Albertsona i Nate'a McGee. Zważywszy, że działo się to w cieniu niewytłumaczalnego zjawiska, jakim była aurora, incydent wzbudził jeszcze mniejsze zainteresowanie niż kobiety wyrzucone na brzeg Nowej Szkocji.

Bądź co bądź to tylko Appalachy.

13

– Na imię ma Andy. Jego matka nie żyje – powiedziała Lila. Andy płakał, kiedy przedstawiła go Clintowi. Zabrała malca od Blanche McIntyre. Miał czerwoną twarz i był głodny. – Powiem, że to mój syn, że ja go urodziłam. Tak będzie prościej. Moja znajoma, Jolie, jest lekarką. Już złożyła odpowiednie papiery.

– Kochanie, ludzie wiedzą, że nie byłaś w ciąży. Nie uwierzą.

– Większość uwierzy. Tam czas biegł inaczej. A tych, co nie uwierzą, mam gdzieś.

Ponieważ poznał po niej, że mówi poważnie, Clint wyciągnął ręce i wziął w ramiona zawodzące dziecko. Pokołysał Andy'ego. Krzyki malca przeszły w skowyt.

– Chyba mnie polubił.

Lila się nie uśmiechnęła.

– Ma zaparcie.

Clint nie chciał dziecka. Chciał się zdrzemnąć. Chciał zapomnieć o tym wszystkim – o krwi, o śmierci i Evie, zwłaszcza o Evie, która spaczyła świat, spaczyła jego. Wciąż jednak miał te wydarzenia na taśmie wideo w swojej głowie; ile razy Warner Wolf prosił o materiał z magnetowidu, leciała mu w kółko przed oczami.

Przypomniał sobie, jak tej okropnej nocy, kiedy świat stał w ogniu, Lila nagle poinformowała go, że wcale nie chciała basenu.

– Mam prawo głosu w tej sprawie? – zapytał.

– Nie – powiedziała Lila. – Żałuję.

– Nie widać po tobie żalu.

Miał rację.

14

Czasami – przeważnie nocą, kiedy nie mogła zasnąć, ale i w najbardziej słoneczne popołudnia – przez głowę Lili przebiegały nazwiska. Były to nazwiska białych policjantów (takich jak ona), którzy zastrzelili niewinnych czarnych cywilów (takich jak Jeanette Sorley). Myślała o Richardzie Haste, który zabił osiemnastoletniego Ramarleya Grahama w łazience jego mieszkania na Bronksie. Myślała o Betty Shelby, która zastrzeliła Terence'a Crutchera w Tulsa. Przede wszystkim jednak myślała o Alfredzie Olango, który zginął z ręki posterunkowego Richarda Goncalvesa, kiedy dla żartu wymierzył w niego elektronicznego papierosa.

Janice Coates i inne kobiety z Naszego Miejsca próbowały ją przekonać, że miała całkowicie uzasadnione powody, by postąpić tak, jak postąpiła. Ich argumenty może były słuszne, może nie, w niczym jednak nie pomagały. Jedno pytanie powracało jak

natrętna melodia, której nie sposób wyrzucić z głowy: czy białej kobiecie dałaby więcej czasu? Bała się, że zna odpowiedź… ale wiedziała, że nigdy nie zyska pewności. To pytanie będzie ją dręczyło do końca życia.

Lila pełniła swój urząd do czasu zrobienia porządku w więzieniu; potem złożyła wymówienie. Zaniosła małego Andy'ego do żłobka imienia Tiffany Jones i została, żeby pomóc.

Clint dojeżdżał do Curly, godzinę drogi dalej niż do tej pory. Skupiał się na swoich pacjentkach, zwłaszcza więźniarkach przeniesionych z Dooling, które były tam, po drugiej stronie, bo był jedynym człowiekiem, z którym mogły otwarcie mówić o tym, co widziały i czego doświadczyły, bez obaw, że zostaną uznane za wariatki.

– Żałujecie swojego wyboru? – pytał je.

Wszystkie zaprzeczyły.

Ich bezinteresowność zdumiewała Clinta, sprawiała, że czuł się mały, nie dawała mu zasnąć, kiedy w mroku przed świtem siedział w swoim fotelu. On naraził własne życie, owszem; one za to dobrowolnie zrezygnowały ze swojego nowego życia. Złożyły je w ofierze. Jaką grupę mężczyzn byłoby stać na tak jednomyślne poświęcenie? Żadną – taka jest prawda. A skoro tak, to czy, na Boga, te kobiety aby nie popełniły straszliwego błędu?

Rano i wieczorem żywił się fast foodem i fałdka na brzuchu, która zaniepokoiła go wiosną, do jesieni zmieniła się w pokaźną oponkę. Jared był jak melancholijna zjawa, migał na obrzeżach pola widzenia, pojawiał się i znikał, czasem oddając niedbały salut lub rzucając „Cześć, tato". Erotyczne sny o Evie nie pozwalały Clintowi zaznać prawdziwego spokoju. Oplatała go pnączami i dmuchała wiatrem na jego nagie ciało. A jej ciało? Było altaną, w której mógłby odpocząć, ale do której nigdy nie dotarł przed przebudzeniem.

Kiedy był w jednym pokoju z dzieckiem, uśmiechało się do niego szeroko, jakby pragnęło się zaprzyjaźnić. Odwzajemniał uśmiech, a potem płakał w drodze do pracy.

Pewnej bezsennej nocy poszukał na Google'u swojego pierwszego pacjenta, Paula Montpeliera, tego od ambicji seksualnej. Wyskoczył nekrolog. Paul Montpelier zmarł pięć lat wcześniej po długiej walce

z rakiem. Żadnej wzmianki o żonie ani dzieciach. Co dała mu jego ambicja seksualna? Wyglądało na to, że nic oprócz bardzo krótkiego i smutnego nekrologu. Clint płakał także po nim. Wiedział, że to znane psychologiczne zjawisko zwane przeniesieniem, ale miał to gdzieś.

Pewnego deszczowego wieczoru, niedługo po przeczytaniu nekrologu Montpeliera, wyczerpany po całym dniu sesji grupowych i konsultacji indywidualnych, Clint zatrzymał się w motelu w miasteczku Eagle. Grzejnik klekotał, na ekranie telewizora wszyscy byli zieloni. Trzy noce później siedział w tym samym pokoju, kiedy Lila zadzwoniła na jego komórkę, żeby zapytać, czy wróci do domu. Nie sprawiała wrażenia szczególnie zainteresowanej jego odpowiedzią.

– Chyba nie mam już siły, Lila – powiedział.

Lila zrozumiała prawdziwe znaczenie jego słów, pełen wymiar zawartego w nich przyznania się do porażki.

– Jesteś dobrym człowiekiem – powiedziała. Niełatwo jej to przyszło. Dziecko niewiele spało. Sama też nie miała siły. – Lepszym niż większość.

Nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– To chyba się nazywa przytyk w przebraniu komplementu.

– Wiesz, ja naprawdę cię kocham – powiedziała. – Tyle że tak dużo się wydarzyło. Rozumiesz?

To prawda. Wydarzyło się cholernie dużo.

15

Naczelnik więzienia w Curly oznajmił Clintowi, że w okresie Święta Dziękczynienia absolutnie nie chce widzieć go w pracy.

– Lekarzu, ulecz samego siebie – zalecił. – A przynajmniej zjedz trochę warzyw. Zamiast samych Big Maców i ciastek.

Clint pod wpływem nagłego impulsu postanowił pojechać do Coughlin zobaczyć się z Shannon, ale ostatecznie tylko siedział w wozie przed jej domem, niezdolny wejść do środka. Przez cienkie

zasłony w oknach parterowego domku widział poruszające się kobiece cienie. Światła były ciepłe, radosne, kuszące; z nieba sypnęły wielkie płatki śniegu. Pomyślał, żeby zapukać do jej drzwi. Pomyślał, żeby powiedzieć: *Hej, Shan, byłaś shakiem, który przeszedł mi koło nosa.* Wizja shake'a przechodzącego przed nim na kształtnych nogach Shannon rozbawiła go. Odjeżdżając, wciąż jeszcze się śmiał.

Wylądował w knajpie o nazwie O'Byrne's, z topniejącą śnieżną breją na podłodze, szafą grającą, w której leciał kawałek The Dubliners, i siwym barmanem o podpuchniętych oczach, który pomalutku przemieszczał się między kranikami a szklankami, jakby nie nalewał piwa, tylko pracował z radioaktywnymi izotopami.

– Guinnessa, synu? W sam raz na taki wieczór – zagadnął Clinta zacny jegomość.

– Poproszę budweisera.

Piosenką The Dubliners, która leciała w szafie grającej, była *The Auld Triangle*. Clint znał ją i wbrew sobie trochę lubił. Jej romantyczny klimat w niczym nie przypominał jego własnych doświadczeń związanych z życiem więziennym, ale chór głosów chwytał za serce. Chociaż, pomyślał, ktoś powinien dopisać jeszcze jedną zwrotkę. W tekście wymieniano naczelnika, klawisza i więźnia. A co z więziennym psychiatrą?

Już miał przejść z piwem w ciemny kąt, kiedy palec postukał go w ramię.

– Clint?

16

Przesądził uścisk.

Powiedzieć, że córka wyściskała Franka, kiedy się zobaczyli, to jak nic nie powiedzieć; tak mocno wczepiła się swoimi dziewczęcymi dłońmi w jego ramiona, że nawet przez koszulę czuł jej paznokcie. Wszystko, co się wydarzyło, wszystko, czego się dopuścił, dało mu jasno do zrozumienia, że musi coś – cokolwiek! – ze sobą zrobić, ale

ten uścisk ostatecznie przewrócił kostki domina. Kiedy ostatnio ją widział, omal nie zerwał z niej jej ulubionej koszulki. A mimo to córka go kochała. Nie zasługiwał na jej miłość – ale chciał zasłużyć.

Kurs panowania nad gniewem odbywał się trzy razy w tygodniu. Na pierwszym spotkaniu w siedzibie Związku Weteranów Wojen Zagranicznych byli tylko Frank i terapeutka.

Nazywała się Viswanathan. Nosiła duże okrągłe okulary i wyglądała tak młodo, że Frank uznał, iż pewnie nie pamięta kaset magnetofonowych. Zapytała, dlaczego przyszedł.

– Bo przerażam moje dziecko i samego siebie. Poza tym rozwaliłem swoje małżeństwo, ale to tylko skutek uboczny.

Terapeutka robiła notatki, kiedy opowiadał o swoich uczuciach i impulsach. Przychodziło mu to łatwiej, niż mógł przypuszczać; trochę tak, jakby wyciskał ropę z zakażonej rany. Pod pewnymi względami miał wrażenie, że mówi o innym człowieku, bo nie poznawał w tym wkurzonym hyclu samego siebie. Ten wkurzony hycel był kimś, kto się pokazywał i przejmował kontrolę, kiedy działo się coś, co Frankowi się nie podobało, z czym nie mógł sobie poradzić. Powiedział terapeutce o zamykaniu zwierząt w klatkach. Ciągle do tego wracał.

– Przyjacielu, słyszałeś może o leku o nazwie zoloft? – zapytała doktor Viswanathan, dwudziestoczterolatka w okularach landrynkowego koloru.

– Kpisz sobie ze mnie? – Frank chciał, żeby pomogła mu się pozbierać, a nie robiła sobie z niego jaja.

Terapeutka pokręciła głową i uśmiechnęła się.

– Nie, po prostu tryskam humorem. I podziwiam twoją odwagę.

Zapoznała go z psychofarmakologiem, a psychofarmakolog wypisał mu receptę. Frank brał wyznaczoną dawkę bez zauważalnych skutków ubocznych i dalej przychodził na spotkania. Wieść o nich się rozeszła i pojawiało się coraz więcej mężczyzn, aż prawie połowa krzeseł była zajęta. Mówili, że chcą „coś zmienić". Mówili, że chcą „wziąć się w garść". Mówili, że nie chcą „ciągle być tacy wkurzeni".

Ani terapia, ani farmakologiczne rozweselacze nie mogły zmienić faktu, że małżeństwo Franka było *kaput*. Zbyt wiele razy nadwerężył zaufanie Elaine (nie wspominając o kuchennej ścianie). Ale może to

dobrze. Stwierdził, że właściwie za nią nie przepada. Najlepiej było po prostu pozwolić jej odejść. Zgodził się, by dostała prawo do opieki nad Naną, i powiedział jej, że jest wdzięczny, że może spędzać z córką dwa weekendy w miesiącu. W przyszłości będzie ją widywał częściej, jeśli wszystko dobrze pójdzie.

Córce powiedział:

– Myślę, żeby sprawić sobie psa.

17

– Co u ciebie, Clint? – spytał Frank przy dźwiękach The Dubliners.

Był w drodze do byłych teściów, z którymi miał spędzić Święto Dziękczynienia. Zoloft i terapia pomagały mu panować nad nerwami, ale teściowie to teściowie, zwłaszcza kiedy ich córka się z tobą rozwiodła. Wpadł do O'Byrne's, żeby odroczyć swoją egzekucję o pół godziny.

– Jakoś się trzymam. – Clint przetarł oczy. – Przydałoby się zrzucić parę kilogramów, ale tak, jakoś się trzymam.

Przenieśli się do boksu w ciemnym kącie.

– Pijesz w irlandzkiej spelunie w Święto Dziękczynienia – zauważył Frank. – Nie wygląda to najlepiej.

– Nie powiedziałem, że trzymam się świetnie. Poza tym ty też tu jesteś.

Frank pomyślał: A co tam – i po prostu to powiedział:

– Cieszę się, że nie zabiliśmy się nawzajem.

Clint wzniósł szklankę.

– Wypiję za to.

Spełnili toast. Clint nie był zły na Franka. Nie czuł gniewu wobec nikogo, nawet Evie, która puściła to wszystko w ruch. Był głęboko rozczarowany samym sobą. Nie spodziewał się, że ocali swoją rodzinę tylko po to, żeby ją utracić. Nie tak sobie wyobrażał happy end. Tak wyobrażał sobie sromotną porażkę.

Porozmawiali z Gearym o swoich dzieciach. Córka Franka zakochała się w jakimś chłopaku z Ohio. Frank trochę się obawiał, że w wieku

czterdziestu pięciu lat zostanie dziadkiem, ale robił dobrą minę do złej gry. Clint powiedział, że jego syn ostatnio stał się strasznie małomówny, pewnie nie może się doczekać, kiedy wyjedzie z miasta, pójdzie na studia, zobaczy wielki świat.

– A co z twoją żoną?

Clint pomachał do barmana, żeby przyniósł im następną kolejkę.

Frank pokręcił głową.

– Dzięki, ja pasuję. Alkohol i zoloft to niezbyt zdrowa mieszanka. Czas na mnie. Teściowie czekają. – Rozpromienił się. – Ej, może pojedziesz ze mną? Przedstawiłbym cię rodzicom Elaine. Muszę z nimi dobrze żyć; było nie było, to dziadkowie mojej córki. Wizyta u nich jest jak pobyt w piekle, tylko z nieco lepszą wyżerką.

Clint podziękował, ale odmówił.

Frank już się podniósł, po czym usiadł z powrotem.

– Słuchaj, tamtego dnia przy Drzewie…

– Co?

– Pamiętasz, jak zabiły kościelne dzwony?

Clint odparł, że nigdy tego nie zapomni. Rozdzwoniły się, kiedy kobiety zaczęły się budzić.

– No właśnie – powiedział Frank. – Mniej więcej wtedy rozejrzałem się za tą wariatką i nigdzie jej nie było. Angel, chyba tak miała na imię.

Clint się uśmiechnął.

– Angel Fitzroy.

– Nie wiesz, co się z nią stało?

– Nie mam pojęcia. W Curly jej nie ma, tyle wiem.

– Pamiętasz Barry'ego, tego od ubezpieczeń? Powiedział mi, że jest prawie pewien, że zabiła Petersa.

Clint skinął głową.

– Mnie też o tym mówił.

– Tak? I co na to odpowiedziałeś?

– Że krzyżyk mu na drogę. Tak powiedziałem. Bo Don Peters usposabiał wszystko, co w nas najgorsze. – Zawiesił głos. – Uosabiał. To miałem na myśli. Uosabiał.

– Przyjacielu, chyba czas, żebyś wrócił do domu.

– Dobra myśl – powiedział Clint. – Gdzie to jest?

18

Dwa miesiące po, jak nazwali to ludzie, Wielkim Przebudzeniu ranczer z Montany zauważył autostopowiczkę na drodze numer 2 na wschód od Chinook. Zatrzymał przy niej wóz.

– Wskakuj, młoda damo – powiedział. – Dokąd się wybierasz?

– Nie jestem pewna – odparła. – Na początek do Idaho. Potem może do Kalifornii.

Podał jej rękę.

– Ross Albright. Mam ranczo dwa hrabstwa stąd. Jak się nazywasz?

– Angel Fitzroy. – Kiedyś nie uścisnęłaby podanej dłoni, przedstawiłaby się fałszywym nazwiskiem i nie zdejmowałaby ręki z noża, który zawsze nosiła w kieszeni kurtki. Teraz nie miała ani noża, ani fałszywego nazwiska. Nie były jej potrzebne.

– Angel. Ładne imię. – Wrzucił trzeci bieg z szarpnięciem. – Ja sam jestem chrześcijaninem. Narodzonym i nowo narodzonym.

– To dobrze – odparła bez cienia złośliwości.

– Skąd jesteś, Angel?

– Z małej mieściny o nazwie Dooling.

– Tam się obudziłaś?

Kiedyś Angel skłamałaby i powiedziała „tak”, bo tak było prościej, a poza tym kłamstwo przychodziło jej bez wysiłku. Miała do tego prawdziwy talent. Teraz jednak zaczęła nowe życie i postanowiła w miarę możliwości mówić prawdę, nawet kłopotliwą.

– Jestem jedną z niewielu, które w ogóle nie zasnęły – powiedziała.

– O, rany! Musiałaś mieć dużo szczęścia! I siły!

– Otrzymałam błogosławieństwo – powiedziała Angel. To też było prawdą, przynajmniej w jej rozumieniu.

– Samo to, że tak mówisz, jest dla mnie błogosławieństwem – odparł ranczer z głębokim wzruszeniem. – Co dalej, Angel, jeśli wolno spytać? Co będziesz robiła, kiedy postanowisz zakończyć swoją wędrówkę?

Spojrzała na piękne góry i bezkresne zachodnie niebo. Wreszcie powiedziała:

– To, co słuszne. To właśnie będę robiła, panie Albright. To, co słuszne.

Na chwilę oderwał oczy od jezdni i uśmiechnął się do Angel.

– Amen, siostro – powiedział. – Amen.

19

Zakład karny w Dooling został ogrodzony i przeznaczony do rozbiórki. Władze wywiesiły tabliczki z zakazem wstępu i na tym poprzestały; czekały, aż budynek sam się zawali, bo fundusze poszły na pilniejsze roboty publiczne. Nowe ogrodzenie było solidne, z fundamentem osadzonym głęboko w ziemi. Lis musiał kopać kilka tygodni i zużyć wszystkie zasoby cierpliwości, zanim zrobił pod nim tunel.

Kiedy ukończył ten cud architektoniczny, potruchtał do budynku przez ogromną dziurę w ścianie i zaczął budować swoje nowe legowisko w pobliskiej celi. Czuł w niej jeszcze zapach swojej pani, przytłumiony, ale słodki i cierpki.

Przybył wysłannik szczurów.

– To jest nasz zamek – powiedział. – Jakie są twoje zamiary, lisie?

Lis doceniał bezpośredniość szczura. Był lisem, ale miał już swoje lata. Może czas skończyć z podstępami i ryzykiem, znaleźć partnerkę, trzymać się blisko stada.

– Moje zamiary są skromne, zaręczam ci.

– To znaczy? – naciskał szczur.

– Niełatwo mi o tym mówić – powiedział lis. – To trochę krępujące.

– Mów – nie ustępował szczur.

– Zgoda. – Lis nieśmiało przekrzywił głowę. – Podejdź bliżej, szepnę ci na ucho. – Szczur podszedł. Lis mógł odgryźć mu głowę – taki był jego talent, każde stworzenie Boże ma co najmniej jeden talent – ale tego nie zrobił. – Chcę mieć spokój ducha – powiedział.

Następnego ranka po Święcie Dziękczynienia Lila jedzie na żwirowy placyk na Ball's Hill i parkuje samochód. Wkłada Andy'ego, zakutanego w dziecięcy zimowy kombinezon, do nosidełka. Wyrusza na długi spacer.

Może ich małżeństwo nie jest jak Humpty Dumpty, może da się je poskładać do kupy, rozmyśla. Może, gdyby tego chciała, Clint mógłby znów ją pokochać. Czy jednak tego chce? Na duszy Lili powstało piętno, piętno, które nazywa się Jeanette Sorley, i nie wie, jak je usunąć. I czy w ogóle jej na tym zależy.

Idąc, słyszy ciche, wesołe gaworzenie Andy'ego. Z bólem serca myśli o Tiffany. Niesprawiedliwość i przypadek nierozerwalnie wplatają się w tkankę wszystkiego – i to budzi w Lili z jednej strony trwogę, a z drugiej złość. Zamarznięte drzewa skrzypią i trzeszczą. Przyczepę mieszkalną Trumana Mayweathera pokrył szron. Lila tylko rzuca na nią okiem i idzie dalej. To już niedaleko.

Wchodzi na polanę. Nie ma niezwykłego drzewa. Nie ma grobu Jeanette. Jest tylko zmarznięta trawa i cherlawy dąb ogołocony z liści. Trawa faluje, przemyka rudy kształt i kiedy znika, źdźbła nieruchomieją. Z ust Lili dobywa się para. Dziecko mruczy pod nosem i wydaje dźwięk, który brzmi jak pytanie.

– Evie? – Lila chodzi w kółko, ogląda wszystko, las, ziemię, trawę, powietrze, mętne światło słońca, ale na polanie nie ma nikogo. – Evie, jesteś tutaj?

Pragnie znaku, wszystko jedno jakiego.

Ćma sfruwa z gałęzi starego dębu i siada jej na dłoni.

OD AUTORÓW

Żeby powieść fantastyczna była wiarygodna, jej fundamentem muszą być realistyczne szczegóły. Pisząc *Śpiące królewny*, otrzymaliśmy dużą pomoc w dopracowywaniu tych szczegółów, i jesteśmy za to ogromnie wdzięczni. Dlatego też, zanim Was opuścimy, pragniemy uchylić naszych baseballówek Red Sox przed choć częścią osób, które naprowadziły nas na właściwą drogę.

Russ Dorr był naszym głównym asystentem. Dostarczał nam informacji o wszystkim, poczynając od kamperów, a na tempie rozkładu nafty kończąc. Pomógł nam też nawiązać cenne kontakty z pracownikami zakładów karnych dla kobiet. Jako że musieliśmy odwiedzić więzienie kobiece – poznać ten świat niejako od środka – pragniemy podziękować sędzi Gillian L. Abramson z Sądu Apelacyjnego New Hampshire za zorganizowanie nam wycieczki do więzienia stanowego dla kobiet w Goffstown w New Hampshire. Tam poznaliśmy naczelnik Joanne Fortier, kapitan Nicole Plante i porucznika Paula Carrolla. Oprowadzili nas po swoim zakładzie i cierpliwie odpowiadali na wszystkie nasze pytania (czasem więcej niż raz). Są oddanymi oficerami służby więziennej, twardymi, a zarazem ludzkimi. Kto wie, może kryzys w zakładzie karnym w Dooling udałoby się rozwiązać pokojowo, gdyby pracowali tam oni – na nasze szczęście zostali w Goffstown! Jesteśmy im bezgranicznie wdzięczni.

Pragniemy też wyrazić wdzięczność Mike'owi Muise'owi, oficerowi służby więziennej z więzienia Valley Street w Manchesterze w stanie New Hampshire. Mike przekazał nam dużo ciekawych informacji o procedurach związanych z przyjmowaniem osadzonych do aresztów i więzień. Tom Staples, emerytowany funkcjonariusz policji,

pomógł nam bogato wyposażyć magazyn broni w biurze szeryfa w Dooling.

Pomysł, by więzienie Lion Head stanęło na niestabilnym podłożu, zaczerpnęliśmy ze znakomitej kroniki Michaela Shnayersona *Coal River.*

Za wszystko, co nam się udało opisać jak należy, dziękujcie wyżej wymienionym. Za wszelkie nieścisłości wińcie nas… ale róbcie to wstrzemięźliwie. Pamiętajcie, że ta książka to fikcja literacka, czasem czuliśmy więc potrzebę, żeby nieco nagiąć fakty do potrzeb fabuły.

Kelly Braffett i Tara Aldebrando przedstawiły wiele pomocnych uwag po lekturze wcześniejszej, znacznie dłuższej wersji tej powieści. Jesteśmy im wielce zobowiązani.

Podziękowania należą się wszystkim ze Scribner, szczególnie Nan Graham i Johnowi Glynnowi, którzy z niezmordowaną pracowitością i polotem redagowali tę książkę. Susan Moldow służyła wsparciem duchowym. Mia Crowley-Hald była naszym redaktorem technicznym i jesteśmy wdzięczni za jej ciężką pracę. Angelina Krahd odwaliła kawał dobrej roboty przy adiustacji długiego i zawiłego rękopisu. Katherine „Katie" Monaghan, niestrudzona rzeczniczka prasowa, dwoiła się i troiła, żeby o naszej książce dowiedział się świat. Agent Stephena, Chuck Verrill, i agentka Owena, Amy Williams, wspierali nas w czasie żmudnych prac nad powieścią i współpracowali ze sobą tak, jakby robili to całe życie. Chris Lotts i Jenny Meyer sprzedali prawa do publikacji książki wydawcom z całego świata i dziękujemy im za ich trud.

Steve chce podziękować swojej żonie, Tabicie; córce, Naomi; i drugiemu synowi, Joemu, znanemu czytelnikom jako Joe Hill. Owen pragnie podziękować mamie, rodzeństwu, Kelly i Z. Wszyscy oni rozumieją, jak ciężka to robota, i dali nam czas niezbędny do jej ukończenia.

Na koniec pragniemy podziękować każdemu z Was, panie i panowie, za to, że przeczytaliście naszą powieść. Jesteśmy niewysłowienie wdzięczni za Wasze wsparcie i mamy nadzieję, że dobrze się bawiliście.

Stephen King
Owen King

12 kwietnia 2017

Spis treści

POSTACIE
CZĘŚĆ PIERWSZA: TRÓJKĄT STARY
ROZDZIAŁ 1
1
2
3
4
5
6
7
8
ROZDZIAŁ 2
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
ROZDZIAŁ 3
1
2
3
4
5
6
7
ROZDZIAŁ 4
1

2
3
4
5
6
ROZDZIAŁ 5
1
2
3
4
5
6
7
8
ROZDZIAŁ 6
1
2
3
4
5
6
ROZDZIAŁ 7
1
2
3
4
5
6
ROZDZIAŁ 8
1
2
3
4
ROZDZIAŁ 9
1
2

3
4
5
6
7
ROZDZIAŁ 10
1
2
3
4
5
6
7
ROZDZIAŁ 11
1
2
3
4
5
6
ROZDZIAŁ 12
1
2
ROZDZIAŁ 13
1
2
3
4
5
6
ROZDZIAŁ 14
1
2
3
ROZDZIAŁ 15
1

2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
ROZDZIAŁ 16
1
2
3
4
5
ROZDZIAŁ 17
1
2
3
4
5
6
7
8
9
ROZDZIAŁ 18
1
2
3
4
5
6
7
8
9

10
11
ROZDZIAŁ 19
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
ROZDZIAŁ 20
1
2
3
4
5
6
7
8
9
CZĘŚĆ DRUGA: PRZEŚPIĘ SIĘ PO ŚMIERCI
ROZDZIAŁ 1
1
2
3
4
5
6
7
8
ROZDZIAŁ 2
1
2

3
4
5
6
ROZDZIAŁ 3
1
2
3
4
5
6
7
8
ROZDZIAŁ 4
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
ROZDZIAŁ 5
1
2
3
4
5
6
7
8

9
ROZDZIAŁ 6
1
2
3
4
5
6
ROZDZIAŁ 7
1
2
3
4
5
6
7
8
ROZDZIAŁ 8
1
2
3
4
5
6
7
8
ROZDZIAŁ 9
1
2
3
4
5
6
7
8
9

ROZDZIAŁ 10
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
ROZDZIAŁ 11
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
ROZDZIAŁ 12
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10

11
12
ROZDZIAŁ 13
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
ROZDZIAŁ 14
1
2
3
4
ROZDZIAŁ 15
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17

18
19
ROZDZIAŁ 16
1
2
3
4
5
6
7
8
ROZDZIAŁ 17
1
2
3
4
5
6
CZĘŚĆ III: PORANEK
*
1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16

17
18
19
OD AUTORÓW